

Kirst Hans Hellmut

Fabryka oficerów

Autor znanej w Polsce powieści „088/15” wprowadza tym razem czytelnika do „Fabryki oficerów”. Produkcję oficerów w hitlerowskiej szkole podchorążych odbywa się taśmowo: parę miesięcy drylu szkolnego i na front! I odbywa się oczywiście według ideologicznego wzorca narodowego socjalizmu. Kto się przeciwko temu wzorcowi buntuje, obojętne, z jakich względów i obojętne kto - czy to będzie „ostatni Prusak” generał Modersohn, którego zdaniem hitleryzm zhańbił pruski ideał żołnierza, czy porucznik Krafft, który na własną rękę próbuje walczyć o „inne Niemcy” - ten musi zginąć. Postarają się już o to tacy żarliwi zwolennicy Hitlera, jak podchorąży Hochbauer i sędzia wyższego sądu wojennego Wirrmann. Sensacyjna akcja książki toczy się w roku 1944. Główny jej wątek stanowi śledztwo, którego wynik odpowiedzieć ma na pytanie: Kto i dlaczego zabił podporucznika Barkowa, syna generała - komendanta Szkoły Wojennej w Wildlingen nad Menem? Autor nie ogranicza jednak treści tej bardzo gorzkiej i wstrząsającej powieści do lat wojny. Z pewnych dygresji dowiadujemy się, że ci, którzy kiedyś wiernie służyli Hitlerowi i tępiłi najmniejszy nawet przejaw oporu, również po wojnie żyją i działają jak za najlepszych swych czasów. Zdradzonemu pokoleniu ku pamięci Młodzieży dzisiejszej ku przestrodze Jest to historia porucznika Kraffta. Jeśli nawet wielu twierdzić będzie, że nie taki był jej rzeczywisty przebieg - istnieje jeszcze paru ludzi, którzy ją pamiętają. Wielu wyda się to pożałowania godne, ale na to nie ma rady. Nawet śmierć przecież ma prawo się pośmiać i nawet morderca nie musi być człowiekiem bez poczucia humoru. Porucznik Krafft w każdym razie wiedział, co to wesołość. I zapłacił za to wysoką cenę. Ta jego historia wydarzyła się podczas 16 kursu kształcenia oficerów wojennych, który trwał od 10 stycznia do 31 marca 1944 roku. Widownią jej była Szkoła Wojenna nr 5 w Wildlingen nad Menem. Do opisu tego wszystkiego dołączyłem kilka wyciągów z akt sądu wojennego, listów, dokumentów i życiorysów. Nazwiska trzeba było zmienić. I jeśli nawet prawda ma liczne twarze - odrysowałem tu przynajmniej kilka z nich. Nie jest to widok budujący. Ale to nie ma być żadnym usprawiedliwieniem - może służyć jedynie jako ostrzeżenie. Część I 1 Pogrzeb podporucznika Porucznik Krafft biegł przez cmentarz. Z fruującymi połami płaszcza wyglądał jak nagle spłoszona ofierma. Grono żałobników patrzyło na niego z zainteresowaniem. Zarysowywała się perspektywa całkiem przyjemnej rozrywki w trakcie tej nad wyraz nudnej ceremonii żałobnej. - Proszę o pozwolenie przejścia! - zawołał porucznik Krafft przytłumionym nieco głosem. I zgrabnie prześliznął się między otwartym grobem a grupą oficerów. - Proszę o pozwolenie przejścia! Skinieniem głowy wyrażono zgodę na prośbę Kraffta. Ale nikt nie zrobił mu miejsca, być może w nadziei, że pośliźnie się i wpadnie w dół. To byłby dalszy krok na drodze do upragnionej rozrywki. Przeciągający się pogrzeb bowiem jest dla twardych wojaków równie niepokojący, co długotrwałe nabożeństwo, przy czym to ostatnie ma przynajmniej tę zaletę, że można siedzieć, i to pod dachem. - Co panu tak spieszo? - dopytywał się kapitan Feders. - Czyżby wyprodukowano już nowego trupa? - Jeszcze nie - powiedział, przepychając się, porucznik Krafft - o ile mi wiadomo. - Jeśli tak dalej pójdzie - uświadamiał bez żenady swoje otoczenie kapitan Feders - to wkrótce przestaniemy być szkołą wojenną, a zaczniemy egzystować jako towarzystwo pogrzebowe. Z odpowiedzialną ograniczonością. Ale choć kapitan Feders nawet tutaj sypał nonszalancko uwagami - robił to jednak głosem przytłumionym. Po drugiej stronie grobu bowiem stał generał. * * * Generał major Modersohn stał w głowach otwartego grobu: wysoki, wyprostowany, kanciasty. Zupełnie bez ruchu. Zdawał się nie zauważać, co się wokół niego dzieje. Nie rzucił okiem ani na przepychającego się ku niemu porucznika Kraffta, ani też nie reagował na uwagi kapitana Federsa. Stał, jak gdyby pozował rzeźbiarzowi. I że zobaczą go pewnego dnia gdzieś w charakterze pomnika - do tej myśli przywykli wszyscy, którzy go znali. Gdziekolwiek znajdował się generał major Modersohn, zawsze i wszędzie był punktem centralnym. Barwy wokół niego zdawały się blaknąć, a słowa stawały się nieistotne. Niebo i krajobraz były tylko tłem. Trumna u jego stóp, zawisała na deskach nad otwartym grobem, była jedynie rekwizytem. Grupa oficerów po jego prawicy, tłum podchorążych po jego lewicy, adiutant i dowódca kursu z tyłu, w odległości dwóch kroków za nim - wszyscy oni spadli do roli mniej lub bardziej dekoracyjnych statystów. Byli jakby ramą do udanego portretu generała,

utrzymanego w chłodnych, żelazistych barwach, wyciętego z wszelkiego przepychu. Ten generał to były wcielone Prusy; za takiego przynajmniej miało go wielu ludzi. Generał znakomicie opanował sztukę nakazywania szacunku. Wszystko, co ludzkie, zdawało mu się być obce. Na przykład pogoda była mu zawsze obojętna - ale mundur nigdy. I choćby lodowatozimny wiatr, hulający nad cmentarzem, zmieszany był z ziarnistym lodem - on mimo to nie podniósłby kołnierza swego płaszcza. Nie chował też nigdy rąk do kieszeni. Był zawsze wzorem. Jego oficerom nie pozostawało nic innego, jak iść za jego przykładem. Marzli okropnie, bo było zimno. A cała ta impreza zdawała się niepotrzebnie przeciągać. Z im większym jednak niepokojem i im bardziej wyczekująco otoczenie generała spoglądało ku niemu, tym sztywniejszy i tym bardziej nieprzystępny wydawał się generał. - Jeśli mnie wszystkie znaki na ziemi i na niebie nie mylą - szepnął kapitan Feders najbliższym stojącym - stary zajęty jest wymyślaniem czegoś ekstra zwariowanego. Ostatnio jest zamknięty jak kasa pancerna. Pytanie tylko: kto się do niej włamie? * * * Porucznik Krafft przepychał się dalej do przodu - ku czołowej grupie. Oficerowie strzygli uszami i szturchali się ostrożnie w bok. Mieli nadzieję, że ten porucznik dotrze bezpośrednio do generała. Wtedy nieuniknione byłoby małe przedstawionko. Ale porucznik Krafft miał dość rozumu, żeby nie napastować pomnika. Trzymał się raczej drogi służbowej, która przeważnie okazywała się najwygodniejszą drogą do celu. Zwrócił się do kapitana Katera, dowódcy kompanii administracyjnej: - Melduję posłusznie, panie kapitanie, że kapelan wojskowy się spóźni, zwicznął sobie nogę. Lekarz jest już u niego. Meldunek ten zmartwił Katera. To, że oficer z jego kompanii zmusza go do przekazania nieprzyjemnej nowiny - na dobitkę przed całym korpusem oficerskim! - sprawiało mu przykrość. Kater bowiem znał swego generała. Spojrzy na niego zimno i przenikliwie, prawdopodobnie bez jednego słowa, co będzie jednoznaczne z druzgocącą naganą. Tu bowiem szło o ceremoniał ustalony z góry we wszystkich szczegółach - tu nie mogło być żadnego naruszenia czy spóźnienia w wykonaniu. Cholernie delikatna sytuacja, w której postawił go porucznik Krafft, czy też ten utykający kapelan wojskowy. Chcąc zyskać na czasie, spytał szorstko: - W jaki sposób ten człowiek mógł zwicznąć sobie nogę? - Prawdopodobnie był znowu zalany! - wybuchnął świętym oburzeniem kapitan Ratshelm. Adiutant chrząknął ostrzegawczo. I aczkolwiek generał major Modersohn stał nadal bez ruchu - nawet powieka mu nie drgnęła - zawsze posłuszny kapitan Ratshelm wyczuł w tym naganę. Na pewno dobrze myślał, tylko niewłaściwie się wyraził. A znajdował się przecież w szkole wojennej. Był cenionym opiekunem i wychowawcą przyszłych oficerów. Do jego obowiązków należało więc obwieszczanie nawet przykrych prawd stylem możliwie wytwornym. - Proszę wybaczyć - powiedział więc dzielnie, lecz podniesionym nieco głosem. - Powiedziałem „zalany”, ale miałem oczywiście na myśli „pijany”. - Ksiądz w ogóle nie mógł być zalany - powiedział na to kapitan Feders, wykładowca taktyki, rozporządzający sprawnie funkcjonującym umysłem, co nie zawsze było takie przyjemne. - Aby to zrozumieć, wystarczy odrobina logiki. On mianowicie jest prawie zawsze zalany, a w tym stanie nigdy mu się dotąd nic nieprzyjemnego nie przydarzyło. Może to spokojnie przypisać swemu aniołowi stróżowi. Jeśli więc, jak usłyszeliśmy, zwicznął sobie teraz nogę, należy przyjąć, że nie był zalany czy też pijany. W tym stanie musiał się prawdopodobnie obejść bez swego anioła stróża, co odbiło się na jego nodze. Teraz generał major odwrócił głowę. Działo się to w tempie niebezpiecznie powolnym i przypominało lufę armatnią obracającą się wylotem ku celowi. Oczy komendanta były nadal bez wyrazu. Oficerowie uciekali od tego spojrzenia i wpatrywali się nieomal uroczyście w dół. Jeden Feders patrzył na generała - pytająco i z ledwo dostrzegalnym uśmiechem. Adiutant zacisnął oczy i usta. Oczekiwał burzy. Przypuszczalnie złoży się na nią tylko jedno słowo generała, ale będzie ona na tyle silna, że wymiecie cmentarz do czysta. Słowo to jednak nie padło. Okoliczność, która skłoniła adiutanta do wzmoczonego wysiłku umysłowego. Doszedł wreszcie do wniosku, że musiało tu odegrać pewną rolę wyznanie duchownego - generał miał chyba inny śpiewnik. Jeśli w ogóle miał śpiewnik. Lecz w pewnej chwili generał powolnym, okrągłym ruchem podniósł lewą rękę. Spojrzył na zegarek. Potem opuścił rękę. I w tym względnie skąpym geście zawierał się alarmujący wyrzut. * * * Kapitan Kater posuwał się ku generałowi - nie

miał już wyboru. Oczy całego korpusu oficerskiego oraz podchorążych szły za nim. Ciężka droga czeka tego faceta, myśleli sobie. Kater był bowiem odpowiedzialny za przebieg ceremoniału - a z tym coś nie klapowało. W oczach generała: druzgocący wyrok. Kater zebrał całą swoją odwagę. Miał nadzieję, że uda mu się złożyć meldunek bez potknięć, że głos mu nie zabrzmi niepewnie ani nie zadrży, ani też się nie załamie. Gdyż, jak wykazało doświadczenie, najważniejszą rzeczą był jasny, dźwięczny meldunek bez zająknięcia. Wszystko inne potem się już jakoś samo układało. W każdym razie kapitan Kater, dowódca kompanii administracyjnej, zameldował generałowi wszystko to, co ten już i tak wiedział - w końcu miał przecież uszy. W dodatku uszy, o których mówiono z szacunkiem, że są czule jak aparaty nasłuchowe. Generał major Modersohn przyjął meldunek ze spokojem; nieruchomy niby samotna skała, górująca nad doliną. Lecz potem nastąpiło to, czego Kater tak bardzo się obawiał. Generał skąpym ruchem dłoni podsunął mu z powrotem Czarnego Piotrusia. - Proszę podjąć odpowiednie kroki. Powiedział tylko. Oficerowie zaczęli się złośliwie uśmiechać. Podchorążowie z zaciekawieniem podnosili swe chłopięce twarze. A na kapitana Katera były zimne poty. Musiał bezzwłocznie podjąć jakieś kroki - ale jakie? Wiedział, że istnieje co najmniej pół tuzina możliwości, ale co najmniej pięć z nich byłoby chybionych - w oczach generała, a jedynie to było ważne. Porucznik Krafft był bliski współczucia dla Katera. To dlatego, że go jeszcze za mało znał; Krafft był w szkole wojennej dopiero od dwóch tygodni. Miał jednak tyle sprytu, że bardzo szybko przejrzał panujące tu reguły gry. Przede wszystkim chodziło zawsze o to, by wydawać zarządzenia, wypowiadać rozkazy - tylko to było dowodem umiejętności podejmowania słusznej, szybkiej decyzji. Czy te zarządzenia okazywały się potem sensowne, a rozkazy celowe, to już było sprawą drugorzędną. Dlatego to również kapitan Kater wydał z miejsca rozkaz. - Dziesięć minut przerwy - zawołał. Była to oczywiście koszmarna bzdura, pomysł poniekąd kacowaty. * Oficerów ogarnęła wesołość, której prawie wcale nie ukrywali - rozkosz sprawiał im niezmiennie widok innych ponoszących żalostną klęskę; wpływało to dodatnio na ich samopoczucie. Nawet kilku podchorążych kręciło głowami. A kapitan Ratshelm, ten zacyzny mąż, burknął z przekąsem: - Idiocyzm! Nieprzetłumaczalna gra słów - Kater znaczy kocur, a także kac. Lecz generał odwrócił się i utkwiał, jak się zdawało, oczy w niebo. Nie wyrzekł ani słowa. W każdym razie usankcjonował w ten sposób rozkaz Katera. Dlaczego, to pozostało jego tajemnicą. Istniały co najmniej dwie motywacje. Jedna: generał nie chciał objechać Katera w obecności podchorążych, a więc jego podwładnych. Druga: generał szanował świętość miejsca, o czym wyraźnie była mowa w odnośnym punkcie regulaminu wojskowego. Najważniejsze jednak: rozkaz to rozkaz. A zatem rzecz święta - zdaniem wielu ludzi. W każdym razie: przerwa! Dziesięć minut przerwy! * * * Generał major Modersohn odwrócił się - poszedł parę kroków w kierunku jednej z mogił. Adiutant i obaj dowódcy kursów poszli za nim. Pełni szacunku, w odstępach dwóch kroków. A ponieważ generał nic nie mówił, oni również nie odzywali się ani słowem. Generał wodził wzrokiem po całym horyzoncie, jak gdyby zamierzał opracować plan bitwy. Znał przy tym dokładnie każdy najdrobniejszy szczegół terenu: łagodne wzgórza, porosłe winnicami, wśród nich wstęga Menu, poniżej miasto Wildlingen, jakby zbudowane z klocków, powyżej, nad tym wszystkim, wzgórze 201, a na nim: Szkoła Wojenna nr 5. Cmentarz leżał nieco na uboczu, miał jednak wygodne dojście. Marszem od koszar szło się niecałe 15 minut. Okoliczność korzystna również dlatego, że czekała ich droga powrotna. - Ładny kawał ziemi - powiedział generał. - Rzeczywiście ładny - pospieszył go zapewnić major Frey, dowódca II kursu. I zdumiewająco dużo miejsca, panie generale. POd tym względem nie będziemy mieli tu przypuszczalnie trudności; chyba że grożą nam naloty bombowe. Ale i wówczas będzie można znaleźć jeszcze jakieś rozwiązanie. Generał mówił o krajobrazie Menu. Major miał na myśli cmentarz. Znowu zamilkli. To zaoszczędziło im dalszych nieporozumień. * * * Oficerowie złamali szyk, w jakim byli ustawieni - i to zupełnie samodzielnie. Znak dał kapitan Feders. Wyszedł z szeregu i udał się na tylny plan, aby, jak twierdził, rozchodzić sobie trochę nogi. Znikł za cisowym żywopłotem. Oficerowie zaczęli się przechadzać grupkami. Niewątpliwie mogli sobie na to pozwolić. Trzeba było tylko robić to, co generał. Jeśli on próbował rozchodzić sobie nogi, oni także mogli. - Panie

poruczniku Krafft - powiedział kapitan Kater z kwaśną miną - jak pan mógł mi coś takiego zrobić? - A co takiego? - spytał Krafft niefrasobliwie. - Czy to ja zwichnąłem sobie nogę? Czy to ja odpowiadam za przebieg tej uroczystości? - W pewnym sensie tak - powiedział Kater zły. - Podlega mi pan bezpośrednio jako oficer kompanii administracyjnej. Jeżeli więc ja jestem odpowiedzialny, to pan tym bardziej. - Oczywiście - odparł Krafft - istnieje jednak jedna maleńka różnica: ja jestem odpowiedzialny przed panem, a pan przed generałem. To znaczy, że mnie się nie nie może stać, nie uważa pan? - Wprost nie do wiary - warknął kapitan Kater - że coś takiego posłano na szkołę wojenną! - Ależ proszę pana - powiedział Krafft wesoło. - Pan przecież też tu jest! Kapitan Kater przełknął ślinę. Zaledwie mu się noga powinęła, a już młodzi oficerowie pozwalali sobie na zuchwałość wobec niego. Ale on już temu gagatkowi pokaże. POSzukał wzrokiem generała i stanął, celem zamaskowania się, za jakąś tują. Wyjął z kieszeni płaską flaszkę, otworzył ją i pociągnął sobie, żeby się pokrzepić. Krafftowi nie dał ani jednego łyka. Kiedy jednak chciał wetknąć flaszkę z powrotem do kieszeni, otoczyła go cała zgraja oficerów, z nieuniknionym kapitanem Federsem na czele. Oni również chcieli się trochę rozgrzać. - Może by pan tak dla odmiany spróbował zachować się po koleżeńsku, Kater - radził Feders, śmiejąc się od ucha do ucha. - Puść no pan w ruch tę swoją flachę. Nie powinno to panu przyjść znowu tak ciężko, przy pańskich zapasach! - Jesteśmy na cmentarzu - pozwolił sobie zauważyć Kater. - Czy to nasza wina - rzekł Feders - że generałowi zachciało się nagle takich szumnych ceregieli pogrzebowych, jak w czasie pokoju? Ale w końcu jest wojna. Ja już niejedną raz jadałem wśród trupów. No, dawaj pan flachę, obłudniku. Panu zawdzięczamy tę przerwę, to teraz pańskim obowiązkiem jest zadbać o to, by ją możliwie czymś przyjemnym wypełnić. * * * Podchorążowie grupy szkolnej H - w sumie czterdziestu ludzi - ciągle jeszcze stali na swoim miejscu. Oni nie mogli sobie pozwolić na taką swobodę jak oficerowie - jeszcze nie. Nie mogli tak po prostu szwendać się po cmentarzu, zachęceni przykładem generała. Im potrzebny był do tego wyraźny rozkaz, a takiego oczywiście nie było. A więc stali: w trzech rzędach, karabin u nogi, hełm na głowie, w postawie „spocznij”. Czterdzieści szczenięcych, gładkich twarzy - ale niektóre z oczami starych, doświadczonych ludzi. A przy tym prawie żaden z nich nie miał więcej niż dwadzieścia lat. Na tym kursie oni byli najmłodszy. - Chciałbym tylko wiedzieć - powiedział podchorąży Hochbauer do swoich sąsiadów - skąd panowie oficerowie biorą alkohol. Od tygodnia już nie było przydziału wódki. - Może oni są tacy oszczędni - zaśmiał się podchorąży M~osler. - Jedno mogę wam w każdym razie powiedzieć: jeżeli mi potrzeba jeszcze jakiegoś bodźca, żeby zostać oficerem, to ta flacha jest jednym z najbardziej przekonujących argumentów. - To po prostu korupcja - powiedział podchorąży Hochbauer dość ostro. - Powinno się tego zabronić. POwinno się coś zrobić w tej sprawie. - Wysadź po prostu w powietrze to całe towarzystwo - radził podchorąży Rednitz. - Będziemy mieli wówczas zbiorowy pogrzeb, a korzyść będzie z tego taka, że nie będziemy musieli ciurkiem latać na cmentarz. - Trzymaj swój niewyparzony pysk - odparł podchorąży Hochbauer szorstko. - Zostaw łaskawie te brudne aluzje, bo jak nie, to będziesz miał okazję ze mną się zapoznać. - Nie trudź się - rzekł podchorąży Rednitz - ja i tak cię dobrze znam. - Spokój w bajzlu! - powiedział podchorąży Weber. - Jestem tu w żałobie i prosiłbym, żeby to uszanowano. POdchorążowie zaczęli się już trochę uspokajać. Rozejrzeli się ostrożnie: generał był daleko, a oficerowie ciągle jeszcze usiłowali wytupać sobie ziąb z nóg. Butelka wódki kapitana Katera opróżniła się tymczasem, kapitan Feders nie przestawał jednak zabawiać towarzystwa dwuznacznymi kalamburami. O tym, że stała tu trumna, nikt już widocznie nie myślał. Ale oto był kapitan Ratshelm, dzielny, niezmordowany ojciec podchorążych - dowódca 6 oddziału, w skład którego wchodziła grupa szkolna H. Mimo że stał po drugiej stronie dołu, nie spuszczał z nich oka. Spojrzenia jego pełne były niewinnej serdeczności. Kapitan Ratshelm spoglądał na swoich podchorążych z ojcowską miłością. Co prawda zachowywali się teraz, jego zdaniem, nieco za głośno, ale to właśnie wydało mu się pięknym świadectwem ich cech żołnierskich. Przybyli tu, by oddać ostatnią posługę swemu instruktorowi, podporucznikowi Barkowowi. A przy tym, co było objawem pocieszającym, nie zachowywali się jak zawodowe płaczki, lecz prawie jak prawdziwi

żołnierze, dla których śmierć winna być najnaturalniejszą rzeczą na świecie - towarzyszem nie odstępującym człowieka na krok. Najwierniejszym ze wszystkich towarzyszy, by tak rzec. A jeśli już nie należało jej patrzeć w oczy wesoło - pewna równowaga ducha w obliczu śmierci była jak najbardziej godna polecenia. Tyle Ratshelm. - Na froncie - mówił tymczasem podchorąży Weber, drapiąc się przy tym - zużyliśmy zaledwie pięć minut na pogrzeb, pomijając kopanie grobu. A tu w kraju zaraz taki wielki huk. Nie mam nic przeciwko temu, ale jeśli już robić coś z wszystkimi szykanami, no to i z wszystkimi konsekwencjami. Do nich zaś należy wolne popołudnie, a to by mi się bardzo przydało. Na dole w miasteczku bowiem poderwałem sobie pierwszoklasną cizję, Annemarie jej na imię. Powiedziałem jej, że się z nią ożenię... jak zostanę generałem. Wśród podchorążych, którzy już się nieco uspokoili, znowu zrobił się ruch. Większość jednak stała bezmyślnie i energicznie ruszała palcami u nóg. Tupać całymi stopami dla rozgrzewki nie mieli odwagi, ale pocierać ręce mogli - a jeden, w trzecim rzędzie, wsunął je nawet głęboko do kieszeni. Tylko pierwszy szereg, na którym zatrzymywały się spojrzenia przełożonych, musiał trzymać fason. Tu niektórzy udawali, że patrzą na trumnę ze smutkiem. Rejestrowali jednak tylko jej wyrób - imitacja dębu, a więc przypuszczalnie sosna; okucia ze sztancowanej blachy; matowo połyskująca farba, niezdarne nóżki. I po raz osiemnasty już czytali napisy na szarfach wieńców, przeważnie czerwonych i ozdobionych swastykami, wydrukowane żółtozłotymi albo czarnymi jak smoła literami: „Naszemu drogiemu koledze Barkowowi - śpij w spokoju - korpus oficera S\$w nr 5” „Niezapomnianemu nauczycielowi - z głęboką czią - jego wdzięczni uczniowie” - Bogi wiedzą, kto teraz będzie naszym instruktorem - powiedział jeden z podchorążych w zamyśleniu, błędząc wzrokiem po płataninie krzyży, kamieni, krzaków i wzgórków, z których składał się cmentarz. - E tam - przerwał mu drugi szorstko - daliśmy radę temu podporucznikowi Barkowowi, to i damy radę każdemu innemu. Najważniejsze, żeby nikt nie skrewił, wtedy nam się wszystko uda. * * * - Te chłopaczki są moim zdaniem zdolne do wszystkiego - uświadamiał swoje otoczenie kapitan Feders, wszechwiedzący i przenikliwy wykładowca taktyki. - Uważam za zupełnie możliwe, że wysadzili w powietrze swego instruktora. Podporucznik Barkow nie był przecież ani idiotą, ani samobójcą; a na sprzeczanie saperskim to on się znał. Tylko na swojej bandzie widać się nie poznał, i to był jego pech. Ostrzegałem go, nawet wielokrotnie. Ale zacierzewieni idealiści, którzy nie mają pojęcia o życiu, są beznadziejni. - To był wzorowy oficer - zapewniał kapitan Ratshelm z głębokim przekonaniem. - Właśnie dlatego - rzekł Feders lakonicznie i kopnął noskiem buta kamyk. Kamyk potoczył się do otwartego grobu. - Nie można powiedzieć, żeby pan grzeszył delikatnością - powiedział Ratshelm niemile dotknięty. - Nie podoba mi się ta pompa i parada pogrzebowa - powiedział Feders. - A od tych ciepłych klusek, od tych kłamstw nad ciałem zmarłego rzygać mi się chce. Ale jednocześnie zadaję sobie pytanie: Jaki cel ma w tym generał? On musi mieć przecież w tym jakiś cel, ale jaki? - Nie jestem generałem - odparł Ratshelm sztywno. - Ale niedługo nim pan zostanie - rzekł Feders zaczepnie. - Im parszywsze czasy, tym łatwiej o awans. Spójrz pan tylko na tę zgraję oficerów, robią wszystko, co im każą. I wszystko z idealną regularnością maszyn, czy to w kasynie, czy na sali wykładowej, czy na cmentarzu. Można na nich polegać, to wszystko. Na głupcach też można polegać. - Pan pił, Feders - powiedział kapitan Ratshelm. - Tak jest, i dlatego jestem taki łagodny i zgodliwy. Nawet widok kapitana Katera budzi we mnie dziś przyjazne uczucia. Kapitan Kater chodził niespokojnie tam i z powrotem między dwiema płytami nagrobnymi. Zastanawiał się, jak opanować sytuację. Był nieomal skłonny wzywać na pomoc niebios, mianowicie ten wydział, któremu podlegało wyznaczenie kapelana wojskowego. Ale nadzieja, że Pan Bóg jeszcze zdąży na czas naprawić nogę swego sługi, szybko się rozwiła. Obrzucał tęsknymi spojrzeniami bramę cmentarza. Czuł się jak kot, któremu ktoś przywiązał świński pęcherz do ogona. Wreszcie spytał porucznika Kraffta: - Czy istnieje możliwość, żeby kapelan wojskowy powrócił do formy, i to w porę? - Wątpię - odparł Krafft uprzejmie. - No to co robić?! - zawołał Kater zrozpaczony. - A więc, mój drogi - powiedział kapitan Feders. - Istnieje tu, jak zwykle, kilka możliwości. Trzeba tylko wybrać. Może pan na przykład przedłużyć przerwę. Albo odroczyć pogrzeb. Albo zastąpić kapelana. Albo zamelduje pan generałowi, że nie ma pan nic

do meldowania. Może pan również paść z miejsca trupem, wtedy pozbędzie się pan wszystkich zmartwień. Kater rozglądał się wściekłym wzrokiem wokół siebie, niczym wilk, który widzi się nagle osaczony przez gromadę myśliwych. Oficerowie przypatrywali mu się z umiarkowanym zainteresowaniem; po wszystkim, co w tym czasie stało się na tym cmentarzu, nie stanowił on już atrakcyjnej zwierzyny. Porucznik Krafft ich zdaniem, wmanewrował Katera w sytuację, z której ten nie mógł już wyjść bez szwanku. Przypuszczalnie Krafft chciał zająć jego miejsce. Tak zresztą zwykle bywało: pomyłki jednych przynosiły zysk drugim. Teraz jednak zgromadzeni zamilkli wyczekująco. Generał major Modersohn zwrócił się znowu twarzą do tłumu żałobników. Wodził po nich swoimi oczami rekina, aż zapanowało zupełne milczenie. Wreszcie wzrok jego zatrzymał się na kapitanie Katerze. - Koniec przerwy! - zawołał ten natychmiast. Generał skinął ledwo dostrzegalnie głową. Oficerowie ustawili się znowu w szyku, a podchorążowie zamarli bez ruchu. Poza tym nic się dalej na razie nie działo. Nad orszakiem żałobnym zaległa niemal uroczysta cisza. Tylko kapitan Kater, obok którego stał porucznik Krafft, sapał głośno. - A więc w imię Boże! - powiedział generał. Kater wzdrygnął się przerażony - był odpowiedzialny za ceremoniał, a nie wiedział, co teraz ma nastąpić. Ale ponieważ ciągle jeszcze zdecydowany był zwalić na Kraffta rozwiązanie problemu, spojrział na niego błagalnie, a jednocześnie rozkazująco. Szepnął: - Zrób pan coś, Krafft! - I jak gdyby chciał jeszcze podkreślić swój rozkaz, bo to był jednak rozkaz, popchnął Kraffta lekko do przodu. Krafft znowu o mały włos nie wpadł do dołu. Zatrzymał się jednak w porę i powiedział do podchorążych trzymających wartę przy trumnie: - Spuście go! Podchorążowie bezzwłocznie wykonali rozkaz. Trumna z łoskotem stoczyła się do grobu. Za nią spadały grudki zmarzniętej na kość ziemi. Obecni śledzili to tak nadspodziewanie szybko toczące się widowisko z bardzo mieszanymi uczuciami. - Połączmy się teraz w niemej modlitwie - zaproponował porucznik Krafft. Na szczęście to dość mgliste sformułowanie zabrzmiało jak rozkaz. I żałobnicy natychmiast mu się podporządkowali. Opuścili głowy, wzrok utkwili przed siebie i usiłowali nadać swoim twarzom wyraz możliwie poważny. O podporuczniku Barkowie, leżącym w tej teraz już ledwo widocznej trumnie, prawie nikt z oficerów nie myślał - znali go tylko powierzchownie. Podporucznik Barkow, jak wielu innych oficerów_instruktorów, przebywał w tej szkole wojennej dopiero od czternastu dni. Wyprostowana, zawsze zachowująca dystans postać, nieprzenikniona młodzieńcza twarz, rybie oczy i energicznie zaciśnięte usta; oficer jak z książeczki z obrazkami: Wierna młodzież Niemiec - gotowa na wszystko. A więc i na to. Logiczne. Jeden z podchorążych mruknął pod nosem: - Nic innego przecież nie chciał. - Zabrzmiało to prawie jak modlitwa - przynajmniej z pewnej odległości. - Amen - powiedział porucznik Krafft głośno. - W tył zwrot - powiedział generał major Modersohn. Na taki rozkaz generała obecni nie byli przygotowani. Uderzył w nich jak strzał z pistoletu, oddany gdzieś z bliska. Podnieśli oczy, niektórzy zmieszani, inni szczerze zmartwieni. Ten rozkaz miał w sobie coś z niespodziewanego kopniaka w tyłek, i do tego jeszcze w tyłek podwładnych, którzy udawali, że odmawiają modlitwę. Powoli ci najbardziej oblatani żałobnicy zaczęli pojmować, na czym polega wyjątkowość tego rozkazu - był sprzeczny z ceremoniałem. Bo jeszcze nie rzucono ziemi na trumnę, nie położono na grobie wieńców i nie wystrzelono salwy honorowej. Starannie zaplanowany, czterokrotnie wypróbowany przebieg uroczystości został nagle zakłócony - jednym jedynym słowem. Ale to słowo było rozkazem. - Panowie oficerowie są wolni - zarządził natychmiast dowódca kursu, jako drugi z rzędu najstarszy stopniem. Okazja sprzyjała wykazaniu inicjatywy. Generał potrafił to ocenić, do inicjatywy bowiem przykładął szczególną wagę. - Podchorążowie udają się do swoich kwater. Dalsze zajęcia według planu. * * * Prawie zaraz potem orszak żałobny się rozwiązał. Oficerowie grupkami pokłusowali w kierunku bramy. Kapitan Ratshelm prowadził swój oddział. Kapitan Kater stał jeszcze przez kilka sekund na swym miejscu jak wbity w ziemię. Potem i on się oddalił, i szedł za porucznikiem Krafftem, któremu zamierzał porządnie natrzeć uszu. Bo jakżeby mógł istnieć dalej w tej szkole, jeśli by nie udało mu się znaleźć winnego? Dotąd mu się to zawsze udawało. Na cmentarzu został sam generał major Modersohn. Generał postąpił parę kroków naprzód i zajrzał do grobu. Zobaczył brunatnoczarne deski, przysypane już trochę ziemią. Brudny,

wydeptany śnieg wokół siebie - a w śniegu jaskrawoczerwona, teraz już zeskorpiała wstęga od wieńca, wdeptana butem w ziemię. Twarda, nieruchoma twarz generała nie zdradzała żadnego uczucia. Usta jego wyglądały jak jedna krecha. A oczy były zamknięte - tak się przynajmniej wydawało. Jak gdyby nie chciał, żeby ktoś zajrzał w głąb jego duszy. Oficerowie i podchorążowie maszerujący ku dolinie, do swoich koszar, i przemierzający właśnie duży zakręt, ujrzeni z daleka swego dowódcę ciągle jeszcze stojącego na cmentarzu: ostra, wąska sylwetka na tle lodowatozimnego, śnieżnie błękitnego nieba, jak skamieniała w groźnej, lodowatej nieprzystępności. - Przez najbliższe dni będzie tu wiał cholernie zimny wiatr - rzekł kapitan Feders. - Bo coś tu śmierdzi w tej sprawie, mówcie co chcecie. Generał nie jest człowiekiem, który by reagował na byle jakie głupstwo; jeśli jest niezadowolony, to musiało się stać jakieś ogromne świństwo. Ale jakie? NO, tego dowiemy się wcześniej, niż byśmy sobie życzyli. 2 Zgwałcenie - Drogi poruczniku Krafft - powiedział kapitan Kater, idąc z nim przez koszary w kierunku bloku kompanii administracyjnej. - Taka szkoła wojenna to twór bardzo skomplikowany, i świętej pamięci Pytia w porównaniu z naszym generałem była skromną wróżką, przepowiadającą z fusów. - Tym bardziej dziwi mnie, że właśnie pan tu wylądował - powiedział porucznik Krafft szczerze. - Nie wybierałem sobie tego stanowiska - rzekł kapitan Kater z nieco wymuszonym uśmiechem. - Ale skoro już tu jestem, to chcę tu zostać. Rozumie pan? Nie chciałbym, żeby pan robił sobie złudne nadzieje pod tym względem. To byłoby zbyt nieprzyjemne dla pana, a zbyt męczące dla mnie. Jeśli jest pan mądry, będzie pan się starał zaprzyjaźnić ze mną. - Cóż robić - powiedział porucznik Krafft beztrąsko - nie jestem ani mądry, ani pilny. Nie mam ambicji i lubię spokój. - I dziewczynki! - dorzucił kapitan, mrugając porozumiewawczo okiem. Nie miał zaufania do Kraffta, jako że z zasady nie miał zaufania do nikogo. Każdy czegoś od niego chciał: generał dyscypliny i znajomości regulaminów, oficerowie wódki i dodatkowych racji - a ten Krafft prawdopodobnie jego stanowiska. Młodszych, nie doświadczonych jeszcze oficerów trudno było przyhamować, jeśli trafiła im się szansa wyparcia swoich przełożonych. A oficerowie szkół wojennych byli elitą; nie tylko palili się do zrobienia kariery - posiadali również żyłkę do tego. Ale istniały jeszcze bądź co bądź dziewczynki. - Nie przesadzajmy - powiedział Krafft. - O dziewczynkach nie może być chyba mowy, mnie wystarczy jedna. Od przypadku do przypadku. - Nie jestem potworem - zapewnił go kapitan Kater. - I mówię zawsze: żyć i pozwolić innym żyć. Ja w każdym razie jestem dowódcą kompanii administracyjnej, a pan jest oficerem przydzielonym do mojej kompanii, sprawa jest jasna. Nieprawdaż? * * * Razem weszli do kancelarii kompanii administracyjnej - kapitan Kater pierwszy, jak należało. Pisarze, kapral i dwaj starsi szeregowcy wstali, lecz żeńska siła pomocnicza siedziała dalej - i to w sposób dosyć wyzywający. Kater udawał, że jej nie widzi. Mimo to nie uszło jego uwagi, że ta bardzo efektowna dziewczyna - niejaka Elfrieda Rademacher - widziała tylko porucznika Kraffta. Uśmiechała się do niego z tak wyraźną poufałością, jak gdyby była z nim sama na świecie. Kater patrzył gdzieś w bok. - Filiżankę kawy? - spytała Elfrieda. Pytanie było skierowane do kapitana Katera, a mrugnęła przy tym do porucznika Kraffta. Krafft odmrugnął jej. Mróz cmentarny powoli wypełzał z jego kości. - Dobrze, proszę zrobić kawy - powiedział Kater wspaniałomyślnie. - Ale dla mnie proszę z koniakiem. W ten sposób kapitan Kater demonstrował swój oryginalny gust. Przy każdej nadarzającej się okazji dawał do zrozumienia swemu otoczeniu, że jest wyraźną, oryginalną indywidualnością. Przynajmniej co się tyczy wyboru trunków. - Koniak mi się teraz bardzo przyda - ciągnął dalej i opadł z trzaskiem na fotel przy swoim biurku. Wskazał porucznikowi Krafftowi stojące obok krzesło. - Po tym grand guignolu na cmentarzu muszę się pokrzepić. Generał staje się powoli zmorą dla koszar, przy całym szacunku dla niego. Czego on właściwie chce? Gdybyśmy każdego umarlaka chowali z taką pompą, to w końcu nie mielibyśmy czasu na prowadzenie wojny. A bez koniaku człowiek by w ogóle zdechł. - Tak - powiedziała Elfrieda z niezmaconą pogodą ducha - wojna staje się z dnia na dzień trudniejsza. - Nakryła biurko serwetką i przyniosła dwie filiżanki. - Najlepiej będzie, jeśli postawię tu od razu całą butelkę koniaku. - Czy za tym się coś kryje? - spytał Kater, ten wiecznie nieufny. Zbyt ochocza propozycja Elfriedy była niepokojąca. - Czy wydarzyło się jeszcze jakieś

świństwo? - Potrójne nawet - powiedziała Elfrieda serdecznie i postawiła kieliszki, obdarzając przy tym porucznika promiennym uśmiechem. Kapitan nawet na to nie zwrócił uwagi. Fotel trzeszczał pod nim. Kater wdychał zimny dym i woń zgniłej wody, mydła do prania i zmurszałych desek. Trochę nerwowo wciągnął brzuch i złożył na nim swoje grubaśne palce. Potem dopiero spojrzał na Elfriedę Rademacher, zasłużoną i wielostronnie uzdolnioną biuralistkę, ze znużoną niechęcią. Ta Elfrieda Rademacher wyglądała wcale interesująco. Była nieco za pulchna i jędrne jej kształty rozsadyły suknię: przypominała klacz o usposobieniu krowy. Promieniowała soczystą wiejskością i kojarzyła się z wolną przestrzenią, szumem lasu lub stogami siana - z wszystkim tym zresztą, co kapitan Kater niezbyt sobie cenił; łatwo bowiem się przeziębiał. Niestety nie należał już do najmłodszych i wskutek tego sprawiał niekiedy wrażenie człowieka nieomal poczciwego. - Proszę mówić bez żenady, panno Rademacher - powiedział, zapalając cygaro; hawańskie, ale wyjątkowo łagodny gatunek. - Pani wie, że jestem człowiekiem wyrozumiałym. - W tym wypadku będzie to też konieczne - zapewniła go Elfrieda i znowu mrugnęła do Kraffta, oblizując wargi koniuszkiem języka. - A więc śmiało, panno Rademacher - niecierpliwił się kapitan Kater - śmiało. No i powiedziała całkiem po prostu, jak gdyby chodziło o najzwyczajniejszą rzecz pod słońcem: - Zgwałcenie... wczoraj w nocy. Kapitan Kater wzdrygnął się. Również porucznik Krafft pochylił się do przodu - jakkolwiek już dość dawno temu postanowił sobie, że nic go już nie zadziwi, choćby wielkoniemiecka wojna nie wiadomo co jeszcze postawiła na nogi. - Hańba! - zawołał kapitan Kater. - Hańba, co ci podchorążacy wyrabiają! - To nie był nikt z podchorążych - sprostowała uprzejmie Elfrieda Rademacher. - Czyżby ktoś z kompanii administracyjnej? - spytał kapitan, jeszcze bardziej zaniepokojony. Gwałcący podchorążowie bowiem byłiby dla Katera jeszcze do strawienia, jako że nie podlegali mu bezpośrednio; prawdopodobnie uzależniona służbowo od niego była tylko zgwałcona, gdyż wszyscy pracownicy cywilni podlegali bezpośrednio jemu. Jeśli jednak była to sprawa kogoś z oficerów kompanii administracyjnej - po prostu katastrofa! To mogło już ostatecznie przypieczętować grożący Katerowi upadek, mógł nawet zarobić na tym odkomenderowanie gdzieś w pobliże frontu, po tym wszystkim, co się stało na cmentarzu. Kater rzucił więc błagalne spojrzenie Krafftowi. Miał ogromną chęć umożliwić mu czynny udział w swoich kłopotach. Sługa boży, który w decydującej chwili zwicznął sobie nogę, obrońca ojczyzny, który dał się złapać w trakcie dokonywania gwałtu - to już były rzeczy alarmujące. - Kto to jest, ta świnią, która mi tego narobiła? - dopytywał się. - Kapral Krottenkopfh. To jego zgwałcono - oznajmiła Elfrieda. I uśmiechnęła się nieomal rozradowana. - Wiecznie tylko słyszę: kapral Krottenkopf! wykrzyknął Kater skonfundowany. - Przecież to absurd! To niemożliwe! - To jest prawda - powiedziała Elfrieda; i widać było po niej, że sytuacja ta sprawia jej wyraźną przyjemność. - Kapral Krottenkopf dziś w nocy, między godziną pierwszą a drugą, został zgwałcony, zgodnie z jego własnymi zeznaniami. A mianowicie w piwnicy budynku komendy szkoły, w centrali telefonicznej, przez trzy pracujące tam telefonistki. - To przecież nie może być prawdą! - wykrzyknął kapitan Kater. - Co pan na to, poruczniku Krafft? - Usiłuję sobie to wyobrazić, panie kapitanie - oświadczył Krafft i potrząsnął ze zdziwienia swoją chłopską łepetyną. - Boję się jednak, że moja wyobraźnia tak daleko nie sięga. - świnstwo! - wybuchnął Kater zdenerwowany; chodziło mu nie tyle o sam fakt, ile o ewentualne jego konsekwencje. - A co ten Krottenkopf ma w nocy do roboty w centrali, nawet jeśli jest podoficerem łączności? I jakim to sposobem aż trzy baby naraz znajdują się w centrali, nocną służbę pełnią przecież zawsze we dwie? I dlaczego muszą się zabierać akurat do Krottenkopfa, skoro w koszarach jest dość podchorążych, którzy z wielką przyjemnością dostarczyliby im tego, czego pragną? Pomijając już fakt, że coś takiego musiało się wydarzyć akurat podczas służby! Kapitan Kater drżącymi rękami nalał sobie koniak. Koniak z przepełnionego kieliszka popłynął na jakiś dokument i utworzył malutkie pachnące jezioro o łagodnych brzegach. Ale Katerowi dokument ten był zupełnie obojętny, i koniakowe jezioro także - myślał tylko o tym dziwnym gwałcie i jego groźnych konsekwencjach. Wlewał w siebie alkohol, nie odczuwając ulgi. Najchętniej z miejsca by się urznął. Ale najpierw musiał powziąć decyzję, najlepszą z możliwych, a więc taką, która by mu

zaoszczędziła kłopotów i trudu. Która by mu pozwoliła zważyć z siebie odpowiedzialność. Dlatego rzekł: - Krafft, pan się zajmie tą sprawą. Moim zdaniem historia jest absolutnie niewiarygodna, lecz zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby ją wyjaśnić. Mam nadzieję, że pan rozumie, co chcę przez to powiedzieć: po prostu nie mogę sobie wyobrazić, żeby coś takiego mogło się wydarzyć w mojej kompanii administracyjnej. Już czysto biologicznie jest to nieprawdopodobne. A z wojskowego punktu widzenia można to uważać jedynie za nieporozumienie. Tym samym Kater zrobił wszystko, żeby móc się z tego wymigać. Miał pewność, że przede wszystkim spełnił swój obowiązek. Zrobił to, co się zwykle w takich wypadkach robi. Oddał sprawę w inne ręce i przezornie nadał jej taki bieg, aby nie miała zbyt przykrego rezonansu dla niego. Jeżeli teraz zdarzą się błędy, nie będzie to już jego winą. Wtedy Krafft beknie. A temu nauczka nie zaszkodzi. Zanim jednak Kater wyszedł, powiedział do Kraffta: - Nie wolno przy tym pominąć jednego drobiazgu, mój drogi. Pytanie bowiem brzmi: dlaczego Krottenkopf zgłasza to świństwo dopiero teraz po południu? Winien był to uczynić najpóźniej we wczesnych godzinach rannych; taka jest reguła. Co ten człowiek właściwie sobie myśli? Co on sobie wyobraża, z kim ma tu do czynienia? Niech go pan objeździe z góry na dół! Kto narusza przepisy służbowe, jest zawsze podejrzany. Krafft patrzył w ślad za Katerem nie bez pewnego uznania. To cwaniak nie z tej ziemi, ale nic dziwnego - czyż w przeciwnym razie utrzymałby się w szkole wojennej? Uwaga Katera, że poszkodowany, czyli kapral Krottenkopf, naruszył przepisy wojskowe, była równie podła, co zręczna. W ten sposób Krottenkopf znalazł się od samego początku w niekorzystnej sytuacji. - Mam wielką ochotę - powiedział porucznik Krafft - rzucić ten cały kram Katerowi pod nogi. - Czy to wszystko - powiedziała Elfrieda, zbliżając się do niego - czy to wszystko, na co masz ochotę? * * * - Czy nie powinniśmy raczej zamknąć drzwi na klucz? - spytał porucznik Krafft, stojąc tuż przy Elfriedzie. - Nie da rady - powiedziała głosem lekko ochryłym. - W tych drzwiach nie ma klucza. - Skąd wiesz? - spytał błyskawicznie. - Już to wypróbowałam? Zaśmiała się cicho i przyłgnęła ciasno do niego, jak gdyby chciała nie dopuścić do dalszych pytań. Ręce jego objęły ją mocno. Ciało jej poddało się bezwolnie. Z zamkniętymi oczami oparła się o biurko, przy którym zwykł był siadywać dowódca kompanii administracyjnej. Pewną ręką odsunęła na bok filiżanki, ażeby nie spadły na podłogę. - Nikt nie wejdzie nie wezwany - powiedziała. - A Kater jest w kasynie. Oczy porucznika Kraffta prześliznęły się z jej twarzy na leżący na stole notatnik. Napisane tam było: Ro dzw. 25833 - co prawdopodobnie znaczyło: zadzwonić do Rotundy, właściciela gospody „Kolorowy Pies” - żeby przysłał 25 butelek, i to koniecznie rocznik 1933. Ale Krafft zamknął oczy, jak gdyby nie chciał widzieć tych cyfr i liter - jak gdyby nie chciał widzieć już niczego. Tylko czuć, jak intensywnie było mu jeszcze dane żyć. Oddychali ciężko, podczas gdy na dworze grupa podchorążych śpiewała: „Nie masz na świecie piękniejszego kraju”. Śpiew ten, podkreślany raźnym tupotem butów, był dosyć głośny, i to właśnie było przyjemne, bo w koszarach, budowanych przecież nie na wieki, ściany bywają zwykle cienkie. - Cieszę się już na dzisiejszą noc - powiedziała Elfrieda na zakończenie. Karl Krafft miał już tylko tyle siły, żeby kiwnąć głową. * * *

* Kapral Krottenkopf, rzekoma ofiara gwałtu, czekał na porucznika Kraffta w korytarzu. Popatrzył na swego przełożonego z wyraźną męką; potem, zgarbiwszy się nieco, spuścił wstydliwie głowę. A przy tym kapral Krottenkopf nie był bynajmniej mimozą, świerszczem za kominem, cherlawym piecuchem - był to mężczyzna z bulwiastym nosem, ustami grubymi jak poduchy, małpimi łapami i siedzeniem jak stodoła - taki podwórkowy faun z Dolnej Saksonii. - Zadzwoniły do mnie - opowiadał ze sztucznym oburzeniem i tonem mocno pokrzywdzonego. - W środku nocy zadzwoniły do mnie i twierdziły, że centrala nie działa. Powiedziałem im, żeby mnie pocałowały gdzieś. A na to one: Ale przecież nie przez telefon. Już to samo powinno było wydać mi się podejrzane. Ja jednak myślałem tylko o swoim obowiązku, o panu generale i o centrali - co to będzie, jeżeli zechce zatelefonować, a tu centrala nie działa! Za coś takiego można zarobić przeniesienie do oddziału budowlanego albo na front. W każdym razie poszedłem tam, bo służba to służba. Ale za ledwie przestąpiłem próg piwnicy, rzuciły się na mnie. Wszystkie trzy, jak furie. Zdarły formalnie ze mnie ubranie, nawet buty, i strasznie przy tym sapęły, bo moje buty są

cholernie ciasne; kto nie zna sposobu, musi się diabelnie napracować, żeby je ściągnąć. Ale tych bab nic nie było w stanie odstraszyć! - Dobrze już, dobrze - przyhamował go Krafft, nie przykładaj bowiem wagi do bliższych szczegółów w tej sprawie. - A dlaczego dopiero teraz z tym przychodziecie? Przecież już w godzinach rannych powinniście byli mieć uczucie, że padliście ofiarą brutalnego gwałtu. - Niby tak - powiedział Krottenkopf i pozwolił sobie na poufały męski uśmiech - ale nie jestem potworem. Nie jestem również drobiazgowy, nigdy nie byłem. Potrafię znieść niezgorszy bajzel. I kiedy te baby wyczyniały ze mną swoje kawałki, a pijane były przy tym jak bele, pomyślałem sobie: no dobrze, no pięknie, nie jestem znowu taki obraźliwy. Kiedy ktoś jest na gazie, to mu to na mózg uderza, a niektórzy robią się wtedy jurni jak kozły. Było, nie było, pomyślałem sobie. Taka wojna jest ciężka i wymaga ofiar. Taki jestem wyrozumiały. Ale to jeszcze nie było najgorsze, najgorsze przyszło później. Teraz te gówniary pozwalają sobie nazywać mnie po imieniu; Waldemar, mówią do mnie! Teo to już stanowczo za wiele. Po prostu przestały się mnie słuchać; ciągle tylko chichocą, wyrażają się i wyśmiewają nawet moje rozkazy, nazywają mnie kochanie! Słyszał to kto! Kochanie, mówią do mnie, wobec wszystkich, i nie tylko te trzy z wczorajszej nocy, ale wszystkie inne też, cała centrala. A na to jako kapral, a także jako człowiek, ja sobie nie pozwolę. - No więc dobrze - powiedział porucznik Krafft - zajmę się tą sprawą, jeśli tak koniecznie przy tym obstajecie, Krottenkopf. - Nie obstaję przy niczym - zaczął go zapewniać kapral.. - Ale co ja mam robić, całe koszary się ze mnie śmieją! I do tego jeszcze nazywają mnie Waldemarem... Na imię mi mianowicie Alfred. Niech pan coś na to poradzi, panie poruczniku! - A czy nie istnieje możliwość, żeście się pomylili? - Niech pan zapyta o to te trzy furie, one wiedzą najlepiej! * * * W poszukiwaniu pocieszenia i pokrzepienia kapitan Kater udał się do kasyna. Tu było jego właściwe królestwo: kuchnia, piwnica i kasyno podlegały mu jako dowódcy kompanii administracyjnej. Tylko generał mógł tu jeszcze wydawać zarządzenia - ale po południu nie było co się go tu obawiać. - Koledzy - powiedział kapitan Kater z ożywieniem - czym mogę was uradować? Możecie mi spokojnie zawierzyć swoje życzenia. Po tak męczącej uroczystości żałobnej każdemu chyba przyda się coś na pokrzepienie. Polecam armagnaca, że tak powiem prosto ze starej beczki, ma co najmniej dwadzieścia lat. Koledzy posłuchali jego rady, bo znał się na napojach. Nauczył się tego we Francji. Kater sam nalewał panom kolegom; nie powierzyłby tego nikomu innemu. Poza tym nie było to zanadto pracochłonne, bo o tej porze znajdowało się w kasynie stosunkowo niewielu oficerów - garstka wykładowców taktyki, dwóch czy trzech dowódców oddziałów. I jeszcze gość szkoły: niejaki Wirrmann, sędzia wyższego sądu wojennego, podległy inspektorowi szkół wojennych, obecnie odkomenderowany do Wildlingen nad Menem z poleceniem zbadania bliższych okoliczności śmierci podporucznika Barkowa. Ale zainteresowania tego małego czujnego pana zdawały się obracać głównie wokół kasyna i jego piwnicy, tak że Katerowi udało się nawiązać pierwszorzędny kontakt z przedstawicielem sprawiedliwości wojennej. Dlatego kieliszek Wirrmanna został napełniony wręcz rozrzutnie. - Panowie - rzekł Kater, zajmując miejsce w gronie oficerów - to miał być pogrzeb! Nie wiadomo w końcu, co lepiej, leżeć w trumnie czy też być skazanym przez generała na męki przed trumną! - Pan wyglądałby wspaniale w charakterze trupa - powiedział kapitan Feders pogodnie. - Jestem o tym przekonany. W dodatku tak zwany wesoły trup. Wystarczy pomyśleć o pańskich zapasach, które byłyby wówczas bezpańskie. - Panie kapitanie! - odpowiedział mu Kater niechętnie - dziwię się w ogóle, że zastaję pana o tej porze w kasynie. W końcu jest pan żonaty, może żona na pana czeka. Przez chwilę się zdawało, że Feders straci panowanie nad sobą. Wszelka wesołość zgasła na jego twarzy. Oficerowie patrzyli na niego badawczo: wszyscy znali ów czuły punkt, w którym najłatwiej było Federsa zranić. Ale nikt z nich nie wpadłby na tak ryzykowny pomysł, żeby Federsa w ten sposób ugodzić i sprowokować. Postępowanie Katera było co najmniej lekkomyślnością. Feders zaczął się śmiać, zabrzmiało to jednak szorstko i niebezpiecznie. - Kater - powiedział wreszcie - jeśli pana dziwi, że zastaję mnie pan o tej porze w kasynie, to mogę powiedzieć tylko tyle: to ja się dziwię panu! Normalnie powinien pan być teraz w swoim chlewie i regulować tam ruch, mówiąc delikatnie. Ale przypuszczalnie zwałił pan to znowu na kogoś innego, prawdopodobnie na tego

Krafft. On ma przecież szerokie bary! Ale te bary, Kater, są tak szerokie, że on bez większego wysiłku może na nich wynieść również i pana. Jeśli zechce! Ten Krafft to ostry pies gończy - jeśli mnie wszystkie znaki na ziemi i na niebie nie mylą - przed nim żadne kocury nie są bezpieczne. Kapitan wstał, już nieco mniej pewny siebie. Próbował się zaśmiać z poczuciem wyższości i powiedział: - Niepoprawny z pana dowcipniś, Feders! - Ale zabrzmiało to niezbyt przekonująco. Kater wyszedł, ponoć po to, żeby zatroszczyć się o dalsze posiłki. Kiedy wszedł do kuchni kasyna i brał właśnie coś na przekzepienie, przystąpił do niego sędzia wyższego sądu wojennego Wirrmann i spytał współczująco: - Ma pan jakieś zmartwienia, drogi panie Kater? - Nie ma o czym mówić - zapewnił go tenże. - No cóż - rzekł Wirrmann uprzejmie - tym łatwiej powinno panu przyjść zwierzenie się człowiekowi żywiącemu wobec pana przyjazne uczucia. A na mnie może pan liczyć, mój drogi; jeśli idzie o sprawiedliwość, to trafił pan pod właściwy adres. * * * A zatem, moje panie - powiedział porucznik Krafft - starajcie się nie widzieć we mnie mężczyzny ani oficera. - To nam łatwo nie przyjdzie - powiedziała jedna z trzech dziewcząt, które miał przesłuchiwać. - Proszę mimo to spróbować - radził Krafft. - Przyjmijcie, że jestem czymś bezosobowym, prawem wcielonym, jeśli chcecie. Możecie panie mówić ze mną zupełnie otwarcie, bez fałszywego wstydu. - Tego i tak nie mamy - powiedziała druga z dziewcząt. Porucznik znajdował się, jeśli tak można rzec, na miejscu zbrodni - w piwnicy komendy szkoły, w centrali telefonicznej: szereg łącznic, przed nimi krzesła, nad nimi tablice rozdzielcze i nieodzowny plakat: „Wróg podsłuchuje!” W jednym kącie stół, na którym stały filiżanki, dzban i grzejnik elektryczny. Ten ostatni był oficjalnie zabroniony, i to na terenie całych koszar; zakaz wydał jednak kapitan Kater, a nie generał Modersohn - i dlatego nikt sobie z niego nic nie robił. W drugim kącie stało łóżko polowe - poniekąd corpus delicti, nędzne, powyginane, przeżarte rdzą łóżko żelazne z materacem i kocami. Przed Krafftem, który stał za łącznicami, siedziały te trzy dziewczyny: dobrze zbudowane, o miłych, naiwnych twarzach i ciekawych, nader przyjaznych oczach - mogły mieć najwyżej po dwadzieścia lat. Nie były ani szczególnie zmieszane, ani zdenerwowane - ani śladu poczucia winy. - Co wyście sobie przy tym właściwie myślały, moje panie? zaczął porucznik Krafft ostrożnie. - Nic - powiedziała jedna z dziewczyn, i brzmiało to bardzo przekonująco. - Pięknie - rzekł Krafft - przyznaję, że w tej sytuacji niekonieczny jest wyteżony wysiłek umysłowy, ale tak bez żadnego udziału mózgu też się to w końcu nie odbywa. Na przykład: Dlaczego akurat kapral Krottenkopf? - Dla nas każdy byłby dobry - powiedziała jedna z dziewczyn, i zdobyła się nawet na to, by się uśmiechnąć do Kraffta. - A ten Krottenkopf akurat nawinął się nam pod rękę. Krafft musiał usiąść. Cała sprawa wydawała mu się mocno skomplikowana, albo też zdumiewająco prosta - co czasem na jedno wychodzi. - W każdym razie - powiedział wreszcie - doszło do rękoczynów, tak czy nie? Dziewczęta spojrzały po sobie. Obgadywały na pewno między sobą dość szczegółowo, co będą mówić. Krafft nie miał nic przeciwko temu - tak bardzo się znów nie palił, żeby zrobić z tego wielką aferę. Dlatego obdarzył zdziwione dziewczęta zachęcającym uśmiechem. - Istotnie - powiedziała jedna z dziewczyn, ładniutkie dziecko, z szerokim uśmiechem małej dzidzi i poczciwym spojrzeniem, taki rodzaj spóźnionej szelmutki z czasów babuni, sprzed pierwszej wojny światowej. - Istotnie, rozebrałyśmy go, a potem chciałyśmy go wyrzucić. To miała być z naszej strony pewnego rodzaju demonstracja. On jednak uparł się, żeby zostać. - Popatrz, popatrz - powiedział Krafft zdziwiony - a więc chodziło o pewnego rodzaju demonstrację? - Tak jest! - potwierdziła dziewczyna o niewinnym wyglądem - bo tak już dalej w koszarach być nie może. Blisko tysiąc podchorążych i pięćdziesiąt dziewcząt, ale nikomu nie wolno się nami zająć. Wszędzie zakazy, zamknięte drzwi, warty i strażnicy. A przy tym chodzi nam przecież tylko o jakieś życie towarzyskie. Nie chcemy tu skwaśnieć na amen! Ale u tego generała wszyscy ludzie są tylko kukłami, z nami on się nic a nic nie liczy. To się powinno raz otwarcie powiedzieć! No to złapałyśmy sobie tego Krottenkopfa. Nie po to, żeby z nim coś mieć, chciałyśmy tylko urządzić demonstrację. Czy pan to rozumie? Porucznika Kraffta zaczęła cała ta historia bawić. Mimo to postanowił być ostrożnym. - Posłuchajcie no - rzekł - opowiem wam coś. Za czasów mojej młodości, gdy mieszkałem jeszcze na wsi, razu pewnego przespacerowało się przez stosunkowo

białą bieliznę naszych sąsiadów stado gęsi. Sąsiad wniósł skargę. Istniało kilka możliwości. Pierwsza: gęsi były złośliwe; druga: ktoś je umyślnie napuścił na tę bieliznę; albo też: po prostu zmyliły drogę! To ostatnie wyjaśnienie było najprostsze i najlepsze, i wcale nietrudno było przekonać o tym sąd. Złośliwe gęsi natomiast albo gęsi podstępnie wykorzystane - to by narobiło masę kłopotów. A gęsi rzadko kiedy wychodzą z takich opresji cało. Czy to jasne, czy też mam mówić jeszcze wyraźniej. Dziewczeta przypatrywały się Krafftowi badawczo. Potem obrzuciły się nawzajem pytającymi spojrzeniami. Wreszcie ta, która wyglądała najniewinniej, ale przypuszczalnie była najbardziej cwana z nich wszystkich, powiedziała: - Pana zdaniem powinniśmy po prostu powiedzieć: To niedopatrzenie, czy coś w tym rodzaju? - Niezupełnie - radził Krafft - ale mógł to być przecież niewinny, choć nieco ryzykowny żart, dowcipny akt zemsty na tym tyranie Krottenkopfe, akt zemsty z nieprzewidzianym zakończeniem. W ten sposób odciążyłybyście siebie, nie obciążając równocześnie nikogo. Jeśli to był żart, no to będą zagniewane miny, ale głowy wam z tego powodu nikt nie urwie. Jeśli to jednak była sprawa nieco poważniejsza, napad, rodzaj czy odmiana gwałtu, no to cześć pieśni, piękne panie. To się może skończyć więzieniem. A więzienie może być jeszcze gorsze od koszar. - Pan jest bardzo miły - powiedziała jedna z dziewcząt z wdzięcznością. Reszta skwapliwie jej przytaknęła. Zrozumiały od razu, że dostały się spod rynn na łagodny deszczyk. - Z panem to można konie kraść, co? - Możliwe - odparł porucznik Krafft. - Wolałbym jednak, żeby paniom nie przyszło do głowy porozmawiać ze mną o tym wtedy, kiedy zechce się wam znowu skrócić sobie w przyjemny sposób nudny dyżur nocny. * * * Kiedy porucznik Krafft wrócił do kancelarii kompanii administracyjnej, zastał tam niskiego cherlawego pana, podrygującego jak wiewiórka, o spiczastym nosie i ciekawskich, rozbieganych oczach drapieżnego ptaka. - Pan pozwoli: Wirrmann - przedstawił się. Sędzia wyższego sądu wojennego. Interesuje mnie sprawa Krottenkopfa. - Skąd pan wie o tym? - spytał Krafft ostrożnie. - Od pańskiego szefa, pana kapitana Katera - wyjaśnił mały człowieczek głosem łagodnym, ale z naciskiem. - Poza tym jest to temat rozmów całego kasyna, i to rozmów najordynarniejszego gatunku, co zresztą nie jest wcale dziwne. Tym szybciej i gruntowniej trzeba sprawę zlikwidować. Szef pański prosił mnie o radę, i zapewniłem go, że może liczyć na moje całkowite poparcie. Sprawa mnie interesuje - z prawnego, a także czysto ludzkiego punktu widzenia. Prosiłbym o umożliwienie mi wglądu w pańskie dochodzenie. Jak na gust Kraffta - trochę za wiele ludzkiego zainteresowania w ciągu tak krótkiego czasu. On też zapragnął nagle poczuć się po prostu człowiekiem. Do tego ten Wirrmann był mu niesympatyczny, choć przypominał wiewiórkę. Namaszczony głos tego przedstawiciela sprawiedliwości wojennej działał mu na nerwy. I dlatego Krafft oświadczył bez ogródek: - Nie uważam, żeby był pan w tej sprawie kompetentny, panie sędzio. - Mój drogi - rzekł ten, przy czym oczy mu się zwęziły - czy to należy do moich kompetencji, czy nie, tego pan nie może osądzić. Poza tym działam w porozumieniu z pańskim przełożonym. - Kapitan Kater nie zawiadomił mnie o swojej zgodzie na to ani ustnie, ani pisemnie. A dopóki to nie nastąpi, zmuszony będę decydować według własnego uznania. To znaczy: będę badał tę rzekomą sprawę na razie sam, dopóki nie otrzymam innego polecenia; w miarę możliwości od generała Modersohna. - To jest do zrobienia, mój drogi - oświadczył Wirrmann bez wahania. Jego głos brzmiał teraz jak zardzewiała kosa, przecinająca na próbę powietrze. - Czy pan obstaje przy tym? Krafft obserwował małego suchego człowieczka z pewnym niepokojem. Nawet powołanie się na generała Modersohna, ten postrach całego Wildlingen, zdawało się nie robić żadnego szczególnego wrażenia na tym rwącym się do czynu prawniku wojennym. - Więc jak? - pytał Wirrmann natarczywie. - Czy pan mi z własnej woli pokaże protokół przesłuchania, czy też muszę zmobilizować do tego generała? - Mobilizuj pan, kogo pan chcesz! - wybuchnął Krafft wściekły. - Jeśli o mnie idzie, nawet naczelnego dowódcę Wehrmachtu. - Na razie wystarczy generał - powiedział sędzia wyższego sądu wojennego łagodnie. Potem odwrócił się nagle na pięcie, jak chorągiewka na dachu pod silnym podmuchem wiatru, i wyleciał z pokoju jak z procy. * * * - Przypuszczalnie - powiedział porucznik Krafft do Elfriedy - mogę teraz spakować manatki. Mój krótki występ gościnny w szkole wojennej chyba się już skończył. - Czy ktoś nas przedtem

widział? - spytała Elfrieda zmartrwiona. - Gdyby o to chodziło - odparł Krafft - to byłoby przynajmniej jakieś uczciwe uzasadnienie. - A ja mogłabym zawsze jeszcze powiedzieć, że próbowałam cię zgwałcić. To teraz najnowsza moda. - Oczywiście - powiedział Krafft - i na dobitkę jeszcze coś takiego, co poderwałoby na równe nogi generała. - Tego nigdy nic nie poderwie - oświadczyła Elfrieda stanowczo. - Niech się dzieje co chce, on się nawet nie skrzywi. Niedawno wdepnął podczas kontroli do pokoju, w którym akurat leżała parka. I jak myślisz, co zrobił? Przeszedł przez pokój jak gdyby nigdy nic. - Nie powiedział ani słowa? - Ani mru_mru. Nie było to zresztą potrzebne. Poznał oboje od razu. - I wyrzucił ich z hukiem za drzwi? - Pożenił ich ze sobą. - Jeszcze gorzej - powiedział Krafft ponuro. - Powiadają, że są nawet bardzo szczęśliwi. - Elfrieda uśmiechnęła się i spojrzała w okno. Porucznik Krafft był już przygotowany na wszystko. Spór z przedstawicielem sądu wojennego, jeśli będzie miał pecha, skończyć się może tylko tym, że wyleci z trzaskiem - kierunek: front wschodni. W tej chwili jednak zgodziłby się na każdy kierunek, aby tylko wyrwać się z tej menażerii drapieżnych zwierząt. Niech więc generał ryczy. Porucznik Krafft musiał w milczeniu wysłuchać już tyle ryku, że przestał odczuwać przy tym cokolwiek prócz bólu w uszach. Po niespełna półgodzinie, której większą część porucznik spędził paląc papierosa w toalecie, generał, jak należało się tego spodziewać, zawezwał Kraffta. Ale dziwna rzecz, Modersohn nie przykładął wagi do tego, by porucznik zameldował się u niego osobiście - w mundurze służbowym, jak nakazywał zwyczaj. Generał chciał tylko pomówić z Krafftem przez telefon. A rozmowa ta była tak krótka, że porucznik dopiero poczuł się zbity z tropu. „Pan nie chciał udostępnić sędziemu sądu wojennego Wirrmannowi wglądu do sprawy - powiedział Modersohn bez żadnych wstępów - którą się pan obecnie zajmuje?” - Tak jest, panie generale. „Dlaczego?” - Dlatego, że moim zdaniem sprawa ta nie leży w kompetencjach pana sędziego wyższego sądu wojennego, panie generale. „W porządku”, powiedział Modersohn. I to było wszystko; przynajmniej na razie. 3 Grupa szkolna H uprawia sport Sala gimnastyczna rozbrzmiewała zgiewkami młodzieńczych głosów. Unosił się w niej mocny zapach męskiego potu. Tu kapitan Ratshelm czuł się w swoim żywiole. Kapitan Ratshelm, dowódca 6 oddziału, sprawował osobiście nadzór nad swoimi trzema grupami szkolnymi. Robił to zawsze, gdy w planie były gry sportowe. W szortach i koszulce gimnastycznej uwiajał się wśród swoich podchorążych dziarski, zagrzewający innych i przykładny, o tyle, o ile było to możliwe. Miał bowiem tendencję do tycia. I skóra jego połyskiwała różowo wśród śniadych muskularnych ciał. Specjalną troską otaczał grupę szkolną H. Bo ta, wskutek nagłej śmierci podporucznika Barkowa, była chwilowo osierocona, nie miała instruktora_opiekuna. Do czasu mianowania przez generała następcy na miejsce zmarłego spełniał tę funkcję dobrowolnie i z wyraźną gorliwością dowódca oddziału. Ratshelm był zawsze szczęśliwy, kiedy mógł się nieco intensywniej zajmować swoimi młodocianymi podchorążymi. Szczególnie lubił grać z nimi w piłkę. Skakał wśród nich, odbijał piłkę pięścią i ocierał się ramionami o ramiona któregoś ze swych młodocianych towarzyszy, aby mieć lepsze pole ostrzału. Czuł wilgotną gładkość ich torsów, emanujący z nich cierpki, delikatny zapach dziczyzny. I czuł w sobie siłę i radość, i wzmagало się w nim poczucie głębokiego koleżeństwa - zwłaszcza na widok podchorążego Hochbauera. - Tylko tak dalej! - zachęcał go. - To podanie było wspaniałe. - Bo też pan kapitan wzorowo przyjął piłkę - zapewnił go Hochbauer z błyszczącymi oczami. * * * - Ten Hochbauer aż ze skóry wyłazi na treningu - rzekł podchorąży M~osler tonem znawcy. - Trenuje włożenie dowódcy w dupę. Podchorąży M~osler znany był jako kawalarz. Było to o tyle dla niego korzystne, że wszystkie jego uwagi przyjmowano jako żart. W ten sposób oszczędzał sobie kłopotów. Podchorąży Rednitz, stojący u jego boku, powiedział zamyślony: - Hochbauer będzie się musiał pospieszyć, bo za duży ścisk. - No tak, żeby zostać oficerem, trzeba ponosić rozmaite ofiary - oświadczył M~osler, przy czym nie omieszkał uśmiechnąć się niewinnie. Stali na uboczu, na tylnej linii boiska. M~osler - mały, żyłasty facecik z bystrymi oczami, oglądającymi się najchętniej za wszystkim, co było płci żeńskiej. Rednitz - średniego wzrostu, szczupły, lecz poruszający się jak niedźwiedź, prawie zawsze zadowolony i uśmiechnięty, ale nigdy nie śmiejący się. Tego się już odczytał. - To skandal, że nie ma tu żeńskiego narybku oficerskiego - stwierdził M~osler. - Z takim

czymś z rozkoszą bym uprawiał sport! - Wystarczy - odparł Rednitz chłodno - że tu niektórzy zachowują się jak baby. A może chciałbyś zarobić sobie podporucznika w łóżku? - Zależy z kim - powiedział M~osler, szczerząc zęby. - Takiego majora rodzaju żeńskiego poniżej trzydziestki z łóżka bym nie wyrzucił. To nie byłaby wcale ta najgorsza ofiara, jaką można by jeszcze dla ojczyzny ponieść. - Baczość! - zawołał kapitan Ratshelm. - Zmiana pola! Drużyny zamieniły się polami - M~osler i Rednitz znowu czmychnęli do tyłu. Główne pole walki pozostawili bez zawiści wielkim sportowcom. Obaj, M~osler i Rednitz, mimo swoich dwudziestu jeden lat, mieli już za sobą pewne doświadczenie wojskowe. Rozwinął się już w nich jakiś szósty zmysł, którym wyczuwali, czy spoczywa na nich oko przełożonego, czy nie. Instynktownie wybierali miejsca, gdzie nie groziło niebezpieczeństwo, że nieprzyjaciel ich dostrzeże. A uwagę kapitana Ratshelma odwracali w przyjemny sposób od obowiązku nadzoru gra i gracze. Jego plecy stanowiły widok miły dla ich oka. I jeśli mimo to obaj podchorążowie robili parę kroków, czasem nawet biegali trochę za piłką, to tylko dlatego, że zmuszał ich do tego ziąb styczniowy. Nie chcieli się zanadto rozgrzać, jeśli to nie było koniecznie potrzebne, ale marznąć też nie mieli ochoty. - Hochbauer na pewno zostanie oficerem - powiedział M~osler. - Ten może i generałem zostanie - zgodził się z nim Rednitz. - Pod warunkiem oczywiście, że wojna potrwa dostatecznie długo i że znajdzie dość przełożonych, którzy będą czuli miętę do niego. * * * - Uwaga, panie kapitanie - zawołał podchorąży Hochbauer jasnym dźwięcznym głosem. - środek! - Zrobione! krzyknął kapitan Ratshelm. Przyjął piłkę, podbiegając do niej eleganckim tanecznym krokiem, jak mu się zdawało, a potem walnął nią w pole przeciwnika. Tam jakiś podchorąży odskoczył na bok, nie wiadomo z jakich przyczyn, i piłka poszła na aut. Jeszcze jeden punkt zdobyty. Drużyna kapitana zwyciężyła - jakże mogło być inaczej. Dla Ratshelma był to jeszcze jeden dowód jego wszechstronnych zdolności. - Zwycięstwo już w kieszeni! - wołał Hochbauer radośnie. - A przy tym przeciwnik bije się dzielnie, to trzeba przyznać! Dostojny kapitan Ratshelm był żołnierzem z powołania, oficerem z przekonania, a dowódcą oddziału całym ciałem i duszą. Podlegały mu trzy grupy szkolne oznaczone literami G, H, i I - każda złożona z czterdziestu podchorążych, jednego instruktora_ opiekuna i jednego wykładowcy taktyki. A Ratshelmowi dane było jednoczyć w swojej osobie wszystko, czego wymagał proces kształcenia przyszłych oficerów. Kapitan opanował wszystkie niezbędne umiejętności: planował, uczył, wychowywał - był kolegą wśród kolegów. Choć był tylko o kilka lat starszy od swoich podchorążych, czuł się w stosunku do nich jak ojciec. Ojcowska też była miłość i troska, jaką ich darzył; przynajmniej tak sobie uparcie wmawiał. - Bardzo dobrze, Hochbauer! - zawołał z uznaniem i trochę zasapany, kiedy znowu zdobył punkt. - Znakomite podanie, Hochbauer! - Pan kapitan znalazł się znowu w znakomitej pozycji wyjściowej! - odparł Hochbauer. Jego promienne spojrzenie wyrażało podziw i szacunek. Nie, dla kapitana Ratshelma, to nie było pochlebstwo, tylko dowód tego, że jest doceniany, a to mu wystarczało. Darzył co prawda swoich podchorążych ojcowską miłością, nie oczekiwał jednak w zamian niczego innego poza szacunkiem. Jego ociekające uczuciem serce - o tym był przekonany - nie zagrażało dyscyplinie nawet na sekundę. Wtem piłka uderzyła go prosto w głowę. Zachwiał się lekko, nogi się pod nim ugięły. Mimo to usiłował się uśmiechnąć, jak przystało na oficera sportowca. Ale we łbie potężnie mu huczało. - Przepraszam! - powiedział podchorąży Weber z drugiego pola. - Ja wcale tak mocno nie chciałem. - To było nie fair! - zawołał podchorąży Hochbauer, niezwłocznie stając po stronie swego kapitana. Podchorąży Weber, Egon, wielki i masywny jak szafa gotycka, przysunął się, sapiąc, bliżej. Czuł się dotknięty - on też miał swoją ambicję sportową. - A skąd ty możesz wiedzieć, co jest nie fair - powiedział do Hochbauera - skoro nie masz w ogóle pojęcia, co to znaczy fair. Hochbauer zrobił ruch, jakby się chciał na niego rzucić. Potem jednak poszukał wzrokiem swego kapitana, który ciągle jeszcze trzymał się za głowę. Lecz to mu wcale nie przeszkodziło spełnić tego, co uważał za swój obowiązek sportowy. - Weber - rzekł surowo kapitan - nie życzę sobie kłótni podczas gry. Jesteście zdyskwalifikowani! - Halo, koledzy - powiedział podchorąży Weber, podchodząc ciężkim krokiem do M~oslera i Rednity - słyszeliście? Zostałem zdyskwalifikowany. NieŻle, co? Przynajmniej okazja, żeby sobie

trochę odsapnąć. Dam sobie opatentować ten wynalazek! - Tak - powiedział M~osler - jeżeli twój przyjaciel Hochbauer ma do wyboru naszego kapitana i ciebie, no to wiadomo, na kogo się zdecyduje. - Nic nie szkodzi! - powiedział Weber wielkodusznie. - Najważniejsze, że wyróżnałem Ratshelma w łeb, zupełnie po sportowemu, koledzy! A rezultat? Nareszcie mam spokój. - W każdym razie - zastrzegł się ostrożnie Rednitz - Hochbauer twierdzi, że jesteś nie fair. - Zgadza się - przyznał się Weber beztrąsko - w takich sytuacjach zawsze jestem nie fair. Tylko że przed tymi kołtunami nie będę się do tego otwarcie przyznawał. Taki był podchorąży Weber, Egon. Miał usposobienie wielkiego psa pasterskiego, był niewzruszony i rozbijająco poczciwy. Niełatwo było wymacać u niego słabe miejsce. A w sprawach służbowych jego gruboskórność wydawała się być wprost doskonała. Uchodził za dobrego żołnierza. - Może zagramy piłką lekarską? - zaproponował. M~osler i Rednitz przyjęły propozycję. Piłka lekarska była najlepszą formą markierowania - rozgrzewała i nie męczyła zanadto, podobna była do grzecznej gry dziecięcej. Trzej podchorążowie oddalili się od drużyn piłki ręcznej. Nikt nie zwracał na nich uwagi. Ratshelm był całkowicie pochłonięty grą. Dawał przykład i był pewny, że wszyscy będą go naśladować. Kompleksu niższości na razie jeszcze nie miał. - Znacie już najnowsze wieści? - zagadnął podchorąży Weber. - Co tu jeszcze może być nowego? - zapytał Rednitz ze śmiechem. - Poza tym, że jesteś nie fair, zdaniem twego przyjaciela Hochbauera. - E tam - machnął dobrodusznie ręką Weber. - Wiem przecież, że nie znosisz tego Hochbauera, nie wiem tylko, dlaczego. - Z uzasadnionych przyczyn! - rzucił mu w odpowiedzi Rednitz. - I ty dobrze znasz te przyczyny. - Człowieku - powiedział Weber niewzruszony - jestem tu, żeby skończyć kurs, a nie po to, żeby udawać rycerza bez skazy. Jeśli o mnie idzie, każdy może tu zdobyć szczęście lub wykitować, grunt, żebym został oficerem. Wszystko inne mi wisi! Rednitz tylko się uśmiechnął. Zdjął z półki piłkę medyczną i rzucił ją M~oslerowi. Zaczęło się markierowanie. - A więc - spytał M~osler - co nowego? - Grubsza sprawa - powiedział tajemniczo Weber. A pod wpływem badawczego spojrzenia Rednitza dodał: - Tak jak mi się to widzi. Jedno w każdym razie nie ulega wątpliwości: baby oszalały! - To nic nowego - stwierdził M~osler fachowo. - Ale o jakich babach ty mówisz? - No o tych tu w koszarach! - odparł Weber. - Mówi się, że latają nago po okolicy. - Co najwyżej w łażni - osadził go Rednitz. - Bo gdzieżby indziej? - Akurat! - powiedział Weber. - W piwnicy komendy, zdaje się w centrali telefonicznej. Hurtem. Co najmniej po trzy! Jeśli nie po pięć. I nikt nie jest przed nimi bezpieczny. Bliższe informacje mam jeszcze otrzymać później. Tegoście się nie spodziewali, wy buce, co? - Koledzy! - powiedział podchorąży M~osler niemalże uroczyście. - To wymaga od nas czynów. Proponuję wspólny atak, i to już dziś w nocy. * * * - Grajcie dalej beze mnie, koledzy! - rzucił kapitan Ratshelm swoim podchorążym. - Damy sobie radę - pospieszył go natychmiast zapewnić podchorąży Hochbauer. - Dzięki panu kapitanowi nikt nam już nie zdoła wydrzeć zwycięstwa. - Kilku podchorążych przytaknęło mu skwapliwie. Kapitan Ratshelm zdobył już dość punktów. Inni koledzy też mieli prawo do sukcesów; nie był znów taki, żeby im tego nie użyzyć. Poza tym trochę się już zmęczył. Miał przyspieszony oddech i czuł lekkie klucie w prawym biodrze - prawdopodobnie skutki owych najcięższych czasów wojennych na przedniej linii. Udał się na tylny plan, wystarczająco daleko, aby przeszkadzać podchorążym M~oslerowi, Rednitzowi i Weberowi, ale na tyle blisko, aby móc obserwować podchorążego Hochbauera. Zdaniem Ratshelma Hochbauer był właśnie z tego kruszcu, z którego wykuwa się oficerów. Zapowiadał się już jako indywidualność o trzeźwym, precyzyjnie funkcjonującym umyśle, indywidualność pełna energii i wytrwałości, chętna, umiejąca dostosować się do każdej sytuacji i dbająca o swoją godność. Krótko mówiąc: ten Hochbauer wyposażony był we wszystkie cechy, jakie powinien posiadać urodzony dowódca. Pewna młodzieńcza zatwardziałość stępi się z czasem, ów nieco sztywny idealizm nabierze z biegiem czasu odpowiedniej giętkości. Ratshelm spojrzał przelotnie na dwie pozostałe grupy, G i I. Przedstawiały zwykły obraz: porucznik Webermann krążył wokół swej gromadki niezmordowanie jak owczarek; podporucznik Dietrich natomiast zajął pozycję, z której mógł ogarnąć wzrokiem całą czterdziestkę swoich podchorążych. Obaj posługiwali się co prawda różnymi metodami, ale osiągnęli podobne rezultaty: utrzymywali swoich podchorążych w ruchu, nie

uczestnicząc jednak w przykładowy sposób w grze. Dlatego też mieli na sobie grube dresy, podczas gdy Ratshelm w stroju gimnastycznym był sportowcem i partnerem swoich wychowanków. Rozmyślenia te zwróciły jego uwagę na panujący w sali gimnastycznej chłód, który był dość dotkliwy. Również i jemu zrobiło się już zimno; postanowił więc zarządzić bieg dokoła sali. Przywołał skinieniem ręki starszego grupy szkolnej i rzekł: - Kramer, za jakieś pięć minut przerwiemy ćwiczenia indywidualne i zakończymy je wspólnym biegiem dokoła sali. * * * - Słyszeliście? - powiedział podchorąży M-osler do swoich przyjaciół Rednitsa i Webera. - Za pięć minut zaczyna się bieg idiotów. Ale bez nas, jasne? To było jasne. Bieg wokół hali to nie było zajęcie dla starych wiarusów. Ten monotony maraton, w dodatku jeszcze męczący, należał do żelaznego programu kapitana. Był to popisowy numer oficerskich koni cyrkowych: kapitan Ratshelm stał w środku manège, a oni cwałowali w kółko; co najmniej piętnaście minut. Chcąc tego uniknąć, podchorążowie M-osler, Rednitz i Weber dołączyli do podchorążego Kramera, pełniącego czasowo funkcję starszego grupy szkolnej. M-osler powiedział, jakby to było samo przez się zrozumiałe: - Kramer, zajmijmy się sprzętem sportowym, dobra? - Znowu? - powiedział Kramer niezadowolony. - I aż trzech naraz? Ciągłe byście się tylko dekowali! Na dłuższą metę ja się na to nie piszę. To już rzuca się w oczy! - No, jeśli tylko to rzuca się w oczy - powiedział przyjaźnie Rednitz - to masz jeszcze szczęście. - Znowu mi grozicie! - Kramer był oburzony; był starszym sierżantem i jako taki miał prawo żądać, żeby mu okazywano szacunek. Chciał, żeby go uprzejmie pytano o pozwolenie, wówczas nie omieszkałby wspaniałomyślnie powiedzieć „tak”. Ale zachowanie tych trzech podchorążych nabierało powoli cech regularnego szantażu. - Nie udawajcie chojraków - mruknął. - I zostawcie wreszcie te niebezpieczne spekulacje. Tak i tak nie możecie niczego udowodnić, śmierć podporucznika Barkowa była zupełnie normalna. - To zależy od punktu widzenia - powiedział Weber. - śmierć jest zawsze najnormalniejszą sprawą w świecie, tak czy inaczej! - Pogadamy o tym przy okazji - oświadczył M-osler, krzywiąc gębę w uśmiechu. - Dzisiaj chcemy ci tylko zaoszczędzić paru przykrości; a my jesteśmy jedyni, którzy to potrafią. Bo jeśli my nie zajmijmy się sprzętem sportowym, to gwarantuję, że zawieruszy się gdzieś jedna piłka medyczna. Kramer był na tyle doświadczony, że od razu zrozumiał aluzję. Tej trójce widocznie udało się tak schować jedną z piłek lekarskich, że tylko oni potrafiliby ją znaleźć. Jeśli chciał sobie zaoszczędzić niepotrzebnych i czasochłonnych kłopotów, nie pozostało mu nic innego, jak przystać na propozycję tych nygusów. Półgłosem powiedział im, gdzie mają go pocałować, a potem już głośno rozkazał: - M-osler, Weber i Rednitz zaopiekują się sprzętem sportowym. Tym samym dla tej trójki gry sportowe się skończyły, zanim je w ogóle rozpoczęły. Zbieranie i zwrot sprzętu sportowego zajęłyby niedoświadczonemu rekrutowi dziesięć minut; ale że oni byli doświadczonymi wojakami, potrzebowali na to dobre pół godziny. A do tego czasu ów cyrk powinien się skończyć. - Przyjaciele! - powiedział podchorąży Weber. - Musimy dokładnie omówić plan bitwy, mamy teraz dość czasu na to. A jedno wam powiem: Ta historia z babami nie daje mi spokoju. Te biedne, małe dziewczynki biegają po świecie opuszczone, nieszczęśliwe i niedopieczzone, to po prostu jest sprzeczne z moim męskim honorem. * * * - Słuchajcie, koleczy - powiedział kapitan Ratshelm, spojrzawszy na zegarek. - Czas pozwala nam jeszcze na krótkie ćwiczenie umysłu. Zawsze w myśl dewizy: w zdrowym ciele zdrowy duch. Jasne? Nie było chyba podchorążaka, dla którego to nie byłoby jasne. Przed wielkim końcowym numerem, przed ostatnim „wspólnym” aktem hartowania ciała tego dnia kapitan Ratshelm zamierzał wtrącić jeszcze swoje teoretyczne trzy grosze. Podoficerom wystarczyło może wiedzieć, jak się coś robi; oficer musiał się jednak orientować, dlaczego się coś robi. W tym celu kapitan kazał podchorążym ustawić się w półkole. I zapytał: - Dlaczego właściwie uprawiamy sport? - Ja bym też chciał to wiedzieć! - szepnął jakiś podchorąży gdzieś w tyle. Kapitan Ratshelm nie słyszał tego szeptu, boby mu nawet do głowy nie przyszło, że ktoś śmie szeptać w jego obecności. Przyglądał się swoim podchorążym i widział w ich twarzach radosną gotowość do odpowiedzi. Jedno z haseł szkoły wojennej, rzucone przez komendanta kursu, brzmiało bowiem: nie ma takich pytań, na które oficer nie potrafi odpowiedzieć. Ratshelm spojrzawszy na Hochbauera i serce żywiej mu zabiło na ów wspaniały widok,

jaki przedstawiał ten gorliwy podchorąży. W jego pięknych błękitnych oczach, patrzących na uwielbianego dowódcę oddziału jak w tęczę, była ufność i uległość - tak chyba musiał wyglądać Zygfryd, kiedy wzrok jego spoczywał na Krymhildzie. Hochbauer wysunął do przodu swą mocną, już bardzo męską szczękę - gest jednoznaczny z podniesieniem ręki przez ucznia: palił się wprost do tego, żeby go zapytano. - A więc, Hochbauer? - spytał kapitan. Dreszcz przeszył ciało podchorążego, wyprężył się w przepisowej postawie, spojrzawszy swemu przełożonemu śmiało i otwarcie w oczy i wyrecytował: - Sport hartuje ciało. W zdrowym ciele zaś żyje zdrowy duch. Sport uczy dzielności, a dzielność jest jedną z najpiękniejszych cech charakteru Niemców. Brzmiało to tak, jakby było wysztancowane przez maszynę - zwięźle, precyzyjnie, ostro. Jednym słowem: wzorowo. Ratshelm był zadowolony. Skinął głową i powiedział: - Dobrze, Hochbauer. Hochbauer zdawał się rosnąć ze szczęścia. Mimo to twarz jego pozostała zdecydowanie opanowana, postawa przepisowa, na wargach pojawił się tylko skąpy uśmiech, ale oczy patrzyły ciepło. Obnażył ledwo widocznie zęby, te swoje wspaniałe zęby, które nadawałyby się świetnie na reklamę wody do ust: Zdrowe zęby, zdrowy duch - oficerowie wołają blendol. Ratshelm w dalszym ciągu oddawał się rozważaniom teoretycznym. Następne jego pytanie brzmiało: - Czy oficer jest w tym zainteresowany, aby zajmować się sportem? - Tylko o tyle, o ile uprawiają go podwładni - szepnął ów podchorąży w tyle. Ale jakiś podchorąży na przedzie wyrecytował oczekiwaną odpowiedź, która winna brzmieć: - Oficer zainteresowany jest wszystkim, co służy podniesieniu sprawności bojowej, wzmacnia dyscyplinę i zachowuje lub polepsza ogólny stan zdrowotny. Sport jest znakomitą drogą do podnoszenia dyscypliny. Oficer popiera sport i sam go uprawia, ponieważ powinien być wzorem w każdej sytuacji życiowej. To, zdaniem Ratshelma, wyczerpywało już program teoretyczny. Odpowiedzi były na poziomie owych pięknych wyników sprzed paru minut. Mógł być zadowolony z tej grupy, pozostało tylko sobie życzyć i mieć nadzieję, że po śmierci podporucznika Barkowa dostanie się ona w dobre ręce. Tak wspaniałym materiałem ludzki zasługiwał na to, by obrabiano go w najlepszy z możliwych sposobów. Kapitan Ratshelm zarządził bieg okrężny, na który przewidywał dwadzieścia minut. Aby zabezpieczyć odpowiednio żywe tempo, postawił na czele Hochbauera i kazał mu prowadzić, a równocześnie, aby nie dopuścić do zbyt wielkiego rozciągnięcia się grupy wzdłuż, postawił na końcu starszego grupy szkolnej Kramera. Tak rozpoczął się bieg. Ratshelm, kiedy spojrzenie jego wędrowało od stóp podchorążych do ich głów, stwierdzał jakoś brak prawdziwej radości na ich twarzach. Na próżno szukał owej pięknej, pełnej radosnego oczekiwania męskiej wesołości, jaka powinna cechować przyszłych oficerów, zwłaszcza zaś tych, którzy mieli szczęście wyrastać na stu procentowych mężczyzn pod jego kierunkiem. Ale może nagła śmierć podporucznika Barkowa była tego przyczyną, może podchorążowie pogrążeni byli ciągle jeszcze w żałobie. Możliwe było również, że to ten nieukończony ceremoniał pogrzebowy dziś po południu podział na nich tak przygnębiająco. A poza tym istniało jeszcze przecież to nieprzyjemne śledztwo, prowadzone przez sędziego wyższego sądu wojennego w sprawie: „Nieszczęśliwy wypadek podporucznika Barkowa” - może zresztą nieuniknione, ale i ono mogło posiadać zamieszanie. Rozmyślenia te głęboko wzburzyły Ratshelma. Młodzi ludzie, powiedział sobie w duchu, w dodatku tacy, których przeznaczeniem jest zostać oficerami, powinni zawczasu wiedzieć, czym może być koleżeńska solidarność w kołach, do których się pieli. Tak więc, w spontanicznym natchnieniu, zebrał wokół siebie grupę H. Podchorążowie nader skwapliwie usłuchali wezwania swego dowódcy. Byli zadowoleni z przerwy w tym męczącym biegu długodystansowym. A poza tym większość z nich była ciekawa; przekonali się bowiem bardzo dawno, że po kapitanie Ratshelmie można się spodziewać rzeczy najbardziej nieoczekiwanych. Człowiek ten miał taki sposób przemawiania, jak gdyby żywcem cytował z podręczników wojskowych, i to miało swoje wesołe strony. - Słuchajcie - powiedział Ratshelm z powagą, właśnie jak oficer, który szykuje się do gruntownego pouczenia swoich żołnierzy. - Pochowaliśmy dziś naszego podporucznika Barkowa. Był to zany człowiek. Cóż, wszyscy musimy kiedyś umrzeć. I dobry żołnierz, naturalnie również oficer, powinien być zawsze na to przygotowany. Do tego momentu wszystko jest w porządku. Ale my żołnierze

musimy nie tylko walczyć i umierać, lecz prowadzić także wojnę papierkową. To też ma swój sens, aczkolwiek nie czas teraz na omawianie tego szczegółowo. Jest przy tym nieuniknione, że czasem trzeba przeprowadzić śledztwo, kiedy ktoś umrze. Ale takie śledztwo jest sprawą czysto formalną. Zrozumiano? Nic się za tym nie kryje. Po prostu istnieją rzeczy, które w kołach oficerskich nie istnieją. Kapujecie? A to znaczy, dla tych durniów, którzy nie kapują: podporucznik Barkow umarł śmiercią normalną, śmiercią żołnierską, że tak powiem. Był to nieszczęśliwy wypadek, to nie ulega najmniejszej wątpliwości. Kto jest innego zdania, ten nie zrozumiał jeszcze, co to znaczy być oficerem. I ten będzie miał ze mną do czynienia! W Prrrawo zwrrot! Biegiem marsz! Interludium I

Íyciorys Porucznika Karla Kraffta czyli: Kłopoty człowieka uczciwego „Nazywam się Karl Krafft. Urodziłem się 8 listopada 1916 roku w Policach pod Szczecinem na Pomorzu jako syn inspektora pocztowego Josepha Kraffta i jego ślubnej żony Margarety, z domu Panzer. Dzieciństwo spędziłem w swoim mieście rodzinnym.” Niebo jest ciemne; prawie zawsze jest ciemno - i często pada deszcz. Moje oczy są szare, a lustro, w którym je widzę, nie błyszczy. Ziemistoszare są domy na ulicy, i szara jak popiół jest twarz mego ojca. Kiedy obejmuję matkę, ręce moje prześlizgują się nad jej czołem; Jej włosy są twarde i suche, szare jak stare srebro, prawie tak szare, jak ołów. Kiedy pada deszcz, płyną po ulicach mętnoszare, mlecznoszare strugi wody. Opłukują bose stopy aż do kostek. Nasze ręce babrzą się w piasku, w ziemi ogrodowej i błocie ulicznym, mieszą to wszystko, klepią, aż robi się z tego ciastowata masa. Tak powstają wały. A woda się spiętrza, uspokaja, rozszerza, zalewa chodnik, zagraża piwnicom. Ludzie wymyślają nam, a my się śmiejemy; potem rozdeptujemy tamy i uciekamy - aż nie widać już i nie słychać pomstujących ludzi. Znowu płynie woda. Tym razem jest to rzeka na skraju miasta, zwana Odrą. Jej fale, ssąc i drażąc, prą naprzód pośród piasku i ziemi, porywają je z sobą - a my gapimy się na tę kipieli. Składamy duże banknoty z wieloma zerami na gołych kolanach i zamieniamy je w papierowe okręty. A one pływają; tańczą, kołysząc się na wszystkie strony, kręcą się jak pijane, stają w poprzek - ale pływają. Papier, który jest pieniądzem, świetnie się do tego nadaje. „Pieniądze nadają się już tylko do podcierania tyłka!” Mówi to człowiek, który jest moim wujkiem. „Nie - mówić ojciec - tak nie jest!” - „Wszystko, co wydrukowane i zapisane, krótko mówiąc: wszystko, co jest papierem - mówi wujek - nadaje się tylko do podcierania tyłka.” - „Nie wolno ci tak mówić! - woła ojciec oburzony. - W każdym razie nie w obecności dzieci.” Ojciec nigdy dużo nie mówi. Matka nie mówi prawie wcale. W naszym małym domku jest zawsze bardzo cicho. Tylko kiedy mowa jest o czymś, co ojciec nazywa „wyższymi sprawami”, potrafi się zapalać - o ojczyźnie na przykład albo o poczcie. „To, co wielu ludzi kocha i szanuje - mówi ojciec - na pewno godne jest miłości i szacunku. Zapamiętaj to sobie, synu mój.” A potem ojciec staje na baczność, w naszym małym ogródku, bo obok przechodzi kierownik poczty pan Gieblemeier. „Bardzo ładnie, panie Krafft! - woła pan Gieblemeier do mego ojca. - Naprawdę bardzo ładnie, pańskie kwiaty stoją wyprostowane jak żołnierze. Jest na co popatrzeć. Tylko tak dalej, Krafft!” „Otynkujemy nasz domek - mówi ojciec po długim namyśle. - żeby było na co popatrzeć!” Następnie ojciec kupuje farbę wapienną, glinę do wiązania i dwa pędzle do malowania - ten mniejszy jest dla mnie. A potem zaczynamy malować. Na błękitno - błękitno jak niebo. A potem znowu przechodzi koło nas pan kierownik poczty, ten Gieblemeier, i mówi: „Co pan robi, Krafft? Co to ma znaczyć?” - „Upiększam, panie kierowniku”, mówi ojciec i staje na baczność. „Nie może pan przecież czegoś takiego robić - mówi Gieblemeier stanowczo - to zanadto rzuca się w oczy, po prostu jest za bardzo wyzywające, człowieku. Gdyby pan przynajmniej wziął żółty kolor, kolor naszej poczty, to bym jeszcze ewentualnie rozumiał, ale błękit! To po prostu krzyczy! W każdym razie mogę tylko jedno powiedzieć: nie jest to postępowanie właściwe jak na mojego urzędnika.” „Tak jest, panie kierowniku”, powiada ojciec. A kiedy Gieblemeier już sobie poszedł, ojciec mówi do mnie: „Był oficerem rezerwy, rozumiesz?” - „Nie rozumiem - powiadam - bo co oficer rezerwy ma wspólnego z tynkowaniem domu?” - „Później - mówi ojciec - zrozumiesz i to.” Nasz dom pozostaje szary. „Od 1922 roku chodziłem do ośmioklasowej szkoły ludowej w moim mieście rodzinnym i ze średnimi wynikami przechodziłem z klasy do klasy.” Moje książki są zniszczone i podarte. Pełno w

nich plam od moich rąk, pocących się i niezupełnie czystych. Są pomazane ołówkami; ołówki podkreślały, robiły znaki, dopisywały słowa, malowały również figurki mężczyzn - a raz nawet kobietę, taką, jaką widziałem na ścianie ubikacji na dworcu: z rozkraczonymi nogami i piersiami wielkimi jak góry. Zawsze kiedy oglądałem ten rysunek, wstyd mi - to nie jest dobry rysunek. Rysunek ów widzi jeden z naszych nauczycieli, który nazywa się Grabowski, a którego nazywamy zawsze „Kijem”, bo najwyraźniej nie może się rozstać ze swoją trzcinką. „Popatrz, popatrz, co za prosiak! - mówi Kij radośnie i wywija mi trzcinką przed nosem. - Mała zepsuta świnka, co?” - „Odrysowałem to - mówię. - To jest namalowane na ścianie ubikacji na dworcu.” - „Popatrz, popatrz - mówi Kij - Oglądasz więc nieprzyzwoite rysunki w ubikacjach?” - „Oczywiście - mówię - to przecież całkiem naturalne.” - „Chłopczku - mówi Kij - ja cię teraz nauczę, co jest naturalne. Kładź się tam na ławce. Nadstaw tyłek. O tak, dobrze.” A potem bije mnie swoją trzcina tak długo, aż dostaje zadyszki. „Tak - powiada - to będzie dla ciebie nauka, smarkaczu!” A ja myślę sobie: Tak to będzie dla mnie nauka - więcej już takiego rysunku u mnie nie znajdziesz. „Bądź zawsze posłuszny - mówi ojciec - posłuszny wobec Boga i wobec władz. Wówczas będziesz miał spokojne sumienie i zapewnioną przyszłość.” Ale nowe władze pozbawiają go chleba, bo był posłuszny starym władzom. „Musisz się nauczyć kochać - mówi matka. - Przyrodę, zwierzęta, a także ludzi. Wówczas będziesz zawsze wesół i będziesz mógł patrzeć w przyszłość z ufnością.” Ale kiedy na ojca spada to nieszczęście, matka ciągle płacze. A jej sposób kochania niekiedy mnie smuci. Odtąd już nigdy nie jest wesoła ani dobrej myśli. Nawet wtedy nie, kiedy ojciec ma okazję być posłusznym również nowym władzom. On w każdym razie jest bardzo dumny z tego. Twarze nauczycieli są podobne do siebie, bo ich usta wykonują te same ruchy; słowa, jakie formują, brzmią gładko i okrągło i wszystkie już kiedyś były gdzieś zapisane. Ręce ich również są podobne do siebie, mają przeważnie skrzywione palce, trzymają w nich kawałek kredy, obsadkę, linijkę albo kij. Tylko jeden nauczyciel jest inny. Nazywa się Schenkenfeind. Zna na pamięć wiele wierszy, a ja uczę się wszystkich, które on cytuje. I jeszcze paru innych. To mi nie przychodzi zbyt trudno, a Schenkenfeind nie skąpi mi uznania. Znam na pamięć nawet wiersz o bitwie pod Leuthen - ma pięćdziesiąt dwie zwrotki. I Schenkenfeind mówi: „Wybitne dzieło!” A ja mu wierzę, bo jest tak głęboko o tym przekonany. Sam zresztą ten poemat napisał. Nauczycielka, która nazywa się Scharf, przysiadła się do mnie na ławkę. Jest miękka i ciepła - jej ciało wydaje się być z gumy, a mnie ogarnia przemożna chęć, żeby ją dotknąć i przekonać się, czy naprawdę jest z gumy. Ale nie robię tego - siedzi bowiem tuż przy mnie i czuję zapach jej potu. Odsuwam się od niej, mdli mnie. „Duszno - mówię - coś śmierdzi.” Wstaje gwałtownie i od tego czasu już więcej na mnie nie patrzy. Bardzo dobrze - nie lubię jej. W wiele dni później widzę ją wieczorem w parku. Chciałem łapać robaczki świętojańskie. Ale na ławce widzę w ciemnościach pannę Scharf. Leży tam z nauczycielem, z Schenkenfeindem, który przecież pisze tak wielkie, długie i wzniosłe poematy. To, co mówi teraz, brzmi całkiem inaczej. Mówi rzeczy, jakie zwykle mówi tylko woźnica Meerkatz do swojej klaczy. W każdym razie odchodzi mi ochota uczenia się od niego. „Człowiek musi się uczyć, jeśli chce się przebić przez życie”, mówi Schenkenfeind. „Ja się nie chcę uczyć”, powiadam. „Wolisz szpiegować - mówi Schenkenfeind - skradasz się przez park i czatujesz na pary miłosne, już ja cię znam!” - „Ja pana też znam”, powiadam. „Jesteś na wskroś zepsutym nicponiem - powiada Schenkenfeind - masz robaczywe i brudne myśli, ale ja już to z ciebie wypędzę. Za karę przepisziesz dziesięć razy wiersz „Bądź zawsze wierny i uczciwy”. A poza tym przeprosisz natychmiast pannę Scharf, twoją nauczycielkę.” Ale ja jej nie przeprosiłem. „Po ukończeniu szkoły podstawowej chodziłem od 1930 roku do szkoły handlowej w Szczecinie. Później pracowałem w rachubie majątku Varsen pod Policami, gdzie zajmowałem się przede wszystkim sporządzaniem list płacy i wydawaniem ordynarii.” Staruszka mieszkająca wysoko nad nami w izdebce na poddaszu mija mnie na klatce schodowej, schodzi w dół, potem przystaje. Stoi. I nagle upada, jakby nogi złamały się jej jak zapalki. Leży niczym tłumoczek łachmanów i nie rusza się. Powoli podchodzę do niej, nachylam się, klękam na jedno kolano i oglądam ją. Oczy jej są martwe i żółte; wąskie, suche, popękane usta, okolone siecią zmarszczek, te skurczone usta są otwarte i nitka śliny

ciągnie się aż na brudną podłogę. Nie oddycha już. Kładę rękę na jej zwieńczonej piersi, tam, gdzie człowiek ma serce. Nie bije już. Kierownik Giebelmeier obsztorcowuje mego ojca, przy ludziach, w hallu poczty, przez jakiś ekspres, który nie został doręczony na czas. Stoję, zupełnie przypadkowo, za filarem. A kierownik Giebelmeier ryczy, wymachuje dziko rękami i robi się czerwony jak burak. Ojciec zaś nie mówi ani słowa, stoi tylko: mały, skurczony, drżący. Ale na baczność. Patrzy nieco z ukosa w górę, na Giebelmeiera, który stoi przed nim wyprostowany i dumny. I ryczy. Przez jakiś tam ekspres. A ojciec milczy pokornie. Wieczorem ojciec siedzi w domu milczący jak zawsze. łąda piwa. Wypija je w milczeniu. łąda jeszcze jednego piwa. I jeszcze jednego. „Karl - powiada ojciec do mnie - prawdziwy mężczyzna musi być dumny, musi mieć swój honor. Honor to ważna rzecz, decydująca. Trzeba go zawsze bronić, rozumiesz! Nigdy nie dać się zastraszyć, kiedy się ma rację. Tyle przynajmniej człowiek jest winien swemu męskiemu honorowi.” - „E tam - powiadam - czasem trzeba milczeć i schować obrazę do kieszeni, choćby dla świętego spokoju.” - „Nigdy - mówi ojciec wzburzony - nigdy, słyszysz! Bierz przykład ze mnie, synu mój. Miałem dzisiaj na poczcie starcie z kierownikiem z tym Giebelmeierem. Ten ci zaczął z wysoka! Ale nie wyszło mu to na dobre. Zjechałem go, zjechałem jak się patrzy.” - „Dobrze już, ojczu”, mówię i wychodzę. Wstyd mi za niego. Trzymam w dłoni rękę mego przyjaciela Heinza. Ręka ta jest zimna, lodowatozimna. Podnoszę jego głowę ku sobie, przechylam ją nieco na bok i patrzę na roztrzaskaną czaszkę, na wodnistą krew i wylewający się mózg, żółty i szary. Delikatnie kładę z powrotem głowę mego przyjaciela na ziemi; ręce moje lepią się od kleikowatej krwi. A potem oglądam broń leżącą na ziemi - karabin wzór 98, i pocisk, miał odpilowany szpic. Przyjaciel mój nie chciał już dłużej żyć. Ile to różnych rzeczy musi się stać, myślę sobie, żeby człowiek nie chciał już dłużej żyć? I ta myśl nie daje mi spokoju. Dziewczyna przyciska się do mnie; czuję ją poprzez gruby materiał mego ubrania. Nie widzę nic poza blaskiem jej oczu, ale czuję jej oddech, jej wilgotne usta, i ręce moje ślizgają się po jej plecach i uderzają o deski płotu, do którego ją przycisnąłem. Zalewa mnie fala gorącej krwi, i nie wiem już, co robię. Potem nachodzi mnie wielkie znużenie, i słyszę głos, który pyta: „Jak się właściwie nazywasz?”. „Było dwieście cetnarów kartofli”, mówię do rendanta. Ten nie patrzy na mnie i mówi jakby nigdy nic: „Było sto cetnarów. Kapujesz pan?” - „Nie kapuję - mówię. - Dostarczono dwieście cetnarów.” - „Ale zaksięguje się tylko sto - mówi rendant. - Zaksięguje się to, co ja każę. Jasne? Słyszał pan kiedy o ciężkiej sytuacji w rolnictwie, Krafft? Pomyślał pan choć z raz o tym, że trzymamy się już ledwo_ledwo? I chce pan państwu, akurat temu państwu! wpakować w paszczę ciężko zapracowane pieniądze? To czyste samobójstwo. A więc - sto cetnarów! Niech pan pisze.” - „Niech sobie pan sam pisze - mówię i podsuwam mu dokumenty. - A mnie niech pan będzie łaskaw nie zawracać głowy jakimś tam gadaniem o ciężkiej sytuacji!” - „Krafft - mówi na to rendant - obawiam się, że się pan nie nadaje do tego zawodu. Nie potrafi się pan podporządkowywać. Nie myśli pan solidarnie.” - „Nie będę prowadził fałszywej księgowości”, powiadam. „Panie - powiada rendant - czy pan mi insynuuje, że dopuszczam się defraudacji? Niech pan spojrzy - co tu napisane? Co ja tu zapisałem? Dwieście! no widzi pan, chciałem pana tylko wypróbować. I nie mogę oczywiście tolerować, żeby mnie podejrzewano i oskarżano o takie rzeczy. Z panem nie można współpracować. Wyciągnę z tego konsekwencje!” „Twój syn Karl - mówi wujek do ojca, kiedy siedzimy wieczorem razem - widocznie jeszcze nie zrozumiał ducha czasu. Chodzi za mało do kościoła i nic nie robi w tym kierunku, żeby założyć rodzinę. Dlatego przychodzą mu niepotrzebne myśli do głowy. Najlepiej, żeby go wzięli natychmiast do wojska. Tam mu dadzą szkołę.” „W 1937 roku rozpocząłem służbę wojskową. Po dwóch latach otrzymałem awans do stopnia kaprała i zostałem zwolniony do rezerwy, ale już wkrótce potem, latem 1939, powołano mnie ponownie. Od wybuchu wojny pozostawałem w składzie wojsk walczących, po zakończeniu kampanii polskiej zostałem awansowany do stopnia plutonowego, a po zakończeniu kampanii francuskiej do stopnia podporucznika. Podczas kampanii rosyjskiej dowodziłem kompanią 374 pp, otrzymałem awans do stopnia porucznika, a na początku stycznia 1944 odkomenderowany zostałem do szkoły wojennej. Posiadam następujące odznaczenia: Krzyż żelazny I klasy, Krzyż

ielazny II klasy, Srebrne okucie za walkę wręcz, Oksydowaną odznakę za rany.” Kapral Reinshagen, instruktor szkolący nas poborowych, ma rzeczywiście kwalifikacje - jest urodzonym żołnierzem. Energiczny, władczy i oddany wojsku ciałem i duszą, ale prochu nie wynalazł. Tak na przykład zna dokładnie regulamin musztry, wiele innych jednak nie. Tu za to ja się dobrze orientuję, przede wszystkim jeśli idzie o różne przepisy regulaminowe, prawo do zażaleń i traktowanie podwładnych. Cytuję je od czasu do czasu, czego on bardzo nie lubi. Następują wnioski praktyczne - wręczam mu starannie wypracowane obszernie zażalenie. Na niego! Celem dalszego przekazania drogą służbową. Najpierw ryczy, jakby go nadziewali na rożen. Potem łagodnieje i okazuje nawet przyjazne uczucia. „Tego mi przecież nie zrobicie” - powiada pocziwie. „Jeśli pan się będzie przyzwocioie zachowywać, to nie”, powiadam. Obiecuje, że się będzie przyzwocioie zachowywał. W rzadkich wolnych chwilach dziewczęta - przeważnie podrywane w knajpie „Przystań Wędkarza”: służące, sprzedawczynie, maszynistki. Parę tańców, parę kieliszków likieru, krótki spacer do pobliskiego parku - a tam szybkie, ale gruntowne zaspokojenie. Znowu do knajpy, jeszcze trochę tańca, splukanego piwem, a potem koszary. Aż do następnej soboty. Potem Ewa_Maria. Córka urzędnika. Poznana w kinie - jakiś film z barczystą kobietą o lwiej grzywie, która ma męski głos i zawodzi piosenki miłosne. Odmiana pilnie wskazana - na szczęście Ewa_Maria siedzi obok mnie. Zabiera mnie potem do siebie do domu - czyste, kulturalne mieszkanie; solidne. Rodzice wyjechali. Cudowne beztrioskie godziny. Dziwnie upajające uczucie szczęścia. Kiedy wracam późno - bardzo późno - do koszar, chce mi się głośno śpiewać. Taki jestem szczęśliwy! Ale ta noc się już nie powtarza - przynajmniej nie ze mną. „Nie bądźmy sentymentalni”, mówi. „Ależ ja cię kocham!”, wołam. Pierwszy raz w życiu mówię coś takiego. „Inni mi to też mówią”, wyjaśnia Ewa_Maria. I odchodzi; z innym. Stoję nocą na ulicy naszego miasteczka garnizonowego i wsłuchuję się w ciemność. Podnoszę głowę i widzę przytłumione światło za zasłoniętymi oknami. Kiedy zamykam oczy, widzę ją przed sobą, i wszystko, co robi, wszystko, co się z nią dzieje, widzę jej uśmiech, w którym rozbłyskuje jednocześnie szczęście, rozkosz i lęk, widzę jej drżące, pożądlive i udręczone usta, widzę jej piersi, które zakrywa rękami, widzę jej pięknie sklepione ciało. I zamykam oczy i widzę siebie obok niej - w owej jedynej, nie powtórzonej już nigdy nocy. I powiadam sobie: „Nigdy więcej nie powiem kobiecie, że ją kocham. Nigdy więcej” Potem jest wojna. Przede mną kuli się za studnią jakiś mężczyzna; skręca się, jak gdyby miał bóle i cierpiał bezgłośnie. Włosy mu wystają spod czapki. Jest w nim strach, a ciało i odzież lepi się od brudu. Widzę go ponad muszką mego karabinu, jakieś sześćdziesiąt metrów przed sobą, i lufa mojej broni podnosi się na wysokość jego głowy, wycelowana w skroń, nad którą mierzwią się rozczochrane włosy. Powoli zgina się palec wskazujący mojej prawej ręki - ale nie mogę wystrzelić. Nie mogę! Lecz człowiek przy studni strzela. I obok mnie drgnął człowiek, przez kilka sekund ma oczy utkwione w próżnię, potem tryska mu między oczami krew, i człowiek ów zwała się na ziemię. „Masz tu jeden chleb poza przydziałem”, mówi do mnie plutonowy Taschenmacher. „Nie chcę tego chleba”, powiadam. Plutonowy Taschenmacher kazał zwędzić z ciężarówki dwa tuziny bochenków chleba - na prywatny użytek. „Chodź, chodź - mówi dobrodusznie, potrafi być bardzo dobroduszny, kiedy chce - nie będziesz nam przecież psuć zabawy, bierzże ten chleb. Za to możesz mieć niejedno, nawet gwarantowaną dziewczę, jeśli ci na tym zależy. Dam ci nawet adres na dodatek, taki ze mnie wspaniałomyślny człowiek.” - „Nie wchodzi w rachubę”, mówię. Teraz jest on już o wiele mniej dobroduszny. „Człowieku - powiada - czy ty z byka spadł? Czego ty właściwie chcesz? Dwa bochenki? No, niech ci będzie.” - „Nie”, powiadam. „A więc trzy bochenki - mówi wściekły - ale to już moje ostatnie słowo.” - „Iądam - mówię - żeby te dwa tuziny chlebów wróciły tam, gdzie być powinny. To moje ostatnie słowo. Jeśli nie, złożę raport.” Klnąc, plutonowy Taschenmacher załadowuje na wóz dwa tuziny chlebów, i to własnoręcznie. Dziecko chce podejść do mnie, podnosi rączkę i otwiera usteczka. Ale oficer wypędza je, dziecko, i matkę też. Potem każe podpalić gospodarstwo, rzekomo po to, żeby oczyścić pole ostrzału. Obrzydliwe, podrygujące łagodnie kłęby dymu pełzną prosto na mnie, kipią żółcią o odcieniu ropy i jadowitą zielenią,

opływają moją twarz. Stoję bez ruchu i usiłuję nie oddychać; słyszę dławiący płacz kobiety i zadyszany oddech dziecka. Ale nie ruszam się i nie oddycham. „Trzeba zabijać, żeby nie zostać zabitym - mówi oficer. - Takie jest prawo wojny i nikt nie jest w stanie go ominąć.” „Odwiedź moją kochaną żonę - powiedział do mnie kolega. - Zabierz tę paczkę dla niej, udało mi się zaoszczędzić parę racji. Pozdrów ją ode mnie i powiedz jej, że zawsze o niej myślę.” A potem siedzę naprzeciwko ukochanej żony mego kolegi. Opowiadam jej o nim, ona się cieszy, pijemy. Chcę wyjść, lecz ona mnie nie puszcza. „Teraz, kiedy się nam tu tak przyjemnie siedzi”, powiada. W pokoju jest ciepło, coraz cieplej, i ona mówi: „Niech się pan wygodniej rozgości, tak się nam przyjemnie siedzi”. No więc dobrze, zdejmuję kurtkę mundurową. Ale po co ona zdejmuje zaraz bluzkę, i pończochy na dodatek? Aha, jest gorąco, a nam się tak przyjemnie siedzi, jak ona ciągle powtarza, a poza tym ma do mnie zaufanie. To mi się podoba i na tę intencję pijemy. A potem ona nagle mówi, przysuwając się do mnie bliżej: „Czy ty zawsze tak długo czekasz? Albo może już zapomniałeś, jak to się robi? Albo może ci się nie podobam?” - „Nie - powiadam - nie podobasz mi się.” A potem biję ją w tę ładną, głupią, pożądliwą twarz. „Teraz jest pan oficerem - mówi do mnie dowódca. - Mam nadzieję, że się pan okaże godnym tej promocji, podporuczniku Krafft.” - „Będę się starał”, mówię. Stu dwudziestu żołnierzy - podległych mi, powierzonych mi, zdanych na mnie. Maszeruję z nimi, śpię pośród nich, dzielimy się wspólnie jedzeniem, papierosami, załatwiamy obok siebie potrzeby naturalne i zabijamy razem: ramię przy ramieniu, dzień i noc, miesiąc za miesiącem. Kilku mnie opuszcza, dochodzą nowi - sporo umiera. Umierają przypadkowo, na podstawie rozkazów lub dlatego, że nie chcą dłużej żyć. Śmierć jest zawsze z nami. Ale o mnie się tylko ociera. Aby mnie oszczędzić. Jeśli tak - to po co? „Teraz został pan już nawet porucznikiem, Krafft - mówi do mnie dowódca. - Mam nadzieję, że okaże się pan godnym tego awansu.” On to mówi, ja słucham, ale nic mu nie odpowiadam. Co to znaczy - godny? Ojczyzna - czy raczej to, co się nazywa ojczyzną: miasteczko, niegdyś małe, trochę senne, zmieniło się wprost nie do poznania. Wyrosła tu jak spod ziemi elektrownia wodna. Zbiorniki i rury na przestrzeni całych kilometrów kwadratowych. Do tego osiedla, dla inżynierów. I baraki, dla robotników i pracowników umysłowych. I baraki mieszkalne na Odrze, stare łodzie, pływające stodoły dla robotników niekwalifikowanych i obcokrajowców. Od czasu do czasu kilku z nich kołysze się na stryczku na widocznym z daleka przednim pokładzie - za sabotaż, szpiegostwo, dywersję i jak to się tam wszystko nazywa. Wśród nich żyją organa nadzoru i bezpieczeństwa. I wreszcie dwanaście baterii przeciwlotniczych naokoło. A koniec tego wszystkiego: bomby! Jedna jedyna noc, dokładnie trzydzieści pięć minut, i mała ojczyzna przestała istnieć. I rodzice nie żyją. Lata znaczone przez kampanie wojskowe i kobiety; trupy i miłość; mord i seks. Polska, zachodnie przedmieście Warszawy: na pół zwęglona, śmierdząca rudera, w niej kobieta imieniem Ania - czas trwania: dwa dni. Francja, Paryż, jakiś hotelik na Montmartrze, nie opodal kręci się Raymonde - czas trwania: cztery noce w ciągu sześciu tygodni. Rosja, Jasna Polana, w pobliżu Tuły, gdzie żył Tołstoj, w muzeum dziewczyna, której imienia nie pamiętam - czas trwania: dwadzieścia minut. Wszystko to za żywność, wódkę, przepustki. Prawie zawsze potem wstręt - wstręt do samego siebie. Nigdy nie kochałem naprawdę - nawet wtedy, gdy wchodziły w grę niemieckie dziewczęta, na przykład raz w nocy w pociągu, na ciężarówce, którą wożono żeńską służbę pomocniczą; w namiocie operacyjnym, kiedy lekarz odsypiał swoje pijaństwo. I wreszcie dziewczyna, która mnie niepokoi. Przyjemnie być z nią razem. Można jej także i potem patrzeć w oczy. Ma dobry, wyzwalający śmiech. Nie ma w tym nic przygnębiającego, nic, co by wywoływało obrzydzenie. Budzi się we mnie nawet uczucie, które można by nazwać tęsknotą. Albo powiedzmy: pożądaniem! Pożądanie bez łączności, rzecz niezwykle dziwna. W sumie niemal niepokojąca - po tym wszystkim, co się działo przez te lata. I co najgorsze: niejednokrotnie kusi mnie, żeby powiedzieć coś, czego postanowiłem nigdy więcej nie mówić: kocham cię! I też nigdy tego nie powiem! Ze względu na nią nie powiem. Dziewczyna ta nazywa się Elfrieda Rademacher. 4 Trening oficerski przesuwają się na północ - Panowie - powiedział major Frey do zebranych oficerów - mam panom zakomunikować, że pan generał zamierza po kolacji przeprowadzić trening oficerski. - Pan generał

sam? - padło z miejsca pytanie z ust uprzejmie uśmiechniętego kapitana Federsa. - Pan generał wraz z całym korpusem oficerskim - sprostował major nie bez pewnej surowości w głosie. Frey nie lubił, żeby podwładni mu przerywali, kiedy mówił - a już tym bardziej nie lubił, żeby go poprawiano. A ten kapitan Feders zachowywał się czasem tak, jak gdyby miał monopol na całą mądrość wojskową. No cóż, trzeba mu niejedno wybaczyć. Bo po pierwsze, kapitan Feders był bezsprzecznie najlepszym wykładowcą taktyki w szkole. Po drugie, miał ostry język, którego się wszyscy bali. A poza tym istniała jeszcze ta strasznie przykra historia z jego żoną. A więc - nie nadeptywać mu na odciski, możliwie z daleka omijać; Feders był bowiem niebezpieczny. Niebezpieczny był w każdym razie zwyczaj Federsa stawiania szczerych pytań. Zawsze chciał wszystko wiedzieć. Chciał nawet wiedzieć, czy ten, któremu stawiał pytanie, nic nie wie. - Czy podano temat treningu, panie majorze? - Nie - odparł zapytany. - A przewidywany czas trwania treningu? - Też nie - powiedział major Frey z lekką irytacją. Tymi dwoma zupełnie niewinnie brzmiącymi pytaniami Feders udowodnił zgromadzonym oficerom, że major nie jest niczym więcej jak jednym ze zwykłych ogniw w przekazywaniu rozkazów - przynajmniej w zasięgu władzy generała Modersohna. - No pięknie - powiedział Feders - znowu zabawimy się w przedszkole. W każdym razie szanse na spokojną noc równają się zeru. Jak już generał zabiera się do treningu, to prędzej nie spocznie, dopóki nie ustrzeli przynajmniej stada jeleni. Wpada mi więc tylko powiedzieć: smacznego, panowie! Zgromadzeni w hallu kasyna oficerowie szkoły wojennej - dowódcy kursów, dowódcy oddziałów, wykładowcy taktyki i instruktorzy grup szkolnych, poza tym pracownicy administracji, planowania i organizacji, łącznie ponad czterdzieści osób - mieli wygląd dość ponury. Błyskawiczne decyzje generała wisiały nad nimi jak chmury gradowe. Błyszczały różne odznaczenia. Jak okiem sięgnąć ani jednej piersi, która nie byłaby udekorowana przynajmniej Krzyżem żelaznym. Okucia za walkę wręcz, odznaki za zniszczenie czołgów, ordery za poszczególne kampanie, krzyże zasługi i medale za wysługę lat - to było samo przez się zrozumiałe. Złoty Krzyż Niemiecki nie był tu niczym nadzwyczajnym. Nad tą lśniącą wspaniałością na ogół poważne, zamknięte twarze zawodowców. A w oczach obawa, czasem tylko cień troski, nader rzadko obojętność. - Panowie - rzekł kapitan Feders - proponuję po prostu zaczynać. W końcu generał też zawsze zasiada punktualnie do stołu, bez względu na to, czy wszyscy są obecni. - To kiepski żart, panie kapitanie Feders - powiedział z naganą w głosie major Frey, dowódca II kursu. Spośród pozostałych oficerów również nikt nie był skłonny zdobyć się na zrozumienie dla tego rodzaju dowcipów. Nawet w jaskrawym świetle elektrycznym twarze ich były posępne. Najbardziej milcząca była ta grupa, która stała tuż przy drzwiach sali jadalnej. Były to ofiary codziennego porządku, jaki obowiązywał w zajmowaniu miejsc przy stole. Porządek ten ustanawiał z wielką drobiazgowością i w wielkim trudzie adiutant z pomocą kaprała, w cywilu profesora gimnazjum, przed każdym posiłkiem, zgodnie z dewizą: Każdy oficer po kolei przy stole dowódcy! Nikomu nie był oszczędzony ten honor. Tylko czasami generał, ku gwałtownemu zaniepokojeniu zainteresowanych, wyrażał specjalne życzenia i sam dobierał sobie współbiesiadników. Tak właśnie rzecz się miała dziś. Pod kapitanem Katerem ugięły się kolana, a żołądek groził buntem. Przewidziano bowiem dla niego miejsce po lewicy generała. Znaczenie tego pociągnięcia wyjaśniała wywieszka z porządkiem zajmowania miejsc: po prawicy generała zasiąść miał sędzia wyższego sądu wojennego Wirmann. Również dla porucznika Kraffta było przewidziane miejsce - naprzeciw generała. - No, panowie - rzekł kapitan Feders, zbliżając się z wyrazem zainteresowania na twarzy do ofiar dzisiejszego porządku - jak się czujecie? W końcu nazwiska wasze znajdują się na karcie. - Ja jestem dość łykowaty - powiedział porucznik Krafft. - Nielatwy, zdaje się, do strawienia. - Gdybym ja był generałem - powiedział Feders, mierząc Katera zaczepnie oczyma - wolałbym dobrze przerośniętą pieczeń z dzika. - Ale nie jest pan generałem - warknął Kater zły. - Jest pan tu tylko wykładowcą taktyki, i w dodatku żonatym. - Ależ panowie - wtrącił sędzia wyższego sądu wojennego pojednawczo. - Zupełnie nie wiem, o co wam chodzi! Porządek zajmowania miejsc przy stole nie jest przecież sprawą państwowej wagi. - Na ogół nie - przyznał mu rację Feders. - Ale u naszego generała nawet jedno krótkie spojrzenie może być

wstępem do pogrzebu na koszt państwa. Trafił pan na jednego z pańskich największych konkurentów, Wirmann. Pan tylko interpretuje prawa. Generał je ustanawia. - Ale nie dla mnie - powiedział Wirmann i uśmiechnął się, jak mu się zdawało, z wyższością. * * * Na skinienie plutonowego - szefa kasyna zjawili się ordynansi. Taskali wazy z zupą. Powędrowali do jadalni. Był to znak, że do kasyna zbliża się generał - ktoś, kto specjalnie pełnił rolę czujki, widocznie już go dostrzegł. Teraz zamilkli nawet ci nieliczni, którzy dotąd rozmawiali. Panowie oficerowie ustawili się w szyku. Najniższe stopnie automatycznie usunęły się na dalszy plan, aby spojrzenie generała mogło paść najpierw na wyższe rangi. - Panowie, pan generał! - zawołał major Frey. Było to zupełnie zbędne. Panowie stali już i tak jak skamieniały - duch dyscypliny zdawał się ich zamieniać w beton. Generał major Modersohn nadchodził miarowym krokiem. Towarzyszył mu adiutant, ale nikt nie zwracał na niego uwagi. Oficerowie widzieli tylko generała. Ten zatrzymał się dokładnie na krok przed progiem i z tego miejsca ogarnął taksującym spojrzeniem obecnych, jak gdyby zamierzał ich policzyć i każdego z osobna zarejestrować. Potem dopiero przyłożył rękę do daszka czapki i powiedział: - Dobry wieczór, panowie. - Dobry wieczór, panie generale! - odpowiedzieli oficerowie chórem. Generał skinął głową, bez większego entuzjazmu, lecz kwitująco. Albowiem współbrzmienie głosów w chórze było precyzyjne i dostatecznie donośne. - Proszę spocząć - powiedział. Panowie bezzwłocznie usłuchali tego wezwania, w każdym razie wysunęli lewą nogę trochę w bok i jednocześnie trochę w przód, i przybrali już nieco swobodniejszą postawę. Nikt jednak nie śmiał otworzyć ust. Następnie generał Modersohn zdjął czapkę, rozpiął i zdjął płaszcz, podając jedno po drugim stojącemu sztywno w wyczekującej postawie ordynansowi. Z przyczyn zasadniczych nie pozwalał sobie pomagać w tak przyziemnych czynnościach. Oficerowie śledzili każdy ruch generała w napięciu. Zobaczyli, że wyciągnął karteczkę zza mankietu, rozwinął ją i przeczytał. Wyglądało to prawie tak, jak gdyby zaznajamiał się z jedną z owych depeesz, od których zaczynają się wojny. Wreszcie generał podniósł wzrok i rzekł: - Temat dzisiejszego treningu: Wielki pożar w koszarach. Tym samym ogólna konsternacja doszła do pierwszego punktu szczytowego. Podany temat bowiem najeżony był najdzikszyimi niespodziankami - doświadczeni oficerowie wyczuli to natychmiast. Potrafili prowadzić oddziały do ataku, zajmować kompaniami nakazane pozycje i w razie potrzeby rozwijać w szyki marszowe całe dywizje, ale pożar w koszarach - tego nie było w ich programach szkoleniowych, nie mieli też najmniejszego doświadczenia w tej dziedzinie. - Czy zrobiliście już testamenty, panowie? - spytał Feders uszczęśliwiony, aczkolwiek ściszym głosem. - Boję się, że przy tym pożarze niejednego się usmaży jak prosiak na rożnie. Zjawił się szef kasyna - coś w rodzaju starszego kelnera z pełnym wyszkoleniem wojskowym. Za nim dwaj ordynansi otworzyli rozsuwane drzwi, prowadzące do sali jadalnej. Plutonowy zbliżał się do generała takim krokiem, jakby miał stanąć przed obliczem majestatu. Stał, wypiął pierś, przyłożył palce do szwów spodni i powiedział: - Melduję, panie generale, że zupa podana! Modersohn lekko skinął głową, w stosunku do niższych podwładnych bowiem zachowywał się zawsze trochę kordialnie. Przeszedł przez szpaler ustępujących mu z drogi czterdziestu sześciu oficerów i udał się do jadalni. Oficerowie przydzieleni na dziś do jego stołu postępowali tuż za nim - cała dość pokaźna reszta wpłynęła za nimi do sali. Ciągłe jeszcze nikt nie śmiał wyrzec słowa. Sala jadalna była nie pozbawiona pewnego wielkoniemieckiego przepychu: jasnozielony, nieco wytarty dywan, ściany wyłożone boazerią z imitacji forniru dębowego, nie bez głębszego sensu przyozdobione szlaczkiem w liście dębowe; biały niegdyś sufit z grubą sztukaterią, przedstawiającą również liście dębowe. Na środku sali zwisający z sufitu żyrandol z mosiężnej blachy i z fajansowymi świecami. Dookoła na ścianach portrety tak zwanych wodzów i mężów stanu z najnowszego okresu historii Niemiec, imponujących rozmiarów - pod względem formatu - obrazów. A na głównej ścianie portret co najmniej trzy razy tak duży: F~uhrer, w oleju. - Czujcie się zupełnie swobodnie, panowie, jak zwykle. - Powiedział to stłumionym głosem major Frey. Sprawy organizacyjne niższego rzędu generał zwykł pozostawiać oficerom stojącym pod względem rangi o stopień niżej od niego. Oficerowie - swobodnie jak zwykle - rozdzielili się na poszczególne stoły. Najbliżej generała: dowódcy oddziałów wraz z wykładawcami taktyki.

Następnie instruktorzy grup szkolnych. Na koniec reszta: trzej intendenci, czyli oficerowie finansowi, dwaj lekarze, jeden inżynier z warsztatów remontowych szkoły, jeden oficer do spraw specjalnych. Major Frey powiedział: - Panie generale, melduję, że korpus oficerski gotowy jest do kolacji. Generał Modersohn skinął ledwo dostrzegalnie głową i usiadł; czterdziestu sześciu oficerów uczyniło to samo. Generał sięgnął po łyżkę, czterdziestu sześciu oficerów również. Generał zamoczył łyżkę w zupie, wszyscy obecni poszli za jego przykładem. Siedzieli zrazu w milczeniu, jeśli nie brać pod uwagę rozlegającego się tu i ówdzie siorbania. Generał bowiem nie powiedział dotąd słowa ani też nie udzielił zezwolenia na rozmowę. Od czasu do czasu Modersohn obrzucał swoich oficerów badawczym spojrzeniem. Zauważył niewielu takich, którzy by jedli z przyjemnością. Przyczyną tego była zapewne nie tylko cienka, mdła kartoflanka. Oficerowie przygotowywali się wewnętrznie do mającego nastąpić po kolacji treningu, do owego pożaru w koszarach. To im psuło nieco apetyt. Dopiero gdy podano drugie danie, wołowinę z zieloną fasolką, generał zaczął mówić. Zwrócił się do sędziego wyższego sądu wojennego Wirrmanna. I cedząc słowa zapytał: - Więc chce pan przejąć drugą sprawę na moim terenie, nie ukończywszy jeszcze pierwszej? Wirrmann poczuł się jak wyzwolony. Nareszcie pozwolono mu mówić. Rozruszał się od razu i rzekł: - Dochodzenie przyczyn, które doprowadziły do śmierci podporucznika Barkowa, pozostaje oczywiście moim głównym celem, panie generale. Co zaś się tyczy tego zgwałcenia... - Rzekomego zgwałcenia - skorygował go porucznik Krafft spokojnie, ale dobitnie. Generał obrzucił porucznika krótkim badawczym spojrzeniem. Potem zabrał się z powrotem do jedzenia. Nie ulegało jednak wątpliwości, że słucha uważnie. Sędzia wyższego sądu wojennego pospiesznie ciągnął dalej: - A więc dobrze, co się tyczy tego rzekomego gwałtu, chciałem tylko oddać do dyspozycji moją wiedzę fachową, przyjść z pomocą, co inspirował i powitał z radością kapitan Kater, a co porucznik Krafft zdaje się odrzucać. - Z uzasadnionych przyczyn - powiedział Krafft, nie dając zbić się z tropu. - Bo jeszcze nic nie zostało wyjaśnione, a tym bardziej udowodnione. - Pan wybaczy - wtrącił Wirrmann - ale nie będąc prawnikiem nie może pan tego chyba ocenić. - Możliwe - powiedział Krafft niewzruszenie. - Tak się jednak złożyło, że mi powierzono ocenę tej sprawy, i dlatego oceniam ją tak, jak uważam za słuszną. - Za stosowne - skorygował go generał. Nie podniósł jednak przy tym oczu znad talerza. Całą swą uwagę zdawał się poświęcać kartoflowi, który powoli rozgniatał widelcem. Wobec tego nieoczekiwanego wmieszania się generała do rozmowy jego współbiednicy na chwilę zamilkli. Kapitan Kater o mało co nie udławił się kawałkiem wołowiny. Wirrmann gorączkowo usiłował rozgryźć słowa generała i wyciągnąć z nich wnioski. Krafft był jedynie zdumiony, że Modersohn tak uważnie słuchał - prawdopodobnie nawet najlżejsze niuanse nie uchodziły jego uwagi. - Tego rodzaju incydent, panie generale - powiedział wreszcie Wirrmann - wymaga moim zdaniem nieco innego traktowania niż to, jakie jest w wojsku we zwyczaju. Dlatego poczuwałem się po prostu do obowiązku przyjść panu kapitanowi Katerowi z pomocą. Tu przecież nie chodzi o przestępstwa zdarzające się codziennie, jak odmowa wykonania rozkazu, okradanie kolegi czy dezercja, tu najdrobniejsze szczegóły mogą mieć decydujące znaczenie prawne. Do aktu gwałtu ściśle według litery prawa należą zasadniczo trzy rzeczy: sam akt spółkowania, stosowanie przemocy i brak zgody. Weźmy na przykład taki moment, którego ważności laik zwykle nie docenia: bielizna. Powstaje pytanie: kto ją zdjął? Jak silny stawiano przy tym opór? Czy w ogóle strona poszkodowana miała na sobie bieliznę; jeżeli nie, to od jakiego momentu? - Panie Wirrmann - powiedział generał głosem co prawda nie podniesionym, ale ostrym jak brzytwa - jesteśmy przy stole. Usta sędziego wyższego sądu wojennego zamknęły się automatycznie, jakby były na zawiasach. Jego i tak już wąskie wargi były teraz tylko jedną kreską. Sędzia zrobił się czerwony jak burak. Czuł się bowiem jak sztubak skarcony przed całą klasą - a to mu się jeszcze nie zdarzyło od czasów pierwszej gimnazjalnej. Oficerowie najwyraźniej napawali się tym widokiem, aczkolwiek z należytą powściągliwością. Generał niewzruszenie jadł dalej. Porucznik Krafft odłożył na bok nóż i widelec i po raz pierwszy zaczął się przyglądać Modersohnowi dokładniej: zobaczył podłużną kanciastą czaszkę, szorstką jak porowaty kamień, ale ukształtowaną wyraźnie i przejrzystie. Kilka

głębokich zmarszczek, biegnących od nozdrzy do ust i dalej do brody, granitowoszare oczy, wysokie czoło pod krótko przystrzyżonymi białymi włosami. Krafftowi przypominał on w jakiś mglisty sposób szlachetnego, ale nieobliczalnego ogiera pruskiego. - Dziękuję, panowie - powiedział generał i wstał. - Dziękujemy, panie generale! - zawołał chór oficerów. - Zapowiedziany trening - obwieścił adiutant z zaafierowaną miną - odbędzie się za piętnaście minut w tej sali. * * * - Panie sędzio - zapytał kapitan Feders uprzejmie - jak smakowała panu kolacja? - Jak na mój gust trochę zbyt pieprzna - rzekł Wirrmann śmiejąc się, jak gdyby chciał podkreślić, że ma poczucie humoru. Tylko że ten śmiech zabrzmiał bardzo sztucznie. Traktować siebie potrafił tylko śmiertelnie poważnie. Większość oficerów wycofała się do hallu, już choćby dlatego, żeby zniknąć generałowi z pola widzenia. Skorzystali z przerwy, by szybko wypalić jeszcze papierosa. Próbowali również zdobyć jakieś bliższe dane o tym treningu - naturalnie przede wszystkim od kapitana Federsa. - Panowie - bronił się Feders - trafiliście pod niewłaściwy adres. Skądże ja mam wiedzieć, co się robi podczas pożaru w koszarach? Dopiero gdy będę znał bliższe szczegóły treningu, wpadną mi może do głowy jakieś pomysły. Ale jasnowidzem jeszcze nie jestem, mimo że jestem wykładowcą taktyki w szkole wojennej. Niepokój wśród oficerów narastał. Unosiły się nad nimi gęste kłęby dymu. Zagląдали przez otwarte drzwi do jadalni, którą ordynansi zamieniali w tej chwili w coś w rodzaju szkółki: na tylnym planie tablica, do tego dwie mapy na stojakach, przed nimi stół generała - jak katedra. Stoły i krzesła oficerów były ustawione jak ławy szkolne. - W każdym razie - powiedział Wirrmann - cieszę się, że przynajmniej to mi zostanie oszczędzone. - A jeszcze bardziej by się pan cieszył, gdyby dostał pan zezwolenie na wzięcie pod lupę tych trzech przedsiębiorczych dziewczoj, co? - Panie kapitanie Feders - rzekł Wirrmann karcąco - chodzi mi o faktyczny przebieg sprawy, a nie o trzy podejrzone stworzenia płci żeńskiej. - Ale jednego od drugiego nie da się przecież oddzielić, kiedy pan bada zboczenia seksualne. - Panie kapitanie, ja jestem prawnikiem! - Właśnie dlatego! - powiedział Feders wesoło. - Gdyby był pan medykiem, na przykład psychiatrą czy ginekologiem, to bym sobie może powiedział: no cóż, to jego fach, jest do tego przyzwyczajony. Ale gdy zjawia się prawnik, który ciągnął dotąd za język tylko starych wojaków, a tu nagle musi zaglądać pod spódnicę trzem młodym dziewczynom - wtedy, szanowny panie, mogę się tylko z niedowierzaniem podśmiechiwać. - Ubolewam nad pańską wyobraźnią - powiedział Wirrmann chłodno. I miał ochotę dodać: generał ma podobną. Milczał jednak. Znosił takie podejrzenia z godnością - ale ich nie zapominał. Przejrzał na wskroś ten typ oficera. Taki człowiek jak ten Modersohn sprzyjał - świadomie czy nieświadomie - ideom rozkładowym. Z zasady on, Wirrmann, musiał uważać takich ludzi za wysoce niebezpiecznych. - Nie ma pan zaufania do odpowiedzialnych organów państwowych - powiedział jeszcze, zanim wyszedł. Kapitan Feders popatrzył w ślad za nim i powiedział przy tym: - Trzeba przyznać, że głupi to on nie jest. Ale to nie zawsze jest zaletą. * * * - Panowie są proszeni na trening - ogłosił adiutant. I panowie nie dali się długo prosić. Oficerowie zgasili pospiesznie papierosy, przerwali rozmowy i udali się do sali jadalnej - do szkółki dla elity oficerskiej. Usiedli na swoich miejscach i patrzyli wyczekująco na generała. Generał Modersohn siedział przy swojej katedrze i pracował. Wejście oficerów najwidoczniej wcale mu nie przeszkadzało. Przeglądał dokumenty przyniesione przez adiutanta i pokrywał leżący obok notes notatkami. Adiutant obwieścił: - Trening poprowadzi pan major Frey, dowódca II kursu. Tym samym wyznaczona została pierwsza ofiara wieczoru. Po niej miały paść inne. Sens tego rodzaju treningu bowiem był podwójny. Po pierwsze, trzeba było sprawdzić również teoretycznie wszystkie sytuacje możliwe w praktyce. Poza tym chodziło o obarczenie możliwie jak największej ilości obecnych zadaniami specjalnymi. Dopiero potem można było przystąpić do przećwiczenia, krok za krokiem, walki z pożarem. Każdy, kto otrzymał zadanie, miał opisać zwięźle, lecz wyczerpująco, co uczyniłby lub zarządziłby na wypadek pożaru na przykład jako dowódca oddziału lokalizacji pożaru, oddziału gaszenia pożaru, jako szef magazynu sprzętu i tak dalej. Gdyby Modersohn chciał, to tak przez całą noc. A kapitan Feders, doświadczony wykładowca taktyki, obwieścił swoim uważnie słuchającym sąsiadom: - Przegrany tym razem będzie ten, komu przypadnie rola oficera dyżurnego. - Oficer dyżurny - odczytał

adiutant z kartki, na której generał notował - porucznik Krafft. Krafft musiał się ugryźć w język, żeby nie powiedzieć paru mocnych słów. Również i on, jako stary żołnierz, zorientował się od razu, że przypadło mu najniewdzięczniejsze w tym całym treningu zadanie. Generał widocznie zagiął sobie parol na niego, i to złościło Kraffta. - Czy mogę prosić o instrukcję oficera dyżurnego? - spytał. Generał skinął głową. Adiutant podał ją Krafftowi. Oficerowie przyglądali się z zainteresowaniem tej najbardziej prawdopodobnej ofierze wieczoru. Nie udawali przy tym fałszywego współczucia - ktoś przecież musiał być kozłem ofiarnym. A więc tym razem Krafft. Bo nie trzeba się wtrącać przy stole do rozmowy generała, jeśli nie jest się pytanym. Adiutant przeczytał długą listę uczestników - nie pominięto nikogo. Każdy otrzymał bardziej lub mniej ważną funkcję albo bliżej nie określoną funkcję specjalną. Oficerowie zaczęli się lekko pocić. Pułapki zostały zastawione - kto jeszcze poza Krafftem w nie wpadnie? Adiutant przedstawił sytuację wyjściową: - Założenie: wielki pożar na terenie czwartego oddziału. Przyczyna nieznana. Rozmiary: na razie nieznane. Dzień: niedziela. Dokładny czas: godzina pierwsza minut trzydzieści osiem. Trening należy uważać za rozpoczęty. Kapitan Feders uśmiechał się uszczęśliwiony. Widział już jak na dłoni najniebezpieczniejsze rafy tego ćwiczenia. - Czwarty oddział - szepnęła swoim sąsiadom - znajduje się prawie dokładnie w samym środku koszar, co za sprzyjająca okoliczność dla rozszerzenia się pożaru! I to akurat w niedzielę w środku nocy, kiedy jeszcze ani jeden kutas nie wrócił z nocnej przepustki. To ci będą komplikacje! To się będzie dymiło! Już z góry czuję ten smród. - Proszę, panie majorze Frey - powiedział adiutant na spojrzenie generała Modersohna - trening rozpoczęty. Alarm! - powiedział major Frey głosem lekko zduszonym. Początek był zrobiony. Frey musiał teraz tylko jeszcze znaleźć kogoś, kto by podjął grę. - Pali się więc na czwartym oddziale. Co robi czwarty oddział? - Przekazuję alarm dalej - powiedział oficer, któremu powierzono tę funkcję. - Alarmuję z kolei oficera dyżurnego. Wszystkie oczy zwróciły się teraz na porucznika Kraffta. Ten oparł się o krzesło. Był zdecydowany się bronić; nie chciał być tym jagniątkiem, które pozostali wspólnymi siłami pędzili do rzeźni. I dlatego spytał: - Czy ta instrukcja jest miarodajna? - Naturalnie - odpowiedział bezzwłocznie major Frey. - Instrukcja jest instrukcją. - Czy to znaczy - pytał Krafft uparcie dalej - że muszę się stosować do tej instrukcji? - Ależ oczywiście! - zawołał Frey z pewną ostrością w głosie i bardzo niezadowolony. - Przepisy muszą być respektowane. Każdy rozkaz ma moc prawa. A już rozkaz pisemny jest tym bardziej prawem. Wyraz twarzy Kraffta nie pozostawiał żadnych wątpliwości, że Krafft uważa sformułowania majora za szczyt głupoty. Oficerowie już wietrzyli sensację w dalszym rozwoju wypadków. Po części z przerażeniem, po części z radosnym oczekiwaniem biegali oczyma od Kraffta do majora Freya, a od majora Frey do Modersohna. I generał oświadczył niewzruszenie: - Ta instrukcja jest obowiązująca, panie poruczniku Krafft. - W takim razie, panie generale, trening ten nie ma najmniejszego sensu - powiedział porucznik, postępek równający się w oczach obecnych czystemu samobójstwu. - Ta instrukcja bowiem nie ma rąk ani nóg. Cisza, jaka zawisła teraz nad salą, zdawała się czekać na grom. Nawet radośnie uśmiechnięta twarz kapitana Federsa zmartwiała. Potem kapitan Kater sapnął przerażony. Wieczór osiągnął swój drugi punkt kulminacyjny. A generał powiedział niebezpiecznie łagodnym głosem: - Może pan to jakoś bliżej wyjaśni, poruczniku Krafft. Krafft skinął głową z jakimś wysiłkiem. Lwia odwaga zdawała się go równie nagle opuszczać, jak nagle go napadła. Miał dławiące uczucie, że posunął się trochę za daleko. - A więc? - spytał generał druzgocąco uprzejmie. - Słucham pana. - Panie generale - rzekł wreszcie Krafft. - Ta instrukcja jest niedokładna nie tylko w poszczególnych rozdziałach; przeczy sama sobie nawet w bardzo istotnych punktach. Tak na przykład kolejność wprowadzenia do akcji hydrantów określona jest cyframi 1, 2, 3, 4, ale z położenia hydrantów wynika, że to nie ma najmniejszego sensu. Gdyby oficer dyżurny trzymał się tej instrukcji, musiałby bez przerwy biegać tam i z powrotem i tracić niepotrzebnie czas i siły. Jedyną zaś słuszną kolejnością, jaka powinna obowiązywać przy uruchamianiu hydrantów, byłyby cyfry: 4, 1, 3, 2. - Jeszcze coś, panie poruczniku? - zapytał generał denerwująco łagodnie. Krafft przytoczył jeszcze cztery dalsze punkty w dowód błędów zawartych w instrukcji: niedostateczne urządzenia alarmowe, błędne napisy na

gaśnicach, niewłaściwie położony magazyn z materiałami wybuchowymi, niedostateczne zaopatrzenie wartowni w haki, łopaty i siekiery. - Jeśli więc oficer dyżurny rzeczywiście będzie się trzymał tej instrukcji, całe koszary spłoną, zanim zdąży się podłączyć węże gumowe. - Proszę mi dać tę instrukcję - powiedział generał. Podano ją Modersohnowi. Zaczął ją wertować i ślizgać się wzrokiem po zakwestionowanych punktach. Nic w jego twarzy nie zdradzało, co sobie przy tym myślał. Był tak samo nieporuszony i obojętny, jak przedtem przy kolacji. Wszystkie oczy utkwione były w nim - generał reagował na to tak, jakby świeciło na niego słońce. Wreszcie podniósł głowę, spojrzął na Kraffta i spytał: - Kiedy pan zwrócił uwagę na braki tej instrukcji, panie poruczniku? - Trzy dni temu - powiedział Krafft - kiedy byłem oficerem dyżurnym. - Wobec tego - rzekł generał Modersohn - powinienem być o tym wiedzieć już od dwóch dni. Nie złożył pan we właściwym czasie odpowiedniego meldunku. Zamelduje się pan u mnie jutro o dziesiątej do raportu. - Tak jest, panie generale. - Zresztą - powiedział generał - ta instrukcja jest rzeczywiście do niczego. Nie można z czymś takim pracować. Nowa wersja będzie gotowa za kilka dni. Wobec tego trening oficerski przesuwamy na później. Dobranoc, panowie. 5 Noc po pogrzebie Podłużne wzniesienie nad Menem: Tu stały koszary mieszczące szkołę wojenną. Na mapach topograficznych punkt ten był oznaczony jako wzgórze 201. I niemała ilość ludzi uważała go za pępek świata. Poniżej, w płaskiej kotlinie, na brzegach zakręcającego w tym miejscu Menu, leżało miasteczko Wildlingen: wijące się, ciasne uliczki, podobne do poskręcanych kiszek. Nad tym wszystkim wisiało bladoniebieskie światło księżyca. śnieg był niby chusta. Ołowiany sen zdawał się panować nad tą nocą. Albowiem wielka wojna była daleko. żadna z jej dróg nie prowadziła jeszcze dotąd przez Wildlingen nad Menem. A mimo to tu, na uboczu, w ukryciu, produkowano nowe komórki fachowego systemu niszczenia. Ale teraz wielka machina szkoły wojennej stała. Inżynierowie odpoczywali i ich narzędzia też. Jeśli nawet wojna nie znała snu - jej wojownicy nie mogli się bez niego obejść. A dla wielu sen ten był tylko przejściem do śmierci. Lecz śmierć na ogół trzymała się z dala od podchorążych szkoły wojennej. Dlaczego miałyby przeszkadzać w czymś, co w końcu służyło jej samej? Tu ofiar jej było niewiele. Inkasowała je poniekąd z czystego przyzwyczajenia, tak jakby jej zależało na tym, żeby nie zapomniano o jej wszechobecności. Cmentarz pod Wildlingen nad Menem, rozpościerający się między miastem a koszarami, ciągle jeszcze błyskał w oczy przewagą takich cyfr na nagrobkach, które świadczyły o sędziwym wieku zmarłych. Taki podporucznik Barkow ze swoimi dwudziestoma dwoma latami robił w tym otoczeniu wrażenie wręcz nienaturalne. Ale i ten drobny feler miał być wkrótce usunięty. Księżycowi w każdym razie było wszystko jedno, nad czym świeci. Na wszystko patrzył równie obojętnie, jak zawsze - na pary miłosne i na trupy, na stare miasto i na nowe hale fabryczne wojny. Niech sobie ci ludzie pisują wiersze o nim, wznoszą oczy do niego, przeklinają jego obecność. On przychodził i odchodził, chudł i tył. Wartownik przy bramie koszar był pyłkiem, stare miasto zwiniętym w kłębek robakiem, szkoła wojenna pustym orzechem. Ale w tej szkole wojennej oddychało tysiąc ludzi. Tysiąc ludzi spało i trawiło. Strumienie krwi leniwie spełniały swą robotę. Miliony porów filtrowały powietrze, jak warstwy oczyszczające w maskach przeciwgazowych. żaden promień światła nie przenikał przez zaciemnione szyby. Za zamkniętymi oknami gromadził się słodkawy wyziew ciał i zgniławy odór koców, materaców i desek podłogi. Zapachy nocne zlewały się ze sobą, zagęszczały, aby niby lepka, leniwa, zapierająca dech masa spowijać śpiących, wtłoczonych w ciasne pomieszczenia. Ale nie wszystkim dany był sen. Nie każdy chciał spać. Niektórym nie wolno było spać. Wartownik przy bramie, zwykły podchorąży, czuł zimno, zmęczenie i nudę. Poza tym nic więcej nie czuł. I powiedział głośno: „Przekłete gówno”. Co miał przy tym na myśli, tego sam dokładnie nie wiedział. Jedyne, co wiedział naprawdę, to to, że musi zostać oficerem. Ale dlaczego tak być musiało, nad tym już od dawna się nie zastanawiał. Odwalał swoją służbę. Również warta była jej część. To wszystko. * * * - Nie jesteś jeszcze zmęczona? - spytała Elfrieda Rademacher dziewczynę siedzącą na jej łóżku. - W twoim wieku już dawno spałam o tej porze. - Jesteś przecież tylko o kilka lat ode mnie starsza - powiedziała dziewczyna. - A im później, tym się robisz weselsza. Elfrieda przeglądała się w stojącym przed nią lusterku. Czesła starannie włosy.

Obserwowała przy tym dziewczynę za swymi plecami, odbijającą się w lustrze. Dziewczyna była w koszarach dopiero od kilku dni: nowy narybek w kuchni nr 1, zatrudniona przy pracach pomocniczych. I tylko w dzień. Ta Irena Jablonski była jeszcze bardzo młoda, miała zaledwie szesnaście lat. Uwzględniano to przy przydzielaniu jej pracy. - Jeszcze dziś gdzieś wychodzisz? - dopytywała się dziewczyna. - Mam jeszcze robotę - ucięła Elfrieda. - Wyobrażam sobie, co ty masz jeszcze do roboty - powiedziała dziewczyna. - Mogłabyś sobie zaoszczędzić tego rodzaju myśli - powiedziała Elfrieda opryskliwie. - Lepiej byś wówczas spała. Irena Jablonski odburknęła coś i rzuciła się na łóżko. Czuła się dorosłą i chciała być odpowiednio traktowana. Potem obleciał ją strach przed tym. Prawda: ostatnio sypiała coraz gorzej. Elfrieda udawała, że nie zwraca na nią uwagi. Ta Irena Jablonski była jedną z pięciu dziewcząt, z którymi dzieliła ten pokój. Szczupłe, delikatne, kruche stworzenie, z dużymi oczyma i uderzająco pełnymi piersiami. Przedwcześnie dojrzała - jeśli sądzić po tym biuście. Dziecko - jeśli spojrzeć na twarz. - Czy nie mogłabym choć raz pójść z tobą, jak wychodzisz wieczorem? - spytała dziewczyna. - Nie - odparła Elfrieda stanowczo. - Jeśli mnie nie zabierzesz, pójdę po prostu z innymi. Te inne to były pozostałe cztery współlokatorki: dwie z nich pracowały w centrali telefonicznej, jedna w kancelarii, jedna w izbie chorych. Dorosłe były wszystkie, doświadczone i beztrioskie aż do granic obojętności - co zdawało się być wprost nieuniknione po dwóch, trzech latach koszarowego życia. Teraz spały już - ale tylko dwie we własnym łóżku. - To, co wam wolno - rzekła Irena gniewnie - to mnie też. - Wybij to sobie z głowy - powiedziała Elfrieda. - Na to jesteś jeszcze o wiele za młoda. Rozejrzała się po całym pokoju: meble jak we wszystkich koszarach, ale średniej klasy; nie takie jak dla szeregowców, raczej jak dla kaprali i sierżantów. Były tu nawet nocne stoliki, należące się właściwie tylko oficerom. Mimo to wszystko tu było standardowe. Tylko że jednostajny obraz łagodziły narzuty, papierowe kwiaty, ozdóbki. Znać było kobiecą rękę. Jeszcze nie były zupełnie zrezygnowane. - Posłuchaj - powiedziała Elfrieda do Ireny - może byłoby lepiej, gdybyś nie robiła sobie żadnych nadziei... w tej sprawie, która ci leży... powiedzmy, na sercu. Jesteś na to za młoda... i szkoda cię na to. Ja też byłam kiedyś taka jak ty, taka sama. I robiłam mniej więcej to wszystko, o czym ty marzysz w swoich najskrytszych snach. No i nie opłacało się... rozumiesz? To nie ma sensu. - Ale mimo to robisz to dalej, prawda? - Tak - powiedziała Elfrieda otwarcie. - Bo nareszcie mam nadzieję, że może się jednak opłaci. - A czy człowiekowi nie wydaje się tak zawsze? Elfrieda skinęła potakująco głową. Odwróciła się i pomyślała sobie: A jeśli nie ma już żadnej nadziei... co wtedy? Co potem? I dodała po cichu: - On jest inny niż wszyscy... przynajmniej tak mi się zdaje. * * * Kapitan Ratshelm uważał to, co mu nie dawało zasnąć, za poczucie obowiązku. Przygotował się do zajęć na następny dzień, napisał matce podniosły list, a potem, zadumany, wsłuchiwał się w ostatnie szmery poprzedzające capstrzyk. Bose stopy biegnące po korytarzu. Szum wody w umywalni i toalecie. Krótka wymiana zdań. Parę żartobliwych uwag. Zdrowy śmiech młodych mężczyzn. A potem kroki pełniącego dyżur oficera kontrolnego, obchodzącego izby zajmowane przez podchorążych: mocne stąpnięcia, lekki brzęk, gdy żelazne gwoździe nabite na obcasy trafiały na kamień. Krótkie urywane meldunki. Wreszcie cisza, jakby sztuczna i wymuszona. Była taka zasada: Kto z podchorążych chciał teraz, o godzinie dwudziestej drugiej, spać, temu nie wolno było przeszkadzać. To znaczy: koledzy nie mieli prawa mu przeszkadzać! Przełożeni, ćwiczenia alarmowe czy specjalne kontrole - w każdej chwili. Kto jeszcze chciał sobie popracować, mógł to robić do godziny dwudziestej czwartej. Ale pod żadnym pozorem nie wolno mu było wywoływać hałasu i przeszkadzać innym. I oto nadchodziła godzina Ratshelma. Kapitan przyjął bowiem następującą zasadę: Powierzeni ci podchorążowie powinni wiedzieć, że każdej chwili jesteś gotów zatroszczyć się o nich. Przystępował zawsze do akcji według jemu tylko znanego i jego zdaniem dobrze przemyślanego planu: Raz wczesnym rankiem, natychmiast po pobudce, kiedy nadzorował toaletę i gimnastykę poranną; drugi raz, tak jak teraz, późnym wieczorem. Ratshelm opuścił swój pokój. Przeszedł sprężystym krokiem korytarz budynku swego oddziału, przeszedł bramę, plac zbiórek, główną ulicę, obszedł magazyn amunicji i skierował się prosto ku jednemu z baraków. Kwaterowała tu grupa szkolna H. Barak tej grupy był poniekąd zapchajdziurą. Koszary bowiem

stawały się powoli za małe w stosunku do swoich wielkich zadań. Trzeba więc było jeszcze zbudować baraki. I najmłodszy spośród przyszłych oficerów, wcieleni do grupy H, z natury rzeczy pierwsi odczuli na własnej skórze to ścieśnienie. Tego rodzaju stajnie mieszkalne Ratshelm nie uważał jeszcze za nieszczęście. Ale stały trochę na uboczu, a to już budziło zastrzeżenia. I wymagało szczególnego nadzoru. Ratshelm wszedł w wąski korytarz baraku. Rozejrzał się ciekawie. To jednak, co ujrzał, a raczej, czego nie ujrzał, rozczarowało go. W żadnej z izb, do których prowadziły oszklone drzwi, nie paliło się światło. Podchorążowie widać rzeczywiście spali. To jednak znaczyło, że nie zależało im na tym, aby jeszcze sobie o tej porze popracować - mimo że to było wyraźnie dozwolone. Następnie wszedł do izby numer 7. Mieszkająca tu czwórka podchorążaków spała rzeczywiście - przynajmniej nic nie wskazywało na to, że tak nie było. Jeden nawet chrapał na swoim wyrku. Inni leżeli cicho i bez ruchu, jak zdani na łaskę losu, zmęczeni zmęčeniami,omalże nieżywi. Bądź co bądź izba była porządnie sprzątnięta. Ratshelm ocenił to jednym krótkim fachowym spojrzeniem. W jego oczach zabłysło uznanie. Oświetlał latarką kieszonkową łóżka połowe. I natknął się przy tym na parę otwartych oczu, patrzących na niego całkiem przytomnie. - No, Hochbauer - powiedział Ratshelm stłumionym głosem i podszedł bliżej. - Jeszcze nie śpicie? - Pracowałem do tej pory, panie kapitanie - rzekł Hochbauer, również przytłumionym głosem. Kapitan uśmiechnął się rozmarzony, podobnie jak uśmiechają się znawcy, kiedy stają w galerii obrazów przed swoim ulubionym płótnem. Był szczęśliwy, że miał w swoim oddziale takich wspaniałych ludzi. - A nad czymście tak późno jeszcze pracowali, Hochbauer? - spytał zaciekawiony. W jego dźwięcznym barytonie brzmiała nuta ojcowskiej życzliwości. - Czytałem Clausewitza - powiedział podchorąży. - Bardzo przyzwoita lektura - zgodził się Ratshelm. - Obawiam się tylko, panie kapitanie, - powiedział Hochbauer ufnie - że natknąłem się na parę niejasności. Nie znaczy to wcale, żebym nie dowierzał Clausewitzowi, ale jest tam kilka miejsc, które nie bardzo rozumiem. - Jeśli tylko o to chodzi, mój drogi Hochbauer, to możecie spokojnie przyjść z tym do mnie. Któregoś dnia po zajęciach. Może to być nawet jutro wieczorem. Wiecie przecież, gdzie mieszkam. Ja wam pomogę. Przecież po to tu jesteśmy! - Dziękuję, panie kapitanie - rzekł podchorąży uszczęśliwiony. I wyprężył się, wypiął pierś, jak gdyby chciał na leżąco zaszalutować. Nocna koszula rozsunęła mu się na piersi, ukazując matowo lśniąca skórę i znak rozpoznawczy. Ratshelm skinął mu głową i wyszedł. Było mu nagle bardzo pilno. Przymuszczałnie wzywał go obowiązek. * * * Generał major Modersohn siedział przy biurku. Ostre światło lampy padało na jego kanciastą twarz. Wydawało się nieomal, że siedzi tu zamiast niego figura woskowa. Ale to generał pracował. Miał przed sobą otwartą teczkę z aktami. A na teczce napisane było grubymi drukowanymi literami: Krafft, Karl, porucznik. Modersohn zajmował w tak zwanym domu gościnnym, przylegającym do kasyna, dwa pokoje. W jednym pracował, w drugim spał. A odkąd tu mieszkał, nie zdarzyło się jeszcze nigdy, żeby jeden pokój został nadużyty do czynności zastrzeżonych dla drugiego. Generał siedział przy biurku ubrany od stóp do głów. Nie można go było sobie wyobrazić w rozpiętej koszuli czy z zakasanyimi rękawami. Nawet jego ordynans rzadko kiedy miał okazję oglądać Modersohna w szelkach czy skarpetkach. Dla generała istnieli tylko ubrani żołnierze lub rozebrani - ubrani niedbale nie mieli prawa w ogóle istnieć. Dlatego było dla niego rzeczą samo przez się zrozumiałą, że pośrodku nocy, będąc sam w pokoju, zachowywał taką samą nienaganną postawę, jak podczas inspekcji czy na defiladzie. Kurtka generała, z kamgarnu, lekko wytarta na łokciach, już nieco znoszona, ale bez najmniejszej plamki, była i teraz zapięta pod szyję. Złote liście dębowe na kołnierzu zdawały się żarzyć w świetle jasnej żarówki magicznym blaskiem. Generalski orzeł na lewej piersi był wyblakły i sprany. Modersohn nie nosił żadnego orderu, żadnej baretki, mimo że posiadał prawie wszystkie, jakie tylko istniały. Generał przykładął wagę do tego, by oddziaływać wyłącznie poprzez swoją osobowość, a nie złotkiem. Mimo to twarz generała była teraz nieco zmieniona - skąpe ustępstwo na konto tego, że był zupełnie sam. Patrzył z pewnym zamyśleniem na leżące przed nim akta personalne. Uważnie czytał i konfrontował jedną opinię służbową po drugiej. Wreszcie doszedł do wniosku, że są one dziełem partaczy. Bo jeśli wierzyć tym opiniom, dzisiejszy porucznik Krafft był zawsze

człowiekiem bez cech szczególnych, dobry, prawie poczciwy żołnierz, solidny i chętny. Coś się tu nie zgadzało. Generał jeszcze raz zaczął czytać te opinie. Szukał teraz systematycznie pewnych określonych zwrotów, owych charakterystycznych sformułowań jakby na marginesie - i znalazł je. I uśmiechnął się ledwo dostrzegalnie. W opinii służbowej byłego kaprała Kraffta przeczytał na przykład, co następuje: „...odznacza się szczególnym uporem - jego poczucie dyscypliny nie jest jeszcze tak wyrobione, jakby należało sobie tego życzyć - cechuje go stanowczość...” A opinia służbowa podporucznika Kraffta brzmiała: „...potrafi rozwiązywać samodzielnie zadania - jest uparty, posiada energię, nie umie jej jednak jeszcze we właściwy sposób wykorzystywać - doskonały dowódca, który pod kierunkiem zręcznego przełożonego może dokonać rzeczy niezwykłych...” Ostatnia opinia, napisana krótko przed przeniesieniem Kraffta do szkoły wojennej, zawierała następującą znamioną uwagę: „...umysł skłonny do krytykowania - wielostronnie uzdolniony, aczkolwiek nieszczególnie wygodny podwładny - obdarzony dużym poczuciem sprawiedliwości...” W sumie zaledwie kilka słów, wyluskanych z mnóstwa neutralnych, nic nie mówiących sformułowań, tanich ogólników i zwrotów grzecznościowych. Ale te skąpe słowa pozwalały przypuszczać, że Krafft był zjawiskiem niecodziennym. Podejrzanie często musiał zmieniać stanowiska służbowe - ale prawie ani razu bez słów uznania. Prawdopodobnie wychwalano go, aby się go tym łatwiej pozbyć. A teraz wylądował akurat tutaj, w tej szkole wojennej - w zasięgu władzy generała Modersohna, popularnie „lodowcem” albo też „ostatnim Prusakim” zwanego. Modersohn zamknął akta personalne Kraffta. Kartka w notesie leżącym w zasięgu jego ręki pozostała nie zapisana. Generał zamknął na chwilę oczy, jak gdyby go raziło jaskrawe światło lampy stojącej na biurku. Ciągle jeszcze w jego twarzy nie było nic, co by zdradzało jego myśli. Ale lekki uśmieszek pozostał. Modersohn podniósł się i poszedł do swojej sypialni. Stało tu łóżko polowe, do tego krzesło i szafa. I jeszcze umywalka - nic poza tym. Generał rozpiął kurtkę i wyjął portfel. Otworzył go i ujrzał zdjęcie w formacie pocztówkowym. Przedstawiało młodego człowieka - oficera o ostro zarysowanej twarzy; jego duże oczy spoglądały otwarcie i pytająco; nie było w nich wesołości, tylko cicha, pełna wiary stanowczość. Kiedy generał oglądał to zdjęcie, jego oczy nabierały jak gdyby ciepła. Surowość zdawała się ustępować miejsca jakiemuś ledwo uchwytnemu smutkowi. Zdjęcie przedstawiało podporucznika Barkowa, którego w tym dniu pochowano. * * * Porucznik Krafft również nie mógł tej nocy spać. Ale nie sumienie było tym, co mu nie dawało zasnąć, lecz Elfrieda. - Mam nadzieję, że cię nikt nie widział - powiedział zatroskany. - A jak tak, to co? - odparła Elfrieda pozornie obojętnie i przysiadła się do niego na łóżko. Wiedziała, czego potrzeba mężczyźnie: niewzruszonej pogody ducha. Tylko nie problemów! - Co powiedzą twoje współlokatorki? - Dokładnie to samo, co ja mówię o nich, gdy nie śpią we własnym łóżku, mianowicie nic. Krafft wsłuchiwał się w noc, ale nie było w niej nic niepokojącego - z wyjątkiem Elfriedy, która zaczęła właśnie zdejmować suknię. Krafft musiał stwierdzić, że w koszarach tych panują dość dziwne obyczaje, dziwne choćby dlatego, że pod okiem takiego generała jak Modersohn były w ogóle możliwe. - Na to nie ma lekarstwa - powiedziała Elfrieda, ściągając przez biodra halkę. Robiła to z wielką naturalnością, co - jak Krafft mniemał - świadczyło o pewnej praktyce. Krafft nie mógł tej dziewczyny rozgryźć. Właściwie wszystko odbyło się bardzo prosto, zupełnie bez komplikacji, na szczęście bez problemów. Ale nie była taka, za jaką chciała uchodzić. Krafft czuł to. Raz po raz łapał się na tym, że zastanawia się nad nią. A może, powiedział sobie, może jej chodzi nie tyle o własną przyjemność, ile o niego. To, co robiła w tej chwili, miało wiele wspólnego z kobiecą troskliwością. - Czy ty właściwie nie masz żadnych skrupułów? - spytał Krafft. - Dlaczego? - odpowiedziała pytaniem na pytanie. - Lubimy się, to chyba wystarczy. - Mnie tak - powiedział Krafft. - Ale co będzie, jeśli taki kapitan Kater dowie się, jak spędzasz noc? W końcu odpowiada oficjalnie za ciebie i pozostałe dziewczęta. Elfrieda zaczęła się śmiać. Był to śmiech niefrasobliwy i brzmiał niebezpiecznie głośno. - Akurat Kater potrzebuje tu odgrywać stróża moralności! - A może z nim masz też jakieś specjalne doświadczenia? - zapytał Krafft. I stwierdził ze zdziwieniem, że ta myśl niemal go zabolala. Elfrieda przerwała swoje czynności. Wyprostowała się, zmierzypła go ciemnymi oczami i

powiedziała: - Jestem tu od dwóch lat, odkąd istnieje ta szkoła wojenna. Mieszkam z ponad czterdziestoma dziewczętami w budynku komendy szkoły, w oddzielnym, zamkniętym korytarzu; mamy nawet osobną bramę. W dzień pracujemy w kancelariach, w kantynach, w centrali telefonicznej, w magazynach i warsztatach. Jesteśmy żeńskim personelem cywilnym, obowiązującym do służby wojskowej w czasie wojny. Dzień w dzień stykamy się z mężczyznami, tysiąc mężczyzn kręci się naokoło nas. Nie ma więc w tym nic dziwnego, że mamy czasem ochotę być z mężczyznami również nocą. - W takim razie cieszę się, że spośród tego tysiąca wybrałaś akurat mnie. - Z kilku przyczyn - powiedziała Elfrieda, ściągając pończochy. - Po pierwsze dlatego, że twój pokój znajduje się w tym samym budynku, co mój. To znacznie upraszcza sprawę. Poza tym dlatego, że oboje pracujemy w tym samym miejscu, w kompanii administracyjnej. W ten sposób łatwiej nam się do siebie dostosować, jeśli idzie o wolne wieczory. A poza tym istnieje jeszcze jedna przyczyna, Karl, wcale niebagatelna: podobasz mi się. Nie chcę przez to powiedzieć, że cię kocham. Nie lubię takich wielkich słów; zresztą one już się bardzo zdeprecjonowały, w tych wielkich czasach, w których wypadło nam żyć. Ale bardzo cię lubię. I tylko dlatego, że tak jest, robię to, co robię. Kapitan Kater w każdym razie nie figuruje na mojej stosunkowo krótkiej liście i nigdy figurować nie będzie. Elfrieda prawie w pośpiechu zdjęła biustonosz. Krafft przyglądał się jej z czułością i pożądaniem, i już _już chciał władczo wyciągnąć po nią rękę, gdy ona potrząsnęła głową i spojrzała na niego nieomal smutnie. Potem powiedziała: - Nie jestem bynajmniej chodzącą cnotą i nie muszę cię chyba o tym zapewniać. Ale to wcale nie jest tak samo przez się zrozumiałe, że tu jestem, że wszystko między nami poszło tak gładko - to ci jednak muszę powiedzieć. Ale jest jeszcze coś. Oddychała z trudem, i on to źle rozumiał. - Chodź do mnie! - powiedział niecierpliwie. Elfrieda potrząsnęła głową. - Ale jest jeszcze coś - powiedziała głosem prawie ochryplym. - Coś jakby strach. To pewnie głupio z mojej strony, że to mówię. Ale od pierwszej chwili mam takie uczucie, że wszystko między nami będzie krótko trwało. Nie śmieję się ze mnie, Karl. Wiem przecież, że w tej wojnie nie może nic długo trwać. Wszyscy przychodzą i odchodzą, kochają i oszukują, chcą zapomnieć i ulegają zapomnieniu. No cóż, z tym trzeba się pogodzić. Ale to nie tylko to... tym razem nie tylko to. - Chodź do mnie - powtórzył jeszcze raz i wziął ją w ramiona. Pożądanie uderzyło mu do głowy, jej słowa nie dochodziły już do niego. Usta jego prześliznęły się do jej ucha, zdawało mu się, że słyszy szum jej krwi. - Ty marzniesz, dziewczyno. Chodź, zagrzeję cię. - Boję się - powiedziała. Drżała w jego ramionach. Jemu się zdawało, że to z zimna. Nie chciał myśleć, nie chciał słyszeć ani widzieć. Chciał tylko czuć - i zapomnieć. I dlatego nie słyszał, jak powiedziała: - Boję się... o ciebie. * * * - Tak to już jest - powiedział kapitan Kater pełen ponurych myśli. - Człowiek niestrudzenie spełnia swój obowiązek, a jaka go za to spotyka nagroda? Jest zapoznany! Ma trudności! I tylko dlatego, że istnieje gdzieś ktoś, kto ma się za ostatniego Prusaka i dla kogo przepisy są ważniejsze niż wartości czysto ludzkie. Kapitan Kater siedział w jednym z tylnych pokoiów kasyna, w najodleglejszym kącie. Łagodnie świecącej lampy padało na jego okrągłą jak księżyc twarz. Naprzeciw siedział Wirrmann, sędzia wyższego sądu wojennego. Obaj mieli kwaśne miny. Spoglądali ponuro na butelkę wina, która zasługiwałaby przecie na bardziej radosne twarze - był to bowiem pommard, jedno z najszlachetniejszych win, jakie dojrzewa w słońcu Francji. Kater miał jeszcze kilka takich skrzyń w piwnicy, ale bał się, że nie zdąży już ich wypić. Wydawało się bowiem, że generał nie da mu spokojnie żyć. A przy tym Kater w swoim własnym przekonaniu był człowiekiem niezwykle dobrodusznym i do tego jeszcze świetnym organizatorem. Ale Modersohn nie umiał doceniać takich subtelności. W całym Wehrmachcie nie było chyba drugiego takiego typu! I akurat ten jeden musiał zostać komendantem szkoły wojennej, w której kapitan Kater był dowódcą kompanii administracyjnej! - Generał - powiedział Wirrmann - jest, zdaje się, człowiekiem nader samowolnym. - Sformułowanie to zostało wypowiedziane bardzo ostrożnie; nie zabrzmiało ani jak prowokacja, ani jak wyrzut. Taka już była taktyka Wirrmanna. W doborze słów był zawsze ostrożny; toteż zabrzmiały one prawie jak słowa dojrzałe do protokołu. Z tonu tych słów Kater mógł jednak się domyślić, co się dzieje w sercu Wirrmanna. Sędzia wyższego sądu wojennego Wirrmann, przydzielony inspektoratowi szkół

wojennych, doświadczony prawnik i lojalny sługa państwa, nagi miecz sprawiedliwości, mający na swoim koncie ponad dwa tuziny wyroków śmierci - i akurat jego Modersohn zjechał jak głupiego, podrzędnego urzędnika sądowego. Przed całym korpusem oficerskim! Kater musiał więc siłą rzeczy widzieć w Wirrmannie sojusznika. - Mówiąc między nami - powiedział Kater i nachylił się poufnie do przodu - generał jest nie tylko samowolny, jest całkiem po prostu nieobliczalny. Brak mu, że tak powiem, radości życia. Gardzi najszlachetniejszymi winami, najwyborniejszymi cygarami, jego spojrzenie nie łagodnieje, kiedy pada na przyjemną dla oka dziewczynę. - Trudno jednak nie dostrzec jego zainteresowania pewnymi młodymi oficerami - przerwał Wirrmann. I uśmiechnął się przy tym, niezwykle subtelnie, jak mu się zdawało, ze znanstwem. Bardzo łagodnie i ostrożnie uchylił rąbka smutnej prawdy - jego zdaniem. Kapitan Kater zakrztusił się trochę. Czerwone wino kapnęło mu na mundur, ale nie zwracał na to uwagi. Myśl jego pracowała intensywnie. Zdanie wypowiedziane dopiero co przez sędziego było samo w sobie dość niewinne. Ale kontekst, w jakim zostało wypowiedziane - i to umyślnie - był alarmujący. Kapitan Kater spytał ostrożnie: - Pan naprawdę myśli... - Ja w ogóle nic nie myślę - uciął natychmiast Wirrmann. - Nie próbowałem nawet robić aluzji. Snułem jedynie rozważania zmierzające mniej więcej w tym kierunku: że chyba żaden człowiek, z wyjątkiem oczywiście naszego F~uhrera, nie jest w swych decyzjach nieomylny. Chyba że jest w tej szczęśliwej sytuacji, że może się kierować obowiązującymi ustawami. Chciałem więc powiedzieć tylko tyle: pewne czysto ludzkie słabości nawet u generałów są nieuniknione. - I nie zawsze tak całkiem bezpieczne, ma pan rację. - Kater kiwnął potakująco głową. - I to wszystko nierzadko ze szkodą dla człowieka uczciwego, skromnego, solidnego oficera. W moim szczególnym przypadku dochodzi jeszcze to, że ten Krafft leci na moje stanowisko dowódcy kompanii administracyjnej. Inaczej nie można przecież wytłumaczyć sobie tego wszystkiego, na co on sobie pozwala. - No tak - powiedział Wirrmann przeciągle. - Pańskim przyjacielem generał na pewno nie jest. A ten Krafft wydaje mi się dość energicznym i bezwzględnym facetem. Może mu się naprawdę uda wygryźć pana; na takie eksponowane stanowisko, jak pańskie, jest zawsze dużo reflektantów. Ale Krafft mógłby zostać pańskim następcą tylko wtedy, gdyby zgodził się na to, chciał tego i popierał to generał. - A to wcale nie jest wykluczone - przyznał Kater. - Bo co generał wie o moich indywidualnych zaletach? A przy tym spełniam swój obowiązek co najmniej tak sumiennie, jak on. Ale on nie potrafi tego widocznie docenić. To człowiek jednostronny, mówiąc między nami, w zaufaniu. No dobrze, rozumie się coś niecoś na strategii i taktyce. Ale nie zrozumiał jednej prostej prawdy, niezmiennej od tysiącleci, odkąd istnieją żołnierze, prawdy, która brzmi: żołnierz głodny i spragniony jest tylko półżołnierzem. Sędziego wyższego sądu wojennego raziły te prymitywne, nazbyt już wyraźne uwagi Katera, jego niepohamowana złość i nieostrożna otwartość - nie wahał się jednak wykorzystać tych cech. Wirrmann z rozkoszą wdychał ciężką woń czerwonego wina, mówiąc przy tym: - Wiele rzeczy by się na pewno zmieniło i to nie tylko dla pana, gdyby ta szkoła wojenna miała komendanta, z którym współpraca by się jakoś przyjemniej układała. Kater wytrzeszczył oczy. Pospiesznie nalał sobie kieliszek wina i wychylił go duszkiem. Nowe nadzieje zabłyśły na jego księżycowatej twarzy. Widział w duchu skrzynie, które nagromadził dla dobra swoich kolegów - i dla swego własnego. Widział siebie spożywającego owoce swojej skrzętności i zdolności, nie zagrożonego i wolnego od wszelkiego niebezpieczeństwa. I spytał: - Sądzi pan, że to by się dało zrobić? - To zależy - powiedział sędzia przeciągle. - Od czego zależy? - Zakładam oczywiście - zaczął Wirrmann ostrożnie - że pan zdaje sobie z tego sprawę, iż czuję się zobowiązany postępować zgodnie z literą prawa. - Założenie samo przez się zrozumiałe - podchwycił Kater skwapliwie. - Drogi kapitanie - powiedział sędzia Wirrmann - potrzeba nam trochę materiałów. Wystarczy bodaj jakiś punkt zaczepienia, wystarczy bodaj cień, aby móc otworzyć postępowanie. A otwarcie postępowania jwst zwykle jednoznaczne ze zwolnieniem ze stanowiska. Mam na myśli szczególnie dwa punkty. Po pierwsze: ze strony osoby, o której mowa, nie było nigdy ani jednego jednoznacznego wystąpienia, które by świadczyło o akceptowaniu naszej formy państwa czy naszego F~uhrera. Powstaje więc pytanie: czy nie istnieją czasem uwagi,

czyny, dokumenty świadczące o negatywnym stosunku do naszej formy państwa i Führera. To mogłoby być brzemiennie w skutki. Po drugie: wiadoma osoba przejawia rzucające się w oczy zainteresowanie wszystkim, co jest związane z podporucznikiem Barkowem, a więc bezpośrednio samym podporucznikiem Barkowem. Dlaczego tak jest? Co za tym się kryje? Czy nie tu czasem należy szukać jakiegoś punktu zaczepienia? Proszę się nad tym zastanowić - jeżeli zależy panu na tym, by pozostać tu na stanowisku dowódcy kompanii administracyjnej.

Część I (c.d.) 5 Noc po pogrzebie (c.d.) * * * - Za mną, koledzy! - wołał raz po raz podchorąży Weber przytłumionym głosem. - Tylko nie zasłaniać się zmęczeniem! Kto chce zostać oficerem, musi umieć zdać egzamin w każdej sytuacji życiowej. Podchorążowie Mösler i Rednitz skradali się przez teren szkoły wojennej. Podchorąży Egon, Weber przemykał się chyłkiem jakieś dziesięć, piętnaście kroków przed nimi. Wszyscy trzej posuwali się naprzód w cieniu garaży, omijając dróżki między budynkami koszarowymi i trasy wartowników. Zmierzało się prosto do gmachu komendy szkoły. Posuwali się po nocy zgięci w pół, jak gdyby wyszkolił ich Karol May, a nie wielkoniemiecki Wehrmacht. Kieszenie mieli mocno wypchane - butelkami. Jeden ukrywał w dłoni zapalonego papierosa. - Nie tak prędko, koledzy - powiedział podchorąży Rednitz, nie ścisząc przy tym specjalnie głosu. - Nie powinniśmy działać za szybko i powinniśmy przede wszystkim pokrzepić się nieco. - Straciliśmy już i tak za dużo czasu - zaproponował Mösler. - Nie powinniśmy się byli liczyć z Hochbauerem. Musiałeś akurat jemu zdradzić nasz plan? Przecież wiesz, że on jest przeciw takim eskapadom. - Z Hochbauerem trzeba dobrze żyć - powiedział Weber. - Na pewno będzie kiedyś naszym starszym grupy szkolnej. Jeszcze trochę, a owinie sobie kapitana Ratshelma wokół małego palca. - Człowieku - powiedział Mösler z troską w głosie. - Jeśli do tego dojdzie, to z nami wszystkimi kłops. - Hochbauer to pierwszorzędnym kolega - oświadczył Egon, Weber. I naprawdę wierzył w to, co mówił. - A ty, Weber, jesteś głupi jak świnia - powiedział Rednitz uprzejmie. - Ale wcześniej czy później nawet tobie się we łbie rozjaśni. O co zakład? Zatrzymali się na wysokości kuchni, Stanęli w cieniu narzędziowni i wypatrywali sobie oczy za budynkiem komendy szkoły. Księżyc wielkodusznie skrył się za chmurami. Podchorąży Egon, Weber odkorkował butelkę i zdrowo sobie z niej pociągnął. Potem podał butelkę dalej, jak przystało na dobrego kolegę, podczas gdy Rednitz pilnował, czy nie nadchodzi wróg - wartownik lub oficer. - A co zrobimy, jak nas złapią? - zapytał podchorąży Egon, Weber. - Głupią minę - odparł Rednitz. - A co powiemy? - Co nam ślina na język przyniesie, byle nie prawdę. Jeśli chodzi o Rednitza, to nie istniało chyba nic, co by mu nie sprawiało przyjemności. Mösler natomiast szukał systematycznie wszelkich możliwości, które pachniały jakąś rozrywką, przy czym nigdy nie był szczególnie wymagający. A podchorąży Weber gotów był na wszystko, ilekroć go na coś namawiano - od pójścia do kościoła do wizyty w burdelu, od wieczoru w domu do bitki w izbie. Wystarczyło tylko zaapelować do jego koleżeńskiej i siły fizycznej. Był więc niezwykle lubiany przez wszystkich, i awans na oficera miał już prawie w kieszeni. - A gdyby tak pojawił się nagle oficer dyżurny? - nalegał dWeber. - Co wtedy? - Wtedy - powiedział Rednitz, sięgając po butelkę - najdzielniejszy z nas rzuca się na niego, z gotowości do poświęceń. Przypuszczam, że to będziesz ty, Weber. Tego honoru nie dasz sobie chyba wydrzeć! - No dobrze - powiedział Weber niewzruszenie. - Przyjmijmy więc, że tak się dzieje. Wtedy oficer dyżurny zechce wiedzieć, co ja tu robię? - Jesteś lunatykiem, Egon, bo niby co to może być innego? - Z flachą? - Właśnie dlatego! - twierdził Rednitz poważnie. - Bez flachy byłbyś zupełnie normalny. - Po co ta mowa? - niecierpliwił się Mösler. - Na co my jeszcze czekamy? Hajda naprzód, panowie! - Pomału - ostrzegał Rednitz. - Jeśli nie obmyślimy wszystkiego dokładnie i nie będziemy uważali, możemy nielicho wpaść. Przede wszystkim pójdę solo na rekonesans i zbadam sytuację. - Chcesz sobie zabezpieczyć najlepszy kasek - powiedział Mösler nieufnie. - Nie powiem, żeby to było akurat po koleżeńsku. - A jeśli ktoś nie jest koleżeński - rzekł Egon Weber, główny zapaśnik i najbardziej zapalony bokser grupy szkolnej H - potrafię być bardzo nieprzyjemny. Wobec takich argumentów Rednitz był bezsilny. Nie pozostawało nic innego, jak działać zgodnie z tym, czego

nauczyli się na lekcji u kapitana Federsa: Każdą zaplanowaną operację przeprowadzać konsekwentnie, jeśli decydujące zmiany strategiczne nie wymagają nowych planów. Ale „strategicznych zmian” nie było ani śladu, jak okiem sięgnąć: nie widać było żadnego oficera, a wartownicy drzemali w jakichś zakamarkach. Zaś w piwnicy komendy szkoły, w centrali telefonicznej, siedziały biedne, miłe, stęsknione telefonistki. O tym, co się wydarzyło ubiegłej nocy, wiedziały już późnym popołudniem całe koszary. Podchorąży Weber dowiedział się pewnych szczegółów od magazyniera sprzętu sportowego. Tego znów uświadomił podoficer gospodarczy kuchni, z kolei bliski przyjaciel pisarza z kancelarii komendy szkoły, który był bliskim przyjacielem zgwałconego podoficera łączności. Jednym słowem: adresy prima; stosunkowo łatwo osiągalne. Dziewczeta nie będą musiały się męczyć! - No to jazda! - rzekł podchorąży Rednitz, trąbiąc niejako do ataku. M~osler i Weber szli za nim pełni radosnych nadziei. Trzymali butelki za szyjki i wywijali nimi jak granatami. Przesadzili, pochyleni, główną ulicę koszar i znikli w budynku komendy szkoły, zdecydowani przypuścić szturm do centrali i dziewcząt. Lecz kiedy doszli do mety, zastali tam już trzech innych. * * * Kapitana Federsa, wykładowcę taktyki uczącego grupę szkolną H, spowijały gęste kłęby dymu. Feders siedział i myślał, i pisał, i palił aż do znużenia. Usiłował skupić się na planie lekcyjnym na następny dzień: Transport kolejowy batalionu piechoty. Ale nie mógł się skupić. A sen nie przychodził. Noc wokół niego zdawała się głucho szumieć, jak gdyby powietrze przecinały dalekie samoloty albo po drugiej stronie wzgórz toczyły się bez przerwy pociągi. Wiedział jednak, że to tylko złudzenie. Wokół niego nie było nic prócz kłębow dymu z papierosów, nagich ścian jego pokoju i podłogi z desek, od której wiało chłodem. Nic nie docierało do jego uszu - nic z tego, co się dokoła działo: ani szmery wydawane przez tysiące śpiących ludzi, ani ich jęklivy oddech pod kocami, ani głuche uderzenia serca, ani szept wody, ani szurające kroki wartowników, ani ciężko gdzieś tam dysząca para ludzi, spleciona w uścisku. Wszystko to wiedział. A nic z tego nie słyszał. Kapitan Feders, jeden z powszechnie uznanych najtęższych umysłów w szkole wojennej, nawiedzany ciągle przez chęć dokuczania bliźnim i wygłaszania szyderczych uwag, kpiarz z namiętności i opozycjonista z przekory, uśmiechał się zimno i z wyższością, skoro tylko zwęszył bodaj jednego słuchacza. Ale kiedy był sam, jak teraz, to był to tylko zmęczony człowiek z pooraną zmarszczkami twarzą i z oczami, w których malowała się udręczona bezsilność. Nasłuchiwał w napięciu. Chciał słyszeć, po to tylko, żeby wiedzieć, że słyszy naprawdę rzeczy, o których wiedział jego rozum. Zaciągał się papierosem - to słyszał. Wypuszczał dym z ust - to też słyszał. A żona jego, leżąca w sąsiednim pokoju, musiała się niespokojnie rzucać, odsunąć kołdrę, oddychać otwartymi ustami - ale jakkolwiek by wyteżał słuch, nic z tego nie słyszał. - Wszystko jest martwe - powiedział do siebie Feders - Wszystko gnije. Marion, jego żona, była zobowiązana do służby wojskowej w czasie wojny, tak jak i inne kobiety w koszarach. Poprzedni komendant szkoły wojennej przyczynił się do tego, że przeniesiono ją do Wildlingen nad Menem, co można było interpretować jako akt wielkoduszności. Postarał się nawet o to, że oboje otrzymali małe mieszkanie w domu gościnnym; pani Marion potrafiła bowiem wzbudzić jego zachwyty. Obecny komendant, generał Modersohn, znosił ten stan w milczeniu. Ie go usankcjonuje na wsze czasy, trudno się było spodziewać. Dla Modersohna nie istniało życie prywatne, a cóż dopiero w jego szkole wojennej. Feders nie miał nic przeciwko temu, zwłaszcza w tym wypadku. Ale nie miał odwagi powiedzieć o tym swojej żonie otwarcie, jakby tego wymagała sytuacja. Zmuszał się wprost, żeby móc się skoncentrować. Chciał ją usłyszeć, aby się jeszcze raz przekonać - ciągle i ciągle na nowo - jakie to wszystko jest męczące i bezsensowne. Ale nic nie słyszał. Wstał, podszedł do drzwi prowadzących do sypialni, otworzył je i zapalił światło. Oto leżała Marion, jego żona - krótko ostrzyżone jasnoblonde włosy, śniade silne ramiona, z których osunęła się kołdra; pot snu nadający jej skórze lekki blask. - Idziesz spać? - spytała, mrużąc oczy, i położyła się na wznak. - Nie - powiedział. - Dlaczego nie idziesz spać? - spytała jeszcze raz z wysiłkiem, ledwo otwierając usta. - Przyszedłem tylko po książkę - rzekł Feders. I wziął pierwszą lepszą książkę z nocnego stolika. Odwrócił się na pięcie, zgasił światło i wyszedł z pokoju. Znalazłszy się znowu przy biurku, nie usiadł przy nim. Stał. Odłożył książkę i

wpatrywał się w jaskrawe światło, w falujące kłęby dymu z dwóch tuzinów papierosów, w czyhający na niego mrok w głębi pokoju. W tej chwili uświadomił sobie już ostatecznie, że życie - przynajmniej jego życie - było gównem. Nawet niewarte tego, by je zgasić. * * * Księżyc poszybował dalej. Kontury koszar nikły w bladej, mroźnej ciemności nocy, rozplywały się. Dachy zdawały się robić coraz bardziej płaskie. Ulice stapiały się ze skwerami w jedną szarą masę. Tak jakby mury zapadały się pod ziemię - wszystko wydawało się gładkie i jednostajne. Stan nieświadomości tysiąca ludzi doszedł już do szczytu. Nie było prawie nikogo, kto by się do reszty nie zapomniał. Nawet wartownik drzemał z otwartymi oczami. Wartownik już prawie nie wiedział, co się wkoło niego dzieje. Idealem spokoju była dla niego całkowita pustka. świat na wskroś martwy byłby światem najwygodniejszym do upilnowania. Wlokące się godziny zabrały wartownikowi wszystko: jego niejasne uczucia, nieśmiałe chętki, tłące się leniwym płomykiem władcze myśli i drążące gdzieś w głębi duszy niezadowolenie. Chodził tam i z powrotem siłą inercji; mechaniczny kawał życia z już śpiącym mózgiem. * * * Na wzgórzach nad Wildlingen nad Menem, gdzie teraz stały koszary, kwitły niegdyś winne latorośle. Zaledwie dwadzieścia lat temu dojrzewało tu wino opatrywane etykietą „Wisielcza Góra Wildlingen”. Wspaniałe, aromatyczne, pełnokrwiste wino, zdaniem znawców. Ale czasy wtedy były niedobre, ludzie woleli wódkę od wina, ażeby upić się szybciej i skuteczniej. Lecz później nastały czasy wielkie i heroiczne - jak głośiły gazety i rozgłośnie radiowe zgodnie z obowiązkiem czy świadome swego obowiązku. Naród niemiecki - mówiły, ponownie uświadomił sobie swoje wielkie i szlachetne tradycje. Tak więc pewnego pięknego poranka anno domini 1934 wjechał na wzgórze wóz terenowy. Oficerowie, inżynierowie i urzędnicy popatrzyli, pokiwali głową i wyrzekli w końcu decydujące słowo. Stwierdzono, że Wildlingen godne jest stać się miastem garnizonowym. Mieszkańcy Wildlingen bardzo się z tego ucieszyli, bo lubili służyć, a jeszcze bardziej lubili zarabiać. Koszary wzniesiono w dwa lata później. Zaraz też rozlokował się w nich batalion piechoty. I pieniążki posypały się na Wildlingen. Zaczynnym obywatelom łzy nabiegały do oczu na widok dziarskich żołnierzyków. A liczby przyrostu naturalnego skoczyły gwałtownie w górę. Gdy wybuchła wojna, batalion piechoty został przemianowany na batalion zapasowy. Poza tym niewiele się zmieniło. Tyle tylko, że zaci obywatele już nie płakali ze wzruszenia. Ale krzywa przyrostu naturalnego jeszcze bardziej stromo pięła się w górę. Płodzenie i śmierć okazały się pracowitymi braćmi. W drugim roku wojny zaś koszary nad Wildlingen zamieniły się w Szkołę Wojenną nr 5. Pierwszy komendant: generał Ritter von Trippler - padł na wschodzie. Drugi komendant: pułkownik S~anger - padł ofiarą śledztwa w związku ze sprzeniewierzeniem mienia Wehrmachtu. Trzeci komendant: pułkownik baron von Fritschler und Geierstein - został zdjęty z powodu bijącej w oczy nieudolności i odkomenderowany na front bałkański, gdzie otrzymał wysokie odznaczenie. Czwarty komendant: generał Modersohn. * * * Teraz generał Modersohn spał, oddychając spokojnie i równomiernie. Leżał w łóżku jak w trumnie, w pozycji nieomal dekoracyjnej. Nie było takiej sytuacji w życiu, w której Modersohn nie wyglądałby wzorowo. Spał również Wirrmann, sędzia wyższego sądu wojennego. Leżał jakby wciśnięty między akta, pokryty kurzem procesów, ciężko sapiąc. I równie ciężki był sen, w jaki zapadł Kater, dowódca kompanii administracyjnej. Trzy butelki czerwonego wina chroniły go przed wszelkim niepokojem. Obok porucznika Kraffta ciągle jeszcze leżała Elfrieda. Z twarzy ich można by było wyczytać pragnienie, aby ta noc nigdy się nie skończyła. Kapitan Ratshelm uśmiechał się przez sen. Widział się we śnie na kwiecistej łące obok krzepkiej, a mimo to pięknej żony, wśród gromady urodziwych i tryskających zdrowiem dzieci. I wszyscy, ślubna małżonka i potomstwo, byli podchorążymi: podchorążymi z jego szkoły wojennej, z jego kursu, z jego oddziału - jego podchorążowie! Ale żadnemu z jego podchorążych nie śnił się kapitan Ratshelm - nawet Hochbauerowi. Temu prawie nigdy nic się nie śniło. A jeśli już Hochbauer oddawał się kiedykolwiek snom na jawie, to sny te miały czerwoną, złotą i ziemistobrunatną barwę, obracały się wokół niebotycznej sławy, szacunku i wpływów, potęgi i siły. Nie ma takiej ofiary, której nie warto byłoby ponieść dla tak wielkich rzeczy! Jego ukochany F~uhrer machał w ciężkich czasach pędzlem - i on był gotów na takie ofiary, jeżeli nie będzie innego wyboru. Podchorążowie M~osler,

Rednitz i Weber zasnęli bardzo niezadowoleni. Upragniony teren był już zajęty, ku ich wielkiemu rozczarowaniu. Mimo to nie stracili animuszu. W końcu ich kurs zaczął się dopiero niedawno - równo 21 dni temu. Mieli więc przed sobą jeszcze całe osiem tygodni, i byli zdecydowani je wykorzystać. Kapitan Feders ciągle jeszcze nie mógł zasnąć. Patrzył nieruchomym wzrokiem na zegarek: wskazówki posuwały się naprzód w przeraźliwie powolnym tempie. Zamknął oczy i poczuł pożądanie, trafiające rozdygotanymi mackami kałamarnicy w próżnię. I ujrzał beznadziejną pustkę. Wszystko było martwe. życie: przejście od śmierci do śmierci. Wszystko zgnilizna. A wartownik przed bramą ziewał. 6 Instruktor grupy szkolnej poszukiwany - Miałem stawić się u pana generała na dziesiątą! - powiedział porucznik Krafft do dziewczyny, która obrzuciła go pytającym spojrzeniem. - Będzie pan więc łaskaw zaczekać do dziesiątej, panie poruczniku. Krafft demonstracyjnie spojrzął na zegarek: była za pięć dziesiąta. I powiedział to. Pokazał nawet zegarek. - W porządku - powiedziała dziewczyna uprzejmie, ale z rezerwą. - Przyszedł pan o pięć minut za wcześniej. Dziewczyną, z którą rozmawiał, była Sybilla Bachner. Pełniła służbę w przedpokoju generała, wspólnie z jego adiutantem, któremu podlegała. Ale adiutant, porucznik Bieringer, akurat był nieobecny - może z polecenia generała liczył w tej chwili komiśniaki. Sybilla Bachner robiła w każdym razie wrażenie, że jest zdecydowana stosować się ściśle do życzeń generała - po prostu nie zwracała na Kraffta uwagi. Krafft usiadł. I to na krześle adiutanta. Założył nogę na nogę i przyglądał się Sybilli Bachner z wyzywającym zainteresowaniem. - A więc pani jest, że tak powiem, prawą ręką generała, mówiąc oględnie. - Pracuję jako biuralistka, panie poruczniku, inne funkcje czy obowiązki nie istnieją dla mnie. Ma pan jeszcze jakieś pytanie? Sybilla uśmiechnęła się z lekkim odcieniem pobłażliwości. Widocznie była przyzwyczajona do tego, że ją tak gruntownie oglądano i wypytywano. - Jak długo - chciał wiedzieć Krafft - pracuje pani już w tym interesie, panno Bachner? - Dłużej niż sam generał - powiedziała Sybilla i spojrzała na niego ze skąpą urzędniczą uprzejmością. - Bo to chyba pana interesuje, prawda, panie poruczniku? Pan generał mnie ani ze sobą nie przywiózł, ani też nie przyjmował do pracy, przejął mnie tylko. - Pod każdym względem? - Bez żadnych ograniczeń służbowych. Sybilla Bachner powiedziała to bez żenady, porządkując przy tym stos papierów na swoim małym biurku, które przylegało do boku biurka adiutanta. Robiła wrażenie, że jest całkowicie pochłonięta pracą. Krafft miał więc doskonałą okazję, żeby się jej dokładniej przyjrzeć. Ta Sybilla Bachner zajmowała specjalną pozycję, ona jedna spośród wszystkich kobiet w koszarach - właśnie dlatego, że pracowała w bezpośrednim pobliżu komendanta. Wymagało to dyskrecji. Własny, oddzielny pokój miał jej dopomóc w zachowaniu tej cnoty. Ale pokój ten nie znajdował się, jak pokoje innych kobiet, w oddzielnym korytarzu budynku sztabowego. Znajdował się w tak zwanym domu gościnnym. Niezbyt daleko od pokoju generała. To położenie dawało do myślenia. W zestawieniu z każdym innym byłoby całkiem niedwuznaczne. Ale nie w zestawieniu z Modersohnem. Tylko nieliczni mogli sobie wyobrazić, że ten generał ma jakieś ludzkie słabości. I to też tylko dlatego, że w przypadku Sybilli Bachner każdy rodzaj słabości byłby wybaczalny. Ta dwudziestopięcioletnia dziewczyna odznaczała się bowiem ciemną, nieomal egzotyczną urodą; śniada, gładka cera, czarne jak noc duże oczy; jedwabiste włosy okalały jej twarz jak chusta - a w tej twarzy rzucały się przede wszystkim w oczy wystające kości policzkowe i zmysłowo miękkie usta. Krafft przestał się przyglądać pannie Bachner, zwłaszcza że naprawdę wydawała się być zajęta wyłącznie pracą. Sekretarki pozostające w bliższych stosunkach ze swoimi szefami zwykle udawały, że pracują. A u niej nie zauważył ani jednego gestu, nie usłyszał ani jednego słowa, które by wskazywało na to, że chce być traktowana jako powiernica swego wysoko postawionego szefa. Była albo z gruntu przyzwoita, albo wyrafinowana. A w każdym razie dla niego nie była niczym innym niż przygodnie spotkanym człowiekiem, o którym szybko zapomni. Za kilka minut bowiem, o tym był przekonany, krótki pobyt w szkole wojennej się dla niego skończy. - Dziesiąta, panie poruczniku - powiedziała panna Bachner uprzejmie. - Proszę wejść. - Tak po prostu? - spytał Krafft zdumiony, jako że panna Bachner w ciągu tych kilku minut ani nie opuściła pokoju, ani nie przeprowadziła rozmowy telefonicznej; nie było też żadnego dzwonka i nic jej nie przekazano -

spojrzała tylko na zegarek. - Jest godzina dziesiąta - powtórzyła Sybilla, tym razem już z dość wyraźnym uśmiechem. - Pan generał przykładą wagę do punktualności, i trzyma się dokładnie swego rozkładu dnia. Proszę wejść, panie poruczniku. Bez pukania. * * * Sybilla została sama w przedpokoju generała. Rozejrzała się po ścianach, na których wisały plany szkolenia i nic poza tym. Wszędzie akta, dokumenty, regulaminy - na biurku adiutanta, na jej biurku, na półkach, na parapetach okien, nawet na podłodze. Wszystko wokół niej było pracą. Otworzyła jedną ze swoich szuflad. Leżało w niej lustro, do którego zajrzała. To, co zobaczyła, wywołało odcień znużenia na jej zamysłonej twarzy: zaczynała się powoli starzeć. Spędzała życie między kurzem papierzysk i trzaskaniem w klawisze maszyny - na jednym z tylnych podwórek wojny. Pospieszenie wsunęła szufladę z powrotem, bo usłyszała nagle kroki. Wszedł adiutant. Odbicie w zwierciadle znikło. Jego miejsce zajął stos akt. - Czy ten Krafft - spytał porucznik Bieringer - jest już u generała? Sybilla skinęła głową. - Przyszedł tylko o pięć minut za wcześnie. I nie wydaje się być szczególnie przygnębiony. Wprost przeciwnie: był nawet dość zuchwały. Był to niewątpliwie komplement. Zwykle bowiem traktowano ten przedpokój jak przedsionek piekła: zjawiały się tu postacie niespokojne, nerwowe albo trzymające się manifestacyjnie sztywno, i to zjawiały się co najmniej na dziesięć minut przed terminem, aby się za nic nie spóźnić. Krafft więc nie należał do tej większości podwładnych. - Był zuchwały, powiada pani? Podoba się pani? - Wydaje mi się, że to człowiek z charakterem. - Nie! Jak na początek - powiedział Bieringer. - Ani mi w głowie coś takiego tu zaczynać - powiedziała Sybilla Bachner hardo. - A dlaczego niby nie? - powiedział adiutant przyjaźnie. - Pani wie, jak bardzo panią cenię, panno Bachner, a moja żona kocha panią jak siostrę. I dlatego martwimy się o panią. Za dużo pani pracuje. Jest pani prawie ciągle sama. Czy nie uważa pani, że przydałaby się pani jakaś mała odmiana? Sybilla spojrzała na adiutanta. Gładka, blada twarz wyglądała dość niepozornie. Przypominał trochę początkującego nauczyciela. I w każdym razie nie był tym, co się nazywa typem żołnierza. Ale był to człowiek, który jakimś szóstym zmysłem wyczuwał wszystko, co dotyczyło generała. Zastępował generałowi maszynę do liczenia i cały plik notesów; i oszczędzał mu mnóstwa niepotrzebnej roboty. - Panie Bieringer - powiedziała Sybilla - moja praca pochłania mnie całkowicie. Nie życzę sobie żadnych odmian. Adiutant udawał, że zajmuje się intensywnie jakimiś aktami. - No tak - powiedział po chwili przeciągle i ostrożnie - jeśli tak, to bardzo dobrze. Również i generał myśli tylko o swojej pracy i o niczym więcej. Również i on nie życzy sobie odmiany. - Może sobie pan podarować tego rodzaju niepotrzebne uwagi, panie Bieringer - powiedziała panna Bachner oburzona. - Chętnie - rzekł adiutant - bardzo chętnie, o ile są naprawdę niepotrzebne. Niech mi pani wierzy, panno Bachner, znam generała już spory kawał czasu, znam go dłużej niż pani. Może pani być pewna: on nie ma życia prywatnego i nie chce go mieć. A więc jeśli jest pani mądra, to powinna sobie pani kogoś poszukać póki czas, tego porucznika Kraffta na przykład. Oczywiście pod warunkiem, że on pozostanie tu u nas. Ale o tym zadecyduje jedynie generał. * * * - Panie generale, porucznik Krafft melduje się na rozkaz. Generał Modersohn siedział za biurkiem, które stało dokładnie naprzeciwko drzwi. Odległość od drzwi do biurka wynosiła siedem metrów; wypełniał ją zwykły zielony bawełniany chodnik. Przed biurkiem stało jedno jedyne twarde krzesło. Generał nie uczynił nic, co by wskazywało na to, że ma zamiar przerwać swoją pracę - wypisywał sobie coś z jakichś akt. Powiedział tylko, nie podnosząc oczu: - Proszę podejść bliżej, panie poruczniku Krafft. Niech pan siada. Krafft usiadł posłusznie. Uważał, że Modersohn robi z nim i tak już za wiele ceregieli. Oczekiwał dwóch, trzech zdań wstępu i zarazem zakończenia - krótkiego, mocnego sformułowania w niezafałszowanym żargonie rasowych wojskowych, które byłoby równoznaczne z wylaniem. Lecz generał widocznie się tym razem nie spieszył. Ie zwracając się do Kraffta wymieniał nie tylko jego nazwisko i stopień, ale konsekwentnie dodawał jeszcze „pan”, to było bez znaczenia, miało tylko coś wspólnego z „zachowywaniem form”. A to była jedna z dziedzin, do których ten generał przykładał szczególną wagę. - Panie poruczniku Krafft - rzekł teraz Modersohn i po raz pierwszy spojrzał na swego gościa - zupełnie nieosobowo, ale badawczo jak fachowiec, który zna się znakomicie na swojej specjalności. - Czy wiadomo panu, dlaczego odkomenderowano pana do

szkoły wojennej? - Nie, panie generale - powiedział porucznik zgodnie z prawdą. - Czy pan przypuszcza, że to zdolności pana były przyczyną tego odkomenderowania? - Nie sędzę, panie generale. - Pan sądzi? - zapytał Modersohn, cedząc słowa. Nie lubił tego zwrotu. Oficer nie „sądzi” - wie, przyjmuje, wyraża swój pogląd. - A więc? - Przypuszczam, panie generale, że nie moje kwalifikacje zdecydowały o tym odkomenderowaniu. - Tylko? - Trzeba było odkomenderować z naszej jednostki jakiegoś oficera i wybór padł na mnie. - Tak bez powodu? - Powód jest mi nie znany, panie generale. Porucznik Krafft nie czuł się teraz zbyt dobrze w swojej skórze. Na porządny ochrzan ze strony generała był przygotowany - ale nie na coś w rodzaju śledztwa. Usiłował więc reagować w najbardziej wypróbowany sposób: udawać durnia, odpowiadać możliwie krótko i przy każdej następującej się okazji zgadzać się z przełożonym. Tego rodzaju procedura oszczędzała zwykle wiele czasu i nerwów - ale nie u Modersohna. Generał wziął jedną z kartek leżących na biurku i spytał: - Czy pan zna swoje akta personalne, panie poruczniku? - Nie - odparł Krafft zdumiony, ale zgodnie z prawdą. Modersohn był trochę zaskoczony. Ale i to ledwo można było po nim poznać. Tylko ręka, która miała z powrotem włożyć kartkę do teczki, na jedną sekundę zawisła w powietrzu. Generał znał bowiem praktykę. Akta personalne były zasadniczo „poufne”, ale zawsze można było znaleźć sposób, żeby do nich zajrzeć, jeśli się tylko miało ochotę i trochę sprytu. A spryt ten Krafft miał, generał czuł to wyraźnie. A więc pozostawał tylko wniosek: że wcale nie chciał zajrzeć do swoich akt personalnych, że były mu zupełnie obojętne. Przypuszczalnie wiedział z doświadczenia, jak przypadkowo powstają zbiory takich papierków. - Dlaczego został pan, pańskim zdaniem, w tej szkole oficerem kompanii administracyjnej, a nie oficerem - instruktorem podchorążych? Było to pytanie, które Krafft sam sobie często zadawał. Przeniesiono go tu ponoć po to, by wychowywał podchorążych. I wylądował z miejsca u kapitana Katera, u tych fagasów od kantyny i magazynów. Dlaczego tak było - skąd on miał to wiedzieć? Tak było i już! - Prawdopodobnie przysłano o jednego oficera za dużo na ten kurs, panie generale. A więc trzeba było odstawić jednego do kompanii administracyjnej, przypadkowo trafiło to na mnie. - Nie ma takich przypadków na moim terenie, panie poruczniku Krafft. Właściwie Krafft powinien był o tym wiedzieć. Ale wyglądało na to, że generał zupełnie świadomie prowokował do szczerych odpowiedzi. Dlatego porucznik nie wahał się już dłużej i odpowiedział na swój sposób szczerze. - Panie generale - rzekł - prawdopodobnie uważają mnie za tak zwanego niewygodnego podwładnego. I w pewnym sensie mają rację. Gdzie tylko przychodzę, zawsze szybko się mnie pozbywają. Powoli już przywykłem do tego. - Panie poruczniku Krafft - powiedział generał, na którym słowa Kraffta nie zrobiły widocznie większego wrażenia - z notatki znajdującej się w pańskich aktach personalnych dowiedziałem się, że między panem a byłym dowódcą pańskiego pułku, panem pułkownikiem Holzapflem, doszło do rozdzwieku. Może zechce mi pan to wyjaśnić. - Panie generale - rzekł Krafft nieomal wesoło - w swoim czasie wniosłem na pana pułkownika Holzapfła zażalenie, z powodu defraudacji artykułów z kantyny. Pan pułkownik zwykł wozić ze sobą własny tabor i uważał za stosowne nie tylko zabierać walczącym oddziałom frontowe racje żywnościowe, ale pozbawiał je również pojazdów bojowych, ażeby móc swoje skrzynie z alkoholem i żarciem transportować na tyły. Pan pułkownik stanął przed sądem wojennym, dostał naganę i został za karę przeniesiony gdzie indziej. Jego zastępca odkomenderował mnie do szkoły wojennej. - Nie miał pan skrupułów wnosić skargi na przełożonego, panie poruczniku Krafft? - Nie, panie generale. Moja skarga nie była skargą na przełożonego, lecz na oszusta. Generał niczym się nie zdradził, co sądzi o tej odpowiedzi. - Czy pan - zapytał przeskakując nagle na inny temat - zakończył już dochodzenie w sprawie tego rzekomego zgwałcenia z przedwczorajszej nocy? - Tak jest, panie generale. - Z jakim wynikiem? - Protokół mówiący o zgwałceniu nie odpowiadałby faktom. Trzy dziewczyny oświadczają wiarygodnie, że z początku chodziło im tylko o żart. Jakie rozmiary ten żart przybierze, nie mogły z góry przewidzieć. Poza tym na rzekomym miejscu zbrodni znaleziono trzy puste butelki. Kapral Krottenkopf przyznaje się, że co najmniej jedną z nich wypił on sam, w czasie tego całego zajścia. Okoliczność, która zdecydowanie wyklucza zgwałcenie. Wobec tego cała ta sprawa powinna być załatwiona w drodze dyscyplinarnej. -

Wszyscy, którzy brali udział w tym incydencie, zostaną przeniesieni - powiedział generał takim tonem, jak gdyby mówił o pogodzie - i to w ciągu dwudziestu czterech godzin. Każdy z nich w innym kierunku; każdy co najmniej na odległość trzystu kilometrów od tej szkoły. Proszę to zakomunikować kapitanowi Katerowi. Oczekuję jutro w południe meldunku o wykonaniu rozkazu.

- Tak jest, panie generale - zdążył jeszcze tylko powiedzieć porucznik. - Dalej, panie poruczniku Krafft. W ciągu dzisiejszego dnia przekaże pan swoje obowiązki związane z funkcją oficera kompanii administracyjnej kapitanowi Katerowi i obejmie pan grupę Heinrich. Ja sam dziś w południe zawiadomię wszystkich o nominacji pana na instruktora grupy szkolnej. Do służby na nowym posterunku pan przystąpi jutro rano. - Tak jest, panie generale - powiedział porucznik, nie umiając ukryć swego zdziwienia. Generał Modersohn znowu spuścił oczy, co Krafft przyjął z ulgą. Generał zanotował parę słów na kartce i odłożył ją na prawą stronę biurka. Potem wziął nową kartkę i zaczął i tę zapisywać. Krafft poczuł się nagle zupełnie zbędny. Miał poza tym ochotę napić się koniaku na intencję tego strachu. Kapitan Kater zafunduje mu na pewno z radością całą butelkę. Bo zarządzenie wydane w tej chwili przez generała odsuwało na razie od dowódcy kompanii administracyjnej groźbę przeniesienia. Ale porucznik Krafft nie był jeszcze wolny. Generał uzupełnił swoje notatki, a potem zaczął przeglądać jakieś akta, które cały czas przed nim leżały. Otworzył teczkę prawie uroczyście, a potem zaczął się wnikliwie przyglądać Krafftowi. - Panie poruczniku Krafft - rzekł po chwili - wie pan, że ostatnim dowódcą grupy szkolnej Heinrich był pan podporucznik Barkow? Krafft dał odpowiedź twierdzącą. - I wie pan, że pan podporucznik Barkow uległ śmiertelnemu wypadkowi podczas zajęć z wyszkolenia saperskiego? Również i na to pytanie Krafft dał odpowiedź twierdzącą. - Czy zna pan szczegóły, które doprowadziły do wypadku? - Nie, panie generale. Modersohn wyprostował się i sztywno oparł o swoje krzesło. Ręce położył przed sobą na stole. Koniuszki palców dotknęły leżącej przed nim czerwonej cienkiej teczki. - Przebieg wypadku był następujący: podporucznik Barkow prowadził dwudziestego szóstego stycznia od godziny czternastej zajęcia z wyszkolenia saperskiego z grupą szkolną Heinrich. Miano wysadzić w powietrze pięciokilowy ładunek. Podporucznik Barkow nie zdążył ukryć się w porę przed wybuchem. Został prawie doszczętnie rozszarpany. Co pan sądzi o tym, panie poruczniku Krafft? - Znałem pana podporucznika Barkowa tylko bardzo pobieżnie, panie generale. - Ja znałem go bliżej - powiedział generał głosem trochę ochrypłym. - Był przykładnym oficerem, miał poważny stosunek do służby i był mimo swej młodości bardzo ostrożny. Na spręcie saperskim, szczególnie na materiałach wybuchowych, znał się dobrze. Przeprowadzał już na froncie wschodnim bardzo skomplikowane wysadzanie mostów. - Wobec tego, panie generale, nie rozumiem, jak mogło dojść do tego wypadku. - To nie był wypadek - powiedział generał. - To było morderstwo. Czarna karta została otwarcie położona na stole, spokojnym ruchem ręki, który ucinał wszelką dyskusję. - Morderstwo, panie generale? Słowo to nie pasowało do trzeźwości tego pokoju, nie pasowało do twarzy generała, po prostu było tu nie na miejscu. - Chciałbym - powiedział generał - żeby nie musiał tego słowa nawet pomyśleć. Pan jest drugim człowiekiem, przed którym je wypowiadam. Pierwszy usłyszał moje zdanie sędziego wyższego sądu wojennego Wirrmann. Zażądałem przysłania go od inspektora szkół wojennych, bo chcę, żeby sprawa ta została zbadana zgodnie z prawem. - Czy pan sędzia podziela pańskie przypuszczenia? Czy i jego zdaniem mamy tu do czynienia z morderstwem? - Nie - powiedział generał. - Ale to nie zmienia faktu, że rzeczywiście chodzi tu o morderstwo. O nic innego. Wiem to od podporucznika Barkowa. Przed swoją śmiercią robił mi całkiem niedwuznaczne aluzje, ale wówczas nie chciałem w coś takiego uwierzyć. Niestety wszystkie jego przypuszczenia potwierdził ten czyn. No cóż, pan sam będzie się zajmował tą sprawą, panie poruczniku Krafft. Oddaję panu do dyspozycji wszystkie odnośne dokumenty. Otrzyma pan do wglądu akta sądu wojennego. Będzie mógł pan też przedyskutować ze mną każdy szczegół. Nie potrzebuję chyba podkreślać, że cała ta sprawa jest poufna. - A w jakim celu ja zostałem poinformowany, panie generale? - Ażeby pan szukał i znalazł mordercę - powiedział Modersohn. - Może on być tylko w grupie szkolnej Heinrich, w pańskiej grupie szkolnej, panie poruczniku Krafft. Spodziewam się, że pan rozwiąże to zadanie. Może pan

liczyć na moją pomoc. Na dzisiaj jest pan wolny. Interludium II iyciorys kapitana Ericha Federsa czyli: Sens przypadku „Urodzony 17 czerwca 1915 r. w Aalen w Wirtembergii. Ojcem moim był Konstantyn Feders, pastor ewangelicki. Matką moja była Ewa Maria Feders, z domu Knotek. Wychowywałem się w Aalen.” Pierwsze, co pamiętam wyraźnie, to ręce złożone do modlitwy. I głos zawsze jakby śpiewający. A słowa, które wypowiada ten głos, są piękne i znamienne. To mój ojciec: odziany w ciemne ubranie, bielizna biała jak śnieg, godna, uroczysta twarz. Owiewa mnie cierpki zapach tytoniu, od którego robi mi się trochę mdło. Ale również zapach kwaskowatego wina, kiedy jest niedziela. Gardłowy, zadowolony śmiech, ilekroć ojciec mnie ogląda i obmacuje. Wokół mnie dźwięki organów - najpierw radośnie, potem szumiąco, potem grzmiąco. Nie kończąca się przemoc, wciskająca mi się do uszu. Wreszcie już tylko głuchy, a zarazem ostry syczący gwizd, przytłaczający łoskot, zgrzytliwy chrobot. Ojciec przyciska mnie do wiatrownicy organów. „Wspaniałe! - krzyczy przy tym. - Czy to nie wspaniałe?” I ja także krzyczę, dziko, niepohamowanie i długo. „Szkoda - mówi ojciec rozczarowany - szkoda, że nie jest muzykalny.” Matka jest jak cień, bardzo łagodna, bardzo cicha, stale milcząca - nawet kiedy płacze. Ale matka płacze tylko wtedy, gdy jej się zdaje, że jest sama. A jest rzadko sama - przeważnie ja jestem z nią, za firankami, w kącie przy szafie, pod kanapą. A potem wyłażę i mówię: „Dlaczego płaczesz, mammo?” A ona mówi: „Ależ, synku, ja wcale nie płaczę.” Wówczas idę do ojca i pytam: „Dlaczego mama płacze?” A ojciec mówi: „Ależ, chłopcze, matka przecież nie płacze. Czy ty płaczesz, matko?” - „Ależ nie”, odpowiada matka. A ja mówię: „Dlaczego wy właściwie kłamiecie?” A potem ojciec mnie bije, bo naruszyłem czwarte przykazanie. Przykazania, że nie wolno bić dzieci, nie ma. Syn fabrykanta Hornle chce się stale ze mną bawić - w domu, w fabryce nie wolno mu się bawić. Bo u fabrykanta Hornle walcuje się i kraje blachę, a od czasu do czasu palce i ręce. W kościele coś takiego nie może się oczywiście zdarzyć; poza tym nikt tu nas nie pilnuje, jeśli nie ma akurat nabożeństwa. Ale Hornle ma zawsze chęć wdrapać się gdzieś wysoko, najchętniej na dzwonnice. Lubi przełazić przez otwory dźwiękowe - najpierw jedną nogą, potem drugą, potem obiema, a nawet całą górną połową tułowia. „Zrób to samo - mówi do mnie Hornle - jeśli nie jesteś tchórzem.” - „Czy jestem tchórzem, czy nie - mówię - tego nie wiem, wiem tylko, że nie jestem frajer.” I to prawda. Bo Hornle traci równowagę i łamie sobie gnaty. „Jak to się mogło stać?! - woła ojciec. - Dlaczego nie uważałeś?” - „A dlaczego miałbym uważać? - pytam. - Ja przecież się nie wychylałem.” - „Mój Boże - mówi ojciec - jakiego ja syna spłodziłem?” Ja pytam o to samo. „Od 1921 roku uczęszczałem do szkoły ludowej w Aalen, a od 1925 roku do gimnazjum, gdzie w 1934 roku zdałem, z pewnym opóźnieniem, maturę. Z wyjątkiem tego, że raz siedziałem dwa lata w jednej klasie, okres szkolny przebiegł mi bez większych wstrząsów.” W kościelnym skoku wzwyż osiągam dwa metry trzydzieści centymetrów. Jest to tutejszy rekord, ale pewien chłopak z Goppingen, który spędzał tu latem wakacje, przegonił mnie o całe cztery centymetry - co prawda dopiero po dłuższym treningu. Skok wzwyż odbywa się na linach w trakcie bicia w dzwony. Ciągnie się za sznur i kiedy ten idzie w górę, uwieszony buja się wraz z nim. Kto się najlepiej buja, osiąga najwyższą wysokość i jednocześnie staje się przyczyną uroczystego bicia w dzwony. Poza tym zawiera się zakłady - i moi przyjaciele prawie zawsze wygrywają. „Bluzniercy!”, krzyczy ojciec, kiedy się dowiaduje, dlaczego tak ochoczo zgłaszają się dzwonnicy i tak dobrze dzwonią. Do nas do domu przychodzi profesor Schnorr. „To bardzo wykształcony człowiek - mówi ojciec do mnie - i musisz się odnosić do niego z szacunkiem; poza tym jestem z nim zaprzyjaźniony, a później, gdy pójdziesz do gimnazjum, będzie twoim nauczycielem. A więc: szanuj go i okazuj mu to.” Ale ja nie znoszę Schnorra - zawsze tylko stawia pytania, na przykład: ile jest dziewiętnaście razy osiemnaście, jak się pisze inżynier i kiedy była bitwa w Lesie Teutoburskim. Za każdym razem wciąż inne pytania. Kiedy tylko się pojawia, ja staram się zaraz zniknąć. Ale jeszcze gorsza od Schnorra jest jedna dziewczyna z sąsiedztwa. Nazywa się Marion Michalski. Ta Marion dokucza mi na każdym kroku. Nie wierzy, że ja cośkolwiek potrafię, i nie wierzy nawet w mój rekord w kościelnym skoku wzwyż. A co gorsza: ta Marion jest o trzy lata ode mnie młodsza, a więc jest jeszcze zupełnie małym dzieckiem. Ale wszędzie się zawsze pcha, i do

mnie też. Ma mysie ogonki, śmieje się głupio i zawsze wszystko lepiej wie. Ale ma również swoje zalety: jest córką burmistrza, a ten może rozkazywać nawet policji. To niekiedy bardzo się przydaje. W gimnazjum Schnorr zostaje wychowawcą mojej klasy. To niedobrze. Bo teraz nie mogę już zniknąć, kiedy Schnorr się pojawia. A ten pyta i pyta, i pyta. Ale z biegiem czasu robię postępy i coraz częściej zaczynam mu odpowiadać - nawet jeśli moje odpowiedzi, zdaniem Schnorra, nie zawsze są dobre. „Twój kochany synalek - mówi Schnorr do mego ojca - nie jest dobrym uczniem.” To ojca bardzo smuci, i dlatego dużo pije; Schnorr również jest smutny i pije jeszcze więcej niż ojciec. Dostaje wtedy szklane oczy, mówi niewyraźnie, pluje i ślini się, i spada z krzesła. „Zrobiło mu się niedobrze - mówi ojciec z trudem - zawieź go do domu.” A ja biorę swoje sanki, bo na dworze pada śnieg; pakujemy na nie Schnorra i ruszam w drogę - do parku miejskiego. Tu go składam pod pomnikiem Nieznanego żołnierza. O dalszy transport będzie musiała się zatroszczyć, po moim telefonie, policja. Od tego dnia Schnorr pyta mnie znacznie rzadziej niż dawniej. Czasem nawet zachowuje się tak, jakby mnie nie było w jego klasie. Ale na dłuższą metę nie wytrzymuje tego. Tym intensywniej za to zajmuje się moimi wypracowaniami. Krótco przed promocją do siódmej gimnazjalnej znajduje siedem byków, zakreśla je czerwonym ołówkiem i pisze na końcu: niedostatecznie. To znaczy, że z mojego przejścia do siódmej nici. Ja jednak biorę czerwony atrament i zakreślam dodatkowo jeszcze dwa byki, oczywiście tam, gdzie nie ma żadnych byków. I idę z tym do Schnorra. „Panie profesorze - mówię - tu zaznaczono dziewięć błędów, ale ja zrobiłem tylko siedem.” Schnorr mówi: „Niemożliwe”, liczy jeszcze raz, robi się czerwony, prawie taki jak czerwony atrament, i mówi: „Rzeczywiście. To jakieś niedopatrzenie. Przepraszam.” I wykreśla te dwa byki. „Panie profesorze - powiadam na to - jeżeli za dziewięć błędów dostałem niedostatecznie, to teraz, skoro jest tylko siedem, powinienem dostać lepszy stopień, nie?” Rzeczywiście go dostają - i tym samym przechodzę do następnej klasy. Kościół jest naszą twierdzą. Dorobiłem bowiem do wszystkich zamków dodatkowe klucze - na koszt kościelnego. Złapałem go na tym, jak chciał świsnąć święcone wino. Odtąd robi wszystko, co ja tylko zechcę. Siedzimy więc sobie na dywanie i gadamy o Bogu, o świecie i o życiu - zwłaszcza o życiu. Dlatego dużo pijemy. Aż razu pewnego wciska się między nas ta kotka, ta Marion Michalski. Czego ona właściwie chce? „Ten Ley to stara świnia”, mówię przed całą klasą. Dlatego Schnorr nie może nie dosłyszeć tych słów. Musi iść z tym do dyrektora. Ten w te pędy do inspektora. Ten zaś powołuje komisję i stawia wniosek o usunięcie mnie ze szkoły. Ale ja mówię: „Je ten Ley jest starą świnią, to nie ulega żadnej wątpliwości.” - „Zastanów się, Feders, jak ty mówisz o reichsleiterze!”, wykrzykuje inspektor. „Mówię o starej świni - powiadam. - Ten Ley siusiał z jadącego samochodu, przed całą grupą Hitlerjugend, chłopaki musieli aż uskoczyć w bok, żeby ich nie oblał. Widziałem na własne oczy.” - „Takich rzeczy się nie mówi - oświadcza inspektor na zakończenie - niemiecki chłopiec nie może uwierzyć w takie rzeczy!” W tym roku zostawiają mnie na drugi rok w tej samej klasie, rzekomo dlatego, że jestem słaby z historii. Największą zaletą Schnorra jest niewątpliwie jego żona. Zawsze się uśmiecha, ilekroć mnie widzi. I z roku na rok uśmiecha się serdeczniej. „Zrobił się z ciebie przystojny chłopak”, powiada, kiedy razu pewnego przynoszę zeszyty Schnorrowsi do domu. „Pokaż no, masz już muskuły?” - „Całą masę - odpowiadam - wszędzie.” I ona je wypróbowała. Nie spieszy się zanadto, bo Schnorr ma dziś lekcje po południu. Głos jej chrypnie, oczy ogromnieją. Wygląda na to, że za chwilę straci równowagę, więc łapię ją w ramiona i kładę na tapczanie. „Zostań przy mnie”, mówi. I rzeczywiście zostają, bo ona pokazuje mi wszystko, co chcę, i uczy mnie tego, czego jeszcze nie wiem. Potem mówi: „O czym myślisz?” - „O pisemnych pracach maturalnych - mówię. Czy nie mogłabyś wydestakować tematów?” - „Dla ciebie zrobię wszystko”, powiada. I też zrobiła. „Fe! - mówi Marion Michalski oburzona. - Jak mogłeś coś takiego zrobić! Akurat z tą! Fe, fe! Nie chcę cię więcej widzieć na oczy. Nigdy więcej.” „Wstyd mi za ciebie - mówi ojciec. - Tak dalej być nie może. Musisz nareszcie nauczyć się dyscypliny i porządku. Pójdiesz do wojska.” „W 1935 roku zgłosiłem się ochotniczo do Wehrmachtu. Chciałem zostać oficerem. Po odbyciu dwuletniej zasadniczej służby wojskowej ukończyłem w Poczdamie Wojenną Szkołę Sił Lądowych jako

prymus i w 1938 roku otrzymałem promocję na podporucznika.” Wszystko jest bardzo proste: moje mięśnie są wytrzymałe, moje serce wszystko znosi, moje płuca są lepsze niż miech kowalski. Potrafię szybciej biegać, dalej skakać, dłużej maszerować niż większość. Nigdy nie nawalam. Wszystko jest bardzo proste, jeżeli tylko zrozumiało się pewną bardzo prostą i podstawową prawdę: Głupota jest atutem, a głupcy są miernikiem. To kompletne zero, ten najgorszy dupa Jasiu strzelec musi kapować - wszyscy inni powinni się dostosować do niego. I żołnierz nawet we śnie musi umieć strzelać celnie czy robić to, czego akurat od niego wymagają - wtedy wszystko jest w porządku. Bo każda kolumna jedzie z taką szybkością, z jaką porusza się najpowolniejszy w niej pojazd. Armia jest zawsze tyle warta, co najgłupszy w niej buc. To trzeba wiedzieć, jeśli się chce umieć cierpliwie wojsko znosić. Tę skalę trzeba znać, ażeby mogło dla rekompensaty rozwinąć się w człowieku poczucie wyższości. W wojsku obowiązuje równanie w dół - szczytem absolutnym jest przeciętność. To już mniej więcej wszystko. I żołnierze obok mnie, przypominający cierpliwe stado bydła, to podatny materiał dla rzeźni wojny. Podoficerowie nade mną, ci, co ryczą, beczą, pchają i szturchają, to tryki z zamięłowania lub instynktu. Oficerowie, do których będę się w przyszłości zaliczał, ci wszyscy, co organizują, planują, nadzorują, to zwrotniczowie, inżynierowie i konstruktorzy nagromadzonej ludzkiej siły mechanicznej. Och, przyjaciele, kto to wszystko wie, temu już nic nie zaimponuje. Ale jasno, przejrzyste i prosto funkcjonuje tylko Wehrmacht, a nie życie. Życie jest skomplikowane, nawet jeśli nie zawsze na takie wygląda. Taką komplikacją jest Marion Michalski. Spotykam ją, kiedy przyjeżdżam do domu. Chodzi ze mną, nawet jeśli tego nie chcę. Przeszkadza mi, gdzie tylko może. „Czego ty właściwie chcesz ode mnie?”, pytam. „Chcę wszystkiego, czego ty chcesz”, mówi Marion. A mówi to w parku miejskim, dokąd idziemy po kinie na spacer. Nad nami pełnia księżyca. Mam przed sobą jej twarz, wyraźną, z wszystkimi szczegółami: oczy wpatrzone we mnie; lekko rozchylone usta; wszystko to obramowane długimi, rozpuszczonymi włosami, spadającymi jej na ramiona. I do tego jeszcze zapach kwitnących kasztanów; a potem coraz mocniejszy i mocniejszy zapach skóry Marion - bo ona zbliża się do mnie, przysuwa się do mnie. „Chcę wszystkiego, czego i ty chcesz”, powtarza jeszcze raz. A ja mówię: „Chcę cię kochać - tu, na trawie.” - „No to zrób to - mówi. - Zrób to nareszcie!” Wszystko szłoby śpiewająco, jak po maśle - gdyby nie ta Marion. Cała ta służba to właściwie zaledwie prymitywna przyjemność. Wszystkie przygotowania do funkcji oficera to nieomal śmieszna praca dla przedszkolaków. Wszystkie trudy na dziedzińcu koszarowym, w terenie, na poligonach - to drobniaczki dla Federsa. Już kapralem będąc, wiem więcej niż każdy podporucznik. A dziewczęta w garnizonach Stuttgart, Tübingen i Goppingen - miłe, ładniutki i nieskomplikowane. Po prostu wzruszające, jak one wyłazą ze skóry. „Pokaż, co potrafisz”, mówię. A potem one mówią: „Co jest właściwie z tobą? Kogo chcesz zapomnieć?” A ja mówię: „Już zapomniałem, kogo chciałem zapomnieć”. Ale to nieprawda. Nie mogę zapomnieć. Jakby nie wyłaziły ze skóry - żadna nie dorówna Marion. A przy tym z nią jest wszystko takie proste. Nie ma nic niezwykłego czy wymyślnego. Przyjeżdżam, ona jest na miejscu. Chcę ją kochać, ona jest gotowa. Potem zostaję podporucznikiem. Kiedy przyjeżdżam do domu, Marion stoi na dworcu. Podchodzi do mnie, staje przede mną i przygląda mi się. „Marion - mówię - czy chcesz być moją żoną?” - „Tak, ty idioto - mówi - zawsze tego chciałam. Już jako dziecko tego chciałam.” „Wiosną 1939 roku ożeniłem się z Marion Michalski. Po wybuchu wojny zostałem dowódcą kompanii i po kampanii francuskiej otrzymałem awans do stopnia porucznika. Kiedy zostałem ranny, w styczniu 1943 roku, awansowałem do stopnia kapitana i przeniesiono mnie do Szoty Wojennej nr 5. Odznaczenia: Krzyż Rycerski i tak dalej.” Wypadków śmierci jest coraz więcej, trudy się mnożą, przykrości wzrastają, ale poza tym niewiele się na wojnie zmienia. Metody pozostają te same. I to jest właśnie błąd. Bo poprzednia wojna nigdy nie jest identyczna z następną. Pędzę swoją kompanię przez most na Marnie. Zbieram do kupy niedobitków dwóch innych kompanii, których dowódcy padli. Ubezpieczam wzgórze po drugiej stronie rzeki. „Wycofać natychmiast pododdziały”, telegrafuje dowódca dywizji. „Wycofanie z punktu widzenia taktycznego jest bez sensu, poza tym możliwe tylko z wielkimi stratami”, otelegrafuję mu. „Rozkazuję natychmiast wycofać pododdziały, w

przeciwnym razie sąd wojenny”, telegrafuje generał. A ja każę odpowiedzieć: „Połączenie uszkodzone. Zostaję tu, gdzie jestem”. Na drugi dzień dowódca dywizji szaleje. Co trzecie słowo: „sąd wojenny”. Nazajutrz dekorują mnie Krzyżem Rycerskim. „Nie zasłużył sobie pan na to!”, mówi generał. „Ale mam go”, odpowiadam. Urlop z Marion, moją żoną, jest jednym wielkim upojeniem. Nasze mieszkanie składa się z jednego pokoju, i my prawie nigdy z niego nie wychodzimy. Leżymy aż do południa i wczesnym popołudniem znowu się kładziemy. W takim odurzeniu spędzamy dwa tygodnie, które bardzo szybko mijają. „Będę cię zawsze kochał”, mówię. A Marion mówi: „Będę cię zawsze czuła - to cudowne, kiedy jesteś przy mnie”. - „A kiedy mnie nie ma przy tobie, Marion?” - „Czuję cię mimo to.” Lekarz wojskowy w stopniu majora stoi przy moim łóżku i pyta: „No, panie kapitanie, jak się dziś czujemy?” - „Co jest ze mną? - pytam. - Proszę mi otwarcie powiedzieć, co ze mną jest?” - „No - mówi major - w każdym razie miał pan jeszcze szczęście. Z taką raną można żyć. Mogło być gorzej.” - „Proszę nie kręcić, panie doktorze, chcę wiedzieć prawdę.” - „To całkiem proste - mówi wreszcie - za parę miesięcy wszystko będzie u pana względnie normalne, będzie pan zdrow jak ryba w świeżej wodzie. Z wyjątkiem jednego drobiazgu, panie kapitanie. Ale niech się pan pocieszy, mój drogi, to jest Rstrata, która z biegiem lat staje się coraz łatwiejsza do zniesienia.” 7 Pani majorowa jest oburzona Wcześniej czy później każdy, kto wejdzie między wrony, zacznie krakać jak i one, poruczniku Krafft; czy to z tchórzostwa, rozsądku czy wreszcie dlatego, że umie się dostosowywać do okoliczności. Powiedział to kapitan Feders. Razem z nowo mianowanym instruktorem grupy szkolnej opuścili koszary i schodził teraz z nim ze wzgórza prosto na Wildlingen. - Nie mam żadnych zdolności komedianckich, panie kapitanie. Nie umiem naśladować krakania wron. - Nauczy się pan - odparł kapitan Feders z przekonaniem. Major Frey, dowódca II kursu, zaprosił ich na „skromną kolację w ścisłym gronie”. Jego kolacje były co prawda zawsze skromne, ale ważne było owo „ścisle grono”, o nie przede wszystkim chodziło. Frey miał mianowicie żonę. A ta starała się podtrzymywać życie towarzyskie. Jak w szczegółach to rozumiała, pozostawało przeważnie tajemnicą. - Musiała kiedyś przeczytać w jakiejś powieści coś o obowiązkach towarzyskich oficera - powiedział kapitan Feders. - Zapomniała tylko, że akcja tego taniego romansu rozgrywała się za cesarstwa. - Nie widzę w tym nic szczególnego, panie kapitanie. Cesarstwo nie wyszło jeszcze tak zupełnie z mody. Miałem na froncie dowódcę pułku, który zachowywał się co najmniej jak król Hunów. Ten porucznik Krafft zaczynał kapitana Federsa interesować. Zdawał się być człowiekiem szczerym aż do brutalności. Natychmiast jednak powstawało pytanie: Jak długo utrzyma się w tej szkole wojennej? Już dziś wieczór odbędzie się pierwszy sąd nad Krafftem; Feders był tego pewien. Znał bowiem panią majorową. - Mój drogi Krafft - powiedział kapitan ubawiony. - Czym jest bitwa w okrążeniu w porównaniu z wytrawną intrygą w kraju? Tam życie ludzkie zdmuchuje się jak świeczkę, i koniec. Tu natomiast smażą człowieka na wolnym ogniu, dopóki nie skruszeje jak dobra pieczeń. I to przy akompaniamencie przyjaznych i troskliwych słów. - I wszyscy, zdaniem pana, są bezsilni wobec tego zacofania i podłości? Nikt sobie z tym nie daje rady? - Mój drogi panie Krafft - rzekł kapitan Feders jeszcze bardziej ubawiony. - Proszę uważać i nie mylić panujących pojęć. To nie jest sprawa zacofania, lecz tradycji. - Czy to czasem nie to samo, panie kapitanie? - Oczywiście, mój drogi, zdarza się. Tradycja jest, między innymi, najwygodniejszym usprawiedliwieniem dla duchowego lenistwa, to najpewniejszy glejt dla owych idiotów, którzy własne beztalencie osłaniają silnie podkreślanym picem tradycji. Nie powinien pan jednak nie doceniać tych ludzi, zwłaszcza pod względem ilościowym. Wiele naszych form wychowawczych datuje się jeszcze z czasów starego Fryca; Clausewitz uchodzi za nowoczesnego autora, a Schlieffen za genialny wzór. Niekiedy wykorzystuje się nawet doświadczenia ostatniej wojny, w której, jak nas uczą, nie zostaliśmy co prawda pokonani, ale którą bezsprzecznie przegraliśmy. A co się tyczy większości form towarzyskich, to to jest fin de siècle! Szli zgodnie obok siebie. Za nimi w bladym świetle wieczornym rysowały się koszary: szeroki, zwalisty cień, panujący na widnokręgu. Na tle tego masywu domy w mieście wyglądały malusieńkie, jak korale przyklepione do skały. ie miasto powstało o wiele wcześniej, na kilkaset lat przed koszarami, tego już widać nie było. Góry cementu

zniekształciły krajobraz. I nowoczesne bloki betonowe kilku przedsiębiorstw oraz domków mieszkalnych zaczęły szpeciść stare, urocze oblicze Wildlingen nad Menem. - Powiedz mi pan, drogi Krafft, czy posiadał pan już sztukę nienagannego całowania w rękę? - chciał się koniecznie dowiedzieć Feders. - Czy to jest szkoła wojenna, czy taneczna? - zapytał Krafft. - Mój kochany, jest pan naiwny - rzekł Feders. - Pan zdaje się, nie ma pojęcia, dlaczego właściwie major Frey, nasz dowódca kursu, pana zaprosił. - Na pewno nie po to, żeby mi sprawić przyjemność. Może chciał po prostu spełnić obowiązek towarzyski. - E, tam - powiedział Feders. - Chce całkiem zwyczajnie pana wymacać i tyle. - I w tym celu, zdaniem pana, chce mnie pokazać swojej żonie? - O to, to! Chcą między innymi zobaczyć, czy jest pan oficerem, który umie się zachować. Bo, zdaniem majora, tylko taki jest predestynowany na wychowawcę przyszłych oficerów. Ale ostatnie słowo należy do pani majorowej. I dlatego, mój drogi, nienaganny sposób ucałowania rączki jest nie tylko aktem uprzejmości, lecz przede wszystkim przekonującym dowodem pańskich talentów towarzyskich. - Niezgorsza heca - powiedział porucznik Krafft ostrożnie. - Zobaczysz tu pan jeszcze całkiem inne hece, może pan być pewien. Takie ucałowanie rączki oficjalnie co prawda nie obowiązuje, w gronie majora jednak, zwłaszcza kiedy chodzi o panią majorową, z domu Bendler_Trebitz, jest rzeczą samo przez się zrozumiałą. Wielmożna pani wyciąga więc do pana swą pletwę, pan ją chwyta, oczywiście pletwę, nie ściskając jednak za mocno. Następnie nachyla się pan nad nią, Krafft. I Bóg, i major pana strzegł przed popełnieniem takiego błędu, jak przyciągnięcie władczyim gestem pletwy wielmożnej pani do siebie; to by mogło być poczytane za próbę zgwałcenia. Nachyla się więc pan do przodu, i to w odległości co najmniej jednego metra od damy; inaczej moglibyście się stuknąć głowami. Nie układając ust w ciup, a zwłaszcza nie zwilżając ich, markuje pan ucałowanie ręki. Dystans dwu do trzech milimetrów uchodzi za poprawny. Jasne, drogi panie? Proszę to więc dziś wypróbować w praktyce. Bo wcześniej czy później będzie pan musiał nauczyć tego swoich podchorążych na lekcji savoir vivre'u, zgodnie z programem. - Rzeczywiście - powiedział porucznik Krafft. - Teraz i ja zaczynam się obawiać, że czeka nas jeszcze niejedna heca. - Jestem zawsze pełen podziwu dla ciebie, Felicitas - powiedział major Frey do swojej żony. - To jest wprost cudowne, jak ty to wszystko aranżujesz. Pani Frey udawała skromną i zaprzeczyła: - Nie ma doprawdy o czym mówić. I rzeczywiście nie było o czym mówić. Stół był nakryty jak zawsze. Wino było przygotowane jak zawsze. I wszystkie te przygotowania nie były wcale dziełem pani Frey, lecz jej bratanicy. Major wiedział o tym. Ta bratanica pełniła w domu państwa Frey funkcję służącej. Była ubogą krewną, i tak też wyglądała. Pani Frey przyjęła ją z łaski. Była bowiem pracowita, posłuszna i nie miała żadnych potrzeb. Pani Frey nie musiała jej płacić pensji, ale za to obiecała jej męża oficera oczywiście. - Co za człowiek z tego porucznika Kraffta? - dopytywała się pani majorowa. Tego Frey oczywiście dokładnie nie wiedział, co mu jednak nie przeszkodziło udzielić informacji. - Przeciętny - powiedział. - Może nawet trochę więcej niż przeciętny. Ale my go już sobie urobimy. Wcześniej czy później wszyscy się docierają. - Ionaty? - O ile wiem, nie. - Muszę mu się bliżej przyjrzeć - powiedziała pani Felicitas. Major potulnie skinął głową. Wiedział, co to znaczy. Przyjrzy się temu Krafftowi bliżej, aby wy badać, czy ewntualnie byłby odpowiedni dla jej bratanicy - dla Barbary Bendler_Trebitz. - Barbara! - zawołała pani Felicitas rozkazująco. Pojawiła się bratanica: okrągła, pogodna, o niewinnej twarzy jak księżyc, z nieśmiałymi oczami i o łagodnym cienkim głosiku. - Tak. Słucham - powiedziała Barbara grzecznie. - Przed przyjściem panów zdejmiesz ten fartuch roboczy. Powinnaś więcej zwracać uwagi na swój wygląd, dziecko. Włóż biały fartuszek. I ruszaj się zgrabnie. - Ależ tak, proszę bardzo - powiedziała Barbara i znikła. Major popatrzył za nią i dyskretnie pokręcił głową. Oczywiście nie chciał w ten sposób wyrażać żadnej nagany. Na to nie mógłby sobie wobec swojej żony pozwolić. Czuł dla niej niezmiennie wdzięczność i szacunek. Pochodziła z pierwszorzędnej rodziny i posiadała pokażny majątek ziemski na Śląsku. Pewien zubożały, zwolniony od służby wojskowej krewny zarządzał nim w jej imieniu. Doprawdy - żonie swej miał wiele do zawdzięczenia. To było wprost wzruszające, jak ona się troszczyła o jego karierę. Trudno by było znaleźć oficerowi bardziej ofiarną żonę. I z jaką miłością urządziła to

mieszkanie: Wildlingen nad Menem, Rynek 7. Stara, piękna w stylu, bogato zdobiona frankońska budowla. Solidna i ciężka, ale jednocześnie swojska i nie pozbawiona wdzięku. Jakby specjalnie zbudowana dla Felicitas Frey, z domu Bendler_Trebitz. - Ta Barbara - pozwolił sobie zauważyć major - jest bardzo miła, ale dziwnie skryta, nie uważasz? - Będzie kiedyś dobrą gospodynią i matką. - Oczywiście, oczywiście - przyznał major skwapliwie. - Ale powinna się może ubierać bardziej po sportowemu, figurę ma przecież nie najgorszą. - Archibald - powiedziała pani majorowa - ty chyba nie patrzysz tej dziewczynie na biodra? - Oczywiście nieumyślnie - zapewnił ją major. - Ale w końcu kręci mi się cały dzień pod nosem. A poza tym myślę tak samo jak ty o jej przyszłości. I wolałbym kapitana Ratshelma niż porucznika Kraffta, jeżeli mam być szczerzy. - To się jeszcze zobaczy - powiedziała Felicitas Frey. - Proszę cię, niech cię głowa o to nie boli. To sprawa kobieca. Jeśli ten Krafft okaże się człowiekiem światowym i naprawdę ma dobre maniere, dlaczego nie mielibyśmy go brać pod uwagę? - Obawiam się - powiedział major - że ten Krafft nie jest szczególnie delikatnym i dobrze wychowanym człowiekiem, już raczej kimś w rodzaju Federsa. - To niedobrze - powiedziała pani majorowa. - Ale jeśli tak jest istotnie, to nie możesz obu puścić do tej samej grupy - jednego jako wykładowcę taktyki, a drugiego jako instruktora wychowawcę. A do tego akurat kapitan Feders ma wszelkie powody po temu, żeby zachowywać się skromnie i cicho - przy tym życiu, jakie prowadzi jego żona. Ohyda, doprawdy ohyda. Na coś takiego nie powinno być miejsca w szkole wojennej. Musimy porozmawiać o tym przy okazji. Ale nie uprzedzamy faktów. Na razie obejrzą sobie gruntownie tego Kraffta. * * * - Witamy, witamy serdecznie w naszych skromnych progach - powiedział major Frey. - Cieszę się, że panowie przyjęli moje zaproszenie. Proszę bliżej, panowie. Proszę zdjąć płaszcze. Czujcie się jak u siebie w domu. Major przyjął Federsa i Kraffta w prostej bluzie polowej, wyglądającej solidnie, a jednocześnie wygodnie. Krzyż Rycerski z liśćmi dębowymi iskrzył się nawet w skąpym świetle przedpokoju. Z twarzy majora promieniowała życzliwość. Obaj oficerowie zdjęli płaszcze i czapki. Kraffta przedstawiono bratanicy majorowej. Uścisnął gorącą, wilgotną dłoń i spojrzał z przyjaznym uśmiechem w strasznie zakłopotaną twarz. Feders powiedział parę zachęcających słów, i śmieszna dziewczyna uciekła chichocząc. Kapitan Ratshelm przyszedł tuż przed panami. Jesteśmy więc w komplecie. Panowie pozwolą bliżej. Moja żona, drogi Krafft, bardzo chce pana poznać. - Wzajemnie - powiedział Feders. I zobaczył ku swojej uciechu, że major był trochę niezadowolony, a porucznik Krafft mocno zakłopotany. Zapowiadał się więc ciekawy wieczór. Major zaholował obu panów do salonu. Stał tu już kapitan Ratshelm, który pokiwał im jowialnie, lecz dyskretnie ręką. I pani domu - Felicitas Frey, z domu Bendler_Trebitz. - No to siup! - szepnęła Feders i popchnął Kraffta lekko do przodu. Pani majorowa przywitała porucznika Kraffta wytwornym uśmiechem i lekko wyciągnęła ku niemu rękę. Stała w dekoracyjnej, wyniosłej, a równocześnie wyczekującej pozie, pod czymś, co było chyba portretem jakiegoś przodka. Jej twarz przypominała owcę: pierwsza rzecz, która rzucała się w oczy, to był jej imponujący, mięsisty nos. W oczach przeblyskiwało majestatyczne znużenie orła górskiego. Skóra jej była zwiędła, ale za pomocą dużej ilości kosmetyków doprowadzona do matowojedwabistego połysku - i to na całym ciele, przynajmniej tam, gdzie było ją widać, a więc i na rękach. Jedną z tych rąk, wyciągniętą do gościa na przepisową odległość, ujął Krafft w swoją dłoń. Uścisnął ją stosunkowo delikatnie i lekko nią potrząsnął. Przywitanie to uważał za wystarczające. Jej orle oczy nabrały śnieżnego blasku. Porucznik Krafft powiedział tylko: - Dobry wieczór, pani Frey. - Wspaniale - powiedział Feders zachwycony. - Wielka klasa! - Nasz porucznik Krafft - rzekł major z miną światowca - musi się najpierw przyzwyczaić do naszego klimatu. Ale to mu z pewnością trudno nie przyjdzie, przy tym duchu, jaki panuje w moim oddziale. Nieprawdaż, drogi Ratshelm? - Tak jest, panie majorze - potwierdził Ratshelm natychmiast, tak jak tego oczekiwano. - Jesteśmy bardzo dumni z tego, że w naszych oddziałach młodzi kandydaci na oficerów uczą się czegoś więcej niż tylko podstaw rzemiosła. Dążymy do tego, żeby kształtować równomiernie całą ich osobowość. Krafft zrozumie to bardzo szybko. - W każdym razie - powiedział major z przyjazną wyższością - chętnie powitam porucznika w naszych szeregach, jako w pewnym sensie współbojownika o wielką i szlachetną

sprawę, pod, że tak powiem, pedagogicznym hasłem: Wychowanie przyszłych oficerów - rzecz najważniejsza! - Czym mogę panom służyć? - spytała pani domu. Trochę przybladła, nie straciła jednak nic ze swej majestatyeczności. - Może szklaneczkę porto? Kapitan Ratshelm podziękował pokornie i skinął twierdząco głową. Kapitan Feders zaczął ją zapewniać z entuzjazmem, że propozycja ta jest niezwykle udanym pomysłem łaskawej pani. Krafftowi starczyło sił już tylko na to, żeby kiwnąć głową. A Major Frey zauważył: - Prawdziwie niemiecki mąż nie ufa niczemu obcemu, chyba że jest to coś do picia. Kapitan Ratshelm roześmiał się serdecznie, bo jego dowódca powiedział coś dowcipnego, w dodatku coś takiego, co brzmiało wręcz inteligentnie. Kolacja, zgodnie z zapowiedzią, była rzeczywiście skromna. Porucznik Krafft miał zaszczyt siedzieć obok pani domu. Zaszczyt ten nie był jednak połączony z przyjemnością. Podczas gdy reszta panów bez żenady zmiatała z półmisek kielbasę i dzieliła między siebie masło, on, porucznik Krafft, zasypywany był gradem pytań. - Czy jest pan żonaty, panie poruczniku? - Nie, proszę pani. - Sądząc po wieku, powinien pan już być żonaty. W końcu ma pan chyba ze trzydzieści lat, prawda? Trwałe więzy podnoszą moralną wartość mężczyzny, mówi się u nas. I jeśli każdy oficer powinien być wzorem, to cóż dopiero taki, który ma wychowywać oficerów. Czy jest pan zaręczony albo po słowie? Czy nosi pan przy sobie, co uważam za piękny zwyczaj, zdjęcie swojej bogdanki? Chętnie bym je obejrzała. - Niestety muszę panią rozczarować w tym względzie - próbował wykręcić się Krafft. I wobec takiej dozy ciekawości uciekł się bez skrupułów do, jak mu się zdawało, pobożnego kłamstwa. - Byłem co prawda już właściwie zaręczony, z panną z bardzo dobrego domu. Ale wojna brutalnie rozerwała nasz związek. Kapitan Feders zachłysnął się. Kapitan Ratshelm spojrzał na niego karcąco. Ale major jadł. Ponieważ żona nie zwracała na niego uwagi, on z kolei nie musiał zwracać uwagi na jej przepisy dietetyczne. - A więc ta młoda dama umarła - stwierdziła pani majorowa. Innego rozerwania istniejącego związku niż przez śmierć nie mogła sobie widocznie wyobrazić. Porucznikowi Krafftowi chleb stanął w gardle. Pod jej badawczym spojrzeniem odważył się go posmarować tylko całkiem cienko masłem. Kiwał przy tym ponuro głową. Przyjęła to za potwierdzenie swego przypuszczenia. Był pewny, że złoży mu kondolencje. Tak też uczyniła. Ale nie koniec na tym. Była przecież nie tylko kobietą, lecz żoną dowódcy - w żargonie podchorążych: „szeficą”. Pani Frey podała zatem do pięknie wyrażonych kondolencji następujące słowa: - To na pewno bardzo smutne dla pana, nie powinno jednak doprowadzić do przygnębienia, a już na pewno nie do ogłuszania bólu niewybrednymi środkami, co jest ponoć normalne u ludzi z niższych sfer i niższych rang. Ale ja oczywiście również i pana, dopóki będzie pan należał do współpracowników mego męża, wezmę pod swoje opiekuńcze skrzydła. - Najuprzejmiej pani dziękuję - wykrztusił porucznik Krafft. - Co tydzień urządzam spotkania towarzyskie niezonatych oficerów i niezamężnych młodych dam z towarzystwa Wildlingen. W przyszłości będzie pan mógł uczestniczyć w tych spotkaniach, panie poruczniku. - To naprawdę aż zbytek uprzejmości z pani strony - powiedział porucznik zdruzgotany. Tak rygorystycznie i zaborczo jeszcze żadna kobieta nim nie rozporządzała. I tu wcale nie chodziło o jakąś szczerą sympatię: wprost przeciwnie - tu działała zrutynizowana opiekuńczość, domagająca się bezwzględnego posłuszeństwa. Porucznik Krafft łykał tak zwany deser po „zimnym mięsiwie”, jakieś budyniowate ciasto, i patrzył przy tym ze złością na kapitana Federsa, który zdawał się świetnie bawić. Krafft skulił się w sobie. Rozstawił szeroko nogi, jak zapaśnik japoński szukający oparcia. Prawa jego noga zawadziła przy tym o nogę stołową. To znaczy: Krafftowi się zdawało, że jego prawa noga zawadziła o nogę stołową. Natychmiast jednak poczuł ciepło, potem uległość - i cofnął się przerażony. Noga, której dotknął, nie należała do stołu, lecz do pani majorowej. Pani Felicitas nie poruszyła nawet powieką. Opanowanie jej było godne podziwu. Trochę tylko skrzywiła swój dekoracyjny owczy nos, jak gdyby poczuła jakiś nieprzyjemny zapach. - Przepraszam, przepraszam - wyjąkał Krafft. - Sądzę - rzekła Felicitas Frey dystyngowanie - że panowie zechcą teraz nieco odpocząć. * * * - Dobry żołnierz - powiedział major - jest zawsze na służbie. I dlatego, panowie, nie będzie chyba dla was niespodzianką, jeżeli zaproponuję, żebyśmy pogawędzili sobie jeszcze trochę na tematy służbowe. - To dla nas naprawdę nie jest niespodzianką, panie majorze - zapewnił go Feders. Panowie

siedzieli w starych co prawda, ale dostojnych skórzanych fotelach, które przy każdym ruchu okropnie skrzypiały. Hojnie obsypany różami dywan pod nogami, plusz wokół nich - do tego mocno przyciężkawe, ciemnobrązowe meble z zamaszystymi wygibasami. Nazwa całości: gabinet. Major podsunął panom - pro forma - pudełko z drzewa różanego ze srebrnymi okuciami, napełnione cygarami. Kapitanowie, którzy znali tę grę, odmówili z podziękowaniem i poprosili o pozwolenie palenia swoich własnych papierosów. Tylko Krafft sięgnął machinalnie po cygaro. I na domiar złego złapał jeszcze jedno z reprezentacyjnych cygar majora. Mimo to gościnny uśmiech na twarzy majora nie zgasł. Major zmarszczył jedynie czoło. Ale gdy Krafft odgryzł zębami koniuszek cygara i bezmyślnie wypluł go na dywan, major się wzdrygnął. Nie z powodu dywanu - ale takie naruszenie dobrych obyczajów głęboko zraniło jego delikatność. - Przepraszam - powiedział porucznik Krafft - ale czasem kompletnie zapominam, że istnieje jeszcze jakaś różnica między salonem a okopami. - Miałem dowódcę na froncie - rzekł kapitan Ratshelm - który nawet na pierwszej linii używał przy jedzeniu śnieżnobiałej serwety. Był w każdej sytuacji życiowej człowiekiem kulturalnym. - Jak zginie śmiercią bohaterską, mimo to wodą kolońską pachniał nie będzie - stwierdził Feders. - Panowie - powiedział major Frey - uważam, że istnieją rzeczy stojące poza wszelką krytyką. Mianowicie w tych przypadkach, kiedy rzeczy te są dla nas poniekąd święte. - I przejechał ręką po swym Krzyżu Rycerskim z liśćmi dębowymi, jak gdyby musiał się upewnić, że a) jeszcze istnieje, b) wisi właściwie, a więc na wyraźnie widocznym miejscu, a zatem c) może być podziwiany. - Nie zapominajmy nigdy, panowie, że powaga w sprawach moralnych, ta podstawa żołnierskości, powinna nam zawsze leżeć na sercu. Bo: być żołnierzem to znaczy być żołnierzem. A oficer naszego pokroju jest żołnierzem doskonałym. Ale teraz do rzeczy! Do mojego kursu, drogi Krafft, należą trzy oddziały, mające po trzy grupy szkolne każdy; każda grupa ma swego wykładowcę taktyki i swego instruktora wychowawcę. I niech mi wolno będzie powiedzieć, że moi oficerowie należą do najznakomitszych w całym Wehrmachcie. Ma pan teraz dołączyć do nich, skoro obejmuje pan jutro rano grupę szkolną Heinrich. A jestem skłonny twierdzić, że jest to jedna z najlepszych grup szkolnych w szóstym oddziale, prawda, kapitanie Ratshelm? Pan jako dowódca oddziału najlepiej chyba o tym wie. - Tak jest, panie majorze. Powiedziałbym nawet: jest to chyba najlepsza grupa, grupa, jakiej dawno już nie mieliśmy. Jest w niej paru wspaniałych ludzi, w których pokładam wielkie nadzieje. Czy pan, Feders, zgadza się ze mną? - Absolutnie - powiedział kapitan. - Grupa szkolna Heinrich składa się ze stada głupich, aroganckich i obłudnych wałkon. Są leniwi i żarłoczni, pyskaci i głupi, pazerni na baby i szlify oficerskie. U mnie na lekcjach myślą moździerzem z kuchniami polowymi, karabiny maszynowe z marszowymi racjami żywnościowymi, sanitariuszy z urządzeniami sanitarnymi. Troszczą się zawsze najpierw o żarcie, a dopiero potem o amunicję. A wiara w byłego frajtra wydaje im się ważniejsza niż gruntowne rozeznanie w sytuacji bojowej. Major uśmiechał się z wyższością, a kapitan Ratshelm usiłował pójść w jego ślady. Porucznik Krafft zaś był tylko zdumiony. Te niesłychanie nonszalanckie oceny kapitana Federsa graniczyły ze zdradą główną. Krafft ssał z przyjemnością swoje cygaro. - Nasz poczciwy kapitan Feders! - powiedział major i krótko się zaśmiał. Ale oczy mu się zwięzły i uśmiech zastygł na jego wargach, a głos nabierał coraz większej ostrości - lubi mocne sformułowania i kąśliwe słówka, znany jest z tego. Ale my wszyscy, którzy go znamy bliżej, wiemy doskonale, co w gruncie rzeczy myśli. Jest to u niego w pewnej mierze budująca ironia, właściwa również Wranglowi i Bl~ucherowi. Ma przy tym dostateczne poczucie taktu, żeby pozwalać sobie na takie uwagi tylko w najściślejszym gronie; jest to pewnego rodzaju votum zaufania dla nas. Z uwagi na jego znakomite kwalifikacje wykładowcy taktyki traktujemy go z pobłażliwością. Jeśli więc pana dobrze zrozumiałem, kapitanie Feders, chciał pan powiedzieć, co następuje: podchorążowie z grupy szkolnej Heinrich, której właśnie pan wyklada taktykę, wykazują jeszcze poważne braki jako żołnierze i pewne słabości czysto ludzkie. Potrzebne im jest pilnie pierwszorzędne wykształcenie w zakresie taktyki, co im dać winna właśnie szkoła wojenna. Wiara w naszego F~uhrera jest na szczęście mocno w nich zakorzeniona, co rokuje nadzieje na ich karierę oficerską, ale mimo to nie wystarcza. To właśnie miał pan na myśli, prawda, kapitanie

Feders? - Tak jest, panie majorze, dokładnie to samo - powiedział Feders z kamiennym spokojem. Major znowu uśmiechnął się pojednawczo. Czuł coś w rodzaju podziwu dla samego siebie. Był nie tylko wojskowym, ale i dyplomata - być może, czeka go jeszcze wielka kariera; jego praca w szkole wojennej była znakomitym pomostem do niej. - A więc, mój drogi panie Krafft, jak zamierza pan traktować swoich podchorążych? - Surowo, ale sprawiedliwie - powiedział Krafft. Inny banał nie przyszedł mu jakoś w tym momencie do głowy. - Jakie formy wychowania zamierza pan stosować, Krafft? - Te, które są tu w zwyczaju i które pan uważa za słuszne, panie majorze. Major kiwnął aprobująco głową; podobała mu się szczególnie ostatnia część odpowiedzi Kraffta. Chłopak umiał się dostosowywać, przynajmniej miał dobrą wolę w tym kierunku, co zawsze było podstawowym warunkiem pozytywnej, owocnej współpracy. Ale dociekliwość majora wciąż jeszcze nie była zaspokojona. Spytał więc: - Jakie pan woli metody, panie Krafft, zręczną perswazję, przykładowy wzór czy oddziaływającą pozytywnie siłę? - To, co w danym przypadku wydaje się stosowne, panie majorze. Major znowu skinął aprobująco głową. Nie mógł powiedzieć, żeby był niezadowolony z odpowiedzi Kraffta, ale specjalnie zadowolony też nie był. Chłopak był podejrzanie zręczny, nie tak łatwo go było wziąć na muszkę. Ostrożność wydawała się wskazana. Już samo istnienie takiego kapitana Federsa w jego korpusie oficerskim było dostatecznie niepokojące. A tu nagle aż dwaj tacy w jednej i tej samej grupie - to było ryzykowne. Dalsze głębokie rozważania zostały jednak na razie majorowi zaoszczędzone. Albowiem jego małżonka, pani Felicitas, wetknęła swój imponujący owczy nos do pokoju. Uśmiechnęła się cierpko i powiedziała: - Jaka szkoda, że panowie muszą już iść. Ale jutro czeka panów zapewne ciężki dzień. * * * - Archibald - powiedziała pani majorowa - ten człowiek bardzo mi się nie podoba. - Ja też nie jestem nim specjalnie zachwycony, droga Felicitas - zgodził się Frey bez oporu. - Ale niestety nie zawsze mogę sobie wybierać współpracowników. A tego to mi po prostu narzucono. Major stłumił ziewnięcie i udawał, że bardzo uważnie słucha. Bądź co bądź zwykł liczyć się z jej radami. Słuchanie ich nie zawsze było możliwe. Ale jedno nie ulegało wątpliwości: że Felicitas miała doskonałe wycucie wartości i użyteczności podwładnych. Był to poniekąd zmysł wrodzony. Miała bowiem wśród swoich antenatów generałów, właścicieli majątków ziemskich i ministrów. - Ten człowiek, Archibald, nie umie się zachować. Ani nie wie, co to całowanie w rękę, ani nie umie prowadzić konwersacji; je nieuważnie, sypie na wszystkie strony popiołem i ani razu nie zwrócił się do mnie per łaskawa pani. - To godne pożałowania - powiedział major. - To nie znaczy, bym przeceniała formy towarzyskie, Archibald. Ale ty znasz moje stanowisko: ludzie z prawdziwą kulturą umieją się też należycie zachować. Możliwe, że ten Krafft jest zdolny, ale zdolni są w końcu niektórzy proletariusze też. Aby być prawdziwym oficerem, trzeba czegoś więcej niż zdolności. Jednym słowem, Archibald, mam wiele zastrzeżeń. - Ja także, droga Felicitas! Ale co mam robić? - Mógłbyś pomówić z generałem, jeszcze nie jest za późno. Jutro, kiedy ten człowiek obejmie grupę, może być już za późno. Major ciężko upadł na fotel, obok którego stał telefon. Miał oto twarde orzech do zgryzienia: uchronić się przed szkodą, a jednocześnie nie rozczarować swojej kochanej żony. Lecz generała nie tak łatwo było skłonić do zmiany decyzji - ten żądał konkretnych dowodów. - Czy zauważyłaś, Archibald - pytała teraz pani majorowa, trzęsąc się z oburzenia i przerażenia - jak ten człowiek taksował mnie oczyma? - Taksował cię oczyma? - Prawie tak, jakby miał przed sobą którąś z owych podejrzanych kobiet! Wstyd mi było za niego. On ma spojrzenie samca, Archibald. Uważam, że jest bezwstydnym i z gruntu zepsutym. - Ależ, droga Felicitas - powiedział major nieco zmieszany. - Chyba tylko próbował z tobą trochę poflirtować; śmieję się z tego i potraktuj to jako komplement, nieudany komplement, ale zawsze komplement. Zapewne po to tylko smalił cholewki do żony swego dowódcy, aby tym trochę niewymyślnym sposobem zyskać sobie twoją sympatię. Major przyglądał się swojej żonie i był przekonany, że jego pogląd na tę sprawę jest słuszny. Nie ulegało wątpliwości, że jej zalety były raczej natury duchowej. Mimo to nie mógł stłumić w sobie lekkich wątpliwości. Nie każdy, mówił sobie, jest tego samego formatu, co on, nie każdy ma taki świadomy obowiązek styl życia, nie każdy jest tak jak on pod względem moralnym nienaganny. On potrafił przekierowywać swoje popędy na inny tor i rozładowywać je w

aktywności zupełnie innego rodzaju, lecz mogli istnieć ludzie, nawet w jego korpusie oficerskim, którzy mieli skłonności do zbrodni. Czytał kiedyś coś o dziwnej żądzy młodych mężczyzn w stosunku do starszych kobiet - a po tym Kraffcie można się było wszystkiego spodziewać. - Patrzył na mnie tak, jakby mnie rozbierał oczyma - twierdziła jego żona z udanym oburzeniem. Major smutno pokręcił głową. - Chyba się mylisz, Felicitas - odważył się powiedzieć. - W takich sprawach na pewno się nie mylę - powiedziała stanowczo. - A jeśli to wszystko, co ci tu powiedziałam, jeszcze nie wystarcza, nie przemilczę wobec tego i ostatniej rzeczy. Ten człowiek napastował mnie pod stołem w niemoralny sposób. - Nie do wiary! - powiedział major. - Może to był jakiś nieszczęśliwy przypadek? - Za wiele tych przypadków! - krzyknęła pani Felicitas rozgoryczona. A potem podeszła do drzwi, otworzyła je i zawołała: Barbara! Barbara, bratanica służąca, zjawiała się niezwłocznie. Miała teraz na sobie nędzny fartuch roboczy, jako że jej praca była jeszcze nie skończona. Mrużąc oczy, patrzyła ponad głową majora na panią Felicitas. Czekala. - Barbara - powiedziała pani majorowa władczym tonem. - Jak odebrałaś od panów oficerów płaszcze, to co to się przy tym działo? Wydałaś piskliwy okrzyk, a potem chichotałaś jak kwoka. Dlaczego? - E, nic takiego - powiedziała Barbara, rumieniąc się. - Aha! - zawołała pani Felicitas. - Koło ciebie stał ten porucznik Krafft. Czyżby ten człowiek cię uszczypnął? Jeśli tak, to gdzie? - To nic nie było - zapewniała ją Barbara z podejrzaną gorliwością. - Naprawdę nic. - I spuściła oczy. - To wystarczy - powiedziała Felicitas Frey. - Możesz wrócić do roboty. Barbara zniknęła. I widać było, że uczyniła to z ulgą. Major w zamyśleniu popatrzył za nią. Miała rzeczywiście figurę nie do pogardzenia, stwierdził. I ten Krafft zauważył to zaraz pierwszego wieczoru - ten łajdak. - No? - spytała Felicitas rozkazująco. - Czy nic nie przedsięwzięiesz? Jutro może być za późno. Major Frey kiwnął ponuro głową. Następnie złapał z determinacją za słuchawkę telefonu i połączył się z koszarami. Kiedy zgłosiła się centrala szkoły wojennej, co trwało sporo czasu, wymienił swoje nazwisko i stopień, po czym, chrząknawszy, poprosił o połączenie go z generałem. „Modersohn”, usłyszał w słuchawce czysty, spokojny głos. - Proszę wybaczyć, panie generale, że o tak późnej porze... „Proszę bez wyjaśnień - powiedział generał. - Do rzeczy.” - Panie generale, po gruntownym namyśle zdecydowałem się prosić, by pan generał zechciał zrezygnować z mianowania porucznika Kraffta instruktorem grupy szkolnej w moim szóstym oddziale. „Nie zgadzam się”, powiedział generał i odwiesił słuchawkę. * * * - Co mnie zawsze fascynuje - powiedział kapitan Ratshelm - to ten wytworny i kulturalny nastrój towarzyski, jaki panuje u majorostwa Frey. - A co mnie fascynuje - powiedział Feders - to ta kolosalna krótkowzroczność, jaka panuje na tym świecie. Wchodzili na wzgórze, zmierzając do koszar. Szczyt harmonii, mogłoby się pozornie zdawać: pośrodku kapitan Ratshelm, po jego prawicy kapitan Feders, po lewicy porucznik Krafft. Wychowawcy oficerów, spacerujący sobie w pogodnym nastroju, pograżeni w miłej pogawędce. Pod ich nogami skrzypiący śnieg. Lśniąca łagodna noc dokoła i wszystko jakby zaczarowane: drzewa o ostrych konturach, domy niby dziecinne klocki, niebo pełne skrzących się gwiazd. Niemiecka noc zimowa, pomyślał Ratshelm. Potem zwrócił się znowu do Federsa i powiedział serdecznie: - Pan tego nie docenia, drogi kolego. Nasz major i jego szanowna małżonka kultywują nieprzemijające wartości. Chronią to, co musi być chronione: ognisko domowe, godność, harmonię między ludźmi. - Płaską paplaninę, słodkawy kicz i wszędobylskie natręctwo! - powiedział Feders. - Krótko mówiąc: ci ludzie bredzą, i oczywiście nie oni jedni. - Ależ proszę pana - rzekł kapitan Ratshelm tonem pobłażliwej nagany - pan mówi o swoim majorze! - Mówię o pewnym stanie - upierał się Feders - który nazywam krótkowzrocznością; to szeroko rozpowszechniona epidemia. Nikt nie widzi dalej swego nosa. A to jest bardzo ciasny horyzont. - Drogi kapitanie - próbował załagodzić Ratshelm - powinniśmy starać się przeżyć nasze życie wiernie, skromnie i bezinteresownie. - Bzdura! - zawołał Feders ordynarnie. - Powinniśmy mieć oczy i uszy otwarte i widzieć świat takim, jakim jest naprawdę, razem z tym całym jego gównem, razem z krwią i ropą. Widzieć dalej niż koniec własnego nosa, o to chodzi. Tam, za wzgórzem 201, leży Berlin, i prawie co noc umiera tam kilka tysięcy ludzi. Rozrywani są na kawałki, palą się, duszą i wykrwawiają. A kilkaset kilometrów dalej jest front

wschodni. I gdy my tu całujemy rączki pań i krzywimy gęby w uprzejmych uśmiechach, tam zdychają tysiące, miażdżeni przez gąsienice, zamieniani w węgiel przez miotacze ognia - a my się bawimy w dobre maniere! - Jest pan rozgoryczony, kapitanie - powiedział Ratshelm. - Rozumiem to bardzo dobrze. - Jeśli pan jeszcze raz zrobi aluzję do mego małżeństwa, to mnie pan popamięta! - Nie miałem najmniejszego zamiaru, kapitanie Feders - pośpieszył usprawiedliwić się Ratshelm. - Chciałem tylko wyjaśnić mój punkt widzenia. Ale czasem naprawdę trudno z panem dojść do ładu. - Niestety tylko czasem - powiedział Feders. - Ja też nie jestem niczym innym, jak słabym, zmęczonym człowiekiem, i mam już wszystkiego po dziurki w nosie. Przede wszystkim nie jestem Krafft; nasz przyjaciel, zdaje się, potrafi spać nawet na chodząco. A może jest pan już z natury taki skłonny do zadumy? - E tam, zaduma - powiedział porucznik - ja tam wolę się trzymać małych rzeczy. Pamięta pan? Ta dziewczyna, ta Barbara, śmiała się. - Słusznie! - powiedział Feders, nagle bardzo wesoły. - O mało co byłbym zapomniał. Mała piszczła radośnie jak zwyczajny kocmołuch, którego uszczypnie ktoś w tyłek. - Nic nie rozumiem - powiedział Ratshelm zdziwiony. - Przypuszczam, że panowie mówią o panie Barbarze, bratanicy pani Frey. śmiała się, no dobrze, i co z tego wynika? - Decydujące jest - wyjaśnił Feders - dlaczego się śmiała. śmiała się, bo nasz kolega Krafft rzeczywiście uszczypnął ją w tyłek. Ratshelm był nieomal przerażony. - Jak pan mógł coś takiego zrobić, panie poruczniku? Uważam, że to było po prostu wulgarne, w tym domu! - Możliwe - przyznał Krafft. - Ale mała się ucieszyła! W tym domu. To daje wiele do myślenia. A może nie? * * * „Nie zgadzam się”, powiedział generał. Nic więcej. Major Frey, bohater wielu bitew, człowiek światowy, był zupełnie zdruzgotany. Tego rodzaju szorstka odmowa generała mogła pociągnąć za sobą nieobliczalne konsekwencje. Generał był zawsze człowiekiem nieprzystępnym, ale tak bezwzględnie i zimno nigdy jeszcze się nie zachował. - Obawiam się - powiedział major ponuro - że popełniłem w tej chwili niewybaczalny błąd. I to przez tego porucznika Kraffta! - Przewidywałam to - powiedziała jego żona z odcieniem triumfu - że od tego człowieka nie możemy spodziewać się niczego dobrego. - Możliwe - rzekł major zniecierpliwiony, szukając gorączkowo jakiegoś wyjścia. - Ale na wszelki wypadek będzie lepiej, jeżeli nie będziesz się wtrącała w takie sprawy. - Znasz przecież moje motywy - powiedziała zdumiona. - I dotąd zawsze je akceptowałeś. - Może to właśnie był błąd - rzekł major głucho. Usiłował wysilić swój mózg, ale prędko zrozumiał, że to nie ma sensu. Starał się nie patrzeć na swoją żonę. Bo sprawiła mu zawód. Oczy jego wędrowały niespokojnie po kwiecistym dywanie. Był za mało ostrożny. Należało się więcej liczyć z cechami jej charakteru. Była niezwykle uczulona, gdy chodziło o pewne określone sprawy. Mogła mówić całymi godzinami o chorobach, ranach i śmierci, ale czasem jedno jedyne dotknięcie przyprawiało ją nieomal o utratę zmysłów. A przy tym była szlachetna, niezwykle szlachetna - o tym major był przekonany. Co się zaś tyczy pewnej delikatnej dziedziny, to kochała subtelność, romantyczny blask, rycerskie oddanie, łagodną muzykę i pokorną cierpliwość paziów. Mimoza! Ale godna szacunku, godna wielkiego szacunku. Jednakże brak jej było porządnej porcji poczucia rzeczywistości. Do cholery! Oficerwie to przecież nie trubadurzy, a już całkiem na pewno nie miał z nimi nic wspólnego ten Krafft, któremu miał do zawdzięczenia to świństwo. - Felicitas - powiedział major - uważam, że nie powinnaś przesadzać z tą twoją rolą niezłomnego wzoru cnoty, zwłaszcza gdy wchodzi w grę twarda rzeczywistość. Mój Boże, zrozum to wreszcie, taka szkoła wojenna nie jest wylęgarnią delikatnych dziewczyc! Felicitas spojrzała na swego męża tak, jak gdyby ujrzała nagle wyrobnika, który wtargnął do jej mieszkania. Dumnie zadarłszy swój owczy nos, oświadczyła: - To nie jest właściwy sposób rozmawiania ze mną, Archibald. - Daj spokój! - powiedział; jeszcze nie otrząsnął się z tego szoku, jaki wywołały w nim owe trzy krótkie słowa Modersohna. - Gdyby nie te twoje nedorzeczne kompleksy seksualne, byłbym sobie zaoszczędził tej ostrej odprawy ze strony generała. - Współczuję ci - powiedziała. - I uważam to za pożałowania godne, że swoją nieudolność próbujesz zwalić na mnie. Owczy nos podniósł się jeszcze wyżej, jeszcze bardziej dostojnie, zrobił obrót o 180 stopni i został wyniesiony z pokoju. Przekonujący obraz dumnego oburzenia. Trzasnęły drzwi, i major pozostał sam. Ten porucznik Krafft, pomyślał major z goryczą, zagraża nie tylko memu małżeństwu, on mi jeszcze

może ściągnąć generała na kark. Do diabła z tym Krafftem! 8 Podchorążowie się mylą - Odbezpieczyć granaty, nowy nadchodzi! - zawołał jeden z podchorążych wesoło. - Ostrzcie bagnety i pióra, bo teraz idziemy już na całego. Idioci i samobójcy, wystąp, żołnierze, kryć się! Autor tych słów powiódł naokoło wzrokiem żądnym poklasku. Ale nikt się nie roześmiał. Nie było w tej chwili popytu na wesołków. Nowy instruktor wychowawca otwierał nowy rozdział w życiu grupy szkolnej na tym kursie - a może stanowił nawet początek czegoś zupełnie nowego. To musiało budzić pewne obawy. Podchorążowie z grupy szkolnej H pojedynczo lub małymi grupkami wchodzili do sali wykładowej nr 13. Usiedli na swoich miejscach, rozpakowali teczki i położyli przed sobą notatniki. Wszystko to robili mechanicznie, pewnymi ruchami, jak wkręcanie śrubki w fabryce, jak przestawianie dźwigni na dźwięk dzwonka. Dotąd wszystko było dokładnie uregulowane: pobudka, gimnastyka poranna, mycie, śniadanie, sprzątanie izb, odmarsz na zajęcia. A teraz zaczynały się komplikacje: mogło nastąpić coś nieprzewidzianego, mogły dziać się nieprawdopodobne rzeczy - każda błędna odpowiedź mogła pociągnąć za sobą zły stopień, każdy fałszywy ruch mógł być negatywnie oceniony. - Słuchajcie, ludzie! - zawołał podchorąży Kramer, pełniący funkcję starszego grupy. - Ten nowy nazywa się Krafft, porucznik Krafft. - Dowiedział się tego nazwiska od pisarza dowódcy kursu. - Czy ktoś go zna? Nikt z podchorążych go nie znał. Mieli dosyć roboty z poznawaniem swego poprzedniego instruktora, swego wykładowcy taktyki, swego dowódcy oddziału, swego dowódcy kursu - a więc tych wszystkich, których słowo było miarodajne przy opracowywaniu wniosków awansowych na oficerów. Inni oficerowie ich nie interesowali. - Najdalej za godzinę - powiedział podchorąży Hochbauer z wyższością - będziemy już dokładnie wiedzieli, jak się mamy zachowywać. Uważam, że do tego czasu wskazana jest maksymalna rezerwa. Ieby mi tylko nikt nie próbował spoufalać się przedwcześnie z tym nowym! To była nie tylko rada - to było ostrzeżenie. Podchorążowie z najbliższego otoczenia Hochbauera kiwnęli głową. W dodatku to wezwanie miało ręce i nogi - nigdy nie należało wychodzić przełożonemu naprzeciw z naiwną ufnością, jeśli ten przełożony miał za zadanie poddać ich kilkutygodniowym surowym i wyczerpującym egzaminom. Podchorążowie grupy szkolnej H byli tego ranka niezwykle cisi. Kręcili się niespokojnie na swoich krzesłach i nerwowo rozglądając się po skąpo umeblowanej klasie, popatrywali raz po raz na tablicę, przed którą stał pulpit dla oficera wykładowcy. Przy środkowym stole w pierwszym rzędzie siedział podchorąży Hochbauer. Obok było miejsce starszego grupy. Obaj rozmawiali ściszym głosem. Hochbauer dawał Kramerowi rady, a Kramer milcząco mu potakiwał. Podchorążowie Rednitz i M-osler siedzieli oczywiście całkiem z tyłu. Z wszystkich tu obecnych oni jedni zachowali równowagę ducha; jak dotąd włożyli w tę swoją naukę tyle co nic, zarówno pod względem fizycznym, jak i umysłowym, nie mieli więc nic do stracenia. - Dlaczego my się właściwie denerwujemy, chłopcy? - powiedział Rednitz wesoło. - Jest przecież zupełnie możliwe, że ten nowy to całkiem poczciwa dusza. Być może też, że jest trochę ograniczony albo obdarzony przez Pana Boga sporą dozą tępoty. W końcu jest oficerem, a u takiego nic nie jest wykluczone. - Poczekamy, zobaczymy - powiedział podchorąży Hochbauer karcącym tonem. - Przedwczesne wnioski są nie na miejscu, prawda, Kramer? - Absolutnie nie na miejscu - rzekł starszy grupy. - A co będzie - dopytywał się M-osler - jeśli ten nowy okaże się człowiekiem tego samego kalibru, co Barkow? - Wówczas - powiedział Rednitz - cała nasza nadzieja w Bogu, w podchorążym Hochbauerze i w szybkopalnym loncie wybuchowym. Hochbauer wstał i wyciągnął się na całą swoją długość. Podchorążowie w przednich rzędach odsunęli się na bok, czekając, co teraz nastąpi. Zaległo czujne milczenie. Tylko jakieś tupanie dolatywało z korytarza. Hochbauer przeszedł między ławkami do tyłu. Za nim Kramer, starszy grupy. Poza tym jeszcze dwaj podchorążowie Amfortas i Andreas - przyłączyli się do tego pochodu, ale już raczej jako ubezpieczenie tyłów. Temperatura w słabo opalanej sali jakby się podnosiła. - Co ma znaczyć ta komedia z samego rana? - zawołał M-osler i rozejrzał się za jakąś możliwością ucieczki. Rednitz również podniósł się z miejsca. Przybladł trochę, ale starał się zachowywać jak gdyby nigdy nic. Czekał, aż Hochbauer zbliży się do niego. A gdy już to się stało, usiłował uśmiechnąć się jeszcze przyjaźniej. Nie był bojaźliwy; zbyt dobrze poznał na froncie

bez sensu przypadku, aby mógł się jeszcze przestraszyć jakiegoś tam niedowarzonego bohatera. I chociaż był prawie rówieśnikiem Hochbauera, czuł się w porównaniu z nim starszym. - Rednitz - powiedział Hochbauer z niedwuznaczną groźbą w głosie. - Te podłe aluzje mi się nie podobają. - Nie musisz ich przecież słuchać! - Tu chodzi o mój honor - powiedział Hochbauer. - Jeśli tylko o to chodzi... - powiedział Rednitz. Podchorążym Rednitz rozejrzało się naokoło i zobaczył płaskie, szare twarze swoich kolegów. I nie wyczytał w nich zbyt wiele dla siebie życzliwości. Poczł wdzięczność, kiedy Mosler położył mu rękę na ramieniu. Zobaczył też, że bykowały podchorążym młode mono Weber, Egon, stanął w pozycji wyjściowej do skoku, chyba nie tyle z przyjaźni, ile dla samej przyjemności, jaką sprawiała mu wszelka bijatyka. Ale efekt był w końcu taki sam. - Przeprosisz Hochbauera - zażądał Kramer od Rednity. Amfortas i Andreas energicznie mu przytaknęli. - Bo w tej sprawie nie ma żartów. - Na tym punkcie obaj się wyjątkowo zgadzamy - oświadczył Rednitz. - Trzeba to jeszcze tylko wyklarować Hochbauerowi. Podchorążowie przyglądali się tej wojowniczej grupie z coraz większym niepokojem. Wietrzyli dodatkowe, niepotrzebne komplikacje. Kurs był i bez tego dostatecznie trudny; konflikty we własnych szeregach nie były im potrzebne - były czasochłonne i niebezpieczne. Większość podchorążych odnosiła się z respektem do starszego grupy Kramera. Jako długoletni podoficer bowiem posiadał wymagane doświadczenie i nie był na tyle sprytny, żeby rządzić za pomocą intryg. Był stosunkowo poczciwy i harował jak Pan Bóg przykazał. Lepszego trudno byłoby im znaleźć. Ale podchorążowie nie mieli również nic przeciwko Hochbauerowi jako zastępcy starszego grupy. Szybko bowiem zorientowali się, że to ambitna sztuka. Przyhamować i ułagodzić można go było tylko wtedy, jeżeli ustępowało mu się z drogi. A że ten Hochbauer był na dobitkę jeszcze znakomitym sportowcem i superidealistą, to był to jeszcze jeden powód więcej, żeby mu nie wlażyć w paradę. Takie mniej więcej motywy kierowały podchorążymi. Pożądana była droga najwygodniejsza, a z nieuniknionym trzeba się było pogodzić. Dlatego prowokacyjne postępowanie Rednity i Moslera było po prostu nieodpowiedzialne. Już sam instynkt samozachowawczy nakazywał podchorążym nie udzielać tym outsiderom żadnego poparcia. - Czekam - powiedział Hochbauer i spojrzał na Rednity tak, jak gdyby ten był wsą. - Jeśli o mnie idzie - rzekł Rednitz - możesz czekać tak długo, aż ci nogi w podłogę wrosną. - Daję ci pięć sekund czasu - powiedział Hochbauer. - Potem cierpliwość moja się wyczerpie. - Bądźże rozsądny, Rednitz! - rzekł Kramer błagalnie. - W końcu jesteśmy kolegami i wszyscy jedziemy na tym samym wózku. Przeproś go i sprawa załatwiona. - Odsuń się, Kramer! - zawołał Hochbauer stanowczo. - Z takimi ludźmi trzeba pogadać po niemiecku! Kramer nadal usiłował ułagodzić spór, ale Hochbauer już postąpił do przodu. Jego gwardia przyboczna - Amfortas i Andreas - za nim. Nagle jednak zastygli w bezruchu i nadstawili uszu. - Idzie! - wołał jakiś ochryply i zdenerwowany głos. To podchorąży Böhme. Człowiek ze skłonnościami poetyckimi i dlatego używany do załatwiania wszelkich możliwych poruczeń specjalnych. Tym razem spełniał rolę czujki. - Idzie! - krzyknął jeszcze raz. - Uwaga! - zawołał Kramer z ulgą. - Na miejsca, koledzy! * * * Do sali wykładowej wszedł kapitan Ratshelm, a za nim porucznik Krafft. I podchorąży Kramer wyrecytował: - Melduję grupę szkolną Heinrich gotową do zajęć. Stan czterdziestu ludzi, wszyscy obecni. - Dziękuję - powiedział Ratshelm. - Proszę dać komendę „spocznij”. - Spocznij! - zawołał Kramer. Podchorążowie wysunęli lewą nogę skosem w przód, a potem czekali. Każdy z nich zdawał sobie sprawę, że kapitan Ratshelm wydał rozkaz niewłaściwy. Ale on sobie mógł na to pozwolić, nie był przecież uczestnikiem kursu. - Proszę wydać komendę „siadać” - poprawił się Ratshelm. - Siadać! - zawołał Kramer. Podchorążowie zajęli miejsca. Siedzieli wyprostowani, z rękami na blacie stołu - jak przystoi w obecności oficera. Ukradkiem zaczęli teraz obserwować porucznika Kraffta. Nie zapominali przy tym ani na chwilę udawać, że cała ich uwaga skierowana jest na Ratshelma, oficera wyższego rangą. Kapitan Ratshelm powiedział z werwą: - Panowie podchorążowie, mam zaszczyt przedstawić wam nowego instruktora waszej grupy szkolnej, pana porucznika Kraffta. Jestem przekonany, że będziecie go darzyć szacunkiem i zaufaniem. Ratshelm rozejrzało się dookoła z wyzywającym optymizmem. Następnie dokończył: - Panie poruczniku, oddaję panu niniejszym

pańską grupę i życzę powodzenia. Podchorążowie obserwowali odbywający się przed ich oczyma ceremoniał z mieszanymi uczuciami. Zobaczyli mocny uścisk dłoni obu oficerów, błyszczące oczy Ratshelma, wymuszony uśmiech Kraffta. Potem Ratshelm dumnym krokiem wyszedł z sali i zostawił grupę szkolną H sam na sam z jej dowódcą. Na pierwszy rzut oka podchorążowie nie mogli się zorientować, kto on zacz. Wyglądał jakby trochę przyciężko, twarz miał poważną, spojrzenie jego zdawało się prześlizgiwać po nich obojętnie. Żadnych cech szczególnych nie zauważyli. Ale to tylko pogłębiło ich niepewność - nie mieli jeszcze pojęcia, na kogo trafili. Teraz wszystko wydawało się możliwe, oczywiście z najgorszym włącznie. Porucznik Krafft widział wlepione w siebie czterdzieści par oczu. Rozpływające się, bezbarwne, jednolite twarze; w tej chwili nie mógł jeszcze dojrzeć szczegółów. Zdawało mu się przez sekundę, jakby w tylnych rzędach mignęła para przyjaznych oczu, ale kiedy chciał je odszukać, już ich więcej nie znalazł. Ujrzał raczej wyczekującą obojętność, przyczajoną rezerwę i ostrożną nieufność. - A więc, panowie - powiedział porucznik - w takim razie spróbujmy się najpierw ze sobą zapoznać. Jestem waszym nowym wychowawcą, porucznik Krafft, urodzony w 1916, pod Szczecinem. Ojciec mój był urzędnikiem pocztowym. Pracowałem w pewnym majątku ziemskim jako ekonom, a potem w rachunkowości. Następnie zostałem powołany do Wehrmachtu. To wszystko. Teraz na was kolej. Zaczniemy od starszego grupy. Nieufność podchorążych jeszcze bardziej się pogłębiła. Poczuli się jak ofiary. Myśleli, że ich instruktor rozpocznie po prostu zajęcia. W takim wypadku porucznik by wykladał, i oni mogliby mu się w spokoju przyjrzeć. Ale zamiast tego ten porucznik Krafft żądał solowych występów. A te przecież mogły mieć tylko jeden cel: wziąć każdego z oddzielną pod lupę. I co oni z tego będą wiedzieli o swoim nowym dowódcy? Nic. Ie on o nich dowie się również niezbyt wiele, o tym nie myśleli. Tymczasem starszy grupy już wstał. I powiedział zwięźle, ochryplym, trochę szczekliwym, przyzwyczajonym do wydawania komend głosem: - Kramer, Otto, podchorąży. Urodzony w roku 1920 w Norynberdze. Ojciec machanik w fabryce aparatów fotograficznych. Podoficer zawodowy. - Jeszcze jakies zainteresowania, Kramer? Specjalne uzdolnienia, zamiłowania? - Żadnych, panie poruczniku - oświadczył Kramer prostodusznie i usiadł zadowolony. Był żołnierzem i niczym więcej, i uważał za istotne to wyjaśnić. Był pewien, że zrobił to, co należało. Był tego zresztą zawsze pewien; przynajmniej dopóki jakiś przełożony nie stwierdził, że jest inaczej. Ale to się w jego wypadku stosunkowo rzadko zdarzało. Z grubo ciosanej twarzy podchorążego Kramera Krafft przeniósł wzrok na jego sąsiada. Zobaczył młodzieńca o sympatycznych, wyraźnych, nieomal szlachetnych rysach. I powiedział zachęcająco: - Następny, proszę. Podchorąży Hochbauer wstał, wyciągnął się na całą swą imponującą długość i powiedział: - Podchorąży Hochbauer, panie poruczniku. Na imię mi Heinz. Urodzony w roku 1923 w Rosenheim. Mój ojciec jest komendantem twierdzy Pronthausen, nagrodzony orderem Pour le M-erite i Orderem Krwi. Po maturze zgłosiłem się ochotniczo na front. Szczególne zainteresowania: historia i filozofia. Hochbauer powiedział to całkiem naturalnie, bez pychy, trochę nawet niedbale. I przyglądał się przy tym badawczo porucznikowi. Był ciekaw, czy jego słowa robią wrażenie. I zdawało mu się, że tak. Oczy porucznika Kraffta z pewnym zamyśleniem spoczywały na podchorążym Hochbauerze. - Następny, proszę - powiedział Krafft. - Podchorąży Weber, Egon, a urodziłem się w 1922. Mój ojciec był piekarzem, w Werdau, tam gdzie się urodziłem, ale mój ojciec już nie żyje, umarł na atak serca w 1933, przy pracy, został właśnie wybrany kreishandwerksmeisterem, członek partii od 1926 czy 27. Ja również uczyłem się na piekarza, posiadamy mianowicie kilka filii, a moje najulubieńsze zajęcie to automobilizm. Liczby, nazwiska i daty, nazwy geograficzne i nazwy zawodów, informacje, objaśnienia i twierdzenia, polityczne, czysto ludzkie, wojskowe szczegóły - wszystko to tylko śmigało po klasie i napierało na Kraffta. Po szóstej nazwie miejscowości zapomniał już, jak brzmiała pierwsza. Po dziewiątym nazwisku nie pamiętał już trzeciego ani czwartego. Patrzył w kościste, gładkie, okrągłe, podłużne, bulwiaste twarze, słyszał pocziwe, szorstkie, ostre, łagodne i szczekliwe głosy - aż wreszcie wszystko to zlało się w jeden wrzący kocioł obojętności. Krafft przyglądał się sali, o ścianach skleconych z desek, z sufitem podpartym belkami i podłogą z klepki - wszędzie, gdzie tylko

spojrzeć, drzewo. Podniszczone, wydeptane, drzewo pełne drzazg i guzów, przsiąknięte werniksem i farbą olejną, we wszystkich odcieniach brązu, od żółtawej sepii do brunatnej czerni. Nad tym wszystkim unosił się zapach sosny, terpentyny i zgniławej wody. Krafft uświadomił sobie, że tą metodą ani nie zbliży się do swojej grupy, ani nic istotnego o niej się nie dowie. Godzina wlokła się leniwie, a rezultat był żalony. Porucznik spojrział na zegarek; marzył o tym, żeby się to wszystko nareszcie skończyło. Potęgujące się niezadowolenie porucznika udzielało się automatycznie grupie. Podchorążowie również nie mogli się już doczekać końca tej godziny, która nie przyniosła im nic prócz nudy i uczucia niepewności. Twarze im sposepniały. Zaczęli wiercić się niespokojnie na ławkach. Niektórzy, odbębniwszy już swoją śpiewkę, zapadli w stan tępej bezmyślności. Jeden nawet ziewnął, i to nie tylko od ucha do ucha, ale i donośnie. Lecz nowy instruktor zdawał się tego nie dostrzegać. To również, zdaniem podchorążych, nie wróżyło nic dobrego. Jeszcze dwie osoby, pomyślał porucznik Krafft, i będzie po wszystkim. I powiedział machinalnie: - A więc następny. Teraz wstał podchorąży Rednitz, Uśmiechnął się przyjaźnie i oświadczył: - Proszę mi wybaczyć, panie poruczniku, ale nie jestem w stanie udzielić w sposób wyczerpujący żądanych przez pana porucznika informacji. Krafft spojrział na Rednitza z zaciekawieniem. Podchorążowie również nadstawili uszu i przestali kręcić się na swych ławkach. Wytrzeszczyli oczy na Rednitza. Odwrócili się przy tym plecami do swego instruktora, co było niezwykłym zuchwalstwem, ale porucznik zdawał się nie zwracać na to uwagi. Okoliczność ta napełniła przerażeniem starszego grupy Kramera. Zaczął się bowiem obawiać o dyscyplinę, za którą był odpowiedzialny i którą mógł utrzymać na pożądanym poziomie tylko pod tym warunkiem, że przełożony będzie mu w tym pomagał. Bo jeśli ten Krafft już teraz to tolerował, że podchorążowie odwracali się do niego plecami, to w takim razie za kilka dni będą rozmawiać w szeregu albo spać na zajęciach. Dla porucznika Kraffta natomiast słowa podchorążego Rednitza były przyjemną odmianą. Ożywił się nieco i spytał ubawiony: - Czy zechcecie mi wyjaśnić, podchorąży, w jakim sensie nie możecie mi udzielić wyczerpujących informacji? - Sprawa jest mianowicie taka - powiedział Rednitz uprzejmie - że w przeciwieństwie do wszystkich innych kolegów nie mogę się wykazać żadnym oficjalnym ojcem i dlatego też nie wiem, czym był z zawodu. - Czy chcecie przez to powiedzieć, Rednitz, że jesteście nieślubnym dzieckiem? - Tak jest, panie poruczniku, właśnie to. - No cóż - powiedział Krafft ubawiony - takie rzeczy się podobno od czasu do czasu zdarzają. I ja osobiście nie widzę w tym nic złego, zwłaszcza jeśli się weźmie pod uwagę fakt, że ojcowie oficjalni niekoniecznie i nie we wszystkich przypadkach muszą być rodzonymi ojcami. Ale mam nadzieję, że ta drobna okoliczność nie przeszkodzi wam podać mi paru innych danych. Rednitz promieniał, bo podobał mu się ten porucznik. Lecz jego nie ukrywana radość miała jeszcze inną przyczynę: zobaczył wściekłość na twarzy Hochbauera, który rzucił mu ostrzegawcze spojrzenie. Już dla samego tego widoku warto było urządzić ten malutki występ. - Urodziłem się w roku 1922 - opowiadał Rednitz - w Dortmundzie. Moja matka była pracownicą domową u pewnego generalnego dyrektora; z czego jednak nie należy wyciągać wniosków co do mego pochodzenia. Chodziłem do szkoły powszechnej, a jeden rok do szkoły handlowej, i jeszcze rok do wyższej szkoły handlowej. W roku 1940 powołano mnie do Wehrmachtu. Zainteresowania specjalne: historia i filozofia. Krafft się uśmiechnął. Hochbauer zachmurzył się - twierdzenie Rednitza, że on również interesuje się specjalnie historią i filozofią, uważał za prowokację w stosunku do siebie. Kilku podchorążych zachichotało, ale tylko dlatego, że porucznik się uśmiechnął. To już był bądź co bądź jakiś punkt zaczepienia. Nagle wstał podchorąży Kramer i z racji swojej funkcji starszego grupy powiedział: - Panie poruczniku, proszę o pozwolenie zwrócenia uwagi, że godzina już upłynęła. Krafft skinął głową, usiłując przy tym nie pokazać po sobie, jak wielką mu to sprawiło ulgę. Założył pas i wcisnął czapkę na głowę. Potem skierował się do drzwi. - Bacność! - wrzasnął Kramer. Podchorążowie wstali, już nie tak sprężyste, jak na początku lekcji. Postawa ich była prawie niedbała. Porucznik uczynił jakiś gest pożegnalny w próżnię i wyszedł. - Niemożliwe - mruknął Kramer. - Jak tak dalej pójdzie, to mi rozpaskudzi całą grupę. Podchorążowie spojrzeli po sobie. Potem roześmieli się z ulgą. Nastrój był znakomity. Niektórzy już widzieli dalszy tok szkolenia w

dosyć różowych kolorach. - No - spytał M~osler swego przyjaciela Rednitsa - co ty na to powiesz? - Tak - rzekł Rednitz zamyślony - co ja mam powiedzieć? Uważam, że jest dość sympatyczny, ale co z tego wynika? Moja babcia też jest sympatyczna. - Przyjaciele - rzekł podchorąży Weber, Egon, i przysunął się bliżej. - Jedno jest pewne: wygląda na dość krzepkiego chłopa. Ale zachowuje się jak baran. Co o tym sądzić? B~ohmke dłuższą chwilę potrząsał swoją głową poety i myśliciela. W gruncie rzeczy nie wyrobił sobie jeszcze zdania o Kraffcie. I nikt go też o to zdanie nie pytał. Kramer, starszy grupy, wpisywał swoje uwagi do katalogu. Wietrzył już komplikacje. Ten Krafft nie potwierdził nawet swoim podpisem tematu i czasu trwania lekcji. Kramer widział już, jak nadciąga czas dezorganizacji i rozluźnienia dyscypliny. Lecz w grupie Hochbauera panowała sama radość. Amfortas i Andreas pozwalali sobie nawet na wielce pofardliwe spojrzenia, kiedy padało nazwisko nowego instruktora grupy. - Niewypał, nie sądzisz, Hochbauer? Ten zdecydowanie im przytaknął. - Poradzimy sobie z nim śpiewająco. Najdalej za tydzień będzie nam jadł z ręki - albo też go pošlemy na emeryturę. 9 Pan sędzia chce milczeć Panno Bachner - powiedział porucznik Bieringer, adiutant generała - znamy się już dłuższy czas, prawda? Sybilla Bachner podniosła oczy znad pracy. Bieringer udawał, że jest zajęty wyłącznie porządkowaniem notatek. - Czy coś jest nie w porządku? - spytała. - Co też jeszcze u nas może być nie w porządku! - zawołał adiutant, rozkładając ręce. - Ale ja znowu martwię się o pani życie prywatne. - Jak wiadomo, nie mam takowego, pan przecież dobrze o tym wie. - Właśnie - powiedział adiutant. - Nikt nie może żyć samą pracą. - Z wyjątkiem generała. - Panno Bachner - powiedział porucznik Bieringer - generał ożeniony jest z armią. Nie jest zwykłym człowiekiem, jest żołnierzem. Ale pani jest kobietą, nie tylko siłą biurową. Sybilla Bachner uśmiechnęła się, lecz oczy jej patrzyły dalej poważnie. Wyprostowała się i demonstracyjnie odsunęła krzesło. Potem spytała otwarcie: - Do czego pan tym razem zmierza? - No cóż - powiedział Bieringer z pewnym pośpiechem - interesuje mnie na przykład, co pani robi dziś wieczorem. - A czemu? Czy ma pan ochotę się ze mną umówić? - Przecież pani wie, ja jestem żonaty - powiedział adiutant. Bieringer uważał za wskazane podkreślać ten fakt od czasu do czasu. Bo chociaż mieszkał ze swoją żoną tu w koszarach, w budynku gościnnym, nikt jej prawie nie znał. Oczekiwała dziecka. Nie pojawiała się nigdy na żadnej oficjalnej imprezie. Nie przestąpiła ani razu progu komendy szkoły, w której pełnił służbę jej mąż. Nie dzwoniła nawet do niego w godzinach pracy. Tak jakby w ogóle nie istniała. Między innymi za tę jej powściągliwość Bieringer kochał ją serdecznie - ale dopiero po służbie. - A więc zgoda - powiedziała Sybilla przyjaźnie - nie mam na dziś wieczór żadnych planów. Ale dlaczego to pana interesuje? - Mogłaby pani pójść przecież do kina - zauważył Bieringer. - Grają jakąś komedię, podobno można się nawet uśmieć. A może wolałaby pani pójść na spacer? Znam chyba ze czterdziestu oficerów, którzy by chętnie z panią poszli. - Po co to wszystko? - powiedziała Sybilla opryskliwie. - Nie mam żadnych specjalnych planów. A zresztą może będę generałowi wieczorem potrzebna, ma jeszcze masę spraw do załatwienia. - Generał potrzebuje pani tylko wtedy, kiedy pani nie ma innych zajęć. Mam wyraźne polecenie przekazać to pani. - Dobrze - powiedziała Sybilla. - Więc już mi pan przekazał. Jeszcze coś? Bieringer pokiwał głową - gest, który można było interpretować rozmaicie. Przetarł starannie okulary, patrząc przy tym na Sybillę łagodnymi wodnistymi oczami, i powiedział: - A więc znowu jest pani gotowa zostać po godzinach? - Oczywiście, panie poruczniku - odpowiedziała gorliwie. Bieringer skłonny był uważać, że ta jej gorliwość daje dużo do myślenia. Ta Sybilla Bachner bowiem miała przeszłość jednoznaczną - jak mówiono. Z ostatnim komendantem łączyły ją najwyraźniej nie tylko stosunki służbowe. Ale potem komendantem Szkoły Wojennej nr 5 został generał Modersohn. I Bieringer był absolutnie pewny, że dni panny Bachner w sztabie są policzone. Bardzo prędko jednak okazało się, że Sybilla jest, wbrew przewidywaniom, świetną pracownicą. I wyglądało na to, że bynajmniej nie stara się rozciągnąć swojej działalności poza przedpokój. Dlatego generał znosił ją w milczeniu. Ale adiutant pozostał czujny. - Generał życzy sobie, żeby sędzia wyższego sądu wojennego Wirrmann stawił się o dziewiętnastej na rozmowę. Tak samo porucznik Krafft. Również na godzinę dziewiętnastą. - Obaj razem? - spytała Sybilla zdumiona. Porucznik Bieringer starał się nie

patrzeć na nią, bo z jego wzroku musiałyby teraz wyczytać naganę. Wydał zarządzenie jednoznaczne; wszelkie prywatne zdania na ten temat były niepożądane. Był dla tego generała najlepszym adiutantem, jakiego tylko można sobie wyobrazić. - Sybilla Bachner zwiesiła głowę. Jej długie jedwabiste włosy opadały na jedną stronę jak kurtyna. Przypominała Bieringerowi pewien subtelny obraz Renoira, na którym kaskada oświetlonych przez słońce gęstych włosów mówiła o pełnej oczekiwania zmysłowości. Te kombinacje myślowe niepokoiły trochę Bieringera. Był przecież na służbie, a poza tym był szczęśliwym małżonkiem, i do tego jeszcze wkrótce miał zostać szczęśliwym ojcem. - Uważam, panno Bachner - powiedział ostrożnie - że powinna pani nosić nieco surowszą fryzurę. - Czyżby pan generał wyraził jakieś zastrzeżenia co do mego uczesania? - spytała nieomal z nadzieją. Bieringer spojrział na nią współczująco i karcąco zarazem. - Nie jest pani żołnierzem, panno Bachner. Dlaczego więc pan generał miałby się interesować pani uczesaniem? * * * - Porządek i czystość - powiedział kapitan Kater - oto do czego przykładam wagę. Pod tym względem nie dam się nikomu prześcignąć. Kapitan Kater przeprowadzał inspekcję kuchni nr 1. Jako dowódca kompanii administracyjnej był do tego uprawniony. Podlegały mu wszystkie kuchnie w obrębie koszar. Kapral Parschulske, szef kuchni, chodził za nim pełen szacunku. Jego sumienie nigdy nie było całkiem czyste, a jego palce były prawie zawsze tłuste. A przy tym - dziwna rzecz, był chudy jak śledź. - Pozwoliłem sobie, panie kapitanie, nakryć stół jak zwykle... żeby pan kapitan mógł przeprowadzić degustację potraw tudzież rozmaitych próbek. Kater kiwnął aprobowująco głową. Udał się do spiżarni, obmacał kilka worków i kazał sobie podać w cyfrach stan zapasów. Potem wyciągnął kilka szuflad. I nagle stanął jak wryty - coś różowego przebłyskiwało poprzez kaszę mannę. Wsadził rękę głęboko w mannę i zaczął ją przesiewać po omacku. Wymacał w ten sposób trzy kielbasy. Trzy duże, grube, ciężkie kielbasy - każda około trzech kilogramów wagi. Ale Kater na razie nic nie powiedział. Otrzeptał rękę. Kaprala Parschulske, który stał sztywno obok niego, zaledwie musnął spojrzeniem. Potem dowódca kompanii administracyjnej udał się do kuchni, gdzie stół był już nakryty. Usiadł i popatrzył na stojące przed nim potrawy: zimna pieczeń, grube kielbasy, tłuste kawałki sera. Wszystko to dla zbadania jakości, smaku, świeżości, stanu - i jakie tam jeszcze były preteksty. Tu i ówdzie Kater odcinał sobie próbkę. Jadł i rozmyślał. Nie działać pochopnie - to była zasada. Trzymać ludziom nad głową bat - to dawało najlepsze rezultaty. I w tej taktyce był we własnym przekonaniu mistrzem. Pozostawił szefa kuchni w niepewności, czy widział już skradzioną żywność, czy nie, i czy będzie żądał zdania z tego sprawy, czy nie. Na razie niech się Parschulske trochę pomęczy. Ale ten też nie upadł jeszcze na głowę. Ze swej strony oskarżył kucharza o zwędzenie tych kielbas. Ten jednak powiedział, że sobie wyprasza, aby go o coś takiego posądzano, i natychmiast zaczął podejrzewać wszystkie siły pomocnicze pracujące w kuchni. - I co z tego wynika, że tam gdzieś leżą kielbasy, człowieku?! Każdy mógł je tam włożyć. A może ten, co to żarcie podwędził, załączył do niego swój adres? - Ale w ostatecznym rachunku - powiedział kapral - odpowiedzialność spada na mnie. - No tak, chyba że będzie można porazić pamięć kapitana Katera solidnymi porcyjkami. Tymczasem kapitan Kater, zatopiony w myślach, zajaśniał dalej. Ciągle jeszcze zastanawiał się, co ma zrobić z tymi trzema kielbasami. Mógłby złożyć meldunek generałowi i w ten sposób zademonstrować czujność i uczciwość. Jednakże zaskarbić sobie głęboką wdzięczność szefa kuchni - to też miało swoje zalety. I gdy kapitan Kater tak rozważał swe nowe pociągnięcia strategiczne, błędził równocześnie oczami po kuchni - nie po kotłach, naczyniach i stołach, lecz po żeńskim personelu kuchennym. Przeważnie okrągłe jędrne dziewczęta. Jak utuczone. Nie w jego typie. Ale była między nimi jedna, jakaś nowa - patrzyła na niego wielkimi pytającymi oczami. Przypuszczalnie, pomyślał Kater, ta mała podziwia swego przełożonego. Jowialnie kiwnął na nią ręką - ciągle jeszcze uzbrojoną w nóż. Dziewczyna natychmiast podeszła do niego. Widocznie marzyła o tym, żeby zwrócił na nią uwagę. To uradowało Katera. - Nazwisko? - spytał kapitan po ojcowsku życzliwie. - Irena - powiedziała. - Irena Jablonski. - Skoszarowana? - spytał Kater. I spoglądał z wzrastającym zainteresowaniem na jej wspaniale rozwinięty biust. Rzucał się on tym bardziej w oczy, że dziewczyna była poza tym prawie szczuplutka. - Tak jest, skoszarowana - powiedziała

Irena i popatrzyła na niego oczami pełnymi nadziei. - Mieszkam razem z innymi dziewczętami... ale żadna z nich nie jest w kuchni. - Stenografia? - pytał dalej Kater. - Maszyna? Kaligrafia? - Mogę się wszystkiego nauczyć - pospieszyła zapewnić go Irena, patrząc nań, rozpromieniona, jak na zbawcę. - Uczę się bardzo szybko, naprawdę. Można mnie wszystkiego nauczyć. Naprawdę wszystkiego. - Zobaczymy - powiedział Kater. * * * Adiutant generała porucznik Bieringer odłożył słuchawkę na widelki. Kilka sekund patrzył w zamyśleniu przed siebie. Potem powiedział: - Pan generał prosi panią do siebie, panno Bachner. - Już idę - powiedziała Sybilla. Bieringer unikał jej wzroku. Jej gorliwość była naprawdę podejrzana. Nie chciałby jej stracić jako pracownicy - ale straciłby ją na pewno, gdyby spróbowała przełamać rezerwę, jaką należało zachowywać wobec generała. Sprawdzał okulary na nosie, wziął stos papierków i wyszedł z pokoju. Adiutant udał się na cotygodniowe posiedzenie z dowódcami kursów celem ustalenia programu nauczania na następny tydzień. Sybilla weszła - jak zwykle bez pukania - do gabinetu generała. Zobaczyła Modersohna przy biurku, takiego samego, jakim go widywała przez sześć miesięcy w każdy dzień powszedni, w tej samej pozycji, w tym samym mundurze, prawie bez ruchu. - Panno Bachner - powiedział - chciałbym, żeby pani dziś stenografowała moją rozmowę z panem sędzią sądu wojennego Wirrmannem i panem porucznikiem Kraffttem i natychmiast przepisała ją na maszynie, bez kopii, jako dokument ściśle poufny. - Rozumiem, panie generale - powiedziała Sybilla. Stała w wyczekującej postawie, nie spuszczać z niego oczu. - To wszystko, panno Bachner - rzekł generał i znowu nachylił się nad swoim biurkiem. Oczy Sybilli płonęły ciemnym blaskiem. Odwróciła się, żeby wyjść. Ale przy drzwiach zawahała się na sekundę i powiedziała: - Panie generale, prawdopodobnie nie będzie miał pan generał dziś czasu na kolację. Czy mam coś przygotować? Generał podniósł powoli głowę. W jego chłodnych oczach pojawiło się zdumienie. Spojrzał na Sybillę tak, jak gdyby zobaczył ją po raz pierwszy, i powiedział z lekkim uśmiechem: - Nie, dziękuję. - Nawet filiżanki kawy nie, panie generale? - Dziękuję, nie - powiedział Modersohn. I cień uśmiechu na jego wargach znikł jakby ręką odjął. - Gdybym kiedykolwiek miał takie życzenie, panno Bachner, zawiadomię panią o tym w porę. Tym samym ta na wpół prywatna rozmowa - pierwsza od sześciu miesięcy - była najwyraźniej skończona. Generał powrócił do swojej pracy. I owo dążenie do izolacji, które tak niepokoiło jego otoczenie, odgrodziło go znowu od świata niczym ściana z pancernego szkła. Sybilla wycofała się z gabinetu, ani zawstydzona, ani nawet zdziwiona. Z biegiem czasu przyzwyczała się już do dziwactw generała. Musiała się przyzwycząć do wielu rzeczy. Poprzedni komendant, wesoły, światowy, protekcyjny, lubował się w serdecznej, jowialnej wielkopańskości - beztroskie, pańskie cechy, które w końcu odczuła i na własnej skórze. Gdy przyszedł Modersohn, za jednym zamachem wszystko się zupełnie zmieniło. Otaczający go oficerowie zaczęli kosztować w tej zimnej atmosferze; unikali go albo łaskali się do niego jak posłuszne psy. W ten sposób Sybilla Bachner gruntownie poznała mężczyzn. I wszystkie jej złudzenia przysły jak baloniki na jesiennym wietrze. - Czy można zakłócić tę idyllę? - spytał od strony drzwi demonstracyjnie przyjazny głos. Stał tam kapitan Kater. Uśmiechała się przez uchylone drzwi - ostrożnie, życzliwie, poufale. Sybilla bowiem była w tej chwili sama. To dobrze. To go skusiło do zademonstrowania jowialnej serdeczności. - Cieszę się zawsze, jak panią widzę - powiedział. I wyciągnął do niej rękę. To też robił zawsze tylko wtedy, kiedy nikogo poza nią w przedpokoju nie było. - Czym mogę panu służyć? - zapytała Sybilla chłodno. - Samo pani istnienie przekreśla już wszystkie inne życzenia - zapewnił ją Kater z emfazą. Przemyślał sobie dobrze to sformułowanie. Ta panna Bachner była ważna, trzeba jej było nadszkakiwać. - Czy potrzebna jest panu jakaś informacja, panie kapitanie? Adiutanta niestety nie ma. Ale jeśli chce pan złożyć jakiś raport, to mogę go przyjąć. - Mam pewien problem, droga panno Bachner. Możliwe, że sprawa jest bardzo skomplikowana, dlatego nie śmiem rozstrzygnąć jej sam. - Chciałby więc pan pomówić z panem generałem, panie kapitanie? Nie sądzę, żeby to było teraz możliwe. - W takim razie bardzo mi przykro - powiedział kapitan Kater z wyraźną ulgą. Nastęczało mu się w tej chwili najlepsze na razie rozwiązanie: generał był zajęty, więc on, Kater, nie mógł powziąć żadnego postanowienia. Kapitan był z tego bardzo zadowolony. Liczył na to. - Oczywiście, jeśli to jest jakaś niezwykle

pilna sprawa... - Ależ nie, nie! - zaczął się błyskawicznie wycofywać kapitan. - Nie śmiałybym nawet tak twierdzić. Wystarczy mi, jeśli pani, droga panno Bachner, w razie czego zaświadczy, że tu byłem. Sybilla z miejsca zrozumiała, o co tu chodzi - kapitan chciał się zabezpieczyć. Znała się na tym. Takie typy jak Kater zawsze starały się zabezpieczyć - adnotacjami w aktach, zwalaniem kompetencji na kogoś innego, udawaniem, że we właściwej porze starali się jak mogli, co prawda nadaremnie. - Mam dla pani niezwykle szacunek - zapewniał Kater, mrugając przy tym poufale. - To po prostu przyjemność pracować razem z panią. Jestem przekonany, że generał panią w pełni docenia. To była aluzja, i to niezbyt subtelna. Kater chciał tym samym powiedzieć ni mniej, ni więcej, tylko tyle: Generał w końcu też jest mężczyzną. Ale kapitan Kater - taka była wymowa jego mrugających oczu - jest dżentelmenem i milczy. Dopóki uważa swoje milczenie za rozsądne albo opłacalne. - Panie kapitanie - powiedziała Sybilla chłodno - mam nadzieję, że nie dałam panu najmniejszego powodu do tego rodzaju aluzji. - Ależ proszę pani! - zawołał Kater teatralnie. - Wprost przeciwnie! O aluzjach nie może być w ogóle mowy. - Wobec tego zapewniam pana jeszcze raz - powiedziała Sybilla - że o niczym tu sama nie decyduję ani też nie mam wpływu na niczyją decyzję. Pracuję tu wyłącznie jako biuralistka. - Ma pani w stu procentach rację! - zawołał Kater z entuzjazmem. - Musi pani taką pozostać. Powinniśmy być przyjaciółmi, nie uważa pani? Gdyby pani miała kiedyś jakieś życzenie, nawet zupełnie prywatne, to proszę zwrócić się z tym do mnie. - I bez zacerpnięcia tchu dodał: - Czym właściwie powiada pani, generał jest tak zajęty? - Oczekuje panów Wirrmanna i Kraffta - powiedziała Sybilla zaskoczona. W sekundę potem zdziwiła się, że dała się tak pociągnąć za język. Zachwycony swoją przebiegłością, Kater pospiesznie dodał: - A więc gdyby był pani potrzebny ktoś godny zaufania, to może pani spokojnie przyjść do mnie. Na Katerze można polegać. - Pan mi przeszkadza w pracy, panie kapitanie - powiedziała Sybilla zimno. Kater podszedł do niej nieco bliżej i uśmiechnął się bez urazy. - Miałem kiedyś znajomą - powiedział. - Wspaniała dziewczyna, słowo daję. I była z pewnym podpułkownikiem, ale to był rzeczywiście elegancki mężczyzna, to mu trzeba przyznać. Pobrali się później. On nie miał innego wyboru. Za dużo świadków, rozumie pani. Na to nie ma rady. - Ohyda! - zawołała Sybilla oburzona. - To sprawa murowana, jeśli się do tego sprytnie zabrać. Ja się na tym znam. Więc gdyby pani kiedyś potrzebna była rada, szanowna pani, to wie pani przecież, gdzie mnie można znaleźć. * * * - Panie sędzio - powiedział generał Modersohn do Wirrmanna - proszę o sprawozdanie z pańskiego dochodzenia w sprawie śmierci podporucznika Barkowa. Generał stał za swoim biurkiem. Przed nim siedzieli sędzia wyższego sądu wojennego Wirrmann i porucznik Krafft. W głębi pokoju, przy małym stoliku, siedziała Sybilla Bachner - z blokiem stenograficznym. - Czy wolno mi - powiedział Wirrmann wymijająco - zwrócić uwagę pana generała na to, że nie byłoby na razie wskazane udostępniać tego sprawozdania osobom trzecim? Generał oświadczył: - Przyjmuję do wiadomości pańskie zastrzeżenia. Proszę, niech pan zaczyna swoje sprawozdanie. Sybilla stenografowała każde słowo - nawet każdy z powtarzających się zwrotów grzecznościowych. O tyle, o ile pozwalała jej na to jej praca, obserwowała obecnych: wyprostowaną postać generała, czujne napięcie u wojennego sędziego śledczego, nietaktowną nonszalancję Kraffta. Krafft bowiem nie wiedział, że jest obserwowany, i wydawało mu się, że jest tu zbędny - mylił się zarówno co do jednego, jak i co do drugiego. Sybilla bowiem zauważyła, że generał widzi każdą reakcję porucznika. - Co się tyczy wszczętego przeze mnie dochodzenia w tej sprawie, panie generale - rzekł teraz Wirrmann, szukając słów oględnych - jestem skłonny mniemać, że mogę je uważać za zamknięte. Oprócz protokołu przeciw nieznanemu sprawcy, sporządzonego przez pana generała, istnieją jeszcze następujące dokumenty, z których korzystałem w trakcie prowadzenia śledztwa: szkic sytuacyjny wraz z trzema fotografiami, protokół z wizji lokalnej, diagnoza lekarzy, orzeczenia rzeczoznawców, w tym dwa wydane przez oficerów służby inżyniersko_saperskiej, mających duże doświadczenie w obchodzeniu się z materiałami wybuchowymi, i to zdobyte na froncie. Dalej: dziewięć protokołów z przesłuchań, w tym dwa z przesłuchania oficerów_instruktorów szkoły wojennej; pozostałe siedem - z przesłuchań podchorążych, których można uważać za świadków naocznych. - Akta są mi znane - powiedział

generał. - Mnie interesuje jedynie wynik przeprowadzonego przez pana dochodzenia, panie sędzio. Wirmann skinął głową. Widać było po jego twarzy, że czuje się urażony. Widocznie generałowi zależało na tym, żeby go ciągle upokarzać. - Panie generale - powiedział - po dokładnym przestudiowaniu wszystkich dokumentów, jakie miałem do dyspozycji, po gruntownym wyjaśnieniu punktów spornych, wątpliwych lub dla mnie niejasnych, doszedłem do następującego wniosku: śmierć podporucznika Barkowa była śmiercią gwałtowną. Nastąpiła dlatego, że lont wybuchowy, użyty do spowodowania eksplozji, i to lont szybkoopalny, był zbyt krótki. Decydującą rzeczą przeto było wykazanie, jak doszło do użycia tego szybkoopalnego, zbyt krótkiego kawałka lontu. Tu istnieje kilka możliwości. Po pierwsze: Lont został źle dobrany i zbyt krótko obcięty wskutek nieznamoścności przedmiotu. Możliwość ta odpada, ponieważ podporucznik Barkow był oficerem doświadczonym w sprawach saperskich. Po drugie: Właściwy lont, odpowiednio dobrany i fachowo ucięty, zastąpiono innym, który w rezultacie doprowadził przedwcześnie do wybuchu. W grę wchodziłby tu tylko któryś z podchorążych. To jednakże, tak jak sprawy stoją, wydaje się wykluczone, a przynajmniej bardzo nieprawdopodobne. Albowiem zeznania podchorążych pokrywają się ze sobą. A na punkty decydujące w takich przypadkach - motyw i sposobność - nie ma przekonujących dowodów. Z czego, po trzecie, wynika, jako ostatnia i jedynie logiczna możliwość, że to pomyłka, niedopatrznie, przypadek doprowadził do śmierci podporucznika Barkowa. Ergo: Nieszczęśliwy wypadek. - Jeśli pan naprawdę w to wierzy - powiedział generał ostro - to nie nadaje się pan do prowadzenia dochodzeń. Jeśli pan jednak tylko udaje, że pan w to wierzy, to będę musiał przyjąć, że jest pan zakłamany. Sybilla Bachner przerwała, speszona, stenografowanie. Tego rodzaju grubiańskich, świadomie obraźliwych słów nie słyszała jeszcze nigdy z ust generała Modersohna. Nawet najgorszą, najbardziej druzgocącą naganę formułował zawsze względnie powściągliwie. Sybilla odetchnęła głęboko. Ręka jej trochę drżała - pisała jednak dalej, tak jak tego od niej żądano. Porucznik Krafft natomiast wyprostował się. Siedział sztywno i słuchał. Z cichym zachwytem patrzył to na generała, to na Wirmana. Powoli uświadamiał sobie, że rozgrywa się tu niezwykle fascynujące i dość niebezpieczne widowisko, przy którym asystował jako widz z miejscem w łoży - tak myślał. Sędzia wyższego sądu wojennego zaczerwienił się jak pomidor. Trzymał się jednak zdumiewająco dzielnie. Na twarzy jego odmalował się najpierw głęboki smutek, a potem gorzki wyrzut. Miało to znaczyć, że jest mu przykro, iż został tu źle zrozumiany. Więcej nawet: że czuje się dotknięty, iż go tu traktują jak podwładnego niższego stopnia. - Panie generale - wykrztusił Wirmann - pozwalam sobie ponownie zaznaczyć, że moim zdaniem jest rzeczą niebezpieczną udostępniać to sprawozdanie osobom trzecim. W szczególności w tych punktach, których poruszenie wydaje mi się teraz nieuniknione. - Oświadczam jeszcze raz: przyjmuję pańskie zastrzeżenie do wiadomości, ale się z nim nie zgadzam. Proszę przejść do rzeczy. - Czy pan generał naprawdę nie chce poprzestać na moim końcowym oświadczeniu? Nawet i wówczas, jeśli zapewnię, że jest to najlepsze i jedyne do przyjęcia rozwiązanie? - Nawet i wówczas. Przedstawiciel sądu wojennego otarł swoje zroszone potem czoło wielką chustką w czerwone pasy. Generał ciągle jeszcze stał bez ruchu przy biurku. Krafft nachylił się teraz trochę do przodu. A Sybilla sięgnęła po drugi ołówek - pierwszy się jej złamał. - Oczywiście - powiedział Wirmann - z istniejących dokumentów można wyciągnąć również inne wnioski niż te, które doprowadziły mnie do takiego, a nie innego wniosku końcowego. W rzeczywistości istnieje, jak pan generał może się domyślać czy wie, coś w rodzaju motywu, który mógłby wykluczyć lub co najmniej postawić pod znakiem zapytania tezę o nieszczęśliwym wypadku. Nie miałem jednak odwagi badać tego motywu, panie generale, a raczej: to byłoby nie tylko ryzyko, to byłby fatalny błąd. - A dlaczego, panie sędzio? - Nie wiem, panie generale, co pana łączyło ze zmarłym podporucznikiem Barkowem... - Byłem jego dowódcą, to wystarczy. - W porządku, panie generale, nie moją sprawą jest rozstrzygać, czy to wystarczy. Ale jeżeli pan generał mnie zmusi, żebym doszukiwał się tego ewentualnego motywu, to może się okazać rzecz następująca: Mogę dostać w ręce niezbity dowód, że podporucznik Barkow wyrażał się wielokrotnie w sposób graniczący z robotą rozkładową, że pozwalał sobie wypowiadać pod adresem Führera i wodza naczelnego

Wehrmachtu sformułowania, w których można by się dopatrzeć zdrady głównej. To zaś, panie generale, są zbrodnie, które pociągają za sobą bezapelacyjnie karę śmierci. Można więc powiedzieć: ta gwałtowna śmierć uratowała go przed haniebną śmiercią. - A więc to tak - powiedział generał ledwo dosłyszalnie. Potem generał major Modersohn powoli się odwrócił, podszedł do okna, rozsunął zasłony zaciemniające i gwałtownie otworzył okno na oścież. Na dworze była kryształowobłękitna, lodowatozimna noc - bez księżyca, bez gwiazd, słowem: ciemny blask. Zdawało się nieomal, że to okno pośrodku tego sztucznie oświetlonego ciasnego pokoju jest jedynym oknem na świat - na świat, który trwał w mroźnej dezaprobachie. Ludzi w pokoju przebiegł dreszcz - przez okno wdzierał się dokuczliwy ziąb. Po chwili generał odwrócił się z powrotem do swoich gości. Jego twarz wydawała się teraz o jeden odcień bledsza. Ale można to było wytłumaczyć tym nocnym odbłaskiem, jaki wciąż jeszcze padał od śniegu przez otwarte na oścież okno. - Panie sędzio - rzekł generał - dziękuję panu za pańskie wywody. Przyjmuję do wiadomości, że uważa pan śledztwo za zamknięte. Tym samym pańska rola na moim terenie się kończy. Jutro rano uda się pan z powrotem do inspektoratu szkół wojennych. Iyczę panu przyjemnej podróży, panie sędzio. Wirrmann wstał. Oddał honor i wyszedł. Jego chód zdradzał teraz dumną satysfakcję. Był przekonany, że zwyciężył - aczkolwiek z dotkliwymi stratami. Ale zwyciężył! I był pewien, że następnym razem nie tylko pokona, ale i zniszczy tego niebezpiecznego przeciwnika. - Panno Bachner - powiedział generał, gdy Wirrmann wyszedł - proszę mi oddać swój stenogram. Sybilla podeszła i położyła swój blok przed nim na biurku - nie było bowiem w zwyczaju dawać generałowi wprost do rąk tego, czego żądał. I gdy Sybilla stała tuż przy Modersohnie, zdawało się jej, że dostrzega w jego oczach coś, czego nigdy jeszcze u niego nie widziała: smutek. W momencie, kiedy to zauważyła, zalała ją fala kobiecego współczucia. Uczucie to wybuchło w niej nieomal z siłą nieposkromionego żywiołu i groziło zniszczeniem jej opanowania, które przychodziło jej przecież z takim trudem. - Panie generale - powiedziała zduszonym głosem - jeśli mogłabym coś uczynić... - Dziękuję. Na dziś jest już pani wolna, panno Bachner - rzekł generał. I to takim tonem, że natychmiast oprzytomniała. Sybilla Bachner także wyszła z pokoju przyspieszonym krokiem, jak gdyby próbowała uciec przed samą sobą. Zamknęła energicznie za sobą drzwi. - Panie poruczniku Krafft - powiedział generał i spojrzał znacząco na inspektora grupy. - Tym samym wszystko się rozstrzygnęło. Zadanie pańskie jest jasne. Generał wziął do rąk kartki ze stenogramem rozmowy i zaczął je drzeć, krótkimi ruchami - na pół, i jeszcze raz na pół, i jeszcze raz. Skrawki papieru wypadały mu powoli z rąk na podłogę. - Będzie pan teraz postępował tak, panie poruczniku, jak gdybym ja był na pańskim miejscu. Interludium III Iyciorys kapitana Johannes Ratshelma czyli: Wiara i uczucie błogości „Ja, Johannes Mathias Ottokar Ratshelm, urodziłem się 9 listopada 1914 roku jako syn aptekarza Johannes Ratshelma i jego ślubnej małżonki Matyldy z domu Nickel w Eberswalde w marchii brandenburskiej. W rok po moim urodzeniu matka moja umarła, ja zaś spędziłem dzieciństwo i młodość w kamienicy, w której mieściła się apteka ojcowska.” Siedzę na dywanie - na dużym, mechatym, kwadratowym dywanie. Dywan jest czerwony i leży na nim moja czerwona piłka. Leży tam też moja lalka, która nie ma już ubrania, ale ma jeszcze włosy. Nazywa się Johanna, takie imię nadał jej ojciec. A na skraju dywanu leży Johann - to jest pies, duży, kudłaty, w białe i żółte łaty. Johann mnie pilnuje. Jak tylko chcę zejść z dywanu, podchodzi do mnie i pyskiem popycha mnie z powrotem na dywan. Tak samo robi też wtedy, kiedy piłka mi gdzieś ucieknie albo kiedy chcę zleżć z dywanu, bo mam mokre majtki. Johann wiecznie czuwa. A przy tym jest miękki, łagodny, cichy. Ale ja się go boję - boję się, że mnie ugryzie. On jednak nie gryzie! Tylko zawsze jest przy mnie. Czasami nawet przy łóżku, w którym śpię - i kiedy się budzę, patrzy na mnie. A ja myślę: ugryzie! I chciałbym: niech już raz ugryzie - żebym umarł albo żeby on sobie poszedł. Ale on nie gryzie. Ojciec jest bardzo wysoki i ciemny, i bardzo, bardzo przystojny. Ma aparat - i przed tym aparatem muszę ciągle stać albo siedzieć, albo leżeć. Ten aparat ma jedno oko i nazywa się „fotoaparat”. Z powodu „fotoaparatu” muszę ciągle zmieniać ubrania, wkładać nawet dziewczyńskie sukienki, takie z aksamitu i jedwabiu, a także całkiem przezroczyste. „Jaki on słodki”, mówią, kiedy mnie widzą. „On ma

urodę Błękitnego Chłopca - mówi ojciec. - Jest jak żywy obraz." A „fotoaparat” łypie na mnie jednym okiem i trzaska, i stoi - a czasem również błyska, co bardzo śmierdzi, tak że muszę kasłać. W naszym domu jest dużo kobiet - ale żadna z nich nie jest moją matką. I żadna nie zostaje na dłużej. Przychodzą, odchodzą, i ja się do nich nie przyzwyczajam. Każdą z nich nazywam „ciocią” - ojciec tak chce. Są wszędzie, gdzie ja jestem. Są w kuchni, w aptece, w saloniku, a także w łóżku, w którym śpi ojciec. Są grube i chude, brunetki i blondynki, dobre i złe, głośne i ciche, noszą białe kitle i fartuchy, suknie i koszule - albo całkiem nic. Czasem jęczą jak dzikie - a kiedy mówię to ojcu, bije mnie. „Masz robaczywe myśli?”, pyta ojciec. „Nie”, powiadam. „Masz robaczywe myśli - mówi ojciec - bo mnie szpiegujesz. Dlaczego to robisz? Czy to ci sprawia przyjemność?” - „Nie - mówię - to mi nie sprawia przyjemności, to jest wstrętne.” - „Masz robaczywe myśli - mówi ojciec -na wskroś robaczywe myśli. Czy ty to rozumiesz?” Rozumiem to. „Wstydz się!”, mówi ojciec. Więc się wstydzę. „W moim mieście rodzinnym uczęszczałem od 1920 roku do szkoły ludowej, a od 1924 tamże do szkoły średniej, celem zdobycia matury, co mi się też w 1933 roku udało. W 1925 roku ojciec mój umarł nagle i odtąd opiekowała się mną siostra mojego ojca, pani Konstancja Ratshelm, wdowa po lekarzu.” Nauczyciel Gabler ze szkoły ludowej bije; a kogo nie bije, tego głaszcze. Ale mego przyjaciela Klause często bije, a mimo to go głaszcze. Targa Klause, siedzącego w ławce przed nim, za włosy, aż ten zaczyna krzyczeć z bólu. Wówczas śmieje się, zduszonym i szybkim chichotem, i przyciąga głowę Klause do siebie; przymyka trochę oczy, a jednocześnie otwierają mu się lekko usta, kiedy głowa mego przyjaciela dotyka jego bioder. I te gwałtowne wahadłowe ruchy, to przyciąganie i odpychanie, to odpychanie i przyciąganie pulsuje w moim mózgu. I krew mi napływa do twarzy, i zaciskam pięści. A potem zrywam się na równe nogi; jest mi tak, jak gdyby mnie coś podrywało w górę, popychało naprzód, do wyjścia, gnało gdzieś daleko. Ale siadam z powrotem i zaciskam zęby. Słyszę krzyki w nocy. Zrywam się z łóżka i biegnę tam, skąd dolatuje krzyk - wbiegam do sypialni mego ojca. I widzę go: leży skurczony w poprzek łóżka. A łóżko jest białe, jego ciało jest szare - a w łóżku, na wysokości głowy, gęsta, lśniąca czerwień. A kobieta, która jest w pokoju, krzyczy jak szalona. Zaczynam powoli rozumieć jej krzyk. „To nie moja wina! - krzyczy. - On jest chory! To przyszło nagle!” Jej koszula jest również poplamiona krwią. „Leć po lekarza!”, krzyczy. I ja idę po lekarza. Ten mówi: „Za późno”. I dalej mówi: „Krwotok - to się musiało tak skończyć”. Ciotka Konstancja Ratshelm nigdy nie mieszkała w naszym domu. Tylko raz przestąpiła próg naszego domu - przyszła po mnie, kiedy ojciec umarł. „Nie pytaj o nic - powiedziała. - I tak nic byś z tego nie zrozumiał, jak bym ci odpowiedziała. Sprzedamy aptekę. Uzyskana suma pójdzie na opłacenie twojego wychowania, i to dobrego wychowania, bo takie ci jest gwałtownie potrzebne. Może jeszcze nie jest za późno. W każdym razie masz szczęście, że tak się złożyło, bo teraz zaczniesz dla siebie normalne, zdrowe życie. Już ja o to zadbam.” „Pokaż no ręce”, mówi ciotka Konstancja. I ja pokazuję jej swoje ręce. Potem chce zobaczyć moje zęby, uszy i szyję. Co sobotę muszę się kąpać. A ciotka stoi przy mnie i przygląda się, jak się namydlam i splukuję z siebie mydło. „Czystość ciała - powiada - jest warunkiem czystości myśli.” Na imię jej Erna; leży na kanapie, a ja siedzę obok. Patrę na jej rękę, która ześlizguje się z mego kolana, podnosi się i po omacku szuka kontaktu od światła. I chociaż jest ciemno, widzę ją zupełnie wyraźnie leżącą przede mną, widzę jej smagłą twarz, składającą się właściwie tylko z oczu i ust, z dużych, ciemnych, nieco skośnych, zawsze wilgotnych oczu, i z ust, które właśnie teraz czuję. Są to ciepłe, mokre, ssące, szukające, wilgotne usta. A jej ręce są wszędzie, głaszcą mnie, tarmoszą, wczepiają się we mnie. Zamykam oczy i spadam, spadam gdzieś głęboko i bez końca, gdy wtem brutalna siła podrywa mnie nagle w górę: Uderza we mnie jaskrawe światło. I widzę jej rękę na kontakcie, widzę ją pod sobą, widzę te duże, szeroko rozwarte, teraz zwierzęco dzikie, krwiożercze oczy. I wrywam się jej, owładnięty bólem, strachem i wstydem. Wylatuję na dwór i słyszę jej śmiech. „Wszystkie baby są do niczego - mówi mój stryjek, kapitan, który składa nam wizytę podczas urlopu. - Zapamiętaj sobie to, a jak będziesz o tym pamiętał, to dasz sobie radę w życiu, w każdym razie lepiej niż inni. Bo tam, gdzie tętni prawdziwe życie, mój chłopcze, baby wystają po kątach i zasmradzają tylko powietrze. Wierz mi,

do wielkich spraw się nie nadają. Nie potrafią rządzić krajem, sterować okrętem, a przede wszystkim nie potrafią prowadzić wojen. Tylko w łóżku są czasem nie do pogardzenia. Ach prawda, przypomniało mi się, że miałem coś omówić ze służącą, przyślij no ją do mnie na górę!

„Po zdaniu matury w 1933 roku zamierzałem pierwotnie, na życzenie mojej ciotki, obrać sobie karierę lekarską. Potem jednak zwyciężyło we mnie pragnienie, aby zostać oficerem. W 1934 roku zgłosiłem się ochotniczo do służby wojskowej. W 1938 roku miałem zaszczyt zostać promowany do stopnia podporucznika.” W starożytności i wiekach średnich do dyspozycji były przeważnie tylko zwierzęta, zwłaszcza psy i małpy. A to z powodu zacofanych poglądów religijnych. My jednak przeprowadzamy sekcje na zwłokach ludzkich. Anatomia bowiem jest nauką o budowie ciała organicznego i jego części. Istnieje anatomia ogólna i tak zwana topograficzna, ta ostatnia jest anatomią stosowaną. To wszystko jest bardzo skomplikowane, bardzo trudne, bardzo kłopotliwe - i przeważnie okropnie śmierdzi. Jestem zwolennikiem czystości, prawdziwego życia, piękności, wzniosłości. A w anatomii nic z tych rzeczy. „Człowiek żywy - mówi mi Simone - jest o wiele ciekawszy i bardziej pouczający niż martwe ciało, nie sądzisz?” Sądzę. Simone jest tak jak ja na pierwszym semestrze medycyny, a jej ojciec jest słynnym chirurgiem w Paryżu. „Czy masz ochotę - pyta - przeprowadzić studia na żywym ciele?” - „Tak - mówię - to by mnie interesowało.” - „No to rozbierzmy się”, mówi Simone. I tak też czynimy. Po pewnym czasie Simone pyta: „Co ty właściwie robisz? Albo jesteś mężczyzną, albo nie?” A przy tym zachowuję się przecież jak prawdziwy medyk - w końcu ona mi to zaproponowała. Ale nagle jej się odechciało. Z czego widać, jakie niekonsekwentne i nieobliczalne są kobiety - szczególnie Francuzki. Po raz pierwszy nie mieszkam sam w pokoju - jeszcze siedmiu mężczyzn dzieli ze mną to życie. Wstajemy o tej samej porze, myjemy się wspólnie, maszerujemy obok siebie po dziedzińcu koszarowym, po placu ćwiczeń. Czekamy i maszerujemy, marzniemy i pocimy się, że tak powiem, ramię przy ramieniu, biodro przy biodrze. Klniemy i śpiewamy, śmiejemy się i gadamy - i osiem ciał reaguje jak jedno. Od pobudki do momentu, kiedy idziemy spać. To jest wprost cudowne, jak dobrze się nawzajem rozumiemy, jak jednakowo reagujemy, jak mocno jesteśmy ze sobą związani - nawet jeśli nie wszyscy zdają sobie z tego sprawę, jeśli to nie zawsze jest jasne: to jednak tak jest. Przeżycie, któremu na imię wspólnota. Porucznik Waldersee jest dla mnie wzorem. Mężczyzna rosły jak sosna, smukły i strzelisty, i że tak powiem wprost niespożyty, przy tym niezwykle szczery i rubaszenie uprzejmy, kolega między kolegami, a przecież w każdym calu oficer wzbudzający szacunek. Potrafi w pełnym umundurowaniu podciągnąć się wysoko na drążku i skacze w butach pięć metrów w dal. Bierze udział w wyścigach samochodowych i zna na pamięć prawie wszystkie regulaminy, a poza tym lepszego przyjaciela nie można sobie w ogóle wyobrazić. Na imię jej Erika - jest miła, dobra i ładna. Poza tym z bardzo dobrej rodziny, ojciec jej bowiem jest majorem, co prawda w stanie spoczynku. Ma przedstawicielstwo samochodowe, i to pierwszorzędnej firmy, mianowicie Mercedesa, z prawem dostaw dla wojska; nasz F-uhrer również jeździ mercedesem. A więc jest to wielki zaszczyt. „Erika - mówię - najpiękniejsza rzecz na świecie to przecież dom, żona i pokaźna liczba dzieci. Wzorowe życie rodzinne, wiesz, surowe, solidne wychowanie, a zarazem zgodna, szlachetna harmonia. Właśnie tak prawdziwie po niemiecku w najlepszym i najdoskonalszym tego słowa znaczeniu. Co ty na to?” - „Kiedy?”, pyta Erika. „Gdy zostanę podporucznikiem”, powiadam. I oto jestem podporucznikiem. A więc spieszę do Eriki i mówię: „Jestem teraz podporucznikiem”. A Erika mówi: „To pięknie. Ty jesteś podporucznikiem, a ja jestem w ciąży”. - „To przecież niemożliwe”, mówię. „Dlaczego niemożliwe? - pyta Erika. - Jestem w ciąży oczywiście nie z tobą. Istnieją mianowicie inni, którzy nie czekają, aż zostaną podporucznikami.” „Kiedy w 1939 roku wybuchła narzucona nam wojna, od razu objąłem dowództwo kompanii piechoty, chociaż na razie nie miałem szczęścia zetknąć się w kampanii polskiej i francuskiej bezpośrednio z nieprzyjacielem. W 1940 roku otrzymałem awans do stopnia porucznika, a w 1941 zostałem wyznaczony w skład adiutantury dowództwa pułku. Na początku kampanii rosyjskiej pełniłem czasowo obowiązki dowódcy batalionu piechoty i z tym batalionem powstrzymałem w grudniu 1941 roku próbę przełamania się nieprzyjaciela na południe od Tuły.

Odnaczono mnie za to Niemieckim Złotym Krzyżem. Wkrótce potem otrzymałem awans do stopnia kapitana i przeniesienie do Szkoły Wojennej nr 5." Oto siedzą, w łachmanach, ziemioszarzy, złamani: jeńcy wojenni. Tysiące, pilnowane przeze mnie i moich żołnierzy. Trzęsące się symbole klęski. Koniec bezsensownej, zbrodniczej prowokacji. Złamana pycha. Już nie żołnierze, tylko żalosne kreatury. Ale czy to w ogóle byli kiedykolwiek żołnierze? Nie! Tak nisko żaden żołnierz upaść nie może. Ich oczy są żarłoczne, na widok żarcia i papierosów wprost ręce im się trzęsą. Śmierdzą w tych swoich łachmanach i bije od nich odór ekskrementów. Cóż za podniosły widok w przeciwieństwie do tego stanowią moi żołnierze, którzy ich strzegą: czyści, w dobrym nastroju, porządnie umundurowani. I poprawni! Bicie się nie zdarza - a jeśli już, to jest to spontaniczna reakcja na zwierzęce prowokacje. „Żołnierze - mówię w takich razach - nie dajcie się sprowokować przez tych podludzi. Pamiętajcie, że jesteście Niemcami! To zobowiązuje. A więc: nie strzelać tak od razu, koledzy, ani nie używać białej broni. Uderzenie kolbą sprawia czasem istne cuda. Bądźcie więc humanitarni - nawet jeśli oni na to nie zasługują.” Równy chłop ten mój dowódca pułku pułkownik Pfothenhammer. Cudowny humor w każdej sytuacji życiowej. Najbardziej lubi przebywać na przednim skraju. „Trrrach!”, mówi zawsze, ilekroć gdzieś uderza pocisk. Czasem podkreśla jeszcze to słowo krótkim pruknięciem, co niezmiennie wywołuje wybuch radości. Powinien właściwie już od dawna mieć Krzyż Rycerski, bo dowódca dywizji dostał go jeszcze w trakcie kampanii francuskiej. Ale z tego powodu pan pułkownik Pfothenhammer nie traci swego wspaniałego humoru, urodzony żołnierz frontowy. Gdzie tylko świszczą kule, tam on jest - i jego oficerowie, podoficerowie i żołnierze również. Bo tam, gdzie on ma coś do gadania, tam nie ma piecuchów sztabowych. Niezapomniana noc sylwestrowa 1941 roku: wielkie widowisko pirotechniczne, zainscenizowane przez pana pułkownika Pfothenhammera; najpierw moździerz, potem cekaemy, nad tym rakiety świetlne. Ale nieprzyjaciel nie jest fair - odpowiada nam katuszami. Pan pułkownik, jak zawsze na przedzie, odkorkowuje butelkę szampana, wino szumi - do tego prawdziwe kieliszki. „Na zdrowie, koledzy!”, woła do nas. „Na zdrowie, panie pułkowniku!”, odpowiadamy, i to chórem. I stoimy prosto jak drzewa, pod gradem kul. A kapitan Kwadlitz, wielki kawalarz i dobry kolega, podochocony szampanem i sylwestrem, wychodzi z okopów i spuszcza spodnie. „To pozdrowienie dla tych tam po drugiej stronie!”, woła. No, nie jest to zbyt wytworne, ale przecież świadczy o pogardzie śmierci. Mój Boże, co to byli za ludzie! „Teraz idziemy na całego! - mówi pułkownik Pfothenhammer. - Teraz, drogi Ratshelm, pokaż pan, co pan potrafisz!” I pułkownik łapie majora Wagnera na skrzyżowaniu pod Pelikowką. „Tchórz! - woła pułkownik. - Postawię pana przed sądem wojennym, Wagner!” Bo major chce się wycofać ze swoim batalionem, a więc zwiąć. „Przejmij pan tę bandę!”, mówi pułkownik do mnie. I przejmuję batalion. Rygluję skrzyżowanie - ani jeden kutas tu nie przejdzie, a więc: ani jedna świnia się nie wycofa! Muszą więc walczyć - pod moim dowództwem. Ja ciągle wśród moich żołnierzy: granaty ręczne za pasem, pistolet maszynowy na piersi. Wreszcie ludzie biją się jak lwy. Straty szalone - po obu stronach, ma się rozumieć. Ale skrzyżowanie trzymamy przez całą noc. Potem rozpiera nas duma, bo pułkownik otrzymuje Krzyż Rycerski. „Zawdzięczam to między innymi i panu, mój drogi Ratshelm - mówi pułkownik prawdziwie po rycersku. - I w odpowiednim czasie będę o tym pamiętał.” Było to rzeczywiście słowo mężczyzny, bo później przypięto mi do piersi Niemiecki Złoty Krzyż. święcimy zwycięstwo w sztabie, za frontem, w kilka dni później. Baterie butelek, soczyste słowa. Kwitnąca koleżeńskość. We wczesnych godzinach rannych obejmuje mnie pan pułkownik Pfothenhammer, mój uwielbiany dowódca, i całuje mnie wzruszony w oba policzki. Mówi ważkim głosem: „Został pan wyznaczony do wielkich rzeczy, kolego Ratshelm. Wychowywać będzie pan oficerów dla frontu, na których będziemy mogli polegać. Nie znam lepszego od pana, kapitanie Ratshelm. A więc do walki o czystość, honor i dyscyplinę - szkoła wojenna wzywa!” 10 To jest metoda niewłaściwa Trzy grupy szkolne wchodzące w skład 6 oddziału - grupa G, H i I - stały na koszarowym placu ćwiczeń. Kapitan Ratshelm, dowódca oddziału, krążył wokół nich jak owczarek wokół swego stada. Zgodnie z rozkładem zajęć mieli teraz mieć dwie godziny musztry. Porucznik Krafft wysłuchiwał meldunku starszego grupy.

Podchorążym Kramer, jak było do przewidzenia, pierwszorzędnie umiał wydawać komendy. Jego głos bez wysiłku wypełniał dziedziniec koszar i odbijał się echem od ścian baraków. Ale nie on jeden rozporządzał tak donośnym głosem - cały dziedziniec pełen był wrzawy. Ten wrzask nacierający z wszystkich stron na Kraffta poddał mu pewną myśl. Był to świetny pretekst, żeby wyjaśnić kwestię zasadniczą. - Czy dowódca musi mieć koniecznie silny, donośny głos? - Tak jest, panie poruczniku - zawołali podchorążowie, ochłonawszy dość szybko, choć w pierwszej chwili ich zatkało. Uważali tego rodzaju pytanie nie tylko za zbędne, ale za wyraźnie głupawe - czego oczywiście po sobie nie pokazali. Ale wskazywała na to pewna zarysowująca się w szeregach wesołość. - Dlaczego? - spytał Krafft. Na to pytanie nie wiedzieli zrazu, co odpowiedzieć. No tak, dlaczego właściwie dowódca musi mieć koniecznie silny, donośny głos? Głupie pytanie! To była rzecz sama przez się zrozumiała, której wcale nie trzeba było bliżej wyjaśniać. A ten domagał się koniecznie motywacji. No dobrze, będzie ją miał - ale jaką? Zgadywali na ślepo. Gadali jeden przez drugiego, usiłowali porozumieć się między sobą, i w końcu oświadczyli: Taki już jest zwyczaj! to wątpliwe sformułowanie większość zdawała się aprobować. Wywiązała się taka sobie letnia dyskusja, która zaczynała już przekształcać się w swobodną rozmowę. Starszy grupy Kramer był przerażony. Nawet kapitan Ratshelm na drugim końcu placu zwrócił uwagę na niezdiscyplinowaną gadaninę grupy szkolnej H i, trochę zaniepokojony, przysunął się bliżej. - Panowie! - zawołał porucznik Krafft. Również i on zdawał sobie sprawę, że musi natychmiast wziąć grupę w garść, jeśli nie chce, żeby na samym początku starto go na proch. Musi zweekslować na dyscyplinę. - Przyjmujemy następującą metodę: ja zadaję pytania, wy odpowiadacie. Ale odpowiada tylko ten bezpośrednio zapytany. Rozumiemy się? - Tak jest, panie poruczniku - mruknęli podchorążowie pozornie z aprobatą. W głębi duszy byli bardzo zadowoleni. Zdawało im się bowiem, że ich nowy instruktor nie był zbyt wielkim mędrce. Tak spokojnej musztry podchorążowie jeszcze dotąd nie mieli. Nawet pod dowództwem kapitana Ratshelma, który był przecież czymś w rodzaju humanisty. A co dopiero pod dowództwem podporucznika Barkowa, który się ostro do nich zabrał. TeEn porucznik Krafft przywiązywał widać większą wagę do teorii; urządził małą pogaduszkę. I oni nie mieli nic przeciwko temu. - Podchorążym Hochbauer - powiedział Krafft. Zwrócił bowiem uwagę, że jeden Hochbauer nie przyłączył się do powszechnej paplaniny. - Słucham, panie poruczniku? - Hochbauer spojrzał na Kraffta pytająco. Udawał, że nie wie, czego instruktor od niego oczekuje. Przybrał taką minę, że równie dobrze mogła ona wyrażać uprzejmość, jak i zaciekawienie. Patrzył z góry na porucznika, i to nie tylko dlatego, że był od niego wyższy. Robił to jednak dość ostrożnie, bo co jak co, ale lekkomyślny to Hochbauer nie był. - Proszę odpowiedzieć na moje pytanie, Hochbauer. - A więc - powiedział Hochbauer tonem protekcyjnym - oficer musi umieć rozkazywać, a rozkazy muszą być sformułowane jasno, zwięźle i wyraźnie. Niektóre rozkazy wydaje się w formie komendy, i to zarówno w pomieszczeniu zamkniętym, jak i na placu ćwiczeń i w polu. Te komendy muszą zagłuszyć nieraz inne komendy, wydawane na odcinku sąsiednim, a także wszelkie szmery wdzierające się z zewnątrz, jak na przykład warkot silników, no i oczywiście również wszelkie możliwe odgłosy na polu bitwy. Z tych przyczyn silny, donośny głos jest u oficera rzeczą samo przez się zrozumiałą. - Bardzo dobrze, Hochbauer! - zawołał kapitan Ratshelm, który tymczasem zdążył do nich dojeść. Po czym dowódca oddziału zwrócił się do porucznika Kraffta i powiedział, tym razem nieomal dyskretnie: - Mój drogi, proszę zaczynać zajęcia praktyczne. Inne grupy już od dawna ćwiczą. A pan wie, czasu nie mamy zbyt wiele. - Tak jest, panie kapitanie - powiedział porucznik Krafft niedbale. - Nie chcę panu bynajmniej przeszkadzać, Krafft, natychmiast się stąd ulatniam. Powinien pan się czuć tu zupełnie samodzielny. Proszę nie traktować moich słów jako korektury, raczej jako radę starszego kolegi. - Tak jest, panie kapitanie - rzekł Krafft. Wydawał się lekko zdziwiony, że Ratshelm, mimo że podobno nie chciał przeszkadzać, ciągle jeszcze tu stoi. - Powinien pan się spokojnie z tym wszystkim żyć, Krafft. Niczego nie robić w pośpiechu, żadnych ekstrawagancji, najlepiej trzymać się solidnej starej metody. - Solidnej starej metody, tak jest. - Wydaje mi się jednak, że pan idzie we właściwym kierunku, pomijając oczywiście te pogawędki teoretyczne.

Domyśla się pan już, gdzie w tej grupie szukać wartości specjalnych. Ie pan się już zajmuje tym wspaniałym chłopakiem, Hochbauerem, to dobry znak. Po tej całkiem wyraźnej aluzji Ratshelm nareszcie sobie poszedł. Ale tymczasem porucznik Krafft zdążył już zrozumieć, na czym polega jego właściwe zadanie: był oficerem sprawującym nadzór. Nie był tu po to, żeby wydawać rozkazy, lecz po to, żeby kontrolować, jak jego podchorążowie wydają rozkazy. Jego służba polegała na pilnowaniu, żeby inni pełnili służbę. Trzeba więc było przede wszystkim wybrać podchorążego, który by objął dowództwo nad grupą. Wybór jego padł na Webera, Egon. Do niego można było mieć całkowite zaufanie, że bez większych komplikacji da sobie radę z elementarnymi zasadami musztry. Weber, Egon, znał dostatecznie małą podoficerską tabliczkę mnożenia. Stał przed gromadką podchorążych i zawołał: - Grupa szkolna Heinrich na moją komendę! Następnie Weber podzielił grupę szkolną na cztery drużyny i wyznaczył czterech drużynowych. Ci z kolei wyznaczyli czterech zastępców. Weber krzyknął: - W drużynach - musztra żołnierza! Postawa zasadnicza i zwroty! Zwiększyć odstęp! Wykonywać! I od razu zapanował jaki taki porządek.

_____ Część I (c.d.) 10 To jest metoda niewłaściwa (c.d.) * * * Oczywiście Krafftą ponad nagim placem ćwiczeń powędrowały do hal, które zdawały się mrugać, zmęczone i zrezygnowane, wąskimi rzędami matowych okien. Dzień lutowy był mroźny i jasny. Tylko na nie tkniętych żołnierskimi butami trawnikach leżało trochę szarobłedego i brudnego śniegu. Na niebie nie było słońca. Krafft poszukał wzrokiem dwóch pozostałych grup szkolnych. Chciał podpatrzeć metody, jakimi pracują inni oficerowie. To, co zobaczył, zdumiało go. Porucznik Webermann, mały chudy oficer, ochryplym, ale dojmującym, szczekliwym głosem foksteriera utrzymywał swoją grupę w ciągłym ruchu. Więcej tam biegali, niż chodzili, a stanąć udawało im się rzadko kiedy. Podporucznik Dietrich natomiast, wysoki i barczysty, o niedbałych ruchach, kazał swojej grupie po prostu stać w miejscu. No i stali. Dość daleko od niego i w dużych odstępach. Pisali coś pilnie w swoich blokach meldunkowych. Co oni tam mogą pisać? myślał sobie Krafft. A dlaczego znów tamci uganiają się jak sfora psów? Miał diabelnie nieprzyjemne uczucie, że jest w tych sprawach rzeczywiście nowicjuszem. Kapitan Ratshelm wycofał się w głąb placu ćwiczeń. Stał w latrynie w pobliżu hal. Ale nawet to nie powstrzymało go od obserwowania swoich grup szkolnych. Zmrużonymi oczyma patrzył na dwór przez otwór mieszczący się na wysokości głowy. Grupa szkolna porucznika Kraffta zaczęła tymczasem ćwiczyć oddawanie honorów. Egon Weber, dumny ze swojej funkcji, przechadzał się między poszczególnymi drużynami, nie interweniując jednak. Wystarczała mu świadomość, że może interweniować, kiedy tylko zechce. Podchorążowie odrabiali swoje zadania spokojnie, aczkolwiek nie nazbyt gruntownie. Wyznaczeni spośród nich drużynowi wydawali głośno i bez przerwy komendy, jak to było w zwyczaju od niepamiętnych czasów, ale nikt ich prawie nie słuchał. Podchorążowie ułatwiali sobie życie jak mogli. Poza tym coś całkiem innego zaprzętało ich uwagę - Krafft zauważył to od razu. To odwrócenie uwagi było całkiem zrozumiałe: na skromnym boisku sportowym, przylegającym do placu ćwiczeń, pojawiło się całe stado kobiecości. Uwijały się tam kobiety i dziewczęta spośród personelu cywilnego, lecz skoszarowanego, pod przewodnictwem doświadczonej członkini B&S, * pracującej w szkole wojennej w charakterze pomocnicy lekarza. I te stworzenia płci żeńskiej z trzęsącymi się piersiami biegały, skakały i płały jak tancerki. Bund Deutscher M~adel - Związek Dziewcząt Niemieckich. - Czuję się niczym Tantal - rzekł M~osler. - Ten widok przeszkadza mi w ćwiczeniach. Jak w takich warunkach spokojnie pełnić służbę? - Uspokój się - rzekł podchorąży Egon Weber. - Ja mam tu dziś nadzór nad wami, więc nie możesz mnie bojkotować, gapiąc się bez przerwy na baby. - Weź szybsze tempo - powiedział M~osler - spróbuj dowalić się trochę bliżej do nich. Spróbuj wydostać adresy. - M~osler - powiedział Weber tonem prawdziwego dowódcy. - Tobie się chce do ustępu. Widzę to po twoich oczach. No idź prędko, ale najwyżej na pięć minut. M~osler pomknął jak strzała, nie odmeldowując się wcale u instruktora grupy. Ten zresztą miał głowę zaprzętniętą rozmyślaniami, jakby tu najlepiej zorganizować zajęcia. Webermann i Dietrich, instruktorzy dwóch pozostałych grup szkolnych, również spostrzegli tę niebezpieczną sytuację. To znaczy: z miejsca zareagowali. Zmiana frontu - całkiem po prostu. Ich podchorążowie stali teraz odwróceny tyłem do

odwracającej uwagi kobiecości. Krafft zrobił to samo. Zagwizdał na rozproszone grupy podchorążych wypatrujących sobie oczy. Podchorążowie zebrali się wokół niego. Za ich plecami - a zatem dokładnie w polu widzenia Kraffta - biegały po boisku kobiety; grały w dwa ognie. I wśród nich porucznik Krafft dostrzegł teraz Elfriedę Rademacher. Jeśli idzie o Elfriedę, to było na co popatrzeć, nawet na tle innych; znać było po niej, że dobrze o tym wie. Nawet z pewnej odległości widać było, że jest zbudowana niezwykle proporcjonalnie. Krafft musiał się trzymać w ryzach, żeby nie zaprzętać sobie zbytnio tym widokiem uwagi. Usiłował skoncentrować się na swoich podchorążych. - Czy są jakieś pytania w związku z tematem: Oddawanie honorów? Ci spojrzeli na swego porucznika nieufnie. Nie byli przyzwyczajeni do stawiania pytań, a cóż dopiero na placu ćwiczeń. Byli przyzwyczajeni do tego, że to im stawiano pytania albo pouczano ich, albo im wymyślano, a niekiedy ich chwalono - ale w zadawaniu pytań nie mieli żadnej wprawy. Rozglądali się, czy nie znajdzie się wśród nich choć jeden taki, co by się palił do odpowiedzi. Krafft cierpliwie czekał. Wreszcie zgłosił się podchorąży Rednitz. Stał jak zawsze w tylnym rzędzie i zapytał: - Jak się właściwie mówi: Okazywać honory, czy oddawać honory, panie poruczniku? - Mówi się tak, jak jest napisane w regulaminie, Rednitz - odpowiedział Krafft z niewinną miną. - Następne pytanie, proszę. Teraz z kolei zgłosił się M~osler. Ta trochę dziwna odpowiedź instruktora grupy pobudziła jego ciekawość. Chciał wiedzieć, czy to przypadek, czy też kryje się za tym jakaś metoda. - Panie poruczniku, następujący przykład: ja, podchorąży, idę ulicą i spotykam starszego szeregowca, w którego towarzystwie znajduje się kobieta, pani majorowa na przykład. Czy w tym przypadku muszę salutować pierwszy, a mianowicie pani, czy też mam czekać, aż starszy szeregowiec mnie pierwszy zasalutuje? - To zależy - zaczął uprzejmie wyjaśniać porucznik. - Jeśli w grę wchodzi kobieta, która ma stopień majora, to wy, naturalnie, pierwsi oddajecie jej honory, bo macie przecież przed sobą oficera starszego stopniem. Jeśli zaś spotkana kobieta jest tylko żoną majora, to nie macie obowiązku oddawać jej honorów, chyba że znacie tę panią majorową osobiście. Wtedy uprzejmość nakazuje, żebyście zasalutowali. Poza tym, M~osler, małżonka majora jest dla oficera, a wy przecież chcecie być oficerem, nie kobietą, lecz damą. Grupa roześmiała się od ucha do ucha, i ten śmiech nie był pozbawiony szczerego zdumienia. Tego rodzaju sformułowań jeszcze nie słyszeli, przynajmniej nie w szkole wojennej. Kiedy na przykład kapitan Ratshelm udzielał pouczeń, brzmiało to jak objawienie cnót żołnierskich. Podporucznik Barkow zaś miał zwyczaj cytować jedynie regulaminy, a znał je wszystkie na pamięć. Kapitan Feders natomiast, ich wykładowca taktyki, walił słowami jak młotem kowalskim. Ale ten porucznik Krafft nie pasował jakoś do żadnego z istniejących schematów. Może nawet był dowcipny, chociaż na takiego nie wyglądał. Ale właśnie to mogło prowadzić do komplikacji. Krafft ponad głowami swoich podchorążych rzucił szybkie spojrzenie na podskakującą ciągle jeszcze kobiecość. Oczy jego szukały Elfriedy - stała na skraju boiska, z piłką pod lewą pachą, i też się widocznie za nim rozglądała. Pomachała mu na powitanie prawą ręką. Było to ładne zmanifestowanie poufalej intymności, ale chyba niezupełnie właściwe na placu ćwiczeń. Mimo to widok ten sprawił porucznikowi Krafftowi radość. - Zrobimy przerwę - powiedział. Podchorążowie spojrzeli po sobie zaskoczeni. Ich dowódca był facetem zaiste oryginalnym, pomyśleli sobie. Cholernie trudno było wyznać się na nim. To, co robił, było rzeczywiście zaskakujące. Kramer przysunął się zatroskany do Kraffta i powiedział z należyтым szacunkiem: - Przepraszam, panie poruczniku, ale w trakcie wspólnych zajęć przerwę zarządza dowódca oddziału. - No to zrobimy sobie parę ćwiczeń oddechowych - powiedział Krafft. - Rozejść się. * * * - Chodź, chodź - powiedziała Elfrieda do małej Ireny Jablonski. - Nie gap się tak, bo ci oczy wyleżą na wierzch. Na to jesteś jeszcze za mała. - Moi bracia też są żołnierzami - powiedziała Irena zadumana. - Ie kochasz swoich braci, to bardzo ładnie z twojej strony - rzekła Elfrieda. - Ale nie musisz z tego powodu kochać zaraz wszystkiego, co nosi mundur. - Dobrze ci mówić - powiedziała Irena. Brzmiało to dość smutno. - To wszystko nie jest takie proste, jak ci się wydaje - powiedziała Elfrieda. Oczy jej błądziły po placu ćwiczeń, szukając wśród podchorążych Karla Kraffta. Nie widziała go już od trzech dni, odkąd został instruktorem grupy szkolnej. Bo nie tylko miał teraz

znacznie mniej wolnego czasu, ale na domiar złego nie mieszkał już w budynku komendy. Jego nowy pokój mieścił się w tym samym baraku, co izby jego podchorążych. Instruktor wychowawca musi być razem ze swoją grupą. Musiał czuwać nad nimi dniem i nocą. - Zazdroszczę ci - powiedziała Irena. - Masz naprawdę wszystko, o czym marzę. Ale niech ci będzie. Elfrieda bawiła się od niechcenia piłką. Uśmiechała się, wodząc oczyma za porucznikiem Krafft. Przechadzał się tam i z powrotem, daleko od niej, i palił papierosa. Zdawało się jej, że on też patrzy w jej kierunku - ale nie mogła dokładnie dojrzeć jego twarzy pod daszkiem czapki. Ich stosunek również podlegał teraz prawidłom rządzącym koszarami. Do jej pokoju Krafft nie mógł przychodzić, bo spało tu jeszcze pięć innych dziewcząt, a wśród nich mała, rozmarzona Irena Jablonski. Do jego pokoju ona z kolei nie mogła pójść, bo tam słyszałoby ich czterdziestu podchorążych. Tak więc i oni byli skazani na to, żeby szukać sobie ławek w parku, grubych drzew, bram albo zacisznego miejsca za pomnikiem. Ale może uda im się znaleźć jakiś magazyn ze sprzętem, pustą klasę lub pokój w hotelu, w końcu był początek lutego, a zimno nie sprzyjało zakochanym. - Z życiem, dziewczęta, z życiem! - wołała dziewczyna, która im przewodziła. Ale prawie żadna z dziewcząt nie zwracała na nią uwagi. - Elfrieda - powiedziała Irena ufnie - chciałabym kiedyś być taka jak ty. - Toteż wyglądasz na taką głupią - powiedziała Elfrieda ordynarnie. - Wiesz - powiedziała Irena - oficerowie są przecież zupełnie inni. - Zgadza się - rzekła Elfrieda. - Ich mundury i buty są gatunkowo znacznie lepsze niż mundury podoficerów i szeregowców. - A taki człowiek jak kapitan Kater na przykład - snuła dalej swoje marzenia Irena - jak gdyby te słowa wcale do niej nie dotarły - do niego można mieć chyba zaufanie, prawda? - Skąd ci to przyszło do głowy? - spytała Elfrieda bardzo podejrzliwie. - Rozmawiał tu kiedyś ze mną... w kuchni, kiedy był na inspekcji. Pytał się, czy umiem pisać na maszynie. A ja mu powiedziałam, że mogę się z łatwością nauczyć. W ogóle uczę się łatwo, powiedziałam mu. - Mnie się też tak wydaje - rzekła Elfrieda oschle. * * * - A więc, moi panowie - powiedział porucznik Krafft po skończonej przerwie - jedziemy dalej. Ciągłe jeszcze jesteśmy przy temacie: Oddawanie honorów. - Panie poruczniku - spytał jeden z podchorążych, który stał akurat obok Hochbauera - dlaczego właściwie w Wehrmachcie salutuje się przez przyłożenie ręki do nakrycia głowy? - Dlatego, że taki jest zwyczaj - powiedział Krafft. Miał się już teraz na baczności. Był wyraźnie zadowolony. Przerwa się opłacała. Przeprowadzone podczas niej rozmowy sprowadziły podchorążych tam, gdzie chciał ich mieć - na grząski grunt. Grupa szkolna, niczego nie podejrzewając, zaczęła tymczasem znowu beztrąsko paplać, co jej ślina na język przyniosła. Jak przekupy na rynku, myślał sobie Kramer. Ten Krafft urzęduje tu zaledwie czterdzieści osiem godzin, a już zdążył mu rozpaskudzić całą grupę. Tego, co w ciągu tych dwóch dni poszło do diabła, nie można było odrobić kilkoma udanymi dowcipami. Dyscyplinę szlag trafił. Tak sobie myślał Kramer. A na domiar złego klika Hochbauera zabierała się już do podkopywania tych ostatnich resztek, jakie pozostały jeszcze z autorytetu tego porucznika. - Panie poruczniku - zapytał teraz inny podchorąży z tej samej kliky - czy nie byłoby rozsądne, gdyby dla całych Niemiec ustalono ten sam sposób pozdrawiania się? - Ależ oczywiście - zgodził się porucznik uprzejmie. - Wystarczy, żeby formacje partyjne przejęły nasz sposób pozdrawiania. Teraz do tego turnieju słownego wtrącił się Hochbauer, pytając sugestywnym tonem: - Czy pan porucznik nie uważa, że sposób pozdrawiania stosowany przez naszego F~uhrera powinien obowiązywać w całych Niemczech? - Ależ, drogi Hochbauer - powiedział porucznik Krafft wciąż z tą samą uprzejmością, w której jednak można było wyczuć lekką naganę. - Nie zamierzacie chyba kwestionować wielkości naszego uwielbianego F~uhrera. Podchorąży Hochbauer nastroszył się. Miał bolesne uczucie, że dostał mocny cios w okolicę żołądka - cios zadany z uśmiechem, ale bardzo celnie. Powiedzieć coś takiego jemu, akurat jemu, gorącemu wielbicielowi F~uhrera! Nie do wiary wprost! A może się przesłyszał? Albo został źle zrozumiany? Albo użył niezbyt jasnego sformułowania? Hochbauer nie umiał sobie wytłumaczyć tego całego zajścia i rozejrzał się naokoło pytającym wzrokiem. Potem wykrztusił: - Jak mam to rozumieć, panie poruczniku? Krafft dał swoim podchorążym dostatecznie dużo czasu, żeby mogli poczuć smaczek tej sytuacji - o tyle, o ile stać ich było na to. Nie wszyscy bowiem poznali się na tym, że trafiła tu kosa na kamień. Wyzwano

Krafft na pojedynek, on się stawił - na swój sposób. I nawet czekał na to wyzwanie. Ale że będzie ono tak niezgrabne, tego się nie spodziewał. Ten Hochbauer i jego przyjaciele to były jednak jeszcze szczeniaki - z tą całą swoją naiwną odwagą i głupimi argumentami ślepej wiary. I trzeba będzie ich dopiero powolutku przekonać, że nie jest wskazane rzucać kamyki do wody, w którą stary rybak zapuszcza spokojnie swoją wędkę. - A więc, Hochbauer - rzekł Krafft tonem pobłażliwego nauczyciela - wiecie chyba, że nasz uwielbiany F~uhrer jest nie tylko wodzem partii i wszystkich jej formacji, lecz także kanclerzem Rzeszy, a poza tym jeszcze wodzem naczelnym Wehrmachtu. Wiecie to, Hochbauer, czy nie? - Tak jest, panie poruczniku - wykrztusił tenże. Ciągłe jeszcze niezupełnie pojmował, co to za gra się tu toczy. Jedno było tylko pewne: że on, uchodzący dotychczas za najlepszego znawcę i najzarliwszego wyznawcę F~uhrera, został upokorzony. Tak samo można by było spytać maturzystę, czy jeden a jeden jest dwa albo jaka litera następuje w abecadle po a. - No dobrze - powiedział Krafft - skoro to wiecie, mój drogi Hochbauer, to potraficie chyba zrozumieć i to, że nasz F~uhrer, gdyby chciał, mógłby po prostu rozkazać, żeby również i w Wehrmachcie wprowadzono jego sposób pozdrawiania. Jeśli więc tego nie zrobił, to znaczy, że nie chciał tego zrobić. A może się wam zdaje, Hochbauer, że F~uhrer nie byłby w stanie wydać tego rodzaju rozkazu? Czy sądzicie, że natrafiłby na opór w swoim Wehrmachcie albo natknąłby się na żołnierzy, którzy mogliby mu odmówić dalszego poparcia? Czy wy naprawdę w to wierzycie? Czy chcecie nam wmówić, że F~uhrer ma we własnych szeregach przeciwników, z którymi musi się liczyć albo których się wręcz boi? Czy chcecie nam to wmówić? - Nie, panie poruczniku! - No widzicie, Hochbauer! Wobec tego wszystko jest jasne. Ale trochę więcej zaufania do naszego F~uhrera na pewno by wam nie zaszkodziło. Po tych słowach porucznik pozostawił swoją grupę podchorążemu, któremu powierzył nadzór nad nią. Poleciał mu tylko, żeby ćwiczyli teraz chwytą bronią w szyku zwartym. A mianowicie: plecami do boiska sportowego. Weber nadawał swemu głosowi coraz potężniejsze brzmienie, byle tylko zarobić jak najwięcej punktów dla siebie. Hochbauer znęcał się nad swoją pukawką; świadczyły o tym jego gwałtowne ruchy. M~osler i Rednitz uśmiechali się w zamyśleniu. Chwyty bronią szły kiepsko. Kramer był znowu zrozpaczony. - Ten porucznik Krafft - powiedział M~osler, uśmiechając się z satysfakcją - wygląda na klawego faceta. Coś mi się wydaje, że będziemy mieli jeszcze niejedną z nim hecę. - Kto wie - powiedział Rednitz zamyślony. - Mam raczej uczucie, że on nam nieraz jeszcze zada bobu. Zrobili małą przerwę i przysłuchiwali się komendom Egona Webera, nie reagując wcale na nie. - Ie on opieprzył akurat tego Hochbauera, to dziwny przypadek. Uśmieć się można! Nie uważasz, Rednitz? - Nie uważam - powiedział Rednitz, ciągle jeszcze zamyślony. - Obserwowałem dokładnie tego porucznika Kraffta. Jest zupełnie inny, niż udaje. * * * Porucznik Krafft stał nieco na uboczu. Wyciągnął swój notes i coś w nim zapisywał. Z daleka wyglądało to dość poważnie. Ale Krafft wcale się nie koncentrował na swoim notesie. Mógł spokojnie polegać na swojej pamięci. To notowanie było tylko pretekstem, bo w rzeczywistości zerkał ku dziewczętom na boisku. - Nieszczególnie piękny widok - powiedział kapitan Ratshelm. Zbliżył się niepostrzeżenie do Kraffta, aby skontrolować, jak się sprawuje. - Ani wdzięku, ani odrobiny prężności - miękkie, tłuste mięso. Czy nie uważa pan? A poza tym to przeszkadza w mustrze. Skoro już o tym mowa, o mustrze mianowicie, jak pan daje sobie radę ze swoją grupą? Czy lody już zostały przełamane? Zaczyna się pan już z nią zżywać? - Czuję się na razie ciągle jeszcze obserwatorem, panie kapitanie. - Musi pan być bardziej aktywny, mój drogi, mówię to panu jako doświadczony wychowawca podchorążych. Musi pan świecić przykładem, tak żeby zechcieli pana naśladować. Świetlany przykład to najważniejszy element w kształtowaniu osobowości żołnierza. Chłopcy, zależnie od wrodzonych zdolności, muszą chcieć zostać takim Bl~ucherem na przykład czy Clausewitzem albo właśnie Krafftem czy Ratshelmem. A więc świeć pan, mój drogi! I zostaw pan w spokoju dyskusje i teorie; nie filozofowie prowadzą wojnę, lecz ludzie czynu. Rozumie pan, panie Krafft? - W zupełności, panie kapitanie. Kapitan Ratshelm skinął głową, przekonany, że znalazł w sam raz odpowiednie słowa. Mimo to czuł się jakoś nieswojo i twarz miał zatroskaną. Nie wyczuł u Kraffta owej spontanicznej ochoty do zgody i wdzięczności. A może ten człowiek był

w ogóle niezdolny do entuzjazmu? Ratshelm wodził zamyślonym wzrokiem po grupie szkolnej H, po tym wspaniałym materiale ludzkim - i w oczach jego, kiedy spoczęły na Hochbauerze, pojawił się łagodny blask. Ale obowiązek zmuszał Ratshelma do czujności. Kapitan musiał im wszystkim się przypatrzeć, z ostatnim rzędem włącznie. I to, co zobaczył, bardzo mu się nie podobało. Podchorążowie ćwiczyli niemrawo, bez entuzjazmu, bez ognia. Gdzie się podział ten piękny płomień, który on rozpałił w ich sercach? Niektórzy rozmawiali nawet, i to zupełnie bez żenady. - Niektórzy pańscy ludzie - powiedział Ratshelm z przekąsem - mają widać zamiar zamienić musztrę w pogawędkę. Czy pan tego nie widzi? - Owszem - odparł Krafft uprzejmie - widzę. - I nie ma pan zamiaru temu przeciwdziałać? - A dlaczego niby? - spytał Krafft nieomal wesoło. Kapitan Ratshelm zmarszczył czoło. W głosie jego wyczuwało się niedowierzanie: - Co pan powiedział? - Powiedziałem: dlaczego niby miałbym ingerować? Ja to tylko sobie rejestruję. - A dyscyplina, panie poruczniku? - Dyscyplina nie może być przedmiotem nauczania w szkole wojennej. Chcę powiedzieć przez to, że tego nie można nauczyć. - Ale można ją na ludziach wymusić! - W danym momencie, ale chyba nie permanentnie. W dodatku są sytuacje, kiedy żołnierz nie jest pod obserwacją. Wtedy robi zawsze to, na co może sobie pozwolić, co chce, na co ma ochotę. I właśnie w takich chwilach chciałbym go obserwować. Czy nie uważa pan, że jest to bardzo pouczające? - Uważam - powiedział Ratshelm sztywno - że ma pan dziwne poglądy, nawet bardzo dziwne. Kapitan Ratshelm wyprężył się i spojrzał znacząco w dal. W tej chwili w duszy jego zapadła trudna decyzja. Niestety to jest nieuniknione, będzie musiał obarczyć swymi wątpliwościami dowódcę kursu majora Freya. Nakazywało mu to jego poczucie obowiązku. Bo ten porucznik Krafft nie wydawał mu się odpowiednim człowiekiem do wychowywania przyszłych oficerów. 11 Człowiek czuje się nieszczęśliwy - Udaję pan człowieka uczuciowego, co? - kapitan Feders przyglądał się porucznikowi Krafftowi nieufnie. - Proponuje mi pan partię szachów. Dlaczego? Chce się pan napawać moim widokiem? - Chcę zagrać z panem w szachy, panie kapitanie... jeśli nie ma pan nic przeciwko temu. - A poza tym? ĩadnych ukrytych myśli? ĩadnej ciekawości? ĩadnego zamiaru wymacania mnie? Czy ktoś pana na mnie napuścił? A jeżeli, to kto? - Panie kapitanie - powiedział porucznik Krafft spokojnie. - Nie rozumiem doprawdy, o co panu chodzi. Wchodzę przypadkowo do czytelnicy, widzę pana siedzącego przy szachownicy i myślę sobie: może zagra ze mną partyjkę. Ale nie chcę się panu narzucać. - Siadaj pan - powiedział Feders. - Niech się na pana napatrzę do syta; bo kto wie, jak długo jeszcze będę miał sposobność gapić się na wołu z duszą Parcivala. Jeśli pan nadal będzie tak postępował jak dotąd, to najdalej za tydzień będzie pan śmierdział jak śnięta ryba. Bo tu niektórzy zabrali się już do wypuszczania panu wody. Porucznik Krafft nie zwlekał dłużej i usiadł. Korzystał z każdej okazji, by porozmawiać z Federsem. W końcu pracowali nad tą samą grupą szkolną. Byli więc na siebie skazani. - Jestem tylko miernym graczem - powiedział krafft. - Musi być pan pobłażliwy dla mnie. - Nie będę pobłażliwy - powiedział Feders. - Pan mi zaproponował partię, więc rozegram ją z panem bez pardonu. Siedzieli w kącie tak zwanej czytelnicy kasyna. Oświetlała ich stojąca lampa z wyblakłym łososiowym abażurem. Na dużej szachownicy stały z gruba ciosane figury. Nie byli sami w tej dużej, podłużnej sali. Przypominała ona werandę wiejskiej gospody - pod ścianą z oknami stał jeden stolik przy drugim. Dwa z nich były zajęte. Przy jednym grupa młodszych oficerów grała w zwyczajną świnkę. Przy drugim siedział kapitan Ratshelm z dwoma innymi kapitanami, zatopiony w spokojnej rozmowie, ich zdaniem chyba niesłychanie inteligentnej. - Czy ci faceci patrzą na nas? - spytał Feders. - Kogo pan ma na myśli? - Tych panów na lewo przy narożnym stoliku... którzy rzekomo rozmawiają. - Hm, myślę, że tak. W każdym razie kapitan Ratshelm zerka na nas od czasu do czasu. - Oczywiście - powiedział Feders. - Bo cóż innego mają do roboty! - Przypuszczam - powiedział Krafft, ustawiając spokojnie figury na szachownicy - że kapitanowi Ratshelmowi zależy na obserwowaniu mnie. Oczywiście z przyczyn czysto służbowych. Zdaje się, że nie jest zbyt zadowolony z takiego instruktora jak ja. - Pan jest wzruszająco naiwny, mój drogi - stwierdził Feders, otwierając partię. - Porusza się pan z zamkniętymi oczami po koszarach, po kasynie, dziedzińcu koszarowym i klasach. Jaki ma pan w tym cel? - Całkiem prosty - powiedział Krafft, który znosił cierpliwie wszystkie te pytania. -

Opiekuję się podchorążymi, którzy w przyszłości powinni zostać oficerami... na swój sposób. - Krafft, człowieku - rzekł Feders, wyraźnie niezadowolony z takiego braku orientacji - gdzie pan się właściwie przez te ostatnie lata, kiedy tu była wojna, podziewał? Chyba gdzieś za księżycem. A może udało się panu prowadzić wojnę na swój sposób? Albo też pozwalali panu żyć na swój sposób? Bzdura! Porucznik Krafft zerknął ukradkiem na pozostałe stoliki. W tej chwili jednak, jak mu się zdawało, nikt nie podsłuchiwał. Monologi kapitana Federsa były prawdopodobnie powszechnie znane. Albo budziły powszechny strach. Szanujący się oficerowie zachowywali się w takich przypadkach dokładnie tak samo, jak damy z towarzystwa, kiedy opowiada się zbyt jednoznaczny dowcip: udawali, że nie słyszą. Dzięki temu nie musieli się oburzać. - Pana sposób, Krafft - powiedział Feders - to nie jest sposób, w jaki się tu tańczy. Tu pan musi tańczyć tak, jak inni panu zagrają, a mianowicie pański dowódca oddziału, dowódca kursu, komendant szkoły, inspektor szkół wojennych, dowódca sił lądowych, naczelny wódz Wehrmachtu - tym samym doszliśmy do samego kompozytora. Wierz w Rzeszę, w naród i Führera i bądź gotów dla nich głodować, wziąć na siebie ciężkie trudy i zdechnąć. To już cały tekst do melodii, której najzupełniej wystarczy jeden bęben do wtóru. Zjawił się kapitan Kater, z szerokim, obiecującym uśmiechem, jaki zwykle przybierał w kasynie. Kto przebywał w kasynie niesłużbowo, zdany był na jego łaskę. Umiał być jednak łaskawy, jeżeli tylko odnoszono się do niego z szacunkiem. Kater zdążył wprost do stolika, przy którym siedzieli kapitanowie. Od pierwszego wejrzenia wiedział, gdzie w „jego” kasynie siedzą oficerowie najstarsi stopniem. Ujrawszy jednak porucznika Kraffta z kapitanem Federsem, nieco się stropił. Stał przed nimi i powiedział: - No, no! - Zaoszczędź nam pan swoich głębokich uwag - powiedział Feders, robiąc jednocześnie ryzykowny ruch. - Pan w kasynie, panie kapitanie Feders, o tej porze... mając, że tak powiem, dom i rodzinę? - Odwal się pan - rzekł Feders szorstko. - Przeszkadza nam pan. Ale Katerowi zdawało się, że tym razem może mu dać odczuć swoją wyższość. Panowie przy pozostałych stolikach przyglądali się tej scenie z wyraźnym zainteresowaniem - i należyłą ostrożnością. Kater lubił czuć na sobie spojrzenia wszystkich. - Aha - powiedział wreszcie - zapomniałem zupełnie, że to dziś piątek. Kapitan Feders cofnął wyciągniętą już po figurę rękę. Krafft zauważył, że ręka ta ledwo dostrzegalnie drży. Nad szczękami kapitana wystąpiły wyraźnie mięśnie. Feders zaciskał zęby. Krafft nic z tego wszystkiego nie rozumiał. Dlaczego Feders był taki wzburzony? Dlaczego od samego początku był taki rozstrojony? Co takiego złego powiedziano?? - Kater - rzekł teraz kapitan Feders niebezpiecznie cicho - jeśli pan natychmiast stąd nie spłynie, opowiem zaraz historyjkę o pewnym przełożonym, który zmusza swoich podwładnych do rozbierania się, oczywiście żeńskich podwładnych; co jest rzeczą co prawda zrozumiałą, ale nie usprawiedliwioną. Za to grozi więzienie. I tam właśnie pana wpakuję, tylko dlatego, żeby móc w spokoju zagrać tu sobie partię szachów. Kapitan Kater natychmiast się ulotnił - jak kometa, można rzec. Mruknął co prawda jeszcze coś tam pod nosem, ale nikt tego nie rozumiał. W każdym razie zabrzmiało to jak protest. W ten sposób próbował zachować twarz. - Co pan powiedział, co on zrobił? - zapytał Krafft przerażony. - A bo ja wiem! - Feders w wielkim skupieniu wykonał swoim koniem ruch, który zagroził królowej Kraffta. - Ale przecież pański zarzut był zupełnie jednoznaczny. - Przypuszczalnie jest też uzasadniony - powiedział Feders obojętnie. - Ale co to mnie obchodzi? Przeszkadzał mi, więc chciałem go się pozbyć i coś tam wymyśliłem sobie, a ponieważ kto jak kto, ale Kater ma na pewno nieczyste sprawy na sumieniu, można zaryzykować każde twierdzenie; to jest taktyka, mój drogi. Ale uważaj pan lepiej na rozgrywkę. Jeśli nie będziesz pan uważał, dam panu mata w trzech cugach. Krafft usiłował skupić się na grze, ale mu się to nie udawało, bo Feders już znowu przystąpił do akcji. - Ordynans! - zawołał na cały głos. - Butelka koniaku dla mnie, na rachunek kapitana Katera. Krafftowi udało się jeszcze raz uratować królową. Co prawda Feders natychmiast zaszachował ją prawym laufrem. Potem sięgnął po butelkę koniaku i napełnił do połowy dwie szklanki. Krafft czym prędzej wycofał swoją królową na tylne pola. - Bądź co bądź - powiedział porucznik ostrożnie, podejmując przerwana rozmowę - korpus oficerski składa się z pojedynczych ludzi o najrozmaitszych poglądach, zdolnościach i cechach. - Jeszcze jak! - zawołał

Feders z szyderczym zachwytem. - Tak samo jak na przykład korpus zmiataaczy ulic czy pracowników asenizacji. Również i tam znajdziesz pan, kogo pan chcesz: łagodnych pijaków, bogobożnych tyranów domowych, prawdziwych humanistów i ideowych hitlerowców, monarchistów i socjalistów - a niektórzy są nawet tym wszystkim po trochu. Zmieniają swoje poglądy w zależności od sytuacji. Krafft uśmiechnął się. - Porównuje pan zmiataacza ulic do oficera, panie kapitanie? - No cóż, może krzywdzę tym zmiataaczy ulic. Ale dla nich wydano rozporządzenie: zmiatajcie ulice! To, na ich szczęście, proste żądanie. Oficerów natomiast obowiązuje rozkaz: prowadźcie wojnę! A to już jest trochę bardziej skomplikowane. Tu zwykły regulamin zmiatania ulic nie wystarcza, tu trzeba całej masy przepisów, zarządzeń i rozporządzeń, już choćby dlatego, że wszelkie osobiste odruchy i wszelkie osobiste myśli należy jak najskrupulatniej wyłączyć - maszyna musi funkcjonować, produkcji nie wolno przerywać. A tam, gdzie instrukcje fabryczne wydają się niedostateczne albo niezrozumiałe, rządzi rozkaz - rozkaz, który musi być bezwzględnie wykonany. Teraz kapitan Feders poświęcił bez wahania wieżę. Chciał dotrzeć do króla przeciwnika. Przełamał bezwzględnie i zwycięsko linie Kraffta. Ale nie przejawiał najmniejszej radości z tego powodu. Jego nerwowość, jego prawie gorączkowe napięcie wcale nie słabło. Spoglądał raz po raz na swój zegarek. Jego oczy śledziły nieufnie leniwe wskazówki. Znowu zawołał ordynansa. - Potrzebny mi jest dokładny czas. - Zaraz siódma, panie kapitanie - powiedział żołnierz pełniący tu funkcję kelnera. - Człowieku - rzekł Feders opryskliwie - nie żądałem od was przepowiedni, lecz dokładnego czasu. Dokładnego co do minuty. Ordynans znikł. Wrócił natychmiast i powiedział pospiesznie: - Osiemnasta pięćdziesiąt sześć, panie kapitanie, czas radiowy. - Czy można ufać radiu? - spytał Feders. - Jeśli idzie o czas, to tak, panie kapitanie. Feders roześmiał się. Podobała mu się ta odpowiedź. Ten człowiek powinien być jego uczniem. Lecz on roznosił tylko butelki z wódką i żarcie. Cóż, może to i lepsze niż męczyć się z oficerami. Może nawet stokroć mądrzejsze. W każdym razie przyjemniejsze. - Ale proszę mnie, broń Boże, Źle nie zrozumieć, mój drogi Krafft - powiedział kapitan z naciskiem, wychylając swoją szklankę. - Nie jestem ani buntownikiem, ani reformatorem; próbuję tylko wytyczyć jeszcze wyraźniej nasze granice. Pan ma widocznie jakieś mgliste ambicje wychowawcze, Krafft, i to jest oczywiście bzdura. Taki kurs dla podchorążych trwa jedenaście tygodni; więcej czasu wojna nam na to nie daje. Co więc chce pan osiągnąć przez te nędzne jedenaście tygodni, Krafft? Przeobrażać ludzi, wykuwać indywidualności? To wszystko przecież gównem! Nawet jeżeli jakieś osiemdziesiąt procent podchorążych jest do kitu, to w każdym razie osiemdziesiąt procent zostanie oficerami. Plan zawsze jest wykonywany. A może się panu zdaje, że my tu w szkole wojennej pozwolimy sobie, żeby nam zarzucano nieudolność? W żadnym wypadku! A więc produkujemy taśmowo. I nie pozostaje nam nic innego, jak w tym krótkim czasie, który mamy do dyspozycji, napchać podchorążym do łbów tyle najelementarniejszych wiadomości, żeby im się rzygać chciało. A co najważniejsze: uczymy ich tu po raz ostatni, ale to definitywnie, że rozkaz to rozkaz. Feders znowu spojrzął na zegarek. Nachylił się teraz nieomal pospiesznie nad szachownicą i znalazł się w smudze światła padającej od lampy. Jaskrawe cienie kładły się na jego mądrą, wykrzywioną gorzkim grymasem twarz i porysowały ją tak groteskowo, że trudno było ją wprost poznać. - Wal pan - powiedział - wyjdź pan z królową. Czas już z tym skończyć. * * * - Myślisz o czymś innym - powiedział mężczyzna i uniósł się na łokciach. - Nie - powiedziała Marion Feders. - Tylko mi niewygodnie tak leżeć. Twoja ręka mi przeszkadza. - Cały czas trzymałem ją pod twoją głową - powiedział mężczyzna - a ty dopiero teraz to zauważyłaś. - Budzę się bardzo wolno - powiedziała Marion - a kiedy się budzę, jestem przewrażliwiona, wiesz. Leżeli w małym mieszkaniu kapitana Federsa w budynku gościnnym. Oczy Marion utkwione były w sufit. Leżący obok niej mężczyzna przeciągał się rozkosznie. Jego falujące się włosy jeszcze teraz wyglądały bardzo dekoracyjnie, jego oczy zasnutę były mgiełką rozmarzenia, a ładne kształtne usta lubieżnie rozchylone. Nazywał się Seuter, był porucznikiem i instruktorem jednej z grup szkolnych kursu I, powszechnie nazywano go „trubadurem”. Na imię mu było Alfred, ale kobiety i przyjaciele mówili do niego Freddie. - Czy sprawiłam ci wielki zawód, Alfred? - spytała Marion. - Ależ nie - powiedział -

skądże znowu! - Wydaje mi się czasem, że jestem okropnie niewdzięczna. - Ależ proszę cię - powiedział niedbale. Powiązał sobie tę ostatnią uwagę Marion ze swoją osobą. - Nie przejmuj się, każdy miewa chwile słabości. Podniósł się nieco wyżej i zaczął się jej przyglądać. Leżała na wznak i patrzyła na niego spod przymrużonych powiek. Przyćmione światło lampki nocnej rzucało na jej ciało różowy blask. - Moje biodra nie są ładne - powiedziała - wiem o tym. Są za grube. Jego ręka prześliznęła się jakby badawczo po jej biodrach. - Nie wydaje mi się - powiedział. - Są właśnie bardzo kobiece. Prawdziwy mężczyzna to lubi. - Proszę cię, zostaw, to boli. - Jesteś czasem taka jakaś napięta. Niekiedy mam wrażenie, że się bronisz przed tym. - Proszę cię, przestań. Zabierz rękę. - Lubię to - powiedział z ustami na jej uchu. - Zawsze najpierw zamykasz się w sobie. Ale potem jesteś jak zupełnie inna kobieta. Stajesz się dzika i niepohamowana. To mi się u ciebie podoba. - Nie - powiedziała - proszę cię, jest już późno, Alfred. Jestem pewna, że jest za późno. Spójrz na zegarek, proszę. - Potem. Opierała mu się całym ciałem, co w pierwszej chwili wziął za namiętność. Ona jednak wymknęła mu się, sięgnęła ręką do nocnej lampki i zerwała z niej czerwoną chustkę. Jaskrawe światło padło na nią i na zegar stojący na nocnym stoliku. - Jest za późno! - zawołała wzburzona. - Tak jak ci powiedziałam, już minęła dziewiętnasta. - E tam - zachnął się niecierpliwie i próbował przyciągnąć ją do siebie. - Pięć minut mniej czy więcej to nie ma znaczenia. * * * - Rozumie pan teraz, co miałem na myśli, Krafft? - spytał kapitan Feders. Wygrał partię bez trudu. - Czy zaczyna pan już powoli kapować, w jakie głupstwa pan się wdaje? Prowadzi pan z podchorążymi wesołe rozmowy, stosuje łagodną perswazję, kultuwuje pan indywidualne zdolności niczym hodowca - po co to wszystko? Napychaj pan tych tumanów przepisami, aż im z tych głupich łbów oczy wyleżą na wierzch. Naucz ich pan, że mają słuchać. Inaczej tego się nie da zrobić. - Dziękuję panu za te rady, panie kapitanie - powiedział Krafft. Ten Feders był najoryginalniejszym oficerem, jakiego dotąd spotkał, z wyjątkiem generała Modersohna. - Dał mi pan dobrą lekcję. - Mój drogi Krafft - powiedział kapitan chłodno, wychylając szklankę do dna. - Nie chcę powiedzieć, że mam słabość do pana, ale mi pana żal. Jest pan człowiekiem, któremu została jeszcze spora porcja dobrego samopoczucia. Ale może pan ją tu zachować tylko pod tym warunkiem, że będzie ją pan zgrabnie ukrywał, inaczej wybiją ją panu z głowy. A wtedy skończyłyby się nasze przyjemne rozmowy. - Z tego naprawdę nie chciałbym zrezygnować, panie kapitanie. - No dobrze, miejmy nadzieję, że będziemy jeszcze nieraz mieli do tego okazję. Ale nie omieszkał pan chyba zauważyć, że kapitan Ratshelm i major Frey nie są zbyt panem zbudowani. Sam ten fakt przemawia zresztą za panem. W gruncie rzeczy jednak dowodzi to braku zdolności do przystosowywania się. A za to karze się co najmniej przeniesieniem na teren przyfrontowy. A zresztą, Krafft, chodzi mi przede wszystkim o tę kupę podchorążych, których instruktorem jest pan i których wykładowcą taktyki muszą być ja. Nie mam ochoty męczyć się z bandą rozpieszczonych albo oświeconych chłopaczków. Chcę obrabiać materiał. Wszystko inne to strata czasu. Z tymi słowami kapitan Feders wstał, zakorkował napelnioną jeszcze do połowy butelkę koniaku i wsunął ją sobie pod lewą pachę. Krafft również podniósł się z miejsca. - To był interesujący wieczór - powiedział. - Ten wieczór nie musi się wcale w tej chwili skończyć - rzekł Feders po krótkiej pauzie. - Odprowadź mnie pan, jeśli masz pan ochotę. Pokażę panu, gdzie i jak mieszkam. Przedstawię pana mojej żonie. - Dziękuję pięknie - powiedział Krafft - ale nie chciałbym przeszkadzać. Feders spojrzał mu prosto w twarz - oczy jego były prawie smutne. - Nie chce pan... szkoda. Ale mogę to zrozumieć. I nie chciałbym się oczywiście narzucać. - Chętnie bym z panem poszedł - powiedział Krafft szczerze. - Niech mi pan wierzy. Ale jestem umówiony. - Z dziewczyną? - Tak - odpowiedział Krafft. - A nie może pan przesunąć tej randki? O godzinę? W żadnym razie? Byłbym naprawdę bardzo rad, gdyby pan mógł pójść ze mną. No jak? - Dobrze - powiedział Krafft - pójdę z panem. - Nie pożałuje pan - powiedział Feders. Zdawało się, że jest naprawdę rad. Ale nagle znowu spoważniał. I dodał z ciężkim sercem: - Tak czy tak, opłaci się panu ta wizyta. * * * Korytarz tak zwanego budynku gościnnego był wąski, wysoki, monotony: brązowy chodnik kokosowy, malowane na mdły, szarzielony kolor ściany. Drzwi w regularnych odstępach. Niczym chyba się w swym wyglądzie nie różnił od prowincjonalnego hotelu,

zbudowanego na łapu_capu w okresie koniunktury. - Mieszkam całkiem z tyłu, na prawo - powiedział Feders i zrobił w tym kierunku zapraszający gest. Drzwi, które wskazał Feders, otwały się. Na korytarz wyszedł oficer i starannie je za sobą zamknął. Wtem podniósł oczy i zobaczył Federsa i Kraffta. Drgnął, ale natychmiast wyprostował się, zmrużył nieco oczy i zaczął iść w ich kierunku. Feders zbladł. Chwycił Kraffta za ramię - ale nie tak, jakby musiał szukać u niego oparcia. Wyglądało to raczej na jakiś przyjazny gest. Kapitanowi potrzebna była tylko jedna sekunda, aby mógł wrócić do równowagi. I zupełnie bez związku, ale z odcieniem dobroduszości, powiedział: - Istnieją doprawdy twarze, które Pan Bóg stworzył chyba systemem taśmowym, ja w każdym razie nie potrafię ich rozróżnić. Umieję co prawda dostrzegać różnicę między jednym jeżem a drugim, czego nawet nie umiał w bajce zając ścigający się z jeżem, ale wobec umundurowanych gęb standardowych jestem bezsilny. Tymczasem ów oficer zdążył się już do nich zbliżyć. Był to, jak się zorientował Krafft, porucznik Seuter z I kursu, „trubadur”. Krafftowi nie wydawał się zbyt sympatyczny. A Feders patrzył na niego tak, jak gdyby był powietrzem. „Trubadur” zadziwiająco poprawnie przyłożył rękę do daszka. Feders patrzył niby to obojętnie w ścianę. Krafft odpowiedział na ukłon - z niejakim roztargnieniem, ale wyraźnie. Kiedy Seuter sztywno się oddalił, Feders spytał szorstko: - Kapuje pan? - Nie znam jeszcze wszystkich oficerów szkoły - powiedział Krafft wymijająco. - Na razie mam dość kłopotu z poznawaniem naszych podchorążych. - Niechże pan nie udaje, Krafft - wykrztusił Feders - że pan o niczym nie wie. Tu w szkole wszyscy o tym wiedzą, to już tajemnica poliszynela. Widzę to po oczach tak zwanych kolegów. Słyszę ich chichot, kiedy rozmawiają za moimi plecami. Nawet taki gnój jak ten Kater śmie robić aluzje. A czasem mam wręcz uczucie, że sam generał patrzy na mnie współczująco. - Nie wiem, o czym pan mówi - uciął Krafft ostro. I dodał: - I nie chcę wcale wiedzieć. Kapitan Feders wysunął do przodu brodę, jak gdyby coś wietrzył w powietrzu. Oczy jego były zimne i nieufne. Zatrzymał się - tak jakby bał się wejść do swego mieszkania. - No dobrze - rzekł wreszcie - może pan rzeczywiście nie wie, o czym mówię. Ale wcześniej czy później pa się dowie. Będą panu trąbić do ucha wszystkie szczegóły, aż się pan zarumieni ze wstydu lub z tak zwanej świńskiej satysfakcji. - Potrafię być głuchy, kiedy chcę - powiedział Krafft. - A poza tym uważam, że w tym korytarzu jest dość zimno. Co więc robimy? Wchodzimy do pana czy też wracamy do kasyna? W końcu winien jest mi pan rewanż. Poza tym butelka nie jest jeszcze pusta, możemy zagrać o jej zawartość. - Oszczędź pan sobie tego ciągłego odbiegania od tematu i pozwól mi pan wreszcie zrzucić z siebie ten mój ciężar. Zawsze to lepiej, żebym ja pana uświadomił, niż mieliby to zrobić inni. - Panie kapitanie - powiedział Krafft - zdaje mi się, że jesteśmy skłonni przeceniać to, co inni o nas wiedzą albo co im się zdaje, że wiedzą. Ja na dodatek usiłuję jeszcze uszanować prywatne sprawy moich bliźnich; chyba dlatego, że chciałbym, by inni robili to samo w stosunku do mnie. - To by się panu podobało - powiedział Feders z wymęczoną wesołością. - Zapomina pan o swoim żołnierskim poczuciu obowiązku! I o wielkoniemieckiej wspólnotcie narodowej! No to siup, wejdź pan, współbracie, kolego i rodaku. Feders otworzył na oścież drzwi do mieszkania. Pojawiła się jego żona, chciała podbiec do niego, ale zatrzymała się na widok nieznajomego oficera. Spojrzała na obu szeroko otwartymi oczami, zaciągając na piersi rozchyłony płaszcz kąpielowy. - Nie bój się - powiedział Feders donośnym, ale szorstkim głosem, pokazując przy tym na Kraffta: - to nie posiłki dla ciebie, to najnowszy obiekt moich eksperymentów: niejaki porucznik Krafft, o którym opowiadałem ci już wiele złego. Twarz Marion Feders, nieco zmęczona, wyraźnie się odprężyła. Próbowwała uśmiechnąć się. Podeszła do Kraffta i podała mu rękę. Oczy jej przyglądały mu się uważnie. - Cieszę się - powiedziała - że pana wreszcie poznaję, panie Krafft. - No więc! - zawołał Feders i wepchnął oboje do salonu. - A Krafft się ucieszy, jak dostanie coś do picia. Do tego trzeba nam przede wszystkim kieliszków, butelkę przynieśliśmy ze sobą. Druga butelka stoi w toalecie, na szafce z lekarstwami, jeśli się nie mylę. A może zdążyłaś ją już zużyć do bardziej godnych celów? - Zaraz ją przyniosę, i kieliszki - zapewniła Marion spiesźnie. Wybiegła. Feders popatrzył w ślad za nią. - No i - spytał niecierpliwie - jak się panu podoba moja żona? - To jest pańska żona - powiedział Krafft ostrożnie - mnie ona nie ma się co podobać. Feders roześmiał

się i odkorkował butelkę. - Tylko bez strachu, Krafft. A więc zgoda, sformułujemy pytanie nieco inaczej: Jakie wrażenie wywarła na panu moja żona? Krafft zrozumiał, że nie uda mu się wykręcić sianem. Feders upierał się przy swoim pytaniu, dlaczego więc nie miałby udzielić mu odpowiedzi? - A więc - powiedział otwarcie - żona pana jest pociągająca. Zdaje się, że ma dobre serce, no i nie czuje się zbyt szczęśliwa. Więcej w tej chwili nie mogę powiedzieć. - No dobrze - powiedział Feders z przekąsem - wobec tego uzupełnię trochę jej portret. Moja żona jest bardzo zahartowana, bo mimo zimna biega po mieszkaniu ubrana bardzo lekko. Poza tym, zdaje się, jej zegarek niedobrze chodzi. Albo też nie miała już czasu spojrzeć na zegarek. - Wybacz - powiedziała Marion Feders w drzwiach. Niosła tacę z dwoma kieliszkami i butelką. Patrzyła przy tym błagalnie na swego męża. Feders jednak unikał spojrzenia tych zmęczonych oczu. - Wybacz - powtórzyła. - Nie mam nic do wybaczenia - rzekł Feders porywczo - nawet sobie. Wszystko przecież jest w porządku, nie w najlepszym porządku, ale w porządku. A że butelka jeszcze istnieje, za to ci jestem nawet wdzięczny. - Nie będziesz mnie już chyba dziś wieczór potrzebował - powiedziała zupełnie nie urażona. - Nie - powiedział Feders - możesz iść wypocząć. - I cicho dodał: - Potrzebny ci chyba wypoczynek. * * * - Jest pan urodzonym spowiednikiem, Krafft - powiedział kapitan Feders, wychylając duszkiem ósmy kieliszek. - Przyciąga pan wyznania jak magnes opiłki żelazne. Człowiek ma uczucie, że może panu zaufać. Powinien pan być nieszczęśliwy z tego powodu. - Mam skórę grubszą niż słoń - powiedział Krafft. - A jeśli chcę, mogę mieć pamięć krótszą niż komar. - To wszystko nie wystarczy - rzekł Feders. - Na dłuższą metę to wszystko na pewno nie wystarczy. Bo kiedyś i pan się przekona, Krafft, jak bardzo nasze życie jest bez sensu. A wtedy i pan wylezie ze skóry. Chętnie bym zobaczył to rzadkie widowisko. Byli sami. Prawie godzinę spędzili na wzajemnym wymijaniu się. Ale siła przyciągająca ich ku sobie była wielka. - Powinniśmy ciszej rozmawiać - powiedział Krafft. - Przeszkadzamy pańskiej żonie, śpi już zapewne. - Jest moją żoną. I dlatego nic już nie jest w stanie nią wstrząsnąć. Feders zapadł się w sobie i mrużąc oczy, patrzył nieobecny wzrokiem w światło. Z lekko rozwartych ust ciekła ślina. Ręce mu drżały ledwo dostrzegalnie, kiedy sięgał po znowu napełniony kieliszek. Wlał w siebie alkohol gwałtownym ruchem i zachłysnął się; koniak pociekł mu po brodzie, na jego Krzyż Rycerski. - Powinien mnie pan być widzieć jeszcze rok temu, Krafft. Widok dla bogów wojny! I naprawdę nie mówię tego, żeby sobie pochlebiać, tylko żeby panu coś niecoś wytłumaczyć. Wiedziałem, że kiedyś będę generałem albo bardzo prędko trupem. Wolałem pierwszą ewentualność, ale druga mnie nie przerażała. A w Marion znalazłem żonę, która mi to radosne uczucie, że oto robię wielką karierę, uczyniła pełniejszym, między innymi poprzez to upajające szczęście, jakie umiała mi dawać. I ja głupiec bujałem w obłokach i wszędzie czułem się zwycięzcą. Aż odłamek wyrzwał mnie w jaja i wymniszył mnie jak kota. Krafft, który wyciągnął rękę po kieliszek, zamarł w połowie tego ruchu. Spojrzył przerażony na kapitana Federsa. Zobaczył śmiało sklepienie, teraz błyszczące od potu czoło, za którym pracował precyzyjny, błyskawicznie reagujący mózg. Mózg, którego myśli mogły być śmiertelne, który umiał dokładnie liczyć i obliczać, ściśle, matematycznie, bezbłędnie. Feders starał się zawsze przewidzieć do końca wszelkie skutki, wszelkie możliwości. Nie było u niego nic nie przemyślanego, Krafft zrozumiał to i był wstrząśnięty. Przed nim siedział człowiek, któremu groziło wykrwawienie się z ran, jakie sam sobie zadawał, przez ten swój ostry jak brzytwa mózg. - To piętnastominutowe kleikowate uniesienie, zdarzające się od czasu do czasu - spytał wreszcie Krafft - czy to naprawdę takie ważne? - Decydujące - powiedział Feders. - Mężczyzna może stracić nogę albo rękę, płuco albo mózg, jeśli takowy posiada, ale jeżeli traci płeć, przestaje być mężczyzną. - A może przestaje być tylko buhajem, ogierem, kogutem, i uwalnia się tym samym od całej masy obrzydliwości. Życie jego staje się prostsze, mniej skomplikowane, spokojniejsze. Natura wyrównuje; czy nie tak się mówi? Kto traci wzrok, temu wyostrza się słuch, u tego rozwija się zmysł dotyku i wyobraźnia. - Wszystko kłamstwo - powiedział Feders głucho. - Wszystko to pobożne, bezczelne i głupie kłamstwa! Morfina dla duszy i masaż mózgu! W najlepszym razie życzliwe pocieszenia. I oczywiście jest w tym trochę racji, ale zwykle, w każdym razie na wojnie, kryje się za tym coś

zupełnie innego. To przecież stara jak świat metoda przebiegłych mężów stanu: gówno i nędza pięknie udrapowane takimi dekoracyjnymi słowami jak los, wola Boska, honor, opatrność, ofiara. Nić przewodnia dla demagogów i tych, którzy chcieliby nimi zostać. Ofiara! Ciągłe mówią o ofierze, dla ojczyzny, dla wolności, dla pokoju albo dla tego, co im w danej chwili jest na rękę. Handlują tanim współczuciem i płacą swoje rachunki honorem. Wszystko to prowadzi do celu i rokuje powodzenie, wypróbowane od tysięcy. Wiem: śmierć i kalectwo są nieodłączne od wojny i żołnierza, tak jak woda od ryby. Kto wdziawa mundur, może mieć nadzieję na Krzyż Rycerski, ale powinien również pamiętać o krzyżu nagrobnym, a nawet o ustrzelonych jądrach. Dla mnie to zawsze było jasne, teoretycznie. Ale kiedy się tak leży, patrzy w sufit i wie, że się jest bezradnym, bezsilnym i całkowitym impotentem - co wtedy? Na to Krafft zrazu nie znalazł słów odpowiedzi. Automatycznie sięgnął po butelkę, nalał sobie pełen kieliszek i wypił duszkiem. Wódka miała smak wody. - Nie wolno tego nie doceniać, Krafft - rzekł Feders. - Nigdy nie wolno tego nie doceniać. Instykt płciowy jest jednym z głównych czynników naszego istnienia, jedną z najbardziej decydujących sił w ogóle i może ostatnią tajemnicą sił stworzenia. - Spragnieni myślą ciągle o wodzie, głodni o jedzeniu, samotni o kobiecie czy o przyjacielu. To, czego człowiekowi akurat brak, wydaje mu się najbardziej godne pożądania. A przy tym każdy, kto potrafi myśleć, wie, że nie ma doskonałego spełnienia. Zaspokojenie zmysłów też nie jest niczym więcej, jak krótkim, przejściowym nasyceniem. - Niech pan nie próbuje mnie kołować, Krafft. Wie pan dobrze, co się z nami dzieje, z nami szczególnie. Nie ma przecież u żołnierza rzeczy jaskrawszej i bardziej natarczywej. Żołnierze znajdują się wciąż pod presją. Nie istnieje dla nich drugi taki temat do rozmów, który cieszyłby się choćby tylko w przybliżeniu tym samym powodzeniem. A mówią o tym, bo żyją ciągle pod naciskiem śmierci. Strach przed śmiercią jest jednym biegunem ich istnienia, żądza płciowa drugim. Wojna i miłość, tak nazywały się zeszyty, przy których lekturze żołnierzom z ubiegłej wojny robiło się miękko w kolanach. Potrzeba popisywania się i potrzeba seksualna, odurzenie władzą i odurzenie płcią, zdychać i płodzić - to jest to, Krafft, to każdy wlecze ze sobą. Oczy kapitana Federsa stawały się powoli szkliste. Patrzył przez kilka sekund nieruchomo przed siebie. Potem znowu wypił kieliszek wódki, podniósł się ciężko i powłócząc nogami i zataczając się z lekka, podszedł do drzwi prowadzących do sypialni. Otworzył je prawie na oścież. Złapał się futryny, nachylił się do przodu i zajrzał do pokoju. Wpatrywał się tak w ciemność kilka sekund. Potem powiedział głosem umęczonym, a przecież czułym: - śpi. Krafft wstał. Nie wiedział, co z sobą począć. Miał ochotę przystąpić do Federsa i objąć go. Ale Feders do tej pory nie pozwolił sobie na najmniejszy gest poufałości. Wygłaszał tylko prowokujące, uświadamiające przemówienia. Kapitan odwrócił się. Spojrzał na porucznika spod przymkniętych powiek. Szorstko zamknął drzwi za sobą i powiedział: - Dlaczego pan nie siedzi, Krafft? Krafft usiadł. - Czy chciał mnie pan szpiegować? Krafft zaprzeczył. - Nie radziłbym panu - rzekł Feders. Minęła długa chwila. W pokoju zaległo ciężkie milczenie. Gdzieś daleko wyło radio. Walc „Pieśni miłosne” Johanna Straussa brzmiał natarczywie i ordynarnie, bo grała go orkiestra dęta. Wreszcie kapitan Feders, oparty plecami o drzwi sypialni, powiedział z ciężkim sercem: - Wszystko, co panu tłumaczyłem, Krafft, ma ręce i nogi. To jest reguła. Ale jak każda reguła ma swoje wyjątki, i takim wyjątkiem jestem ja. Wyciągnąłem specjalne wnioski z tej ohydnej sytuacji. Co prawda straciłem tak zwane siły męskie, ale potrafię to rekompensować wolą i rozumem. Rozumie mnie pan, Krafft? - Dlaczego chce mi pan koniecznie wyjaśniać rzeczy, o których wcale nie pragnę wiedzieć? - Bez wybiegów, Krafft, niech pan dobrze posłucha. Dostarczam panu znakomitego materiału do rozmów w kasynie. Sprawa przedstawia się mianowicie tak: Utracone kończyny można zastąpić protezami, utracone siły męskie można również zastąpić namiastką. Tę funkcję spełnia u mnie „trubadur”. Sam go wyszukałem i wmówiłem mojej żonie. Jest tylko ciałem, niczym więcej. Moja żona i ja zupełnie się co do tego zgadzamy. Jest narzędziem. Organem zastępczym. Dobrze obliczonym rozwiązaniem zastępczym. Głupi, próżny mydłek z dobrze funkcjonującymi mięśniami i mózgiem komara. Jego istnienie oszczędza nam upokarzających mąk. Czy to jasne dla pana, Krafft? - Nie - powiedział ten, zmęczony i smutny. - Dla mnie wszystko jest niejasne. - To dlaczego ciągnie mnie

pan za język, Krafft? - spytał kapitan, niepewnym krokiem podchodząc bliżej. Jego oczy wędrowały od Kraffta do butelki wódki i z powrotem. - Dlaczego wdziera się pan w moje zaufanie i patroszy mnie jak gęś wielkanocną? Dlaczego snuje się pan koło mnie z tą swoją podstępną obłudą? Czy chce się pan ze mnie nabijać, Krafft? - Chcę uczciwie spróbować zrozumieć pana - powiedział Krafft, patrząc w twarz wykrzywioną pijaństwem i męką. - Ale obawiam się, że mój rozum funkcjonuje inaczej niż pański. - Pan kpi sobie ze mnie! - ryknął kapitan Feders. - Precz z moich oczu i niech mi się pan tu nigdy więcej nie pokazuje! Mam dosyć ludzi pańskiego pokroju! Świnie i głupi jak świnie! To już wszystko, co nam ten zasrany świat ma do zaoferowania. Spływaj pan stąd! - Dobranoc, panie kapitanie - powiedział Krafft. Czuł się jak zbity pies. 12 Porucznik a dobre maniere - Przyjaciele - powiedział porucznik Krafft do swoich podchorążych - jak wiadomo, niekoniecznie trzeba się znać na jakiejś rzeczy, najważniejsze, że potrafi się o niej mówić. Tym samym dochodzimy do naszego dzisiejszego tematu: Lekcja dobrych manier. Z początku nauka przebiegała normalnie. Instruktor grupy stawiał przepisowe głupie pytania, podchorążowie dawali przepisowe głupie odpowiedzi. Ogólny nastrój był dobry. Bo temat nie był szczególnie niebezpieczny i był względnie interesujący. Na przykład: Kto kogo komu ma najpierw przedstawiać? Pana zawsze przedstawiano pani, oczywiście. Ale jak to wyglądało, gdy zachodziła różnica w stopniach wojskowych i starszeństwie? Już sam ten temat dostarczał niewyczerpanej wprost ilości wariacji. Podchorążowie mogli spytać kapitanów z żonami kapralów - czysta teoria oczywiście, jak Krafft nie omieszkał dodać. Podporucznik idąc z siostrą, mógł się natknąć na generała - co już się częściej w praktyce zdarzało; w tym przypadku rzecz działa się w końcu w kołach oficerskich. - Czy zachowanie się jest sprawą szczęścia? - spytał Krafft i spojrzał na Hochbauera. - Nie dla oficera, panie poruczniku - oświadczył ten z miejsca. - Czy to nie wygląda trochę absurdalnie - spytał Krafft ostrożnie - że tak pośród wojny zastanawiamy się poważnie nad formami zwracania się, przedstawiania, całowania rąk? - To nie może być absurdalne - powiedział Amfortas, jeden z gwardii Hochbauera - bo temat ten znajduje się w końcu w planie zajęć. Był to argument niezmiernie przekonujący. Nawet Krafft nie śmiał stwierdzić, że to głupi argument. Roześmiał się tylko. Podchorążowie swoim zwyczajem bez przerwy robili notatki. Tylko M~osler patrzył zadumany przed siebie - czyścił pod stołem paznokcie, co uważał za praktyczny wkład do tematu. Notatki podchorążego Rednitza, siedzącego obok M~oslera w ostatniej ławce, wyglądały następująco: Starsi ważniejsi od młodych, płeć żeńska zawsze przed męską, wyjątek: schody, małżonka oficera warta więcej od żony podoficera - decyduje stopień służbowy, starszeństwo również - dżentelmen nie tylko nie zdradza nazwiska damy, z którą zażywał rozkoszy, lecz pozwala również innym zażywać rozkoszy i milczy, jeżeli tylko nie narusza w ten sposób regulaminów służbowych. - Czy istnieje właściwie określony sposób, w jaki oficerowie mają siedzieć w toalecie? - spytał podchorąży M~osler z niewinnym zainteresowaniem, przerwawszy czyszczenie paznokci. Porucznik Krafft nie zgorszył się bynajmniej, lecz wezwał podchorążych do zajęcia stanowiska w tej sprawie. - No, Hochbauer? - zapytał. Hochbauer wstał. Był wystarczająco inteligentny, żeby zrozumieć, że pytanie M~oslera było prowokacją, jak również to, że Krafft dlatego właśnie wywołał jego. Trzeba więc było odpowiedzieć tak, by się nie dać ośmieszyć i zapanować nad sytuacją. Dlatego podchorąży powiedział całkiem poważnie: - Oficer różni się od żołnierza, i to nie tylko swoimi specjalnymi kwalifikacjami, cechami charakteru i wykształceniem, lecz również czysto zewnętrznie. Przykład: umundurowanie, dystynkcje oficerskie, wyposażenie, aż do bielizny włącznie. Oficer stołuje się w kasynie. Używa oddzielnych toalet, zamykanych na specjalne klucze. Nawet na froncie istnieją specjalne połowe nakrycia stołowe dla oficerów i przenośne latryny połowe albo przynajmniej oddzielne skrzydła w latrynach ogólnych, albo wreszcie czas korzystania z latryn jest ściśle uregulowany. Oficer posiada pewne przywileje, które są skromną rekompensatą za jego nieporównanie większe obowiązki. - Pozwolisz, że się sprzeciwię - powiedział M~osler. - Wywody podchorążego Hochbauera są moim zdaniem czystą teorią. Uważam, że istnieją sytuacje, kiedy nie można stwierdzić żadnych różnic między poszczególnymi szarżami. I tak, jeśli mi wolno przytoczyć ten przykład, oficer śmierdzi tak samo jak prosty

żołnierz, przynajmniej w latrynie. Wybuch gwałtowny spór, grożący grupie H rozłamem na dwa obozy. Jeśli linie podziału nie zaznaczyły się tak zupełnie wyraziście, to tylko dlatego, że nikt jeszcze nie zdołał wyniuchać, jakie jest zdanie instruktora. To większości utrudniało zajęcie jakiegoś wyraźnego stanowiska. Krafft się tylko uśmiechał, niemalże cierpliwie. Pozostawił swoim podchorążym całkowitą swobodę. Ale obserwował ich bacznie. Stopniowo spór się uciszał, i to tak, jak zwykle, z takimi oto pięknymi rezultatami: zarówno - jak, w pewnych okolicznościach, to zależy. A zatem wszyscy byli teraz tak samo mądrzy czy tak samo głupi, jak przedtem, i byli zadowoleni. Porucznik zaś, rozochocony, postanowił doprowadzić ten cały idiotyzm do pełnego absurdu. Powiedział swoim podchorążym, którzy udawali, że słuchają bardzo uważnie: - Przyjmijmy teraz następujący przypadek: na zaproszenie swego dowódcy stawiacie się u niego, co jest rzeczą samo przez się zrozumiałą, jeśli nie leżycie akurat na łożu śmierci. Towarzystwo tańczy. Proście do tańca małżonkę dowódcy, co również jest postępowaniem samo przez się zrozumiałym; tak nakazuje obowiązek towarzyski. Zaproszenie zostaje przyjęte i tańczycie z fantazją. Nagle wyślizguje się wam monokl z oka, spada, i posłuszny prawu ciężenia, działającemu błyskawicznie pod wpływem temperamentu tancerzy, wpada małżonce dowódcy prosto za wspaniały, bynajmniej nie skąpy dekolt. Co robicie? Podchorążowie nadstawili uszu. Musieli się zastanowić, w jaki sposób rozwiązać ten problem - i nie mieli innego wyboru, jak udawać, że traktują go bardzo poważnie. Roztrząsanie na serio tego rodzaju bzdur było, o czym Krafft wiedział, jednym z ulubionych zajęć majora Freya. Sprawa z monoklem i biustem należała do problemów kasynowych z dwudziestego wieku, miała jednak tę zaletę, że nastęrczała kilka niezwykle rozwiązań, a już co najmniej trzy - wyostrzała więc, w myśl majora Freya, zdolność myślenia. - A więc, Amfortas? - powiedział Krafft. Amfortas siedział obok Andreasa. Obaj byli, o czym się Krafft zdążył już przekonać, najinteligentniejszymi pomagierami grecko_germańskiego młodzieńca Hochbauera. Byli nawet zewnątrznie do niego podobni - tylko odrobinę szczuplejsi, bledsi i niżsi, tylko odrobinę. Ale ta odrobina wystarczała, by wyglądali jak odlewy gipsowe monumentu. - Słucham, Amfortas! Nie dajcie nam zbyt długo czekać na zabłyśnięcie swego intelektu. A więc, co robicie? - Usprawiedliwiam się - powiedział Amfortas bezradnie. - A potem? - pytał porucznik łagodnie. - Usprawiedliwiam się - powtórzył Amfortas, trochę już zmieszany - więcej nic przecież zrobić nie mogę. - A monokl? - pytał Krafft. I zauważył z radością, że podchorążych nareszcie zaczęła ogarniać wesołość. - Co się dzieje z monoklem? Czy zostaje tam, gdzie jest? Czy żądacie, żeby go wam zwrócono? Oczekujecie tego, że dostaniecie go z powrotem? Czy jak? Podchorąży Amfortas nie dorósł do tej sytuacji. Jego niepokój przeszedł w zmieszanie. Dał odpowiedź niewystarczającą - i było niedobrze. Ale teraz już w ogóle nie znajdował odpowiedzi - jeszcze gorzej. Naruszył bowiem jedno z najważniejszych przykazań, a mianowicie: Nie ma takiej sytuacji, która wprawia w zakłopotanie oficera; nie ma takiego położenia, w którym oficer nie umiałby sobie poradzić. Przed Amfortasem zamajaczył cały szereg złych ocen. - A wy, Andreas, co wy byście zrobili? - spytał Krafft. - Zignorowałbym to całe zajście, panie poruczniku - powiedział Andreas, zdecydowany na wszystko. - Udawałbym, że nic się nie stało. - Co wy wygadujecie?! - zawołał Krafft, wielce zdziwiony. - Zignorowalibyście? Monokl wpada wam za dekolt damy, i wy chcecie się zachować tak, jak gdyby nic się nie stało? Tym samym również Andreas został w pewnym sensie zdruzgotany. Grupa zaniepokoiła się. Zaczynali się po trochu bać, że ich wybuchy wesołości były nieco przedczesne. Podjęty problem zdawał się kryć w sobie nieprzewidziane pułapki. - A więc - powiedział Krafft - zreasumujmy. Widzimy tu kilka możliwości. Po pierwsze: można się usprawiedliwić. Po drugie: można zignorować cały incydent. Po trzecie: można spróbować odzyskać monokl. Ale jak? Wyciągnąć go? Prosić o to żonę dowódcy? Czekać, aż monokl sam się pojawi? Ale idźmy dalej. Jeśli się usprawiedliwiać - to w jakiej formie? Jeśli zignorować - to w jaki sposób? Jeśli szukać monokla - to jak? No, Hochbauer, co wy byście zrobili w takim wypadku? - Jestem pewien, panie poruczniku - stwierdził zapytany - że u mnie nigdy by do tego nie doszło. Zachowałbym należyty dystans. - Ale doszło do tego, Hochbauer. Czyżbyście nie zrozumieli, że postawiłem przed wami wyraźnie sprecyzowane, jasne

zadanie? Tak więc i Hochbauer znalazł się w tym prymitywnym potrzasku. Również i on nie wiedział, co powiedzieć. Był zresztą pewien, że na każdy jego argument porucznik znajdzie bez trudu kontrargument. Był z tego powodu bardzo rozgoryczony. Milczał, i usiłował robić to z godnością. Ale czuł, że powoli traci u swoich kolegów wpływy i szacunek. I postanowił, że trzeba temu jakoś zaradzić. Krafft był zadowolony. Znowu spędził godzinę lekcyjną stosunkowo przyjemnie. Powiedział: - Do jutra rana każdy dostarczy mi krótkie wypracowanie, w którym wyrażone będzie jego stanowisko wobec omawianego przypadku. To by było wszystko na dziś. Lekcja skończona. * * * Podchorążowie opuszczali barak szkolny małymi grupkami, po czym ustawili się w dwuszeregu. Chociaż do ich baraku było nie więcej jak sto metrów - musieli odbyć tę drogę w szyku zwartym. Starszy grupy szkolnej Kramer usiłował utrzymać porządek w swojej gromadce, co nie było wcale takie proste. Albowiem temat „biust i monokl” mocno zaprzętał mózg podchorążych. - Jak na to odpowiedzieć?! - zawołał Amfortas przytłumionym głosem do swego przyjaciela i kolegi Andreasa. Obaj rozejrzeli się za Hochbauerem, szukając u niego pomocy. - To przecież całkiem proste - powiedział ten poważnie. - Zawsze kiedy mam jakiś problem do rozwiązania, zadaję sobie pytanie: co by na to powiedział mój F~uhrer? A wtedy wszystko staje się od razu bardzo łatwe. - A co twoim zdaniem powiedziałaby na to twój F~uhrer? - Czy nie możecie się domyślić? - Nie - odpowiedziała zgodnie z prawdą owa dwójka. - No to wysilcie trochę wasze mózgownice. Podchorążowie maszerowali do swego baraku mieszkalnego. Kramer był zmuszony poprosić kilka razy o spokój, na próżno jednak. Niektórzy uważali, że ta dodatkowa praca pisemna jest zupełnie zbędna. Inni mówili z całkowitym przekonaniem o szykanach. Jeszcze inni widzieli w tym wyrafinowany trik ze strony Kraffta, aby wy badać ich sposób postępowania i myślenia. - Ale tak to już jest zawsze - rzekł w zamyśleniu jeden z podchorążych - oficerowie chcą, żebyśmy wpadli, do tego sprowadza się cała ich działalność. Na to jest tylko jedna rada: robić dobrą minę do złej gry! Jeśli ktoś żąda ode mnie zadania na temat używania papieru klozetowego, proszę bardzo, niech ma! Wyobrażenia podchorążych rozgrzała się. Wydekoltowany biust jako temat lekcyjny - to w końcu było czymś niecodziennym. Podchorąży Weber, Egon, człowiek silnej ręki w tej grupie, oświadczył: - Ja po prostu podnoszę szeficę w górę i trzęsę nią, dopóki monokl nie wypadnie. A potem mówię: Najuprzejmiej dziękuję, łaskawa pani! - Za dużo ceregieli - twierdził M~osler. - Mówi się: Pani pozwoli, łaskawa pani! i po prostu wsuwa się rękę za dekol. Oczywiście dyskretnie. - A jeśli jest to stary gruchot? - zapytał ktoś zatroskany. - Wszystko jedno! - oświadczył M~osler. - Choćby ze względów humanitarnych. A kiedy w dodatku idzie o małżonkę dowódcy, może z tego wyjść awans. - Albo przeniesienie na front - zauważył Rednitz. - Wy wszyscy nie macie w ogóle wyobraźni - powiedział B~ohmke, marzyciel. - Wy zawsze wszystko na szast _prast. A przy tym zarysowuje się tu wspaniała przygoda, godna jakiegoś Boccaccia. Bo żeby wejść z powrotem w posiadanie monokla, ukrytego gdzieś w wonnym ciele damy, istnieje tylko jedna droga: Zdobyć piękną panią. I to nie rękoczynami, ordynarnie, tak jak wy to zwykle robicie, lecz trzeba się zalecać do niej, umizgać, wyznać jej swoją subtelną miłość; i kiedy się ją w końcu rozbiera... Podchorążowie ryczeli ze śmiechu. Kramer rozglądał się na wszystkie strony - ale na szczęście jak okiem sięgnąć nie widać było żadnego przełożonego. Nie musiał zatem interweniować. - Rozejść się! - zawołał z ulgą, kiedy znaleźli się u progu baraku mieszkalnego. Podchorążowie wsunęli się do korytarza. Zajęcia oficjalne były na dziś skończone. Rozmowy przybrały z miejsca charakter dość sprośny. M~osler mówił już o tym, co się powinno stać, gdyby monokl znalazł się w majteczkach małżonki dowódcy. Hochbauerowi te rozważania sprawiały coraz większą przykrość. Zawołał z pogardą: - To nie do zniesienia! - Zawsze sobie tak myślę na twój widok - odgryzł się M~osler. Podchorążowie znowu rżeli ze śmiechu. A Hochbauer powiedział do swoich przyjaciół: - śmieją się z byle gówna. Ale kiedyś i oni nabiorą rozsądku. Hochbauer był bardzo niezadowolony ze swoich kolegów. To był, wszystko razem wzięwszy, niezbyt szczęśliwy dzień. - Myślę - powiedział do swoich przyjaciół - że tu trzeba coś zrobić. Sama przyzwoitość tego wymaga. * * * - Proszę o pozwolenie na rozmowę z panem kapitanem - powiedział podchorąży Hochbauer, wyprężony na baczność i pokorny zarazem. Kapitan Ratshelm

siedział w swoim pokoju, w fotelu, pod stojącą lampą, spowity w zatechły zapach centralnego ogrzewania. Zdjął bluzę i rozpiął koszulę na piersi. W oczy biła czerwień jego szelek. Skarpetki miał szarobiałe. Roztaczał niedbałą atmosferę męskiej swobody. Podchorąży powiedział grezcznie: - Mam nadzieję, że nie przeszkadzam panu kapitanowi. Ratshelm zaprzeczył niezwykle wspaniałomyślnym gestem. Zamknął książkę, którą przed chwilą na wpół senny przeglądał. Było to dzieło z historii wojen - o bitwach wielkiego Fryderyka. - Jest pan u mnie zawsze mile widziany, podchorąży Hochbauer, jak każdy inny oczywiście. Po to tu jestem. Proszę usiąść, tu przy mnie. Chce pan zapalić papierosa? Nie? Zupełnie słusznie. Palenie jest oznaką nerwowości. Ja też nie palę, w każdym razie rzadko, i raczej tylko dla towarzystwa. Ale jakie pan ma zmartwienie, mój drogi? Co panu dolega? Hochbauer usiadł na krześle blisko kapitana. Patrzył na tłustą, różowawą pierś kapitana i skłonny był już sam ten widok interpretować jako oznakę zaufania - a może nawet poufałości. - Jak panu kapitanowi zapewne wiadomo - powiedział serdecznie - zajmuję się w wolnych chwilach pewnymi prywatnymi studiami związanymi zresztą ze służbą. - Wiem dobrze o tym i uważam to za bardzo cenne. A więc słucham. - Książę Eugeniusz, panie kapitanie, był Francuzem na służbie Austrii; hrabia von Moltke był Duńczykiem, który zwyciężał dla Prus. Czy nie należałoby - a może byłoby to nawet wskazane - postawić tezy, że obaj ci wodzowie byli poniekąd prekursorami wielkoniemieckiej, ogólnoeuropejskiej idei? - Znakomita myśl! - potwierdził kapitan Ratshelm. - Również i ja już o tym myślałem. I uważam, że wnioski, jakie pan z tego wyciąga, podchorąży Hochbauer, są godne uwagi. Bo w końcu chodzi nie tylko o Niemcy i kraje przyłączone, ale o coś znacznie większego. Hochbauer uśmiechał się z wdzięcznością. Rozmawiali dłuższy czas w duchu pięknej jedności na ten niewyczerpany nieomal temat. I w ferworze kapitan na krótko położył swoją rękę na kolanie podchorążego. Był to widomy znak uduchowienia, jakie cechowało tę rozmowę. Później jednak Hochbauer, trochę wstydliwie, przyznał się, że z pewną sprawą niezupełnie może sobie dać radę. - Nie wiem, czy wolno mi zaprzętać tym głowę panu kapitanowi? - Tylko bez fałszywego wstydu, mój drogi - zachęcał go Ratshelm. Hochbauer opowiedział o wydekoltowanej małżonce dowódcy i spadającym monoklu tańczącego podchorążego. I dodał pospiesznie: - Nie oczekuję, rzecz jasna, od pana kapitana rozwiązania mojej pracy domowej. Ale muszę wyznać, że opisane zdarzenie niemile mnie dotknęło. - Hm - powiedział kapitan Ratshelm zamyślony, wpatrując się w swoje skarpetki. - Uważam to wszystko, że tak powiem, za nieestetyczne. We mnie myśl o takim zdarzeniu budzi wstręt. Ratshelm skinął potakująco głową. Usiłował to sobie wyobrazić: obnażony biust; przelewające się, ciastowate, białawe cielsko... Również kapitanowi wydało się to obrzydliwe. Właśnie nieestetyczne. - Na tym punkcie zgadzam się z panem, podchorąży Hochbauer. Uczucie wstydu jest zawsze dowodem wysokiej moralności, moim zdaniem. Fakt, że się na tym punkcie zgadzali, sprawił im wielką radość. Mimo to kapitan był cały czas świadom swych obowiązków. W obecności podwładnego nie pozwolił sobie ani na jedno słowo nagany czy krytyki pod adresem dowódcy grupy. To byłaby rzecz niewybaczalna. - Dziękuję panu kapitanowi za zrozumienie. - Drogi podchorąży Hochbauer - rzekł Ratshelm - umiem cenić zaufanie, jakie okazują mi moi podwładni. Mogę tylko żywić nadzieję, że to się nie zmieni. Bo stara, wypróbowana dewiza głosi: zaufanie za zaufanie. Lub wierność za wierność. Rozumie pan, co mam na myśli? Podchorąży Hochbauer skinął głową. Wszelkie wyjaśnienia uważał za zbędne. Udawał nawet, że ze wzruszenia brak mu słów. Ratshelm w każdym razie zapiął koszulę, włożył bluzę i wciągnął buty. Z serdeczną koleżeńską poklepał Hochbauera po plecach - co prawda nieco za nisko, ale za to szybko. - Nie jestem człowiekiem, który szafuje obietnicami - rzekł. - Ale coś niecoś przedsięwzię, może być pan pewien. * * * - Czy mogę z panem chwileczkę porozmawiać, kapitanie Feders? - Nie - odparł zagadnięty. - Nie ma mnie, w każdym razie nie dla wszystkich. Kapitan Ratshelm, jako odpowiedzialny dowódca oddziału, trzymał się zawsze ściśle drogi służbowej. Bez istotnych przyczyn nie pomijał nikogo. I dlatego odszukał najpierw kapitana Federsa, wykładowcę taktyki, któremu te sprawy również podlegały. Ale Feders nie chciał, by mu przeszkadzano. Grał w bilard - i to ze sobą samym. Tym sposobem wygrywał każdą partię. - To potrwa tylko kilka minut -

zapewniał Ratshelm. - I chodzi o sprawę, w której poproszę pana o zachowanie milczenia. - No dobrze, Ratshelm, milczę. - Ale nie o to mi chodziło, Feders - powiedział dowódca oddziału wściekły. - Chciałem powiedzieć: to, o czym będziemy mówili, niech pozostanie między nami. Tajemnica służbowa, że tak powiem. Martwię się mianowicie porucznikiem Kraffttem. Mam poważne zastrzeżenia. Jego metody mi się nie podobają. Brak mu powagi. Mam nawet przykre uczucie, że naśmiewa się z rzeczy, które powinny być dla niego święte, a przynajmniej obowiązujące. Powiedz pan otwarcie, Feders, jakiego jest pan zdania o Kraffcie? - Daj mi pan spokój z tym żółtodziobem, Ratshelm - zachnął się wykładowca taktyki. - Krew mnie zalewa na myśl o nim. A teraz chciałbym mieć spokój, gram mianowicie w bilard. - Stosunek pana do niego jest więc zdecydowanie negatywny, jeśli można się tak wyrazić? - Ratshelm, pan jest urodzonym jasnowidzem. Ale jako taki powinien pan wreszcie zauważyć, że mi pan ciągle przeszkadza. - Dowcipniś z pana, Feders. - Możliwe, tylko niestety nie wpadłem jeszcze na to, jak to zrobić, żeby moi słuchacze nie w przerośni, lecz dosłownie pękali ze śmiechu. * * * - Czy mogę spytać, co u pani słyhać? - dopytywał się Ratshelm uprzejmie. - Nic specjalnego - odparła bratanica majorowej. - A u pana? - Dziękuję, też nic specjalnego. Rozmowa ta, prowadzona zupełnie serio i nie inaczej pomyślana, toczyła się w przedpokoju mieszkania majorostwa Freyów: Wildlingen nad Menem, Rynek nr 7. Barbara Bendler_Trebitz, dama do towarzystwa, służąca i bratanica w jednej osobie, witała nieoczekiwanego gościa. Pan major musiał bowiem zamienić swoje filcowe papucie na buty. A łaskawa pani poprawiała przed lustrem - prawdziwie weneckim! - swój dekoracyjny kok. W tym czasie Barbara, służąca_bratanica, musiała czynić honory domu. Była widocznie dziewczyną bardzo usłużną. Pomagała Ratshelmowi zdjąć płaszcz. Dotykała nawet koniuszkami palców jego munduru - żeby tu i ówdzie zdjąć pyłek, włosek, nitczkę. Zdaniem Ratshelma było to trochę przesadne, ale bardzo kobiece. Wzruszało go to. Barbara otrzepywała tymczasem jego tylną stronę, prawie aż do kości ogonowej. - Najuprzejmiej dziękuję - powiedział Ratshelm, nieco zażenowany. - Jeśli pan tylko jest zadowolony! Odpowiedź została Ratshelmowi zaoszczędzona: pojawił się major. Krzyż Rycerski błyszczał, a głos majora brzmiał serdecznie: - Pan przecież wie - zapewniał - w moim domu jest pan zawsze mile widzianym gościem. O tym samym zapewniła go, natychmiast potem, również pani Felicitas Frey. - Może szklaneczkę madery? Ta oferta była, zdaniem majora, najpewniejszą oznaką szacunku. Z jakichś niezrozumiałych względów Felicitas uważała maderę za koronę wszystkich napojów. Częstowano nią tylko wybranych gości - i jego. Kapitanowi w każdym razie major użyczał tego wina. Ratshelmowi bowiem można było powierzyć nie tylko oddział, ale i żonę. Ten pod żadnym pozorem nie przekroczyłby obowiązujących granic. - Jest pan człowiekiem z zasadami, Ratshelm - powiedział major. - Potrafię to docenić. - Ależ proszę pana - zaprzeczył kapitan skromnie - spełniam tylko swój obowiązek, tak jak umiem. - Szkoda - powiedziała pani majorowa w zamyśleniu - że nie jest pan jeszcze żonaty, drogi panie Ratshelm. Naprawdę szkoda. Pan jest urodzonym ojcem rodziny; troskliwy, godny i pewny jak opoka. Major usiłował pohamować jej zapędy: - Na razie nasz kapitan ma pełne ręce roboty ze swoimi podchorążymi, i na dobitkę z niektórymi oficerami. Mam rację? - Jak zawsze! - zapewnił go Ratshelm z emfazą. - Pan major umie wyczuwać zarysowujące się trudności. Pan major ma nosa w takich sprawach. Major uśmiechnął się zadowolony i jednocześnie podniósł obie ręce w skromnym proteście. Pani Felicitas natomiast rzuciła swemu mężowi spojrzenie dalekie od podziwu. Była niezadowolona. Przeszkodził jej bowiem w zarzucaniu wędki. - Powiedz pan szczerze, co masz pan na sercu - zawołał major żwawo. - Może pan spokojnie wypuścić kota z worka. - Sprawa jest delikatna - rzekł Ratshelm - i chyba nie przeznaczona dla damskich uszu. - Jestem żoną dowódcy - oświadczyła Felicitas stanowczo. - Obchodzi mnie więc wszystko, co dotyczy służby mego męża. - Dziękuję ci - powiedział major. - Może pan więc mówić zupełnie otwarcie, drogi panie Ratshelm. - Felicitas uśmiechnęła się wyczekująco. - W końcu jesteśmy ludźmi doświadczeniymi, nieprawdaż? Kapitan Ratshelm skinął głową. Potem zaczął swoje sprawozdanie - z wyraźnym obrzydzeniem. Przykład, jakim posłużył się porucznik Krafft na lekcji ogłady towarzyskiej, nazwał przykrym i jaskrawym. Z początku major się jeszcze uśmiechał. - No tak - rzekł jowialnie - nieco zuchwały

żart, oczywiście, ale przecież nie taki znowu niezwykły. Za moich czasów, kiedy byłem jeszcze podchorążym, a byłem prymusem mego kursu, my także śmieliśmy się serdecznie z tej samej komicznej sytuacji. Chachacha! Ale odechciało mu się śmiać, kiedy spojrzał na zastygłą z oburzenia twarz swojej małżonki. Ona bowiem natychmiast, wiedzioną poniekąd kobiecym instynktem, pojęła całą bezczelność tego incydentu. - Jak możesz się śmiać z czegoś takiego, Archibaldzie? Czy nie zdajesz sobie sprawy, co ten człowiek, ten Krafft, miał na celu? Chce ośmieszyć mnie i w ten sposób podkopać twoją opinię. - Jak to? - spytał major zaskoczony. - Jak to? - powtórzyła z gniewnym szyderstwem. - Ten człowiek mówi o żonie dowódcy, a więc o mnie! Twierdzi wobec czterdziestu podchorążych, że noszę bezwstydną dekolty. Wymawia publicznie słowo biust, w związku ze mną! Zasiewa w młodych nie zepsutych umysłach wyobrażenie, że można się zbliżyć w niemoralny sposób do damy. A ty, Archibaldzie, śmiejesz się z tego! - Ten człowiek, moim zdaniem, nie nadaje się na instruktora grupy szkolnej - oświadczył Ratshelm ze szczerym żalem. - I przeciw niemu przemawia nie tylko ta jedna historia, o której każe jeszcze pisać pracę domową, i bez tego ja, jako dowódca oddziału, mam mu niejedno do zarzucenia. Opinia kapitana Federsa, wykładowcy taktyki w tej grupie, jest również negatywna. - Kapitana Federsa nie można chyba uważać za twierdzą obyczajności i moralności - powiedziała pani Frey. - Ale jeśli nawet on jest zgorszony tym człowiekiem, to nareszcie trzeba coś przedsięwziąć. Major pokiwał głową. - Niedobrze - powiedział - to naprawdę niedobrze. - To skandal - powiedziała pani Felicitas zasmucona. - Tacy ludzie być może nadają się do szkolenia zwykłych poborowych. Ale nie wolno im powierzać losu młodych wartościowych ludzi! - Wspaniały materiał, łaskawa pani - zapewniał Ratshelm. - Łaskawa pani powinna sobie kiedyś obejrzyć tych chłopaków, aż serce rośnie na ich widok. - No dobrze, Ratshelm - rzekł major - mnie pan przekonał. Ale czy uda nam się przekonać generała? Konferowali pół nocy. Starannie uzgadniali swoje zarzuty punkt po punkcie. W końcu sami byli o tym przekonani, że ich argumenty są nieodparte. - To jest decydujący punkt - powiedział Ratshelm. - Generał nie będzie tolerował świństw na swoim terenie. - Oczywiście, oczywiście - rzekł major, niezupełnie przekonany - ale to jest naturalnie ryzyko. Nigdy nie można z góry przewidzieć, co zrobi generał. - Tym razem nie będzie mógł odeprzeć twoich argumentów - powiedziała Felicitas. * * * Nazajutrz rano major Frey i kapitan Ratshelm zameldowali się u generała Modersohna. Generał przyjął ich natychmiast. - Proszę przystąpić do rzeczy bez długich wstępów. Obaj oficerowie zreferowali generałowi wszystkie swoje zarzuty przeciw Krafftowi dobrze przemyślanymi słowami. A w końcu opisali plastycznie wybrany przez niego przykład. Byli przekonani, że generał będzie go uważał za wysoce gorszący. Kiedy skończyli, spojrzeli, pełni oczekiwania, na generała. Ten jednak patrzył gdzieś poprzez nich, niewzruszony, jak gdyby byli ze szkła. śnieg, który padał na dworze, szumiał im w uszach jak deszcz. Wreszcie generał, cedząc słowa, powiedział: - Rozwiązanie zadania postawionego przez porucznika Kraffta jest proste: Podchorąży nie nosi monokla, chyba że to fircyk. A jeśli jest fircykiem, nie może zostać oficerem, w każdym razie nie u mnie. Dziękuję panom. I to było wszystko. Interludium IV iyciorys majora Archibalda Freya czyli: Wolność człowieka ambitnego „Nazywam się August Wilhelm Archibald Frey. Moim ojcem był szanowany kupiec towarów kolonialnych August Ernst Frey z Werdau w Saksonii. Matka moja nazywała się Maria Magdalena Frey, z domu Ziergiebel, i pochodziła z wpływowej rodziny właścicieli ziemskich. Urodziłem się 1 maja 1904 roku w wyżej wymienionym Werdau, gdzie też spędziłem dzieciństwo i lata szkolne.” Drobnny, szczupły cień - to moja matka. Również niski, ale dość szeroki cień, który ją zawsze goni - to mój ojciec. Matka ma twarz myszy, ojciec wygląda raczej jak chomik, szykujący się do snu zimowego. Matka jest zawsze cicha i dużo się modli. Ojciec jest prawie zawsze hałaśliwy. Jego sklep jest mały i ciemny, ale zapchany towarami aż po sufit. Nawet w kuchni stoją skrzynie, a w kłozecie stos paczek ze środkami do prania. Ale kartony ze słodyczami i kasety z pieniędzmi stoją pod łóżkiem, w którym śpi ojciec. A kiedy śpi, jedna jego ręka zwisa przeważnie w dół, chroniąc miejsce, gdzie są pieniądze. Poza tym ojciec ma bardzo lekki sen - wypróbowałem to. Ksiądz jest potężnym człowiekiem - zdaniem mojej matki. Dla księdza moja matka wszystko zrobi - zdaniem

meo ojca. Dla ojca ksiądz jest też tylko klientem, który od czasu do czasu kupuje u nas świeczki woskowe, a na Boże Narodzenie jeszcze różne wiktuały na prezenty. Ojciec sprzedaje wszystko, co się nadaje do sprzedawania - nie tylko towary kolonialne. Wolno mi też śpiewać w chórze kościelnym, później, kiedy ksiądz zamówił u nas oliwę do lamp. Na tym ojciec, jak twierdzi, zarabia około siedmiu marek. Ale matka daje dziesięć marek na kościół, wobec tego ksiądz zarabia na czysto trzy marki, o czym ojciec mówi jeszcze przez wiele tygodni. „Może wykieruję cię na księdza - powiada ojciec - to się widać opłaca.” W sklepie są dwa dzwonki - jeden u drzwi, drugi u kasy. Ten u drzwi dzwoni przeraźliwie głośno, ten u kasy srebrzyście i melodyjnie. Oba słysząc wyraźnie w kantorku ojca, znajdującym się również w sypialni. Skoro tylko zadzwoni kasa, ojciec natychmiast się zrywa. Ale kiedy oba dzwonki zabrzmiały jednocześnie, ten u drzwi słysząc znacznie wyraźniej, a jeśli jeszcze przy tym chrząknąć - słyszy się tylko ten u drzwi. Również i to wypróbowałem. Bardzo dużo gotówki jednak w kasie nigdy nie ma. A ilekroć ojciec zauważa brak części pieniędzy, jest głęboko przekonany, że to on sam prawie finansuje cały kościół, co jest oczywiście grubą przesadą. Matka ma naprawdę wiele chrześcijańskiej cierpliwości, co też jest jej bardzo potrzebne. Mała Moldner, na imię jej Margareta, jest ulubienicą całego miasta. Ksiądz na widok Margarety szczerzy zęby, które są bardzo zepsute, może dlatego, że dentysta jest innego wyznania. Nauczyciel nazywa nawet czasem Margaretę „naszym małym kochaniem”; sędzia pogłaskał ją i nazwał „kędziorkiem”, a fryzjer na rogu śmieje się, kiedy ją widzi, i kwili: „No, wielmożna panienko!” A przy tym Margareta ma dopiero tyle lat, co ja. Prócz tego ma zęba i grube nogi. A kędziorków ani śladu - włosy jak końska grzywa. Ale jej ojciec jest właścicielem fabryki wyrobów bawełnianych - wyrabiają tam skarpety i kalesony en gros. A do brata jej ojca należy duży hotel na rynku, z kawiarnią i restauracją. I dlatego Margareta ma zawsze torty i czekoladę, i grube kanapki z kielbasą albo lemoniadę, albo nawet pieniądze. Bronię jej chętnie, żeby jej inni czegoś nie zabrali. Jest mi za to bardzo, bardzo wdzięczna. Brat ojca małej Margarety Moldner, hotelarz, to miły człowiek, a poza tym mój chrzestny. Nadchodzi akurat, kiedy leję jednego takiego, szczególnie bezczelnego łobuza, chociaż jest o dwa lata młodszy ode mnie. Łobuz obraził Margaretę i powiedział, że nasusiała w majtki, co jest kłamstwem - bośmy z miejsca sprawdzili. W każdym razie daję mu zdrowe lanie, a hotelarz mówi: „Jesteś dobrym chłopcem”. A ja mówię: „Nie pozwolę obrażać Margarety”. - „To ładnie z twojej strony - powiada - jesteś prawdziwym rycerzem. A poza tym jesteś synem kupca Freya, nieprawdaż?” Potwierdzam mu, że moim ojcem jest kupiec Frey, a on mówi: „Może zrobię kiedyś jakiś interes z twoim ojcem - spytaj go, ile kosztuje worek cukru”. A ojciec nie posiada się z radości. „Specjalna cena - mówi - Trzydzieści cztery marki worek.” - „Specjalna cena - mówię do hotelarza - trzydzieści sześć marek worek” - „Dobrze - mówi hotelarz - a więc trzy worki.” Ta Margareta to świnią. Skapowała się, że zarobiłem sześć marek, a potem jeszcze raz sześć marek, a potem nawet osiem marek. Teraz chce mnie zasypać - nie wie tylko jeszcze, przed kim: przed swym wujem czy przed moim ojcem. Ale Alfons, mój przyjaciel, daje mi dobrą radę - żebym zrobił to, co on zrobił z narzeczoną swego brata. Wcale nieźle. „Nie rób tego - mówię więc do Margarety - zarobiłem przecież pieniądze tylko po to, żeby ci coś podarować.” - „Naprawdę?”, pyta. „Słowo honoru”, mówię i spluwam trzy razy. „A co ty mi chcesz podarować?”, pyta. „Coś bardzo pięknego - powiadam - coś, co mają tylko wytworne panie. Ale najpierw muszę coś zobaczyć.” Idziemy więc do lasu za cegielnię i tam ona musi mi sporo pokazać. To jej się nawet podoba. A więc to tak! Mnie się to też podoba, tylko że ja jej tego nie mówię. Bo w końcu jest świnią i chciała mi zrobić paskudny kawał. I dlatego mówię: „Jeśli jeszcze raz będziesz bezczelna, opowiem wszystkim, co ty wyrabiasz w lesie z chłopakami. A wtedy zobaczysz, co cię czeka”. „Łobuzie - powiedział do mnie ojciec, kiedy wszystko się wydało - czarna owco, nieszczęśniku! Jak mogłeś coś takiego zrobić! Czyś ty rozum postradał? Zapomniałeś, czego cię uczyłem? Chcesz mnie unieszczęśliwić? Ta mała jest przecież córką fabrykanta i bratanicą hotelarza - z takimi ludźmi nie wolno zadzierać! Z takimi ludźmi trzeba się przyjaźnić, choćby nie wiem co.” „W roku 1918 ukończyłem szkołę podstawową, przyczyniwszy się moimi skromnymi siłami do prowadzenia wojny za ojczyznę. Następnie uczęszczałem do

gimnazjum i wyszedłem z niego, z przyczyn czysto gospodarczych, w 1923 roku z małą maturą. Po trudnych latach, podczas których zmuszony byłem pracować w przemyśle ciężkim na odpowiedzialnym stanowisku, powziąłem postanowienie zostania żołnierzem. W roku 1925 wstąpiłem do ówczesnej reichswehry, zdecydowany, w miarę możliwości, obrać karierę oficerską.”

„Ojczyźnie potrzebne są armaty - mówi nauczyciel - zbierajcie więc metale.” Tak też się dzieje. W mojej klasie ja kieruję akcją zbiórki. Z powodzeniem. Wreszcie obejmuję kierownictwo nad tą akcją w całej szkole. Najbardziej pożądane są miedź i ołów. Czasem ktoś ofiarowuje również złoto. Nie zawsze dobrowolnie, niestety. Ale my ludzi trochę do tego popychamy, ku chwale ojczyzny, gwoli ratowania honoru naszych obywateli. Po skończonej wojnie ciągle jeszcze mamy metal na składzie. Ale teraz chodzi o ukrycie tego cennego dobra przed wężącymi komisjami. Ojciec pomaga nam energicznie, co prawda niezupełnie ze względów altruistycznych, co prowadzi do poważnych konfliktów. „Sfinansuję w ten sposób twoje wykształcenie uniwersyteckie - mówi ojciec. - Również i to jest działalność na rzecz Niemiec.” Jestem przekonany, że ma rację. Ukochaną ojczyznę z dnia na dzień zalewają spekulanci, czarnogiędździarze i paskarze. Wobec tego obowiązkiem naszym jest dbać o zachowanie prawdziwych wartości. Ponure, cierniste czasy! Ojczyzna, mówią, jest powalona, lecz nie zdruzgotana ani zniszczona - tylko osłabiona. Panoszą się czerwone sztandary. Panuje nikczemny duch. Motłoch przeciąga ulicami, palacz z fabryki wyrobów bawełnianych Moldnera zostaje burmistrzem, a w Berlinie siedzi jakiś siodlarz i mieni się prezydentem Rzeszy. Wszyscy urzędnicy zrobili się wazeliniarzami. Wszyscy wazeliniarze się przystosowują. Czerwoni są przy żłobie. Matka uchodzi za niewolnicę klechów, a ojca nazywają pacholkiem kapitalistów - i to przy jego nędznych marżach zarobkowych. Ale w końcu, powiadają, handlował razem z bratem fabrykanta Moldnera, z tym hotelarzem i cesarskim pacholkiem, całymi workami cukru. Słowem: interes źle idzie. Nawet na szlachetne metale nie ma prawie wcale popytu. Poza tym zapasy topnieją jak lody na wiosnę. Biedne Niemcy - tylko tyle można powiedzieć. I spełniać swój obowiązek - również jako uczeń. Na szczęście istnieją kobiety niemieckie. Na przykład Edeltraut. Edeltraut Degenhart, wdowa po oficerze. Jej mąż był podporucznikiem kawalerii, ostatnio dowódcą pododdziału zaopatrzenia, specjalnie wyznaczonym do transportu metali, nie pozwolił - tak mówią - dać sobie zerwać epoletów przez buntowników. Lepiej umrzeć! I też umarł. W obronie honoru, mówi jego żona. Zatrął się alkoholem, mówią nędzni łotrzy, to ich stara, rozkładowa, obrzucająca wszystko błotem metoda. W każdym razie, nawet gdyby mieli trochę racji - jeśli podporucznik Degenhart wolał powierzone mu butelki wódki rzeczywiście wypić niż dopuścić do tego, by wpadły w brudne ręce wrogów ojczyzny - spełnił swój obowiązek do końca. A jego młodociana żona mieszka w naszym domu, pogrążona w szlachetnej żalobie i złakniona pociechy. Na szczęście mam czas - szkołę ukończyłem, a odpowiedni zawód dla mnie jeszcze się nie znalazł. „Ta pani Degenhart - mówi ten człowiek - interesuje mnie.” Zachowuję całkowitą rezerwę. Człowiek ten nazywa się Korngiebler. Przylapałem go na tym, jak łąził za panią Degenhart - w zamiarach zupełnie niedwuznacznych. „Ta pani Degenhart - mówię - jest damą”. - „Tym lepiej - mówi Korngiebler - bardzo bym ją chciał poznać.” - „Jak mam to rozumieć?” pytam. Oczywiście mam dopiero dwadzieścia lat - on zaś jest co najmniej o dwadzieścia lat starszy. Ale wiem naturalnie, co się godzi, a co nie. Utrzymywałem stosunki z córką fabrykanta, pośredniczyłem w interesach cieszącego się ogólnym szacunkiem hotelarza, przeprowadzałem na kierowniczym stanowisku wielkie zbiórki - mimo młodego wieku. I żona oficera uciekła się pod moją opiekę. No to mam chyba prawo zapytać: kto to jest ten Korngiebler i czego on chce? „Jestem przedstawicielem wielkiej renomowanej, bezkonkurencyjnej firmy - mówi on. - Supersil, proszek do prania dla gospodyń, idzie całymi wagonami. A więc, pan tego nie pożałuje. Czy może mnie pan poznać z tą panią?” - „Jeśli, jak sądzę, ma pan poważne i uczciwe zamiary - dlaczego miałbym się wahać?” Pobierają się - wdowa po oficerze Edeltraut Degenhart i generalny przedstawiciel Korngiebler. Jestem drużbą. Niezwykle to wszystko nastrojowe. Co prawda nie w kościele, ale fortepian i skrzypce z „Tannh~auserem” i obiad z szampanem. Wzruszony Korngiebler! Wyznaje mi! Po uroczyście przehulanej nocy: „Najpierw ja w ogóle nie

chciałem, wiesz. Najpierw chciałem tylko tak... Ale o tym rycerz milczy. No tak - a kiedy to już się stało, z wszystkimi konsekwencjami... Jeśli to będzie dziewczynka, będę bardzo rad. Mogę sobie na to pozwolić - to sprawa pewna na mur, ten supersil. Jestem naprawdę dumny. Mam ci wiele do zawdzięczenia, Archi! To żona, która potrafi reprezentować. Podniesie mi obroty. To co prawda nie jest niezbędne, ale zaszkodzić nie może. A ty wejdiesz do interesu. Nie daj się prosić - z ciebie może być pożytek. Nieprawdaż, skarbie?" Skarb przytakuje. Organizuję więc - jeden wagon po drugim, jedną ciężarówkę po drugiej. Prawa ręka generalnego przedstawiciela supersilu, okręg Chemnitz. Praca ta nie nastęcza specjalnych trudności, nie pochłania również zbyt wiele czasu, jeżeli się jest urodzonym organizatorem. Mam więc okazję studiować, szczególnie życie. Okazuję się też godny zaufania i przyjaźni tego Korngieblera i poświęcam wiele uwagi jego żonie. To jednak doprowadza do nieporozumienia. „Archibald - mówi do mnie Korngiebler - byłeś w sypialni mojej żony.” - „Zgadza się - mówię - chciałem z tobą pomówić.” - „Ale mnie nie było w domu, i to trwało godzinami.” - „Zgadza się - mówię uczciwie - bo czekałem na ciebie.” To jest rzeczywiście prawda - nie wierzy mi jednak. Mój przyjaciel Alfons komentuje ten wypadek tak: „Jesteś za uczciwy, to czasem jest wadą. Nie powinieneś być powiedzieć prawdy temu Korngieblerowi, ludzie tego pokroju nie znoszą prawdy. Chcą być okłamywani. I dlatego powinieneś być powiedzieć: twoja żona już taka jest, ona wszystkich uwodzi. A skutek? Przepędziłby ją do wszystkich diabłów, a ty pozostałbyś prawą ręką generalnego przedstawiciela”. Ale nikt nie potrafi przeskoczyć swego cienia. Honor i prawda są mi droższe ponad wszystko. Ani słowa protestu, oburzenia czy nawet wstydu zań, kiedy wyłazi z niego ta jego kramarska dusza. Wypowiada mi przyjaźń. Więcej nawet: usuwa mnie z interesu. Nie dość na tym: jego mściwość wymyśla ohydne podstępny - Korngiebler twierdzi, że ja (ja!) popełniłem defraudację, zarabiałem na boku. Takimi ślepymi i obrzydliwymi czyni ludzi żądza zysku. Ale z mojej kariery kupieckiej nici. Skromny majątek ojcowski pożarł czas. Mierzi mnie to rojowisko myszy dążących bezwstydnie do wzbogacenia się w godzinie słabości Niemiec. Wszystko we mnie tęskni za świeżym powietrzem. Wstępuję więc w szeregi reichswehry. Mój przyjaciel Alfons już tam jest. „W roku 1925 przyjęto mnie poza kolejnością, mimo przekroczenia wymaganego wieku, do reichswehry, jako że miałem za sobą potężnych poręczycieli. Przeszedłem całą służbę wojskową żołnierza zawodowego, z reguły normalnie awansując, i raz w trybie nadzwyczajnym. Wraz z nastaniem nowej ery rozpoczęła się też systematyczna rozbudowa reichswehry, która później przemieniła się w Wehrmacht. W roku 1934 również i ja zostałem wybrany do tego, żeby służyć w przyszłości ojczyźnie niemieckiej w charakterze oficera.” Jakież piękny, a zarazem charakterystyczny obraz to zdjęcie z roku 1925, pokazujące moich kolegów i mnie w prostym szarym mundurze. Widać na nim dredeński Zwinger, mianowicie główną kopułę. Przed nią my, 6 drużyna, skupieni wokół naszego kaprała, który - niezapomniany! - nazywał się Schweinitzer. A teraz rzecz niezwykła: na tym zdjęciu Schweinitzer się uśmiecha - proszę przyjrzeć się dokładnie! - czego nigdy nie czynił w koszarach. A uśmiecha się - proszę przyjrzeć się dokładnie! do mnie. Tak jest. Jeśli nawet nie chcę twierdzić, że byłem żołnierzem nadzwyczajnym - złym żołnierzem w każdym razie nie byłem. Już jako rekrut zostałem starszym izby. W drugim roku służby byłem już najlepszym strzelcem wśród szeregowców mojej kompanii. W tym samym roku zostałem pomocnikiem instruktora. Zaledwie w rok później dowodziłem już drużyną, a jednocześnie prowadziłem chór kompanijny, chociaż nie jestem specjalnie muzykalny. Jednym słowem: byłem we wszystkim przykładny! Najlepszy w mustrze, najlepszy w marszach podczas manewrów, miałem najlepsze wyniki w strzelaniu na zawodach strzeleckich. Do tego jeszcze: dobry pływak, dobry biegacz, dobry rowerzysta. Za doskonałą znajomość regulaminów byłem kilkakrotnie wyróżniany. A mimo to: jedynie prosty żołnierz wśród innych żołnierzy. Wesole godziny serdecznej koleżeńskiej: gospoda Kaisersruh. Tak nazywana, bo gospodarz nazywał się Kaiser i wynajmował pokoje. Główna atrakcja: co sobota tańce. Tylko my, podoficerowie, zawsze przy tym samym stoliku. „Sami swoi”, aż do północy prawie - tylko my mężczyźni, pijący piwo, rozmawiający, taksujący dziewczęta. Dosadne słówka i toasty wygłaszam zwykle ja, tak samo regulamin naszego stołu, którego pierwszy paragraf głosi:

czas wolny to czas swawolny, a przyjaźń trwa wiecznie, przynajmniej do północy, i jeśli nie chodzi akurat o dziewczęta. W taki sposób żartowaliśmy. A przy tym graliśmy w kości - kto z jaką dziewczyną po północy! Z czego wynikała kolejność pierwszych tańców. A co szczególnie godne uwagi: kapral, plutonowy, sierżant, starszy sierżant, sierżant sztabowy - nikt nie chciał być uprzywilejowany, wszyscy czuli się związani tą samą ciasną więzią koleżeńskości. Podporucznik P~okelmann - wspaniały oficer, wzorowy i lubiany przełożony - wzywa mnie. Nie ma w tym nic nadzwyczajnego: on jest oficerem odpowiedzialnym za szkolenie rekrutów, ja, jako plutonowy i dowódca plutonu, jestem jego prawą ręką. Ale jest późno - już prawie druga w nocy. Melduję się u niego, w jego mieszkaniu, budynek kompanii, drugie piętro, wejście z klatki schodowej. P~okelmann śmieje się do mnie serdecznie, acz trochę na siłę. Leży w łóżku, a obok niego dziewczyna - przy łóżku ubrania i kilka butelek. „Mój drogi Frey - mówi do mnie podporucznik P~okelmann - wam chyba można zaufać, prawda?” Zapewniam, że tak. Potem pijemy. Poczciwy P~okelmann już nie bardzo może, ale dziewczyna na medal, widać, że pojętna, jest jeszcze żwawa jak rybka w wodzie. „Frey - mówi do mnie P~okelmann - wytranżol tę małą z koszar, ale tak, żeby nikt nie widział.” Po czym przewraca się na drugi bok i zasypia. A ja spełniam jego życzenie i w godzinę później wyprowadzam dziewczynę z koszar. Nikt nas nie widzi, bo tej nocy stoi przypadkiem na warcie mój przyjaciel Alfons. „Mój drogi Frey - mówi podporucznik P~okelmann w kilka dni później - na was można nie tylko polegać, wy jesteście poza tym jeszcze człowiekiem rycerskim i taktownym. Ta mała - wiecie już, która - bardzo was chwaliła. I dyskrecja jest chyba u was rzeczą samo przez się zrozumiałą. Obserwuję was już od dłuższego czasu, mój drogi Frey. Jako żołnierz macie pierwszorzędne zalety i jako człowiek chyba też nie mniejsze. W dodatku wygląda na to, że macie również talenty towarzyskie. Krótko mówiąc: jestem zdania, że macie predyspozycje na oficera. Zobaczymy, co się da zrobić.” „W roku 1935 zostałem promowany na podporucznika, po kilku kursach, które ukończyłem z doskonałymi wynikami. Już w 1938 roku zaawansowałem do stopnia porucznika, co było związane z moją funkcją szefa sztabu batalionu szkolnego w Lipsku. Na początku wojny miałem szczęście brać udział w kampanii polskiej jako dowódca kompanii i zdobyć przy tej okazji Krzyż żelazny II i Krzyż żelazny I klasy. Podczas Bożego Narodzenia tegoż roku zaręczyłem się z panią Felicitas Bendler_Trebitz. Po kampanii francuskiej, podczas której zostałem odznaczony Krzyżem Rycerskim, ożeniłem się z wymienioną damą i po okresie służby na różnych stanowiskach w strefie wojennej kraju skierowano mnie w 1943 roku do Szkoły Wojennej nr 5, gdzie pełnię funkcję dowódcy kursu.” Szlachetna harmonia w obrębie kasyna. Dowódca: oficer najlepszej starej szkoły, ponadto kawaler - a więc wyborne zrozumienie dla urody dam i wyraźny zmysł kulturalnego życia towarzyskiego. Niezapomniane pierwsze uroczystości letnie w salach kasyna, łącznie z tarasem i ogrodem: księżycowa, jasna, lśniąca noc, przyjemna łagodna temperatura, czarowne dźwięki wytrawnego zespołu orkiestry wojskowej, grającego za żywoplotem cisowym - Mozart, Lehar, Herms Niel. Skromne mundury wyjściowe, stylowe toalety wieczorowe, pieniący się szampan, tryskająca fontanna i tamże: pan Bendler_Trebitz, właściciel majątku ziemskiego Gross_ i Klein_Marching, porucznik rezerwy odbywający służbę wojskową w naszym pułku. Miły człowiek, zapewne - ale nic w porównaniu ze swą żoną Felicitas, która potrafi łączyć imponującą godność z wdziękiem i serdecznością. A dowódca, aczkolwiek fanatyczny kawaler, woła z zachwytem: „Co za kobieta!” Twarda, długotrwała, wielostronna służba, ale i Źródło niezmiennej radości. Ciężka praca od podstaw, ale też radosne wolne chwile. I ciągle na nowo ten urok organizacji, to namiętne uskrzydlenie, ta czysta rozkosz ścisłości. Jakże odległy o całe światy jest duch kramarski, z którym niegdyś się stykałem; minęła młodzięcza, gwałtowna era burzy i naporu, nieomal już zapomniane są drobne błędy i niezbyt poważne pomyłki, które były możliwe jedynie w owej chorobliwej atmosferze republiki, od samego początku skazanej na śmierć. Teraz wszystko jest kryształowo przejrzyste: dryl wychowawczy, dalekowzroczne studia, ogromne poczucie odpowiedzialności - słowem: świadomy duch niemiecki. A w rzadkich wolnych chwilach pojawiający się raz po raz niezapomniany obraz: Felicitas! Przyjaźń z Bendler_Trebitzem w czasie odbywania przez niego

następnych ćwiczeń rezerwy. Nie jest to człowiek wielki, ale dobry. Nie jest tym, co się nazywa rasowy żołnierz, ale to naprawdę miły facet. Pierwsze zaproszenie do majątku Gross_ i Klein_Marching. Pokaźny majątek. Pogłębienie wrażenia, jakie wywarła na mnie pani Felicitas. Sekundy bez słów, z wymownymi spojrzeniami. ĩadnego wyznania, nawet najmniejszej aluzji - tylko: manifestacja skromnej, zwykłej, oddanej przyjaźni. Potem niezapomniany maj 1939 roku, zakończenie trzydniowych manewrów wiosennych, niezwykle nastrojowy wieczór wśród kolegów oficerów, trwający do późnej nocy. Następnie wyścigi konne. Beztroski sportowy pomysł młodszych oficerów - wśród nich porucznik rezerwy Bendler_Trebitz. Godzina 5 rano minut czterdzieści osiem: upadek. Najpierw śmiech. Potem cisza. Upadek zakończył się śmiercią. Kolega Bendler_Trebitz zamknął oczy na wieki. „Proszę zawiadomić wdowę”, mówi dowódca do mnie. Później, niedługo potem, nieomal jak szczęśliwe wydarzenie, niosące zapomnienie i przezwyciężenie przeszłości: wojna. Walka i jeszcze raz walka, i nic poza walką. Za F~uhrera, naród i Rzeszę. I za Felicitas - przyznaję się sam przed sobą w najtajniejszych chwilach. Mimo to tylko kilka zwięzłych listów pocztą polową: Marsz od zwycięstwa do zwycięstwa... Jestem pierwszym, który otrzymał Krzyż ĩelazny II klasy... niepowstrzymanie naprzód... jestem znowu pierwszym, który otrzymał Krzyż ĩelazny I klasy... nikt nam już nie odbierze zwycięstwa... pozwałam sobie załączyć serdeczne pozdrowienia. Pierwsza wojenna Gwiazdka, 1939 roku, spędzona w majątku pani Bendler_Trebitz. Niezwykle uroczysta, z kościółkiem wiejskim, obdarowywaniem służby, ucztą w małym ścisłym gronie, indyk i burgund. Potem szampan - tylko my we dwoje. Szum jedwabiu, ogień trzaskający na kominku. Blask płonieni pada na moje ordery, na uroczozarumienioną twarz Felicitas. Nasze ręce dotykają się - całkiem delikatnie, ale zarazem namiętnie. A na dworze, w śląskiej nocy zimowej: „Różyczka zakwitła!” Nazajutrz rano uważamy się za zaręczonych. Wspaniała kampania francuska! Uchodzę za specjalistę od przyczółków. Tam gdzie raz stanęła stopa moich żołnierzy - nie ma odwrotu, nawet wówczas, gdy zwała się na nas atak zwierzęcych, kolorowych wojsk pomocniczych. Płomienny duch bojowy. Trzeba płacić za to całymi kolumnami czołgów. Nastrój nieco zepsuty przez spór z jednostką artylerii przeciwlotniczej, która twierdzi, że zniszczyła moje czołgi. Straty średnie, nie ma o czym mówić. Potem: Krzyż Rycerski! Szczęry tryumf wokół mnie, ale również zazdrośnicy. Niemordowanie naprzód, aż Francja legnie powalona. ĩolnierze nic niewarci - z wyjątkiem jednostek stojących naprzeciw mnie. Potem tygodnie, które są jednym świętem zwycięstwa. Paryż! Ale ja zachowuję się wstrzemięźliwie, biorę udział najwyżej z przyczyn poznawczych i bynajmniej nie całym sercem. Znam bowiem jeden tylko cel: Felicitas! Felicitas Bendler_Trebitz w Gross_ i Klein_Marching, osiemdziesiąt włók ziemi i tamże szlachetny materiał hodowlany. Proszę ją o rękę, i moja prośba zostaje przyjęta. 13 Pan kapitan stawia warunki - Pana porucznika Kraffta do mnie, proszę - powiedział generał. Powiedział to do Sybilli Bachner. Oficjalne zajęcia były na ten dzień - według planu - zakończone. Budynek komendy szkoły zaczął się opróżniać. Sybilla połączyła się z kancelarią 6 oddziału i zakomunikowała dyżurnemu pisarzowi: - Pan porucznik Krafft proszony jest o stawienie się u pana generała. Pisarz powiadomił szefa kancelarii, a ten dyżurnego podchorążego. ĩyczenie generała zmieniło się tymczasem w rozkaz. Rozkaz ten brzmiał: „Porucznik Krafft zamelduje się u generała”. Dyżurny podchorąży odszukał Kraffta. I obwieścił: - Pan porucznik do pana generała. Natychmiast! Nie brzmiało to szczególnie obiecująco. Ale ze strony generała i tak nie należało oczekiwać pomyślnych wiadomości. Krafft skinął głową, jakby to była dla niego rzecz najnaturalniejsza w świecie konferować o tak niezwyklej porze z przełożonymi. - Czyście powiedzieli: natychmiast? - spytał. - Tak jest - potwierdził dyżurny podchorąży. - Natychmiast. Sprawa jest pilna i ważna, tak powiedział szef kancelarii. - Ale zdążę chyba jeszcze wdziać portki? Krafft postanowił sobie, że go już nic nie zaskoczy i nikt nie wytrąci z równowagi. Był przekonany, że nie ma już nic do stracenia - a nie widział w tej chwili w pobliżu nic, co by miał do zyskania. - W porządku - rzekł porucznik. - Przyjdę zaraz, za jakiś kwadrans. Podchorąży uważał, że to lekka zgrywa. Wiedział, że generałowi nie każe się czekać nawet o sekundę dłużej, niż jest to konieczne. Ale to go już nic nie obchodziło - on swoje zrobił. Krafft

ubierał się z całym spokojem - mundur służbowy. Potem zadzwonił do Elfriedy. - Spóźnię się prawdopodobnie - powiedział. „Coś specjalnego, Karl?” - To, co zwykle, przypuszczalnie. Opeer albo wylanie. Muszę się zameldować u generała. „Czy może Kater maczał w tym palce?” - Nie sędzę - odpowiedział Krafft pogodnie. - Tu chodzi chyba nie tyle o karczemną intrygę, ile o ściśle służbową interwencję. Najważniejsze, żebyś ty na mnie czekała. „Z niecierpliwością”, zapewniła go Elfrieda. * * * - Mam się zameldować u pana generała, panno Bachner. Sybilla tym razem miała dla porucznika przyjazny uśmiech. Jakiś postępek to był, ale do poufałego uśmiechu droga była prawdopodobnie jeszcze daleka. Krafft stanął przy drzwiach i czekał. Sybilla przyglądała mu się uważnie, mówiąc: - Nie sędzę, panie poruczniku, że chodzi o zameldowanie się. Pan generał wyraził tylko życzenie pomówienia z panem. Może pan więc pas, rękawiczki i czapkę zostawić tu u mnie w przedpokoju. - Czy pani się aby nie myli, panno Bachner? Sybilla potrząsnęła przecząco głową. Potem spojrziała na zegarek. - Jeszcze ze trzy minuty cierpliwości. Generał kończy właśnie jakiś dokument. - A skąd pani wie, kiedy on będzie z tym gotów? - Generał zawsze określa z góry czas i podaje go adiutantowi albo mnie. Oczywiście w wypadkach, kiedy powinniśmy o tym wiedzieć. Krafft zdjął swój zbędny rynsztunek wojenny i zapytał: - Czy ta praca sprawia pani właściwie przyjemność? Sybilla rzuciła mu zdziwione spojrzenie. - Przyjemność? - odpowiedziała przeciągle i ze zdumieniem. - Co pan chciał przez to powiedzieć? - Nic a nic - pospieszył ją zapewnić Krafft. - To było niepotrzebne pytanie. - I mnie się tak wydaje - rzekła Sybilla i spojrziała nań nieufnie. Po czym spytała: - Czy pan właściwie wie, po co został pan wezwany? - Niezupełnie - odparł porucznik. - Pewnie popełniłem jakieś głupstwo, u mnie tego jest do wyboru i do koloru. - U innych też, tylko że oni nie zawsze o tym wiedzą. - Zazdroszczę im. - Dziś rano - rzekła Sybilla Bachner - byli u generała panowie Frey i Ratshelm. - Dzięki za informację - rzekł Krafft. - W jaki sposób mógłbym się pani zrewanżować? - Całkiem po prostu: zapominając, co panu w tej chwili powiedziałam. - Już zapomniałem, panno Bachner. Nic więcej nie mogę dla pani zrobić? - Nie. Dni jej przebiegały, jakby były wysztancowane przez maszynę. Dzień w dzień to samo: #/6#30 wstawanie. #/7#30 śniadanie. Służba od #/8#00 do #/18#00. O #/18#30 kolacja. Potem zwykle nadgodziny albo to, co tu nazywano wolnym czasem: cerowanie bielizny, pranie pończoch, niekiedy list do rodziców, od czasu do czasu jakaś wizyta albo koncert radiowy, albo też pójście do kina w miasteczku - przeważnie samotnie, niekiedy z żoną adiutanta. - Gdyby pani kiedyś czegoś potrzebowała - powiedział Krafft - może pani na mnie liczyć. - Dziękuję, ale nikt mi nie jest potrzebny. - E tam, pani też przecież jest człowiekiem. - Proszę, panie poruczniku Krafft, pan generał czeka. * * * - Do jakich wyników - spytał generał - doszedł pan przy badaniu akt sądu wojennego w sprawie wypadku podporucznika Barkowa, panie poruczniku Krafft? To pytanie zaskoczyło Kraffta. Na to nie był przygotowany. Potrzebował trzech sekund, żeby się przestawić. Miał już na języku argumenty na temat „Formy towarzyskie”, a zwłaszcza na temat „Przedsięwzięcie biust_monokl”, ale szybko odłożył je w myślach na bok. Nie zauważył przy tym, że generał zrobił coś zupełnie nadzwyczajnego: nie siedział w swej zwykłej sztywnej, wyprostowanej postawie, obrócił trochę swoje krzesło i założył nogę na nogę. - Grupa szkolna Heinrich - referował porucznik - w decydujących momentach podzielona była na dwie drużyny. Drużyna liczniejsza, w składzie trzydziestu dwóch ludzi, znajdowała się już w ukryciu. Pozostała ósemka pomagała podporucznikowi w ostatnich przygotowaniach do wybuchu. Normalna procedura. Miało się bowiem odbyć kilka wybuchów. Przy pierwszych przygotowaniach, jak przygotowanie ładunku, odmierzanie lontu, wprowadzanie słonki pobudzającej, obecna była cała grupa. Przy ostatnich przygotowaniach, jak umieszczenie ładunku na miejscu wybuchu, połączenie słonki z lontem i odsłonięcie gniazda w ładunku dla umieszczenia w nim słonki, obecna była ze względu na ostrożność podczas każdej z tych czynności tylko jedna drużyna. - Do tej chwili nie ma w tym wszystkim nic niezwykłego. - Do tej chwili nie, panie generale. Ale potem, kiedy wszystkie przygotowania do wybuchu były już zakończone, stała się rzecz następująca: W drużynie liczniejszej, znajdującej się już w ukryciu, jeden z podchorążych zwicznął sobie nogę. Podporucznik Barkow udał się tam natychmiast i stwierdził, że nic złego się nie stało. Po czym od

razu wrócił na miejsce wybuchu. Przyłożył jak zwykle główkę zapałki do ścieżki prochowej i potarł pudełkiem zapałkę. Podporucznik Barkow, znając czas palenia się lontu, podniósł się powoli. I zaczął, wciąż jeszcze bardzo powoli, oddalać się. Nagle nastąpił wybuch. Generał oparł się o krzesło. Przymknął oczy. Również i Krafftowi zdawało się, że widzi to samo, co generał: ośmiu podchorążych spieszących w ukrycie na tle bladoniebieskiego nieba, latające poły płaszczy, wymachujące ręce, tupiące nogi - i twarze szare i zamarłe w bladym świetle. Podporucznik wyprostowany, wąskie ostre kontury, opanowane, dokładnie odmierzone ruchy, cień uśmiechu z powodu tempa kryjących się. A potem huk eksplozji, wybuchający nagle jaskrawy długi płomień, i ten płomień uderza w podporucznika z niszczącą siłą, rozdziera go i powala na twarz. Potem wszystko spowija chmura dymu i błota. A potem cisza. - Kto był w tej ósemce? - Podchorążowie Kramer, Weber, Andreas, B~ohmke, Berger, Hochbauer, M~osler i Rednitz, panie generale. - A ten, który zwichnął sobie nogę? - Podchorąży Amfortas, panie generale. Zwichnięcie, jak się później okazało, było tylko potłuczeniem. - Czy istnieje diagnoza lekarska? - Nie, panie generale. Podchorąży Amfortas nie zameldował się w izbie chorych. Podobno potłuczenie było bolesne, ale tylko chwilowe. W każdym razie podchorąży Amfortas, jak sam twierdzi, nie uważał za konieczne pójść z tym do lekarza. Teraz oczywiście jest za późno na orzeczenie. Istnieją co prawda świadkowie, którzy twierdzą, że widzieli siniak. - Czy to już wszystko, czego się pan dowiedział, panie poruczniku Krafft? - To w tej chwili wszystko, panie generale. W każdym razie wszystko, co było godne uwagi na czterdziestu stronicach akt. - A co pan poza tym przedsięwziął? - Nic, panie generale, w każdym razie nic bezpośrednio. Oczy generała nabrały lodowatoszarego blasku. - A co pan zamierza robić dalej, panie poruczniku Krafft? - Staram się poznać podchorążych mojej grupy, panie generale. Zdaje mi się, że to jest najlepszy punkt wyjściowy do właściwych dochodzeń. Na to trzeba oczywiście trochę czasu... - A tego właśnie pan nie ma! - wtrącił generał. Porucznik Krafft milczał. Generał znowu przyjął swą zwykłą postawę. Nogi oparł o podłogę i wyprostował się. - Nie ma pan zbyt wiele czasu, panie poruczniku Krafft, zwłaszcza jeśli będzie pan postępował tak jak dotąd. Pański dowódca oddziału i dowódca kursu bynajmniej nie są zachwyceni tym, co pan wyczynia. Porucznik Krafft wolał zachować milczenie. Przez chwilę miał ochotę odpowiedzieć, że on się też swoimi przełożonymi nie zachwyca. Ale to nie miałyby wiele sensu. Generał rzekł: - W najbliższych dniach, może nawet już jutro, oczekuję gościa, którym pan się zaopiekuje, panie poruczniku. Chodzi o panią Barkow, matkę zmarłego podporucznika. Powierzam panu to zadanie z dwóch przyczyn. Po pierwsze: jest pan następcą podporucznika Barkowa, może pan więc najlepiej poinformować jego matkę, jak jej syn tu żył i co robił. Po drugie: pańska osoba, moim zdaniem, najlepiej nadaje się do tej misji. - Ile wolno mi powiedzieć pani Barkow, panie generale? - Tyle, ile oficjalnie wiadomo. Krafft czuł, że rozmowa jest skończona. Wstał. Generał skinął mu lekko głową. Porucznik poszedł w kierunku drzwi, aby tu celebrować ceremoniał pożegnania. Wtem generał podniósł rękę: - Krafft - powiedział, i ten nieomal poufały sposób mówienia nie przyszedł mu widocznie łatwo - mam nadzieję, że mogę na panu polegać. To jednak nie znaczy, że jestem w każdej chwili gotów osłaniać pana, jeśli pan sobie pozwala na nie przemyślane wybryki. Tylko w jednej, ściśle określonej sprawie - wie pan, co mam na myśli - może pan liczyć na wszelkie poparcie z mojej strony. Chcę, żeby winni śmierci podporucznika Barkowa zostali ukarani. Do tego jest mi pan potrzebny. I dlatego oczekuję od pana, że nie będzie pan lekkomyślnie ryzykował. Proszę mi nie sprawić zawodu, Krafft. Porucznik zasalutował w milczeniu. - Panie poruczniku Krafft - powiedział generał na zakończenie - proszę nie zapominać: pańskie zadanie jest jasne i czas nagli. Dla pana nie ma już wygodnego wyjścia z tej sytuacji. * * * - Czy ma pani gdzieś pod ręką koniak, panno Bachner? - zapytał Krafft. Sybilla przyjrzała mu się uważnie. - Albo coś innego do picia, może być nawet alkohol metylowy! Był przekonany, że usłyszy w odpowiedzi stanowcze „nie”. Zamiast tego ona powiedziała: - Jeśli tylko o to chodzi, mogę panu pomóc. Zdaje się, że w tym wypadku nie popełnię grzechu. - I bez żadnych ceregieli wyjęła z biurka adiutanta butelkę i kieliszek. - Powiedz mi pani, moja droga - spytał Krafft nieco zmęczony, opierając się o szafę biurową - jak właściwie generał reaguje, kiedy ktoś nie wykonuje jego życzeń czy poleceń? - Nie

wiem, panie poruczniku - odparła Sybilla. - To się tu jeszcze nie zdarzyło. - Podała mu szczerze nalany kieliszek i spojrzała nań uważnie i przyjaźnie. Porucznik wychylił kieliszek duszkiem. Przeniknęło go błogie ciepło. Mimo to nie poczuł ulgi. - Za co mnie tu właściwie mają? - spytał Krafft gniewnie. - Co ja jestem cudotwórcą z zawiązanymi oczami i pistoletem maszynowym? Albo święty Mikołaj wieszający granaty ręczne na choinkę? Za co pani mnie ma, panno Bachner? - Za człowieka na tyle mądrego, by potrafił zrozumieć, że generał nigdy nie stawia żądań, za które nie mógłby wziąć odpowiedzialności. Teraz Sybilla Bachner lekko się uśmiechnęła. Ona tak samo panuje nad swoimi uczuciami, jak jej generał, pomyślał Krafft. Widocznie on rzutuje na otoczenie. Ale przecież uśmiechała się. Widziała w tym pokoju na pewno wszystkie możliwe reakcje oficerów deformujących się pod naciskiem generała: Dumni, głupi, ufni, wazelinarze, pewni siebie, zarozumialcy, obojętni i intryganci - a wszyscy mówiący „tak jest”. A ta Sybilla na to wszystko się uśmiechała. - Może pani powinna się trochę więcej udzielać swemu generałowi, panno Bachner, mam na myśli: od strony ludzkiej. - Krafft powiedział to bez zastanowienia. Czuł się sprowokowany, a w każdym razie potrzebował teraz kogoś, na kogo mógłby zwalić część swego gniewu i niezadowolenia. - Powinna pani starać się rozweselić go trochę: Zdaje mi się, że jest mu to bardzo potrzebne. - To jest podłość - powiedziała Sybilla. - Nie przesadzajmy - obruszył się Krafft - już raz pani powiedziałem: niech pani tu nie gra roli żelaznej dziewicy. W końcu nie składa się pani z części maszyny do pisania. Jest pani przecież kobietą. Dlaczego się pani odpowiednio do tego nie zachowuje? To byłoby prawdziwe błogosławieństwo dla nas wszystkich, i dla generała też. - Może mu to pan przy okazji sam powie - zaproponowała Sybilla, opanowując się z trudem. Wydawała się nieco bledsza, ręce zacisnęła w pięści. Aczkolwiek Krafft miał wrażenie, że zrobił sobie nowego wroga, jej otrzeźwiająca słowa przywróciły mu równowagę. - Ma pani zupełną rację, panno Bachner - powiedział - ja także jestem śmierdzący tchórz. Tu gadam jak chojrak, a powinienem być nim być poza tymi drzwiami. - To już w każdym razie postęp - rzekła Sybilla. - Za dużo ode mnie wymagają - powiedział Krafft. - Ja przecież też jestem tylko takie sobie biedaczysko. A co gorsza: wiem o tym. Gdyby pani wiedziała, jak ja zazdroszczę tym wszystkim, którzy są tak wspaniale pewni siebie i przekonani, że mogą sobie spać spokojnie i z czystym sumieniem, zaś oczy Pana Boga - albo generała - spoczywają na nich z zadowoleniem. Ale w czasach takich jak obecne trzeba być dzieckiem, żeby na ten wielki chlew patrzeć z niewinnym uśmiechem. - Dam panu jeszcze jeden koniak - powiedziała Sybilla. Uśmiech wrócił na jej usta, i to bez cienia kpiny - zdradzał coś na kształt sympatii. - Pani wcale nie jest taka zła - stwierdził Krafft - ale może pani o tym nie wie. - No to będę wiedziała od dziś - odpowiedziała wesoło. - Dobrze, tylko niech pani o tym natychmiast nie zapomni. - Proszę wstąpić od czasu do czasu, to się pan przekona. * * * Korytarz na parterze budynku komendy szkoły był cichy i opustoszały - jak hala fabryczna nocą. Iarówka pomalowana na niebiesko dawała mdłe światło. Tylko z trudem odbłask jej dopełzał do pustych ścian i ciemnych drzwi. Biura administracji szkoły, do których wchodziło się z tego korytarza, były o tej porze puste. Tylko z biblioteki przenikał przez dziurkę od klucza wąski promyk światła. Elfrieda Rademacher czekała tam na Kraffta. - Przepraszam cię - powiedział - ale nie mogłem przyjść wcześniej. - Przyszedłeś - rzekła - to najważniejsze. Elfrieda nie skarżyła się; nigdy nie pytała o nic; nie miała humorów, ekstrawaganckich pomysłów, ataków hysterii, okresów melancholii. Była wygraną na loterii. - Już dość późno - powiedział. Krafft przyglądał się sali bibliotecznej dokładnie, jak badacz. Skontrolował zaciemnienie na oknach, zamknął drzwi i zakrył dziurkę od klucza czapką. Potem zdjął kurtkę i udrapował ją wokół lampy stołowej. Wreszcie zebrał wszystkie poduszki z krzeseł, do tego parę mat z podłogi, podkładki filcowe spod maszyn do pisania i zrobił z tego posłanie. Na tym rozpostarł koc przyniesiony przez Elfriedę. - Kiedy się tak na ciebie patrzy - powiedziała - można by sądzić, że robisz to codziennie. - Nie sądz tak - rzekł stłumionym głosem - pomóż mi lepiej wyprostować koc. Ukłękła obok niego. - Czy musimy mówić szeptem? - spytała. - Możesz nawet krzyczeć - rzekł - jeśli ci zależy na widzach. Elfrieda zrozumiała, że w tych warunkach nie można się nie ukrywać. Westchnęła. - Teraz przynajmniej wiem - powiedziała - na czym polegają zalety małżeństwa. Zdaniem Kraffta,

uwagi takie były nieco ryzykowne. Ilekroć była mowa o małżeństwie, czuł się nieswojo. Chcąc odwieść ją od tego tematu, powiedział: - Mądry miałś pomysł, z tym wykorzystaniem biblioteki do celów pozabibliotecznych. - Och - powiedziała - na ten pomysł wpadli już inni przede mną. Kierownik biblioteki wynajmuje ją na kilka zmian za papierosy. - Cicho - powiedział nagle i chwycił ją za rękę. Wsłuchiwali się w noc. ładnego szmeru. Słysząc było tylko ich oddech. - Jesteś dziś niezwykle ostrożny, Karl - powiedziała Elfrieda. - Nie chciałbym cię stracić, Elfriedo, to dlatego. - Ty mnie nigdy nie stracisz, chyba że zechcesz. A biblioteka nie jest w końcu jedynym miejscem, gdzie możemy się spotykać. Moja znajoma, która pracuje w warsztacie krawieckim, jest mężatką i ma na dole w mieście pokój, razem z mężem naturalnie. Ale on pracuje na kolei i jest często w rozjazdach. A ta znajoma lubi chodzić do kina. Jeśli kupimy jej bilety i zorganizujemy jej jeszcze coś do palenia czy do picia, to nam od czasu do czasu na parę godzin swój pokój odstąpi. - Niezły pomysł - przyznał Krafft. - Bo tutaj w koszarach to zbyt niewygodne i niepewne. Moja pozycja już i tak jest mocno zachwiana. A gdyby mnie złapano w tak zwanej niedwuznacznej sytuacji, no to ręka noga mózg na ścianie. - Chodź - powiedziała Elfrieda z uśmiechem - weź mnie, zanim oni nas wezmą. Położyła się i przyciągnęła go do siebie. Krafft wdychał zapach jej skóry, a jego ręce ślizgały się po jej ciele. Chociaż znał ją na wylot, wydawała mu się za każdym razem inna. W tej chwili ktoś zapukał do drzwi. Kochankowie zerwali się przerażeni. Dopiero po kilku sekundach wrócili do twardej rzeczywistości. Krafft dawał Elfriedzie znaki, żeby się nie ruszała. On sam zaś podniósł się ostrożnie i zawołał: - Kto tam? Proszę nie przeszkadzać! Mam robotę. - Ależ, ależ! - odpowiedział wesół głos. - I to pan nazywa robotą? Głos ten wydawał się Krafftowi znajomy. Spojrzał na Elfriedę. Skinęła mu głową i zaczęła się uśmiechać, jakby jej ciężar z serca spadł. Wstała, otuliwszy się byle jak, ale nie przejmowała się tym zbytnio. Potem powiedziała, nie ścisząc nawet głosu: - Kapitan Kater, a któż by inny! - Otwórz pan, Krafft - powiedział Kater nieomal dobrodusznie. - Chcę tylko trochę z panem porozmawiać. - Bardzo żałuję - powiedział porucznik Krafft przez zamknięte drzwi. - Muszę pana prosić, panie kapitanie, żeby miał pan wzgląd na to, że nie jestem sam. - Ależ człowieku, ja przecież wiem! Znam nawet nazwisko pani. Proszę pozdrawić ode mnie pannę Rademacher, mną nie musi się krępować. - Chwileczkę, proszę - rzekł Krafft. Pomógł Elfriedzie włożyć sukienkę, potem poszukał swoich butów. Elfrieda nie była ani trochę zakłopotana. Mogło się wręcz zdawać, że ta sytuacja ją bawi. Składając koc, powiedziała wesoło: - Co on nam może zrobić? * * * - Naprawdę nie chciałem przeszkadzać! - zapewniał kapitan Kater. Wszedł do pokoju, doprowadzonego już do jakiegoś takiego porządku, wesół, ciekawski i z nadzwyczaj uprzejmym uśmiechem. Pod lewą pachą miał czworograniastą litrową butelkę, najwyraźniej cointreaux. Zrobił perskie oko - do Elfriedy po ojcowsku, poufale, do Kraffta ze zrozumieniem, jak to między nami mężczyznami. - Bardzo żałuję, jeśli przyszedłem za wcześnie - powiedział Kater mrużąc oczy - ale nie chciałem się w żadnym razie spóźnić. - Skąd pan wiedział, że my tu jesteśmy? - Ależ proszę pana, mój drogi, nie należę w końcu do najgłupszych, ma się swoich ludzi. Może jednak usiądziemy? Kater energicznie zapalił światło, przysunął trzy krzesła do biurka i postawił na nim butelkę cointreaux. Zrobił zapraszający gest ręką. Elfrieda usiadła. Krafft uważał, że ta prawie pełna butelka czyniła obecność kapitana Katera nieco znośniejszą. Dlatego usiadł również. - W gruncie rzeczy jestem pana przyjacielem - powiedział Kater i wyciągnął z kieszeni spodni trzy kieliszki. - Mam na uwadze wyłącznie pańskie dobro. - Jeśli tak, to nie powinien nam pan przeszkadzać. Kapitan Kater zaśmiał się mecząco jak koza, już choćby dlatego, żeby pokazać, że zrozumiał dowcip i że dowcip ten mu się podoba. Napełnił kieliszki aż po brzegi i każdemu z nich przysunął jeden. - Nie sądzi pan chyba - ciągnął Kater - że ja mógłbym kiedyś taką sytuację wykorzystać... chyba że się mnie do tego zmusza. Ale na ogół jestem dżentelmenem, że tak powiem, starej szkoły. Potrafię milczeć. I z całego serca użyczam panu wszystkich możliwych przyjemności. - Na jakich warunkach, panie kapitanie? Kater nie odpowiedział od razu. Myślni był gdzie indziej. Wytrzeszczał oczy na Elfriedę, która wcale się nie krępując poprawiała pończochy. Miała krzywy szew, bo przedtem tak się śpieszyła. Wyciągnęła nogi, najpierw prawą, potem lewą, podniosła je trochę, tak że widać było brzeżek ud.

Jej ręce prześliznęły się wzdłuż nóg lekko, prawie czule. I w trakcie tego zajęcia podniosła oczy na Katera, który pośpiesznie chwycił za kieliszek. - Za nasze zdrowie! - zawołał, wypił i zachłysnął się. Krafft uśmiechnął się do Elfriedy i również wypił. Zorientował się od razu, jaki był cel tej manifestacji ze strony Elfriedy - mściła się na swój sposób za to, że im przerwał. Wreszcie krótkim ruchem ściągnęła spódniczkę na kolana i sięgnęła również po kieliszek. Kiedy wypili, kapitan Kater, jeszcze trochę kaszląc, powiedział: - Gdzieżby mi na myśl przyszło stawiać w ogóle jakieś warunki? Ani mi się śni. Złapałem was oboje, że tak powiem, in flagranti, ale dlaczego miałbym to wykorzystywać przeciwko panu, dopóki jesteśmy przyjaciółmi? Wiem, drogi Krafft, że mógłbym panu robić trudności, i to nieraz, istnieje bowiem wiele ludzi, którzy nie są wobec pana najżyczliwiej usposobieni. Oni by z rozkoszą zrobili użytek z tego, co tu zobaczyłem i na co mam nawet świadków - na przykład podoficer odpowiedzialny za te pokoje, którego przekupił pan papierosami. Ale nie mówmy o tym. - No to jazda - powiedział Krafft wściekły, bo zrozumiał, że dał się złapać w pułapkę - czego pan ode mnie żąda? - Nic, mój drogi, absolutnie nic. Przynajmniej w tej chwili. Ale dam panu znać w porę, kiedy pan również i mnie będzie mógł wyświadczyć jakąś drobną przysługę. I pani oczywiście też, szanowna panno Rademacher. Tak. O co to jeszcze chciałem zapytać, mój drogi... Aha, pan ponoć ma się opiekować panią Barkow, która jutro przyjeżdża? - Ponoć tak, panie kapitanie. - To mnie interesuje, mnie i jednego z moich przyjaciół. Z przyczyn czysto prawnych, że tak powiem, i z przyczyn państwowotwórczych. Ale to jest panu zapewne obojętne. Dotychczas w każdym razie zdołano ustalić, że generał zamówił poprzez swoich podwładnych pokój dla pani Barkow, najlepszy pokój w najlepszym hotelu. Czego ta pani właściwie tu chce? - Chce odwiedzić grób swego syna, zobaczyć, jak tu żył, gdzie pracował... a co innego mogłaby chcieć? - Bądź co bądź nieco za dużo ceregieli jak na rodzinę zmarłego żołnierza, nie uważa pan? Do czego byśmy doszli, gdyby po każdym pogrzebie następowała wizytacja szkoły pod opieką oficera, połączona z kolacją z udziałem komendanta szkoły. Chyba że chodzi tu o kontakty szczególne, poniekąd prywatne. - Skąd panu to na myśl przyszło? - Czy sądzi pan, że nie zwróciłem na to uwagi, że generał przejawia niezwykle zainteresowanie dla sprawy Barkowa? Dlaczego? Tylko z racji swej funkcji komendanta? A może dlatego, że podporucznik Barkow był mu szczególnie bliski? Chcę powiedzieć: czysto po ludzku. Ie tak powiem: Intymnie. Pan rozumie? - I o to pan posądza generała? - Posądzam wszystkich o wszystko - rzekł Kater i znowu napełnił kieliszki. - Widzi pan, drogi Krafft, generał zawsze żył jak mnich. Powiadają, że nawet na piękną Sybillę Bachner nie zwrócił uwagi. Ale kiedy tylko pojawił się tu ten podporucznik Barkow, od razu zaczął się wdawać w rozmowy z nim, co więcej, przyjmował go w swoich prywatnych pokojach, których progu poza tym nikt nie przestępuje. A ponieważ rozmawiamy tu tak zupełnie otwarcie i jesteśmy sami, mój drogi, zdradzę panu jeszcze coś: Generał sam zażądał podporucznika Barkowa dla swojej szkoły wojennej. Co pan na to? - Ta cała sprawa jest mi najzupełniej obojętna! To wszystko, co mam do powiedzenia, panie kapitanie. - Przy mnie, mój drogi, może pan myśleć i mówić, co pan chce, i robić, na co pan ma ochotę. Sam czy z panną Rademacher. Jeśli pan wyniucha, co tam było między generałem a Barkowem, to dziś wieczorem nic nie widziałem ani nie słyszałem. Czy pan mnie zrozumiał? - Mówi pan bardzo wyraźnie, trudno pana nie zrozumieć. - No to się dogadaliśmy. Mogę jeszcze tylko powiedzieć: na dobrą współpracę! Ale teraz nie będę już więcej państwu przeszkadzał, na pewno chcecie być jeszcze trochę sami. I tym razem nikt wam nie przeszkodzi: ręczę za to. Butelkę możecie państwo zatrzymać. A więc dobranoc, moi drodzy!

14 Za to życie trzeba płacić - Możesz jeszcze trochę poleżeć - powiedziała Marion Feders do swego męża. - Zrobię wszystko, co trzeba. - Ja już i tak nie mogę spać - powiedział Feders. - Mimo to poleż sobie jeszcze. Patrz w sufit, może się trochę zdrzemniesz. - Nie mogę - powiedział Feders - kiedy tak leżę, zaczynam myśleć. - No to myśl choć o czymś przyjemnym. - Nie mogę - powiedział. - Nie ma nic przyjemnego. Białe światło poranka sączyło się przez okna i padało na łóżko w małym mieszkaniu. Feders zmrużył oczy - potem odwrócił się na drugi bok. Teraz już nie światło go raziło - widział swoją żonę przed umywalką. Feders zwałił się ciężko na wznak. Poranek był ołowiano_szary i otępiający. Ciężki zaduch nocy unosił się jeszcze w pokoju. Zamknął oczy.

Natychmiast poranne szmery zaczęły wydawać się głośniejsze: woda ochlapująca ciało i ściekająca po nim, podczas gdy pracowite ręce tarły skórę, mydło, wyjmowane z mydelniczki i odkładane do niej z powrotem, kroki bosych stóp. Stopy te - Feders słyszał to wyraźnie - stąpały po mokrej podłodze, po dywanie, wsuwały się w pantofle ranne, a potem odezwały się na posadzce. - Otul się szczelniej tym płaszczem kąpielowym - powiedział - zawiąż sobie chustkę na szyję, a drugą na głowę. - Mnie nie jest zimno, Erich. - Zrób to mimo to - powiedział. Feders nie patrzył w jej stronę - wiedział zawsze, co robi, a czego nie robi. Mógł mieć zamknięte oczy, a mimo to widział ją dokładnie przed sobą - wystarczyło, że była blisko. - Przepraszam - powiedziała i spojrzała na niego oczami proszącymi o przebaczenie. - Nie ma za co przepraszać - rzekł Feders. Patrzył nadal w sufit, i zdawało mu się, że widzi tam twarz Marion. - Nie masz najmniejszego powodu prosić mnie o przebaczenie. - Już dobrze - powiedziała i poszła do sąsiedniego pokoju. - Zawiążę sobie chusteczkę. Przygotowała kawę poranną, znużonymi, mechanicznymi ruchami. Twarz miała szarą i zmęczoną. Potem, przez otwarte drzwi, widziała, jak Feders wstaje. Podeszedł do umywalki i obnażył tors. Obserwowała jego masywne, a mimo to harmonijne ramiona, dobrze zbudowaną muskularną klatkę piersiową, nerwowe dłonie, pewne ruchy. Podeszła do drzwi. - Jesteś piękny - powiedziała. - Zajmij się lepiej swoją kawą - odparł nie patrząc na nią. - Kocham cię. - Wiem, tak jak się kocha obraz albo melodię. - Mówił to z piekącym nieomal szyderstwem. - Ty koniecznie chcesz, żeby ci sprawiać ból. - Kto jest ranny, musi znosić ból. To jest święta prawda. Poza tym woda na kawę kipi. A to teraz jest najważniejsze, bo muszę iść do pracy. - Czego ty ode mnie oczekujesz? - spytała niespokojnie. - W tej chwili nic poza śniadaniem. * * * - Jak tylko pana widzę - zawołał Feders do porucznika Kraffta na przywitanie - uświadamiam sobie, że ten świat wcale nie jest taki smutny, jak się zwykle wydaje. Czym pan dla odmiany chce mnie dziś rozweselić? - Mam do pana pewną szczególną prośbę, panie kapitanie. - Już niedobrze - powiedział Feders - nie jestem świętym Mikołajem. Kapitan Feders stał w korytarzu baraku szkolnego, przy oknie. Palił papierosa - zarządził bowiem, jak zwykle, przerwę między dwiema godzinami taktyki. Podchorążowie stali grupami w należytej odległości i męczyli się nad pierwszym tak zwanym „zadaniem z gimnastyki mózgu”. Ich wykładowca taktyki postawił im - „lebyście się na przerwie nie nudzili!” - pewne podchwytliwe pytanie. - Czy mogę przyjść do pana na hospitację, panie kapitanie? Feders udawał, że go to śmieszy. - Nie zamierza pan chyba kontrolować moich umiejętności i metod, Krafft? - Te są mi dostatecznie znane. Mam jedynie zamiar przyjrzeć się bliżej niektórym z naszych podchorążych, jeśli mi pan pozwoli. - Widzi pan przecież to stado baranów codziennie, od wczesnego rana do późnego wieczora. Jeszcze nie ma ich pan dość? - Kiedy jestem razem z podchorążymi, panie kapitanie, muszę pilnować porządku i uczyć ich. Poza tym zorientowałem się już, jak reagują na mnie i na mój sposób bycia. A teraz chciałbym zobaczyć, jak zachowują się u innych oficerów. - I z tym przychodzi pan akurat do mnie, Krafft? Mimo że pan wie, że nie jestem zwolennikiem indywidualnej opieki? U mnie każdy reaguje dokładnie tak, jak ja sobie tego życzę, a nie tak, jak on sobie życzy. Ale jeśli się pan chce koniecznie przekonać, to proszę bardzo. - Uprzejmie dziękuję, panie kapitanie - powiedział Krafft. Powiedział to prawie z szacunkiem i stosunkowo skromnie. - Wystarczy mi, jeśli będę mógł posiedzieć gdzieś w kącie. Kapitan Feders obrzucił porucznika badawczym spojrzeniem; głęboka zmarszczka pojawiła mu się na czole. - Nonsensem byłoby z mej strony, gdybym sądził, że chce pan u mnie coś wywęszyć, Krafft. W pańskiej sytuacji byłoby to absurdalne. Poza tym nie podejrzewam pana o to. O każde głupstwo, ale nie o świństwo. Mimo wszystko, co pan słyszał o mnie i ode mnie? - Jeśli pan sobie życzy mówić o tym, panie kapitanie. - Nie życzę sobie, panie poruczniku. Ale uciekać też nie uciekam od takich rozmów. - Myślałem o tym wszystkim, co pan mi powiedział tu kiedyś w nocy, panie kapitanie. I sądzę, że na pańskim miejscu myślałbym i postępowałbym podobnie, panie kapitanie. Fałda poprzeczna na czole Federsa pogłębiła się jeszcze bardziej. Ale oczy mu zabłyśły. Nie powiedział jednak ani słowa; może dlatego, że mijało ich w tej chwili kilku podchorążych. Potem popatrzył przez okno na brudny śnieg, po którym bezsilnie i leniwie pełzało lutowe słońce. W końcu odwrócił się do Kraffta i spytał: - Czy zna pan willę Rosenhugel? - Nie, panie kapitanie.

- Pokażę ją panu, Krafft, i wtedy dowie się pan jeszcze czegoś o mnie. Nie będzie to bynajmniej przyjemne spotkanie, ale pouczające. To mogę panu zagwarantować. - Czegoś nowego zawsze się chętnie uczę. - Zauważyłem to. I nauczył się pan również czegoś bardzo istotnego, zdaje mi się; uczy się pan też z głupstw i świństw. Ale teraz chodźmy na wykład. Czy ma pan jakieś szczególne życzenia? Chcę powiedzieć: czy chce pan, żebym panu pokazał wolną tresurę jakichś określonych podchorążych? Proszę się nie krępować. Wymień pan spokojnie nazwiska. Porucznik Krafft wahał się tylko krótką chwilę. Potem wyjął jakieś karteluszeki z mankietu i napisał na jednym z nich osiem nazwisk. Na koniec dodał jeszcze dziewiąte nazwisko. I kartkę tę wręczył kapitanowi. Feders rzucił na tę listę okiem i uśmiechnął się. Spojrzał na Kraffta z raadosnym zdumieniem, jak gdyby zobaczył jakieś zwierzę z bajki. - To na pana wygląda, Krafft. Dokładnie tak, jak sobie to wyobrażałem: walczy pan z wiatrakami. - Usiłuję łąpać szczury. To, zdaje się, lepiej trafia w sedno. - Pan jest donkiszotem - upierał się Feders. - Ale ja zawsze miałem pewną słabość do Don Kichota. No to, chodź pan, nadmucham wiatru na pański wiatrak. - Baczość! - wrzasnął starszy grupy. Kapitan Feders wszedł na salę wykładową jak na stanowisko dowodzenia. Krótkim gestem nakazał milczenie, zanim jeszcze starszy grupy zdążył złożyć mu meldunek. Podchorążowie usiedli. Feders zaofiarował Krafftowi swoje miejsce. Ciężko doświadczeni podchorążowie nie mieli nawet czasu zdziwić się z powodu obecności swego dowódcy, bo kapitan Feders zaczął już sypać pytaniami. - Kramer, Jak brzmi temat? Ten się zerwał, jakby go osa ukłuła, i zawołał: - Zakwaterowanie kompanii. W strefie wojennej kraju lub na obszarze objętym manewrami. Jaką kwaterę każe zarezerwować oficer dla siebie? - Gówno - powiedział Feders krótko i węzłowato. - Następnym razem proszę łaskawie lepiej nadstawiać uszu. Nie jesteśmy tu w szkole hotelarskiej. Tu nie rezerwuje się pokoiów, tu się zajmuje, przydziela i obejmuje kwatery. Tym samym starszy grupy, doświadczony, długoletni podoficer, został z miejsca zjechany z góry na dół. Ale nikt widocznie nie uważał tego za coś nadzwyczajnego - Krafft czuł to wyraźnie. Każdy z podchorążych zajęty był wyłącznie samym sobą. Wszyscy siedzieli gotowi do skoku; i z wszystkich prawie twarzy można było wyczytać, że liczą się ze skokiem w nieznanne. Jak uzasadniona była ta rezygnacja - przekonał się o tym Krafft zdumiewająco szybko. - A więc, Amfortas, jaką kwaterę zajmujecie jako oficer? Oczywiście pod warunkiem, że w ogóle kiedyś zostanieie oficerem. Odpowiadajcie nareszcie, człowieku! Jaką kwaterę? - Tę, którą mi przydzielają. - Kompletna bzdura, Amfortas! - powiedział Feders obraźliwie i ostro, nie podnosząc jednak ani o jeden ton głosu. - Załatwianie kwater dla kompanii należy do zadań podoficera. A żaden oficer nie pozwoli, by podwładny przydzielał mu jakąś budę, lecz wyszukuje ją sobie sam. Jaką sobie wyszukuje, B~ohmke? - Oficer zajmuje za każdym razem najgorszą kwaterę, panie kapitanie - zawołał podchorąży z odwagą straceńca - ponieważ musi świecić przykładem. - Ale nie przykładem frajerstwa, człowieku! Jesteście tu w szkole wojennej, a nie w obozie kondycyjnym dla przyszłych męczenników. Kapitan Feders pracował z miążdzącą, celową pewnością siebie - szybko, chłodno, precyzyjnie. Krafft zorientował się wnet, że w grupie nie było nikogo, kto choćby w przybliżeniu mógł się równać ze swoim wykładowcą taktyki - a jeśli taki istniał, to mocno się pilnował, żeby tego nie okazać. Feders nie tylko wpajał chłopakom pogląd, że oficer ma zawsze rację, ale pokazywał im jeszcze, jak należy się urządzać, żeby przekonać o tym podwładnych. Podchorążowie wybałuszali oczy na kapitana jak króliki na zmiję. Oczywiście i tu istniały odcienie. Niektórzy - jak Amfortas, Andreas i Berger - demonstrowali ufną pokorę. Inni - jak Kramer, Weber i B~ohmke - kapitulowali bezwarunkowo, albo przynajmniej bez oporów, przed autorytetem. Jeszcze inni - jak M~osler i Rednitz - szukali gorączkowo jakiejś luki, przez którą mogliby się ewentualnie prześliznąć, ale zbyt wiele nadziei oni też nie mieli. A kilku, między innymi Hochbauer, zdawało się niczego bardziej nie pragnąć, jak zdania egzaminu; bez żadnych zastrzeżeń. Następną ofiarą kapitana był podchorąży Berger. On też skoczył na równe nogi jak wszyscy inni, niczym na sprężynie. Jasny blondyn, pełen gorliwości, napięty, że aż wylażący ze skóry, zaczerpnął głęboko powietrza. - Zajmuję kwaterę średniej jakości, już choćby dla podkreślenia wspólnoty i koleżeństwa. - Nie macie tu w ogóle nic do podkreślania, ofermo, nie jesteście buchalterem! Wspólnota istnieje tylko

w grobie masowym. Koleżeństwa nie udowadnia się wyborem łóżek. Następny, Rednitz. - Zajmuję oczywiście najlepszą kwaterę - powiedział ten bez chwili wahania. - Dlaczego, Rednitz? - natarł na niego natychmiast kapitan. - Czyżby dlatego, że nie pozostała wam już teraz do wyboru żadna inna możliwość? - Bo oficerowi z zasady należy się wszystko, co najlepsze, panie kapitanie. - W to wam graj. Chcecie zapewne proawadzić wojnę w kasynie, co? Nie ma służby bez patefonu walizkowego, bez skrzynki win, wody kolońskiej i burdelu oficerskiego, co? Zawsze to, co najlepsze! Jeśli dlatego chcecie zostać oficerami, moi panowie, możecie się od razu położyć do trumny. Tę zabawę w kotka i myszkę kapitan ciągnął jeszcze przez kwadrans. W tym zdumiewająco krótkim czasie ściał wszystkich dziewięciu podchorążych, którzy figurowali na karteczce Kraffta. Dopiero potem Feders pozwolił podchorążym, śpiewającym już coraz cienie, wydusić kilka sformułowań, które znalazły w jego oczach łaskę. W rezultacie wyglądało to mniej więcej tak: oficer zajmuje najlepszą kwaterę, bo ma najwięcej roboty i dlatego musi się ograniczyć do krótszego wypoczynku, bo większe obowiązki nie wykluczają wcale większych praw, słowem: właśnie dlatego, że jest oficerem, a nie podoficerem czy szeregowcem. Ołówki podchorążych śmigały po papierze. Udawali, że tego rodzaju wiadomości chcą - raz na zawsze - mieć czarno na białym, aby spokojnie móc wyruszyć na wojnę. Kiedy było to już załatwione, kapitan rozkazał: - Wyjąć mapy, bloki meldunkowe. Posługujemy się mapą topograficzną numer sześćset siedemdziesiąt cztery. Podchorążym twarze się jeszcze bardziej wydłużyły, jeśli to w ogóle było jeszcze możliwe. Mimo to, jak na nich przystało, próbowali okazywać energię i wesołość. Jawna depresja nieuchronnie przynosiła negatywne oceny. Major Frey na samym początku kursu wyjaśnił im to jednoznacznie, wypowiadając jedną ze swych słynnych „żelaznych życiowych zasad”, a mianowicie: „Oczekuję od was, że będziecie zawsze pracowali z radością - nawet jeśli będziecie robili ze strachu w portki”. Kapitan Feders był daleki od tego rodzaju haseł. Gwizdał na to, czy jego podchorążowie udawali radość, czy nie. Najważniejsze: trzymać ich pod batem. Jeśli przedtem przeprowadzał jedynie ataki indywidualne, to teraz podjął już ofensywę na szerokim froncie i to za pomocą mapy topograficznej numer sześćset siedemdziesiąt cztery. Mapę tę można by nazwać brykiem, bo jako pomoc naukowa była spreparowana według wszelkich zasad łopatologii. Była znakowana nie tylko tak, jak każda inna mapa, lecz ponadto podzielona jeszcze na „rejony”: czerwone i błękitne numerowane kółka i pola obejmowały określone obszary; a te, wedle życzenia i woli nauczyciela, można było określać jako rejony zamknięte, wyczekiwania, użycia wojsk itd. Kapitan Feders powiedział: - Przegrupowanie kompanii z rejonu wyczekiwania A4 w rejon F7. Opracować rozkaz dowódcy kompanii. Czas: piętnaście minut. Zaczynamy. Kapitan położył przed sobą na pulpicie zegarek. Potem spokojnie poświęcił się studiowaniu jakiegoś regulaminu. Ale nie czytał, tylko obserwował podchorążych. To samo robił również porucznik Krafft. Przyglądał się jednemu po drugim: M~osler i Rednitz bez żenady odwalali od siebie; B~ohmke patrzył bezradnie i marzycielsko w próżnię; Weber aż się pocił z wysiłku myślowego; Amfortas i Andreas mieli na twarzy wyraz zdecydowania, ale najwidoczniej nie wiedzieli jeszcze, na co byli zdecydowani. Hochbauer należał do tych nielicznych, którzy w wielkim skupieniu pracowali; prawdopodobnie wiedział dokładnie, czego chce. Po trzynastu minutach kapitan powiedział: - Czas minął. Kramer, zbierzcie prace, z wyjątkiem prac M~oslera i Rednitza, te są nieważne. Chłopaczki odwalały od siebie, a u mnie każdy sam sobie produkuje swoje śmiecie. Zapamiętajcie to sobie! I gdy starszy grupy wrywał kartki podchorążym, którzy próbowali jeszcze w ostatniej chwili wnieść poprawki, kapitan Feders już dyktował: - Praca domowa na jutro: Do rejonu F7 nie przybył drugi pluton. Zastąpić go obsługą taborów środków bojowych, zaopatrywania i transportu. Opracować odpowiedni rozkaz dowódcy kompanii. Lekcja skończona, wynocha! Za dwie minuty nie chcę tu widzieć ani jednego kutasa. W dwie minuty klasa była pusta. Tylko Feders i Krafft stali naprzeciw siebie. I kapitan powiedział: - Może pan przejrzeć to gównno, napisane przez tych facetów, jeśli pan chce. Może pan też je zabrać ze sobą do chałupy. - Te prace są chyba bardzo potrzebne, panie kapitanie. - E tam! - powiedział Feders, pakując manatki. - Co najwyżej palę nimi w mojej kozie. - Nie mówi pan podchorążym nazajutrz, co zrobili Żle? - spytał Krafft trochę zdziwiony. - Mówię

im, jak należało zrobić, żeby było dobrze, to wystarcza. Elaboraty tych facetów są i tak niedobre albo niekompletne, albo niedokładne. Oni też o tym wiedzą i dlatego mają pełne portki, a to jest właśnie to, o co mi chodzi. Dlaczego? żeby dać im przedsmak piekła, jakie ich czeka, gdy zostaną oficerami. Zmuszam ich do myślenia - żeby się wreszcie przekonali, jacy są żałośni. Bo tacy przecież jesteśmy wszyscy. Chodź pan teraz ze mną do willi Rosenh~ugel, a udowodnię to panu. Zamówiłem już wóz, wyjeżdża za pół godziny. * * * W pół godziny później zamówiony samochód, półotwarty mercedes, opuścił koszary. Przy kierownicy siedział opatulony po uszy starszy szeregowiec w futrzanej czapie. Z tyłu siedzieli Feders i Krafft, w sukiennych płaszczach. Marzli okropnie, i zimno zdawało się przemieniać ich oddech w dym. Okrążyli Wildlingen nad Menem i skręcili na wielką szosę, prowadzącą w kierunku W~urzburgu. łagodne płaskie pagórki roztaczały się wokół, zleżały śnieg napawał melancholią. - Zimno jak cholera - powiedział Feders. - Muszę nauczyć podchorążych, co znaczy ziemia zmarznięta na kamień. Zwiększa siłę wybuchową i utrudnia kopanie grobów. Wkrótce opuścili szeroką szosę i wjechali na idylliczną boczną drogę, prowadzącą w kierunku Ipshofen, gdzie niegdyś dojrzewało cudowne wino. Ale teraz góry były nagie, jak martwe. A pale między winoroślami przypominały swą sztywną regularnością nie kończące się szeregi krzyży na cmentarzu wojskowym. - Jakie jest pańskie zdanie o Hochbauerze, panie kapitanie? - spytał Krafft ostrożnie. - To bez porównania najlepszy uczeń w całej grupie - odrzekł Feders bez wahania. - Wybitnie zdolny taktyk. Bystry, zdecydowany i wie, czego chce. Wiem, że pan go nie trawi, Krafft, ale to urodzony oficer. - A charakter? - Gównu mnie to obchodzi, Krafft. Co to znaczy charakter, kiedy ważne są tylko zdolności, energia i wytrwałość. Oficer musi przede wszystkim umieć wydawać rozkazy, szybkie, jasne, celowe, a więc słuszne rozkazy. Samym charakterem nie można ani utrzymać, ani tym bardziej zdobyć pozycji. - Ale charakter... - Jest czymś absolutnie drugorzędnym, z mojego punktu widzenia jako wykładowcy taktyki! Czego pan właściwie oczekuje od oficera, Krafft? Może dobroci, zrozumienia, humanizmu, przyzwoitości? Wierności? Wiary? Pan jest śmieszny. Dysponując tylko tym, nie można zaczynać wojny, a tym bardziej jej wygrać. Charakter! Zaczynaj pan, lunatyku, od badania charakteru swoich tutejszych przełożonych. Zaczynaj pan najlepiej od razu od swojego wodza naczelnego! Czy pan coś mówił, Krafft? - Zbyteczne - odparł tenże. - Zupełnie się z panem zgadzam - oświadczył Feders. - Zostaćmy więc przy naszych podchorążych. Wierz mi pan, Krafft, jeśli istnieje jakaś cecha charakteru, którą oficer bezwzględnie musi mieć, to jest nią hart. Na wojnie nie mamy innego wyboru. Wojna jest bezlitosna, okrutna i obrzydliwa. Zdycha się albo pozostaje przy życiu. Ale to jeszcze nie wszystko, Krafft. Istnieją też tacy, co pozostali przy życiu, mimo że zdechli. Najdalej za pół godziny zobaczy pan, co mam na myśli. W milczeniu jechali dalej, przez miasteczka z winnicami, w których czuło się jeszcze oddech średniowiecza, przez zapomniane miasteczka w zakątkach kraju, ku któremu zbliżała się zagłada. Prawie samotna idylla wśród cmentarzysk, pośrodku szary samochód, obce ciało, jak żuk łączący po dziecinnym pokoju. Zboczyli na jakąś dróżkę i zajechali przed wzgórze, na którym wznosiła się willa. Przybytek marzycielskiej samotności, mogłoby się zdawać - romantyczne piękno, które wyglądało z daleka jak owinięte szarosrebrną wstęgą Menu. - Nieprawdaż - powiedział Feders zjadliwie - brakuje właściwie jeszcze tylko dźwięku harfy albo wesołego dzyń_dzyń saneczek, bo w końcu mamy zimę. Patrząc na tę dekoracyjną willę Krafft był przygotowany na wszystko: równie dobrze mógł to być dyskretny burdel oficerski, jak i zamaskowany skład albo tajny zakład eksperymentalny. - To - rzekł kapitan Feders z oczami utkwionymi w samotnej, jakby wymarłej willi - jest, że tak powiem, mój kościół. Niedawno temu, w moim domu, w nocy, widział pan człowieka znajdującego się na dnie - gadatliwy, skomlący, bezradny wrak ludzki. Ale takie stany depresji rzadko się u mnie zdarzają; a kiedy mi grożą, uciekam tu. Człowiek kierujący tym domem jest moim jedynym przyjacielem. W miarę jak się zbliżali do willi Rosenh~ugel, wrażenie, że wstąpili w strefę całkowitego odosobnienia, jeszcze się potęgowało. Drogę bezpośrednią zamykał szlaban. Obok stała tablica z napisem: „Wstęp wzbroniony”, a tuż za szlabanem wysokie ogrodzenie z drutu kolczastego. Samochód zatrzymał się. Feders wyskoczył i podszedł do bramy. Znajdował się tu

telefon wewnętrzny. Kapitan nacisnął guziczek. - Proszę się zameldować - zabrzmiał skrzeczący głos w głośniku. - Kapitan Feders w towarzystwie dwóch osób. - Droga wolna - powiedział głos po krótkiej przerwie. Feders znowu wskoczył do wozu. Rozległ się brzęczący dźwięk: bramę otworzyło jakieś urządzenie elektryczne. Powoli - przepisowa maksymalna szybkość: dziesięć kilometrów na godzinę - wóz podjechał pod willę. Feders i Krafft wysiedli. Kierowca pozostał w wozie; mimo mrozu zdawał się nie przykładać wagi do towarzyszenia obu oficerom - możliwe, że mu tego podczas jakiejś wcześniejszej wizyty zabroniono. Tupał trochę nogami i zapalił sobie papierosa; zużytą zapalną włożył z powrotem do pudełka. - Jesteśmy u celu - powiedział kapitan Feders. A raczej powinienem powiedzieć: jesteśmy u kresu. * * * Hall był pusty, jaskrawo wybielony. Kamienna podłoga pokryta była częściowo chodnikami z juty. W powietrzu wisiał ów ostry, stęchły odór, który od razu wyjaśniał, jakiemu celowi ten budynek służył. Był to szpital - szpital polowy. Ale taki, w którym panowała przygnębiająca cisza. Nagle z głębi hallu wyłonił się wysoki chudy mężczyzna w mundurze oficerskim i zaczął się szybko ku nim zbliżać. Poły jego rozpiętego białego fartucha tylko fruwały. Człowiek ten chwiał się chodząc. Głowa, tkwiąca sztywno między ramionami, była opuszczona. A kiedy się zbliżył, Krafft zobaczył, że człowiek ów nie ma twarzy. Nad jego ramionami kołysała się bladoróżowa, obrzmiała masa, w której błyszcząco tylko jedno oko niesamowitej wielkości, lśniące, błękitne, mądre i zarazem dobrodusznie spozierające oko. - Panowie pozwolą, że dokonam prezentacji - powiedział Feders bardzo formalnie - lekarz_kapitan Kr~uger, mój przyjaciel - porucznik Krafft, mój kolega. Lekarz podał Krafftowi rękę. Była to dłoń o długich palcach, nerwowa, niezwykle delikatna, pełna miękkości i siły zarazem. Ręka skrzypka albo chirurga, obdarzona dużą wrażliwością. W obrzmiałej masie, która niegdyś była twarzą, rozwarła się szczelina - jakaż to musiała być twarz, sądząc po doskonałym pięknie dłoni! Lekarz powiedział: - Byłoby bezczelnością powiedzieć, panie Krafft, że jest pan tu mile widziany. Ale swoim bardzo rzadkim gościom zwykłem mawiać: Spróbuj pan mimo to nie stracić nadziei. Porucznik rozejrzał się za kapitanem Federsem, szukając wzrokiem pomocy. Lekarz zauważył to spojrzenie i spytał: - Czy nie powiedziałeś naszemu gościowi, co go tu czeka, Erich? - Oczywiście, że nie - odparł Feders zdecydowanie. - Niech zobaczy, co ma do ofiarowania ten świat, nawet jeśli szlag miałby go przy tym trafić. Ty byś to nazwał terapią szokową, prawda, Heinz? Lekarz, zamyślony, skinął głową. Potem zaczął przyglądać się Krafftowi, jak gdyby zamierzał postawić diagnozę. Oko jego lśniło przeczystym błękitem jak brylant. Teraz otwarła się napęczniała szczelina, która była niegdyś ustami. - Mój przyjaciel Erich Feders i ja znamy się od czasów szkolnych. Stanowiliśmy nierozłączną parę. Mieliśmy najlepsze świadectwa, byliśmy najlepszymi sportowcami i najbardziej pożądanymi tancerzami, ożeniliśmy się z najpiękniejszymi pannami, i obu nas prawie jednocześnie okaleczyła wojna. Od tego czasu próbujemy odkrywać nowe, inne życie, ale jeszcze nie możemy pogodzić się z utratą starego. Niekiedy Feders ma potrzebę szukania człowieka, który potrafiłby nas zrozumieć, i wtedy przywozi go tu. - Bez długich wstępów, Heinz - rzekł Feders opryskliwie. - Odkryłem tylko w tym Kraffcie znośnie funkcjonujący mózg i nie chciałbym, aby ten mózg się zmarnował. Ale jego trawią mgliste ideały. Zoperować można je tylko brutalną bezwzględnością. Teraz jedyne oko lekarza zdawało się uśmiechać do porucznika. Następnie powiedział swoim zduszonym głosem, głosem zupełnie bez wyrazu: - Jeśli pan tego, co panu teraz pokażę, panie Krafft, nigdy jeszcze nie widział albo wcale nie wie o tym, przerazi się pan. Inną reakcję trudno sobie wyobrazić. Dlatego byłoby może dobrze, żeby pan wiedział jedno: pan może widzieć, ale nie może być pan widziany. Od tego, co pan zobaczy, oddzielać będzie pana szklana szyba, która z drugiej strony wygląda jak ciemna ściana. Głosy, jakie pan usłyszy, pochodzą będą z głośnika, wmontowanego przez nas w celach kontrolnych. Jeśli nie usłyszy pan głosów, znaczy to, że głośniki zostały wyłączone. Chodź pan więc, przyjacielu. Lekarz szedł pierwszy. Krafft za nim. Feders zamykał pochód. Przeszli przez szarobiałą hall do wąskiego korytarza. Ściany były gładkie, nagie i szokująco jasne. Nagle rozstąpiły się nieoczekiwanie i ukazała się duża hala. Tu lekarz otworzył żelazne drzwi i dał Krafftowi znak, żeby poszedł za nim. Porucznik wszedł do wąskiego pomieszczenia. Siedział tu

mężczyzna w białym kitlu. Krzywe, zgięte plecy podane do przodu i prawie bez ruchu. Głowa głęboko wciśnięta między ramiona, bez szyi, i sztywna. Zniekształcone ciało ludzkie. Człowiek ten pracował tu jako pielęgniarz. Stały tu aparaty przełącznikowe, zegar, wzmacniacz, mikrofon. Pielęgniarz konwulsyjnymi ruchami obrócił swój tors i zamrugał oczami do wchodzących. A potem, jak gdyby chciał kierować spojrzeniem porucznika, odwrócił się i mruganiem wskazał na długą ścianę po drugiej stronie. Krafft spojrział na nią. Zobaczył ścianę całą ze szkła - jak szyba wystawowa. A za tą szybą znajdowało się pomieszczenie o zielonkawo migocących ścianach. W pokoju tym stały łóżka - wąskie, płytkie, niskie łóżka, w jakich śpią dzieci. Ale wszystkie te łóżka były zaścielone i puste. Krafft podniósł wzrok. I zobaczył tłumoki zwisające z sufitu. Kanciaste jak skrzynie, nieforemne tłumoki. Dyndały bezsilnie w próżni. Owinięte były w pasiaste wypłowiałe materiały, przypominające piżamy. Obejmowały je gurty ze skóry lub juty - jak szerokooka siatka piłkę. Te tłumoki - porucznik Krafft dopiero teraz to zauważył - ruszały się. Nie wszystkie, ale niektóre. Obracały się powoli. Huśtały się. I te tłumoki miały głowy. Ludzkie głowy. To, co tam wisiało, to byli ludzie. - Moi pacjenci - powiedział cicho lekarz za plecami Kraffta. Były to tułowia z głowami - bez kończyn. Ubrane w piżamy, oplecione gurtami, zawieszane na hakach, takich, jakich używają rzeźnicy. - Mam jeszcze dwie dalsze sale tego rodzaju - powiedział lekarz. Zdawało się, że ci ludzie rozmawiają ze sobą. Otwierali usta - jeden na szerokość szpary, drugi szerzej, trzeci od ucha do ucha, tak jakby się śmiał. A może ziewał? A może krzyczał? Ale wszystko to działo się tak upiornie bezgłośnie, że aż dech zapierało. Pielęgniarz wyłączył głośniki. - To są żywe istoty, jak wszyscy inni ludzie - powiedział lekarz. - Tylko że nie mogą chodzić ani chwytać rękami. Nie mogą się ruszać, są więc bezradni jak dzieci; ale mają rozum, uczucia i potrzeby dwudziesto-, trzydziestoletnich mężczyzn. Porucznik czuł, że siły go opuszczają. Nogi zrobiły mu się miękkie, jak gdyby zamieniały się w watę; w jego mózgu wytworzyła się próżnia, czuł, że się gdzieś zapada. Jakaś ręka go chwyciła i Krafft odzyskał równowagę. - Ludzie _piłki - powiedział kapitan Feders. - Ostatnie wyrodku okrucieństwa, jakie wymyśliła sobie wojna. Wielu tym ludziom brak nie tylko rąk i nóg, ale również płuc, krtani, części żołądka, ucha wewnętrznego i genitaliów. - Przestań pan! - powiedział Krafft udreńczonym głosem. - Przestańże pan. Wystarczy! - Ci ludzie - rzekł kapitan Feders - uchodzą za nieżywych, przypadłych bez wieści, poległych. Ale oni jeszcze żyją! O ile można ten stan w ogóle nazwać życiem. I jeśli raz pewnego z przyczyn medycznych czy też dla wygody nie wytransportuje się ich w piękniejsze zapewne zaświaty - jak zakończą oni swoją tak zwaną ziemską wędrówkę? W tych swoich siatkach? Bezbronni jak niemowlęta? Bez żadnej nadziei, i nawet niezdolni do popełnienia samobójstwa? I nie ma przy nich żadnej kobiety, żadnego przyjaciela - tylko żołnierze, napiętnowani przez los pomocnicy wojny, ze skrzywionym kręgosłupem, ze zniekształconymi twarzami, pozbawieni górnych lub dolnych kończyn. Krafft odwrócił się. Twarz jego była szara. - A teraz, Krafft - powiedział kapitan Feders z pasją - niech pan spróbuje jeszcze raz w życiu, przez sekundę, być zupełnie beztroskim. Jeśli pan to teraz jeszcze potrafi, to... - Zamilkł. - Chodź pan - powiedział lekarz cicho i wyprowadził Kraffta. - Nie mów pan nic, myśl pan. Wtedy, być może, jeszcze kiedyś pana zobaczę. Wtedy panu powiem: Witaj pan w naszych progach.

Część I (c.d.) 15 Damie nie wolno się zapomnieć - Archibald! - zawołała pani majorowa. Ale jej mąż się nie odezwał. Zawsze, kiedy go potrzebowała, nie było go. To się rzucało w oczy - w ostatnich czasach. Przed nią leżała lista uczestników spotkania towarzyskiego, jakie zamierzała urządzić. W związku z tym powstawał pewien specjalny problem. - Archibald! - zawołała jeszcze raz. Z pewną ulgą usłyszała zatraskujące się gdzieś drzwi, a potem kroki w korytarzu. Major, powłócząc nogami, udawał się do sypialni. Pani Felicitas natychmiast poszła za nim. - Archibald - powiedziała - muszę natychmiast z tobą pomówić. Major siedział na łóżku i zmieniał skarpetki. Podniósł niechętnie oczy, kiedy usłyszał swoje imię wypowiedziane tonem lekko rozkazującym. Od kiedy poznał Modersohna, życzeniem jego było, by również i do niego zwracano się tylko wtedy, kiedy wyraźnie udzielał na to pozwolenia. Ale w końcu nie był jeszcze generałem, i poza tym był żonaty. - Proszę, czym mogę ci służyć, moja droga Felicitas? - spytał głosem nader

usłużnym. - Czy nie można ominąć tego porucznika Kraffta? - powiedziała. - Obawiam się, że nie - powiedział major z żalem. - On naruszy harmonię mego małego przyjęcia - orzekła pani majorowa. Wieczorki towarzyskie odbywały się u niej co dwa tygodnie, zawsze w piątek. Imprezy te były jej własnym pomysłem. Majorowi pozostawało je już tylko zaakceptować, i czynił to dość chętnie. Albowiem małżonka dowódcy II kursu udowodniała tym sposobem, że jest nie tylko pierwszą damą szkoły wojennej, lecz że umie również rozwijać odpowiednią działalność. - Chciałbym - powiedział major - zaoszczędzić ci tego Kraffta. Ale tu chodzi o zasadę, droga Felicitas. Dotychczas w sposób godny podziwu nie tolerowałaś nigdy wyjątków i zawsze umiałaś osiągać swoje cele mimo wielu trudności. Pani Frey w zamyśleniu kiwała głową. - Musisz wiedzieć, Archibald, że dotąd zaprosiłam tylko siedem młodych panien. - Więcej bowiem, jej zdaniem, elita Wildlingen nie miała do zaoferowania. - Ale jeśli przyjdzie jeszcze ten Krafft, będzie ogółem ośmiu nieżonatch oficerów, a więc o jednego za dużo. - Aha - powiedział major, udając, że go to bardzo interesuje. - Oczywiście - rzekła pani Felicitas - każdy oficer musi mieć swoją partnerkę przy stole, inaczej powstaje niebezpieczeństwo chaotycznych flirtów. - No a jak z twoją bratanicą Barbarą? - Wykluczone! Barbara jest bardzo potrzebna w kuchni, jak ja bym sobie dała bez niej radę? Zresztą musisz koniecznie zamówić jeszcze jakiegoś ordynansa z kasyna, jeden nam nie wystarczy. Czy to da się zrobić? A może twoje wpływy tak daleko nie sięgają? - Oczywiście, że to da się zrobić - powiedział major urażony. Wątpić w jego wpływy - to równało się zniewadze. Felicitas wiedziała o tym - był to najpewniejszy sposób przeforsowania niektórych życzeń. - Wracając jeszcze raz do tego Kraffta, Archibald, czy nie można by go zająć służbowo? - Już i tak będzie zajęty, moja droga Felicitas, jeśli pociąg wieczorny z W~urzburgu nie przybędzie punktualnie. Krafft ma bowiem polecenie, i to od samego generała, żeby oczekiwał na dworcu niejkiej pani Barkow i odprowadził ją do hotelu. - Od samego generała? - spytała pani majorowa lekko podniesionym głosem. - Nie myśl, Felicitas, że to w jakimś stopniu na mnie wpłynęło. Wprost przeciwnie. Między generałem a mną doszło w ostatnim czasie do poważnego rozdzwiewku. Nie zgadzam się z nim zupełnie w sprawach światopoglądowych, co ewentualnie mogłoby mieć pewne konsekwencje. A porucznik Krafft jest mi tak czy owak cierniem w oku. Gdyby chodziło o mnie osobiście, nie zamieniłbym z nim ani jednego słowa, zwłaszcza że dziś całe popołudnie bez usprawiedliwienia szwendał się gdzieś po okolicy. W dodatku akurat z kapitanem Federsem. Pani Frey przyglądała się swemu mężowi badawczo. Stał przed nią w skarpetkach i obłudnie udawał przyjazne zainteresowanie jej problemami - znała go dobrze; zbyt dobrze, jak niekiedy sądziła. A ten Krafft miał widocznie naprawdę protekcję u Modersohna. Major uważał za wskazane liczyć się z tym, acz bardzo niechętnie. Była rozczarowana biernością swego męża - co się niestety w ostatnich czasach dość często zdarzało. - Powinieneś włożyć pantofle ranne, Archibald. To niedobrze dla twego zdrowia chodzić w skarpetkach, a dla skarpetek to też nie jest dobre. - Chciałem się właśnie wykapać - usprawiedliwiał się major. Kiedy pospiesznie wyszedł z pokoju, pani Frey dłuższy czas patrzyła w ślad za nim; spojrzenie jej zdradzało smutek. Ktoś zapukał. Zjawiła się Barbara i zameldowała: - Przyszedł jakiś podchorąży, z polecenia kapitana Ratshelma. - Kochany Ratshelm - powiedziała pani majorowa wzruszona. - Zawsze taki rycerski. Prawdziwy mężczyzna. - Ja tak nie uważam - rzekła Barbara. - Może ty - odparła Felicitas - rozumiesz przez to pojęcie coś innego niż ja. - Możliwe - przyznała Barbara. - Ja w każdym razie nie uważam, że kapitan Ratshelm jest bardzo męski. - Barbara! - zawołała pani majorowa przerażona. - Jak możesz coś takiego mówić? Pan kapitan Ratshelm jest doskonałym oficerem. - Być może - powiedziała Barbara obojętnie. Felicitas Frey przyglądała się swej bratanicy z wyraźną dezaprobatą. Co to za dziewczyna! Iadnego stylu! Ale w kuchni bardzo przydatna - a to było zaletą nie do pogardzenia. - Pomówimy jeszcze o tym, Barbaro - powiedziała karcąco. - Dobrze. Czy ten podchorąży może wejść? - Ależ nie do sypialni! Do salonu oczywiście! Proszę. * * * Był to podchorąży wyjątkowo przystojny. Pani majorowa zauważyła to od razu. Promieniowała z niego jasnoblond niemieckość, uzupełniona ku jej radości doskonałymi manierami. - Jeśli pani pozwoli, łaskawa pani - powiedział jej gość z nienaganną powściągliwością - nazwisko moje Hochbauer, podchorąży Hochbauer.

Szósty oddział, grupa szkolna Heinrich. Przychodzę z polecenia pana kapitana Ratshelma i przynoszę łaskawej pani kilka książek. Pani Frey uśmiechnęła się zachwycona i wyciągnęła rękę do podchorążego. Ten, by tak rzec, z dobrze wymierzoną śmiałością postąpił o krok naprzód i nachylił się, by w łagodnym uścisku zamknąć jej rękę. Felicitas Frey ujrzała jedwabiste, starannie przyczesane włosy z przedziałkiem po lewej stronie, wysokie, ładnie sklepione czoło, zdradzające, jej zdaniem, urodzonego myśliciela, a poniżej wierne oczy, szlachetnie ukształtowany nos o wąskiej nasadzie i usta, jakie miewali paziowie królewscy - jej zdaniem. - Poczuwaj Ratshelm! - powiedziała pani Frey, bo nic lepszego jej w danym momencie nie przyszło do głowy. - Proszę, niech pan siada, panie Hochbauer. Co dobrego mi tu pan przyniósł? - Najlepszą niemiecką literaturę - rzekł podchorąży, siadając grzecznie. Otworzył teczkę, którą trzymał na kolanach. - Kwiat naszego ducha, łaskawa pani, Johst, Jelusich i Blunck. - Jak pięknie - rzekła pani Frey i wyciągnęła rękę po książki, które trzymał w dłoni. To jeszcze nie ręce mężczyzny, pomyślała, raczej wrażliwe, delikatne, szlachetne ręce chłopca. - Czy pan również dużo czyta? - Od czasu do czasu - odparł podchorąży ostrożnie - jeśli służba mi na to pozwala. A służba ma oczywiście pierwszeństwo przed wszystkimi innymi zajęciami. Ale nie wyklucza, rzecz jasna, zajmowania się sprawami duchowymi, którymi żyje nasz naród. - Jakież to prawdziwe! - zgodziła się z nim pani Felicitas. A ponieważ usłyszała swego męża wypuszczającego wodę z wanny, zakończyła: - Może kiedyś przy okazji porozmawiamy szerzej o tych sprawach. - To byłby zaszczyt dla mnie, łaskawa pani! - zapewnił ją Hochbauer z ujmującą wdzięcznością. Podchorąży wstał i po raz drugi nachylił się nad wyciągniętą ku niemu ręką. Ujął ją delikatnie w swoją. Felicitas rejestrowała zdecydowaną, mocną męską czułość. Pocałunek złożony na jej dłoni sprawił jej wyraźną przyjemność. Czowała się adorowaną, a to było błogie uczucie. * * * - Miałas gościa? - spytał major, wchodząc w płaszczu kąpielowym. - Nie powinieneś kręcić się po mieszkaniu w niekompletnym stroju, Archibaldzie - powiedziała nieomal łagodnie; była bowiem łaskawie nastrojona. - Weź pod uwagę, że każdej chwili może wejść Barbara. A ja chciałabym jej zaoszczędzić tego widoku. - Zaoszczędzić? - żeby nie wodzić jej na pokuszenie. Ten argument przekonał majora. Uważał się bowiem za przystojnego mężczyznę, jakim też według powszechnej opinii był, zwłaszcza w pełnym umundurowaniu. Ale jeśli się nawet czuł mile polectany, nie zapomniał jednak, że nie otrzymał odpowiedzi na swoje pytanie. - Cóż to była za wizyta? - nalegał. - Jakiś podchorąży - powiedziała obojętnie - z oddziału kapitana Ratshelma. Przyniósł mi książki. Dobrze wychowany młodzieniec, z doskonałymi manierami. - Tak - powiedział major, całkowicie usatysfakcjonowany tym wyjaśnieniem. - Nasz materiał ludzki nie jest zły, zwłaszcza że dostaje się tu u nas w dobre ręce, jeśli nie brać oczywiście pod uwagę Krafft. - Przypomniałeś mi, że ciągle jeszcze mam o jedną damę za mało, jeżeli rzeczywiście tak koniecznie trzeba przyjąć dziś wieczorem tego Krafft. - Mogłabyś zaprosić pannę Bachner, sekretarkę generała. - Czyżbym dobrze słyszała? - spytała pani Felicitas niemile dotknięta. - Ośmielasz się protegować tę podejrzaną osobę? - Zrobiłem ci tylko propozycję - powiedział major. - To jest generalska kochanica, co do tego nie ma wątpliwości! - Na to nie ma żadnych dowodów - rzekł major. - Proszę cię, na Boga, bądź trochę ostrożniejsza. Jak może zdążyłaś zauważyć, z generałem nie ma żartów. - Ale ze mną też nie - powiedziała Felicitas. - Proszę cię - próbował uspokoić ją major. - Co na to poradzić! Serce nie sługa. - No tak - powiedziała pani majorowa nagle i uśmiechnęła się subtelnie. - To może i racja. - No widzisz! - zawołał major zadowolony. - Poza tym to nie byłoby wcale takie złe pociągnięcie, ta dziewczyna i porucznik Krafft. Z całego serca bym tego generałowi życzył. Pani Frey, kiedy wreszcie została sama, pokręciła zmartwiona głową i głęboko westchnęła. Wygładziła swoją suknię. I pomyślała przy tym, że biodra jej są ładnie, po kobiecemu zaokrąglone, nie są specjalnie pełne, ale nabite. Dawniej dobrze jeździła konno. Następnie usiadła przy telefonie i nakręciła numer. - Droga panno Bachner - powiedziała cukierkowato uprzejmie - już dawno chciałam panią zaprosić. Czy nie zrobiłaby mi pani tej przyjemności? - Jakiej przyjemności, łaskawa pani? - Czy nie odwiedziłaby mnie pani? Całkiem prywatnie. Akurat jest okazja, będzie u mnie miłe małe towarzystwo, tylko wybrani goście, ale tego chyba nie muszę specjalnie podkreślać. - Tego

naprawdę nie musi pani specjalnie podkreślać, łaskawa pani. - A więc przyjdzie pani, droga panno Bachner? - Kiedy? - Dziś wieczorem. Sprawia mi to wielką radość. - Mnie też, łaskawa pani - powiedziała Sybilla. Na tym zakończyła rozmowę. Felicitas bezzwłocznie udała się do swego męża. Ten się akurat położył, żeby się trochę zdrzemnąć. Zarejestrowała to sobie nie bez pewnej goryczy - on się kładzie, a ona tyra dla niego. - Archibald - powiedziała mimo wszystko ciepło - udało mi się. - Co ci się znowu udało? - Nakłoniłam tę Sybillę Bachner, przyjdzie. - No to brawo! - powiedział major, ziewając. - Zapowiada się w takim razie świetna uroczystość. * * * Wybrani oficerowie małymi grupkami schodzili ze wzgórza w kierunku miasteczka. - Czuję się jak podchorąży - powiedział jeden z oficerów. - Jeszcze gorzej jak podchorąży - dorzucił inny. - Znajdujemy się bowiem pod rozkazami kobiety. Stajemy grzecznie na tylnych łapkach. A przy tym nas tak samo oceniają, kontrolują i sądzą, jak my to robimy z kandydatami na oficerów. Porucznik Rambler z czwartego oddziału twierdził z przekonaniem: - Wszystko to jest po prostu świństwem! - Moim zdaniem - dorzucił porucznik Webermann - chodzi tu raczej o ambicję połączoną z żądzą opiekania się nami. Albo o wybuch instynktów macierzyńskich, w parze ze świadomością stanową. Wszystko razem wzięwszy, przedsięwzięcie natrętne, ale zasługujące na uznanie. - Pańską filozofię schodów kuchennych, mój drogi Webermann, mam gdzieś - rzekł Rambler. - Dla mnie to są po prostu szykany, że szefica zabiera nam wolny czas. Szlachetna rozrywka towarzyska ściśle według służbowego rozkładu zajęć. Obowiązkowe życie towarzyskie zaczynało się punktualnie o ósmej wieczorem i kończyło się dokładnie co do minuty o jedenastej. Przyczyną tego był jednakże nie tylko wyrobiony zmysł punktualności wojskowej pani Frey, lecz również dokładne wyrachowanie. Albowiem oficerowie, zgodnie ze szczegółowym planem, mieli odebrać zaproszone młode panie z domów, i to nie za wcześnie, tylko akurat o takiej porze, aby móc przybyć o ustalonej godzinie do mieszkania majora. Kończyło się to tak samo podług zegarka - rodzice młodych panien mogli sobie obliczyć dokładnie co do sekundy, kiedy ich córki zostaną przywrócone ognisku domowemu. Tym sposobem, jak się pani majorowej zdawało, zapobiega się wszelkim niepożądanym odchyleniom. - Wszystko musi się potem odbywać błyskawicznie - wyznał zatroskany porucznik Rambler - o subtelność w tym wypadku trudno. Każda sekunda gra rolę! Naprawdę świństwo. Pozostali oficerowie woleli nie zajmować stanowiska w tej sprawie. U większości młodych dam nie widać było wcale owej błyskawicznej gotowości, o jakiej mówił Rambler; chciały być zdobywane powoli, ale gruntownie. Ostatnią nieuchronną przeszkodę przed upragnionym celem stanowiły zaręczyny jak Pan Bóg przykazał. - Wszystko to jest więc równie niepotrzebną, jak i nienaturalną szykaną - twierdził Rambler, w tej dziedzinie pewnego rodzaju fachowiec - i gotów byłbym nawet powiedzieć: to jest sprzeczne ze zdrowym instynktem narodu. * * * - Serdecznie witamy! - mówił major do każdego nowo przybyłego gościa. Stał w korytarzu, błyskał swoim Krzyżem Rycerskim i witał gości promiennym uśmiechem: bohater i organizator, oficer i światowiec w jednej osobie. Przyjmował ich u drzwi i przekazywał dalej, swojej żonie, która ze swej strony również ich serdecznie witała. W domu ich zdawała się panować niezwykła harmonia. - Ta Sybilla Bachner jeszcze nie przyszła, Archibald - szepnęła Felicitas. - Co ona sobie właściwie myśli? - A skąd ja to mogę wiedzieć? - odparł major lekko rozdrażniony. - I tego Kraffta też nie ma. Właściwie nie powinniśmy ich byli zapraszać. Ale ja stanowczo za bardzo kieruję się twoimi specjalnymi życzeniami... może to błąd, Archibald. W każdym razie zaczynamy. A może uważasz, że powinnam jeszcze dłużej czekać? Wieczór zaczął się ogólną rozmową, którą uważano za ożywioną. „Młodzi ludzie” - oficerowie i przyprowadzone przez nich młode damy - mieli obowiązek skupić się wokół „starszej generacji”, wokół pani Frey, majora Freya i niektórych wybranych dam z lokalnej „arystokracji”. Te ostatnie zostały zaproszone po to, aby zagwarantować przedsięwzięciu maksymalną powagę. Tak więc siedziały: żona Ortsgruppenleiters, który był jednocześnie burmistrzem, zastępcą kreisleiters i komisarycznym landratem; czterdziestoletnia wsiowa dziewczyna o pełnej jak księżyc twarzy, przenikliwym głosem wprost z obory i beczącym śmiechem; żona cukiernika i hotelarza, f~uhrerin miejscowych kobiet; kanciasta kobieta o męskim wyglądzie z fryzurą ~a la Gretchen i ze zdumiewająco namaszczonym głosem; żona przedsiębiorcy

budowlanego, nazywana po prostu „milionerką”; kanciasta piękność o żywych ruchach lwicy salonowej, po której ciągle jeszcze wyraźnie było widać, że była niegdyś długoletnią słynną subretką skromnego teatru miejskiego. W tej chwili głównym tematem rozmowy był „koncert życzeń” Rozgłośni Radiowej Niemiec. „Rozwinął się nowy rodzaj sztuki ludowej... proste i solidne... i takie wesołe, pomijając powagę niektórych audycji... przy „Ojczyzno, twoje gwiazdy”, łączy mi po prostu stanęły w oczach... powiedział mój mąż: tak, niemiecka uczuciowość, w tym nam nikt nie dorówna... a przy „Bomby na Anglię” przeszło mnie na wskroś... cóż to za kramarska banda, nie chcą nam dać środkowej Europy aż po Ural, a kolonii też nie, a przy tym Churchill chleje podobno jak świnia... ale „Mateczko, mateczko kochana” jest jednak najpiękniejsze...” - Tak - powiedział major mocnym i donośnym głosem - u nas jeszcze panuje szlachetny duch, podczas gdy oni tam w Ameryce podrygują przy tej zupełnie wynaturzonej muzyce jazzowej jak w tańcu świętego Wita. Nareszcie pojawiła się Sybilla Bachner. Stała w korytarzu i zaglądała przez otwarte drzwi do tak zwanego salonu. Stała w wyczekującej postawie, szczupła, trochę blada, z malowniczo rozpuszczonymi włosami, dobrze zbudowana i demonstracyjnie skromnie ubrana, w niebieską sukienkę. - Spóźniła się prawie osiemnaście minut! - powiedziała pani majorowa do swego męża oburzona. - I przyszła sama - odpowiedział, udając, że jest również oburzony. - Ten Krafft - stwierdziła Felicitas Frey - nie wstąpił wcale po nią, wbrew temu, co przystoi i co zostało zaplanowane. Ten człowiek jest po prostu niemożliwy. - Skandaliczne postępowanie - zgodził się major. - Tego to mu tak prędko nie zapomnę. Mimo to pani Frey nie straciła kontenansu. - Serdecznie witamy! - zawołała do Sybilli Bachner... Potem jednak pozostawiła mężowi przedstawienie obecnym uprzywilejowanej współpracownicy jego generała. Starsze panie taksowały Sybillę Bychner badawczymi spojrzeniami, młodsze patrzyły na nią z niejaką dezaprobatą, weszły bowiem silną konkurencję. Oficerowie byli mile zaskoczeni - i zastanawiali się, czy należy jej nadskakiwać, czy też traktować ją naturalnie. Wedrzeć się na przypuszczalnie najintymniejszy teren generała - to bynajmniej nie było wskazane. - Czy ona ci się właściwie podoba? - spytała młoda dama siedzącego obok Ramblera. - Ty mi się bardziej podobasz - szepnął jej do ucha. - Mam nadzieję. - Udowodniłem ci to przecież wyraźnie. - Może za wyraźnie - rzekła. - Co to ma znaczyć? Tak sobie tylko powiedziałaś, prawda? - Albo i nie - powiedziała. I rzuciła mu spojrzenie tak pełne ufności, że zbudziły się w nim jak najgorsze podejrzenia. - Tak, te nasze panny! - powiedział major z ojcowskim rozmarzeniem do otaczających go starszych pań. - Kiedy tak na nie patrzę, zaraz sobie wyobrażam, jaka pełna nadziei będzie przyszłość naszych wnuków. Młode damy siedziały ciągle jeszcze na swoich tyłkach wyczekując i nieco nieśmiało. Udawały, że przysłuchują się z dużym zainteresowaniem rozmowie, którą były skłonne uważać za wysoce uduchowioną. Przy tym potajemnie robiły oczko do swoich partnerów. Były gotowe podziwiać ich, zwłaszcza że słyszały, że to najlepsi oficerowie ze wszystkich; przeszli przez wszystkie sita i zostali uznani za godnych nauczania w szkole wojennej - na tym uniwersytecie obrony ojczyzny. Wszyscy odznaczeni, większość nawet Krzyżami Rycerskimi i wszyscy bardzo podejrzani o to, że zechcą kiedyś zostać generałami. Ta obfitość rozgrzewającego blasku wokół pań podwyższała poważnie ich temperaturę. Niektóre mocno się pociły - co jednak nie robiło większego wrażenia na oficerach, a już tym bardziej nie odstraszało ich. - Chyba nie mówiłaś tego poważnie - szepnął Rambler swojej damie. - To, o czym napomknęłaś przed chwilą, nie może być prawdą. - Obawiam się, że jednak tak jest. - To przecież wykluczone! - powiedział Rambler przerażony. Było mu cholernie trudno zachować niewinny wygląd. - Tak - powiedział major stentorowym głosem - trzeba mieć wycucie poezji, również wtedy, kiedy się jest żołnierzem. Jeśli chodzi o prawdziwe wartości... Jak na przykład Teodor Körner. Tym samym padło nowe hasło. Jako wzorowy gospodarz major dbał również o przyjemne tematy do rozmowy. Tak więc przyszła teraz kolej na sprawy kulturalne - tym razem z dziedziny literatury. - Wiecie państwo, nordyckość, Asowie i tak dalej, to przemawia do najgłębszych pokładów duszy... czytam raz po raz „Eddę”, i to dodaje odwagi, przez co oczywiście nie chcę powiedzieć, że bez tej lektury brakłoby mi odwagi... ale gdybyśmy nie mieli ducha niemieckiego... zupełni dekadenci, ci Francuzi, bezwstydni, nic

dziwnego, że w ciągu pięciu tygodni przyparliśmy ich do muru... a co dopiero Amerykanie, wszystko gangsterzy, o Rosjanach w ogóle nie ma co mówić, to ci dopiero towarzystwo... a poza tym dziedzictwo i tak dalej, dziedzictwo krwi, krew i ziemia, gleba... a więc mój mąż powiada: kiedy wdycham zapach ziemi niemieckiej, nie wstydzę się swoich łez... i co mam pani powiedzieć: jedna stronica książki, oprawa półskórzana, złożone brzegi, jeszcze następnego dnia była zupełnie wilgotna! Wreszcie zjawił się również porucznik Krafft. Rozglądał się przez chwilę, a potem podszedł do żony majora. Zgiął się w bardzo niedoskonałym ukłonie: - Dobry wieczór, pani Frey. - Dobry wieczór - powiedziała chłodno. Porucznik Krafft zwrócił się do majora: - Proszę wybaczyć spóźnienie, byłem zajęty służbowo. - Ależ proszę pana - rzekł major, z trudem zachowując twarz - służba ma naturalnie zawsze pierwszeństwo. - Tak jest, panie majorze - powiedział Krafft. Oderwał się od tej czołówki kulturalnego życia towarzyskiego i przepchnął się przez pokój ku Sybilli Bachner. Tu usiadł z westchnieniem ulgi. - Musi mi pani wybaczyć - powiedział stłumionym głosem. - Właściwie powinienem był przyjść po panią, ale pociąg spóźnił się o trzydzieści minut. - Czy pani Barkow przyjechała? - spytała Sybilla, najwyraźniej bardzo zainteresowana. - Tak. Zawiozłem ją do hotelu. A tam już czekał na nią generał. - Jaka ona jest, panie Krafft? - zapytała Sybilla po krótkim wahaniu. Krafft spojrzał na nią i lekki uśmiech przemknął mu po wargach. Jej ciekawość rzuciła się w oczy. Powiedział: - Pani Barkow to dama, ma mniej więcej czterdzieści lat. Generał, zdaje się, zna ją dobrze, mówił do niej per ty. Porucznik Krafft zaczął się teraz bliżej przyglądać obecnym. Ogólna rozmowa zdawała się nieco kuleć. Mam nadzieję, że nie przeze mnie, myślał Krafft, ale niezbyt tym zmartwiony. Słuchał tylko jednym uchem słów przelatujących mimo niego. Nie potrafił dopatrzeć się w nich sensu. I rozglądał się za czymś do picia. Ale pora ponczu jeszcze nie nadeszła. - Ten człowiek ma maniery! - szepnął major swojej małżonce. - Nie do wytrzymania! - Z tymi słowami wstał i oddalił się. Miał zamiar dokonać inspekcji kuchni. Tam bowiem stały napoje. Pani majorowa próbowała tymczasem kierować gasnącą, chaotyczną rozmowę na uregulowane tory. Oficerowie starali się dopomóc jej w tym, bo tak wypadało wobec małżonki ich dowódcy. Młode damy z miejscowej elity ciągle jeszcze zachowywały się biernie - obawiały się, że mogą się skompromitować pod względem intelektualnym, chociaż i to nie zwróciłoby niczyjej uwagi. - Czy ty naprawdę jesteś pewna? - spytał Rambler zmartwiony. - Czy naprawdę sądzisz? - Wszystko za tym przemawia. - A może się przeliczyłaś? - Jak ty to rozumiesz? - spytała młoda dama, szeroko otwierając oczy. - Chcę powiedzieć, że może się pomyliłaś? W kalendarzu, rozumiesz? - Ja umiem liczyć - powiedziała. Psiakrew, pomyślał porucznik Rambler. Niech diabli wezmą to całe życie towarzyskie razem z wszystkimi młodymi damami! Młode damy siedziały sztywne, wyprostowane i lekko pochylone do przodu, co wyglądało imponująco. Ale i teraz sprawiały wrażenie bardzo nieprzystępnych. Wszystkie uśmiechały się afektownie i śmiały się srebrzyście, przeważnie wtedy, kiedy należało. Były świadome tego, że muszą godnie reprezentować wielki świat swego małego miasteczka - dopóki mają widzów. Było wśród nich kilka „dobrych partii”, z nęcącym posagiem i odpowiedniego pochodzenia: córka burmistrza, mała, jędrna, wesoła, z szerokim siedzeniem, okrągłutka jak jej matka; zawsze pierwsza zaczynała się pocić - ale na jej nazwisko zapisane już były w księgach hipotecznych dwie kamienice czynszowe i spora parcela budowlana między miastem a koszarami. Córka właściciela stacji benzynowej, z przyległym warsztatem wynajem i przedstawicielstwo sprzedaży samochodów; szczupłe lalkowate stworzenie z ładniutką twarzą, ale żółtymi długimi zębami - była jedynaczką. Dama Ramblera była siostrzenicą przedsiębiorcy budowlanego, który między innymi przebudował i wyposażył we wszystkie dodatkowe budynki koszary; osoba piersiasta, zawsze trochę zasapana, taka kobyła z zainteresowaniami sportowymi i politycznymi - kierowała Bd\$m_em; jej wujek, bezdzietny przedsiębiorca budowlany, bardzo ją lubił, o czym całe miasto wiedziało. Właśnie o tym myślał w tej chwili porucznik Rambler. Widział teraz tę całą sprawę w innym świetle. Jak to tak pięknie mawiano w kołach Bd\$m: dzieci gwarancją przyszłości... - O czym myślisz? - spytała go. - Uśmiechasz się. - Myślę o tobie - rzekł - o nas, o naszej przyszłości. - Od początku miałam do ciebie zaufanie. - Jestem oficerem - rzekł z prostotą. - Znam swoje zobowiązania. - My kobiety -

powiedziała Felicitas Frey - wiemy zawsze, jak postąpić; czy byłybyśmy inaczej kobietami, niemieckimi kobietami? Nareszcie znowu znalazła temat do rozmowy. Hasło: dobroczynność i obowiązki kobiety. Szczególnie w czas wojny. - ...jak to zawsze mówi mój mąż: kobieta musi być świadoma tego, że jest kobietą niemiecką, zwłaszcza w takich czasach... co najmniej raz w tygodniu odwiedzamy szpital polowy, kiedy tylko mamy czas... jacyż oni są zawsze wdzięczni, ci nasi kochani żołnierze... przynoszą im stale kwiaty, między innymi róże hodowane przez mego męża, nic mnie od tego nie może powstrzymać... Archibald, mówię mu, nie można być małostkowym, nawet jeśli jest to twój specjalny gatunek hinderburg... znakomita hodowla, musicie państwo wiedzieć, alabastrowobiałe róże, symbol czystości, duchowej oczywicie... i jak im się oczy błyszczą, kiedy przychodzę, nie mogą prawie słowa wydobyć z siebie z wdzięczności... Jeden stracił całą rękę, pomyślcie państwo, i do tego prawą, ale on śmiał się, powiedział do mnie: „Jestem mianowicie mańkutem, chachacha”, taki wzruszający humor, aż mi się łzy do oczu cisną. - Czy można by dostać coś do picia? - spytał porucznik Krafft głośno. Towarzystwo było zaszokowane, albo, zależnie od temperamentu, zdumione. Reakcję pani Frey można było określić jako przerażenie. Z trudem odzyskawszy panowanie nad sobą, powiedziała: - Panie poruczniku, na to jeszcze jest za wcześnie. - Nie dla mnie - oświadczył Krafft, wcale nie wytrącony z równowagi. Od tego jej gadania zrobiło mu się niedobrze: potrzebny mu był alkohol albo świeże powietrze. A pani majorowa powiedziała ostro: - Jeśli pan się tu źle czuje, panie poruczniku Krafft... - Wpadłem i tak tylko na chwilę - powiedział Krafft, wstając. - Muszę jeszcze coś załatwić dla generała. - Proszę - powiedziała pani majorowa - nie zatrzymujemy pana. - To i ja już też pójdę - rzekła Sybilla i również wstała. - Proszę, jak pani sobie życzy - oświadczyła Felicitas Frey sztywno. - To był czarujący wieczór - zapewniła ją Sybilla. - Również i ja - stwierdził Krafft - mogę powiedzieć tylko: serdeczne dzięki. Poszli. I pozostawili po sobie lodowate, długotrwałe milczenie. Felicitas Frey oddychała z trudem i na cały regulator. Zdawało się, że lada chwila pęknie. Wtem pojawił się major. Spojrzał na żonę zimno, ale twarz jego była jednym szerokim uśmiechem zadowolenia - co prawda nieco krzywym, ale za to wytrwałym. Demonstrował swoją zasadę: Trzeba umieć się znaleźć w każdej sytuacji. Jego głos brzmiał denerwująco jowialnie. - Sądzę - zawołał - że czas rozpocząć część nieoficjalną. Potączymy sobie trochę, moi państwo. Może by tak „Mewę leącą na Helgoland”? albo „Kwiatek na polanie, któremu na imię wrzos”? Zaskrzeczała pierwsza płyta gramofonowa. Kilka par wstało posłusznie. Udały się do sąsiedniego pokoju i zaczęły tańczyć. Rozmowa starszej generacji powoli zaczynała się znowu ożywiać. Major jednak wziął swoją żonę na stronę, dyskretnie, jak mu się zdawało. I powiedział do niej: - To nie powinno się było stać, Felicitas. O tym jeszcze pomówimy, i to szczegółowo. Możesz być tego pewna! * * * - Nareszcie trochę spokoju - powiedziała Barbara Bendler_Trebitz, bratanica pani majorowej. - Znam to; kiedy podaje się poncz, w kuchni jest spokój. Co najmniej przez pół godziny. Co zrobimy z tym czasem? - Jak pani uważa, proszę panienki. - Dlaczego pan właściwie mówi do mnie zawsze: proszę panienki? Czy panu to przyjemność sprawia? - Tak się należy, proszę panienki. Starszy szeregowiec Gemme stał przy stole kuchennym. Był tu odkomenderowany z kasyna, a więc przez kapitana Katera. To miała być kara - Gemme stłukł ponoć butelkę czerwonego wina ze ściśle prywatnych zapasów kapitana Katera. Za to sześć do ośmiu godzin pracy u żony majora - doprawdy nielekka kara. W każdym razie ta bratanica, stojąca teraz naprzeciw starszego szeregowca Gemme, po drugiej stronie stołu kuchennego, była nie do pogardzenia. Ale: była bratanicą majorowej. A więc: ostrożność bardzo wskazana! - Czy pana często posyłają na takie przyjęcia? - dopytywała się Barbara. - Bogu dzięki nie - powiedział Gemme. Ale natychmiast się połapał i oświadczył: - Niestety nie, chciałem powiedzieć. - Ma pan tego po dziurki w nosie, co? - Tego bym nie powiedział - zauważył Gemme ostrożnie. - Bądź co bądź pani tu jest. Barbara przeszła na drugą stronę stołu, bliżej niego. Gemme ostrożnie cofnął się nieco. Ale Barbara nacierała. - Nie potrzebuje mnie pan tytułować proszę panienki, jestem tu służącą. - Ale również bratanicą majorowej! - I tego się pan boi? - Boi? W każdym razie... myśli pani, że mogę sobie na to pozwolić z damą z kół oficerskich... - Na co? - No... wie pani. Ale ja nic nie powiedziałem. Nie

powiedziałem ani słowa. Tyle tylko, że jest pani bratanicą pani majorowej. I że należy pani do kół oficerskich. - E, gówno - orzekła Barbara prosto i przekonywająco - mam gdzieś tę całą ferajnę. Gemme nadstawił uszu. - Poważnie to pani mówi? - Jeszcze jak! - powiedziała Barbara. Gemme rozejrzał się. Drzwi kuchenne były zamknięte. W korytarzu nie słychać było nikogo. Towarzystwo było w salonie. Gramofon ryczał - tańczono. Poncz był podany i na pewno zaledwie do połowy wypity. Major dyskretnie zabrał swoją prywatną butelkę. Była więc nadzieja, że nikt nie wejdzie do kuchni. Gemme podjął decyzję i objął Barbarę ramieniem. - Możesz się nie certolić - powiedziała ku jego wielkiemu zdumieniu - nie jestem lalką oficerską. - Ależ dziewczyno, jesteś w dechę! - No więc! - roześmiała się trochę piskliwie. - Czy można zamknąć te drzwi? - spytał Gemme pospiesznie. - Chodź, wejdziemy do spiżarni. Tam nam na pewno nikt nie przeszkodzi. * * * - Moja opinia - powiedział major dobitnie - jest dla mnie ważniejsza niż wszystko inne. NIŻ wszystko inne, Felicitas! - Nie musisz tak na mnie wrzeszczeć - powiedziała. - Twoje maniery pozostawiają wiele do życzenia w ostatnich czasach. - Mój dom jest przyzwoitym domem, solidnym domem, gościnnym domem. A kto tego nie szanuje, nie zasługuje też na delikatność i względy z mojej strony. Stali naprzeciw siebie i spoglądali po sobie - on agresywnie, ona z przestraczem. Nie zależało im na ściszeniu głosów. Goście już sobie poszli. Mieszkanbie było puste. A Barbara przypuszczalnie już spała. A gdyby nawet nie spała, państwo Frey od dawna już się z nią nie liczyli. - Tu idzie o mój honor, o moje dobre imię, o moją karierę. Czy dla ciebie to są rzeczy obojętne? Ufałem ci, patrzyłem na ciebie z szacunkiem, modliłem się wprost do ciebie! A ty? Co cię napadło? Gdzie twój rozum? - Ty mnie nie rozumiesz - powiedziała z wyrzutem i goryczą - nigdy mnie nie rozumiałeś. - Tu chodzi jedynie o zrozumienie, Felicitas, jakie ty powinnaś mnie okazywać. Ja tu jestem dowódcą, i chodzi o moje stanowisko. Jeśli ci się ten Krafft nie podoba, spróbuj go ignorować, nie troszcz się o niego, dawaj mu chłodne odpowiedzi. Mnie on się też nie podoba. Ale z tego powodu nie wyrzucam go jeszcze za drzwi! A tobie nawet to nie wystarczyło, ty odważyłaś się nawet zrobić afront akurat sekretarce generała! Na to nie mogę sobie pozwolić! Na to nikt sobie nie może pozwolić! Generała nie można bezkarnie prowokować. I dlatego proszę cię, żebyś czym prędzej naprawiła tę całą sprawę. I to gruntownie. Jak - to już twoja rzecz. Felicitas Frey opadła bezsilnie na krzesło. - Ty mnie nigdy nie rozumiałeś - powtórzyła. - Ty nigdy nie wiedziałeś, co się dzieje w moim sercu. Ale on już nie słuchał. Opuścił ją. Aby wyczyścić sobie zęby. Skuliła się w sobie i myślała: co się z niego zrobiło? Skończyło się jego posłuszne przywiązanie, taktowna rycerskość, elastyczna młodzieńczość. Ofiarna czułość i piękna pokora kochającego małżonka i posłusznego kochanka - wszystko to przepadło. Przepadło bezpowrotnie. Co teraz, Felicitas? - Tak przecież nie można się ze mną obchodzić - powiedziała, wyprostowując się. - Na to ja sobie nie pozwolę. On mnie jeszcze popamięta! Interludium V
iyciorys kapitana Konrada Katera czyli: Szczęśliwość szczurów „Moim ojcem jest winogrodnik Ephraim Gottlieb Kater. Matką moją jest ślubna małżonka tegoż, Klara, z domu Klausnitzer. Mieszkali w Triebenbach, wsi położonej o jakieś siedem kilometrów na północ od Trewiru. Tu urodziłem się 17 lipca 1900 roku, tu też spędziłem dzieciństwo i lata szkolne.” Dom, w którym się gnieżdżymy, jest mały i kamiennoszary. Urządzenie ubogie. Często głodujemy, ale nigdy nie jesteśmy spragnieni. Posiadamy bowiem winnicę. Ale wino, jakie tam dojrzewa, jest zawsze trochę kwaśne. Trudno je sprzedać. Dlatego ojciec przeważnie sam je wypija. śpiewa przy tym, bardzo głośno i rzewnie. Pieśni o miłości. Czasem śpiewam razem z nim, a raczej nucę, bo nie znam dobrze słów. A matka stoi i słucha. Jej twarz jest szara, jak kamienie, z których zbudowany jest nasz dom. Mam jeszcze sześcioro rodzeństwa. A ludzie z sąsiedztwa mówią: „To z tego wina, co to go twój ojciec nie może sprzedać”. Zawsze chętnie pomagam matce. Mojemu rodzeństwu to się nie podoba. Ale oni są głupi i leniwi, i to jest moje szczęście. W ten sposób zwykle daję sobie z nimi radę - z każdym po kolei. Bo ja nie rezygnuję i pomagam matce - zwłaszcza w kuchni. Taskam drzewo, obieram kartofle i odważam mąkę. Najbardziej lubię mieszać w garnkach - szczególnie wtedy, kiedy nikogo nie ma w kuchni. Wtedy szybko kosztuję parę łyżek. Czasem parzę sobie przy tym usta, ale dzięki temu prawie zawsze jestem syty. A tamci są Żli, niektórzy

nawet płaczą - z wściekłości. Ale to wszystko dlatego, że za mało pomagają matce. Mój sąsiad z ławy szkolnej, ten gruby z głupimi oczami, ma zawsze pieniądze. Jego ojciec jest rzeźnikiem i ma palce jak kielbaski. Jego siostra też jest tłusta, ma usta obrzmiałe, jak gumowe poduszki. Wszyscy oni pachną świeżą kielbasą. A zupa kielbasiana, którą jedzą w domu, prosto z parującego kotła, to wielka klasa - pływają w niej kawałki mięsa, krwawej kiszki i popękane kielbasy. Często jadam razem z nimi. A tłusta siostra z murzyńskimi wargami w takich razach ociera się kolanem o moje. Co mi jednak wcale nie przeszkadza. Wyciągam rękę. Nie drży. Widzę dłoń niezupełnie czystą. I widzę, wyżej, trzcinę, która spada ze świstem na tę rękę. To pali. Jeszcze raz trzcina spada na dłoń, i jeszcze raz. Na ręce występują czerwone pręgi. Krzyżują się, biegną równolegle, oddalają się od siebie - jak szosy na mapie. Płomień na mojej dłoni czuję aż w potylicy. Ale nie chowam ręki, i ta ciągle jeszcze nie drży. Kobieta, której przyniosłem paczkę, siedzi na kanapie. Obmacuje moją rękę. „Jesteś silny”, mówi. „Ujdzie”, mówię. Przyciąga mnie do siebie, a jej ręce wślizgują się za moją marynarkę i przejeżdżają się po mięśniach mojej piersi. „Jesteś naprawdę bardzo silny”, mówi kobieta. Jej głos robi się cichszy. „A pani - mówię i łapię ją za piersi - też nie jest ta słaba.” - „Nie”, mówi. „Po ukończeniu szkoły zajmowałem się głównie administracją posiadłości mego ojca, po czym uważałem za rzecz samo przez się zgłosić się już w 1917 roku na front. Miałem szczęście i zostałem przyjęty, a po krótkim, ale wzorowym przeszkoleniu podstawowym zostałem wysłany na front wschodni. Po oficjalnym zakończeniu wojny pozostałem nadal wierny służbie żołnierskiej, walczyłem na Górnym śląsku i przyłączyłem się dość wcześnie do ruchu naszego F~uhrera. Dla chleba, a jednocześnie dla wysokich celów politycznych objeżdżałem z doborowymi artykułami markowymi południowe Niemcy, aż do momentu, gdy wybiła decydująca godzina.” „Nie mamy już prawie co zjeść - powiedział ojciec, pokrępiwszy się dzbanem wina. - Czasy są coraz gorsze, a wy pomału robicie się więksi ode mnie. Jak tak dalej pójdzie, możemy się od razu położyć do trumny, i to z pustymi żołądkami. Ale niektórzy z was są, chwalić Boga, dostatecznie dorośli na to, żeby pójść do wojska. Zgłóście się więc na ochotnika, żarłoki. Mam nadzieję, że wojna tak prędko się nie skończy.” Zataczamy się. Ziemia przed nami chwieje się. Powietrze migoce. Odzież lepi się nam do ciała. Ale wszystko dla ojczyzny, mówi nasz kapral. Padamy w błoto i z trudem wstajemy. Jeden już nie może. Po pięciu minutach jeszcze jeden. Głos kaprala jest ochrypliwy, ale nie milknie. Źażymy na czworakach do latryny, stojącej na skraju placu ćwiczeń. „Do środka! - krzyczy kapral. - I głowy wsadzić w dziury, żebyście nareszcie wiedzieli, czym jesteście!” Dowcipny człowiek z tego naszego instruktora! Umie grać na fortepianie, ten nasz koleżka z dziewczęcą buzią. Zdrowo zapycha po klawiszach. A puste butelki stojące na fortepianie tańczą. Podchodzę i rąbię dwoma palcami w klawisze po prawej stronie. Brzęczą jak pękające szklanki. Chleję i dalej rąbię w klawisze - one nadal dzwonią jak pękające szklanki. Jakaś polska baba stoi w drzwiach, nazywa się Sonia czy coś w tym rodzaju. Wytrzeszcza oczy na ten zaszary fortepian, który jest jej własnością. A my ją kładziemy na tym fortepianie. Ten nasz koleżka z dziewczęcą buzią gra dalej. Sonia robi głupią mionę, ale nie może krzyknąć - wetknęliśmy jej skarpetkę w usta. Potem wierzga nogami, ale ją przytrzymujemy. I to wszystko na tym fortepianie, który jest własnością tej Soni. Jeden z najlepszych, ten Hauser, którego nazywają „rębajłą”, jest oficerem, ale niewiele sobie z tego robi, chce być tylko kolegą. Jest jednak osobistością i w każdej sytuacji życiowej respektowanym przełożonym. Prawą rękę ma zranioną, więc trzyma pistolet w lewej. Zna Górny śląsk jak własną kieszeń i ma nosa do ludzi, o ile są Niemcami. Mnie powierza się organizację zaopatrzenia - i to dla całego korpusu ochotniczego Hausera, który jest wprawdzie nieliczny, ale zawsze pcha się tam, gdzie się coś dzieje, i dlatego ma dobry apetyt. Tu jestem w swoim żywiole, i troszczę się o naszą aprowizację; dopóki walczymy, aprowizacja jest moją sprawą. „Kapral Kater - mówi do mnie rębajło Hauser - to zadanie zostało zakończone. Ale czekają nas dalsze, trzeba tylko umieć je sobie wynaleźć. Zostajesz przy nas.” Zgadzam się. Być wezwanym przez rębajłę Hausera to wyróżnienie. I przywilej szczególengo rodzaju. Prawdziwe Niemcy nigdy nie zapominają o swoich bohaterach. Tak więc wkraczamy do Monachium. Nie tylko skromność powstrzymuje mnie od przyłączenia się do najbliższego kręgu F~uhrera Adolfa

Hitlera. Przy rębajle Hauserze mamy też pełne ręce roboty. Mimo to my również bierzemy udział w marszu 9 listopada 1923 roku, tworząc poniekąd stałą straż tylną, która potem swoją niezachwianą postawą przyczyni się do uniknięcia katastrofy. Mnie i rębajle Hauserwoi udaje się ująć pachołkom policyjnym rządu. Fabrykant likierów Stobmeyer, narodowiec, udziela nam schronienia, co zostaje uczczone potężną popijawą. Składy Stobmeyera bowiem są bardzo okazałe. „Szlachetny trunek - mówię z uznaniem. - Aromatyczny, mocny, o delikatnym, długo nie ulatniającym się smaku.” - „Znasz się na tym, kolego!” - mówi Stobmeyer, chociaż jest szeregowcem. Ale my tu nie jesteśmy drobiazgowi. „Tak - mówię skromnie - nauka nie idzie w las. Jestem poniekąd z branży. Ojciec mój jest właścicielem winnic w okolicy Trewiru.” - „To się świetnie składa - mówi Stobmeyer z entuzjazmem. - Dla dobrych ludzi, na których można polegać, zawsze się coś znajdzie. Co ty na to?” - „No cóż - mówię po pewnym namyśle - jeśli mogę wyświadczyć koledze przysługę, to dlaczego nie?” Lata w służbie firmy Stobmeyer, Monachium - jałowcówka Stobmeyera, gorzka Stobmeyera, likier ziołowy Stobmeyera. Według nalepki 45%. Skromne początki: teczka i per pedes. Potem walizka z próbkami i kolej 3 klasy. Po pewnym czasie pierwszy wóz, półciężarówka. A potem mercedes, choć z początku jeszcze bez własnego szofera. I to wszystko z tych skromnych 15 procent czystego zysku. Dziewczeta wszędzie, stosunkowo tanio i korzystnie. Ale również i w tej dziedzinie świadoma celu budowa i rozbudowa. Najpierw proste dziewczyny z szynku, od czasu do czasu jakaś dziewczica, różne pokojówki z trzeciorzędnych hoteli. Lecz to jedynie etap przejściowy. Także i później pociągał mnie często prosty, skromny lud; ci ludzie umieją uczynić życie przyjemnym i wygodnym. Ale tak zwany lepszy garnitur ma też swoje uroki, niewątpliwie - a więc barmanki, fordanserki, piosenkarki z lokali nocnych i baletniczki. I niezaprzeczalnie punkt szczytowy: basistka damskiej kapeli tanecznej, na gościnnych występach w Norymberdze. Czuję się w jej rękach jak mistrzowsko opanowany instrument. Ale przy tym wszystkim nie tracę z oczu celu światopoglądowego! Restauratorzy narodowcy korzystają ze specjalnych cen - chociaż przeważnie na koszt firmy Stobmeyer, która tym sposobem zyskuje okazję do popierania towarzyszy ideowych. Prowadzi się również niezmiernie mądre rozmowy, w prywatnych gabinetach i nocną porą. Udział w spotkaniach koleżeńskich, na które, rzecz jasna, także dostarcza się towar po cenach zniżonych. Związana jest z tym szeroka kampania na rzecz niemieckiego winiaku; w rezultacie powstaje popularna marka D~arenfang” Stobmeyera, do której dołącza się bogato ilustrowaną broszurę pod tytułem: Germanie siedzieli po obu stronach Renu. Powiedzenie, które zna każdy ucziwy Niemiec i które zwykle uzupełnia zdaniem: I napili się jeszcze jednego! „Koledzy - mówię 30 stycznia 1933 roku - teraz nareszcie nadeszła godzina, na którą czekaliśmy z utęsknieniem.” tży mi stają w oczach. Pijemy bowiem z tej okazji akwawitę Stobmeyera - 50%. „Wraz z nastaniem nowej ery i rozwojem nowego i wzmożonego ducha bojowego również i we mnie coraz mocniej dochodzi do głosu pragnienie, aby oddać me skromne siły do dyspozycji Wielkich Niemiec i naszego F~uhrera. Siłą rzeczy działalność handlowa musiała ustąpić miejsca karierze wojskowej. Już w 1934 roku odbyłem - jako odznaczony podoficer wojny światowej - pierwsze ćwiczenia rezerwy, po których niebawem nastąpiły dalsze. Już w 1936 roku zostałem podporucznikiem, a w 1938 roku porucznikiem rezerwy, w którym to stopniu wyruszyłem w pole i zajmowałem odpowiedzialne stanowiska, po czym w 1940 roku nastąpił mój awans na kapitana, z równoczesnym odznaczeniem mnie Krzyżem Zasługi II klasy. W 1942 roku przeniesiono mnie do Szkoły Wojennej nr 5, gdzie objąłem kompanię administracyjną, z takim skutkiem, że jeszcze w tym samym roku zostałem odznaczony Krzyżem Zasługi I klasy.” Niezapomniana wiosna niemiecka 1933 roku - wspaniały rozkwit wszędzie, rzecz jasna również w mojej branży. Korzystny rozwój interesów, błyskawiczne założenie nowej filii. Wstępne rozmowy ze Stobmeyerem na temat mego udziału w firmie. Wzruszająco romantyczna godzina w hotelu K~onigshof: bateria pustych butelek - koledzy śpią już w pokojach zarezerwowanych dla nich i dla towarzyszących im dam - przytłumiona muzyka z baru - siedzę zamyślony w fotelu - przede mną blok z zamówieniami. I dopisuję, jak się rzekło, do nazwiska Stobmeyer jeszcze Kater. Stobmeyer i Kater - Fabryka likierów - hurt i detal. Wspaniały nastrój triumfu trwa do późnego lata 1933 roku.

Często jestem w rozjazdach, mercedesem, uszczęśliwiony tym wszystkim, co widzę w naszym kraju, jeśli idzie o zaufanie i rosnącą wypłacalność. Godne uwagi jest również zrozumienie dla nowych, wyższych wartości, do których należy także wzrastający zmysł rodzinny. Powoli zaczynam mieć dość samotności, co oczywiście nie ma nic wspólnego z wiekiem, lecz z Edeltraut Marquardt. Czarująca kobieta - bardzo solidna, bardzo niemiecka, bardzo obiecująca. Jest właścicielką hotelu Pod Srebrną Koroną w Stuttgarcie. Renomowane przedsiębiorstwo, świetnie urządzone, i to w stylu staroniemieckim, z liczną klientelą, a więc bardzo dochodowe. Edeltraut ma już troje dzieci - dwoje z pierwszego małżeństwa, jedno nieślubne. Jej mąż zabrał się parę lat temu i nie wrócił - nie zaspokojona żądza przygód czy coś takiego; w każdym razie to nie był człowiek interesu. „Edeltraut - mówię - twoim dzieciom potrzebny jest ojciec, czy nie tak?” - „Możliwe”, mówi i patrzy na mnie z nadzieją. „To miłe dzieci - mówię nie znam ich co prawda dobrze, ale mają dobre skłonności, to się czuje. Jak myślisz, czy nie byłbym odpowiednim ojcem dla nich?” - „Na pewno”, mówi Edeltraut i tuli się do mnie. A potem mówi dalej: „Jak to ładnie, że myślisz o dzieciach, a nie o hotelu.” - „Ależ proszę cię - mówię - hotel jest mi najzupełniej obojętny.” - „No to dobrze”, mówi uszczęśliwiona. Radosny nastrój utrzymuje się do wiosny 1934 roku. Mam pełne ręce roboty - nie tylko z okazji ślubu, który odbywa się 30 stycznia 1934 r. Data wybrana z rozmysłem: niemiecki ślub plus pierwsza rocznica przejęcia władzy - podwójne święto przy pojedynczym wydatku. Pierwszy świadek ślubu: rębajło Hauser, teraz w ochronie naszego F~uhrera - dostaje na tę uroczystość urlop od Hitlera osobiście, co specjalnie świętujemy. Drugi świadek ślubu - radca handlowy Stobmeyer, Monachium, niemiecki kupiec narodowiec - w tym dniu jednak nieco roztrągniony, a nawet przygnębiony; może dlatego, że zaczyna odczuwać moją wyższość handlową, a może dlatego, że tego wieczoru nie pijemy likierów Stobmeyera. Ale nasza wódka jest w końcu dla klientów - my pijemy coś lepszego. Rozbudowuję poważnie sieć naszych przedstawicielstw - już w pięciu okręgach Stobmeyer jest pojęciem dobrze znanym, dzięki mojej niezłomowanej działalności. Najpierw mieć w ręku filię, myślę sobie, potem filię. Następny krok: koncern hotelowy, punkt wyjściowy Srebrna Korona. Ale akurat, gdy w tym sensie rozwijam działalność, otrzymuję telegram: Konieczny natychmiastowy przyjazd do Monachium. Ja w drogę - i co widzę? Stobmeyer rozplywa się we łzach, stracił głowę, zupełnie zamieszanie. Z firmą klops! I dlaczego? Bo ten Stobmeyer, ten idiota, jest wszystkim innym, tylko nie Aryjczykiem. Kto by to pomyślał? Narodowiec do szpiku kości, stary frontowy żołnierz, popiera organizacje narodowe - i nie jest Aryjczykiem! Oszaleć można. „Pan mnie gorzko rozczarował - mówię. - Mam tylko nadzieję, że jeszcze da się coś niecoś uratować.” Ale tu już nic się nie da uratować. Wszystko kompletnie zakalapućkane. Zamiast przeźornie omówić ze mną sprawy i uregulować, zamiast oddać w porę firmę w moje ręce, jako treuh~anderowi albo w formie fikcyjnego kontraktu sprzedaży, ten człowiek, z tą całą swoją niską mentalnością, myśli tylko o swojej forsie, a nie o mojej pracy. Naturalnie mimo to usiłuję poruszyć wszystkie sprężyny - w końcu mam wpływowych przyjaciół i kolegów. „Kolego Hauser - mówię - musisz mi pomóc. Znasz w końcu wszystkich miarodajnych ludzi. Jedno twoje słowo wystarczy i gauwirtschaftsf~uhrer pozostawi mi wolną rękę” - „Człowieku, Kater - mówi rębajło Hauser - że ty jeszcze masz czoło pokazywać się ludziom na oczy! Wpakowałeś mnie w ładną kabałę. Jak śmiałeś akurat mnie zestawić jako świadka ślubu z tym Stobmeyerem? Jeśli to wyjdzie na jaw, jestem skończony. Ale wtedy ja się z tobą porachuję, Kater. Posłuchaj no dobrze: wycofaj się z tej sprawy, odżegnaj, odwal się. Najlepiej, żebyś znikł na jakiś czas. Pojedź po prostu na ćwiczenia. Jako oficer rezerwy możesz się zadekować - a potem zobaczymy, co dalej.” Pierwsze ćwiczenia rezerwy. Całkowicie udane, ponieważ wyrozumieli przełożeni - jak wszyscy prawdziwi mężczyźni - nie gardzą przyzwoitym trunkiem. Najważniejsza działalność: troska o koleżeństwo w wysokich kręgach, ponieważ jako kandydat na oficera mam prawo korzystania z kasyna. Rębajło Hauser, nękanie zapewne wyrzutami sumienia, składa mi wizytę - całkiem wielka ryba w oddziale ochrony F~uhrera, efektownie umundurowany, z Pour le M~erite i adiutantem. Bankiet na jego cześć, siedzę między nim a dowódcą batalionu. Wreszcie kończę ćwiczenia w stopniu plutonowego, z uwagą: nadaje się

wybitnie na oficera rezerwy. Z nowymi siłami i nową odwagą rzucam się znowu w wir życia kupieckiego. Firma Stobmeyer już nie istnieje - ale człowiek o sercu bojownika patrzy zawsze naprzód. Jest przecież jeszcze hotel mojej kochanej żony Edeltraut. „Kochanie - mówię, kiedy tak sobie siedzimy czule razem - musimy kiedyś pomówić poważnie o Srebrnej Koronie.” - „Ale o hotelu nie ma przecież co mówić, Konrad, najdroższy”, powiada naiwnie. „Ależ tak - mówię - teraz ja całą sprawę wezmę w swoje ręce.” - „Ale to nie da się zrobić, najdroższy Konradzie - mówi. - Hotel przecież wcale do mnie nie należy. Był własnością mego pierwszego męża, i on go przepisał na dzieci. Ja tylko nim zarządzam, pod nadzorem notariusza.” Drugie ćwiczenia rezerwy. Podobne do pierwszych. Tylko że wszystko jest jeszcze bardziej intensywne, bardziej wielostronne i uwieńczone jeszcze większym powodzeniem. Powoli ustępuje moje głębokie rozczarowanie, wywołane niegodnym, podstępny postępowaniem mojej żony. Byłem zbyt dobroduszny, zbyt ufny - powinienem był zażądać szczegółowych dokumentów, i to przed ślubem. Ale za to istnieje Hilda - nazwisko nie ma nic do rzeczy. Hilda z kwaciarni, moje słodkie zajęcie wieczorne, która tak lubi jeździć moim mercedesem i nosić nowe suknie. Poza tym zupełnie wyprana z egoizmu. Wracam do domu wzmocniony i odświeżony - w randze podporucznika. Zaczyna się wojna. Dowiaduję się o tym o wiele wcześniej z pierwszego Źródła. Siedzimy w Domu Artysty - oddzielny pokój, pierwsze piętro. Wokół mnie zasłużeni ludzie. Elita partyjna. Niestety z sektora ideologicznego, nie gospodarczego. Do tego, na szczęście, parę baletniczek z operetki państwowej: zgrabne laleczki i zalane w pestkę. Rasowe, giętkie i zdumiewająco wytrzymałe, wysportowane. Zniosą niejednego burdel. Nie można powiedzieć, żeby były tanie, ale można je opłacić również wpływami. Wszystko więc idzie na koszt państwa. Szorstkie męskie głosy, dym, perlisty szampan, śmiech dziewcząt, odurzający zapach perfum. Potem telefon od rębajły Hausera. „Stało się - mówi - zaczynamy!” I znika, zostawiając mi swoją tancereczkę - mam więc teraz dwie. A kiedy nazajutrz rano budzę się między tą dwójką, nasze dzielne wojska przekroczyły już granicę polską. Zaszczytne i odpowiedzialne zadania, szybka kariera: najpierw rzeczoznawca w sztabie okręgu wojskowego - ważne, ale zrutynizowane czynności; potem kierownik komisji poborowej, w tym samym okręgu - również bardzo ważne, niewątpliwie, ale niezupełnie odpowiadające moim szczególnym kwalifikacjom. Interesująca korespondencja z rębajłą Hauserem i potem, na podstawie jego interwencji: kierownik magazynu żywnościowego w Koblencji. I wreszcie - przejściowe ukoronowanie - komendant miasta St. Pierre, po zwycięskiej kampanii we Francji. Tamże koncentracja na zaopatrzeniu armii, warunkach sanitarnych, kontakt z ludnością cywilną. „Johanna - mówię do dziewczyny - czy zastanawiałaś się kiedyś nad tym, dlaczego tu jesteś?” - „Bo jestem głodna i potrzebuję pieniędzy - powiada - a poza tym nie nazywam się Johanna, tylko Jeanette.” Milczę najpierw, trochę smutny. Oglądam pokój, w którym leżymy, w hotelu Trois Roses: staromodny, odrapany, daleki od czystości. Co za naród, co za kraj, co za brak zasad moralnych! „Mówisz naszym językiem, Johanna”, mówię. „Bo pochodzę z Alzacji - mówi ona. - Mówimy tam po niemiecku i po francusku. To czasem ma swoje dobre strony, tak jak teraz.” - „W tobie jest niemieckie dziedzictwo - mówię z naciskiem - przez ciebie przemawia głos krwi, czy ty tego nie czujesz?” - „Nie - mówi. - Nie czuję tego.” O tak, być Niemcem, to podnosi na duchu - ale nie zawsze jest bezpieczne. W St. Pierre, gdzie jestem komendantem, grasują elementy zwane „maquis”. Rozbójnicy, złodzieje i podpalacze. Człowiek nie jest pewien swego życia. Kiedy się wiesz trzech, pojawiają się trzy tuziny nowych. Pożałowania godny kraj - zupełnie nie ma zrozumienia dla naszej opieki, naszej życzliwości, naszej przyjaźni. Szczere rozczarowanie - bynajmniej nie wzrastające niewygody ani tym bardziej śmieszny strach - jest powodem tego, że odwracam się od nich. Ale z ojczyzny dochodzi mnie szaszczytne wezwanie: Szkole wojennej potrzebny jest doświadczony, pewny i godny zaufania oficer. To ja. 16 Generał niczego nie przemilcza - Nigdy bym nie uwierzyła - powiedziała pani Barkow - że będę kiedyś siedziała naprzeciw człowieka, który ma na sumieniu mego syna. Słowa te skierowane były do generała Modersohna. Siedzieli naprzeciw siebie - w zarezerwowanym zacisznym gabinecie w hotelu Pod Złotym Baranem w Wildlingen nad Menem. Przywitali się skąpymi słowami, a potem zjedli

kolację - również i to w zupełnym prawie milczeniu, z powodu służby. Ale teraz byli sami. Na stole stało wino i woda. Wiedzieli, że nikt im nie przeszkodzi - chyba że zadzwonią. Milczeli. Otaczała ich chłopska, frankońska solidność, meble zwaliste, a jednocześnie zgrabne, starannie rzeźbiony kredens, kolorowe witraże, zasłonięte mięsistą tkaniną. Pokój był zresztą nienagannie czysty - generał stwierdził to z pewnym zadowoleniem. - Nie - powtórzyła pani Barkow z goryczą. - Nigdy bym w to nie uwierzyła. Ale tego już za wiele dla mnie, nie mam już sił bronić się przed czymkolwiek. Nawet przed tobą. Generał słuchał uważnie, z pozorną obojętnością. Przyjmował jej wyrzuty tak, jakby mówiła, że hotel jej się nie podoba. Potem rzekł, niezwykle delikatnie: - Spodziewałem się, że przyjedziesz na pogrzeb. - Zachorowałam - powiedziała pani Barkow. - Załamalam się po otrzymaniu twego listu. Unikała jego wzroku. Nie miała chęci ani odwagi patrzeć w tę nieruchomą, nieprzeniknioną twarz. Zawsze przychodziło jej to z trudem. Od początku był taki; jakby wznosił wokoło siebie ściany ze szkła pancernego. Modersohn zaś zastanawiał się, co jeszcze pozostało z dawnej Susanne Simpson. Piwne łagodne oczy? Oczywiście, nawet jeśli straciły wiele ze swojej niegdyś promiennej ufności. Spokojne wysokie czoło, ciekawski nosek. Również ten się prawie nie zmienił, chociaż pokrywały go delikatne zmarszczki. Usta, te miękkie, zawsze nieco słabe i ustępliwe usta? Nie, usta się zmieniły; pozostała tylko szeroka kreska, z popękanymi bezbarwnymi wargami. - Minęło ponad dwadzieścia lat, odkąd widzieliśmy się ostatni raz - powiedział zamyślony. - Dwadzieścia dwa lata - poprawiła cierpko. - Dokładnie dwadzieścia dwa lata i trzy miesiące. A mnie to ciągle jeszcze stoi przed oczyma. Również Modersohn próbował wywołać w sobie wspomnienie tamtego roku. Przychodziło mu to jednak z trudem. Obrazy jego przeszłości były postrzępione, wyblakłe i pokryte kurzem czasu. Wyłaniało się z niej tylko kilka mglistych scen: rok 1921 - późna jesień - lasy mieniające się wszystkimi kolorami - jaskrawa żółtość i krwawa czerwień, zmieszana z ostatnią soczystą zielenią - koń, ogier, nazwany Hasso, tak, Hasso z Wangenheim - bryczka, polakierowana na czarno, z czarną skórzaną budą, czerwone poduszki - potem dziewczyna w szarym płaszczu, uśmiechająca się do niego ufnie - niewyraźna twarz, ale urocza, łagodna, jeszcze nie wyłobiona przez życie - sarnie oczy - Susanne Simpson. - Stałem wtedy u progu mojej kariery - powiedział generał zadumany. Nalał trochę wina do swego kieliszka i dodał dużo wody. Wypił. - A dziś? - spytała bez cienia ciekawości. - Gdzie jesteś teraz? U szczytu kariery? - Może u kresu - powiedział Modersohn i łyknął jeszcze raz wina. - Czy oczekujesz, że będę cię żałowała, po tym wszystkim, co się stało? Generał potrząsnął przecząco głową, z lekkim odcieniem niezadowolenia. I po tym geście poznała go bez reszty. Ta posępna, poważna rezerwa, ta zimna, świadoma nieprzystępność, to szorstkie zamykanie się przed wszelkim uczuciem - znała to aż nazbyt dobrze. I nigdy tego nie mogła zapomnieć. - Gdyby można wiedzieć z góry - powiedział generał - jak będzie wyglądało życie, które człowiek sobie obiera... - Przeżyłbyś je dokładnie tak samo, jak przeżyłeś, Ernst. - Nie, Susanne - powiedział stanowczo. - Nie. Nie zrobiłbym tego. Teraz to wiem z całą pewnością. - Zawsze chciałeś być tylko oficerem, Ernst, niczym innym, tylko oficerem, ani przyjacielem, ani mężem, ani ojcem. - Tak jest, Susanne, tak było kiedyś. Być oficerem to było dla mnie wszystko. Ale to minęło, raz na zawsze. Bo w tym świecie nie można już być oficerem, nie narażając się na niebezpieczeństwo, że będzie się zmuszonym do zbrodni. Susanne Barkow spojrzała po raz pierwszy zupełnie otwarcie na generała Modersohna; w oczach jej był niedowierzający lęk. Tak jakby wątpiła, że siedzi naprzeciw człowieka, którego, jak się jej zdawało, zna. Jak strasznie się zmienił. Obrazy, jakie na zawsze wryły się jej w pamięć, były wyraźne i niezatarte: podporucznik Modersohn z 9 pułku piechoty, poważny, ambitny, prawdomówny; pełen spokoju i siły, i energii, w nielicznych wolnych godzinach na swój spokojny, powściągliwy sposób wesoły; podczas bezsennych nocy pochylony nad planami, regulaminami i literaturą wojskową. Przez wszystkich kolegów szanowany do granic podziwu, przez przełożonych ceniony bez zastrzeżeń - przeznaczony do wielkiej, wspaniałej kariery. W wieku lat czterdziestu czterech generał major i komendant szkoły wojennej, odznaczony najwyższymi orderami, przewidziany do służby w naczelnym dowództwie! I właśnie on miałby nie chcieć być dłużej oficerem? - Nawet gdybym się wtedy z tobą ożenił, Susanne, nic by się u mnie

nie zmieniło. Wszystko byłoby tylko bardziej przygnębiające. Ale teraz jestem sam, i to jest dobrze. Nie potrzebuję się z nikim liczyć. Nie zadam bólu żadnemu człowiekowi związanemu ze mną. Mogę wyciągnąć wszystkie konsekwencje, jakie uważam za słuszne. - Czy to jest w stanie coś wymazać, Ernst? Pani Barkow, z oczami utkwionymi w biały obrus, prawie machinalnie przysunęła sobie kieliszek, który jej nalał. Ale nie tknęła go. Ciągnęła dalej: - Z początku było bardzo ciężko, kiedy odszedłeś ode mnie. Ale przebiłam się przez to. Nigdy nie potrafiła przebić się przez to; jej oczy, pełne smutku, zdradzały ją. Ale ciągnęła dzielnie dalej: - Niedługo potem poznałam Gottfrieda Barkowa, i wyszłam za niego bez wahania. Był dobrym człowiekiem, czułym mężem i kochającym ojcem; to tak się zwykle mówi, ale on naprawdę miał te zalety. Gottfried Barkow, z branży tekstylnej, solidny, szanowany kupiec, pełen godności i dobroci, pogodny w jakiś nieśmiały sposób, i zawsze skory do pomocy. Ubóstwiał swoją żonę, kochał syna swojej żony i starał się mu swą miłość wyrazić okazywać. Traktował swoją żonę jako wielki, niezасłużony dar losu. I jeśli nie mógł jej ofiarować olśniewającej kariery i burzliwego szczęścia, to przecież dał jej przystań życiową. Poległ w 1940 roku pod Werdun, o kilka kilometrów zaledwie od miejsca, gdzie w 1916 poległ jego ojciec. - śledziłem twoje życie - rzekł Modersohn spokojnie. Wspólni znajomi z tamtych czasów stale mnie o tobie informowali. - Wiem - odparła prosto. - Również i ja wiedziałam zawsze, gdzie przebywasz i jak ci się powodzi. - Pisałem ci od czasu do czasu - mówił - przez wszystkie te lata. Nie, żeby ci się narzucać, czy też wpływać na ciebie. Chciałem ci tylko dać pewność: jeśli mnie potrzebujesz, stoję do twojej dyspozycji. Jakież to straszne słowo w tym kontekście, pomyślała Susanne Barkow. Stać do dyspozycji! Co miał właściwie na myśli: pieniądze, radę i czyn, nazwisko? I nic więcej? Jak na jedną chwilę - za dużo; jak na całe życie - za mało! Ale również i wówczas, dwadzieścia dwa lata i trzy miesiące temu stał do dyspozycji - blady, głęboko ugodzony, lecz na wskroś uczciwy, jak nakazywał jego kodeks moralny. Jego oczy były posępne i zimne, jak woda głębokiego jeziora pod kryształową taflą lodu. A potem te słowa: Jestem oczywiście gotów ponieść wszystkie konsekwencje, proszę, możesz mną rozporządzać! A ona odparła: Nie, Nigdy, za nic na świecie! I drogi ich rozeszły się jak dwa ramiona rzeki. Jego życie potoczyło się dalej, jej ugrzęzło w stawach i kałużach codzienności. - Zapomniałabym o tobie - powiedziała Susanne Barkow. - Tak wiele się w życiu zapomina. Nie ma prawie ran, których by nie uleczył czas. Im dalej, tym bardziej bezproblemowe wydawało mi się to wszystko. Były nawet godziny, gdy wspomnienie przybierało pogodne barwy. I wreszcie któregoś dnia wszystko stałoby się może pięknym, aczkolwiek nieudanym epizodem... gdyby nie Bernd, mój syn. - Wychowałaś go przykładnie - powiedział generał. - Ie takie będzie twoje zdanie - odparła z goryczą - tego mogłam się domyślić. Przez dwadzieścia lat również i ja myślałam, że prowadziłam go dobrze i wywierałam na niego mądry wpływ. Ale dzisiaj wiem, że wszystko było błędem. Bernd Barkow, jej syn - ostatnio podporucznik i dowódca grupy szkolnej, wysadzony w powietrze i pogrzebany w Wildlingen nad Menem. Niegdyś chłopiec jak sto tysięcy innych chłopców, kochający i oddany syn, pilny i uważny w szkole, zawsze jeden z pierwszych w sporcie i zabawie. Ale im bardziej rósł i dojrzywał, im wyrazistsza stawała się jego twarz - tym wyraźniej dochodził w nim do głosu nowy, młodziutki Modersohn. Jego lodowatoszare, badawcze oczy były pierwszą rzeczą, która wzbudziła w matce dziwny lęk. - Czy twój mąż wiedział, że Bernd nie jest jego synem? - spytał generał Susanne skinęła głową. - Wiedział też, kto był ojcem Bernda, a raczej powinnam powiedzieć: kto go spłodził. Albowiem mąż mój był dla Bernda zawsze jak ojciec, jak dobry, sprawiedliwy, troskliwy ojciec. Ona jednak nie była dla swego męża taką żoną, do jakiej miał prawo i na jaką zasługiwał. W swoim synu odnajdowała tego jednego jedynego mężczyznę, który kiedyś w wielkim porywie uniósł ją wysoko w obłoki szczęścia - a potem pozwolił jej upaść, runąć w przepaść. Jednakże zwodnicza pamięć ukazywała jej wówczas tylko ten wielki szczęśliwy wzlot, ten stan zupełnej nieważkości, którego nigdy nie zapomniała. I tak uległa pokusie. W Berndzie Barkow chciała widzieć Bernda Modersohna. Popierała w swym synu wszystko to, w czym, jak się jej wydawało, rozpoznaje zalety Modersohna. Umacniała go w jego początkowo jeszcze chwiejnych decyzjach; popierała każdy przejaw dyscypliny wewnętrznej; kierowała jego

uwagę ku historii, a wreszcie ku historii wojen. I ukształtowała chętnego, inteligentnego, żądnego wiedzy młodzieńca, który coraz mocniej ciążył ku karierze oficerskiej. - Powinnam była wychować Bernda tak, żeby nienawidził tego zawodu - powiedziała Susanne Barkow. Generał Modersohn milczał z niewzruszoną, prawie kamienną twarzą. Złożył dłonie na stole; skóra i kostki jego rąk były szarobiałe. Bernd koniecznie chciał zostać oficerem - jak jego prawdziwy ojciec, którego nie znał, o którym nic nie wiedział. Kiedy Modersohn dowiedział się o tym z listów od znajomych, poczuł w głębi duszy dumę; i wdzięczność wobec matki. śledził uważnie losy Bernda. - Był dobrym żołnierzem - powiedział Modersohn. - Ale dlaczego musiał umrzeć? Dlaczego musiałeś go przyciągnąć do siebie, żeby tu umarł? - Chciałem go zobaczyć - rzekł Modersohn. Kiedy generał otrzymał nominację na komendanta Szkoły Wojennej nr 5, zażądał podporucznika Barkowa. Dało się to zrobić bez specjalnych trudności. No i zobaczył swego syna. Zobaczył wysokiego, poważnego młodzieńca z chłodnymi, szarymi oczami Modersohnów, o opanowanych, elastycznych ruchach, dobrze wychowanego i imponującego spokojną pewnością siebie. Widok, od którego jego twarz zabarwiła się zdradzieckim szkarłatem nieoczekiwanego wielkiego szczęścia. Jeszcze nigdy w życiu tak nie musiał nad sobą panować, jak w owej chwili. - Zobaczyłeś go więc - powiedziała Susanne Barkow - i ja ci dałam na to listowne pozwolenie. Również i to było błędem. Również i ten błąd jest już nie do naprawienia. - Ujrzałem swego syna - powiedział generał Modersohn zatopiony w myślach. - I w tych niewielu godzinach, kiedy byliśmy razem, Bernd i ja, przepelniała mnie tylko wdzięczność. Po raz drugi mnie to spotkało: to, co chyba powszechnie nazywa się szczęściem. Dwie chwile czystej radości - to było całe moje życie. Ale to nie było wszystko. Generał nie mówił jej o tym, że kiedy rozmawiał z Berndem, ogarniał go niepokój. Niepokój graniczący z lękiem. Ten jego syn był taki sam jak on - twardy jak on, zdecydowany jak on, surowy jak on. Rzecz równie fascynująca, co niepokojąca: generał poznawał siebie w swoim synu. Wszystko powtarzało się jeszcze raz i chyba ciągle na nowo, jak gdyby życie stale rysowało te same chybotliwe kręgi. Ten jego syn był oficerem, tylko oficerem, niczym więcej jak oficerem. Był gotów walczyć, i jeśli trzeba będzie, umrzeć - jak całe pokolenia oficerów przed nim. Za to, co oni uważali za ojczyznę. Ale generał zrozumiał, że tak pojęte życie jest już dla oficera niemożliwe. Modersohn próbował wyjaśnić synowi - który nie wiedział, że mówi do niego ojciec - jak do tego wszystkiego doszło. Prusy przestały istnieć i wraz z nimi umarł też pruski duch. Dawniej hasło brzmiało: Dla rodziny, ziemi rodzinnej, ojczyzny. Teraz krzyczano: ein Reich, ein Volk, ein Führer. żołnierz nie walczył już przeciw żołnierzom, nie bronił już ojczyzny, nie chronił ludzi - musiał, jak za czasów landsknechtów, zwalczać ideologie, religie i potężne kliki. I co gorsza: musiał tolerować zbrodnie, a tym samym sankcjonować je - był więc i współwinowajcą. Niemcy straciły swój honor. Człowiek, który pozbawił Niemców honoru i robił z oficerów zbrodniarzy, nazywał się Hitler. A wokół niego najmici i wazelinarze, naganiacze i sutenerzy polityki. I do tego ci ograniczeni i gruboskórni Niemcy, którzy uważali siebie za sól ziemi, a swój kraj za pępek świata. Zasługiwali na pogardę, na sąd, na potępienie! Nie mogło być pobłażania i łagodności dla nielitościwych, dla zuchwalców, dla wrzeszczących nienawistników! To właśnie wbijał do głowy podporucznikowi Barkowowi, swemu synowi. - I on to zrozumiał. I dlatego musiał umrzeć. - Tyś mi podarował tego syna - powiedziała pani Barkow z ciężkim sercem - i przy tobie zginął. Ty przeorałeś moje życie jak pole, a potem je zniszczyłeś. A może czujesz się niewinny? - Nie - powiedział generał. - Jestem winny. I jestem zdecydowany odpokutować tę winę, niezależnie od tego, jakie to pociągnie za sobą skutki. światło lampy padało na opróżnione do połowy kieliszki, i czerwone wino lśniło jak krew. Mieli uczucie, że nie mają sobie już nic do powiedzenia. Odgłosy z hotelowego lokalu stawały się coraz bardziej natrętne. Generał poprosił o pozwolenie pożegnania się. Nie odszedł jednak, dopóki nie ustalił planu na dzień następny: porucznik Krafft przyjdzie około dziewiątej rano po panią Barkow do hotelu, żeby zaprowadzić ją na cmentarz - ma rozkaz zostawić ją samą przy grobie tak długo, jak długo będzie sobie życzyła. Kwiaciarnia na rynku, trzy kamienice od hotelu, otrzymała już zamówienie na wieniec według wskazówek pani Barkow, wieniec z dwoma wstęgami i napisem, jaki będzie sobie życzyła. Po cmentarzu przewidziane było

zwiedzanie szkoły wojennej, również pod przewodem porucznika Kraffta, i spotkanie z grupą szkolną Heinrich, w której podporucznik Barkow ostatnio pełnił służbę. - Po południu - powiedział generał - będę znowu do twojej dyspozycji, od godziny czternastej, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Mam jeszcze parę drobnych pamiątek po Berndzie, parę zdjęć, kilka jego prac, dwie książki z jego zapiskami na marginesie; oddam ci je, jeśli pozwolisz. Susanne Barkow skinęła głową. Generał odprowadził ją przez salę restauracyjną do hallu. Wziął u portiera klucz od jej pokoju i pożegnał się u stóp schodów. Do właściciela hotelu, który stał w głębi hallu w usłużnej postawie, Modersohn powiedział: - Wszystko na mój rachunek, proszę. - Po czym generał szybkim krokiem wyszedł w noc. * * * - Musi się pani jeszcze wiele nauczyć - powiedział kapitan Kater jowialnie do Ireny Jablonski. - To po pani widać. Siedzieli w tym samym hotelu. Również dla nich zarezerwowano jeden z zacisznych gabinetów. Również i ich otaczała chłopska, starofrankońska solidność. Gospodarz wiedział, co się należy uprzywilejowanym gościom. Generał był dla niego znakomitym szyldem wystawowym. Ale kapitan Kater oznaczał stosunki, które mogły się opłacić. Od cennej rady aż do dostarczenia ciężarówki - na Katera można było zawsze liczyć, na zasadzie: ręka rękę myje. - Czy wie pani, jaka jest różnica między winem musującym a szampanem? - spytał kapitan Kater zaciągając się z rozkoszą cygarem. Irena Jablonski zaprzeczyła, szczerze zmartwiona. - Nie wiem, nie znam ani jednego, ani drugiego, ale chętnie bym poznała. Czy nie zechciałby mi pan w tym pomóc, panie kapitanie? - Dlaczego nie? W tym i w paru innych jeszcze rzeczach, jeśli pani zechce. - Jeszcze jak chcę! Ja naprawdę tak mało jeszcze wiem. A tak bardzo chciałabym wiedzieć strasznie dużo. Inne w moim wieku są już o wiele bardziej zaawansowane. - No tak - powiedział kapitan Kater przeciągle. - Dlaczegoż by nie? I zaczął przyglądać się siedzącej naprzeciw niego dziewczynie. W gruncie rzeczy ta mała była jeszcze dzieckiem, i choćby już z tego powodu - bardzo ponętna. W każdym razie miała ponad szesnaście lat; to było uspokajające. - Czy pani się domyśla, dlaczego panią tu zabrałem? - spytał kapitan. - Bo pan jest dobrym człowiekiem! - powiedziała Irena z zapałem. - No tak, jeśli wziąć pod uwagę, że można być dobrym na różne sposoby, to mogę się z tym zgodzić. Pani mi się podoba, dziecinko. - To mnie bardzo cieszy. Pan mi się też podoba. To nawet nie było kłamstwem tylko lekką przesadą. Była mu naprawdę wdzięczna. Zabrał ją do najwytworniejszego lokalu w mieście. Zamówił do jedzenia tyle dobrych rzeczy. Pili też wino. Czuli się syta i szczęśliwi. - A więc podobamy się sobie nawzajem - stwierdził Kater. - To naprawdę bardzo przyjemne. - Pan jest zawsze taki wytworny i taki poważny, a także taki ojcowski. Tu kapitan Kater się nastroszył. Natknął się na wzrok niebieskich, ufnych, wpatrzonych w niego dziecięcych oczu. I obudziło się w nim straszne podejrzenie. Czy ta mała udawała taką naiwną? Czy w rzeczywistości była może wyrafinowana? Coś w rodzaju małego zimnego drania? Ale nie mogła przecież mieć doświadczeń dorosłej kobiety - wszak na to była o wiele za młoda. Odurzająco młoda. - Ojcowski - powtórzył powoli. - Czy takie robię na pani wrażenie, Ireno? Możliwe. Nie należę już do tych najmłodszych. - Ale pan w każdym razie nie jest stary - zaprzeczyła Irena natychmiast z gwałtownością, która mile polectała jego próżność. - Pan jest dojrzały. A ja lubię dojrzałych, solidnych mężczyzn. Młodych szczeniaków nie znoszę. - To zrozumiałe - powiedział Kater udobruchany. Ci młodzi, niedoświadczeni ludzie robią same głupstwa. Wyrządzają więcej szkody, niż sprawiają przyjemności. Nie umieją po prostu żyć. - A do pana można mieć zaufanie, otóż to! Chciałabym zawsze być blisko pana, najchętniej w kancelarii. Ja będę się bardzo starała, naprawdę. W kuchni człowiek przecież kiśnie. Czy pan nie ma czegoś dla mnie, proszę! - No, zobaczymy, co się da zrobić. - Dzięki, serdeczne dzięki! - Tylko powoli - hamował ją Kater. - Nie powiedziałem, że to zrobię. Powiedziałem tylko: zobaczymy, co się da zrobić. - Ale to przecież wystarczy! U pana na pewno, panie kapitanie. U każdego innego można by wątpić, ale nie u pana przecież. - No dobrze, dziecinko, jeśli tak jest, to zasłużyłem sobie chyba na nagrodę, czyż nie tak? - Ależ tak! Tylko jak to zrobić? Ja przecież nic nie mam. - No, już coś tam znajdziemy. A gdybyś mnie tak na przykład pocałowała? - Można? - A dlaczego nie, dziecino? - Czy naprawdę mogę? - Chodź do mnie. Bliżej. Jeszcze bliżej. No co? - Dziękuję. - Ależ nie w czoło, dziewczyno! Co ty sobie myślisz? A może miał to być taki pocałunek, jaki należy się ojcu? -

Ależ nie! Tak mi jakoś wstyd. Jeszcze nigdy czegoś takiego nie robiłam. Teraz było lepiej? - W każdym razie to już był początek. Musisz się w tym ćwiczyć. Spróbuj jeszcze raz. - Teraz już nie można. Muszę iść. Irena cofnęła się szybko na swoje miejsce. Wydawała się być mocno zakłopotana, ale jednocześnie bardzo podniecona. Kater przyglądał się jej z niejakim zadowoleniem. - Tylko nie tak nieśmiało, dziewczyno! - rzekł. - I dlaczego tak się spieszysz? Mamy jeszcze dużo czasu. - Tak, ale jutro muszę być z samego rana w kuchni. - Nie musisz. Możesz się wyspać, już ja to załatwię. - Och, to bardzo miło z pańskiej strony, panie kapitanie. Ale iść muszę mimo to. - O nie, skoro wieczór się dopiero zaczął. Możemy się jeszcze czegoś napić, a potem wstąpić do mnie... obejrzyć zdjęcia. - Może innym razem, panie kapitanie, dobrze? Och, tak się na to cieszę. Ale teraz już naprawdę muszę iść. - Ależ dlaczego, u licha? - Bo czekają na mnie, panie kapitanie. - Czekają na ciebie? Kto czeka? - Moja przyjaciółka, z którą mieszkam w jednym pokoju, Elfrieda Rademacher. Zna ją pan chyba? - Jeszcze jak! - Ona czeka na mnie, zaraz tu obok. I powiedziała, że jak nie przyjdę na czas, to ona przyjdzie tu po mnie. - To mi na nią wygląda. A czy ona wie, że jesteś tu ze mną? - Ależ oczywiście - wyjaśniła Irena. - Wszystko to dokładnie z nią omówiłam. Ona się pierwszorzędnie orientuje w takich sprawach, panie kapitanie. Dziękuję za wszystko. Tak się strasznie cieszę, że będę mogła pracować u pana w kancelarii. * * * Delikatna mgła wisiała w powietrzu. Snuła się, jakby rozdarta na strzępy, wokół starych kamieniczek. Ulice wydawały się opustoszałe. Kroki generała odbijały się echem od murów domów. Podniósł kołnierz płaszcza i zwiesił głowę. Był sam. Szedł i szedł, ulicami, ku wzgórzom, na którym stały koszary. Miasteczko liczyło około dwudziestu tysięcy mieszkańców. I nie różniło się niczym od innych małych miasteczek. Również w wielu innych miasteczkach istniały koszary. Te jednakże sterczały ku niebu podobne do masywnej korony betonowej. Koszary leżały na zachodzie miasta, dlatego zabierały mu zachodzące słońce o kilka minut wcześniej. Rozżarzały się wówczas czerwienią, i ich ostre kontury rysowały się na horyzoncie jak wielka groźba. Dla generała jego zawód nigdy dotąd nie był przyjemnością, ale długi czas generał nie widział w nim też nic groźnego. Dążeniem jego było opanowanie ciężkiego, twardego, służebnego rzemiosła. Gdyby od niego to zależało, rzemiosło to wykonywane by było w odosobnieniu i niewiele by się różniło od służby w niektórych zakonach. Bronić innych - dzieci, matek, biednych i udręczonych. Umrzeć dla nich, jeśli nie ma innego wyboru. Służyć, myślał generał. Służyć. Ale komu? Tą samą drogą, którą szedł tej nocy pod górę, do koszar, chodzili też tak zwani luminarze miasta - wiele razy. Ostatni raz, kiedy on się tu sprowadził, jako komendant. Przyszli do niego - burmistrz, ortsruppenleiter, dwaj rzemieślnicy, jeden przedsiębiorca, przedstawicielki Narodowosocjalistycznego Związku Kobiet, obrony przeciwlotniczej, Czerwonego Krzyża - delegacja obywateli uważająca się za pełnomocną i kompetentną. I witali go, nowego komendanta, i zapewniali, że są dumni i szczęśliwi, iż mają wśród siebie generała i jego żołnierzy. Mówili o dobrych stosunkach między armią a mieszkańcami tego miasta; i wyrażali życzenie i nadzieję, że stosunki te się nie zmienią i w miarę możliwości jeszcze pogłębią. A w oczach ich była żądza uznania, chęć zysku, przyjemność bawienia się w żołnierzyków. Generał patrzył na nich bez słowa, a potem odszedł. A te kreatury doszły do wniosku, że musi to być wielki, bardzo oryginalny człowiek, któremu należy się szacunek i cześć. Jego zamierzona szorstkość przyprawiła ich o rozkoszne drżenie - ktoś potężny dał im kopniaka w tyłek, kontakt, jaki nawiązali, był więc bardzo ścisły. Generał zbliżał się do bramy koszar z twarzą zdradzającą wyraźnie wstręt - wstręt również do siebie samego. Tylko nielicznym dane było być takimi jak on - to było dla niego jasne. Co go pchało do tego, by nie rezygnować z upartego poszukiwania tych nielicznych? Był naznaczony przez los; tego wieczoru poczuł to tak wyraźnie, jak nigdy przedtem. Kiedy przekraczał bramę, odsalutowując wartownikowi poprawnie jak zawsze, wzniósł oczy w górę i popatrzył na budynek, w którym mieściła się komenda szkoły. Okna jego pokoju odbijały tylko ciemności nocy. Ale w sąsiednim oknie jego bystre oczy dojrzały cieniutką smużkę światła - Sybilla Bachnber pracowała jeszcze w przedpokoju. * * * Generał wszedł do budynku, potem schodami na górę i skierował się do przedpokoju. Otworzył drzwi i zobaczył Sybillę, a naprzeciwko niej porucznika Krafft. Na stole między nimi stała butelka i dwa kieliszki.

Generał zatrzymał się w drzwiach. Krafft natychmiast zerwał się. Również Sybilla wstała po chwili wahania. Powiedziała: - Porucznikowi Krafftowi i mnie potrzebne było gwałtownie coś na pokrzepienie. - Dlaczego? - spytał generał, stojąc w drzwiach bez ruchu. - Byliśmy na tak zwanym małym przyjęciu, wydawanym regularnie przez panią Frey... - Rozumiem - powiedział generał. Skinął szybko głową i przeszedł do swego gabinetu. Drzwi pozostawił otwarte. Sybilla weszła ze słowami: - I tak mieliśmy zaraz skończyć. Generał zdjął płaszcz i rzucił go na krzesło. Wrócił do przedpokoju, Sybilla za nim. Krafft ubierał się właśnie do wyjścia. - Panie poruczniku Krafft - powiedział generał - mogę zrozumieć, że miał pan potrzebę wypić po tego rodzaju imprezie. Nie rozumiem jednak, dlaczego ta potrzeba ma być zaspokajana w moim biurze. - Tak jest, panie generale - odparł Krafft obojętnie. - Czy to pański koniak, panie poruczniku? - Nie, panie generale. - Może pan go mimo to zabrać. Również pannę Bachner, jeśli sobie tego życzy. Sybilla pośpiesznie zapewniła: - Mieliśmy się właśnie pożegnać, panie generale. Jeśli mogę jeszcze być w czymś pomocna... - Możliwe - powiedział generał. Podeszedł do porucznika Kraffta, stanął przed nim, spojrzał nań badawczo i spytał po krótkim milczeniu: - Jakie postępy poczynił pan w wiadomej sprawie? - Niewielkie, panie generale. - Proszę nie zwlekać dłużej - rzekł generał z naciskiem. - Niech się pan stara dojść wreszcie do jakichś rezultatów. Chcę wiedzieć, dokładnie wiedzieć, dlaczego to się stało, jak się stało i kto jest sprawcą. I to możliwie jak najprędzej. Niech pan będzie na to przygotowany, panie poruczniku, że odtąd będę pana często prosił do siebie, w wiadomej sprawie. W tej chwili jednak nie jest mi pan potrzebny. Porucznik spojrzał jeszcze raz na Sybillę. Ona jednak nie patrzyła na niego - widziała tylko generała. Krafft oddał honory zgodnie z regulaminem i wyszedł. - A teraz co do pani, panno Bachner - powiedział generał, patrząc jej prosto w oczy. - Przykro mi, jeśli pani przedtem przeszkodziłem, ale chyba pani sama rozumie, że nie mogę się z tego powodu usprawiedliwiać. - To ja powinnam się usprawiedliwiać, panie generale - rzekła Sybilla. - Pan w niczym nie przeszkodził, naprawdę nie. - W takim razie szkoda - powiedział generał ze skąpym uśmiechem. - łyczę pani wszelakich rozrywek, co prawda niekoniecznie w naszych pomieszczeniach służbowych. Ale porucznik Krafft, przy wszystkich zastrzeżeniach, to niezły wybór. - Ma na pewno swoje zalety - powiedziała Sybilla szczerze. - Ale dla mnie nie wchodzi on w rachubę. - Tylko... kto? Sybilla spojrzała na generała szeroko otwartymi oczami; można w nich było dostrzec zmieszanie i przerażenie, ale także iskrę nadziei. Gotowa była nieomal uwierzyć, że jest to bezpośrednie wyzwanie - ale rozum kazał jej wątpić w taką możliwość. - Myślę, że czas wyjaśnić pewne nieporozumienie - powiedział generał i wyprostował się. - Nie uszło mojej uwagi, że pani darzy mnie pewną sympatią, panno Bachner. Uważałem to zawsze za przyjemne, aczkolwiek zbędne. Nie chciałbym pani stracić, tacy współpracownicy jak pani zdarzają się bardzo rzadko. Ogarnęło ją gwałtowne, dławiące wzburzenie. Nagle ujrzała wszystko w oślepiającym świetle. Nie była w stanie myśleć, aczkolwiek szukała rozpaczliwie interpretacji, wyjaśnień, punktów zaczepienia dla nikłej, bodaj najniklejszej nadziei. - Panno Bachner - rzekł generał - potrzebny mi jest rozkład zajęć drugiego kursu na przyszły tydzień, rozkład szczegółowy, nie ramowy plan szkolenia. I jeszcze wyjaśnienia dowódcy szóstego oddziału. Za trzy minuty, jeśli mogę prosić. Potem pani będzie łaskawa zostawić mnie samego. 17 Jazdy na rowerze też trzeba się uczyć - Piąta trzydziści, i ładna pogoda! - zawołał dyżurny podchorąży. - Wstawajcie, lenie! Bo jak nie, to wam pod zmęczonymi tyłkami ogień rozpalę. Dziękujcie Bogu, że żyjecie, wyłażcie spod koców! Ten dzień zaczął się dla podchorążych jak każdy inny. Nie zapowiadało się nic niezwykłego. Przeciwnie, wszystko było jak co dzień: przenikliwy gwizd sygnału, stereotypowy wrzask dyżurnego podchorążego, duszne, zepsute, śmierdzące powietrze. Wyleżli z łóżek polowych, zataczając się, i stali przez kilka sekund bez słowa. Potem się rozruszali - było bowiem zimno. - Wychodzić, leniwe psy! - wołał dyżurny podchorąży. - W górę serca i nocne koszule! Zwyczajna nocna koszula była dla podchorążych poniekąd przepisowym strojem służbowym na czas od capstrzyku do pobudki. Tylko oficerowie mogli nosić piżamy; dostarczane przez urząd mundurowy sił lądowych, w trzech wzorach i pięciu wymiarach, po cenie od 28,40 do 34,80 marek. Teraz jednak podchorążych obowiązywały jeszcze

nocne koszule, i to wyłącznie białe; kieszonka na lewej piersi była co prawda niepożądana, ale nie można powiedzieć, żeby była wyraźnie zabroniona. „Wytyczne wykorzystania odzieży w nocy” zaprojektował major Frey, dowódca kursu. Major był uznanym mistrzem w preparowaniu tego rodzaju gruntownie przemyślanych zarządzeń. Jeśli mimo to prawie żaden z podchorążych grupy szkolnej Heinrich nie trzymał się rozkazu specjalnego nr 78, to miało to oczywiście swoje przyczyny. Porucznik Krafft był bowiem nowicjuszem. Podchorążowie wiedzieli o tym i wykorzystywali to bez skrępowań. Krafft nie mógł jeszcze znać tych wszystkich delikatnych niuansów, wymyślonych przez dowódcę kursu. I dlatego spytali go niewinnie: - Czy w razie dużych mrozów wolno nosić dodatkową odzież nocną? Nie podejrzewający nic złego nowy dowódca grupy odparł: - Jeśli o mnie idzie, to możecie spać nawet w futrach. Podchorążowie grupy szkolnej Heinrich opuszczali więc swoje łóżka w nader oryginalnych strojach: wielu miało skarpetki na nogach i szaliki na szyi, niektórzy mieli na sobie kompletną bieliznę spodnią albo tylko jej części, a dwóch jeszcze do tego swetry. Kramer, Weber, Amfortas i Andreas, i oczywiście również Hochbauer, patrzyli na tego rodzaju stroje po części z niechęcią, po części nawet z obawą. Murowane, że pewnego pięknego poranka kapitan Ratshelm odkryje ten spragniony ciepła, rozleniwiający brak hartu. A to niechybnie pociągnie za sobą przykrości. Bo kiedy Ratshelm dokonywał inspekcji u swoich podchorążych podczas pobudki, chciał ich widzieć w nocnych koszulach, zgodnie z wytycznymi. - Nie pomoże wam płacz ani szcęknięcie zębami! - zawołał dyżurny podchorąży. Podchorążowie grupy szkolnej H, rozlokowani w ośmiu izbach, ściągnęli z siebie nocne koszule i wszystkie inne części garderoby. Następnie, ziewając, burcząc i narzekając, łapali się za sprzęt sportowy. Pierwsze pół godziny było najgorszą pracą dnia, porównywalną co najwyżej z nauką taktyki u kapitana Federsa: codziennym preludium była gimnastyka poranna - piętnaście minut; W tym dniu prowadził ją porucznik Krafft, co, jak wykazało doświadczenie, nie było takie najgorsze. Bo każdy z oficerów miał swoje własne metody. A metody Kraffta były jeszcze całkiem znośne. „Rozgrzejdźcie się, chłopcy!” - zwykł być mawiać. Przy czym spokojnie wypalał swego porannego papierosa i pilnował, żeby mu nie przeszkodził w tym żaden z wyższych przełożonych. - Jak się zapatrujecie na mały maraton, przyjaciele?! - krzyknął porucznik Krafft do swych podchorążych. To nie była ani propozycja, ani wezwanie - to był rozkaz. Podchorążowie niezwłocznie ruszyli biegiem. Tempo było średnie. Bo ciągle jeszcze czuli poranne zmęczenie w kościach. - Wiecznie to samo - jęczał podchorąży M~osler. - Co dzień to samo. Rzygać się od tego chce. * * * Wszystko było jak w każdy inny poranek - tak się przynajmniej zdawało. Mimo to stało się coś, co początkowo nikomu nie rzuciło się w oczy. Porucznik Krafft powiedział: - Rednitz, proszę do mnie. - Oho - rzekł podchorąży Kramer, w dalszym ciągu starszy grupy - czyżby ten Rednitz znowu coś przeszkobał? To do niego podobne. Rednitz z dość mieszanymi uczuciami opuścił szeregi cwałujących w ponurym nastroju podchorążych. Rozmowy z przełożonymi rzadko kiedy bywały przyjemnością; a już prawie nigdy z samego rana. Dlatego zbliżał się do swego dowódcy z ostrożnym uśmiechem, pomyślanym jako test. Na ten bardzo uprzejmy uśmiech odpowiedział Krafft podobnym. Stworzyło to od razu przyjemną atmosferę. Jeśli nawet Rednitz nie wiedział o Kraffcie wiele, o jednym już się przekonał: ludożercą to on nie był. - Mój drogi Rednitz - powiedział porucznik - chciałbym postawić wam pytanie, na które nie musicie oczywiście odpowiedzieć, jeśli nie zechcecie; aczkolwiek jestem przekonany, że jesteście w stanie odpowiedzieć. Słowa te wzbudziły w Rednitzu czujność i nieufność. Już samo to „mój drogi” rozwiązało ostatnie bóle porodowe wstawania po głuchej, leniwej nocy. Rednitz zważał natychmiast, że oczekiwano od niego czegoś niezwykłego. Patrzył na porucznika mądrymi, ciekawymi oczami. - Chodzi o rzecz następującą - powiedział Krafft spokojnie. - Przyjechała pani Barkow, matka podporucznika Barkowa. Mnie przypadło w udziale zadanie opieki nad nią, prawdopodobnie dlatego, że jestem następcą jej syna. I przed południem, przypuszczalnie podczas zajęć od jedenastej do dwunastej, przedstawię pani Barkow naszą grupę. Tu Krafft zrobił z góry przemyślaną sztuczną pauzę. W ten sposób dał Rednitzowi możliwość przystosowania się do tej sytuacji. I zdawało mu się, że w zwykłe pogodnych, zawsze bystrych, a często chytrych oczach

podchorążego błysnęło zrozumienie. - Tak jest, panie poruczniku - odrzekł Rednitz gorliwie. - To znaczy, Rednitz, pani Barkow pozna podchorążych, którzy byli świadkami śmierci jej syna. Dla mnie jednakże ciągle jeszcze nie jest jasne, jak doszło do tej śmierci. Niejasne jest dla mnie również to, kto właściwie, w mniejszym lub większym stopniu, umyślnie lub nieumyślnie, przypadkowo lub świadomie, mógł się do niej przyczynić. Powstaje więc sytuacja szczególna, w której moglibyście mi pomóc. - Ja, panie poruczniku? - spytał Rednitz ze starannie ukrywaną niechęcią. Widać było po nim, jak bardzo przeklinał tę rozmowę. Ten Krafft próbował wpakować go w niezłą kabałę. On, Rednitz, mógł teraz zdobyć przychylność porucznika; ale tylko w tym wypadku, gdyby się w zdradziecki sposób wygadał. Mógł również udawać, że nic nie wie, i milczeć - lecz w ten sposób wywołałby niezadowolenie porucznika albo, co gorsza, zrobiłby sobie z niego lekkomyślnie wroga. - Rednitz - powiedział Krafft, który zdawał się zgadywać myśli podchorążego (z góry je przewidywał) - nie jest przecież tak, że oczekuję od was szpiclowania czy donosów. Spodziewam się jedynie rady. Proszę sobie wyobrazić, co by się mogło stać: pani Barkow będzie może rozmawiała z tym czy owym podchorążym, poda mu rękę, może mu nawet podziękuje. A mnie się jakoś zdaje, że w grupie jest paru ludzi, którym nie powinna dziękować, paru, którzy nie chcieli albo nie mogli zrozumieć podporucznika Barkowa, którzy go nie lubili, może nawet nienawidzili. - No cóż - wykrztusił Rednitz po dłuższym milczeniu - proponowałbym panu porucznikowi, żeby pani Barkow zwróciła się do mnie. Ja mogę jej z czystym sumieniem podać rękę. - Tylko wy, Rednitz? - Całe mnóstwo innych jeszcze, panie poruczniku... co najmniej wszyscy ci, co siedzą na tylnych ławkach. - A ci z przednich ławek nie? Rednitz spojrzał na swego porucznika wielkimi oczami, niespokojny, a zarazem zdziwiony. Miał bowiem uczucie, że błyskawicznie i wbrew swoim zamiarom polazł wprost do pułapki. Szukał słów, które pomogłyby mu się z niej wydostać, ale im dłużej szukał, tym jaśniej zdawał sobie sprawę, że każda dalsza sekunda pogarsza jego sytuację. Bo milczeniem swoim potwierdzał tylko słowa Kraffa. - Dobrze, Rednitz - zakończył porucznik Krafft. I zrobił taką minę, jakby się niczego ważnego nie domyślał czy nie dowiedział. - Miałem nadzieję, że mi pomożecie. Ale zdaje się, że się przeliczyłem, co chyba nie jest waszą winą. Proszę traktować moje słowa jako informację poufną. Możecie o wszystkim zapomnieć, jeśli macie ochotę. Dziękuję, Rednitz. Podchorąży Rednitz zrobił w tył zwrot i uciekł. Pobiegł za swoją grupą i włączył się do szeregu. Na jego młodzieńczym czole wystąpiły fałdy - od wyczerzonego myślenia. Złoty most, jaki mu jeszcze na sam koniec porucznik zbudował, wydawał mu się szczególnie złowieszczy. Był jaskrawym dowodem na to, do jakich rozmiarów doszła jego nieuwaga i jak dokładnie ten Krafft go przejrzał. - Czego chciał od ciebie ten naganiacz niewolników? - spytał Kramer. - Wylaził ze skóry, żeby się dowiedzieć, kto z nas ma właściwie na sumieniu podporucznika Barkowa - oświadczył Rednitz prowokacyjnie głośno i wsunął się z powrotem na swoje miejsce. - Stary kawalarz! - powiedział Kramer niezbyt ubawiony. Był bowiem absolutnie przekonany, że Rednitz znowu pozwolił sobie na jeden ze swych wątpliwych dowcipów. Kilku podchorążych roześmiało się. Im również odpowiedź Rednita wydała się zabawna. Ale Andreas, między Hochbauerem a Amfortasem, zawołał z oburzeniem: - Z takimi rzeczami się nie żartuje, człowieku! - Powiedz to swojemu sąsiadowi - odszczeknął mu się Rednitz. - I powiedz mu przy okazji - zawołał M~osler - że ja mu się nie pozwalam pocałować w dupę, bo mógłby to sobie zinterpretować jako dowód sympatii. - Tego - ostrzegł Rednitz M~oslera - on ci nigdy nie zapomni. - Mam nadzieję - odparł M~osler beztrąsko. Krafft wypalił tymczasem swego pierwszego papierosa. Wyrzucił niedopałek zamaszystym łukiem na sam środek placu ćwiczeń i dał sygnał gwizdkiem: gimnastyka poranna była skończona. Grupy szkolne Gustaw i Ida oddzieliły się od grupy Heinrich. Podchorążowie porucznika Kraffa stanęli przed nim w dwuszeregu i czekali, aż dowódca puści ich do baraków. - Zmiana w rozkładzie zajęć na dzisiejsze przedpołudnie - obwieścił porucznik Krafft. - Pierwsza godzina, historia wojen, odpada. Czwartą godzinę prowadzę ja. Temat nie ustalony. W razie gdybym się spóźnił, grupa odczyta i przedyskutuje rozkaz specjalny numer dziewięćdziesiąt cztery. Pierwsze trzy godziny przejmuje kapitan Feders. Zajęcia z taktyki. - Gównno - wyrwało się M~oslerowi z głębi serca. - Przyjaciele -

rzekł kapitan Feders radośnie - dziś nareszcie będziemy mieć dosyć czasu na nieco gruntowniejsze zajęcie się materiałem niż zwykle. Stwierdzam z przyjemnością, że ta zapowiedź was poruszyła. Podchorążowie siedzieli zrezygnowani w swoich ławkach. Czuli, co ich czeka. I nie mylili się. Pierwszym szczytowym punktem było poszukiwanie dwóch motocykli. O tych dwóch motocyklach podchorążowie zapomnieli przy wielkim zestawieniu napisanym wspólnymi siłami na tablicy. - Siuśmajtki, puste łby i lunatycy! - stwierdził kapitan Feders z głęboką satysfakcją. - Związek łazęgów! Feudalny klub nierobów! Zapomnieć o dwóch motocyklach to znaczy: dwaj motocykliści bez przydziału, dwaj ludzie obijają się po kątach i z nudów wpadają na głupie pomysły. Poza tym: dwa przeoczone motocykle oznaczają, że łączność szwankuje, co niekiedy może doprowadzić do strat, nieszczęśliwych wypadków i wypadków śmierci. Wszystko to i jeszcze o wiele więcej może się stać, gdy z czystej głupoty pozostawia się bez zajęcia dwóch motocyklistów. Podchorążowie traktowali Federsa jako dopust Boży. Wciągali głowę w ramiona i zapisywali całe zeszyty i notesy. Pisanie było dla nich zawsze małą, nieśmiałą próbą ucieczki - przynajmniej nie musieli patrzeć swemu wykładowcy w oczy. Bo czekać z otwartymi oczami na jego ostry, chwytny wzrok - to przyprawiało ich o drgawki. - Psiakość - mrucał Rednitz. Feders - to Rednitz wiedział dokładnie - robił ze szkoły wojennej coś w rodzaju czyścica przed ewentualnym piekłem. A porucznik Krafft - do czego ten zmierzał? U kapitana Federsa było niemożliwe, a przynajmniej bardzo trudno było myśleć o rzeczach nie związanych z wykładem. Jego wywody podobne były do pola zaminowanego z wielkim wyrafinowaniem. Każdy podchorąży, łącznie ze swoimi snami o karierze oficerskiej, mógł tu niezwykle łatwo wylecieć w powietrze. Dlatego nawet Rednitz starał się ze wszystkich sił koncentrować całą swą uwagę na wykładowcy taktyki. - Istnieje jeszcze jeden stuprocentowy dowód na to, że jesteście bandą leśnych małp - rzekł kapitan Feders, smakując każde słowo. - Kiedy wam podawałem sytuację wyjściową, pozwoliłem sobie zapytać was: Wszystko jasne? Iadnych uwag? Iadnych dodatkowych wyjaśnień? A wyście kiwali głowami jak figury na strzelnicy. A przy tym zaprowadziłem was na śliski grunt. Popelniłem zupełnie świadomie błąd. Jaki? Jaki błąd? Podchorążowie usiłowali nadać sobie wysoce zamyślony wygląd. Usiłowania, o czym dokładnie wiedzieli, zupełnie bezsensowne. Albowiem na początku zajęć, przy podawaniu sytuacji wyjściowej, kapitan Feders podał dwadzieścia do dwudziestu pięciu różnych danych, trzy tuziny cyfr, znaków i terminów. - A więc - powiedział Feders - zaraz na początku, między pozycją piętnastą a siedemnastą, wymieniłem punkt zborny poległych. I to jest oczywiście czyste śmiecie, które powinno wam być śmierdzieć z daleka. Ale wasze zmysły, zdaje się, są zupełnie stępione. Podchorążowie, w każdym razie większość z nich, ciągle jeszcze nie wiedzieli dokładnie, gdzie tu właściwie tkwił błąd. Czy dane te były nieprawidłowe? Czy podane w niewłaściwym miejscu? Czy w tej sytuacji punkt zborny trupów był zbędny, niecelowy albo urządzony przedwcześnie? Co za oszałamiające bogactwo możliwości! Właśnie dlatego zwykli mawiać: Taktyka jest sprawą szczęścia. A u kapitana Federsa taktyka przypominała liczenie liści w gęstym lesie. - Nie istnieją w ogóle punkty zborne trupów - oświadczył kapitan Feders z wyraźną satysfakcją. - W każdym razie nie w czasie bitwy. Chyba że chcecie zakładać cmentarze honorowe, ale na to na wojnie nie ma czasu. Już prędzej mogę sobie wyobrazić punkty zborne idiotów; cała grupa mogłaby z miejsca tam pomaszerować. Nie ma punktów zbornych trupów podczas bitwy - zapisywali w swoich zeszytach podchorążowie. - Dlaczego nie? - ciągnął Feders. - Całkiem po prostu: środki transportu istnieją dla walczących żołnierzy i dla zaopatrzenia - dla broni, żywności i amunicji. Kto nie żyje, zostaje pochowany. Możliwie na miejscu, oczywiście nie przed bramami domów, na ulicach, przy kwaterach, obok magazynów zaopatrzeniowych albo na stanowiskach bojowych. Trumny są niepotrzebne; wystarczą plandeki; pod warunkiem, że te plandeki nie nadają się już do niczego innego; a więc plandeki przestrzelone albo rozdarte; krzyż brzozywy wygląda bardziej dekoeracyjnie niż krzyż z innego drzewa. Oficerowie zresztą, jeśli nie są zupełnie krótkowzroczni, zawsze będą dbali o to, by mieć na składzie wystarczający zapas gotowych krzyży. W każdym razie: na wojnie są trupy, nie ma natomiast punktów zbornych trupów. Podchorążowie również i te wyjaśnienia przyjmowali z niezmienną gorliwością. Feders spojrzał na

zegarek i zamknął dziennik. Podchorążowie odetchnęli z ulgą. - Skoro mowa akurat o trupach - powiedział kapitan Feders na zakończenie - na następną lekcję porucznik Krafft przyprowadzi gościa: Matkę podporucznika Barkowa. Przy tej okazji będziecie mogli nareszcie pokazać, jacy jesteście zatwardziali. Spróbujcie otwarcie spojrzeć w oczy pani Barkow, uczciwie i przyzwoicie, jak przystało na przyszłych oficerów. * * * - Dziesięć minut przerwy! - zawołał podchorąży Kramer. - I zwracam uwagę, że palenie w sali wykładowej i na korytarzu jest zabronione. - Nie musisz patrzeć zauważył M~osler i wyciągnął z kieszeni bluzy wymiętoszonego papierosa. - Mam jednak dobry wąż, M~osler. - E tam - powiedział ten, rozglądając się za zapalką - trochę smrodu mniej czy więcej nie odgrywa tu roli. Kramer milczał. Udawał, że nie słyszy. Zajmował się katalogiem. Spora część podchorążych spędzała przerwę zbożnie i uzupełniała swoje notatki. W tylnych ławkach utworzyła się jedna, a w przednich druga grupa. Na przedzie Hochbauer zaczął rozwijać teorię, że za trupami można by się znakomicie kryć - co prawda tylko w czasie silnego mrozu. W tyle zaś M~osler dawał jedno ze swoich specjalnych przedstawień: „Tylko dla żołnierzy frontowych!” M~osler zebrał wokół siebie wszystkich amatorów rozrywek. Tym razem przyszła kolej na tak zwane wdowie dowcipy, brutalny i ordynarny, ale bardzo popularny rodzaj zabawy. Słuchacze śmieli się po chamsku i głośno. Powodzenie dodawało M~oslerowi animuszu. Czuł się tu główną osobą i w zapale nie zauważył, jak zbliża się Hochbauer ze swoją świtą i jak uważnie nadśluchując, zatrzymuje się przy nim z groźną miną. Po kolejnym sprośnym kawale Hochbauer, rozpychając się łokciami, przecisnął się do przodu, stanął przed M~oslerem i powiedział: - świnią! - M~osler. Bardzo mi przyjemnie - powiedział M~osler. Sprzedał jeden z najstarszych i najbardziej płaskich dowcipów, które jednak zawsze wywoływały pewną wesołość. Ale tym razem nikt nie miał ochoty do śmiechu. - Jesteś zasrany gówniarz - powiedział Hochbauer do M~oslera. Uwaga ta była nie pozbawiona pewnej racji, przynajmniej w tym momencie, i normalnie M~osler przyjąłby ją dość spokojnie. Ale że akurat to Hochbauer tak się stawał, jakby tylko on miał monopol na moralność i przyzwoitość, to zdenerwowało M~oslera diabelnie. - Akurat ty potrzebujesz zgrywać się tu na moralistę! - powiedział dość gwałtownie. - Ale ty byłbyś chyba nawet zdolny jeszcze po tym wszystkim śpiewać hymny pochwalne na cześć matki podporucznika i składać jej kondolencje. Może nawet nie cofniesz się przed zainkasowaniem podziękowania za energiczne kopanie grobu. W tej chwili Hochbauer zamachnął się. Wierzchem ręki plasnął M~oslera w twarz. M~osler w przypływie niepohamowanej wściekłości chciał się rzucić na Hochbauera. Ale dwaj podchorążowie - Andreas i Amfortas - powstrzymali go. I Hochbauer jeszcze raz uderzył, tą samą ręką, w to samo miejsce. M~osler próbował wyrwać się i rozglądał się, szukając wzrokiem pomocy. Ale Rednitz był w toalecie. Egon Weber palił gdzieś na dworze papierosa, a inni woleli zajmować pozycję bezstronnych obserwatorów. Tylko poeta B~ohmke sapał wzburzony i wołał do Hochbauera: - Takich rzeczy się nie robi! - Trzymaj pysk! - rzekł Hochbauer. Wtem podchorąży Kramer zawołał zaniepokojony: - Na miejsca, koledzy! Przerwa skończona! Hochbauer odwrócił się bez słowa i poszedł na swoje miejsce w pierwszej ławce. Jego świta zabezpieczała tyły. Podchorążowie usiedli i otworzyli zeszyty. M~osler, pałając żądzą zemsty, masował sobie prawy policzek. A B~ohmke, szczerze oburzony tą sceną, powtarzał: - Takich rzeczy się przecież nie robi. - Podchorąży B~ohmke - powiedział starszy grupy - stajesz jak zwykle na warcie. B~ohmke posłusznie wyszedł i zajął swój zwykły punkt obserwacyjny w korytarzu przy oknie, skąd miał dobry widok na drogę wiodącą do baraku szkolnego. Wypatrywał porucznika Kraffta. - Aleś mu dał! - powiedział Amfortas do Hochbauera z uznaniem. - Ta świnią zasłużyła sobie na to - orzekł Hochbauer stanowczo. - W każdym razie - ośmielił się zauważyć Andreas - on tego nie schowa tak po prostu do kieszeni. Na pewno znowu rozedrze gębę, skoro tylko Rednitz zabezpieczy mu tyły. - Musimy tu wreszcie stworzyć wyraźne fronty - powiedział Hochbauer. - Tak dalej być nie może. Albo te chamy będą nareszcie dobrowolnie trzymały język za zębami, albo zatkamy im gęby siłą. Trzeciej możliwości nie ma. * * * - Proszę o spokój, koledzy! - zawołał podchorąży Kramer, starszy grupy. - Dowódca może przyjść każdej chwili. Na razie zgodnie z poleceniem zaczynamy lekcję. Kramer zlustrował obecnych wzrokiem. Ale nie było nikogo, kto by zdradzał chęć do niesubordynacji.

Nawet M~osler nie - ten spoglądał w zamyśleniu gdzieś w dal. Kramer był z tego raczej zadowolony. Rozwinął rozkaz specjalny numer dziewięćdziesiąt cztery i szykował się do odczytania go. Ale brak było jeszcze podchorążego Rednitsa. Ankieta wykazała, że zaginionego widziano ostatnio w toalecie, i to czytającego jakieś świństwo w jaskrawej oprawie. Kramer wysłał natychmiast ekspedycję na poszukiwanie. Miał jednak dość rozumu, żeby nie odkomenderować nikogo z gwardii przybocznej Hochbauera. Z siedmiominutowym opóźnieniem Rednitz pojawił się wreszcie, a za nim ekspedycja. Kramer zażądał wyjaśnienia - ma nie tylko prawo, twierdził, ale i obowiązek zażądać wyjaśnień. Jeśli nie, będzie niestety zmuszony... - Czytałem pewien regulamin - oświadczył Rednitz z miejsca - był tak interesujący, że zapomniałem o czasie i miejscu. Kramer przyjął te słowa nader nieufnie. I beztraska wesołość, która już_już opanowała większość podchorążych, zdenerwowała go. Uciekł się więc do swego autorytetu i chciał pokazać Rednitzowi, że jest dobrze poinformowany. - Od kiedy to regulaminy mają kolorowe okładki z gołymi babami? - U mnie zawsze - powiedział Rednitz, na którym ten argument nie zrobił najmniejszego wrażenia. - W ten sposób maskuję wszystkie moje regulaminy. A żeby koledzy nie myśleli, że ja także jestem platus. - I powiedział to z subtelnym, ale wyraźnym naciskiem na „także”. - Szarlatan! - rzucił Hochbauer zduszonym głosem. - Proszę o spokój! - zawołał starszy grupy. Starął się przy tym nie patrzeć na Hochbauera, a zatem wezwanie jego było skierowane do ogółu. - A ty, Rednitz, idź natychmiast na swoje miejsce. Rozpaczam czytanie rozkazu specjalnego numer dziewięćdziesiąt cztery. Ten rozkaz specjalny numer dziewięćdziesiąt cztery był jednym z licznych organizacyjnych majstersztyków majora Freya. Nosił nagłówek: Używanie i konserwacja rowerów służbowych oraz wydawanie i zwrot tychże. Składał się z czternastu paragrafów. Kramer czytał ten godny uwagi produkt inwencji twórczej donośnym i mocnym głosem, starannie cieniowanym: mała pauza po każdym przecinku, większa pauza po każdej kropce, jeszcze większa po każdym ustępie. Jak gdyby obwieszczał artykuły orędzia wojennego, program partyjny czy wręcz nową konstytucję. Kramer czytał między innymi, co następuje: - „Użytkownik chwyta za kierownicę, stojąc po lewej stronie roweru, z jedną ręką na każdym uchwycie. Lewy pedał musi osiągnąć punkt położony najniżej.” - Nie tylko lewy pedał - skomentował to zaraz podchorąży Rednitz, starannie wykańczając rysunek pajaca w swoim bloku. Sądził, że jego sąsiad, M~osler, zameczy na znak aprobaty. Lecz M~osler milczał. Wydało się to Rednitzowi podejrzane. I dlatego poświęcił całą swoją uwagę przyjacielowi. Tymczasem Kramer grzmiał w dalszym ciągu: - „Następnie użytkownik stawia lewą nogę na lewym pedale, rozmieszczając równomiernie ciężar ciała, po czym prawą nogą, bez specjalnego wysiłku, żeby zachować pożądaną równowagę, odbija się od ziemi i rusza do przodu.” Podchorążowie słuchali tego wykładu obojętnie. Niektórzy robili, jak zwykle, notatki. Większość jednak myślała sennie i tępo o obiedzie, o poprzednim wykładzie z taktyki, a także o zapowiedzianej wizycie pani Barkow. - Ten sukinsyn dał mi w gębę - meldował M~osler ponuro przyjacielowi. - Jak byłeś w toalecie. Rednitz zrozumiał od razu, że tym razem nie chodzi o jeden ze zwykłych kawałów M~oslera. Jego na ogół zawsze pogodna twarz zachmurzyła się. Spytał: - Hochbauer? - A któż by inny - powiedział M~osler. - W twarz mnie uderzył, świnia, dwa razy. - A przyczyna? - Jak zwykle. Powiedziałem mu prawdę. - Nie oddałeś mu? - Trzymali mnie siłą. Co miałem robić? Uciec do ciebie do ubikacji? Rednitz pokiwał głową w zamyśleniu. Potem powiedział: - On tego więcej nie robi. Już ja w tym będę. - Następnym razem - powiedział M~osler, już znowu pełen nadziei - już ja sobie potańczę z tym chłopaczkim, jeśli go tylko przypadkiem złapię bez ochrony. Ale wtedy zrobię z niego rąbankę. - Nie zrobisz tego - powiedział Rednitz. - I to z bardzo prostej przyczyny: Hochbauer jest silniejszy od ciebie, to on by z ciebie zrobił rąbankę. - No to ty mi pomożesz - zażądał M~osler - ty albo Egon Weber. Jesteście moimi kolegami czy nie? - Jesteśmy twoimi przyjaciółmi, M~osler, a to jest coś więcej. Ale za jedno ci ręczę: Hochbauer zapłaci za to mordobicie, i to taką cenę, że go krew zaleje. Pozostaw to mnie. Kramer niezmordowanie cytował rozkaz specjalny numer dziewięćdziesiąt cztery: - „W wypadku kraksy należy a) zawiadomić odnośnego przełożonego, b) podjąć próbę usunięcia tejże, c) powiadomić punkt wydania roweru, bez względu na to, czy uszkodzenie zostało naprawione, czy

nie. Rozróżniać przy tym należy uszkodzenia następujące: pęknięcie dętki, przedniej i tylnej, uszkodzenie koła, również przedniego i tylnego, uszkodzenie korby nożnej, łańcucha, ramy, kierownicy, siodła.” Teraz nastąpił szczegółowy opis wszystkich możliwych postaci uszkodzeń, obok opisu najprostszyc sposobów naprawy. Do tego dochodziło dokładne wyszczególnienie narzędzi, materiałów i tym podobnych utensyliów. Dalsze subtelności tego rodzaju zostały jednak podchorążym zaoszczędzone. Wpadł B~ohmke i, zdenerwowany jak zawsze, ogłosił: - Porucznik Krafft idzie... z tą panią! Kramer zaznaczył pospiesznie na rozkazie specjalnym numer dziewięćdziesiąt cztery miejsce, w którym musiał przerwać czytanie. Podniósł głos o jeszcze jeden ton. Wydawał grupie komendy tak, jak gdyby miał przed sobą wojska rozwinięte do defilady. - Bacność! - ryczał. - Panie poruczniku, melduję grupę szkolną Heinrich w pełnym składzie. * * * - Szanowna pani - powiedział porucznik Krafft, wskazując na podchorążych - oto grupa szkolna Heinrich. A po krótkiej przerwie dodał: - Panowie, pani Barkow. Podchorążowie stali sztywno i nie ruszali się. Krafft nie zrobił nic, co by wskazywało na to, że pozwoli im spocząć. Poprowadził panią Barkow do podium, skąd miała najlepszy widok na całą salę. Podchorążowie przyglądali się spode łba matce podporucznika Barkowa. Oto stała przed nimi, mała, bezradna i zakłopotana. Ujrzeni bladą twarz z łagodnymi i smutnymi zarazem oczami. Lekko zaniepokojony wzrok pani Barkow błędził po silnych, wyciągniętych jak struny młodzieńczych postaciach. Widziała przeważnie gładkie, zaciekawione twarze. Zdawało się jej, że w niektórych oczach przebłyskuje coś w rodzaju współczucia. Z trudem otworzyła usta, jak gdyby chciała powiedzieć parę słów. Ale Krafft nie dopuścił jej do głosu. Porucznik wyjaśniał: - W tym baraku są dwa pomieszczenia. To tutaj jest zarezerwowane prawie wyłącznie dla grupy szkolnej Heinrich. Nauka taktyki, przedmioty ogólne, wykłady polityczne. Dziesięć do czternastu godzin tygodniowo wyklada dowódca grupy. Oto pulpit, przed którym stał pani syn. Kiedy podchorążowie piszą wypracowania, przebywamy przeważnie na tylnym planie. Proszę za mną, łaskawa pani. Z okien roztacza się widok tylko na garaże, co, jak się okazało, sprzyja skupieniu... Mówiąc to wszystko i oprowadzając panią Barkow po sali, Krafft nie spuszczał równocześnie oka z grupy, zwłaszcza z przednich rzędów. Ale nie zauważył nic, co mogłoby stać się dla niego jakimś punktem zaczepienia. Wszystkie twarze były jak skamieniałe. Zbyt martwe, zbyt nieruchome, myślał sobie porucznik, patrząc na Hochbauera, Amfortasa, Andreasa i pozostałych z przednich ławek. Ale sprowokować ich w tej chwili nie potrafił. Nie mógł tego zrobić pani Barkow. Podbiła jego serce - niezamierzenie, i wbrew jego woli. Tak jak stała teraz przed frontem podchorążych, taką też widział ją na cmentarzu: pełną cichej, smutnej rezygnacji; żadnego dławiącego, dzikiego bólu; żadnych bełkocących, apelujących o współczucie słów; żadnego pragnienia taniej, gadatliwej pociechy. Tylko to proste pogodzenie się z nieuniknionym. Wokół niej szklane ściany - jak u Modersohna. - łaskawa pani - powiedział porucznik Krafft na zakończenie - mam nadzieję, że pokazałem pani wszystko, co mogłoby panią zainteresować. - Dziękuję panu, panie poruczniku - rzekła pani Barkow nieporuszona. - Jeden z naszych podchorążych odprowadzi panią do bramy koszar, a mianowicie podchorąży Rednitz. Z tymi słowy porucznik otworzył drzwi. Pani Barkow jeszcze raz skinęła głową grupie, która ciągle jeszcze stała bez ruchu. Podała Krafftowi rękę. Potem wyszła. A za nią, przerażony, podążał niepewnym krokiem podchorąży Rednitz. Porucznik Krafft natomiast zajął się bezzwłocznie swoją grupą. Wiedział, jakie pytanie dręczyło teraz jego podchorążych: Dlaczego akurat Rednitz? Ale nie dał im najmniejszej okazji do rozmyślań. Powiedział: - Proszę siadać i przygotować się do pisania. Czas pracy: dwadzieścia minut. Temat: Wspomnienie pośmiertne o podporuczniku Barkowie. Zaczynamy. 18 Kuszenie dowódcy oddziału Kapitan Ratshelm został uznany za godnego świadka znamiennego wydarzenia: pan major Frey, dowódca II kursu, miał zmartwienie. - Muszę wyznać - powiedział major poufnie - że ostatnio na moim terenie dzieją się rzeczy, które dają mi wiele do myślenia. Kapitan kiwał głową. Fakt, że przełożony zwierzał się w jego obecności ze swych trosk i rozmyślał o nich, bardzo go wzruszył. Siedzieli naprzeciwko siebie w gabinecie majora. To, że kapitan Ratshelm dostąpił tego zaszczytu i cieszył się zaufaniem, napawało go ogromną dumą. Czuł się poniekąd wybrańcem losu - spośród trzech zasłużonych dowódców oddziałów bowiem

major jego jednego wyróżnił tym przywilejem. Co za zaszczyt! I na pewno jeden punkt na jego korzyść, jeśli idzie o widoki na awans. - Pan major może liczyć na mnie pod każdym względem - zapewniał kapitan. - Mój drogi Ratshelm - powiedział major z wdzięcznością i ostentacyjnie poufale - mam zmartwienie, i to również z pana powodu. Teraz kapitan nie kiwał już głową - był raczej niezmiernie zdumiony, co wyraźnie widać było po jego twarzy. Był bowiem absolutnie przekonany, że zawsze spełniał dobrze swoje obowiązki. - Pańska praca, mój drogi Ratshelm - klarował mu major - jest wzorowa; to panu w każdej chwili chętnie poświadczę. Ale nawet najbardziej wzorowej pracy może grozić niebezpieczeństwo. I tak właśnie, jak mi się wydaje, rzecz ma się w tym przypadku. - Oczywiście, panie majorze - rzekł kapitan Ratshelm trochę sztywno. - Ale ja też nie mogę nic więcej uczynić, jak stwierdzić niedociągnięcia i prosić o usunięcie ich. Mianowanie czy zdejmowanie dowódców grup szkolnych czy też wykładowców taktyki nie leży niestety w moich kompetencjach. - W moich też nie - powiedział major łagodnie. Uśmiechnął się przy tym z ubolewaniem i spojrzął na sekundę w górę, jak gdyby chciał zaznaczyć, że jedyna do tego powołana instancja - mianowicie generał - poniekąd buja w obłokach. - Zastanówmy się zatem wspólnie, mój drogi Ratshelm - kusił major. - Wszak sprawa wygląda tak: mnie osobiście podlegają bezpośrednio trzej dowódcy oddziałów, i jestem zadowolony z wszystkich trzech; z pana w szczególności, mój drogi. Ale na pańskie nieszczęście wśród oficerów podlegających bezpośrednio panu znajduje się co najmniej jeden, jeśli nie dwóch, który zagraża pańskiej pracy. I teraz pytam pana: co tu można zrobić? O tym Ratshelm nie miał na razie pojęcia. Inicjatywa powinna również, jego zdaniem, wychodzić od kompetentnego przełożonego, więc w tym wypadku od majora. I był pewny, że tak się stanie. Ale ponieważ zażądano od niego współdziałania, nie mógł wykręcić się od zajęcia stanowiska i dlatego powiedział mgliście: - Może powinniśmy jeszcze raz spróbować poprosić pana generała... Major roześmiał się; był to śmiech krótki i zabrzmiał bardzo gorzko. Stanowił jednoznaczny odpowiedź na sugestię kapitana. Zawierał krytykę - jeśli nie coś w rodzaju oskarżenia. - Mój drogi, zacny Ratshelm - rzekł major - jesteśmy chyba zgodni co do tego, że nic, ale to nic nie może nam przeszkodzić w spełnieniu naszego obowiązku. Kapitan energicznie pokiwał na znak zgody. - I dlatego nie powinniśmy się milcząco godzić z pewną niebezpieczną samowolą. Już sama ta półoficjalna damska wizyta w naszych koszarach zaniepokoiła mnie. - Mnie również - potwierdził kapitan. - Nawet mojej własnej żonie - powiedział major z ważną miną - nie pozwoliłem nigdy uczestniczyć w zajęciach szkoleniowych. Bo coś takiego nie tylko zakłóca uregulowany przebieg wszelkiej nauki, ale narusza również obowiązujące w wojsku zwyczaje. Jest to wykroczenie przeciw podstawowym zasadom naszego porządku. A przeciwko temu buntuje się moja żołnierska dusza. Ratshelm mógł mu znowu przyznać tylko rację. Major był teraz pewny zwycięstwa. Nakręcił kapitana Ratshema jak gramofon, a właściwa płyta była już nastawiona. - A więc, mój drogi Ratshelm, teraz potrzebne nam są fakty i jeszcze raz fakty. Bo same teorie i przekonania nie posuną nas ani o krok naprzód. A pan jest człowiekiem siedzącym u Źródła. Miej więc pan oczy i uszy otwarte i łap pan bez namysłu byka za rogi, skoro tylko nadarzy się sprzyjająca okazja. Czy pan mnie rozumie? - Pod każdym względem, panie majorze - zapewnił go Ratshelm. - Wiedziałem, że mogę całkowicie na panu polegać, mój drogi. I jestem przekonany, że nie znalazłbym nikogo lepszego do tego rodzaju zadania. * * * - Czy mojej żony nie ma? - spytał major i rozejrzał się z nadzieją. - Poszła do pani burmistrzowej - powiedziała Barbara, przyglądając się majorowi z zainteresowaniem. Ie był w szczególnie dobrym nastroju, poznała to natychmiast. Twoja żona nie wróci prędzej jak za dwie godziny. - Dobrze, dobrze - powiedział major zadowolony. - Z całego serca życzę jej rozrywki. - Tak, od czasu do czasu każdy powinien mieć jakąś rozrywkę. Zdejmując płaszcz, major przypatrywał się spode łba bratanicy swojej żony. Myślał sobie: śmieszna dziewczyna, przewraca oczami jak krowa, jest zawsze trochę ociężała i zmęczona. Dojrzała do łóżka, można by rzec. Otóż to! Ta mała w jakiś leniwy sposób była zmysłowa. - Czy chcesz czegoś? - spytała Barbara i spojrzała na niego z przechyloną na bok głową. - Co ty mówisz? - spytał Frey zaskoczony. - Czy czegoś chcesz, kawy czy koniaku? - Nie, nie - odparł major z ulgą. - Może później. Na razie mam

zamiar pracować. - Czy mam cię potem obudzić? - Tak - powiedział major trochę poirytowany tą szczerością. - Możesz mnie obudzić... na krótko przed powrotem mojej żony. Major udał się do swego gabinetu - a stamtąd natychmiast do sypialni. Położył się na łóżku, przeciągnął się rozkosznie i spod zmrużonych powiek patrzył w sufit. Miał, jak mu się zdawało, powód do zadowolenia. Rozmowa z Ratshelmem była arcydziełem dyplomacji. Po pierwsze wydał wyrok, nie nazywając skazanego po imieniu, równocześnie nie pozostawiając żadnych wątpliwości co do tego, kogo ma na myśli. Po drugie postawił szereg postulatów, nie nadając im formy bezpośrednich rozkazów. Zadanie, jakie Ratshelm miał do rozwiązania, było ważne i obowiązujące - a jego, majora, odpowiedzialność za nie równa zero. - Zdjąłeś buty? - spytała Barbara od drzwi. - Nie przeszkadzaj mi - powiedział major szorstko - ja teraz myślę. - Myśleć można również bez butów - stwierdziła Barbara. - Czy mam ci je zdjąć? - Jeszcze czego, może i od razu spodnie?! - zawołał major oburzony. - Dlaczegoż by nie? - powiedziała Barbara nonszalancko. - Przede mną nie masz się co krępować. Wiem przecież, jak wyglądasz w gaciach. - Wynocha! - powiedział major. - Buty mogę zdjąć sobie sam. - Zrób to. Wiesz przecież, że twoja żona będzie bardzo niezadowolona, jeśli zabrudzisz pościel. Major odprowadził ją oczyma. Popatrz, popatrz, myślał sobie, ta mała ma ramiona całkiem okazałe i nadzwyczaj wąską talię. I zad jak koń. Było to pomyślane jako komplement. Major miał słabość do koni. Zmuszał się jednak do tego, żeby nie zapuszczać się zbyt daleko w takie rozważania. Na jakąś historię z bratanicą swojej żony nie mógłby sobie oczywiście pozwolić. Usiłował więc skoncentrować się na innych sprawach. Próbował myśleć o nowym rozkazie specjalnym. Byłby to rozkaz numer sto czternaście. Dotyczyłby: Przechowywania i składowania odzieży zimowej, zwłaszcza w temperaturze letniej, ze specjalnym uwzględnieniem braku środków konserwujących. - Czy ci nie zimno? - spytała Barbara. Stała już znowu w drzwiach i łypała na niego swymi krowimi oczami. - Nie - powiedział - jest mi raczej gorąco. - Może masz gorączkę? - spytała, zbliżając się. - Nie, jestem zupełnie zdrow. - Naprawdę? - spytała Barbara z odcieniem nadziei w głosie. - Tak jest. A teraz proszę cię, nie przeszkadzaj mi dłużej. Chcę wypocząć, do jasnej cholery! A może mi na to nie pozwolisz? - Ależ ja ci na wszystko pozwolę - zapewniła go Barbara i uśmiechnęła się do niego. - Chciałam ci przynieść koc. Major, leżący na wznak, podniósł na nią wzrok. Wszystko w niej wydawało się mu duże i ładnie zaokrąglone. Więc major również zaczął się uśmiechać. Nie znaczyło to wcale, że Frey pożądał bratanicy swojej żony - ale pochlebiało mu, że ona tak koło niego skacze. Działał silnie na kobiety. Zresztą: tak było zawsze. - Powiedz mi tak w zaufaniu, Barbaro - rzekł, podnosząc się na łokciach - jak to właściwie jest z tobą i mężczyznami? Chcę powiedzieć: czy już przypatrzyłaś się bliżej temu lub owemu? - Jak ty rozumiesz to „bliżej”? - No jak ci się na przykład podoba kapitan Ratshelm? To przecież byłaby dobra partia, nieprawdaż? I wierz, twoja ciotka byłaby z tego bardzo zadowolona. - Ale przecież nie Ratshelm! - zawołała Barbara przerażona. - Dlaczego właściwie nie, Barbaro? Co ty mu masz do zarzucenia? - No - powiedziała Barbara otwarcie - nie mogę go sobie wyobrazić w łóżku, to znaczy w łóżku z kobietą. Major był trochę przerażony. Oczekiwał otwartości, ale nie aż takiej. Cóż to była za dziwna dziewczyna! Szokująca. A on całymi miesiącami mieszkał z nią pod jednym dachem i nie zdołał jej do tej pory przejrzeć! - Wolałabym już raczej porucznika Kraffta - powiedziała Barbara szczerze. - Ale ten już jest zajęty. On sobie ponoć niczego nie żałuje. - Co ty mówisz? - spytał major, trochę zgorszony, ale i trochę zainteresowany. - Co z nim? - On przecież kombinuje z Elfriedą Rademacher, i to jeszcze jak! Podobno nawet w kinie! - Nie do wiary! - powiedział major. Miał na myśli dwie rzeczy: po pierwsze to, co robił Krafft; fakt, że się o tym dowiedział, bardzo mu był na rękę. Poza tym nie do wiary było jeszcze i to, że akurat Barbara, którą zawsze uważał za zwyczajnego tłumoka, jest taka zorientowana. - Powiedz no, skąd ty to właściwie wiesz? - O takich rzeczach się przecież mówi. - U kogo się o takich rzeczach mówi? Kto ci opowiada takie rzeczy? Z kim ty właściwie o czymś takim rozmawiasz? - Och, na przykład z tobą, tak jak teraz. - Barbaro, będę musiał powiedzieć o tym twojej ciotce. - Dlaczego? Chcesz, żeby straciła do mnie zaufanie? - Idź już! - zawołał rozkazująco. - Mam tego dość! - Czego ty właściwie chcesz? - powiedziała Barbara poufale. - Ty się pytasz, ja ci odpowiadam. I

powiedziałam ci, że uważam porucznika Kraffta za mężczyznę. Co w tym złego? Ciebie też uważam za mężczyznę; czy to naprawdę takie nieszczęście? - Odejdź, Barbaro, bo się zapomnę. - Naprawdę? - spytała. - Odejdź natychmiast! Jestem zmęczony, chcę spać. - To co innego - powiedziała Barbara i poszła sobie. * * * - Proszę zupełnie swobodnie, panowie! - zawołał Kapitan Ratshelm do dowódców swoich trzech grup szkolnych. - Proszę sobie nie przeszkadzać. Nie przychodzę tu jako dowódca oddziału, lecz jedynie pogimnastykować się trochę. Kapitan Ratshelm, w ciasnych porteczkach i koszulce sportowej, dołączył do swoich podchorążych. - Jeśli to nie wywraca do góry nogami waszych planów, panowie, zaproponowałbym piłkę. - Oczywiście, panie kapitanie - powiedział porucznik Webermann, który spośród trzech dowódców grup szkolnych szóstego oddziału miał najdłuższy staż za sobą. Webermann zatrzymał swoim gwizdkiem i zawołał: - Gry w piłkę! Natychmiast podchorążowie podzielili się na grupy i drużyny piłkarskie. Walka w dwa ognie i piłka ręczna. Kapitan, niby zupełnie przypadkowo, przyłączył się do grupy szkolnej Heinrich. Wtajemniczeni spodziewali się tego. Tym razem jednak Ratshelm zrobił pewne mądre i udane, jego zdaniem, pociągnięcie: grał przeciwko drużynie, w której znajdował się jego zdecydowany faworyt, kolega po sporcie Hochbauer. Tym sposobem Ratshelm miał bądź co bądź okazję stanąć z Hochbauerem poniekąd twarzą w twarz. Mógł więc do woli napawać swoje oczy precyzyjnymi i eleganckimi ruchami tego wspaniałego chłopca. Oczywiście kapitan Ratshelm wygrał od razu pierwszy mecz. Hochbauer przyjął klęskę swoją i drużyny po męsku. Dawał nawet do zrozumienia, że przegranie z tak znakomitym przeciwnikiem sprawia mu wprost radość. Oto jakim przykładowym duchem sportowym ożywiony jest ten podchorąży, pomyślał Ratshelm. Porucznik Krafft przyglądał się tym harcom spokojnie. Ponieważ jego grupa znajdowała się w dobrych rękach, udał się na pogawędkę do podporucznika Dietricha. Mogli sobie gadać do woli. Grupa szkolna Dietricha grała bowiem przeciwko grupie Webermanna. A Webermann miał dość pomysłowości i wytrwałości, by zatrudniać obie grupy bez chwili wytchnienia. - Drogi Krafft - powiedział podporucznik Dietrich, gdy szwendali się po boisku, poza zasięgiem ciekawskich uszu - czy pan się kiedyś zastanawiał nad tym, dlaczego dowódca naszego oddziału przejawia takie zainteresowanie dla gier sportowych? - A pan się nad tym zastanawiał, Dietrich? - spytał z kolei Krafft. - Oczywiście - powiedział ten ubawiony. - Doszedłem prawdopodobnie do tego samego wniosku, co pan. Ale tak jak pan uważam za stosowne milczeć. A może pan jest innego zdania? - Na razie nie - odpowiedział porucznik zamyśloni. A potem, zupełnie otwarcie, zapytał: - Dlaczego pan mnie chce ostrzec? - Może zwyczajnie przez koleżeństwo - powiedział Dietrich nie mniej otwarcie; kpiący uśmiech pojawił się na jego inteligentnej twarzy. - A może po to, żeby panu przypomnieć, że jest pan jednym z kilkudziesięciu oficerów... i że istnieje rzeczywiście coś w rodzaju ducha oficerskiego. - Tylko nie tak, drogi Dietrich - zaczął bronić się Krafft. - Nie chce pan chyba powoływać się na własne gniazdo, którego nie wolno kłaść? W tym wypadku nie trafił pan pod właściwy adres. Może powinien się pan zwrócić z tym do kapitana Ratshelma? Podporucznik Dietrich, zawsze powściągliwy, był jednym z najcichszych wśród głośnych i zaferowanych inżynierów wojny; był to człowiek rozumny i wykształcony. I dlatego powiedział ostrożnie: - Chodzi mi tylko o to, że wszyscy mamy jakieś tam słabostki. Ale decydujące jest chyba nie to, że te słabostki istnieją, tylko to, żebyśmy im nie ulegali. Musieli przerwać rozmowę, ponieważ kapitan Ratshelm zakończył gry sportowe - o dziesięć minut wcześniej niż zwykle. Ale kapitan Ratshelm właśnie zamknął jeszcze jedną partię ładnym zaokrąglonym wynikiem. Trudno o lepsze zakończenie gimnastyki popołudniowej. * * * - Pod prysznic! - zawołał kapitan do podchorążych. Zwykle kapitan Ratshelm brał również udział w kąpiel pod prysznicami. Podchorążowie nie mieli nic przeciwko temu, i to ze względów czysto praktycznych: nawet kąpiel pod prysznicami odbywała się według starannie opracowanego regulaminu. Albowiem z ciepłą wodą należało się oszczędnie obchodzić. Jednakże dowódca oddziału mógł pod tym względem zrobić wyjątek. Tak też zwykle Ratshelm czynił, i dlatego podchorążowie nie mieli nic przeciwko niemu. Procedurę prysznicową ustalał rozkaz specjalny numer pięćdziesiąt trzy, według którego miała ona przebiegać, jak następuje: Użytkownicy

ustawiają się pod prysznicem - następnie dwie minuty ciepła woda - potem namydlenie ciała - potem znowu dwie minuty wody, najpierw ciepłej, a potem stopniowo coraz zimniejszej, ale nie poniżej osiemnastu stopni. Lecz kiedy kapitan Ratshelm znajdował się wśród myjących się, przekraczano beztrąsko ustalone terminy. Wtedy on komenderował: - Puścić wodę - więcej wody - podwyższyć temperaturę - utrzymać tę temperaturę. I mycie, z którym zwykle trzeba było się uwinąć w ciągu pięciu do siedmiu minut, mogło się przeciągnąć aż do kwadransa. Puścić wodę! - wołał Ratshelm. - Odkręcić do końca kran z ciepłą wodą. Ratshelm lubił czystość. W jego oczach śnieżnobiała chusteczka była nieomylnym znakiem kultury. Biel była zdecydowanie jego ulubionym kolorem - śnieżna, mleczna biel. Tu wśród swoich kochanych podchorążych oddychał czystą, pokrzepiającą naturalnością. Siano na łąkach, szklanka świeżego mleka, zarosła sitowiem tafla jeziora - elementarne przyjemności dla zmysłów nie wypaczonych jeszcze nie wyrafinowanych; on zaś miał dar czerpania jakiejś pierwotnej radości z tego Źródła. - Zostawić tę wodę! - krzyknął. - Utrzymać w temperaturze trzydziestu stopni. Blisko niego stał podchorąży Hochbauer. Uśmiechali się do siebie poprzez mgiełkę rozpryskujących się kropeł. I uśmiech ten mówił o radości, jaką odczuwają mężczyźni przy wspólnym wykonywaniu różnych czynności. Chłopięce ciała podchorążych tworzyły żywy wał wokół nieco przytłustej postaci kapitana. Prychając, śmiejąc się, przerzucając się słowami przeznaczonymi tylko dla męskich uszu, bawili się wesoło. Cóż za piękny widok! - Zakręcić wodę! - zawołał Ratshelm. - Namydlić się! I podczas gdy nacierali mydłem i masowali swe mokre ciała, podchorąży Hochbauer powiedział swemu uwielbianemu dowódcy oddziału: - Tego rzutu, który przyniósł panu kapitanowi piąty punkt, nikt nie potrafiłby przyjąć. Nikt. - Tak, to była niezła robota - powiedział Ratshelm. Podał podchorążemu kawałek dobrego i mocno perfumowanego mydła: - Proszę wziąć, Hochbauer, i podać dalej innym kolegom. Koledzy byli bardzo zadowoleni z tego gestu. Mydło kapitana pochodziło najwyraźniej jeszcze ze zdobycznych zapasów francuskich. Ich mydło zaś prawie się nie mydliło i wydzielało ostrą woń, przypominającą zapach środków dezynfekcyjnych; prawdopodobnie wyprodukowano je z padliny zwierzęcej, i żebyż tylko zwierzęcej! W każdym razie mydło kapitana było atrakcją dla kąpiących się - topniało jak śnieg na płycie kuchennej. Kapitan cieszył się z tej przyjemności, jaką sprawił swoim ukochanym podchorążym. Widok wesołych chłopców, na których ciepła woda działała jak odwilż, rozczulał jego serce. - Może byśmy tak w naszym oddziale zorganizowali reprezentacyjną drużynę, panie kapitanie? - zasugerował Hochbauer, namydlając się pod pachami. - Pod kierownictwem pana kapitana oczywiście. Jestem pewien, że taka drużyna byłaby w naszej szkole niezwyciężona. - Niezły pomysł - zgodził się kapitan Ratshelm. - Powinniśmy porozmawiać o tym, najlepiej od razu dziś wieczorem. Przyjdźcie do mnie, Hochbauer, możliwie już z prowizoryczną listą tej drużyny. Mam wrażenie, że warto się wziąć za tę sprawę. - I ja mam takie wrażenie, panie kapitanie - potwierdził Hochbauer z wdzięczną pokorą. - Wody na cały regulator! - zawołał Ratshelm. - Temperatura maksymalna! * * * - W ostatnich czasach wygląda pani na dość zmęczoną - rzekł kapitan Kater do Elfriedy Rademacher. - Czy praca na tym cierpi, pańskim zdaniem? - Ależ skądże znowu, droga panno Rademacher. Proszę mnie źle nie rozumieć. To przecież nie był wyrzut, tylko stwierdzenie faktu, z przyjacielskiej troski, że tak powiem. - To naprawdę niepotrzebne, panie kapitanie - zapewniła go Elfrieda. - Czy poza tym ma pan jeszcze coś do mnie, mam na myśli coś służbowego? Elfrieda stała przed kapitanem i dowódcą kompanii administracyjnej. Kater, za biurkiem, wtulił się głęboko w fotel. Poufale mrużył oczy do swojej najlepszej biuralistki. - Panno Rademacher - rzekł po krótkiej pauzie - proszę spokojnie usiąść. Mamy jeszcze do omówienia pewien drobiazg. - Słucham - powiedziała Elfrieda. Usiadła ponownie na krześle, które zajmowała, kiedy kapitan jej dyktował. Przeważnie nie wykraczał poza kilka ustalonych szablonów. Ale to wystarczało. Istniało niewiele więcej ponad dwa tuziny standardowych listów, i Elfrieda znała je wszystkie na pamięć. - Jak już powiedziałem - ciągnął Kater, zacierając ręce - w ostatnich czasach mam uczucie, że pani za mało na siebie uważa. Pani za dużo pracuje. Tu w kancelarii mogłaby pani spokojnie robić mniej. Od czasu do czasu mogłaby pani pozwolić sobie na przerwę, napić się kawy, zadzwonić do kogoś, czy też zrobić coś innego, na co ma pani akurat ochotę. Spokojniejsza służba

- co pani na to? To przecież mogłoby dość przyjemnie wpłynąć na pani życie prywatne, nieprawdaż? - Co to znaczy, panie kapitanie? Czy chce pan zmniejszyć swoją kancelarię, czy powiększyć personel? - Główka u pani pracuje, panno Rademacher. Ja to zawsze wiedziałem. - A więc chce pan powiększyć personel swego biura, panie kapitanie. - Ażeby panią trochę odciążyc, panno Rademacher. Może także dlatego, że chcę wyświadczyć grzeczność mojemu drogiemu koledze Krafftowi. - Aha - powiedziała Elfrieda. - Wiem też, kogo pan weźmie. Irenę Jablonski, prawda? - Pani jest wspaniała - zapewnił ją Kater hałaśliwie, maskując w ten sposób swoje zdziwienie. - Ale tak to już jest, oboje wiemy dość dużo o sobie wzajem. Trafiła pani w sedno. A więc przyjmujemy tę Irenę Jablonski. Zgoda? - A co pan sobie po tym obiecuje, panie kapitanie? - Bardzo wiele - odpowiedział z zapalem. - A więc przede wszystkim: popieram młody narybek, daję młodym kadrom okazję do popisu. Zasada wydajności, panno Rademacher. Postulat naszych czasów. - Obawiam się jednak, że Irena nie potrafi nic innego robić, jak pracować w kuchni. Na biuralistkę ona się nie nadaje. - No, ale pali się do nauki. Jestem przekonany, że można ją niejednego nauczyć. - Ona jest jeszcze bardzo młoda, panie kapitanie. - To chyba nie jest wada? - Irena Jablonski jest w gruncie rzeczy jeszcze dzieckiem. - To też może być tylko zaletą. Poza tym ta mała ma osiemnaście lat. Cóż więc pani chce, panno Rademacher? Zamiast być mi wdzięczną za to, że chcę panią odciążyc, stwarza pani jakieś problemy, które w ogóle nie istnieją. - Dla pana widocznie nie, panie kapitanie. - Co to znaczy? - spytał Kater niezadowolony. - Czy pani nie chce, żeby ta Irena Jablonski przyszła do naszego biura? - Ależ wprost przeciwnie, panie kapitanie, jestem bardzo z tego zadowolona. - A co to znowu ma znaczyć? - To znaczy: bardzo mi będzie na rękę, jeśli zatrudni pan tu Irenę Jablonski. - Będzie pani na rękę? - Ależ tak. Bo widzi pan, panie kapitanie, czuję się odpowiedzialna za Irenę Jablonski. Potrzebny jej jest ktoś, do kogo mogłaby mieć zaufanie i kto ją potrafi upilnować. A przyjdzie mi to o wiele łatwiej, jeżeli będzie razem ze mną pracowała. Pan mi to umożliwi, i dlatego jestem panu wdzięczna. I zobaczy pan, panie kapitanie, będę pilnowała Ireny jak lwica swoich młodych. * * * - Panie kapitanie, podchorąży Hochbauer melduje się na rozkaz. - Ależ proszę pana, mój drogi - powiedział Ratshelm - po co te formalności! Proszę traktować swoją obecność tu jako... no, powiedzmy: przyjacielską wizytę. - Z całą przyjemnością, panie kapitanie. Serdeczne dzięki. - Chodź pan, mój drogi, siadaj pan tu koło mnie. Prawdziwe koleżeństwo nie zważa na różnicę stopni... mimo że je zawsze respektuje. To jest sprawa taktu, a pan ma takt. Proszę bliżej, Hochbauer, bliżej. Kapitan Ratshelm przyjął Hochbauera w swoim pokoju: skąpe umeblowanie, tak samo jak w innych pokojach, ale zręczną ręką znacznie upiękkszzone. Stół nakryty był kolorową chłopską makatą z Bałkanów. Z Francji pochodziła zapewne błękitno_biało_czerwona poduszka. Rosja przyczyniła się do zainstalowania samowaru, pod którym żarzyły się teraz węgielki: Kapitan zaparzał dla siebie i swego gościa herbatę. Popijali ją. Hochbauer pozwolił sobie na uwagę: - Herbata jest doskonała. To niewątpliwie sprawa przyrządzenia. Kapitan przyjął komplement z uśmiechem i oświadczył, że herbata pochodzi z Indii; została skonfiskowana w Holandii i była w sprzedaży w Belgii - mianowicie spekulanci sprzedawali ją kantynie, ta z kolei puszczała ją na czarny rynek i stąd herbata trafiła do pewnych dam, z których jedna była stałą przyjaciółką jednego z jego kolegów. - Niechlujne stworzenie, nie dotknąłbym jej nawet pogrzebaczem. Ale ponieważ ciągle twierdziła, że podaruje mi wszystko, czego zażadam, wzięłem w końcu herbatę. Podchorąży Hochbauer roześmiał się, co prawda dyskretnie, i oświadczył: - Labilność kobiecości nie dorasta do wielkich moralnych postulatów naszych czasów, zasługujących bez wątpienia na miano czasów heroicznych. - Zapewne - zgodził się z nim Ratshelm - żyjemy w epoce absolutnej męskości. - I dla niej warto żyć - dodał Hochbauer uroczyście. Kapitan skinął głową i z ważką, milczącą aprobatą położył rękę na ramieniu swego gościa. Zalewała go fala wstrzemięŻliwej, szorstkiej czułości. Również taki Hagen z Tronje, myślał, obejmował niegdyś ramieniem swoich towarzyszy i przyciągał ich do swego serca, bijącego tylko dla nich i dla walki. Milczeli dłuższą chwilę. Kapitan czuł przepływające przez nich obu fale szlachetnej harmonii. Ale nie uszła też jego uwagi śmiertelna, nieomal ponura powaga, która kładła się ciemnym cieniem na jego drogim gościu. Więc po paru błahych słowach na temat

doboru drużyny i pierwszego treningu Ratshelm spytał z zainteresowaniem: - Co panu właściwie dolega, mój drogi Hochbauer? - Pan kapitan jest bardzo spostrzegawczy - powiedział podchorąży, wahając się wyraźnie między zakłopotaniem a podziwem. - Tak - rzekł Ratshelm - umiem wyczuwać nastroje powierzonych mi żołnierzy. Wiem zwykle więcej, niż mówię. A zwłaszcza jeśli idzie o pana, mój drogi Hochbauer, to zauważyłem, że w ostatnich czasach, w ostatnich dniach, nie robił pan wrażenia, żeby był pan szczególnie szczęśliwy. Hochbauer zwiesił swą ładną głowę i powiedział w głębokim zamyśleniu: - śmierć podporucznika Barkowa dotknęła mnie bardziej, niż mogło się z początku zdawać; to znaczy: nie sama śmierć, ta musi być przecież dla każdego prawie żołnierza czymś samo przez się zrozumiałym. Niepokoi mnie jednak to naruszanie spokoju zmarłych. A ponieważ wiem, że pan kapitan lubi otwartość i szczerotę - w tym miejscu Ratshelm skinął potakująco głową - muszę niestety powiedzieć, że pan porucznik Krafft zdaje się robić wszystko, żeby rozbabrać sprawę śmierci podporucznika Barkowa. - Aha - powiedział kapitan Ratshelm, nie tając, jak bardzo interesowała go ta sprawa. Dodał jednak: - Ale co tu jest jeszcze do wyjaśniania? śledztwo zostało przecież zakończone, również śledztwo sądu wojennego, które zresztą od początku uważałem za zbędne, aczkolwiek w tej sytuacji było ono nieuniknione. - Zdaje się, że pan porucznik ma wątpliwości co do oficjalnych wyników. - Co, podaje w wątpliwość wyniki dochodzeń sądu wojennego? To przecież niemożliwe. Czy on to powiedział? - Nie, panie kapitanie, wyraźnie tego nigdy nie powiedział. Jestem jednak absolutnie pewny, że pan porucznik Krafft chce wywęszyć szczegóły, jakie doprowadziły do śmierci podporucznika Barkowa. - Nie do wiary - powiedział Ratshelm, potrząsając głową. - Po prostu absurdalne. Co to znaczy? O co mu chodzi? - Pan porucznik Krafft przypuszczalnie chce znaleźć kozła ofiarnego, panie kapitanie. I mam takie uczucie, że chce się przyczepić do mnie. - Niemożliwe! - zawołał Ratshelm. - Nie ma przecież najmniejszych podstaw, żeby sądzić, iż ta śmierć nie była zwykłym nieszczęśliwym wypadkiem? - Niestety, panie kapitanie - rzekł podchorąży tonem namiętnej, ale tłumionej skargi - przy sprzyjających okolicznościach takie podstawy dałyby się skonstruować. - Ale chyba nie przeciwko panu, mój drogi Hochbauer? Podchorąży powiedział głosem, w którym pobrzmiwał szczerzy żal: - Istniały duże i godne ubolewania różnice zdań między podporucznikiem Barkowem a mną, od samego początku; temu się niestety nie da zaprzeczyć. I pan porucznik Krafft wcześniej czy później się o tym dowie, jeśli już się nie dowiedział. - Mój drogi Hochbauer, różnica zdań, jak wiadomo, może doprowadzić do pięknych rezultatów. Dopiero sprzeczności są w stanie stworzyć doskonałą harmonię. - Kapitan Ratshelm słuchał własnych słów nie bez pewnej dumy. Był dumny z tego, że potrafi wygłaszać takie głębokie myśli. - Istnieją jednak sprzeczności nie do pogodzenia, panie kapitanie; na przykład te, z powodu których wzięliśmy na siebie tę wojnę. Nieprawdaż, panie kapitanie, że dla Niemca nie mogą istnieć sprzeczności między nim a Niemcami? - Oczywiście że nie! - zawołał Ratshelm stanowczo. - Kto nie jest za Niemcami, nie może być Niemcem! - A nasz F~uhrer i Niemcy to jedno, prawda? Kapitan Ratshelm potwierdził to z wielką emfazą. Tego go nauczono i w to wierzył, tak jak jeszcze parę milionów innych. Nie było dla niego rzeczy bardziej oczywistych, jak F~uhrer, kanclerz Rzeszy, naczelny wódz wehrmachtu - on był ucieleśnieniem Niemiec. Tak jak cesarz Rzeszy, Fryderyk II Prus, a Herman Cheruski Germanii. To była prawda niezachwiana. Wszystko inne było zdradą państwa. A za zdradę państwa karano po prostu śmiercią... W tym miejscu Ratshelm przeraził się własnych myśli. W tym miejscu jego wyobraźnia zatrzymała się nagle - on sam dał jej taki rozkaz. I w obliczu Hochbauera decyzja ta nie przyszła mu trudno: Hochbauer był zdolny tylko do szlachetnych czynów. Inaczej być nie mogło. - Nie mogłem w to uwierzyć - powiedział podchorąży z gestem nieomal wzruszająco bezradnym: Egmont, przepełniony smutkiem z powodu niedoskonałości świata. - Ale podporucznik Barkow nie potrafił odnosić się do naszego F~uhrera z szacunkiem, nie mówiąc już o uwielbieniu czy miłości. Gorzej nawet: poddawał również w wątpliwość zdolności naszego F~uhrera, krytykował go, a nawet znieważał. - Ależ to okropne! - rzekł Ratshelm. I próbował wyobrazić sobie Hochbauera w tej przerażającej sytuacji: szlachetny młodzian, przesiąknięty najczystszyimi schillerowskimi ideałami: „stań przy najdroższej ojczyźnie”, natchniony płomiennym duchem K~ornera: „mieczu

u mojej lewicy, cóż znaczy twój radosny blask!”, do głębi przejęty wzniosłymi ideami Fichtego, Arndta, Steina i towarzyszy: „nikczemny jest naród, który z radością nie rzuca wszystkiego na szalę honoru!” oto jaki duch ożywiał młodzież niemiecką. Natchniona tym duchem, skupiała się wokół sztandarów i walczyła o wyższe i najwyższe cele - chciała służyć F~uhrerowi w mundurach oficerskich, chciała mieć swój aktywny udział w szlachetnej wielkości epoki, w decydującej godzinie historii, w tej podniosłej chwili, kiedy rozstrzygały się losy świata. I nagle natknęli się na takiego podporucznika Barkowa. - To doprawdy okropne - powtórzył Ratshelm. Dopiero po pewnym czasie uspokoił się nieco. Zapytał: - Ale dlaczego, drogi Hochbauer, nie przyszedł pan z tym od razu do mnie? A Hochbauer, który już skapował, jak trafiać do celu, oddał z miejsca drugi znakomity strzał. Schylając swą jasnowłosą głowinę, oświadczył: - Było mi wstyd. Przed potęgą tego wzruszenia kapitan Ratshelm nie mógł się już obronić. Jego niemieckie żołnierskie serce było mocno i gwałtownie; pierś jego, przepelniona wzniosłą koleżeńską miłością, falowała - i wstydliva ła potoczyła się z jego łagodnych błękitnych oczu. Kapitan wstał, uroczyście przystąpił do Hochbauera i czule objął młodzieńcze ramiona tego brata duchowego, tego współbojownika o prawdziwe Niemcy. I kapitan Ratshelm wyrzekł z męską prostotą takie oto słowa: - Mój drogi przyjacielu, mnie też wstyd, tak jak panu. I nie tylko to... może pan być przekonany, że nie tylko rozumiem pana i szanuję pańskie motywy, ale jeszcze czuję to samo, co pan. I proszę się niczego nie obawiać; dopóki ja tu będę, może pan na mnie liczyć. W tej sprawie będziemy, jeśli zmuszą nas do tego, walczyli ramię przy ramieniu... aż do ostatecznego zwycięstwa. Część II Interludium VI

Íyciorys generała Ernsta Egon Modersohna czyli: Dusza żołnierza „Nazwisko: Modersohn, Ernst Egon. Urodzony: 10 listopada 1898 roku, w Planken, powiat Stuhm. Ojciec: Modersohn Maksymilian, zarządca majątku ziemskiego Planken. Matka: Cecylia Modersohn z domu von Knobelsdorf_Bendersleben. Dzieciństwo i pierwsze lata szkolne spędziłem w Planken, powiat Stuhm.” Wielkie, wapiennobiałe - takie są ściany mego pokoju. Urządzenie ograniczone do najniezbędniejszych sprzętów: stół, krzesło, taboret, szafa, komoda, łóżko, umywalka. Wszystko z surowego drzewa, ciężkie i masywne, nie klejone, nie zbite gwoździami, tylko spojone. ładnego obrazu na ścianach. Przez wąskie okna widok na mały dziedziniec, przylegający bezpośrednio do domu właściciela. Odgłosy dnia przenikają stąd do mego pokoju: Klekot wiader i dzbanów, rzenie koni, głos woźnicy rozmawiającego ze zwierzętami. „Każdy - mówi ojciec - ma jakieś zadanie do spełnienia.” W jego głosie nie ma nic z wezwania ani napomnienia, ani rozkazu - ojciec mówi to całkiem naturalnie. Pierwsze zadanie, jakie sobie przypominam, dotyczy Hassa, owczarka. Mam pięć lat i moim obowiązkiem jest szczotkować raz dziennie Hassa, czesać go, czyścić - przez jakieś dziesięć minut. Następnie trzeba go pokazać ojcu, a kiedy ojca nie ma - matce, a kiedy matki nie ma - parobkowi Glubalke, który opiekuje się końmi ojca. „Ernst - mówi do mnie Glubalke - każde stworzenie musi czuć, że ktoś się o nie troszczy, to rzecz najważniejsza. Jeśli tego nie czuje, zwierzę marnieje lub dziczeje. I z człowiekiem jest tak samo.” „Dziś przyprowadzą buhaja rozplodowego z Sarnitz”, mówi ojciec przy obiedzie. Rzuca spojrzenie na matkę. Matka patrzy na niego, chce coś powiedzieć, ale nie mówi nic. Potem ojciec przenosi wzrok na mnie i mówi: „Pomożesz mi przytrzymać brązową krowę”. - „Czy on nie jest za młody na to?”, pyta matka. „Chodzi ci o to - mówi ojciec - czy Ernst nie jest jeszcze za słaby na to, żeby trzymać krowę przy kryciu? Cóż, pomogę mu przy tym.” Tak też się dzieje, bo zawsze jest tak, jak powie ojciec, nazywany przez ludzi w majątku zawsze tylko „panem majorem”. A buhaj z Sarnitz jest silny i dziki, skacze ciężko na krowę, tak że muszę wyteńczyć wszystkie siły, żeby ją utrzymać. I moja kurtka jest powalana pianą ciekącą z pyska krowy. Do zadań moich należy również sprzątanie mego pokoju. Każdego ranka wietrzę pościel. Każdego wieczora przynoszę dwa dzbany świeżej wody. Ojciec dyktuje, jak szeroko otwierać okna na noc. Mycie podłogi zaś jest sprawą Emmy, jednej z naszych służących. Wstaję latem o szóstej, zimą o siódmej, i kładę się spać o ósmej lub o dziewiątej wieczorem. Niekiedy ojciec budzi mnie wśród nocy, na przykład kiedy Źrebi się kłacz, kiedy jelen włamuje się do ogrodu albo w takich wypadkach, jak w 1906 roku, kiedy paliła się wozownia. Następnego ranka wolno mi dłużej spać, o tyle dłużej, ile trwała nocna eskapada. Ojciec

wiele nie mówi, w obecności ojca matka mówi jeszcze mniej. Kiedy jest sama, śpiewa czasem; i jej głos jest piękny. Ale historyjek mi nie opowiada - to robi Glubalke, kiedy nie ma w pobliżu ojca ani matki i kiedy jest fajrant. Glubalke opowiada o wojnie i o cesarzu, i o swoim bracie, który zabił swoją żonę. „Ciachnął ją w łeb - mówi - i to siekierą. Bo ona go zdradzała, a jeśli człowiek zdradza drugiego człowieka, powinien dostać siekierą w łeb. To jest właśnie sprawiedliwość.” „Czy to jest rzeczywiście sprawiedliwość?”, pytam ojca. A ojciec odpowiada: „To sprawiedliwość parobków”. Nauczyciel Fransen ma głos jak stara baba. Przy tym nie ma jeszcze dwudziestu pięciu lat, jest młodzieńcem o jasnoniebieskich oczach i różowej, świńskiej cerze. Jego ręce są wiecznie w ruchu, czasem krążą jedna wokół drugiej jak latające ptaki. On sam zaś nie chodzi, lecz zdaje się pełzać. „On się mnie boi”, mówię do ojca. „Nonsens - mówi ojciec - skąd ci to przyszło do głowy?” - „Boi się mnie - mówię - bo jestem twoim synem, synem zarządcy majątku.” Następnego dnia ojciec przychodzi do szkoły, z pejczem do konnej jazdy w dłoni. Fransen prawie skomle, gdy ojciec z nim mówi. Jego plecy są okrągłe jak łuk, ręce drżą jak liście topoli. „Panie Fransen - mówi ojciec, kiedy zostajemy sami we trójkę w pustej klasie - to jest pański uczeń, a że jest poza tym moim synem, to pana nie powinno obchodzić. On ma się uczyć. I między innymi ma się nauczyć posłuszeństwa wobec tych, którzy mają być dla niego autorytetem. Może pan sobie być słabeuszem, panie Fransen, ale dla niego jest pan autorytetem, mocą swojej funkcji. Niech więc pan będzie łaskaw odpowiednio postępować. A ty, Ernst, stosuj się do tego.” Siedzę w jednej ławce z wsiowymi dziećmi. Moje drugie śniadanie nie jest lepsze od ich śniadania. Nie jestem lepiej od nich ubrany. Ale nie tylko w szkole uczę się razem z nimi, odrabiam również razem z nimi zadania domowe, i ojciec chce ponadto, żebym brał udział w ich zabawach. Wypuszczamy ryby z jeziora, przełazimy przez rury kanałowe na przejeździe, spiętrzamy wodę potoku i zalewamy łąkę. „Ernst - mówi do mnie ojciec - wyrządziliście poważną szkodę, czy ty też maczałeś w tym palce?” - „Tak, ojcze”, mówię. „Czy podasz mi nazwiska chłopców, którzy brali w tym udział, jeśli cię o to poproszę?” - „Podam ci te nazwiska, ojcze, jeśli będziesz przy tym obstawał, ale proszę cię, nie rób tego.” - „Dobrze, synu - mówi ojciec - sprawa jest załatwiona, możesz już iść.” „Szkoła ludowa w Planken, powiat Stuhm, od szóstego do dziesiątego roku życia, (1904_#1908). Gimnazjum im. Cesarza Wilhelma w Stuhmie, od dziesiątego do osiemnastego roku życia (1908_#1916). Tamże matura. 1916 zgłaszam się na ochotnika do wojska.” Lato za latem, formalnie rzecz biorąc, nic innego się nie dzieje, jak tylko to: #/5#00 wstawanie; #/5#45 śniadanie; #/6#10 wymarsz na stację kolejową Romeiken, odległą o trzy kilometry; #/6#52 do #/7#36 jazda pociągiem osobowym, czwartą klasą, z Romeiken do Stuhmu; #/8#00 do #/1#00 w południe nauka w gimnazjum im. Cesarza Wilhelma w Stuhmie; #/1#00 do #/3#00 po południu odrabianie lekcji w poczekalni III i IV klasy stacji Stuhm; #/3#07 do #/3#51 po południu powrót ze Stuhmu do Romeiken, stąd piechotą do Planken. Przybycie tamże koło #/4#30 po południu. Odrabianie pozostałych zadań domowych, instrukcje ojca, przeważnie związane z obchodem stajni, kolacja, do łóżka. I tak dzień po dniu, przez całe lato. Miesiące zimowe - od początku października do końca lutego - spędzam na stacji uczniowskiej „Viktoria” w Stuhmie, ulica Schillera 32. Właścicielka tej stacji: pani Hannelore Rohrmeister, wdowa po dyplomowanym oficerze. ściśle uregulowane życie, od poniedziałku rano do soboty w południe, dokładnie według planu, łącznie z kontrolą zadań domowych. Od soboty po południu do poniedziałku rano: pobyt w Planken, w domu rodzinnym. Trzech chłopców mieszka ze mną w jednym pokoju. Pod dwiema przeciwległymi ścianami po dwa łóżka. Palenie wzbronione. Picie alkoholu grozi usunięciem ze stacji. O dziesiątej gasi się światło. Posiłki spożywane są wspólnie. Każdy ma swoje miejsce do pracy, dwa metry kwadratowe, dokładnie wymierzone, odgrozione niegdyś białymi kreskami na drewnianym blacie wspólnego stołu. Co cztery tygodnie pani Rohrmeister, właścicielka stacji i wdowa po dyplomowanym oficerze, wystawia nam świadectwo ze sprawowania, które trzeba w domu przedłożyć do podpisu. „Ernst Modersohn - mówi do mnie pani Rohrmeister, wezwawszy mnie do siebie do pokoju - jesteś porządnym i solidnym chłopcem, i ja umiem to docenić.” Ja nic nie mówię. „Myślę - powiada ona - że można mieć do ciebie zaufanie.” Ja dalej milczę. „I dlatego - powiada ona - zastanawiam się nad tym, czy

nie mianować cię mężem zaufania twojego pokoju.” - „Jakie jest zadanie męża zaufania?”, pytam. „No więc - mówi ona - cieszy się on moim zaufaniem. Pomaga mi utrzymywać porządek. Uważa, co robią inni, i zdaje mi z tego sprawę.” - „Bardzo żałuję - mówię - ale to nie jest zadanie dla mnie.” „Wszystko w życiu ma swoją cenę - mówi doktor Engelhardt. - Za każde słówko, którego nie będziecie znali, dostaniecie raz w tyłek. Zobaczymy, kto zdobędzie rekord.” Rekord zdobywa Fussmann. Ćadna lekcja łaciny nie obędzie się bez tego, żeby nie dostał przynajmniej pięć razy w tyłek: „Ja bym nigdy nie pozwolił się bić”, stwierdzam. „Dobrze ci mówić - powiada Fussmann - ty i tak wszystko umiesz.” Lewe przedramię ojca jest jedną krwawą i bryjowatą masą. Twarz jego jest śnieżnobiała. Pośliznął się i wpadł na puszczoną w ruch sieczkarę. „Rozetniście mi rękaw - mówi - koszulę też. Dajcie czyste prześcieradło. Związać rękę. I natychmiast zaprząć konie - muszę jechać do lekarza.” To wszystko, co mówi. Trzyma się jeszcze bardziej prosto niż zwykle. W tydzień później znowu stoi pośrodku dziedzińca. Će lewa ręka jest kaleka i taką będzie już na zawsze, o tym nigdy nie wspomina - również nikt inny o tym nie wspomina. „Modersohn - mówi do mnie doktor Engelhardt - wstań. Jestem pewien, że jesteś odważnym chłopcem.” Staje przede mną i mówi: „Jak dowiedziałem się z najnowszej listy strat, ojciec twój, major Modersohn, poległ w bitwie na bagnach mazurskich, padł na polu chwały jako dzielny żołnierz. Możesz być dumny z niego. Pan dyrektor udziela ci trzy dni urlopu.” „Matko - mówię - przy najbliższej okazji również i ja zgłoszę się na ochotnika.” - „Dlaczego?”, mówi tylko. „Nie umiem ci tego powiedzieć. Muszę to zrobić. Ojciec też to zrobił.” „W 1916 roku szkolenie podstawowe w 779 zapasowym batalionie piechoty. Przydział do 18 pp, von Grolmana. Pierwszy raz na froncie jesienią 1916 roku, na zachodzie, odcinek Douaumont. Promocja na podporucznika: 18 I 1918 r. Po zakończeniu wojny: powrót do Planken w powiecie Stuhm. Tamże praca w charakterze inspektora rolnego.” „Modersohn?”, zastanawia się pułkownik Treskow. Stoję przed nim: obryzganym błotem, w drelichowym mundurze, zlany potem. Pułkownik Treskow, który ma drewnianą nogę, dokonuje lustracji poborowych. „Modersohn? - pyta jeszcze raz. Miałem kolegę tego nazwiska. Major Modersohn z Planken.” - „To był mój ojciec, panie pułkowniku”, powiadam. „Był dobrym kolegą - mówi pułkownik Treskow. - Staraj się pan być go godnym.” Odchodzi, wlokąc za sobą swoją drewnianą nogę. Lokal nazywa się „Pod Pruskim Orłem”. Właściciel jest wujem jednego z moich kolegów. święcimy wymarsz na front. Są z nami dziewczęta, niektóre ze szpitala, w stroju pielęgniarek. Wódka się leje. Przyćmione światła. Wrzawa. Moja sąsiadka przyciska się do mnie. „Chodź - mówi - wyjdźmy na dwór.” - „Zostaję z kolegami”, mówię. „Czy ci się nie podobam?”, pyta. „Nie”, mówię. I to prawda. Ale ona nie znosi prawdy. I mówi: „Kto to już w dzisiejszych czasach nie zostaje żołnierzem!” Bezcelowe byłoby jej tłumaczyć, że żołnierzem nie można zostać - żołnierzem się jest albo nie jest. Więcej nie ma co na ten temat mówić. Białe światło księżycy. Wulkaniczny krajobraz. Czająca się cisza. Rakiety wzbijają się prosto w górę i gasną z sykiem. Słodkawy odór trupów. Zimny kaem w moich zeszywniałych palcach. Obok mnie kolega położył głowę na rękach - śpi albo nie żyje. A potem powoli narasta we mnie uczucie: za moimi plecami ktoś stoi, niemy, bez ruchu, napominający - ojciec. Pułkownik Treskow stoi obok mnie, z zegarkiem w ręku. „Jeszcze siedem minut - mówi - i zaczynamy.” Od dwóch dni jest znowu na froncie, objął dowództwo pułku, chce go prowadzić do ataku na wzgórze 304. Kuśtyka do kładki. „Jeszcze jedna minuta.” A potem prostuje się, kuśtyka w kierunku przeciwnika, dwa, trzy kroki - drgnął, zachwiał się, pada. Rzucam się obok niego na ziemię, a on rzezi: „Nigdy nie ustępować, Modersohn, nigdy nie ustępować.” I umiera. Szampan! Ostatnie butelki, wydobyte z najgłębszych zakamarków. Na moją cześć. Podniszczona, nędzna, przesiąknięta krwią kurtka polowa, starannie oczyszczona, z naramiennikami podporucznika. Dokoła mnie oficerowie, poważni, uroczyści. „Panie kolego”, mówią do mnie. Kieliszki brzęczą, jak się nimi trącamy. Cesarz, Rzesza, ojczyzna. Klęska, która jest już tuż tuż, wydaje się odległa o całe światy. Ani śladu żałoby. świadomość, że prawdziwe wartości są wieczne. „Teraz - mówi po kilku godzinach do mnie pewien rotmistrz - może pan pójść do burdelu oficerskiego, panie kolego, jeśli ma pan ochotę. Chce pan?” - „Nie”, mówię. Powrót do Planken. Nowy zarządca na miejscu ojca. Matka mieszka w domku ogrodnika.

Jest tam również pokój dla mnie. „Najważniejsze, że żyjesz, synu mój”, mówi matka. Wszystko wokoło jest ciasne i obce, ojczyzna już nie jest ta sama, co dawniej. Wszystko wydaje się zmienione. Tylko nie to, co jest w nas samych. „1919_#1921: inspektor rolny w PLanken, powiat Stuhm. 1921: wstępuję do jednej z jednostek, z których powstała reichswehra. Później przydział do 3 pp w stopniu podporucznika. 1926: awans na porucznika; 1930 na kapitana; 1934 na majora; 193fb 7 na podpułkownika; 1939 na pułkownika; 1940 na generała.” Naród żyjący w nieszczęściu popada w chorobę. Wysilek wielkiej wojny był zbyt potężny. Więc ludzie opadają coraz bardziej z sił, w pogoni za zyskiem; są anemiczni, słabi. Wydaje im się, że trzeba żyć jedynie dniem dzisiejszym. Miasta gniją, wieś się wykrwawia. Matka jest jeszcze bardziej milcząca niż dawniej. łądza zalewa twarze, a w oczach błyszczą zuchwały bezwstyd. „Dlaczego nie chcesz ze mną spać?”, mówi żona zarządcy, który przyszedł na miejsce mego ojca. „Bo mam wstręt do ciebie”, powiadam jej. I myślę sobie: Bo jesteś częścią wielkiego bezsensu w kraju, za który zginęły miliony ludzi. Cztery wydarzenia tego niezapomnianego lata: Matka umiera - cicho i z uśmiechem, tak jak żyła. Razu pewnego nie budzi się ze snu. Potem: nowy zarządca, następca mego ojca, uderza mnie w twarz, na środku dziedzińca, przed ludźmi, i twierdzi, że napastowałem jego żonę. Nie mówię ani słowa. Odchodzę. I trzecie: wdziwam znowu mundur. Potem spotykam Susanne. Wszystko to w ciągu jednego lata: śmierć, upokorzenie, duma i miłość. Reszta życia jest pracą i samotnością, i poszukiwaniem sensu żołnierskiego bytu. Więcej nie mam o sobie nic do powiedzenia.

_____ Część II (c.d.) 19 Noc przed rozstrzygnięciem Noce szkoły wojennej były krótkie. Oficjalną porą capstrzyku była godzina #/22#00. Potem w obrębie koszar miała panować absolutna cisza, przynajmniej u podchorążych; oczywiście istniało „zezwoleń na pracę” do godziny #/24#00. To zezwoleń na pracę - tylko dla karierowiczów i durniów, zdaniem niektórych podchorążych - było oczywiście również dokładnie sprecyzowane przez jeden z owych zdumiewających rozkazów specjalnych majora Freya. Rozkaz ten opatrzony był numerem 27 i można w nim było między innymi przeczytać, co następuje: Oświetlenie należy starannie zaciemniać papierem, tekturą lub materiałem, ażeby nie przeszkadzać tym, którzy chcą spać; przy czym należy baczyć na to, by używany do zaciemniania materiał był ogniotrwały i by był umieszczany w odległości co najmniej trzech do pięciu centymetrów od palącej się żarówki. Tak więc o tej porze abażury lamp w pokojach podchorążych obwieszane były płachtami „V~olkischer Beobachter” i gazetkami szkolnymi, kalesonami i swetrami. Na stołach leżały zeszyty, mapy, notatniki i regulaminy. Mniej więcej co trzeci podchorąży pracował albo pisał listy do rodziny lub narzeczonej, albo o czymś leniwie rozmyślał, jako że nie miał ochoty spać. Po ołowianym śnie zaś, który zawsze wydawał się przeraźliwie krótki, następowało szybkie, brutalne przebudzenie. Kilku podchorążych rozmawiało szeptem. Już samo to było naruszeniem rozkazu specjalnego nr 27. W rozkazie tym bowiem było napisane jasno i wyraźnie: Rozmowy są niedozwolone ze względu na śpiących, łącznie z rozmowami przyciszonymi i szeptami. Mówić wolno tylko krótko, jeśli trzeba się z kimś porozumieć albo kogoś poradzić, i to półgłosem. Tak więc po godzinie #/22#00 w izbach podchorążych słychać było tylko tu i ówdzie szmer przyciszonych rozmów. Ci z kompanii administracyjnej mieli pod tym względem nieco więcej swobody; kantyna była do ich dyspozycji do godziny #/24#00. Ale i tu najłżejszy nawet hałas zwabiłby natychmiast oficera dyżurnego. Oficerów_instruktorów szkoły wojennej rzecz jasna to wszystko nie dotyczyło. Już choćby z przyczyn wychowawczych, ze względu na podchorążych. Miało to kandydatom na oficerów unaoczniać, jak godny pożądanía jest cel, do którego dążyli w szkole wojennej. Oficerowie mogli przychodzić i wychodzić kiedy chcieli - teoretycznie kasyno było dla nich zawsze otwarte. Mogli, jeśli mieli ochotę, palić światło w swoich pokojach przez całą noc, składać sobie wzajemnie wizyty, rozmawiać, grać, opróżniać butelki, przekraczać bramę koszar. Mogli również wędrować po całych koszarach wzdłuż i wszerz, na przykład dla kontroli podległych im podchorążych, kiedy tylko uważali to za stosowne. Czas ich i miejsce pobytu ograniczał jedynie plan zajęć. Tyle, jak się rzekło, teoria. Praktyka wyglądała nieco inaczej. Generał bowiem wyznawał pogląd: Oficer jest zawsze na służbie. Może robić, co mu się żywnie

podoba, albo i nie robić - nie wykorzystuje jednak tej swobody. Generał czuwał nad tym. Ie generał czuwał, to na dłuższą metę nie dało się ukryć przed nikim w szkole wojennej. Generał jednak nie tylko ciążył nad wszystkimi niczym wielki cień, ale jeszcze zwykł się zjawiać in persona o najniemożliwszych porach i we wszelkich możliwych miejscach. Niewiele można było ukryć przed jego badawczym wzrokiem: mógł równie dobrze wyłonić się nagle w kolejce po kawę, jak i w pralni, w izbach mieszkalnych, w halach, na izbie chorych. Ta stale wisząca nad szkołą chmura gradowa pociągała za sobą tworzenie się innych, podobnych chmur. Tak jak on, wkrótce zaczęły wyrastać jak spod ziemi również i obaj dowódcy kursów, sześciu dowódców oddziałów i osiemnastu dowódców grup szkolnych. W szkole wojennej w Wildlingen nad Menem prawie zawsze czuwały czyjeś oczy. Ale noce były ciemne, teren był rozległy, i istniały liczne kąty, zakamarki i tajemne ścieżki. Doświadczeni wojacy umieli sobie radzić. Bo nawet Modersohn nie potrafił być równocześnie wszędzie. * * * Podchorążowie Rednitz, M~osler i Weber, Egon, rozmawiali bez zenady głośno. Mogli sobie na to pozwolić, bo nikomu właściwie nie przeszkadzali. Spali w jednym pokoju z podchorążym B~ohmke, poetą; a kiedy ten czytał „Fausta”, zapominał o bożym świecie. - Apeluję do waszego poczucia solidarności koleżeńskiej - zaklinał M~osler - musicie iść ze mną. - Dlaczego? - spytał Rednitz. - Ieby ci poświecić? - Każdy coś tam dla siebie znajdzie - obiecywał M~osler. - Już ja się o to postaaram. Najważniejsze, żeby żadna z dziewcząt nie siedziała sama, bo to tylko rodzi zawiść. Ale jak każda będzie miała coś do roboty, to wtedy będzie tak, jak to zwykle bywa z jakimś specjalnym przeżyciem na froncie, koledzy; wystarczy, żeby jeden coś takiego przeżył, a inni zaraz też chcą. - A która dostałaby się ewentualnie mnie? - zainteresował się podchorąży Weber. - Nie jestem specjalnie wybredny, ale nie lubię wybierków. A więc czy ona pasuje do mnie? Czy chętnie odda się wojsku w opiekę? - Egzemplarz pierwsza klasa! - oświadczył M~osler, zamaszystymi gestami obrysowując dziewczęcę kształty. - Coś dla stuprocentowego mężczyzny tak jak ty. Pracuje zresztą w kuchni. Ta ostatnia uwaga przypadła Weberowi widać do smaku. Dla starego doświadczonego wojaka garkołuł był nie mniej pociągający niż baletnica dla starego lubieżnika. Opory Webera topniały. - Jeżeli to tak - powiedział jowialnie - nie mam nic przeciwko temu. Robię to dla ciebie, M~osler. - A ty, Rednitz, trzymasz sztamę? - Jestem zmęczony - rzekł Rednitz, ziewając. - To ci przejdzie - agitował go M~osler z zapalem. - Bo również i dla ciebie przewidziany jest pierwszorzędny kociak; mała, zgrabna, ruchliwa jak żywe srebro. Zanim zdążysz policzyć do trzech, przemknij się po tobie z góry na dół. Na Rednitzu nie zrobiło to prawie żadnego wrażenia. Oświadczył jheszcze raz, że jest zmęczony i chce pójść spać. To zasmuciło jego kolegów. Zaklinali go, żeby im nie psuł zabawy. A potem postawili pytanie, które zawsze działało na mur_beton: może on się boi? Rednitz nie dał się jednak na to złapać i wyśmiał ich tylko. - Sprawa przedstawia się mianowicie następująco - wyznał M~osler w końcu. - Moja dziewczyna śpi jheszcze z dwiema innymi, a te mocno jej pilnują. Im się też chce, rozumiesz, ale widocznie nie umieją się zabrać do rzeczy tak jak moja cizia. Dlatego czepiają się jej. Krótko mówiąc: moja myszka może przyjść tylko pod tym warunkiem, że przyprowadzi dwie pozostałe. - A gdzie to wszystko się odbędzie? - W sali gimnastycznej. Wynająłem całą przechowalnię sprzętu, włącznie z piecykiem elektrycznym i matami. - Jak tyś wpadł na ten pomysł? - Całkiem zwyczajnie - oświadczył M~osler z dumą. - Przyłapałem tam przypadkowo magazyniera sprzętu z jego cizią. I wtedy mu po prostu powiedziałem: albo wpadka, albo on mnie tam kiedyś wpuści. I teraz nadarza się akurat okazja; krótko przed zamknięciem bramy wszystko przygotowałem. Za dwadzieścia minut dziewczęta będą czekać przy ostatnim oknie w korytarzu swojej chałupy. Stamtąd przez skwer i potem do hali, na gimnastykę. - Na co my jheszcze czekamy?! - zawołał Weber i zerwał się podniecony. - Nie będę się przekradał przez teren okrężną drogą - powiedział Rednitz. - Na to jestem zanadto zmęczony. Jeśli już, to iść na całego. - Jak to rozumiesz? - Hełm, płaszcz i karabin - powiedział Rednitz - i wyruszamy tak jak dwuosobowy patrol pod dowództwem jednego z pełniących dziś wartę. To najpewniejsze maskowanie. W tym stroju maszerujemy sobie powoli przez główną ulicę koszar. I ręczę wam, że choćby przyszedł nie wiem kto, nie zapyta, co my tu robimy. - To zbyt ryzykowne - powiedział

M-osler zatroskany. - Sprawa jest tak czy siak ryzykowna - rzekł Rednitz. - A więc, albo w pełnym rynsztunku bojowym, albo beze mnie. - No to jazda! - zawołał Weber, Egon. - Do broni! * * * Kapitan Feders utkwiał nieruchomy wzrok w szklaną ścianę, za którą przebywali ludzie piłki. Leżeli teraz w małych łódeczkach z siatką, takich jak łóżka dzieciinne. W sali paliło się słabe czerwone światło. Również i dla nich nastąpiła noc - drzemali. - śpią prawie zupełnie normalnie - powiedział kapitan Kr~uger za plecami Federsa. W pustej dyżurce znajdowali się tylko obaj przyjaciele. Od czasu do czasu doktor obserwował swoich pacjentów całkiem sam, bez żadnego pielęgniarskiego - niekiedy godzinami. A czasem towarzyszył mu przy tym kapitan Feders. - Odurzasz ich morfiną? - spytał Feders. - Nie wszystkich - odparł lekarz o zniekształconej twarzy. - Tylko niektórych, ale nie wszystkich równie silną dawką. - Mógłbyś więc, gdybyś chciał, uśpić ich na zawsze? - Gdybym chciał, mógłbym - powiedział lekarz zduszonym głosem. Jego twarz nigdy się nie zmieniała. Jak gdyby nosił martwą maskę - na upiornym balu maskowym wojny. Feders siedział okrakiem na krześle z rękami na oparciu i brodą na rękach. Oczy miał prawie zupełnie zamknięte. Wreszcie spytał cicho: - Dlaczego tego nie robisz? Doktor Kr~uger nie odpowiedział na to pytanie. Nie pierwszy raz mu je stawiano. - Dlaczego tego nie robisz? - powtórzył Feders. - Dlaczego nie podwyższasz codziennie dawki morfiny, żeby te szczątki ludzi mogły wpaść w objęcia zbawczej śmierci? Za ledwie kilka kroków dzieli ich przecież od niej. A może boisz się wziąć na siebie odpowiedzialność? - Zdjęto ją już ze mnie - powiedział Kr~uger z wysiłkiem. - Dostałem wyraźne pozwolenie na zabijanie... pod ściśle określonym, wyłożonym jasno na piśmie warunkiem. I ten warunek, Erich, spełnia prawie każdy z moich pacjentów. - Więc dlaczego tego nie robisz? - Nie mogę mordować - powiedział lekarz. - Skrócisz tylko nie kończące się cierpienia. Przyniesiesz nareszcie wybawienie. Doktor Kr~uger, którego twarz nie była już w stanie wyrazić żadnego uczucia, podniósł ręce w niemej prośbie, po czym opuścił je bezsilnie. Wreszcie spytał ledwie dosłyszalnie: - Ilu ludzi dotąd zabiłeś, Erich, świadomie i umyślnie? - Nie wiem dokładnie - powiedział kapitan Feders zamyślony. - Ale chyba całe mnóstwo. - I przed oczyma stanęły mu granaty ręczne padające w okna piwnic; karabin maszynowy, który wypluł wszystkie swoje pociski w zarośla; łopata saperska ze świstem spadająca na czyjąś aortę - posiadał srebrną odznakę za walkę wręcz. - Lepiej w każdym razie być trupem - powiedział - niż jednym z tych ludzi - piłek. Istnieją tylko dwie możliwości ratunku dla nich: albo się ich ustawi na jarmarkach ludzkości jako konających powoli męczenników masowego obłądzenia, albo uwolni się ich od tego życia, które wśród istot bez pamięci i bez sumienia i tak nie jest nic warte. Lekarz potrząsnął zniekształconą głową. A potem powiedział: - Człowiek bez rąk i bez nóg mimo wszystko jest człowiekiem. Ty, Erich, możesz wszystko, nie możesz tylko spać z kobietą. A mnie nie wolno pokazywać mojej twarzy, ale poza tym mogę robić wszystko. Dopóki człowiek może jeszcze widzieć, dopóki człowiek może jeszcze słyszeć, dopóki może jeszcze mówić, myśleć, czuć, żyje w kręgu stworzenia i jest jego częścią. Świat nie jest pusty i martwy, jeśli spośród wszystkich zmysłów istnieje jeszcze choćby tylko jeden. - Nie - powiedział Feders twardo - chcę żyć pełnią życia albo wcale nie żyć. - Mógłbyś więc ich zabić? - spytał lekarz cicho. I pozostawił przyjacielowi czas na odpowiedź. Ale się jej nie doczekał. - Jeśli naprawdę to potrafisz, Erich, ja nie będę ci przeszkadzał zrobić tego, na co przepisy pozwalają, ba, co nawet wyraźnie zalecają. No cóż, Erich, czy mam cię nauczyć, jak to się robi? Kapitan Feders spojrzał badawczo na przyjaciela. Jego rany zdawały się gorzeć. Ręce, po które kapitan sięgnął, jakby szukając pomocy, dygotały. * * * - Odwaliliśmy dziś porządny kawał roboty - powiedział kapitan Kater, zacierając z zadowoleniem ręce. - Ale tak być musi; gdy chodzi o spełnienie obowiązku, my się nie lenimy. Słowa te wygłaszał Kater w kancelarii kompanii administracyjnej do swoich najbliższych współpracowników: starszego sierżanta Rabenkamma, który był starszym sierżantem i niczym więcej, oraz do Elfriedy Rademacher i Ireny Jablonski, najnowszej siły biurowej. Sporządzane co trzy miesiące kwartalne sprawozdanie z obsady etatowego stanu osobowego wymagało zwykle dużo czasu - oczywiście nie czasu Katera. Kapitan miał pierwszorzędną kadry, na których mógł polegać. Jego działalność sprowadzała się przy tym prawie wyłącznie do podpisywania dokumentów. - Naprawdę - rzekł kapitan Kater z uznaniem -

znakomita robota. Jestem bardzo zadowolony. - Brak tylko jeszcze daty - powiedział starszy sierżant - i pan kapitan będzie mógł podpisać. - Nie, nie będę mógł, muszę najpierw wszystko dokładnie przeliczyć - odparł Kater. - W takich wypadkach jestem za największą dokładnością. Sprawozdanie z obsady etatowej stanu osobowego jest niejako wizytówką jednostki. A moja wizytówka musi wypaść doskonale. Starszy sierżant obrzucił szybkim spojrzeniem Elfriedę. Uśmiechnęła się ubawiona. Wiedzieli, że kapitan znowu inscenizuje mały występ solo: tym razem kreując się na poprawność. I to wcale nieprzekonywająco. Tylko dla Ireny Jablonski przedstawienie to było czymś nowym: jej dziecinne oczy patrzyły z podziwem na kapitana Katera. - A więc - powiedział Kater - proszę kończyć to sprawozdanie. - Będzie gotowe za dwie minuty, panie kapitanie. - Proszę się zanadto nie spieszyć. Powoli, gruntownie, dokładnie - to w takich razach moja dewiza. Proszę więc przejrzeć jeszcze raz całość, sprawdzić poszczególne pozycje, żeby nie było nawet najmniejszej niedokładności. - Naprawdę wszystko jest w porządku, panie kapitanie. - Ale warto mimo to sprawdzić. Kiedy wszystko będzie gotowe, proszę przynieść mi te dokumenty do mego mieszkania, za jakieś pół godziny. I żeby nie zabierać pani czasu, zupełnie wystarczy, jeśli przyniesie mi je panna Jablonski. Kater skinął Irenie po ojcowsku głową i wyszedł. Starszy sierżant pozbiierał papiery. Dopisał datę, co trwało około dziesięciu sekund, i powiedział: - Gotowe. - No to kończymy na dziś - powiedziała Elfrieda. - Najwyższy czas, mam jeszcze coś do załatwienia. A ty, Irena, zabierasz się do swego pokoju, jasne? - Ale ja muszę przecież pójść do kapitana Katera! - Nie, nie musisz - rzekła Elfrieda stanowczo. - O tej porze powinnaś być w łóżku. Zmykaj więc do swego pokoju. Za dziesięć minut przyjdę sprawdzić, czy się już położyłaś. - Ale pan kapitan powiedział... - Kapitan Kater zapomniał widocznie spojrzeć na zegarek. Koniec na dziś. Nie sprzeciwiaj się, Irena. Irena podporządkowała się rozkazowi Elfriedy niechętnie i wyszła, mrużąc coś pod nosem. - Nie chcę się do tego wtrącać - powiedział starszy sierżant spokojnie - ale czy pani zdaje sobie sprawę, panno Rademacher, co pani narobiła? - Zdaję sobie tak samo sprawę, jak pan. Ale niech pana o to głowa nie boli. Biorę, jak to się pięknie mówi, całkowitą odpowiedzialność na siebie. A te dokumenty pan zanieś kapitanowi Katerowi. Wyobraża pan sobie, jaką zrobi minę, gdy zobaczy pana zamiast Ireny! * * * Generał Modersohn przerwał swą nocną pracę. Zaczął wsłuchiwać się w lodowaty deszcz, ciężko bębniący o szyby. Próbował rozetrzeć sobie ręce; były zimne i wilgotne. A głowa mu płonęła. Miał gorączkę - jak zwykle przy nagłej zmianie pogody. Zmuszał się do tego, by nie myśleć o swoim zdrowiu. Później, u siebie w pokoju, weźmie chininę i napije się wody. Wezwał adiutanta. Ostatnio, kiedy tylko musiał pracować po godzinach służbowych, był przy nim zawsze adiutant, albo przynajmniej jakiś pisarz, nigdy sama Sybilla Bachner. - Panie poruczniku Bieringer - powiedział - proszę przygotować plany zajęć aż do końca tego kursu. - Aż do końca całego kursu? - spytał adiutant zdumiony. Generał popatrzył na niego w milczeniu. I Bieringer pospieszył zapewnić: - Planu zajęć do końca kursu, tak jest, panie generale. - Ile czasu będzie pan na to potrzebował, panie poruczniku? - Trzy dni, panie generale. - A więc na pojutrze, panie poruczniku. - Tak jest, panie generale. - Proszę powiedzieć pannie Bachner, że czekam na jej pracę. To na razie wszystko, panie poruczniku Bieringer. Adiutant wrócił do przedpokoju. Przez chwilę stał zamyślonny przy drzwiach, które po cichu za sobą zamknął. Następnie podszedł powoli do swojego biurka, przewertował nerwowo swoje akta i dopiero potem spojrzał na Sybillę, siedzącą przy maszynie do pisania. Wreszcie porucznik Bieringer spytał ostrożnie: - Czy pani ma jakieś pojęcie, panno Bachner, co się tu właściwie dzieje? Sybilla przerwała pracę i spojrzała na niego zaskoczona. Rzadko kiedy adiutant robił się poufały. Umiała to docenić, powiedziała jednak tonem wyraźnie niewinnym: - Nie. - Nic na to nie poradzę - rzekł adiutant - ale to, co się tu dzieje, diabelnie mi przypomina roboty likwidacyjne. Nad czym pani właściwie w tej chwili pracuje, panno Bachner? - Nad końcowymi opiniami służbowymi oficerów, tak jak to się zawsze robi na zakończenie każdego kursu. - Już teraz? - spytał Bieringer, szczerze zmartwiony. - Kurs potrwa przecież jeszcze blisko sześć tygodni. A może chodzi o opinie służbowe niektórych tylko oficerów? - Nie, panie poruczniku. Tylko parę jest jeszcze niegotowych. I te parę to są to przeważnie opinie o oficerach z kursu drugiego, między innymi o oficerach z

oddziału szóstego. - Nic nie rozumiem z tego wszystkiego - powiedział Bieringer zamyślony. Co prawda dotychczas nie udało mu się jeszcze ani razu przeniknąć generała tak na wskroś, ale też żadne z dotychczasowych zarządzeń Modersohna nie było ani niejasne, ani tajemnicze. - To przecież może tylko znaczyć - powiedział Bieringer - że generał ma zamiar się z nami pożegnać. - Dlaczego miałby to zrobić? - spytała Sybilla zatroskana. - Może chce iść na urlop. Bieringer pokręcił przecząco głową. - Generał miał urlop dopiero co, w zeszłym roku w lecie, bezpośrednio przed objęciem tego chlewu tutaj. Nie, nie, te prace generała oznaczają chyba coś innego. Sybilla była trochę zaszokowana. Zauważyła tak jak i adiutant pewne oznaki, ale nie miała odwagi ich sobie tłumaczyć. Nie chciała myśleć o ewentualnych konsekwencjach. Z porucznikiem Bieringerem sprawa była stosunkowo prosta: generał zabierze go ze sobą; ale jej nie. - Generał czeka zresztą na pani pracę, panno Bachner. Sybilla skinęła głową. Otworzyła górną szufladę, gdzie leżało jej lusterko. POstawiła je przed sobą na biurku i zaczęła się w nim przeglądać, nie krępując się wcale obecnością adiutanta. Porucznik Bieringer obserwował Sybillę ukradkiem. Nieco zbyt mięsistymi, a jednak zgrabnymi palcami rozluźniła i zaczęła sobie poprawiać fryzurę. Zdjęła klamrę, która przytrzymywała włosy na karku, tak że spadały jej teraz łagodnymi falami na ramiona. Uczesała je starannie, przy czym nieśmiały uśmiech pojawił się na jej wargach. Bieringer także się uśmiechał, ale uśmiech ten był nie pozbawiony sceptycyzmu. Sybilla wstała, rzuciła ostatnie kontrolne spojrzenie w lusterko, wzięła swoją teczkę z gotowymi pracami i udała się do pokoju generała. Modersohn spojrzał na nią - a raczej na teczkę. Wyciągnął rękę, wziął teczkę, otworzył ją, zajrzał do środka. Po paru sekundach spytał: - Jeszcze coś, panno Bachner? Zebrała w sobie wszystkie siły i spytała: - Czy nie przeszkadza panu, panie generale, moja nowa fryzura? - Nie - powiedział Modersohn, nie odrywając oczu od pracy. W tej chwili Sybilla czuła się prawie szczęśliwa. Mimo że odpowiedź generała brzmiała tak lakonicznie, udowodniła jej przynajmniej zupełnie wyraźnie jedno, i to najważniejsze: zauważył jej nową fryzurę. Widział ją więc dokładnie, nawet jeśli się zdawało, że patrzy poprzez nią, jak gdyby była ze szkła. To jego „nie” mogło znaczyć, że mu się podoba. I oczy jej zabłyśły. - Panno Bachner - powiedział generał - chciałbym, żeby pani się zastanowiła nad następującą sprawą: gdzie by pani najchętniej pracowała, gdyby pani musiała przestać pracować tu w komendzie? Daję pani trzy dni czasu do namysłu. To wszystko na dziś. Dziękuję, panno Bachner. * * * Marion Feders weszła do sypialni z uczuciem niepokoju. Włączyła lampkę nocną. Spojrzała na łóżko swego męża. Było puste, czysto i porządnie zaścielone. Widok ten spotęgował jeszcze niepokój Marion. Obróciła się z pewnym wysiłkiem i spojrzała w kierunku saloniku. Stał tam porucznik Seuter, „trubadur”. Napelniał kieliszek koniakiem, trzymając go pod światło. Następnie wypił koniak z wyraźną przyjemnością. Marion zamknęła na chwilę oczy. PO paru sekundach podeszła do swego łóżka i upadła na wznak. światło oślepiło ją; szybkim nerwowym ruchem poprawiła tak abażur, żeby światło nie raziło jej w oczy. Znowu rzuciła okiem na salonik. „Trubadur” kręcił gałki radia, nie znalazł jednak stacji, z której popłynęłaby przyjemna muzyka. POdszedł do okna i rzucił okiem na barometr, który wskazywał pogodę „zmienną”. POtem spojrzał na swój zegarek i nalał sobie jeszcze jeden kieliszek koniaku. - Będziesz wnet gotowa? - spytał. Marion nie odpowiedziała, aczkolwiek słyszała każde słowo. Twarz jej była martwa jak maska, tylko w oczach malował się niepokój. W saloniku oficer zaczął już rozpinać kurtkę, idąc jednocześnie ku sypialni, i to krokiem mężczyzny, który spokojnie zdąża do dobrze znanego mu celu. W drzwiach jednak stanął, spojrzał zdumiony na łóżko i Marion i powiedział: - A to co? Co się z tobą dzieje? Marion patrzyła na niego. Widziała jego gładką, polerowaną męską urodę, gibką postać lekkoatlety, pożądlive ręce i protekcyjnalny uśmiech - uśmiech mężczyzny, który czuje, że ma wszelkie powody być z siebie zadowolonym. - Co ci jest, Marion? - spytał, teraz już trochę niecierpliwie. - ale się czujesz? - Nie. - Czy może się boisz, że twój mąż za wcześnie wróci? - Oficer spojrzał jeszcze raz na zegarek; był to wspaniały okaz: wodoszczelny, wstrząsoodporny z fosforyzującymi cyframi i stoperem. - Nigdy nie wraca przed północą, kiedy wyjeżdża w teren. Dokąd zresztą? No, ale to nie ma nic do rzeczy. W każdym razie do północy będziemy na pewno sami. A więc, co jest? Rozbierzesz się czy nie? - Nie chcę - odparła

Marion. To już go zaczęło dziwić. Jako człowiek światowy zawsze był przygotowany na kaprysy kobiece, ale tu najmniej się ich spodziewał. - A więc nie chcesz? - powiedział, przysiadając się do niej na łóżko. Nachylił się nad nią i położył jej rękę na kolanie. - Nie chcę więcej - powiedziała Marion Feders. - Nie mogę więcej. Pięć minut drżenia na dwadzieścia cztery godziny pustki, a potem dwadzieścia cztery godziny obrzydzenia! Choroba fizyczna, która zanika z biegiem lat, taka sama choroba jak odra czy koklusz. Również i ona jest czymś przejściowym, tak jak odzwyczajanie się od piersi matczynej, wyrastanie z pieluszek czy ząbkowanie. - Co ty za bzdury wygadujesz - rzekł, uśmiechając się pobłaźliwie. - To przecież nie są twoje własne myśli, ktoś ci to wszystko musiał wmówić. - Myślałam o tym bardzo często - powiedziała. - To, co my robimy, to nie jest rozwiązanie. - Chodź, chodź - rzekł z poczuciem wyższości. - To i tak jest silniejsze od ciebie. Czują jego rękę przesuwającą się po jej ciele, od kolana w górę. Mięśnie jej skurczyły się, kiedy ręka ta dotknęła jej biodra i z powrotem zaczęła posuwać się w dół. - Nie chcę więcej - powtórzyła, nie patrząc na niego. Nie - nie mogła już znieść milczących cierpień swego męża, tej jego zaciętej, udreconej twarzy, którą starał się przed nią ukrywać. Zażądał od niej, by korzystała z wszelkiej możliwej wolności. Lecz przekonała się, że prawdziwa wolność to wtedy, gdy człowiek może decydować, jak chce żyć. A ona żyć chciała tylko ze swoim mężem. Marion jeszcze raz powtórzyła: - Nie chcę więcej. Porucznik Seuter roześmiał się tylko - odmowę jej brał za wyrafinowaną prowokację, za wyraz pragnienia, by ją wziął siłą. No cóż, dlaczego nie? Zabrał się więc energiczniej do dzieła, rzucił się na nią i poczuł, zaskoczony, że leżała pod nim zimna, sztywna i nieruchoma, jak skamieniała. - Mam wstręt do ciebie - powiedziała. Tego mu już było za wiele. Wstał, doprowadził do porządku swoją garderobę i odmaszerował, nie racząc obdarzyć jej nawet spojrzeniem. * * * Kapitan Ratshelm powiedział tonem niemal uroczystym: - Tylko wielkie idee potrafią pobudzać ludzkość do działania. - Jak na przykład idee naszego Führera - dodał podchorąży Hochbauer. Ratshelm potaknął. - Ale dopiero wielkie czyny - ciągnął - są tym, co utrzymuje ludzkość w ruchu. - Gdyby wszyscy oficerowie myśleli tak jak pan kapitan - zapewniał podchorąży w szlachetnym zapale - wygralibyśmy już może tę wojnę. Ale niestety nie wszyscy oficerowie tak myślą. Kapitan Ratshelm zwiesił głowę ze szczerym smutkiem. U każdego innego, kto nie był takim oficerem jak on, doszłoby teraz bezwzględnie do głosu poczucie solidarności. Każdy inny stanąłby natychmiast na stanowisku: wszyscy oficerowie myślą tak, jak oficerowie myśleć powinni - być może tylko, że wyrażają się nieco inaczej niż ja. Ale postawa oficerska jest zawsze jasna, nienaganna, czysta. Jeśli wojna nie jest jeszcze wygrana, powiedziałby każdy inny, to nie jest to wina oficerów ani podoficerów, ani też żołnierzy - dopóki mają takich oficerów. Jeśli coś utrudnia osiągnięcie ostatecznego zwycięstwa, to tych przyczyn należy szukać całkiem gdzie indziej - na przykład w ubolewaniu godnej przewadze materiałowej nieprzyjaciela, który brak cnót żołnierskich usiłuje nadrobić fantastycznymi wynikami produkcyjnymi; u tej parszywej, bezrozumnej cywilbandy, która toleruje wśród siebie krytykantów i defetystów; u leniwych, uprawiających sabotaż robotników obcokrajowców, podburzanych przez zakapturzonych komunistów i potencjalnych zdrajców kraju. I tak dalej, i tak dalej. Ale przecież nigdy u oficerów. Wszystko to kapitan Ratshelm powiedziałby każdemu innemu podchorążemu. Ale Hochbauer był w jego oczach jedynym dopuszczalnym wyjątkiem. Ten myślał już i postępował jak oficer. - My oficerowie - wyjaśnił Ratshelm - dążymy do doskonałości. Ale ludzie światli wśród nas, do których przy całej mej skromności muszę i siebie zaliczyć, zrozumieli, że nie istnieje doskonałość doskonała, najwyżej zbliżona do doskonałej. Jednakże za wszelką cenę należy dążyć do osiągnięcia jak największego stopnia przybliżenia. Kapitan Ratshelm rozkoszował się tą podniosłą chwilą. Czuł się szanowany i kochany miłością, jaką zwykle wdzięczni uczniowie darzą swego nauczyciela i przyjaciela. Przyszedł mu na myśl Platon, który siadywał u nóg Sokratesa, by go słuchać i uczynić później nieśmiertelnym. Porównanie to napełniło go szczęściem. O takiej godzinie marzył, odkąd przestąpił próg tej szkoły. Był człowiekiem wiedzy, nieomal mędrce w własnym mniemaniu; zmuszony był jednak wykonywać tu czarną robotę. Musiał wbijać do łbów podchorążym, co prawda chętnym, ale nie grzeszącym przecież rozumem, podstawowe zasady wiedzy potrzebnej

każdemu oficerowi. On zaś marzył o stworzeniu pewnego rodzaju szkoły, o szerzeniu głębokich idei, o wypracowaniu filozofii i żołnierskiej. Do tej pory nie mógł sobie na to pozwolić. Teraz jednak w życie jego wszedł Hochbauer, ten szlachetny młodzian, który wisiał oczyma na jego ustach. - Doskonałość, jak się rzekło, jest celem najwyższym. Nie można jej osiągnąć, nie pozbywając się niedoskonałości, a do tego konieczne jest rozpoznanie tej ostatniej. Pan wie, mój drogi, co chcę przez to powiedzieć? Pan się zgadza? Pan mnie rozumie! Niech pan weźmie na przykład Hermana Cheruskiego; nawet w jego szeregach byli ludzie słabi. Nawet wśród dwunastu uczniów Chrystusa znalazł się zdrajca Judasz. Ale nie będziemy zbaczać na tematy kościelne, nieprawdaż? W końcu my jesteśmy pierwszym narodem, który przewyciężył średniowiecze. Od nas rozpoczyna się nowy, wspaniały rozdział historii świata. Nie uważa pan, drogi Hochbauer? Drogi Hochbauer też tak uważał. - Panie kapitanie - rzekł podchorąży z wdzięcznością - pan kapitan raz na zawsze mi wyjaśnił i dowiódł, że tak właśnie jest. Cóż za doniosłe słowa, panie kapitanie: osiągnąć doskonałość można tylko, pozbywając się niedoskonałości. To mi przypomina coś, co kiedyś przeczytałem i co mnie bardzo poruszyło. Pewien oficer wielkiego Fryderyka, siedząc w szynku, usłyszał, jak inny oficer ubliża królowi. Wstał, wyciągnął pistolet i zastrzelił zdrajcę jak psa, wypowiadając przy tym słowa: „Huncwot ten, co nie kocha swego króla”. - Tak - powiedział kapitan zamyślony - to jeszcze były wielkie historyczne czasy. - Ale duch ten - rzekł podchorąży żarliwie - nie powinien zginąć, panie kapitanie. Kapitan RAtshelm przytaknął z powagą. Co w tej chwili usankcjonował, o tym nie miał pojęcia. Myślał wyłącznie o wielkich tradycjach historycznych: o spartańskich matkach, które były dumne ze swoich synów, jeśli mieli ranę na piersi, a nie na przykład na plecach; o wielkim królu, który zawołał do swoich żołnierzy: „Ludzie, czy chcecie żyć wiecznie?”; o gwardii, która umiera, ale się nie poddaje; o cesarzu, który żądał od swoich żołnierzy, żeby na jego rozkaz strzelali nawet do ojca i braci - to był świat kapitana Ratszelma. Najlepszy ze wszystkich światów. * * * Elfrieda przeciągała się zadowolona. Położyła rękę na piersi Kraffta. - Cudownie - powiedziała. Również i on uważał, że jest cudownie. Na kilka minut zapomniał o wszystkim - prócz leżącej obok niego kobiety. Znikły gdzieś wojna, szkoła wojenna, ta mała mieścina i prymitywny pokój, który udało im się znaleźć. Było to mieszkanie przyjaciółki Elfriedy, która poszła ze swoim przyjacielem do kina. A jej mąż, wielce zapracowany kolejarz, jeździł po całych Niemczech ze sprzętem wojennym i ludźmi. Leżeli zmęczeni na kanapie i wsłuchiwali się w bicie swych serc. Zdawało im się, że walą młotem. Ale to nie serca waliły młotem. To czyjaś pięść waliła w drzwi. A potem wysoki, wzburzony, zacinający się głos zawołał: - Nareszcie cię złapałem, ty ścierko. Zapłacisz mi za to! Natychmiast otwórz drzwi! Ja tego drania zatłukę. Elfrieda i Karl zerwali się na równe nogi. Na twarzach ich malowało się zdumienie i niepokój. Spojrzeli po sobie przerażeni. - To może być tylko mąż mojej przyjaciółki, ten kolejarz - powiedziała Elfrieda. Przypuszczenie to zdawało się potwierdzać. Kolejarz bębnił w drzwi, jak gdyby miał zamiar gołymi pięściami wprawić w ruch cały pociąg towarowy. - Złapałem cię na gorącym uczynku, ty zdiro! - ryczał. - Ja temu draniowi gnaty połamię, zastrzelę go jak parszywego psa, i ciebie też, ty zołzo. Krafft podszedł do drzwi i powiedział: - Nie krzycz pan tak, panie, cała kamienica się zbiegnie. Pańskiej żony w ogóle nie ma w tym pokoju. - Co? - wrzasnął kolejarz oburzony. - Co? Jeszcze będziecie ze mnie durnia robili? Ze mnie? Kiedy widziałem was przez dziurkę od klucza, na własne oczy? Teraz również Elfrieda podbiegła do drzwi i zawołała: - Ależ ja nie jestem pańską żoną! Człowieku, opamiętaj się! Oszalały kolejarz ani myślał się opamiętać. Jego honor został zhańbiony; był tego pewien. - Ja ci dam, ty kurwo! Jeszcze gra komedię! Krafft zorientował się, że nie ma co próbować udobruchać oszalałego mściciela swego zhańbionego honoru. Nie pozostawało więc nic innego, tylko jak najszybciej się ubrać i wyjść stąd w tempie przyspieszonym i możliwie bez szwanku. Ryczący kolejarz zdążył już tymczasem zaalarmować chyba całą kamienicę. Pod drzwiami zebrała się spora gromadka ludzi - żeby popatrzeć sobie na tak rzadkie widowisko, żeby oburzać się albo też dać upust swej żądzy awantur. Słychać było już groźny pomruk, stopniowo przechodzący w kłótniwe wymyślania. Dusza ludu kipiała z oburzenia. A rozgniewany kolejarz ryczał: - Dajcie mi rewolwer,

zastrzelę tego psa! I tę ścierkę też! Niektórzy widocznie próbowali go uspokoić; w każdym razie wyglądało na to, że coś takiego się za drzwiami dzieje. Elfrieda i Karl ubierali się w gorączkowym pośpiechu. Kolejarz jak opętany napierał całym ciężarem na drzwi. - Czekać, ja to załatwię - powiedziała Elfrieda. Karl potrząsnął głową. - To sprawa męska - oświadczył. Ostrożnie obrócił klucz w zamku. Potem błyskawicznie szarpnął drzwi, i to akurat w tym momencie, gdy szalejący kolejarz rzucił się na nie jeszcze raz. Mściciel swego honoru potknął się i rozłożył się jak długi na dywanie. Krafft natychmiast zamknął drzwi z powrotem. Musiał się przy tym bronić przed kilkoma ciekawskimi, którzy chcieli się wdrzeć do mieszkania. Złapał pierwszego lepszego i posłużył się nim jak kulą od kręgli, by odepchnąć resztę. Tym samym najważniejsze było zrobione. Teraz chodziło już tylko o zmobilizowanie we właściwy sposób ducha niemieckiego poddanego. Porucznik podszedł do kolejarza, stanął naprzeciwko niego i zmierzył go groźnym wzrokiem. Mściciel honoru był najwyraźniej zmieszany - i to nie tylko z tego powodu, że z takim rozmachem rymnął na dywan. Wobec tak nieoczekiwanego widoku w jego własnym mieszkaniu zapomniał języka w gębie. Był przekonany, że złapał swoją żonę in flagranti, a zastał jakichś nieznajomych. Na domiar złego miał przed sobą atletycznie zbudowanego oficera, a on temu oficerowi kilka razy ośmielił się grozić. - Nazwisko? - spytał Krafft. - Behnke - padła natychmiast odpowiedź. - Zawód? - Kolejarz. - W wojsku pan służył? - Tak jest, panie poruczniku - powiedział kolejarz, zbity z tropu. Służył bowiem istotnie w wojsku; w swoim czasie uważano go nawet za kandydata na podoficera. - Wobec tego proszę nam dłużej nie przeszkadzać. Iona pańska jest w kinie. Odmaszerować! - Tak jest, panie poruczniku - powiedział kolejarz, który już w ogóle nic nie rozumiał, i poszedł sobie. * * * Trzej podchorążowie - Rednitz, M-osler i Weber, Egon - urządzili sobie przytulny kącik ze swoimi damami: siedzieli na matach, nieomal malowniczymi grupkami, w przechowalni sprzętu przy sali gimnastycznej. Oświetlało ich łagodne różowawe światło, płynące z piecyka elektrycznego i oka odbiornika radiowego. Na podłodze stały trzy butelki. - Przyjaciele! - rzekł M-osler. - Nie ma to jak przyjemna atmosfera! Podchorąży M-osler według swego własnego przekonania urodził się w niewłaściwej epoce i w niewłaściwym miejscu. Posiadał bowiem, według własnego przekonania, wszystkie cechy bonvivanta, dandysa. A los wtrącił go w samo centrum tej zaszrannej wojny. To jednak nie przeszkadzało M-oslerowi oddawać się namiętnościom życiowym w sposób w pewnym sensie wytworny - aczkolwiek obowiązkowa kolacja przy świecach musiała z konieczności ustąpić miejsca wódce przy oświetleniu nocnej lampki. - Jakie ja już ofiary ponosiłem w tej wojnie - twierdził - tego na wołowej skórce nie spiszesz. W każdym razie słabość do dekoracyjności mu pozostała: łagodne światło, ciepło i przede wszystkim muzyka. Bez muzyki, to znaczy w tym wypadku bez radia, M-osler nie byłby w nastroju. I mimo że zorganizowanie grającej skrzynki kosztowało go prawie dwa razy tyle trudu, co zorganizowanie trzech dam - muzyka obowiązkowo musiała być. - Najbardziej lubię muzykę fortepianową - powiedział rozmarzony. - Chopina albo Schumanna, Mozart też jeszcze ujdzie. Kiedy się zamyka oczy albo gasi światło, ma się uczucie, że się widzi księżyc. We Francji piliśmy jeszcze szampana, ale nie jedliśmy przy tym kawioru. Szampan i kawior razem to moim zdaniem wulgarne; chyba że jest to musujące wino krymskie. - No to bądź zadowolony - rzekł podchorąży Weber, Egon - że nie przyniosłem kawioru. Mocna żytniówka też niezła rzecz, co, dziewczynki? Dziewczyna u boku Webera uśmiechnęła się afektownie. Było to jędrne, masywne dziecko kuchni, ale miało wyraźne ciągoty do rzeczy wyższych. Nęciło ją życie dam z kół oficerskich. W jej małym mózdzku pokutował wiecznie wielki świat. Oczekiwała informachji na ten temat akurat od Webera. Spytała: - Czy żytniówka nie uchodzi w pewnych kołach za zbyt wulgarną? - Drogie dziecko - odparł Weber żywo - w pewnych kołach w ogóle nic nie może uchodzić za wulgarne. Ludzie z wyższym wykształceniem mają też bardziej złożone życie erotyczne. - A może by tak - zaproponował M-osler - zaryzykować mały taniec? - Rednitz pokręcił, zatroskany, głową. A Weber powiedział pocziwie: - Po co te ceregiele? A poza tym powinniśmy unikać wszelkich niepotrzebnych hałasów. - Wszystko zostało wzięte pod uwagę - powiedział M-osler z szerokim gestem. - Sala gimnastyczna położona jest bardzo korzystnie, na uboczu, z dala od głównej ulicy i daleko od

warty. POza tym starannie zaciemniłem okno, mianowicie matą z ringu, co na dobitkę stanowi jeszcze świetną izolację akustyczną. Moglibyśmy, gdybyśmy chcieli, bez obawy nastawić radio jeszcze głośniejsze, nikt nam tu nie przeszkodzi. Chyba że któregoś z oficerów weźmie nagle chętkę na parę ćwiczeń na rękę i poprzeczce; ale o taki idiotyzm nie podejrzewam nawet naszych oficerów. Dziewczęta śmiały się; podchorążowie wydawali im się bardzo zabawni. Ich małe przygody rozgrywały się przeważnie na kocach polowych i schodach, w wielkim pośpiechu i bez żadnych ceregieli. Tym razem na szczęście było inaczej: prawdziwa mała uczta. Partnerka M~oslera mruczała jak kot, tak jej było przyjemnie. Partnerka Rednitsa nudziła się co prawda trochę, ale mimo to czekała z radością dalszych wydarzeń, aczkolwiek jej podchorąży nie starał się specjalnie o jej względy. Pulchniutka pomocnica kuchenna zaś żadna była coraz to nowych szczegółów o zwyczajach i obyczajach korpusu oficerskiego. - Czy dużą wagę przykładają się do pochodzenia kobiet, które wychodzą za oficerów? - dopytywała się. - Po pierwsze - powiedział Weber - nie ma kobiet, które wychodzą za oficerów; bo jeśli już do tego doszły, nazywa się je damami. A skąd pochodzą, to już wtedy wszystko jedno. - Naprawdę? - spytała dziewczyna z nadzieją w głosie. - Jasne - odparł Weber. - Mieliliśmy nawet kiedyś feldmarszałka, który ożenił się z ulicznicą, to znaczy: kiedyś zwyczajnie stała pod latarnią. Ale jak się rzekło: jako żona feldmarszałka była naturalnie damą. Nawet nasz kochany F~uhrer figurował na ślubie jako świadek. - Tak - powiedziała dziewczyna rozmarzona - kiedy myślę o naszym F~uhrerze, robi mi się ciepło na sercu. - A może byśmy się tak trochę odseparowali? - spytał Weber. Wydało mu się, że nadszedł już właściwy moment. - Chodź, przejdziemy na salę. Ale dziewczyna nie chciała, albo jeszcze nie chciała; to, co właśnie usłyszała o karierach dam oficerskich, interesowało ją ogromnie. Nie podobała się oficerom, przynajmniej przyszłym oficerom, na to posiadała wiele dowodów - chłopcy formalnie bili się o nią. Ten Weber był szczególnie przystojnym chłopakiem; widać było po nim, że będzie kiedyś wspaniale wyglądał z dystynkcjami oficerskimi. A ona u jego boku czy u boku innego, równie przystojnego: niezła para! Przy niej niejedna dama oficerska może się schować, pomyślała; na przykład pani majorowa, ta chuda szkapa. - No idziesz czy nie? - spytał Weber niecierpliwie. Ale jego pytanie przyszło za późno: podchorąży M~osler wyniósł się już ze swoją babką - sala gimnastyczna była więc na najbliższe pół godziny zajęta. - Czy mógłbyś sobie mnie wyobrazić - nalegała dziewczyna - jako żonę oficera?? - Oczywiście - rzekł Weber, wsłuchując się w noc, bo zdawało mu się, że słyszy podejrzane szmery. Ale pewnie się przesłyszał - widocznie był to wiatr albo ciężarówka gdzieś daleko. Przycisnął do siebie małego garkotłuka z ciążotkami do oficerskiego stylu życia. Cholera, ta noc była jakoś strasznie niepokojąca. * * * Major Frey udał się do kuchni, aby napić się wody. Barbara siedziała przy stole kuchennym i obcinała sobie paznokcie u nóg. Major spojrzał najpierw na paznokcie, potem na stopy, potem na nogi. - Powiedz no, Barbaro - spytał szorstko - czy ty się właściwie nic a nic nie wstydzisz? - A czego? - spytała w odpowiedzi, podnosząc zdziwiony wzrok. Major rzekł surowo: - Nie obcina się paznokci u nóg w kuchni, przyjmij to, proszę cię, do wiadomości. Z tymi słowami major poczłapał w swoich dużych ciepłych papuciach filcowych do gabinetu. Siedziała tu jego żona Felicitas i czytała książkę - dobrą niemiecką literaturę, ma się rozumieć. Podniosła na niego oczy bez wyrazu. Major usiadł przy biurku i zaczął pisać. - Nad czym pracujesz, Archibaldzie? - spytała Felicitas. - Nad takim jednym rozkazem specjalnym, najdroższa. - Nad jakim rozkazem specjalnym? - Chodzi tym razem o rodzaj zbiorowego rozkazu specjalnego, Felicitas. Łączę w nim różne drobne sprawy, na przykład: fryzurę, przepustki na miasto, nadawanie imion. Felicitas skinęła głową i wróciła do swojej lektury. Była to jedna z książek, które przysłał jej zacny kapitan Ratshelm przez tego miłego podchorążego Hochbauera. Mimo woli westchnęła sobie. - Czy coś ci dolega, Felicitas? - spytał major z machinalną troskliwością. Zaprzeczyła, nie patrząc przy tym na niego; udawała, że czyta dalej. On również nachylił się znowu nad swoim rozkazem specjalnym, ale i on nie mógł się skupić. - Jak ci się podoba imię Egon? - spytał nagle. - Okropne. - Zupełnie się z tobą zgadzam - potwierdził major. - Daleki kuzyn mojej matki - wyjaśniła pani majorowa - który był ponoć człowiekiem zupełnie bez charakteru, naturalnie nieoficer, nosił to ohydne imię. - ściśle mówiąc -

rzekł major - człowiek nie odpowiada za swoje imię, nadaje mu się je przecież zaraz po urodzeniu lub na chrzcie. - Wiem o tym, Archibald. - Zmierzam - wyjaśnił major - do następującej rzeczy: żyjemy przecież w czasach, kiedy przypadkowe imiona i nazwiska nie muszą wcale wlec się przez całe życie za człowiekiem jak uciążliwy balast. Na przykład ktoś się zanywa Grabowski, a więc ma słowiańskie nazwisko. Ponieważ jest jednak Niemcem, zmienia sobie nazwisko na Grabow, co brzmi bardzo po prusku, nieprawdaż? Konieczne w tym celu postępowanie sądowe jest czystą formalnością. Jestem zdania, że niemiecki oficer powinien mieć nazwisko o niemieckim brzmieniu. Odnosi się to również do imion; ale na szczęście każdy człowiek ma na ogół co najmniej dwa. A imion takich jak Egon nie chcę w ogóle słyszeć. To brzmi jak imię z pisma humorystycznego, wiesz? Felicitas Frey ziewnęła, i to nie tylko z powodu lektury. Zasłoniła sobie twarz książką i ziewnęła jeszcze raz. Ale książka przywiodła jej znowu na pamięć owego jasnoblondego, ślicznego podchorążego, który ją przyniósł. Uśmiechnęła się rozamrzona - a jej mąż zrozumiał ten uśmiech jako przyjaźnie zadumaną zgodę. - Właściwie żal mi podchorążych - powiedziała nagle. Major zmarszczył czoło i podniósł oczy; nie mógł pojąć sensu tego stwierdzenia. I spytał zdziwiony: - Co takiego? Ial ci ich? - Tak - powiedziała pani Felicitas. - Bo zastanawiam się, jak ci młodzi ludzie spędzają wieczory. - No, pracują, a co innego mieliby robić? - Pamiętam jeszcze dobrze - powiedziała z takim uśmiechem, jakby myślami była gdzie indziej - podchorążych za moich czasów. Urządzano wówczas wieczorki taneczne, przyjęcia, koncerty na promenadzie, wycieczki i bale. - Ależ proszę cię - powiedział major, kręcąc dyskretnie głową. - Nie jesteśmy ani w Dreźnie, ani w Berlinie, moja droga. A poza tym nie mamy teraz pokoju, tylko wojnę. - Mimo to - upierała się pani Felicitas - powinno się robić wszystko, co się tylko da, żeby młodzi ludzie nie zapominali o obowiązkach towarzyskich. Dzięki nim dopiero wytwarza się więź między ludźmi, wyrabia się pewne poczucie rangi i stanu. Czyż nie mam racji, Archibald? - Oczywiście - odrzekł major - powinnaś tylko pamiętać, że obowiązują nas pewne ograniczenia. - Pamiętam - powiedziała udobruchana. - Ale ten problem zaczyna zaprzętać moje myśli. Zajmę się tym, jeśli pozwolisz; w twoim własnym interesie. Czy mógłbyś poprosić kapitana Ratshelma, żeby mi znowu przysłał parę książek? Tą samą drogą, co ostatnio? * * * W lodowatozimny deszcz Elfrieda Rademacher spieszyła do swego baraku. Tu jednak stał wartownik i zastąpił jej drogę. - Kapitan Kater prosi panią do siebie - powiedział. - Czy nie może poczekać z tym do jutra? - spytała Elfrieda. - To sprawa służbowa - powiedział wartownik. - Kapitan czeka na panią w swoim gabinecie. Elfrieda nie mogła nie usłuchać tego wezwania. Przeszła więc na drugą stronę do budynku kompanii administracyjnej i przez kancelarię weszła do gabinetu szefa. Kater spojrział demonstracyjnie na zegarek. Potem powiedział, z krzywym porozumiewawczym uśmiechem: - Dostyc późno już, co? - Gdybym wiedziała, że pan tu na mnie czeka - rzekła Elfrieda czupurnie - też bym się nie pospieszyła. Kapitan Kater trochę się skrzywił; ton, na jaki pozwalała sobie ostatnio ta baba, nie podobał mu się. Mimo to nie przestawał się uśmiechać i spytał, mrugając porozumiewawczo: - Czy przynajmniej było przyjemnie? - Nie wiem, co pan nazywa przyjemnością - powiedziała Elfrieda. Miała zamiar dać mu wyraźnie do zrozumienia, że wolałaby nie prowadzić z nim tego rodzaju rozmów. - Nie wiem też, czego pan chce ode mnie o tak niezwyklej porze. Bo jeżeli ma pan zamiar rozmawiać ze mną o Irenie Jablonski, to ta sprawa może spokojnie poczekać do jutra. - Co pani strzeliło do głowy? - spytał Kater, udając wielkie zdziwienie. - Co to za aluzje? Ta dziewczyna mnie w ogóle nie interesuje. Elfrieda była przekonana, że nie pozwalając Irenie pójść do niego do pokoju, zraniła go dotkliwie. Tego Kater jej tak prędko nie zapomni. Już teraz knuł zemstę na swój sposób. - Proszę siadać, Elfriedo - powiedział kapitan. - Nazywam się Rademacher - rzekła. - No więc panno Rademacher - warknął kapitan. Już on sobie poradzi z tą babą - był tego pewien. Istnieją rzeczy, które się robi na własnym podwórku tylko raz i nigdy więcej. - Panno Rademacher - rzekł Kater, wyciągając z wielkiej szuflady swego biurka kieliszek napełniony winem i upijając z niego łyczek - w ostatnich czasach wracała pani kilka razy za późno do koszar i do swego pokoju. - To moja prywatna sprawa, panie kapitanie - powiedziała Elfrieda stanowczo. - Niezupełnie - rzekł kapitan Kater, pokrzepiając się ponownie porządym łykiem wina. - Bo to nie jest tak całkiem bez

znaczenia, gdzie, w jakich okolicznościach i z kim pani spędza czas. A ponieważ jestem za panią odpowiedzialny, musi mi pani pozwolić zastanowić się nad panią... i nad panem, z którym pozostaje pani obecnie w przyjacielskich stosunkach. - Do czego pan właściwie zmierza? Kater uśmiechnął się protekcyjnie. Wiedział dobrze, do czego zmierza. Albowiem w dniu tym, który za kilka minut miał zgasnąć, stały się trzy rzeczy, które były dla niego sygnałem ostrzegawczym, że pilnie wskazany jest pośpiech. Po pierwsze: jego podwładna, ta Rademacher, śmiała wtrącić się do jego spraw osobistych. Po drugie: generał zażądał od niego końcowego sprawozdania z jego pracy. Po trzecie: otrzymał od sędziego wyższego sądu wojennego Wirrmanna pilny list prywatny. - Mam do pani słabość, panno Rademacher. Co mnie jednak po trosze martwi, to fakt, że odczuwam pewną sympatię również dla pani porucznika, tego Krafft. Lubię tego chłopca. I żałuję bardzo, że ta sympatia jest nie odwzajemniana. - To mnie nic nie obchodzi - odparła Elfrieda chłodno. - Może mi pani wierzyć - ciągnął Kater, nie zważając na jej słowa - w tej sytuacji, w jakiej on jest, potrzebni mu są przyjaciele. Znam co najmniej dwóch takich, którzy by mu z rozkoszą podstawili nogę. - A mnie się zdaje, że znam również trzeciego. Kapitan Kater uśmiechnął się nieomal mile poletchany. - Ależ nie - zaprzeczył. - Oczywiście ja mogę zrobić wiele, jeśli zechcę, ale dlaczego miałbym bruździć przyjacielowi? Z drugiej strony jednak mam jako oficer zupełnie określone zobowiązania. Muszę na przykład złożyć raport, jeśli jest mi wiadomy fakt niemoralnego, gorszącego prowadzenia się. Ale czy ja o tym wiem? Czasami mi po prostu pamięć wysiada. Istnieją również rzeczy, których mogę nie przyjmować do wiadomości, właśnie dlatego, że trzymam sztamę z przyjacielem. Muszę jednak wiedzieć, kto jest moim przyjacielem, a kto nie. - Dlaczego pan to wszystko mówi mnie? - spytała Elfrieda wzburzona. - Powinien pan to powiedzieć porucznikowi Krafftowi. - Niech pani posłucha, ślicznotko. Będę z panią zupełnie szczerzy; nikt nas przecież nie słyszy. A więc: ten pani porucznik Krafft to niezły cwaniak, o tym jestem absolutnie przekonany. Nie mogę sobie pozwolić na bezpośrednią i tak otwartą rozmowę z nim, boby mnie usadził. I dlatego wciągam w to panią. Pani mianowicie powie mu to wszystko, czego ja mu nie mogę powiedzieć. Tak wyraźnie, jakby należało. Bo jeśli potem coś wyjdzie nie tak - ja nic nie mówiłem, nic a nic. Rozumie pani? Rozmawiałem z panią wyłącznie o sprawach służbowych i nic poza tym. A może się pani zdaje, że pani, kochanka porucznika Krafft, będzie w stanie pod przysięgą obalić moje twierdzenie? Oboje wpakujecie się tylko w pierwszorzędnny skandal. A ten pani Krafft jak nic skręci przy tym kark. - Rozumiem - rzekła Elfrieda z obrzydzeniem, ale i z rezygnacją. Pomyślała o wydarzeniach dzisiejszej nocy; gdyby ta historia z ryczącym kolejarzem doszła do uszu Katera, byłaby to woda na jego młyn. - No nareszcie! - powiedział kapitan zadowolony. Jakby chcąc zademonstrować, że pozory są już zbędne, postawił butelkę i kieliszek na biurko. - Po co tracić całe godziny na próżne gadanie, kiedy chodzi o rzeczy samo przez się zrozumiałe. - Dobrze więc - powiedziała Elfrieda Rademacher - porozmawiam z nim. - Proszę mnie posłuchać, piękna pani: niech ten Krafft zagra nareszcie w otwarte karty. Chcę wiedzieć, co łączyło generała z podporucznikiem Barkowem lub co łączy go z panią Barkow; musiał to przecież wymacać; nie na darmo pętał się całymi godzinami z tą damą. Co jeszcze chcę wiedzieć, powiem mu później. No a jeśli ten pocziwiec w ogóle nie zechce gadać, będę niestety zmuszony spełnić swój obowiązek, ze względu na moralność i dobre obyczaje. Istnieje oczywiście jeszcze trzecia możliwość, Elfriedo: że pani, że tak powiem, poświęci się dla niego, jeśli to można nazwać poświęceniem. To wyjście również mi odpowiada. Bo mam dla pani rzeczywiście wielką słabość. * * * Porucznik Krafft szedł powoli w kierunku swojej kwatery. Zimny deszcz zamieniał się stopniowo w grube, lepkie płatki śniegu. Płaszcz jego był ciężki, a twarz zupełnie mokra. Ale porucznik nie zwracał na to uwagi. Ochłodzenie było mu bardzo potrzebne. Sprawa z kolejarzem była niebezpieczna - gdyby ta historia dostała się do jednego z licznych kanałów donosicielskich, jakie prowadziły do szkoły wojennej, mogłyby być z tego nieprzyjemności. A w tych sprawach generał nie uznawał żartów - zwłaszcza że Modersohn mu powiedział: Tylko się teraz nie skompromitować... Ale generałowi dobrze było mówić; nie miał koło siebie takiej Elfriedy. Porucznik zwolnił jeszcze bardziej kroku i zaczął nasłuchiwać: wokół niego przytłaczająca cisza -

żadnego strzępu muzyki, żadnego odgłosu pociągu, żadnego bicia zegara kościelnego, nic. Ale potem Krafft usłyszał zbliżające się szybko dudniące buty żołnierskie: równomierny tupot na betonie; co prawda niezbyt dziarski, nawet trochę mdły. W końcu minęła już północ - żołnierze byli zmęczeni, a poza tym nie czuli się obserwowani. Im bardziej się zbliżali, tym wyraźniej doświadczony wojak zauważał takie rzeczy. Minęło go trzech żołnierzy: widocznie dwaj wartownicy prowadzeni przez trzeciego - mgliste cienie między nocnym mrokiem a śnieżycą. żołnierz na przedzie zasalutował, i to nadspodziewanie sprężyście. Również porucznik Krafft przyłożył rękę do daszka czapki i trochę zdumiony popatrzył w ślad za odchodzącymi. Ten demonstracyjnie dziarski sposób salutowania po ciemku był czymś niezwykłym. Kapitan Ratshelm miałby z tego na pewno satysfakcję, ale porucznikowi Krafftowi wydało się to podejrzane. Wyteżył wzrok. Chód żołnierzy, szczególnie pierwszego, zdawał mu się znajomy. Natychmiast też zaczęła funkcjonować jego znakomita pamięć. I zawołał zdziwiony: - Czy to nie Rednitz? żołnierze maszerowali dalej przed siebie, w tempie lekko przyspieszonym. To było jedyne, co mogli w tej sytuacji zrobić - a nuż porucznik Krafft dojdzie do wniosku, że się pomylił. Ale Krafft puścił się w pościg za trzema muszkieterami i podał komendę: - Oddział stój! W tył zwrot! I oto stali przed nim: Rednitz, M~osler i Weber, Egon. Latarnia oświetlała łagodnym blaskiem ich przerażone i bardzo pobladłe twarze. Patrzyli na Kraffta tak, jak gdyby wyrok na nich już zapadł, ale jeszcze tliła się w tym spojrzeniu iskierka nadziei na łaskę. Nie wyrzekli ani jednego słowa; w końcu o nic ich nie zapytano. Krafft zwiertzył od razu, że coś tu jest nie w porządku. Zastanawiał się krótko: na dziś nie wyznaczono nikogo z jego grupy szkolnej do pełnienia służby wartowniczej, nie wydano też żadnych specjalnych poleceń ani rozporządzeń. A poza tym od tej zacnej trójki zalaływał alkohol. - Za pięć minut zameldować się u mnie - rozkazał porucznik Krafft. Po czym zakomenderował: - Bacność! W tył zwrot! Naprzód marsz! Odmaszerowali, z obwisłymi ramionami i miękkimi kolanami. - Co teraz zrobimy? - spytał zmartwiony Weber, kiedy weszli do swojej izby. - Może po prostu powiemy porucznikowi - zaproponował M~osler nieśmiało - że ćwiczyliśmy pełnienie służby wartowniczej. - Kapuściany łeb! - zawołał Rednitz. Okrzyk ten zbudził czwartego lokatora izy, podchorążwego B~ohmke. Spod koców ukazała się jego rozczochrana głowa, na jego poduszce leżał „Faust”. - Już wróciliście? - spytał uprzejmie. - Udawaj umarłaka - powiedział Rednitz. - Ty nic nie słyszałeś, nic nie widziałeś i o niczym nie wiesz; czytałeś „Fausta” i zasnąłeś nad lektorą. Co myśmy robili w tym czasie, nie wiesz. Jasne? Jeśli tego nie powiesz, to cię Krafft wypatroszy jak gęś świąteczną. A wolelibyśmy ci tego zaoszczędzić. Trzy trupy jak na jedną noc to i tak dosyć. - Dobry z ciebie kumpel - powiedział B~ohmke z wdzięcznością. I aby zmanifestować swą wdzięczność, wyrecytował: - „Szlachetnego wznosi w górę szybkich skrzydeł wielki szum”. (Przekład Emila Zagadłowicza). - Po czym znikł pod kocami. - Jesteśmy zgubieni - rzekł Weber głucho. - On może z nami teraz zrobić, co zechce. - Pytanie tylko - powiedział Rednitz zamyślony - co on zechce. Los ich spoczywał w ręku Kraffta. Krafft mógł się postarać o to, żeby już jutro wylecieli ze szkoły wojennej. A wtedy: Cześć pieśni, oficerze, wracaj w rekruty. - Chyba nie ma sensu tego przed nim przemilczeć? - spytał M~osler złamany. - Nie u porucznika Kraffta - odparł Rednitz stanowczo. - Ale pań nie wolno w to wciągać - zażądał Weber. - W końcu jestem dżentelmenem. A może by mu tak spróbować wmówić, że zostaliśmy uwiedzeni? Ale bardzo prędko doszli do wniosku, że to wszystko nie ma sensu. Podkradli się pod drzwi porucznika Kraffta, zapukali bardzo nieśmiało i weszli. Stali skruszeni - zdawało się, że nie mają odwagi spojrzeć swemu dowódcy w oczy. Krafft powiedział: - A teraz słuchajcie uważnie, przyjaciele. Jest mi nawet na rękę, że nie poszliście spać, bo chciałbym sobie jeszcze z wami trochę pogadać. Chciałbym wam postawić parę pytań. W związku ze śmiercią podporucznika Barkowa. Zrozumcie mnie dobrze: tylko te pytania mnie interesują. Jeśli odpowiecie na nie szczerze i wyczerpująco, nie będę miał żadnych innych pytań. Czyście mnie zrozumieli? Podchorążowie przytaknęli w milczeniu. Mieli teraz do wyboru tylko dwie możliwości: albo wylecieć ze szkoły, albo powiedzieć prawdę. - Powiemy prawdę - oświadczył podchorąży Rednitz. 20 Przygotowywanie ładunku wybuchowego - Napiszcie wypracowanie -

powiedział porucznik Krafft do swoich podchorążych. - Macie na to pół godziny. Temat: Jak słodko jest umierać za ojczyznę. Zaczynamy. W ten sposób porucznik Krafft podłożył swój ładunek wybuchowy. I stwierdził z pewną satysfakcją, że jakoś nikt nie zdaje sobie z tego sprawy. Podchorążowie rzucili mu tylko krótkie, smętne spojrzenie. Potem patrzyli przed siebie w głębokiej zadumie. Tyle idiotycznych tematów mieli już za sobą, że jeden więcej czy mniej nie odgrywał żadnej roli. - Do roboty, przyjaciele - zachęcał Krafft. - Na co wy właściwie jeszcze czekacie? Czy nie powiedział poeta: Znienacka śmierć opada człowieka? No więc! Zanim to nastąpi, nie zaszkodzi wam się trochę nad tym zastanowić. Krafft oparł się niedbale o pulpit i przypatrywał się swojej grupie jak spokojny i czujny bernardyn. Wyglądał na zmęczonego. Ale niektórzy podchorążowie mieli za sobą nie mniej męczącą noc, na przykład Rednitz, M~osler i Weber, Egon. Krafft wycisnął ich jak cytryny. Była godzina trzecia nad ranem, gdy wreszcie, kompletnie wykończeni, mogli wleźć do swoich łóżek. Krafft jednak spędził jeszcze jedną godzinę na robieniu notatek. I kiedy się z tym wreszcie uporał, ujrzał przed sobą w jasnym świetle drogę, jaką powinien pójść. Notatki swoje spisał porucznik na karteluszkach, starannym, jakby drukowanym pismem. Zawierały one w mocno skróconej i skondensowanej formie wszystko, co zdaniem Kraffta było istotne. A notatki te wyglądały następująco: Kartka 1 - podchorąży Weber, Egon: Podporucznik Barkow był wyłącznie oficerem, nic poza tym nie miało dla niego znaczenia, ani partia, ani F~uhrer. Niektórzy podchorążowie, jak Amfortas, Andreas i naturalnie Hochbauer, stawiają F~uhrera ponad wszystko. Ich ulubione powiedzenie: oficerowie F~uhrera. To doprowadziło do sporów. Postawa podporucznika Barkowa była jednoznaczna. W tej sytuacji istniały obawy, że wymienieni podchorążowie nie ukończą kursu. (Weber, dosłownie: „Oni mieli pełne portki ze strachu, tylko Hochbauer nie chciał podwinąć ogona”). Podczas zajęć z wyszkolenia saperskiego nic specjalnego nie zauważyłem. (Weber, dosłownie: „Ale w końcu nie ma rzeczy niemożliwych, a niektórzy są moim zdaniem zdolni do wszystkiego”). Kartka 2 - podchorąży Rednitz: Podporucznik Barkow przy każdej okazji dawał wyraźnie do zrozumienia, że to jest kurs dla przyszłych oficerów, a nie dla przyszłych partyjniaków. Ulubione powiedzenie podporucznika Barkowa: Można być oddanym całym sercem tylko jednej sprawie, albo armii, albo partii. Sprzeciw ze strony Hochbauera: Armia i F~uhrer to jedno i to samo, a partia i F~uhrer to też jedno i to samo, a więc to wszystko jest jedną nierozdzielalną całością. Odpowiedź Barkowa: Nonsens! Kto chce być żołnierzem, musi być nim całą duszą - albo wcale. Podczas zajęć z wyszkolenia saperskiego, przed wysadzeniem ładunku, dla treningu ucięto kilka kawałków lontu, z których jeden mógł następnie zostać użyty do spowodowania wybuchu. Czas palenia się ścieżki prochowej każdego kawałka ten sam: pięć sekund. Prace przygotowawcze do wybuchu wykonał Amfortas przy pomocy Hochbauera i Andreeasa. (Rednitz, dosłownie: „W końcowej decydującej fazie obecnych było ośmiu ludzi; z tego co najmniej trzech spało na stojąco. Ale przecież zawsze są tacy, co to się wszędzie pierwsi pchają”). Kartka 3 - podchorąży M~osler: Podporucznik Barkow był jednolity jak bryła. (M~osler, dosłownie: „Jak kieszonkowe wydanie naszego generała, jeśli wolno mi tak się wyrazić”). Jakby miał monopol na wszystkie ideały żołnierskie. Ale również Hochbauer miał swoje ideały i dość energicznie wymachiwał swoją chorągiewką. (M~osler, dosłownie: „Może ten Hochbauer się tylko tak sadził. W każdym razie: u Barkowa jego akcje stały niezbyt wysoko. Może właśnie dlatego obwarował się tak mocno za swoim F~uhrerem”). Na krótko przed wybuchem, kiedy podpalono lont, Hochbauer zawołał do nas: Kryć się, szybko! (M~osler, dosłownie: „I tak też żeśmy zrobili, bo Hochbauer nie upadł przecież na głowę. Odnieśliśmy wówczas wrażenie, że on dokładnie wie, co się święci”). Lontu i spłonek było pod dostatkiem, drobne ilości mogły zniknąć nie zauważone. Tyle trzy pierwsze kartki porucznika Kraffta. Oglądał je w zamyśleniu: Tu i ówdzie należało coś niecoś wykreślić, niektóre rzeczy skrócić, niektóre zaś traktować jako przesadne. Mimo to pozostało tego aż nadto, ażeby zapędzić zwierzyńnię w nastawioną pułapkę. Porucznik Krafft zszedł ze swej katedry. Zaczął przechadzać się wśród szeregów podchorążych zagłębionych po uszy w pracy i zaszedł aż na drugi koniec sali. Tu zatrzymał się i obserwował pochylone plecy. Cierpliwy papier zaczął się zapełniać literami, z których rosły słowa, zdania,

ustępy - duchowy materiał wybuchowy; miał nadzieję, że o wielkiej sile. Jak słodko jest umierać za ojczyznę! * * * - Przykro mi, że przeszkadzam, panie kolego - powiedział kapitan Feders, zaglądając do sali. - Ale chciałbym z panem parę minut porozmawiać. - Oczywiście, panie kapitanie - powiedział Krafft i opuścił natychmiast swój punkt obserwacyjny na końcu sali. Feders podszedł do pierwszego rzędu ławek i zajrzał ciekawie jakiemuś podchorążemu przez ramię. Rzuciwszy okiem na temat, mrugnął porozumiewawczo do Kraffta. Potem kapitan powiedział do podchorążych: - Nie dajcie sobie połamać wszystkich zębów na tym zadaniu, przyjaciele! Zostawcie jeszcze parę dla mnie, żebym ja też miał co wyrwać. Podchorążowie podnieśli oczy na kapitana Federsa i roześmieli się z jego dowcipu, bo taki był zwyczaj i to było wskazane. Ale śmiech ten zabrzmiał dość sztucznie. Ten Feders, mówili sobie w duchu, naturalnie od razu się zorientował, że ten temat to była cholerna granda. Na początku im się zdawało, że ta słodka śmierć za ojczyznę to była typowa mowa trawa z mnóstwem ogólników. Ale okazało się, że kaszka intelektualna, jaką mieli spitrasić, jest dosyć ciężko strawna. Nie przechodziła im jakoś przez gardło. - Niech się trochę pomęczą - powiedział Feders. - Wyjdźmy na chwilę na korytarz. - Uważajcie tymczasem na grupę, Kramer - powiedział Krafft do starszego grupy. - Gadać nie wolno, ani słowa, zrozumiano? I mam nadzieję, że nie znajdę potem identycznych myśli u sąsiadów z przodu, z tyłu czy z boku. To by była kradzież intelektualna. A ja nie mam ochoty hodować podchorążych kryminalistów. - Na to będziecie mieli czas, kiedy zostanieie oficerami - dodał kapitan Feders beztrąsko. Pozostawili grupę samą. Wyszli na korytarz i skierowali się w stronę okien. Tu nikt im nie mógł przeszkodzić i nikt ich nie mógł usłyszeć. - Kogo pan właściwie chce zrobić na szaro tą swoją słodką śmiercią, Krafft? - spytał Feders, mrużąc oczy. - Panie kapitanie - rzekł Krafft otwarcie - czy może pan sobie wyobrazić, żeby jeden lub więcej naszych podchorążych celowo i świadomie wysadziło podporucznika Barkowa w powietrze? - Naturalnie, że mogę to sobie wyobrazić - odparł Feders obojętnie. - Takie rzeczy się zdarzają. Procentowo ilość tego rodzaju spraw jest wprawdzie znikoma, ale przypuszczalnie dlatego, że strach przed przełożonymi bywa bez porównania większy od nienawiści do nich. - Panie kapitanie, tu chodzi o fakty. - Właśnie o nich mówię - odparł Feders. - W czasie pokoju spotkałem kiedyś żołnierza, który podczas musztry walnął swego kaprala karabinem w łeb. Ten dawał żołnierzowi w kość, żołnierz wyszedł z nerw i rzucił się na niego. Dalej: zaraz na początku wojny pewien starszy strzelec prowadzący samochód, w którym siedział nasz starszy sierżant, puścił się pełnym gazem po stromym zboczu w dół. Wóz rozleciał się w drobny mak i starszy sierżant też. A starszy strzelec zdążył na czas wyskoczyć. Dalej: podczas pewnego ataku dowódca sąsiedniej kompanii, biegnąc na czele swoich ludzi, zwałił się na twarz. Dostał w plecy, i to dwie kulki naraz. Federsa widocznie już nic nie mogło zaskoczyć. Dla niego nawet śmierć była tylko bajeczką do straszenia dzieci. - A więc myśli pan - ciągnął Feders - że paru naszych podchorążych ukatrupiło podporucznika Barkowa? I że on był taki frajer i dał się ukatrupić? No cóż, podchorążowie to widocznie bardzo zgrabnie zmagistrowali. Jeden zero dla nich! Pan chyba nie myśli poważnie, mój drogi Krafft, że uda się panu jeszcze wykryć sprawcę czy sprawców? - A gdyby mi się to rzeczywiście udało, panie kapitanie? - Wtedy ja pierwszy pomogę panu porachować się z nimi. Ale niech się pan nie łudzi, mój drogi, lisy schrupały gąskę i skryły się w swojej jamie. - Spróbuję je stamtąd wywabić. - W takim razie mogę tylko powiedzieć: szczęśliwych łowów, drogi Krafft. Ale obchodź się pan ostrożnie z bronią palną, bo może być tak spreparowana, że będzie strzelała do tyłu. - Zobaczymy - powiedział Krafft. Rozmowa ta nie dodała mu otuchy. - To do pana podobne - rzekł Feders ponuro. - Przewidywałem to, Krafft. Od kilku dni czuję, do czego pan zmierza. I czort wie, kto pana na to napuścił! Gołymi rękami chce pan uprzętać całe góry łajna. Pan jest urodzonym kandydatem na samobójcę. W gruncie rzeczy jest pan podobny do mnie. fał mi pana, Krafft. Bo pana lubię. - Ja pana też lubię, kapitanie Feders. Feders spojrział na Kraffta szeroko otwartymi oczami. Pokiwał smutno głową. Poklepał porucznika szorstko po ramieniu i jeszcze raz pokiwał głową, jakby nie był w stanie mówić. Odwrócił się bez słowa i zaczął się oddalać. - Pan przecież czegoś ode mnie chciał, panie kapitanie! - zawołał za nim Krafft. Feders stanął i rozejrzał się wokoło. - Aha, byłbym

zapomniał - powiedział. - Chciałem pana prosić, żeby mnie pan na następnej godzinie zastąpił. Da się zrobić? - Oczywiście - powiedział Krafft. I zgodnie z tutejszym zwyczajem spytał: - Czy dowódca oddziału lub dowódca kursu jest o tym powiadomiony? - Ani jeden, ani drugi - powiedział Feders, teraz znowu obojętny. - Mam zamiar załatwić prywatną sprawę, chcę przemówić do sumienia trubadurovi mojej żony. Zdaje się, że ona go wczoraj w nocy wylała na zbitą mordę. Co pan sądzi o tym, Krafft? - Ja na pańskim miejscu byłbym bardzo rad z tego. - Ale pan nie jest na moim miejscu, Krafft. Jeszcze kilka dni temu powiedziałbym panu: ciesz się pan z tego! Ale teraz sam nie wiem, kto z nas bardziej jest pożałowania godny, pan z tym swoim uszkodzonym mózgiem, czy ja z tym moim uszkodzeniem. - Każdy dźwiga swój krzyż, pańska żona również. - Ależ ja się staram, zupełnie uczciwie, Krafft. Staram się, żeby mojej żonie niczego nie brakowało. Dlaczego ona się przeciwko temu broni? - Bo nareszcie doszła do tego punktu, gdzie pan ją chciał mieć, Feders. - Skąd panu to przyszło do głowy, Krafft? Pan schodzi na śliski grunt. Ostrzegam pana! - E tam - powiedział Krafft niedbale - pan się wtrąca do moich spraw, ja się zajmuję pańskimi. Cóż, przejrzeliśmy się nawzajem. - No dobrze, i jak się panu zdaje, co pan przy tym odkrył? - Coś bardzo prostego, a mianowicie fakt, że surogat jest tylko surogatem. Pan formalnie pcha swoją żonę do tego. Nie broni jej pan niczego, wręcz przeciwnie: wszystko jej pan ofiarowuje. Po to mianowicie, żeby się wcześniej czy później przekonała, że to wszystko nie jest wcale takie pożądanie godne, jak ludzie na ogół sądzą. Ale przeszła przez to. A to znaczy: może to wszystko odrzucić z całkowitą świadomością. Jest wyleczona. Wraca tam, gdzie jest jej miejsce. I to nawet w zdumiewająco szybkim tempie, nie uważa pan, Feders? - Krafft - rzekł Feders wzruszony - dopiero teraz poznałem pana naprawdę. Dotychczas miałem pana zawsze za coś w rodzaju lunatyka. Ale to nieprawda. Pan wcale nie brnie z zamkniętymi oczami w swoją awanturę, jak mi się zawsze zdawało, pan idzie ku niej świadomie i z otwartymi oczami. - Poślij pan „trubadura” do wszystkich diabłów i rozmów się pan z żoną. - Jeszcze nie - powiedział Feders. - Jednego bowiem nauczyłem się od pana, Krafft; pan ma cierpliwość i upór. Pan umie czekać. Ja zrobię to samo. Kapitan znowu się odwrócił i chciał odejść. Ale jeszcze raz się zatrzymał i spojrzął za siebie na Kraffta. Wahał się widocznie. PO chwili jednak podszedł do Kraffta, stanął tuż przy nim i powiedział spokojnie: - Wracając do pana ulubionej roli Sherlocka Holmesa, drogi Krafft, na pewno nie wystarczy znaleźć winnego i rzucić mu oskarżenie w twarz. Musi pan pamiętać, że przypuszczalnie w tej sprawie maczało palce kilku ludzi, aczkolwiek inspiratorem był jeden. Ale zważ pan kolejność: przywódca, kilku pomocników i cały szereg widzów wtajemniczonych i nie wtajemniczonych. Nasuwa się więc pytanie: dlaczego nie ma stuprocentowych dowodów, dlaczego wszyscy milczą, dlaczego nie ma konkretnego punktu zaczepienia? Tylko przypuszczenia, podejrzenia, hipotezy? - Również i nad tym się niejednokrotnie zastanawiałem, panie kapitanie. - Spodziewam się, mój drogi. I do jakiego doszedł pan wniosku? Jeśli chce pan wytoczyć sprawę przed sądem wojennym, będzie panu przypuszczalnie potrzebne przyznanie się do winy. A może ma pan zamiar sam wziąć na siebie rolę sędziego? To mi nawet wygląda na pana, ale ostrzegam pana przed tym. Jeśli chce pan sprawcy udowodnić winę, Krafft, musi pan zrobić rzecz następującą: izolować go, wyrwać z jego kliku, neutralizować jego wpływ, aż w końcu zostanie sam jak palec. Dopiero wtedy będzie mógł pan go złapać. Nie sądzi pan, Krafft, że tak właśnie trzeba zrobić? - Już to robię - powiedział porucznik prosto. - Dobrze. Ale sporządź pan przedtem testament. * * * - Czas minął - powiedział porucznik Krafft do swoich podchorążych. - Kramer, zbierzcie prace. Dziesięć minut przerwy. Podchorążowie opuścili salę wykładową. Wylali się strumieniem na korytarz i rozdzielili się na drobne grupki. Egon Weber powiedział ponuro: - Łatwiej umrzeć niż o tym pisać. - I szybciej - dodał M-osler. - Chciałbym tylko wiedzieć - spytał Rednitz - co sobie właściwie porucznik Krafft przy tym temacie myślał, bo coś przecież musiał sobie myśleć. - Tego nigdy nie wiadomo - zauważył M-osler. - Może był tylko zmęczony albo po prostu nie miał ochoty wykladać. - Słodka śmierć - powiedział Weber zamyślony. - Tfu, do diaska! - Ale twoje oburzenie chyba ci nie przeszkodziło oświadczyć - rzekł Rednitz ubawiony - że jesteś gotów poświęcić się dla ojczyzny nawet w ten słodki sposób. - Co było robić! - powiedział Weber

zrezygnowany. - Jak słodko jest spać dla ojczyzny - powiedział M~osler, rechocąc. - Taki temat to byłoby coś dla mnie na cały kurs. * * * - Wypracowania, zgodnie z rozkazem, zebrane - zameldował podchorąży Kramer. - Proszę je położyć na moim pulpicie - powiedział Krafft. - Tak jest, panie poruczniku - powiedział Kramer. Wziął prace i ułożył je porządnie, jedną na drugiej, przed Krafftem. Robił to starannie i bez pośpiechu. Porucznik przyglądał mu się z zainteresowaniem. Kramer był niezwykle gorliwy, to było po nim widać. Skłaniał się ku klice Hochbauera - tak się Krafftowi zdawało. Tu w każdym razie istniała możliwość wyłamania kamienia z muru, który należało zburzyć. A wiele czasu nie miał już do stracenia. - Powiedzcie mi, drogi Kramer - spytał Krafft - od kiedy tu już jesteście starszym grupy szkolnej? - Od początku kursu, panie poruczniku. - A czy macie zamiar pozostać starszym grupy aż do końca kursu? Do tego bezpośredniego, chytrego pytania Kramer nie dorósł. Szukał i szukał w myślach, nie znajdował jednak odpowiedzi, aczkolwiek porucznik celowo nie nalegał na pośpiech. A przy tym Kramer zorientował się od razu, co miało znaczyć to pytanie: jego funkcja starszego grupy była w niebezpieczeństwie. Funkcja ta oznaczała co prawda mnóstwo dodatkowej pracy, ale również poważne korzyści. Starszy grupy bowiem był w pewnym sensie ogniwem pośrednim między podchorążymi a oficerami - był ogniwem łączącym i pomocnikiem, mężem zaufania i naganiaczem. Wybrano go - i tylko jakiś diabelski figiel mógł mu przeszkodzić w ukończeniu kursu z marką jednego z najlepszych. To był mur beton. Chyba że świsnąłby srebrne łyżeczki lub zgwałcił żonę dowódcy albo też - że zwolniono by go z funkcji starszego grupy. A to leżało w kompetencjach porucznika Kraffta. - Nie chciałbym was stracić, Kramer - rzekł Krafft jadownicie uprzejmie. - Obawiam się jednak, że tak się stanie, jeśli nie będziecie przestrzegali tej podstawowej zasady, na której opiera się wasza funkcja. Mam na myśli bezstronność. Jesteście moim podwładnym i starszym całej grupy, nie tylko jednej grupki. Nie możecie wyróżniać żadnej kliki ani żadnej wspólnoty interesów. Nie do was należy wystawianie cenzurek i ocen, to zostawcie lepiej swoim wykładowcom. Musicie się starać być absolutnie obiektywni. Jeśli nie wiecie dokładnie, jak należy to rozumieć, możecie w każdej chwili zwrócić się do mnie. Czy mnie dobrze zrozumieliście, podchorąży Kramer? - Tak jest, panie poruczniku - rzekł ten skonsternowany. - I przyznajecie, że moje uwagi są uzasadnione? - TAK jest, panie poruczniku. Kramer wszystko rozumiał. Nie miał innego wyboru. Był zdecydowany być od dzisiejszego dnia manifestacyjnie obiektywny, aby możliwie bezpiecznie móc dobić do upragnionej mety kursu. A mógł osiągnąć tę metę tylko z pomocą porucznika Kraffta, w żadnym razie wbrew niemu - chyba że w ciągu tego kursu otrzymaliby jeszcze trzeciego instruktora grupy. To było co prawda możliwe, ale mało prawdopodobne. - A więc - rzekł Krafft - oczekuję dalszej dobrej współpracy. Krafft zaczął już przeglądać wypracowania swoich podchorążych. Robił to dość pobieżnie; wyniki były całkowicie zgodne z tym, czego się spodziewał. Tylko jednemu wypracowaniu poświęcił szczególnie dużo uwagi. Lektura ta zdawała się go zachwycać - widocznie przeszła jego najśmielsze oczekiwania. Elaborat ten, jego zdaniem niezwykle cenny, odłożył pieczołowicie na bok. Kramer zagłębił się w tym czasie w podręcznik. Siedział na swoim miejscu i robił notatki. Raz po raz jednak zerkał ukradkiem na dowódcę grupy. - Czy pan porucznik pozwoli postawić jedno pytanie? - ośmielił się wreszcie powiedzieć. - Proszę, Kramer. - Czy wolno mi się zapytać, czy pan porucznik ma jakieś określone życzenia... odnośnie współpracy? - Kramer - rzekł porucznik Krafft uprzejmie - jako starszy grupy jesteście, że tak powiem, w mojej nieobecności moim zastępcą, czy to wam nie mówi już wszystkiego? Wystarczy zatem, jeżeli będziecie robili to, co waszym zdaniem zrobiłbym ja. To przecież zupełnie proste. - Tak jest, panie poruczniku - powiedział Kramer zrezygnowany. - Zresztą powiadomię was oczywiście, jak będę miał jakieś specjalne życzenia. W tej chwili nie mam żadnych. Najbliższa wasza czynność to zakończyć przerwę. Powiedzmy za pięć minut. Do tego czasu przeczytam resztę prac. * * * - Przerwa skończona! - zawołał na korytarzu starszy grupy. - Jazda, jazda do klasy! Nie zasłaniać się zmęczeniem. A może mam wam kota pognać? Podchorążowie wleli się strumieniem do sali wykładowej. Ekonomiczne metody Kramera przyjęli spokojnie. To był tu normalny ton, zdążyli się już do tego przyzwyczaić. ie Kramer był dziś

szczególnie energiczny, na razie nie rzuciło się im to w oczy. Spojrzeli tylko spode łba na swego instruktora. I jako wytrawni obserwatorzy humorów przełożonych zorientowali się, że porucznikowi humor dopisywał. Zrobiło im się lżej na duszy. Niemal z nadzieją zajęli swoje miejsca. - A więc zaczynamy - rzekł porucznik Krafft. Starszy grupy natychmiast urządził obowiązkowy koszarowy ryk. Tym razem z siłą ogłuszającą. Chciał prawdopodobnie w ten sposób dowieść, jak świetnie spełnia swe obowiązki. Wrzasnął: - Baczość! - i zameldował o gotowości grupy do wykładu. Krafft przerwał mu machnięciem ręki. Kramer ryknął: - Siadać! Podchorążowie opadli na ławki jak worki z mąką rzucone z dużej wysokości. Krafft taksował swoich podchorążych, patrzących na niego wyczekująco, zagadkowym spojrzeniem. Nie spieszył się z porzuceniem tej czynności, co jeszcze bardziej potęgowało ogólny niepokój. Wreszcie porucznik wskazał na stos ułożonych przed nim prac: - Przyjaciele, już po powierzchownym przejrzaniu tych wypracowań nasuwa mi się nieodparcie pytanie, dlaczego właściwie wszyscy jeszcze żyjecie - skoro - zgodnie z waszymi własnymi usilnymi zapewnieniami - tak niesłychanie słodko jest umierać za ojczyznę. Podchorążowie skulili się w sobie, ale nie przestawali z zainteresowaniem przyglądać się porucznikowi. Byli zawsze przygotowani - w pewnym stopniu dzięki kapitanowi Federsowi - na zaskakujące poglądy swoich oficerów. - Ie każdy musi kiedyś umrzeć - rzekł porucznik - to właściwie jedyna rzecz w życiu, która nas z całą pewnością nie ominie. NIewiadoma jest tylko chwila i bliższe okoliczności. Możliwości są nader liczne. POcząwszy od niemowlaka, który dławi się swoją butelką z mlekiem, a skończywszy na starcu, któremu słabnie mięsień sercowy. MIędzy jednym a drugim istnieje zdumiewająco bogaty wachlarz śmierci tak zwanych naturalnych i gwałtownych, gwałtownie_naturalnych i naturalnie_gwałtownych, między innymi na tak zwanym polu chwały. A tym polem chwały może być ukwiecona łąka lub śmietnik, romantycznie szumiący strumyk lub gnojówka. śmierć ma niewyczerpany repertuar. Podchorążowie ukradkiem spoglądali po sobie. POWoli zaczynało im świtać w głowach, że cały ich mozolny trud był chybiony i niezupełnie bezpieczny - zdaniem porucznika Kraffta, które to zdanie było jedynym zdaniem miarodajnym. TA „słodka śmierć” była najwyraźniej wyrafinowaną pułapką. Porucznik Krafft wyjął, pozornie na chybił trafił, kilka prac i zaczął z nich cytować: - Tu na przykład pisze podchorąży M~osler: „Już starożytni Grecy chętnie umierali za ojczyznę”. To jeszcze ujdzie; w każdym razie trudno udowodnić, że było wprost przeciwnie. Poza tym zawsze i w każdej epoce istnieją tacy, co chętnie umierają - samobójcy na przykład. I naturalnie bohaterowie. Ale jeśli podchorąży Amfortas pisze między innymi: „Nie ma piękniejszej śmierci”, to muszę przyznać, że mnie to dziwi. Mogę sobie bowiem wyobrazić parę rodzajów śmierci co najmniej tak samo pięknych, jak na polu bitwy. A podchorąży Andreas robi wrażenie, jakby rozmawiał osobiście z Panem Bogiem na zadany temat, gdyż pisze tak: „Opatrzność przeznaczyła żołnierzowi śmierć najwspanialszą, jaką można sobie wyobrazić”. Mogę tylko powiedzieć: niech więc ci wybrani przez Opatrzność pchają się do przodu, ażeby ci, dla których ona nie była tak łaskawa, mogli skromnie pozostać w tyle. Podchorążym się zdawało, że jest to okazja do wesołości. Tu i ówdzie rozległ się śmiech - z początku nieśmiały, potem coraz swobodniejszy. Krafft sięgnął teraz po wypracowanie, które przedtem tak pieczołowicie odłożył na bok. - Tu - powiedział - odkryłem szczególnie okaz cukiernictwa, chyba najśłodszy tort na zadany temat. Pozwolę sobie odciąć z tego tortu kawałek dla próbki. Cytuję: „Dla najszlachetniejszych w historii ludzkości śmierć jest najczystsza rozkoszą. Musimy ją traktować jako ukoronowanie heroicznego żywota. śmierć jest słodka w sensie zakosztowania nieśmiertelności”. A teraz pytam się: jak normalny człowiek może wydać z siebie takie gówno! TERaz wstał podchorąży Hochbauer, wysoki i blady. Przyznał się bohatersko do swego duchowego pawiego ogona - przypuszczalnie wyczuł, że nie ma innego wyboru. - Panie poruczniku - powiedział - chciałem tym zdaniem wyrazić pogląd, że śmierć za ojczyznę jest śmiercią najbardziej honorową. - O to można by się jeszcze spierać - zauważył Krafft. - Co prawda gotów jestem przyznać, że nie z każdym. Ja osobiście potrafię sobie wyobrazić parę innych jeszcze rodzajów śmierci honorowej, lecz ani jeden z nich nie jest słodki. A co do tej najczystszej rozkoszy - człowiek na polu bitwy zdycha, czasem w ułamku sekundy, a czasem to się

może ciągnąć całymi dniami. - Ie śmierć za ojczyznę jest słodka - bronił się uparcie Hochbauer - to trzeba chyba traktować jako nienaruszalne klasyczne dziedzictwo i odpowiednio interpretować, panie poruczniku. Te słowa zdobią jeszcze dziś wiele pomników i łuków triumfalnych, znajdują się one w czytankach i cytuje się je na uroczystościach. - Od tamtych czasów, gdy w idyllicznej starożytności jacyś wojowniczy bardowie bajdurzyli o słodyczy śmierci, minęło dobrych parę tysięcy lat - powiedział Krafft, któremu upór Hochbauera był najwyraźniej na rękę. - Tymczasem ludzie co prawda wybitnie nie zmądrzeli, ale mieli przecie sposobność nabrać trochę doświadczenia, chociaż pamięć, nawet jeśli idzie o wojnę, jest żałośnie zawodna. Mimo to nie jest tajemnicą, że wojna jest taka czy owaka, ale nie słodka. Jeszcze kilkadziesiąt lat temu mówiono: Dzisiaj dumnie sławą żyje, jutro kula pierś przeszyje. Ale wojna gwizdże na wizje poetyckie. Rozrywa na strzępy, rozwałkowuje na miazgę, ściera na proch. Słodyczy ani śladu, jak okiem sięgnąć.. - Panie poruczniku - powiedział podchorąży sztywno i zimno - to jest również zdanie pana Remarque'a, Benna i Barbusse'a. Podchorążowie wzdrygnęli się przerażeni i podnieśli głowy. Wiedzieli, że ten ostatni argument Hochbauera ma w sobie niebezpieczną siłę - to były bezlitosne, śmiercionośne ciosy poniżej pasa. TAK jak wtedy, gdy na miejscu porucznika Kraffta stał podporucznik Barkow. Barkow przyjmował to z zimną dezaprobatą. Porucznik Krafft zaś po prostu promieniał, jak gdyby mu sprezentowano rzecz od dawna upragnioną. Podchorążowie przestali w ogóle cokolwiek rozumieć. Krafft musiał rzeczywiście zdobyć się na wysiłek, żeby ukryć uczucie triumfu. Hochbauer doszedł dokładnie do tego punktu, na który porucznik chciał go zapędzić. Ofiara wpadła w nastawione sidła; pozostawało mu już ją tylko dobić. Krafft powiedział po prostu: - Stwierdzam, Hochbauer, że macie czelność podawać poglądy naszego F~uhrera za poglądy pana Ericha Marii Remarque'a. Zdanie to stanęło w sali jak potężna kolumna, o którą bił łbem podchorąży Hochbauer. Hochbauer rozejrzał się naokoło nieprzytomnym wzrokiem. Niepojęte były dla niego słowa porucznika. Jego twarz wyrażała kompletną bezradność. Podchorążowie, żądni sensacji, wyciągnęli szyje; zdawali sobie sprawę, że są świadkami niecodziennego widowiska. A Hochbauer zapytał prawie bezradnie: - Nasz F~uhrer? Krafft skinął głową, radośnie i surowo zarazem: - Oczywiście. Mówię o naszym F~uhrerze, Hochbauer. I nie mogę tolerować porównywania go z Remarkiem. Uważam za rzecz niesłychaną, że ośmielacie się na tego rodzaju insynuacje, by nie powiedzieć oszczerstwa, w stosunku do F~uhrera. Jakże wy chcecie zostać oficerem, skoro nie zamierzacie respektować poglądów wodza naczelnego? Hochbauer nie wiedział, co się z nim dzieje. Czyżby rzeczywiście popełnił błąd - akurat on, we własnym przekonaniu najwierniejszy i najbardziej oddany żołnierz F~uhrera? Nie znajdował słów. Podchorążowie szeroko otwierali oczy i usta. - Powinniście przy okazji - powiedział Krafft - zajrzeć sobie do dzieła Adolfa Hitlera „Mein Kampf”, Hochbauer. Jest to lektura, na którą widocznie nie znaleźliście dotąd czasu, ale którą wam stanowczo polecam. A może nie macie zamiaru zostać oficerem F~uhrera? Coś mi się tak wydaje. I będę musiał wyciągnąć z tego konsekwencje. Hochbauer, zdruzgotany, nie odrywał oczu od swego dowódcy. To, co się tu działo, było po prostu koszmarnie. Jeśli dobrze słyszał, powątpiewano tu ni mniej, ni więcej tylko w to, co uważał za sens swego życia. A przecież jego F~uhrer był mu najdroższy ponad wszystko, ponad wszystko na świecie. Krafft tymczasem pouczał aktualnie najwierniejszego, jak Wildlingen i okolice długie i szerokie, trabanta F~uhrera, że Adolf Hitler, żołnierz frontowy pierwszej wojny światowej, bynajmniej nie uważa pola bitwy za cukiernię. O „słodkiej śmierci” nigdzie nie ma u niego mowy - wprost przeciwnie: F~uhrer podkreślał, że umieranie to nie przelewki. Z tego konika porucznik Krafft nie schodził przez dłuższy czas, dopóki podchorąży Hochbauer nie skruszał i nie uznał, że powinien się wstydzić. Incydent ten wzburzył całą grupę. Widziała na własne oczy, jak kosa trafiła na kamień. Podchorąży Hochbauer po raz pierwszy otrzymał mocny cios - własną bronią. M~osler jęczał prawie z rozkoszy, stwierdzając: - Zdmuchnął mu mózg jak świecę! Porucznik Krafft zaś powiedział na zakończenie: - Zastrzegam sobie prawo, Hochbauer, określenia waszych poglądów jako rozkładowe. Gdy chodzi o F~uhrera, nie znam żartów. Proszę sobie to zapamiętać. 21 Zajęcia Kulturalno_rozrywkowe - Panowie - rzekł podchorąży M~osler,

zbudziwszy się - dziś sobota! Dzień przyszłych oficerów! Tryumfujmy i radujmy się aż do obiadu. Albowiem wieczorem będziemy używać życia, aż nam się słabo od tego zrobi! A podchorąży Egon Weber wygramolił się z łóżka, ziewnął sobie serdecznie i oświadczył: - Przyjaciele, kiedy wstaję w sobotę rano, myślę tylko o tym, jakby tu się z powrotem dostać do łóżka. - Też masz zmartwienia! - rzekł Rednitz ubawiony, włączając w swój dres gimnastyczny. - Jeszcze jakie zmartwienie, człowieku! - odparł Weber. - Nie przestaje mnie mianowicie niepokoić następująca kwestia: Sztaby planujące zawodzą! I jak tu wygrać wojnę? pytam się. Czyż nie jest oczywiste, że krótkowzroczność tych ludzi zagraża ostatecznemu zwycięstwu, a może je nawet sabotuje? - Co ci jest? - spytał Rednitz ze zmartwioną miną. - Może cię zgłosić jako chorego? - Dajże mi się wygadać do końca! - zawołał Weber wzburzony. - Co to za idiotyczne planowanie, pytam? Jak na pół normalny oficer gryziپیórek może skazać całą szkołę wojenną na takie zadupie? To musiał być albo impotent, albo homoseksualista. ięńska ludność cywilna w średnim wieku nie dorasta przecież do naszych wymagań, nawet do tych najskromniejszych. - Brawo! - zawołał M~osler z uznaniem. - Powinieneś napisać protest w tej sprawie. - Bo rzeczywiście, przyjaciele, żadnego domu wypoczynkowego w pobliżu, żadnego internatu dla panien z lepszych sfer, nawet żadnego obozu żeńskiego arbeitsdienst! Pozostaje nam tylko jakiś erzac! Księgi metrykalne miasteczka Wildlingen nad Menem mogłyby w tym wypadku być Źródłem wyczerpujących informacji. Każdy kurs szkoły wojennej w tych aktach również pozostawiał po sobie ślad! Przeciętnie po każdym kursie notowano trzydzieści do pięćdziesięciu pozamałżeńskich urodzeń. Cała pokaŻNa reszta była statystycznie nie do ujęcia. Popularne tłumaczenie: „To był podchorąży!” na ogół nie wystarczało. Każdy kurs obejmował tysiąc podchorążych, i tak strasznie trudno było ich rozróżnić. Praktycy tacy jak M~osler bardzo prędko się skapowali, jakie korzyści można wyciągnąć z tej sytuacji. - Nigdy nie wolno podawać prawdziwego nazwiska - zwierzył się koledze Rednitzowi. - Ja sam przedstawiałem się ostatnio ciągle jako Hochbauer, i to jako Adolf Hochbauer, żeby było dowcipniej. Rednitz zwykł wysłuchiwać takich zwierzeń bez większego entuzjazmu. POnadto wszystko, co miało jakiś związek z Hochbauerem, ood dawna go już nie bawiło. I to nie tylko od czasu, kiedy ten Hochbauer uderzył bezbronnego M~oslera w twarz. - Tak - rzekł poeta B~ohmke rozmarzony - wieczna kobiecość. - Tym razem rozpoczął dzień cytatem z Goethego. Rozglądał się wokoło zadowolony. - Nasz B~ohmke - rzekł Weber - znowu jedną trafną uwagą wyczerpał cały temat. A więc koledzy, mnie martwi fakt, że tutaj myszy zaczynają się uważać za słonie. W normalnych czasach panny służące były w siódmym niebie, kiedy pierwszy lepszy fagas sklepowy wywijał z nimi w tańcu. Teraz musi to być przynajmniej przyszły oficer, możliwie z szansami na generała. Co za świat! - Czy twoja babka nie chce przyjść dziś wieczorem? - spytał M~osler rozweselony. - WyobraŻcie sobie - zwierzył im się Weber w zaufaniu - ta mała kuchta zaczyna stawiać mi warunki. Chce być uznana towarzysko. Ale ja już jej to z głowy wybiję, nawet gdybym pół Wildlingen miał rozpieprzyć. * * * - Czy ty masz coś przeciwko mnie? - spytał podchorąży Hochbauer. Stał przed Rednitzem, który szorował sobie tors w łazience. Nie przerywając tej czynności, Rednitz podniósł na niego oczy. - Ani przeciw tobie, ani za tobą - rzekł obojętnie, namydlając sobie pierś. - Szkoda było by, gdyby między nami istniały nieporozumienia - powiedział Hochbauer prawie uprzejmie. - Nie uważasz? - Nie - odparł Rednitz. - To mi wisi. - Mnie nie - powiedział Hochbauer z naciskiem. - Może powinniśmy kiedyś przy okazji ze sobą porozmawiać. To mogłoby być korzystne dla obu stron. - Zupełnie bezcelowe - rzekł Rednitz, puszczając sobie strumień wody na pierś. - Nie szukam korzyści, a już najmniej za twoim pośrednictwem. - Może zmienisz jeszcze zdanie - powiedział Hochbauer na pożegnanie. - Jeśli tak, to daj mi znać. Hochbauer udał się do swojej izby. Otworzył szafkę i zaczął się ubierać. Wewnętrzzną stronę drzwi szafki ozdobił portret F~uhrera; rozwiany płaszcz na tle pochmurnego nieba, wyteżony wzrok, utkwiony w dal, artystycznie przylizane włosy na głowie i energiczna szczoteczka wąsa między uciekającym do tyłu czołem a szczęką boksera - Hitler jako wódz naczelny, druk czterokolorowy. Hochbauer uważał, że koniecznie musi się poważnie zastanowić nad swoją obecną sytuacją w szkole wojennej. Decydującym bodŻcem był wczorajszy trik

porucznika Kraffta. I jeśli nawet podchorąży ciągle jeszcze nie bardzo wiedział, co sobie tą „słodką śmiercią” narobił - jedno czuł wyraźnie: jego pozycja była zagrożona. Miał przeciwko sobie nie tylko kilku podchorążych, jak na przykład Rednitzer i jego towarzyszy, lecz samego dowódcę grupy. Hochbauer rozejrzał się wokół. Podchorążowie na jego izbie czuli widocznie jeszcze w kościach zwykle zmęczenie poranne, bo poruszali się w zwolnionym tempie i burczeli coś pod nosem. Na Hochbauera nie zwracali uwagi. Drażyła go myśl: Czy to ma jakieś znaczenie? Czy robią to umyślnie? Czy odwracają się ode mnie? POstanowił sprawdzić to najpierw na Andreasie. Chwyił go za ramię i powiedział: - Zapomniałem ręcznika w łazience. Przyniesiesz mi go? - Muszę jeszcze wyczyścić buty - mruknął w odpowiedzi Andreas. - Nie chcesz? - spytał Hochbauer przeciągle. - Już idę - odparł Andreas niezadowolony. - Dlaczego miałbym ci odmówić, jeżeli mnie prosisz o koleżeńską przysługę? - No już dobrze - powiedział Hochbauer, trochę udobruchany. Puścił ramię kolegi i na jego ustach wykwitł tak zwykły u niego chłodny arogancki uśmiech. - Możesz sobie zaoszczędzić drogi do łazienki. Przypomniałem sobie, że przyniosłem ręcznik ze sobą. - No widzisz! - powiedział Andreas z ulgą. Zabrał buty i wyszedł na korytarz. Hochbauer popatrzył w ślad za swoim kolegą. Bardzo chętny do pomocy to on nie był, ale wybitnie niechętny też się nie okazał. Możliwe zresztą, że rzeczywiście się dobrze nie wyspał. W każdym razie: trzeba się mieć na baczności. Każdą pozycję trzeba nie tylko zdobyć, ale i utrzymać. Dlatego Hochbauer zwrócił się z kolei do Amfortasa. Stanął przed nim, spojrzął na niego badawczo i zyczliwie i spytał: - Zabierzesz moje rzeczy na salę wykładową? - Nie możesz ich sam wziąć ze sobą? - spytał zagadnięty. Ale w tej samej chwili Amfortas uświadomił sobie, co go czeka. Zanim Hochbauer zdążył podejść bliżej i rzucić mu swoje wypróbowane: „Nie chcesz?”, Amfortas pospiesznie dodał: - Ale jeśli ci mogę tym wyświadczyć grzeczność, to oczywiście zabiorę twoje rzeczy. Przymuszczałnie chcesz iść do klo. - Tak jest - powiedział Hochbauer, nie bez pewnej ostrości w głosie. Ale natychmiast dodał nieomal przymilnie: - Nie posądzasz mnie chyba o to, że mógłbym żądać od ciebie kiedykolwiek jakiegoś świństwa albo wręcz je popełnić? - Oczywiście, że cię o to nie posądzam - zapewnił go Amfortas skwapliwie. Hochbauer skinął z powagą głową - cokolwiek robił, robił to własnym zdaniem nie dla siebie, lecz dla Niemiec. To był cel, dla którego gromadził wokół siebie kolegów i gotów był w przyszłości na każdą ofiarę; i już sam ten cel uprawniał go do żądania ofiar. Był zatem - w swoim własnym przekonaniu - zupełnie pozbawiony egoizmu, i ponieważ dobro w końcu zawsze zwycięża, przynajmniej w Niemczech - miał kolegów, którzy byli świadomi swoich obowiązków wobec niego, a zatem wobec sprawy. Z tego nie wynikało jednak, żeby niekiedy nie trzeba było utwierdzać tej świadomości. Za triumf dobra musiał płacić, zgodnie z wiecznymi prawami, niejeden niegodny. O słuszności swoich poglądów Hochbauer przekonał się wkrótce raz jeszcze: na pierwszej lekcji tego dnia, kiedy miał wykład dla całego oddziału kapitan Ratshelm. TEmat: Przysięga żołnierska, składana F~uhrerowi i naczelnemu wodzowi Wehrmachtu. Podsumowując ten temat, kapitan Ratshelm powiedział: - Przysięga to największa świętość żołnierza. Kapujecie? Otworzyć okna, tu znowu śmierdzi. Duża przerwa. Dowódca oddziału odfajkował wykład w dziennikach zajęć poszczególnych grup szkolnych, złożywszy z rozmachem w odpowiedniej rubryce swój podpis z nieomal artystycznym zakrętasem, i zawołał do siebie podchorążego Hochbauera. Ten zjawił się natychmiast. Tak jakby tylko czekał na to wezwanie. Stanął przed kapitanem Ratshelmem wzorowo na baczność i utkwiał w nim promienne spojrzenie, wyrażające skromność i oddanie. Kapitan uśmiechnął się, również skromnie. Nachylił się trochę do niego i spytał: - Czy nie wyświadczyłby mi pan pewnej osobistej przysługi, Hochbauer? - Tak jest, panie kapitanie! - Pani Frey - rzekł kapitan poufale - wyraziła życzenie, żeby jej dostarczyć dalszą partię książek. I jeśli dobrze wielmożną panią zrozumiałem, chciałaby, żeby te książki przyniósł jej pan, mój drogi Hochbauer. I to dziś, w porze herbaty popołudniowej. To piękny dowód zaufania. Zwłaszcza że pani Frey jest nie tylko damą o wysokiej kulturze, lecz również o poważnych wpływach. - Dziękuję, panie kapitanie - powiedział Hochbauer ciepło. Po czym wrócił do swojej grupy. Za jednym zamachem zapomniał o ponurych myślach, które go dręczyły wczesnym rankiem. Cieszący się wielkim poważaniem i wpływowy dowódca oddziału ceniał go i postanowił

go wprowadzić w krąg wyższych oficerów. - Czego dowódca chciał od ciebie? - spytał Andreas poufale. - Osobiste polecenie - powiedział Hochbauer z wysoka. - Tak - rzekł Amfortas - on ma do ciebie zaufanie, co? - No chyba - odparł Hochbauer - znamy się dość dobrze. Również inni przysunęli się, zaciekawieni, bliżej. Nie uszło ich uwagi, że Ratshelm wyróżnił Hochbauera, i chcieli się dowiedzieć dlaczego. - Panowie - powiedział Hochbauer protekcyjnie - nie napierajcie na mnie. Ale zaufanie za zaufanie: jestem zaproszony na dziś po południu do mieszkania majora Freya. - Nie! - powiedzieli podchorążowie z szacunkiem - nie! Le. Uwagi te wywołały u Hochbauera przyjemne uczucie dumy. Uczucie to nie opuszczało go przez całe przedpołudnie - nawet przez następne trzy godziny, podczas których pisano pierwsze większe wypracowanie z taktyki. Hochbauer uporał się z nim w niecałe dwie i pół godziny, i jak mu się zdawało, nie zrobił ani jednego błędu. Krafft Hochbauer tego dnia już nie widział. I to też wpłynęło korzystnie na jego znowu wzrastające dobre samopoczucie. - Jedno wam powiadam - obwieścił - póki istnieją jeszcze tacy przełożeni, jak kapitan Ratshelm czy major Frey, wszystko jest w najlepszym porządku. Przy nich talent i wiedza zawsze będą zwyciężać. Przekonacie się o tym, zapamiętajcie moje słowa! * * * - Zbiórka do przeglądu broni! - zawołał dyżurny podchorąży. - Nogi w garść i pukawki pod pachę. Zaczyna się ostatni na dziś bieg! Była godzina #/14#00. Zajęcia kończyły się zwykle przeglądem broni. Dopiero gdy podchorążowie mieli to za sobą, mogli powiedzieć, że mają teraz do końca dnia wolne. - Po przeglądzie - ogłosił podchorąży Kramer - odczytam wam rozkaz specjalny. - Znowu? - zawołali wszyscy podchorążowie naraz. Odczytywanie każdego ostatniego rozkazu specjalnego odbywało się zwykle w sobotę. To major Frey ten tryb wymyślił. W ten sposób energiczny dowódca kursu usiłował jeszcze w ostatniej chwili natchnąć podchorążych swoim duchem - zanim rzucą się w wir rozmaitych przyjemności weekendowych. Na razie jednak podchorążowie czekali na dowódcę grupy. A ten nie przychodził. Zamiast niego pojawił się podporucznik Dietrich z grupy szkolnej I i spytał lakonicznie: - Cała broń przygotowana do przeglądu? - Tak jest, panie poruczniku - odpowiedzieli podchorążowie. Inna odpowiedź byłaby po prostu nie do pomyślenia. - Wobec tego przegląd skończony - oświadczył podporucznik Dietrich. Po tych słowach poszedł sobie i zostawił zaskoczonych podchorążych samych. Praktycznie więc zajęcia w tym dniu skończyły się, a zarazem i zajęcia całego tygodnia. To, co teraz nastąpiło, było tylko przykrą i zbędną rutyną: starszy grupy zaczął czytać ostatni rozkaz specjalny. Rozkaz ten nosił imponujący numer porządkowy sto trzydzieści jeden. Podchorążowie co prawda milczeli, ale prawie nikt nie słuchał uważnie. Myśli ich błądziły gdzie indziej, przeważnie wokół zbliżającego się wieczoru. Kilku oparło się niedbale o swój karabin, jak gdyby to nie była broń, lecz laseczka. Inni na wół drzemali. A podchorąży M-osler, jak zwykle w trzecim szeregu, czyścił sobie bagnetem paznokcie, w czym mu nikt nie przeszkadzał. Pierwsza część rozkazu specjalnego traktowała o wychodzeniu na miasto: przygotowania do wyjścia; przepisy mundurowe ze szczególnym uwzględnieniem takich dodatków, jak chusteczka, książeczka wojskowa i prezerwatywy, te ostatnie z wyraźnym powołaniem się na konieczność przestrzegania higieny; zachowanie się w miejscach publicznych. Było to abecadło dla poborowych, jednakże zdobne w niezwykle bogactwo słów. - Nie możesz czytać szybciej? - spytał jeden z podchorążych uprzejmie. Inny zaproponował: - Wystarczy czytać nagłówki. A M-osler powiedział serdecznie: - Powieś po prostu ten rozkaz specjalny w latrynie. Tam przecież przychodzi każdy i ma w dodatku czas czytać. - Spokój! - wrzasnął oburzony Kramer. Ostatnio zrobił się bardzo drażliwy na punkcie swego prestiżu. - A może ktoś chce mi przeszkodzić w pełnieniu moich obowiązków? No to niech się zgłosi. - Po czym Kramer, tak jakby się obawiał, że ktoś może usłuchać jego wezwania i się zgłosić, dodał: - Poza tym zaraz kończę. Obwieścił z niejakim pośpiechem: - Następny rozdział: „Nadawanie imion. Ze specjalnym uwzględnieniem aspektów narodowych”. Podchorążowie i to przyjęli cierpliwie. I usłyszeli - o ile w ogóle jeszcze coś słyszeli - że imiona to bynajmniej nie pusty dźwięk, lecz znamię i dowód pochodzenia, mentalności oraz pragnienie naśladowania takiego czy innego wzoru. Iaden prawdziwy Niemiec - a tym bardziej oficer - nie powinien się nazywać Karfunkelstein czy

Greczinsky, ani Izaak, ani Iwan. Imiona i nazwiska żydowskie czy słowiańskie, ergo imiona nieniemieckie, należy uważać za niepożądane, obciążające i niegodne prawdziwego Niemca. I: - „Na przykład Egon to imię z pism humorystycznych”. - Co jest Egon? - spytał Weber, który drgnął na dźwięk własnego imienia. - Imię z pism humorystycznych - wyjaśnił M~osler ubawiony. - Czy ty nie masz uszu? Zdaniem twojego majora i dowódcy kursu masz imię z pisma humorystycznego. Podchorążowie parsknęli śmiechem. Nawet Hochbauer przyłączył się do ogólnego rechotu. Tylko Kramer usiłował zachować powagę i godność. Ale bardzo prędko zrozumiał, że to bezcelowe. Zrezygnował więc z czytania reszty rozkazu specjalnego i zawołał: - Koniec zajęć! Rozejść się! Podchorążowie okrążyli oburzonego Webera, Egona, i razem z nim wsunęli się do baraku. Byli w znakomitym nastroju. - To musi być pomyłka - powiedział Weber. - To jest jakieś niedopatrzenie. - Oficer - oświadczył M~osler rozradowany - nigdy się nie myli, a cóż dopiero major i dowódca kursu szkoły wojennej. Jedno w każdym razie jest pewne: jako Egon nie zdasz chyba egzaminów. Można sobie jeszcze wyobrazić, że postać z pisma humorystycznego zostaje oficerem, ale jeśli ktoś ma imię z pisma humorystycznego, to to przestaje być dowcipne. - To przecież musi być pomyłka! - wołał Weber, potrząsając niedowierzająco głową. - Tak, ale pomyłka z twojej strony - powiedział uśmiechnięty M~osler. - Przeciwno temu imieniu powinieneś być zaprotestować już w kołysce. Zbyt późno rozwinęła się w tobie świadomość oficerska, no i teraz masz! - Koledzy - rzekł Egon Weber na zakończenie - ogłaszam niniejszym uroczyście: kto w przyszłości będzie się nabijał z mojego imienia, temu skuję mordę, bez względu na straty. Nawet gdyby to był sam major czy dowódca kursu. Czy to jasne, koledzy? To było jasne. * * * - A więc nabierzmy sił! - zawołał M~osler, waląc się na swoje łóżko polowe. - żebyśmy mogli zacząć wieczór możliwie wypoczęci. Każdą sobotą w tej okolicy rządził bardzo prosty rachunek: na tysiąc podchorążych około ośmiuset podążało w dolinę. Rozdzielali się na dwa kina, dwadzieścia osiem restauracji i gospód i na jakieś siedemdziesiąt do osiemdziesięciu gotowych na wszystko dziewcząt oraz przejściowo samotnych kobiet - wliczając w to i te z najbliższych okolic Wildlingen nad Menem. I to, co przy tych jaskrawych dysproporcjach było w ogóle możliwe, musiało się odbywać w krótkim czasie między godziną #/18#00 a #/24#00. Oficerom szkoły wojennej wiodło się niewiele lepiej. Niektórzy uciekali do W~urzburgu - ale to było skomplikowane, wymagało czasu i pozwolenia komendanta. Szczęśliwi byli żonaci i zaręczeni. Kto udawał, że pragnie zapuścić korzenie w jednej z mieszczańskich rodzin Wildlingen, ten miał uratowane soboty. Całej okazałej reszcie nie pozostawało nic innego, jak naśladować generała i pracować. W przeciwieństwie jednak do niego oficerowie pozwalali sobie na dłuższe przerwy. Spędzali je w kasynie. A tu byli zdani na łaskę i niełaskę kapitana Katera. „Panowie - zwykł był on mawiać - nie jestem potworem, o czym wam zapewne wiadomo. Chętnie zezwalam na buteleczkę wina - na trzy osoby. Dalsze przydziały po osobistej rozmowie.” * * * - Wielmożna pani pozwoli? - spytał podchorąży Hochbauer, przyjmując przykładową postawę. - Pozwalam sobie wręczyć wielmożnej pani parę książek, z polecenia kapitana Ratshelma. Felicitas Frey uśmiechnęła się życzliwie i afektownie. - Bardzo się cieszę. Co u pana nowego, panie Hochbauer? - Uprzejmie dziękuję, łaskawa pani - rzekł Hochbauer i dodał: - Pani jest bardzo dobra. Hochbauer stwierdził z zadowoleniem, że oto znalazł się w kulturalnej atmosferze. Pozwolono mu usiąść i wypić filiżankę herbaty. I chociaż herbata zawsze budziła w nim wstręt - tu zdawała się sprawiać mu rozkosz. Stał przed nim wyborny, pachnący przysmak, podany przez damę, która potrafiła uszlachetnić nawet głupie zwyczaje angielskie. Poza tym słyszał gdzieś, że F~uhrer też chętnie pija herbatę, mianowicie indyjską, co chyba można było wytłumaczyć tym, że Hindusi także mogli się poszczycić aryjskim pochodzeniem. - Nie chciałabym panu oczywiście zabierać niepotrzebnie czasu, panie Hochbauer - rzekła Felicitas Frey. - O tym, łaskawa pani - zapewnił ją podchorąży skwapliwie - doprawdy nie może być mowy. - Ależ - powiedziała Felicitas z wyrozumiałym, lecz jakby nieco wymuszonym uśmiechem - na pewno czeka gdzieś na pana jakaś młoda dama. - Bynajmniej, łaskawa pani - zaprzeczył podchorąży Hochbauer, i zabrzmiało to bardzo wiarygodnie. - Na takie rzeczy nie mam czasu. - Może szkoda - powiedziała Felicitas, i uśmiech jej pogłębił się jeszcze o kilka stopni

wyrozumiałości. Hochbauer pozwolił sobie zauważyć: - Zdaje mi się, łaskawa pani, że młodym damom, choćby z najlepszego towarzystwa, brak pewnej głębi duchowej. - Może ma pan rację - zgodziła się Felicitas. - Dzisiejsze młode damy - powiedział Hochbauer ostrożnie - są chyba w ogóle pozbawione uczuć wyższego rzędu, brak im, że tak powiem, kultury. To oczywiście nie ma być zarzut. Jest to raczej zjawisko nieuniknione w czasie wojny. I oczywiście musimy się z tym pogodzić. Mimo to jest to moim zdaniem pożałowania godne. - To tylko wystawia panu dobre świadectwo! Mogę sobie wyobrazić, jak pan cierpi z powodu tych braków. - Jakoś to znoszę, łaskawa pani, bo na ogół zajęty jestem wyłącznie służbą. Ale kiedy mam szczęście znaleźć się w otoczeniu tak kulturalnym, jak to, uświadamiam sobie wiele rzeczy, które godne są być przedmiotem dążeń i pragnień. Tak oto toczyła się dalej ta wartka rozmowa. Pili herbatę i czuli, że się nawzajem rozumieją. I Felicitas Frey wyznała: - Spotkanie to sprawiło mi wielką radość. Spotkanie to zostało niestety przerwane bardzo brutalnie. Zjawił się major Frey. Skinieniem głowy dał znak podchorążemu, który na jego widok skoczył na równe nogi, żeby z powrotem zajął miejsce. A potem major powiedział do swojej żony: - Muszę z tobą natychmiast porozmawiać. - Czy nie możesz z tym trochę poczekać, Archibaldzie? - Sprawa jest bardzo pilna - uciął major, wychodząc z salonu. - Szkoda - powiedziała pani Felicitas ze szczerym żalem. - To była niezwykle interesująca rozmowa, panie Hochbauer. Podchorąży Hochbauer był tego samego zdania. Mimo to musiał się pożegnać i złożył na jej dłoni nienaganny pocałunek. - Mam nadzieję - powiedziała - że będziemy mieli jeszcze okazję kontynuować tę ciekawą rozmowę. Może już niedługo. - To byłby zaszczyt dla mnie, łaskawa pani. - Mam nadzieję, że nie tylko zaszczyt - powiedziała trochę kokieteryjnie. - Byłoby to dla mnie wielką radością, łaskawa pani. Potem oddalił się godnym krokiem - niby młody bóg germański, zdaniem Felicitas. - Felicitas, proszę cię! - wołał major z sąsiedniego pokoju. - To pilne. Bardzo pilne! * * * - Obejrzyj sobie to! - rzekł major. - Archibald - powiedziała chłodno - znowu muszę z ubolewaniem stwierdzić, że twój sposób zachowania pozostawia w ostatnich czasach bardzo wiele do życzenia. Jak mogłeś mi tak brutalnie przerwać w trakcie rozmowy? - E tam! - zawołał major szorstko. - Nie możesz przecież ode mnie wymagać, żebym się liczył jeszcze z podchorążymi. Kto właściwie liczy się ze mną? Muszę z tobą porozmawiać o decydujących sprawach. Obejrzyj sobie to nareszcie! Major wskazał ciężką dłonią na leżącą przed nim kartkę papieru. Felicitas niechętnie podeszła bliżej. Zobaczyła rozkaz specjalny numer sto trzydzieści jeden. - To - powiedział major głucho - nie powinno było się stać. Ale stało się. Mimo że prosiłem cię o zajęcie stanowiska, Felicitas. Ale widocznie nie doceniałaś znaczenia twojej aprobaty, albo co gorsza: sprawy, które mnie zaprzatają, które są dla mnie najważniejsze, są dla ciebie nieważne. I żeby powiedzieć to wyraźniej, Felicitas: odwróciłaś się ode mnie! - Ja w ogóle nie wiem, o czym ty mówisz - powiedziała oburzona. Czowała się nie rozumiana, męczona, prowokowana. - Ciągłe się staram ci pomagać, być przy tobie. Usiłuję nawet poznać dogłębnie twoich podchorążych. A jaką mam za to podziękę? Robisz mi wyrzuty. Co to znaczy? Major bez słowa wręczył jej rozkaz specjalny numer sto trzydzieści jeden. Opatrzony był przez komendę szkoły stemplem służącym do rejestrowania poczty wpływającej oraz dzisiejszą datą. I jedno zdanie było w nim podkreślone - zielonym ołówkiem, takim, jakiego w szkole wojennej używał tylko generał. Zdanie to brzmiało: „Na przykład Egon to imię z pism humorystycznych”. Obok tego zdania, na marginesie, generał poczynił jedną jedyną uwagę, groźnie lapidarną, również zielonym ołówkiem. Brzmiała ona: „Przyjąłem do wiadomości. Ernst Egon Modersohn, generał major”. - To katastrofa - powiedział major złamany. - Do tego nigdy nie powinno było dojść. Generał ma na drugie imię Egon. Zawiodłaś mnie, Felicitas, po prostu mnie zawiodłaś. - Nie możesz przecież na mnie zrzucać odpowiedzialności za swoje błędy - powiedziała. - Gdybyś była uważała - twierdził - nigdy by do tego nie doszło. Widocznie jednak wszystko, czym ja żyję, stało ci się zupełnie obojętne. - Jesteś niewdzięczny - powiedziała gwałtownie. - Czym ty byś był beze mnie? - Prawdopodobnie spokojnym i zadowolonym człowiekiem - odparł major. - To Źle - powiedziała pani Felicitas sztywno. - To bardzo Źle. Wnioskuje z twojej reakcji, jak mało ja dla ciebie znaczę, Archibald. Ty mnie już nie kochasz, to dla mnie nie ulega wątpliwości. INaczej byś

mi nigdy nie robił tego rodzaju wyrzutów. Po tych słowach wyszła z szumem i trzasnęła drzwiami. - Jeśli ona w najbliższej przyszłości nie zmądrzeje - powiedział major zduszonym głosem - to będzie źle. * * * Podchorąży Hochbauer stał na rynku Wildlingen nad Menem. Ciągle jeszcze czuł się uszczęśliwiony tą chwilą spędzoną w takiej pięknej harmonii z damą z wyższych sfer oficerskich. Nie bardzo wiedział, co dalej robić z wieczorem. Miał do wyboru kilka możliwości. Przede wszystkim: powrót do koszar, do książek, regulaminów i notatek. Poza tym: samotny spacer na łonie zamarznętej, bezbronnej natury. Wreszcie: odprężenie psychiczne w formie wartościowego filmu, na przykład „Wujo Kr~uger”. Nie namyślając się długo, Hochbauer udał się do kina, noszącego szumną nazwę Pałac Filmowy. Tu, wciśnięty w bezwolny, zagapiony tłum, oddał się percepcji wzniosłego, wartościowego politycznie, państwowotwórczego dzieła filmowego. Z rosnącym oburzeniem przyglądał się Hochbauer okrucieństwu Brytyjczyków, którzy wyrzynali bezbronną ludność Afryki POłudniowej lub zamęczali ją w obozach, skutkiem czego ludzie masowo ginęli z głodu, pragnienia i wycieńczenia - przeklinając perfidny Albion. A ci poczciwi, dzielni, rzetelni, na wskroś południowi Afrykańczycy to przecież nie jakieś rasowo niższe stworzenia, jak ci brudni kolorowi, niepożądani i niebezpieczni cudzoziemcy niższego gatunku czy łydzi, lecz Burowie czysto aryjskiego pochodzenia. Była to wysoce wartościowa rasa, terroryzowana tu przez wypranych z człowieczeństwa, żądnych władzy sadystów, właśnie tych Brytyjczyków. Hochbauer nieomal drżał ze wzburzenia. A niektórzy ludzie obok niego rozdziawiali gęby - ze zdziwienia albo też po to, aby ładować w nie słodycze. Utwierdzony w swoich przekonaniach - aczkolwiek Hochbauerowi takie utwierdzenie było zgoła niepotrzebne - podchorąży wyszedł z kina. Wzniósł oczy ku niebu, jak gdyby chciał zapytać Pabna Boga, czy to, co widział na filmie, da się w ogóle pogodzić z dziełem stworzenia. Przypomnił sobie jednak w porę, że odrzuca wszelkie więzi religijne, z przekonania i za radą swego ojca. I słusznie. Bo przecież Brytyjczycy również modlili się do Boga. Hochbauer czuł, że musi się czegoś napić. To naprowadziło go na myśl, żeby pójść do gospody „Pod Kolorowym Psem”. Wiedział bowiem, że każdej soboty zbiera się tam większość jego grupy; w celach towarzyskich, pod kierunkiem starszego grupy Kramera. Ten „Kolorowy Pies” znajdował się nad brzegiem Menu, i z rynku szło się do niego dziesięć minut kilkoma krętymi uliczkami. Hochbauer nie spieszył się. Wolnym krokiem mijał stare kamieniczki i patrzył na nie prawie pobłaźliwie. Symbol starej, ograniczonej epoki, myślał sobie, całkiem miłe i przytulne, ale zarazem zmurszałe i przestarzałe. Skazane na zagładę! Burza nowej ery zmiecie je jak lotne piaski. Historyczne ruiny, na których zakwitnie nowe życie - dzięki rozbudzonej dzielności narodu niemieckiego. Hochbauer wszedł do szynku: buchnęły nań wesoły zgiewek i zapierające dech wyziewy. Gospoda była zapchana po brzegi podchorążymi. Na sali było niewiele dziewcząt - jasne plamy wśród przeważającej szarzyzny mundurów. Rozsuwane drzwi do bocznych salek były szeroko otwarte, i tu, całkiem w kącie, siedziała grupa szkolna Heinrich. Hochbauer podniósł rękę na powitanie. - Wspaniale, że przyszedłeś! - zawołał Kramer. - Zróbcie mu miejsce, koledzy. Pojawienie się Hochbauera było małą sensacją. Dotychczas trzymał się z dala od tego rodzaju imprez. TERaz jednak, przeciskając się między krzesłami, oświadczył: - Muszę przecież też wziąć choć raz udział w tych spotkaniach towarzyskich. A M~osler zauważył z niewinną miną: - Mam nadzieję, że rozumiesz przez to pojęcie to samo, co my. To się zresztą szybko okaże... przypuszczam. * * * - Jedno wam mówię, przyjaciele - powiedział kapitan Feders, tasując karty do następnej partii - jeśli jeszcze raz mi ktoś spróbuje zdjąć portki, to ja mu pokażę. Odpowiedział mu wybuch śmiechu, prawie pogodnego. Głosy były szorstkie i ochryple, a także świszczące i piskliwe. Ale nie ulegało wątpliwości, że nastrój był raczej wesoły. Tylko że nikt się nie śmiał głośno. „Zdjąć portki” było wyrażeniem fachowym, grali bowiem w skata: Feders, Krafft i doktor Kr~uger. Wszyscy trzej wciągnęli na swoje mundury białe fartuchy lekarskie. Siedzieli w willi Rosenh~ugel. Ale nie byli tu sami. Każdy z nich miał partnera. - PODOбно zdarzyło się kiedyś - powiedział Krafft do Federsa - że ktoś tak długo tasował karty, aż umarł. Doktor Kr~uger rzucił Krafftowi swoim jedynym okiem szybkie ostrzegawcze spojrzenie. Krafft bowiem popełnił błąd. Co prawda i ta uwaga należała do

fachowego żargonu graczy w skata, ale niektóre pojęcia były w tym gronie zakazane - między innymi alkohol, kobiety i śmierć. Bo partnerzy trzech oficerów wisieli za nimi. Byli to ludzie _pilki. Zwisali w swoich „hamakach” nisko z sufitu, tak że mogli siedzącym zaglądać całkiem wygodnie przez ramię. Człowiek wiszący za porucznikiem Kraffttem nosił numer siedemdziesiąt trzy. Twarz jego była sucha, pomarszczona i z gruba ciosana. Twarz robotnika, przyzwyczajonego do przebywania na wolnym powietrzu - na placach budowy, w lasach, w ciężarówce. Krafft wiedział o nim tylko tyle, że miał na imię Willi. - Ale teraz - rzekł Willi - pokażemy im klasę. Teraz idziemy na całego, co, panie poruczniku? - Możemy sobie na to pozwolić - powiedział Krafft, skinąwszy swemu partnerowi głową. - Skoro mamy takiego fora. - Powinniśmy właściwie zawsze grać razem - rzekł Willi, człowiek oznaczony numerem siedemdziesiąt trzy. - Całkiem nieźle się nawzajem uzupełniamy, nie uważa pan? - Jeszcze jak! My obaj zakasujemy tu wszystkich. Może zorganizujemy tak kiedyś mistrzostwa... na pewno je wygramy. Krafft podjął karty, które Feders mu rzucił. Ułożył je powoli i rzucił okiem za siebie na swego partnera. Mieli obiecującą serię kierów. Do tego jeszcze dwa walety. Krafft wskazującym palcem prawej ręki przejechał po dobrych kartach. Głowa Willego skinęła i mruknęła na znak aprobaty. Krafft powiódł wzrokiem naokoło siebie. Stwierdził z satysfakcją, że lekarz już go nie obserwuje. A więc zachowuje się właściwie. Kapitan Feders rzucił mu szybkie, zachęcające spojrzenie. Gra w skata była pomysłem Federsa. Lekarz zgodził się na nią po długim wahaniu. Przed tym eksperymentem musieli rozegrać serię partii szachowych. Dalszym warunkiem było urządzenie tak zwanego pokoju gry. Brać udział w grze mogło za każdym razem tylko kilku ludzi _pilek, ilu było partnerów z zewnątrz. Przygotowania były niezwykle skomplikowane. Doktor Kr~uger badał u każdego swego pacjenta, który wchodził w rachubę, stan umysłowy, fizyczny i psychiczny. Ale radość tych, którzy zostali wybrani, przeważnie bez wiedzy pozostałych, była zawsze wielka i szczerą - nie za wielką, o to już dbał Kr~uger, bo to byłoby niebezpieczne. Nie wolno było dopuścić do tego, aby gra nabrała uroku czegoś niezwykłego. Odpowiedzialni za to byli partnerzy. Udział w grze brał przeważnie personel szpitalny, zawsze lekarz i często kapitan Feders. Krafft był tu po raz pierwszy. - Ma pan papierosa? - spytał za plecami Kraffta Willi. Porucznik Krafft podniósł oczy na doktora Kr~ugera. Ten nieznacznie kiwnął głową. Krafft zapalił sobie papierosa, pociągnął raz, drugi, i oddał go potem numerowi siedemdziesiąt trzy, Willemu, to znaczy wetknął mu go w usta. Willi palił i sapał z zadowolenia. Nie spuszczał oka z kart, które Krafft trzymał w prawej ręce. - Teraz im wsypujemy, co, panie poruczniku? Krafft zaczął wymieniać liczby. Właściwie było to zadanie Willego, ale ten palił. Krafft zamiast niego i za jego zgodą licytował. Dwaj pozostali ludzie _pilki odpowiadali mu. Robili to przeważnie po chwili zastanowienia, często po przeprowadzonej szeptem naradzie ze swoimi partnerami. Oni jedni mieli prawo decydować, to była ich gra. Trzej oficerowie wypożyczali im jedynie swoje ręce, i tylko od czasu do czasu pomagali im radą. Krafft zawahał się. Nie chciał dalej podwyższać stawek bez zgody partnera. Odwrócił się do Willego i wyjął mu papierosa z ust. - Jak pan sądzi? - spytał. - Czy licytować jeszcze wyżej? - TAK wysoko, jak się tylko da! - zawołał numer siedemdziesiąt trzy. Nad nimi było jaskrawe światło. Padało na karty w rękach oficerów. Oświetlało twarze trzech ludzi _pilek, zapatrzonych w karty. Były to różne twarze: jedna surowa i ostra, druga miękka i płaska, trzecia zniekształcona: z lewej strony rozszczępiona od ciemienia aż do dolnej szczęki. Wszyscy myśleli teraz tylko o grze, o niczym innym. Oko Kr~ugera mrugało łagodnie i przyjaźnie - znak, że był zadowolony. - Pan jest dobrym partnerem, poruczniku Krafft - powiedział lekarz. - Tak - potwierdził Willi z miejsca. - I dlatego zaryzykujemy teraz grę, którą popamiętacie. Grand gwarantowany! - Dobrze - rzekł Krafft. Wetknął papierosa, którego tymczasem sobie popalił, człowiekowi numer 73 z powrotem w usta. POCem, idąc za wskazówkami swego partnera, wyłożył walety, a za nimi cały sekwens kierów. Rzucił z trzaskiem na stół jedną kartę po drugiej. - Wal ich! - wołał Willi do Kraffta z papierosem w zębach. - Wal, ile wlezie! żeby huczało! I Krafft pożyczal swoją rękę numerowi 73, człowiekowi _pilce, któremu na imię było Willi. W tej chwili obaj byli jednym. Nie wiedzieli o tym, nie myśleli o tym, ale tak było. Wsólnie przepędzili cień śmierci, przepędzili go niesłuchanie przyziemnym zajęciem. - Drogi

przyjacielu - powiedział Krafft do numeru 73, kiedy paretia była wygrana. - Tylko tak dalej! * * * - Koleżeństwo to piękna rzecz - mówił podchorąży Hochbauer w tylnej salce „Kolorowego Psa”. - Ja też jak najbardziej jestem za tym, ale musi ono oczywiście polegać na wzajemności. Jeśli o mnie idzie, jestem gotów. Hochbauer wcisnął się w ławkę pomiędzy Kramera i Amfortasa. Postanowił, że będzie dziś wesoły, zgodliwy i dobroduszny, i zaczął się bliżej przypatrywać swemu otoczeniu: było tu prawie trzydziestu podchorążych. Prawdopodobnie dlatego, że starszemu grupy udało się nawiązać dobre stosunki z właścicielem gospody. Każdy podchorąży bowiem miał przed sobą pół litra wina. A pod miejscem Kramera stał dobrze napełniony piętnastolitrowy dzban. Kramer był w tym szczęśliwym położeniu, że dysponował całą beczką, bo dał za nią dwa aparaty fotograficzne. Popularność Kramera była w każdym razie ogromna - jego koledzy nie mogli marzyć o lepszym starszym grupy. - Pij, Hochbauer - powiedział Kramer protekcyjnie. - PO to przecież mamy wino. I Kramer rozejrzał się wokoło triumfującym wzrokiem. Spojrzenie jego padło również na sąsiedni stół, gdzie siedzieli podchorążowie z innej grupy szkolnej. I to przy prawie pustych kieliszkach. Gospodarz wydzielił im tylko po jednym kieliszku wina. Takie są skutki, dawał do zrozumienia Kramer, kiedy na czele grupy stoi nieodpowiedni człowiek. - Na zdrowie, koledzy! - wołał chętnie. Jego ludzie z radością przepijali do niego. Kramer był przekonany, że znakomicie zainwestował swoje dwa aparaty; w przyszłości, myślał w prostocie ducha swego, podchorążowie będą go słuchali bez zmrużenia powiek. Hochbauer zauważył także kilka „dam” - przypuszczalnie jakieś garkotłuki. Te zapewne bardzo podejrzane dziewczyny siedziały przy tym poślednim końcu stołu, tam gdzie rzecz jasna usadowili się też M~osler i Rednitz. I oczywiście również Weber, Egon. Ten jednak, o dziwo, bez „damy”. Za to nie spuszczał oka z jakiejś piękności wiejskiej przy kości, siedzącej przy drugim stole. Hochbauer sięgnął po swój kieliszek i wychylił go jednym haustem. Widok tych posłusznych, prymitywnych istot żeńskich przyprawiał go o lekki dreszcz. Samo mięso, myślał z obrzydzeniem; ani cienia intelektu, wdzięku, owej wyższości kobiecej, jaką spotyka się w wyższych kołach oficerskich. - Powiedz mi, Hochbauer - dopytywał się żenująco głośno M~osler, mrużąc przy tym oczy - dlaczego ty choć raz nie przyprowadzisz ze sobą jakiejś miłej dziewczyny? Nie możesz, czy nie chcesz? - Ten na pewno mógłby mieć dziewczynę - oświadczyła jedna z dziewcząt z miną znawczyni. - Z takim wyglądem! - Sam wygląd - powiedział M~osler prowokacyjnie - jeszcze o niczym nie świadczy. Chodzi o kwalifikacje! A podobno istnieją tacy, co nie chcą dlatego, że nie mogą. Hochbauer zerwał się oburzony. Ale Kramer położył mu uspokajająco dłoń na ramieniu - nie chciał awantury. On kierował tym wieczorem i był za wszystko odpowiedzialny. Dbął o dopływ trunków, a tym samym o dobre samopoczucie i dobry nastrój kolegów. To był więc jego wieczór, i powinien przebiec w niezmaconej harmonii. Dlatego Kramer postawił demonstracyjnie piętnastolitrowy dzban na stole i powiedział: - Koledzy, mowa jest srebrem, a ochłaj złotem. I u nas w końcu każdy może być szczęśliwy na swój fason. - Masz zupełną rację - rzekł M~osler, którego widok piętnastolitrowego dzbana nastrojał pojednawczo. - To naczynie ma naprawdę fason, który mnie uszczęśliwia. POdaj no tę wazę! Bo kiedy chleję, to nie mogę gadać. A kiedy zaglądam do kieliszka, nie muszę oglądać Hochbauera. W ten sposób mogę mieć jeszcze całkiem udany wieczór. Dzban zawędrował więc na drugą stronę stołu i stąd znowu do piwnicy, gdzie miano go na nowo napełnić. Podchorążym przy sąsiednim stole mina zrzędła. Kramer uważał to za swój osobisty triumf; napawał się wesołością swoich kolegów, która doszła już do szczytu. Harmonia, myślał sobie, może właśnie na tym polega harmonia! Kramer w sposób koleżeński i uspokajająco przemawiał Hochbauerowi do sumienia. Mówił o szorstkiej dobroduszności, o wesołych dowcipnisiach z niewyparzoną gębą, których nie należy brać poważnie. - Trzeba się śmiać - perorował - wtedy się cieszą jak małe dzieci. O nic więcej im nie chodzi. - Ale czasem właśnie ta infantylność M~oslera i jego kumpli działa mi na nerwy - rzekł Hochbauer nieprzejednany. Kramer nie przestawał go przekonywać. Zadawał sobie szczerze trud, żeby ten wieczór był jego prawdziwym sukcesem. I gdy tak zajmował się Hochbauerem, nie widział wcale, co się działo na drugim końcu stołu - tam gdzie siedział Weber, Egon. Podchorąży Weber był tego dnia znacznie mniej rozmowny niż zwykle. Zrezygnował nawet z poobiedniej

drzemki - tak wielki i straszny był niepokój, jaki o władnął nim po odczytaniu rozkazu specjalnego nr 131. A przy tym Weber, Egon, w swoim żołnierskim życiu ścierpieć musiał już niejedną prowokację i zniewagę: Na przykład był taki kapral za jego czasów rekruckich, na którego rozkaz musiał siedem razy przeczołgać się na brzuchu przez latrynę. Był pewien plutonowy, który go kiedyś zmusił do zdjęcia skarpetek, i to na ulicy, co prawda w dzielnicy niezbyt ruchliwej - przy czym jego nogom, jak było do przewidzenia, daleko było do idealnej czystości. No tak - i była jeszcze taka dziewczyna we Francji, w Dreux, która chciała wylać mu na głowę zawartość nocnika. Wszystko to były rzeczy, z których teraz, kiedy miał je już za sobą, potrafił się serdecznie śmiać. Ale to, że jego imię wystawiono na pośmiewisko całej szkoły wojennej, to była już zupełnie inna para kaloszy. Na dobitkę był zawsze trochę dumny ze swego imienia - oczywiście nigdy nie dawał tego po sobie poznać - bo to imię zdobyło już pewien szacunek: mówiono o nim wesoły Egon, bystry Egon, albo też Egon_silacz, co było wymownym świadectwem jego specjalnych kwalifikacji. I oto nagle Egon miało być imieniem niechętnie widzianym w wyższych kręgach, imieniem z pism humorystycznych? - Muszę się dziś urząnąć - powiedział głucho. Ta nieprzyjemna sprawa z jego imieniem to jednak jeszcze nie było wszystko, co dręczyło w tej chwili Webera, Egona. Jeszcze z innego powodu zalewała go żółć. Ten powód miał długie włosy i siedział przy sąsiednim stole z jakimiś podchorążakami z innej grupy szkolnej. Zdaniem Webera była to niemrawa banda facetów bez ikry, z grupy oficera, który, rzecz charakterystyczna, dorobił się przyzwiska „Trubadur”. - Mam wielką ochotę rozgonić to zacne towarzystwo - wyznał swoim sąsiadom. Owa dziewczyna wypinała swój okazały biust i od czasu do czasu rzucała Weberowi zalotne spojrzenia. Weberowi wydawało się to wszystko po prostu prowokacją. Znał bowiem tę dziewczynę od zewnątrz i od wewnątrz od owej pamiętnej nocy w sali gimnastycznej, ale widocznie nie uwzględniał dostatecznie jej psychiki. A ona pragnęła być nie tylko pożądana, lecz również szanowana; chciała z nim wieczorami wychodzić i być traktowana jak dama. Egon Weber nachylił się do przodu i wybełkotał: - Chodź tu, Erna, przysiadź się do nas! Erna odparła wyniośle: - Widzisz przecież, że jestem w towarzystwie. - Moje jest lepsze! - zapewnił ją Egon Weber. Podchorążowie wokół Erny zaniepokoiли się. A jeden, który siłą fizyczną nie ustępował wcale Weberowi, powiedział: - Nie wtrącaj się do nie swoich spraw, chłopczyku. Ta pani przyszła z nami i koniec! - Ale ona należy do mnie - powiedział Weber, usiłując zachować spokój. - Moje prawa są o kilka dni starsze, prawda, Erna? - Nie jesteś dżentelmenem! - odparła Erna zimno. - Proszę cię, żebyś mnie dłużej nie napastował. - Słyszałeś? - spytał ów silacz z tamtej grupy. - Ta pani życzy sobie, żebyś przestał się jej naprzykrzać. - Chodź tu do nas, Erna! - rzekł Egon Weber. - Chyba nie zechcesz spędzić całego wieczoru, a może jeszcze i części nocy z takimi czystoplujami? - Fe, Egon! - powiedziała dziewczyna. - Jak, jak? - spytał silacz zdziwiony i zarazem uradowany. Padło bowiem owo fatalne słowo. - Jak mu na imię? Czy mnie słuch nie myli? Egon? Słyszeliście, koledzy, on się nazywa Egon! A to według rozkazu specjalnego jest imię z pism humorystycznych! - śmiali się do rozpuku. Wtedy podchorąży Weber wstał, błądy i drżący. Podeszedł do owego ordynusa i zasunął go bez słowa pięścią pod szczękę. Silacz skulił się - ze szklistymi oczami upadł w zwolnionym tempie na ziemię. Jego twarz zastygła w osłupieniu. M-osler zerwał się wojowniczo i zawołał: - Panie, proszę do tyłu! Ring wolny! A teraz walić, koledzy! Jednocześnie M-osler dosyć zwinnie złapał w powietrzu krzesło, które ktoś rzucił w jego kierunku. Zachwiał się przy tym trochę, ale w sekundę potem stał już znowu mocno na nogach. I teraz podniósł krzesło i wyrzucił nim z całej siły w sam środek nieprzyjacielskiej grupy. To był sygnał do bitwy. Ręce Webera zamieniły się w maczugi, spadały ze świstem na głowy przeciwników. M-osler wpadł między nieprzyjaciół i przeniósł walkę aż do tylnych szeregów. Praktyczny Rednitz wykręcił kilka nóg z krzeseł i rozdał je swoim towarzyszom broni. Przerażony Kramer usiłował rozdzielić czupurne koguciki. Hochbauer natychmiast rzucił się za nim w wir walki. Usłyszał bowiem tuż pod nosem elektryzujące słowo: „Tchórzostwo”. A po drugie nie mógł zignorować wezwania Kramera o pomoc. Po trzecie był w końcu człowiekiem lubiącym z zasady porządek. Tak więc Hochbauer i Kramer przewodzili w walce - Amfortas i Andreas, wierni jak Nibelungi, dotrzymywali im placu. -

Uspokójcie się ludzie, uspokójcie się! - ryknął Kramer. I natychmiast umilkł. Dostał jedną z Rednitzowskich nóg od krzesła, zdobytych przez przeciwników. Upadł pod stół i padając pociągnął za sobą swój piętnastolitrowy dzban. Na szczęście wina było w nim już niewiele. Ale to, co jeszcze w nim zostało, ciekło mu teraz po twarzy i wsiąkało w jego mundur. Podchorąży Hochbauer, który usiłował akurat rozdzielić jedną z bijących się par, otrzymał potężny cios w plecy. Jak wstrzelony z procy runął naprzód, w sam środek nieprzyjacielskiej grupy. Nie miał innego wyboru jak zawzięcie rozdzielać ciosy na prawo i na lewo - zdawało mu się, że musi walczyć o swoje cenne życie. Hałas był niezwykle podniecający: kieliszki brzęczały, nogi krzesel trzeszczały, stoły rozpadały się w drzazgi, dziewczyny piszczały, mężczyźni ciężko dyszeli, tu i ówdzie ktoś rzeźił, jakby go zarzynali. A właściciel knajpy rykiem apelował najpierw do rozsądku, potem do poczucia honoru, a w końcu zaczął wzywać policję. Za pięć minut wszystko było skończone: gospoda była całkowicie zdemolowana, a nieprzyjacielską grupę wykopsano na dwór. Na placu zostali zwycięzcy, ciężko sapiący, broczący krwią i z roziskrzonymi oczami. - Panowie - jęczał Mosler uszczęśliwiony - to się nazywa przyjemnie spędzić wolny wieczór! Interludium VII iyciorys Elfriedy Rademacher czyli: Pożądanie i okazja „Nazywam się Elfrieda Rademacher. Urodziłam się 21 września 1919 r. w Neustadt nad Innem. Ojciec mój, imieniem Ernst, był majstrem w kolejowych warsztatach reperacyjnych. Matka miała na imię Margot, a z domu nazywała się Gutsmut. Mam czworo rodzeństwa, które jest znacznie ode mnie starsze. Dzieciństwo spędziłam w moim mieście rodzinnym, i tam też chodziłam do szkoły.” W mojej izbie sufit wisi mi tuż nad głową. Jest ukośny, szorstki i zimny. Leżę na materacu, a kiedy wyciągam ręce, dotykam sufitu przeżartego deszczem. Wpieram się w niego obiema rękami, ale on ani drgnie. Ręce moje robią się białe, a ja się cała trzęsę, z taką siłą napieram na sufit, ale ten ciągle jeszcze nie chce ustąpić. Całymi godzinami leżę sama, z oczami utkwionymi w górze. Nie słyszę nic prócz deszczu, później już nawet deszczu nie słyszę. Tylko ten ukośny sufit i ja jesteśmy na świecie, nikt poza tym, nawet mamy nie ma. Powoli sufit zbliża się do mnie - a może to ja wznoszę się ku niemu. I mam uczucie, jak gdybym bezradna, bez ruchu, bez słowa leżała w ogromnej prasie, która zaczyna się zwierzać. Krzyczę... Natychmiast ogarnia mnie takie przerażenie, że głos mi więźnie w gardle. Zakazano mi bowiem głośno krzyczeć. Pies, z którym się bawię, ma zupełnie długie włosy, aż do podłogi. Można je owijać psu wokół uszu, zasuplać albo, zwłaszcza na grzbiecie, zapleść w warkoczyki. W dzień powszedni zawiązuję psu na kudłach niebieską kokardę, a w niedzielę zieloną, w dni świąteczne chciałabym mu zakładać czerwoną kokardę; natomiast na urodziny rodziców, a także na moje własne urodziny kokarda powinna być żółta. Muszę jednak długo czekać na zmianę barw, o wiele za długo. Na dole w naszym małym domku jest dużo ludzi. Koledzy ojca. Bawią się, bo ojciec ma urodziny. I hałasują - ich głosy huczą i dolatują aż do mnie. A kiedy ktoś się zaśmieje, wszyscy inni też wybuchają śmiechem. Ale dlaczego się śmieją, nie wiem. Nie potrafię zrozumieć, co mówią. Wychodzę z łóżka i podkradam się do drzwi, cichuteńko, na bosaka. Otwieram drzwi i patrzę na dół, w wąski przedpokój, podobny do cienkiej kichy. A tam, przy otwartych drzwiach do piwnicy, stoi ojciec. W ręku trzyma butelki piwa. I jest kredowobiały, ciężko sapie, wykrzywia twarz, a potem pada na ziemię - i umiera. Mam gorączkę, i księżyc mi się przygląda. Wchodzi do mnie do pokoju i siada na moim łóżku. Wyciągam ręce po niego, ale on jest nieuchwytny. Wtedy odpycham go od siebie. Lecz on nie odchodzi. Co ja mam z nim począć? Moja przyjaciółka Marina, do której mi niekiedy wolno chodzić, przegląda się w dużym lustrze, wiszącym w sypialni jej matki. A ja stoję obok niej i oglądam z kolei ją. Twarz mojej przyjaciółki jest teraz zamyślona i trochę zafrasowana. I przeglądając się cały czas w lustrze, Marina zaczyna powoli rozpinać sukienkę; ściga ją z ramion, zrywa ją z siebie i pozwala jej zsunąć się na podłogę. Zdejmuje przez głowę koszulę i rzuca ją w kąt. Potem mówi do mnie: „Zrób to samo”. A ja robię to samo. I długo się przeglądamy w lustrze. Pani, która uczy nas niemieckiego, religii i historii, ma niezmiernie piękne ręce, z długimi, delikatnymi, zwężającymi się paznokciami, połyskującymi matowo jak kość słoniowa. Ręce te tańczą z kredą po tablicy, leżą na katalogu, śmigają przede mną w powietrzu, podkreślając słowa, których nie słyszę, łapią mnie za rękę, i to mnie uspokaja. A ja

przyciskam policzek do tej przepięknej ręki, czuję skórę miękką jak aksamit, wdycham zapach lawendy. „Alei, Elfriedo”, mówi pani. A ja mówię: „Chciałabym kiedyś być taka jak pani”. A ona bierze moją głowę w obie ręce, patrzy na mnie smutno i mówi: „Lepiej nie”. W naszym małym domku mieszka teraz mężczyzna, który zajmuje miejsce ojca. A matka robi wszystko, co on chce. Moje rodzeństwo poszło sobie z domu. Zostaliśmy tylko my troje. I jego oczy idą za mną wszędzie, gdzie tylko się ruszę - przy jedzeniu czuję je na moich rękach, czytają wraz ze mną w podręcznikach szkolnych i gapią się na sztywne, równe litery, które wypisuję, śledzą mnie, kiedy przeciągam grzebieniem po włosach, kiedy sznuruję bucik albo zmywam statki. A mama mówi: „Idź natychmiast do swego pokoju”. W dni, kiedy jestem niedysponowana, zamykam drzwi na zasuwkę i łańcuszek, gdy zostaję nareszcie sama. Potem stoję przed lustrem i przeglądam się; nachylam się do przodu, aby lepiej widzieć, i widzę moje oczy. Zaglądam w nie głęboko, jak zafascynowana, i znajduję w nich zmęczenie i pustkę. Moja skóra jest obwisła, szara, ma duże pory - mierzi mnie ten widok. Wyciągam się na łóżku i wsłuchuję się w siebie, i czuję ciągnący ból, który wydaje się sączyć w dół bez końca. Moja krew jest zgniła, myślę sobie; jestem brudna i zła. Boję się tych dni. Mężczyzna, który żyje z matką jak ojciec, klepie mnie, ilekroć przechodzi koło mnie, po tyłku - a przechodzi zawsze koło mnie, kiedy zmywam w domu podłogi. Więcej nic nie robi. Tylko uderza - tak żeby nie bolało, szybko, żartobliwie, niby dla zabawy. Czekam na niego, kiedy suwam się na czworakach po podłodze albo stoję pochylona do przodu; wiem, że przyjdzie. I wzdrzgam się za każdym razem, kiedy poczuję jego rękę. Prawie tak, jak gdybym pragnęła czuć tę rękę na sobie, jak gdybym za tym tęskniła. Nie ruszam się. Zamykam oczy i myślę: Kiedy on zrobi więcej niż tylko to, kiedy nareszcie? Ale on idzie dalej. Ręce chłopca, który kłęczy koło mnie przy grządce kwiatów, są mocne. Wchodzą w ziemię, rozrywają ją, usypują z niej pewnymi, mocnymi palcami malutkie kopczyki wokół roślin. A ja myślę: Gdyby te ręce chciały, mogłyby połamać kwiaty, powyrywać, wyrzucić, tymi samymi palcami, pewnymi, twardymi i mocnymi. A kiedy potem czuję te ręce na swoim ciele, najpierw na ramieniu, potem na plecach, posuwające się powoli w górę, do pachwin, odpycham go od siebie, aby nie czuć tych rąk, obmacujących ziemię, kwiaty, jedzenie i ludzi, i myślę o brudzie w moim ciele, który mnie mierzi, i płaczę, dlatego że tak jest. „W latach 1933_#1936 poszłam na naukę do firmy Halliger. Zatrudniono mnie w biurze. Następnie odbyłam roczny nakaz pracy w rolnictwie, a potem pracowałam do 1940 roku w kilku biurach, przeważnie jako stenotypistka. W roku 1940 zostałam zmobilizowana do pracy w wojsku. I w ten sposób znalazłam się w Wildlingen nad Menem.” „Dziewczyno - powiada do mnie stary Halliger - ile ty masz lat?” - „Prawie piętnaście”, mówię. „Nie do wiary - powiada stary Halliger - wyglądasz na więcej, i ja wiem dlaczego. Za mało się śmiejesz. Zgadza się? Nie odpowiadasz? No, roześmiej się!” - „Nie potrafię śmiać się na rozkaz”, mówię. „Ty w ogóle nie potrafisz się śmiać jak należy - mówi stary Halliger - nawet ze mnie, chociaż wyglądam jak karzeł ogrodowy.” Teraz mi się naprawdę chce śmiać - bo on rzeczywiście wygląda jak karzeł ogrodowy. „Dziewczyno - dodaje stary Halliger - gdybyś wiedziała, jak cholernie śmieszny jest ten świat, to byś w ogóle nie przestawała się śmiać.” Biuro jest duże, i ja jestem przeważnie sama - otacza mnie surowa, ciężka woń zboża siewnego, i ja ją z przyjemnością wdycham, bo jest mocniejsza od woni wydzielanych przez ludzi. Czasem naprzeciw mnie, po drugiej stronie biurka, siedzi stary Halliger, który mówi niewiele. Ale od czasu do czasu mruży do mnie prawe oko, i wtedy muszę się śmiać, bo to tak komicznie wygląda. A on mówi: „Zabawne to życie, co?” Ja też tak uważam - kiedy on tu jest. Ale kiedy jest tu magazynier Kropcke, który zajmuje się zbożem siewnym, to już życie nie jest wcale takie zabawne. Kropcke patrzy na mnie tak, jak ów mężczyzna, co to zajął miejsce mego ojca. I kiedy razu pewnego stoi znowu przede mną z kwitami dostawy w ręku i wytrzeszcza na mnie gały, stary Halliger powoli i z całkowitym spokojem odpina pas od spodni i na grzbiet Kropckego spada świszczące mocne uderzenie. „Chłopczyku - powiada Halliger do Kropckego - nie gap się tak, bo ci razem z oczami rozum z głowy wylezie, a masz go i tak już nie za wiele.” A kiedy ten, czerwony jak burak, odchodzi, stary Halliger powiada do mnie: „Co się odwlecze, to nie uciecze - wcześniej czy później każdego nachodzi chwila słabości. A wtedy zwykle nie ma nikogo pod ręką, kto by dał

w porę kopniaka jurnemu kozłowi”. Dwaj panowie stoją w biurze - mają na sobie płaszcze, ciemnoszare deszczowce. Ale na dworze nie pada deszcz. „Halliger - mówi jeden z tych panów - przebrała się miarka. Długośmy to znosili cierpliwie, ale pan miał zawsze długi język. To się teraz skończyło raz na zawsze. Pójdzie pan z nami.” Stary Halliger wstaje, bierze kapelusz i teczkę, która już od miesiący leży przygotowana w jego biurku, i idzie. Ale wychodząc z pokoju, odwraca się jeszcze raz do mnie i mówi: „śmieszny świat, co?” Potem już definitywnie odchodzi. Nigdy więcej go już nie widziałam. F~uhrerka, której podlegam podczas odrabiania rocznego nakazu pracy w rolnictwie, nazywa się Charlotta - Charlotta Kerr. Jest wysoka, barczysta i chodzi jak mężczyzna. Ale jest dobra - dla mnie jest zawsze dobra. „Elfrieda - mówi do mnie - czy ty masz przyjaciela?” - „Nie”, odpowiadam. „No to ja ci się postaram o przyjaciela - powiada - bo to jest konieczne dla zdrowia, taki przyjaciel dobrze wpływa na samopoczucie, poza tym mężczyzna nie spełnia właściwie żadnej pożytecznej roli. Dość szybko się o tym przekonasz.” - „Jestem zdrowa - mówię - i czuję się dobrze. Niepotrzebny mi przyjaciel. A poza tym jestem po pracy tak zawsze zmęczona, że chce mi się tylko spać.” - „Jeszcze jeden dowód - mówi Charlotta Kerr - jaka to pożyteczna rzecz taki rok pracy na wsi.” Nie chcę już wracać do naszego małego domku, gdzie jest teraz ten mężczyzna, który zajął miejsce mego ojca. Nie chcę również pojechać do mego dorosłego rodzeństwa, oni wszyscy pozakładali już własne rodziny. Stali mi się obcy - tak obcy, jak moja matka. Bo ta matka, patrząc na mnie, powiedziała do swego nowego męża: „Jeżeli ona ci się tak podoba - dla ciebie zniosę wszystko. Kocham cię przecież, wiesz o tym”. Dlatego odeszłam. Chcę być sama. Ależ czyż zawsze nie byłam sama, od początku? Mój nowy szef zachowuje się nagle inaczej niż zwykle. Zawsze widziałam go siedzącego przede mną przy biurku, widziałam jego szeroki i krótki kark, starannie wygolony - gęste, grube brązowe włosy, potem, bez żadnego przejścia, gładka szara skóra. Jak na tyłku. Ale włosy równiutko przystrzyżone, czyste, poprawne. Poniżej szerokie, zwaliste barki, lekko pochylone plecy, a potem fotel przy biurku, fotel, który go wchłaniał, w którym cały znikał. Tak go widziałam. Teraz jest przede mną, tuż przy mnie, i jego ręce mnie obejmują. Jestem zbyt zmęczona, by się bronić. I myślę sobie: To przecież i tak kiedyś musi nastąpić, jeśli nie ten, to będzie inny. A potem myślę sobie: Dlaczego akurat to musiał być ten? Ta kupa gruzów przede mną to był kiedyś ów mały domek, w którym mieszkałam. Tu wypowiedziałam swoje pierwsze słowa, tu zaczęłam chodzić, tu śmiali się ludzie, tu umarł mój ojciec. Tu marzyłam i płakałam, tu Marina i ja dotykałyśmy naszych ciał i przeczuwałyśmy brud, którego pełen jest świat. Tu, gdzie walają się popękane cegły i sterczą w niebo kikuty belek, gdzie trawnik usycha i drzewa umierają. I tu, gdzieś tam na dole pod gruzami, leży matka - ma ponoć leżeć matka, odwracam się, nie umiem płakać. „Popęd płciowy - mówi do mnie mężczyzna w okularach, rozpierając się w fotelu - ma określoną funkcję i dąży do spełnienia jej. Tak jak ręce chcą chwytać, oczy widzieć, a uszy słyszeć. To jest prawo natury, a zatem jest naturalne, a zatem, jak z tego wynika, wszystko inne jest nienaturalne. Czy pani to teraz wystarczająco jasno widzi czy nie?” - „Nie - mówię - ale prawdopodobnie jestem krótkowzroczna.” - „Mogę pani zaoferować dobrą posadę”, mówi mężczyzna w okularach i patrzy na mnie z pobłażliwym uśmiechem. A ja mówię: „Pańskie argumenty są bardzo przekonujące”. Mężczyzna stojący przed tym drugim mężczyzną, który jest moim szefem, podnosi pokornie oczy. W jego postawie jest gotowość do przytakiwania. Oczy skierowane na mego szefa przypominają mi psie oczy, przypominają mi tego psa, którego miałam w dzieciństwie, tego, który pozwalał sobie pleść warkocze i przywiązywać wstążki. „Tak - powiada - oczywiście - powiada. - Może pan każdej chwili na mnie liczyć”, powiada. A potem wychodzi, tyłem, zginając się w ukłonach. A mój szef uśmiecha się z zadowoleniem. Ja się też uśmiecham - nie staram się ukryć mej pogardy. Mężczyźni - myślę sobie. To niewolnicy, nędzne kreatury. Nigdy już nie będę się wśród nich czuła słaba. Pierwszy wziął mnie pospiesznie, jego żądza była wielka, a czas krótki - odtąd unikałam go z daleka, tak jak się unika choroby. Drugi był człowiekiem, którego znałam jeszcze ze szkoły, ale wówczas nie zwracałam na niego uwagi; zredukowaliśmy nasze wspólne życie do trzech nocy - potem musiał pójść na front i tam padł. Trzeci ubiegał się o mnie delikatnie i wytrwale; miał duże doświadczenie

- a kiedy mi wreszcie powiedział, że jest żonaty, zbladł w moich oczach jak szary dzień. Czwarty rzucił się na mnie podczas bombardowania, kiedy byłam prawie bezbronna ze strachu i za dużo wypita - w trakcie drugiego nalotu, tej samej nocy, został zasypany w piwnicy, z której ja zdążyłam uciec. Piąty był narzeczonym mojej przyjaciółki z lat dziecińczych Mariny - wypożyczyła mi go, jak mówiła, a ja się nie mogłam temu oprzeć, bo był piękny jak Bóg, ale zepsuty jak świnia. Szósty był moim narzeczonym, póki mi go nie zabrała Marina, a on przyjął to tak, jakby to było samo przez się zrozumiałe. Tak to było - wokół mnie mężczyźni, a we mnie pustka, której nikt nie potrafił wypełnić. Czy rzeczywiście nikt? Ale któregoś dnia wszystko się nagle odменя! Nie patrzy na mnie. Nie wiem, co widzi, gdzie patrzy, dlaczego nie patrzy na mnie. Jego oczy nie są przy mnie, ale czuję na sobie jego ręce; i jego głos obok mnie mówi: „Jestem zmęczony i słaby. Najchętniej zasnąłbym na wieki, aby móc zapomnieć. Nie spodziewaj się niczego. Nie miej żadnych nadziei. Ale zostań przy mnie - jak długo się da”. Jak długo się da? - myślę sobie. A potem przestaję myśleć. Ten mężczyzna nazywa się Karl Krafft. 22 Niedziela też mija Los, jak wiadomo nieodwracalny, schodził we wczesnych godzinach niedzielnego przedpołudnia, i to lekko dysząc, ze wzgórza na dół do Wildlingen nad Menem. Miał rysy kapitana Katera, dowódcy kompanii administracyjnej. Kater opuścił koszary z uroczystą miną, mimo że zjadł wyśmienite śniadanko. Ale wyraz uroczystej powagi, jaki starał się sobie nadawać, miał swoje uzasadnienie: Kater maszerował do kościoła. To nie znaczy, by kapitan Kater był człowiekiem szczególnie pobożnym - wszedł do kościoła jedynie po to, aby reprezentować i podtrzymywać dobre kontakty. Rzecz jasna, że nie przestawał być żołnierzem również w kościele. Kapitan Kater mrużył oczy od słońca. Kłaniał się uprzejmie każdemu, kto się uprzednio jemu ukłonił; a takich było niemało. W Wildlingen nad Menem Kater był postacią powszechnie znaną. Jako dowódca kompanii administracyjnej ciągle stykał się z ludnością cywilną: robił zakupy na dużą skalę; handlował, zamieniał i pertraktował; udzielał rad, wskazówek i informacji; módl nawet, jeśli chciał, oddawać do dyspozycji samochody, benzynę i ludzi. A przede wszystkim: reprezentował. W porównaniu z jego wpływami kwatermistrz szkoły był zaledwie lepszym gońcem na wysokim stanowisku - bo musiał się ściśle trzymać przepisów, i poza tym trudno go było uważać za pełnowartościowego oficera. Kapitan Kater cieszył się zaufaniem szerokich kół - i cieszył się nim w najpiękniejszym tego słowa znaczeniu. Kiedy chodziło o degustowanie nowego rocznika szlachetnego wina frankońskiego - nie mogło zabraknąć kapitana Katera. Kiedy poświęcano nowy dom, chowano szanowanego obywatela, obchodzono święto związkowe - nie obyło się bez kapitana Katera. A „Wildlinger Beobachter” donosił nazajutrz: „...wśród obecnych zauważono pana kapitana Katera, zastępcę komendanta naszej szkoły wojennej, pana generała Modersohna...” Albo: „...pan kapitan Kater przekazał serdeczne gratulacje i życzenia, które ujął w piękne słowa...” Albo: „...wśród licznych gości przybyłych na uroczystość żałobną obecny był pan kapitan Kater, który odczytał podniosłe wspomnienie pośmiertne, a następnie złożył wieniec w imieniu...” Reprezentacja należała do jego obowiązków służbowych. I choć obowiązki te wydawały się czasem przykre - na dłuższą metę przynosiły niemałe korzyści. Nawet chodzenie do kościoła się opłacało. W tych małych malowniczych miasteczkach bowiem, z dala od wielkich szos, panowało jeszcze, jeśli chodzi o życie religijne, wzruszające zacofanie. Nawet wpływowi członkowie partii pielgrzymowali tu jeszcze do kościoła. Tak więc Kater na placu przed kościołem módl przywitać się z zastępcą burmistrza, zarządzającym kasą miejską, i jeszcze paru szanowanymi kupcami, urzędnikami i prezesami rozmaitych związków. Do pań zwracał się stale per „łaskawa pani”, a do panów mówił najchętniej „mój drogi przyjacielu”. Z tego powodu był dość lubiany i uchodził za wzorowego dżentelmena. Kiedy już umówił się na kilka obiecujących spotkań, wszedł do kościoła. Wcisnął się do jednej z przednich ławek i udawał, że pogrąża się w modlitwie - na oczach całej gminy, zadowolonej z jego obecności w kościele. Z ostentacyjną pokorą spuścił oczy i obejrzał przy tej okazji swoje buty. Stwierdził, że są porządnie wyczyszczone, chociaż niestety nie z tym nakładem sił, który nadawał butom połysk lakieru. To mu przywiodło na myśl jego ordynansa. Zrobił się, gałgan, ostatnio bardzo niechlujny, ale niestety za dużo wiedział, by go można było tak

po prostu wylać na zbity pysk. W trakcie tych rozmyślań, przy akompaniamencie łagodnego szumu muzyki organowej, usiadła obok niego barczysta postać. I Kater usłyszał przytłumiony, dobrze sobie znany głos: - Witam, panie kapitanie. Kater oderwał wzrok od swoich butów i ostrożnie podniósł oczy. Obok niego siedział Rotunda, obywatel cieszący się ogólnym szacunkiem i właściciel winnic, a zarazem właściciel gospody „Pod Kolorowym Psem”. Na uroczystej twarzy Katera wykwitł dyskretny przyjacielski uśmiech. Odpowiedział szeptem: - Witam pana, drogi panie Rotunda. Potem pod ławką kościelną wymienili ukradkiem serdeczny uścisk dłoni. Organy zaszumiały głośniej, chór zaczął śpiewać, zaszeleściły otwierane modlitewniki. Pana Rotundę kapitan szczególnie lubił i cenił. Nieraz już ucztował, z dobraną paczką kolegów, w zacisznym gabinecie „Kolorowego Psa”, gdzie podawano wyśmienite pstrągi - i do tego zaiste oszałamiające wino. Rotunda bowiem był właścicielem jednych z najlepszych winnic w całej Frankonii; jego „Wildlinger Mainleite” wprawiało w zachwyt najbardziej rozpieszczonych koneserów, a jego „Wildlinger Harfe” chwalił nawet marszałek Rzeszy. Kilka butelek tego trunku przydałoby się Katerowi, możliwie rocznik 33, sylwiański, albo nawet wytrawny. Kapitan nachylił się więc poufale do przodu i spytał: - Co u pana nowego, mój drogi Rotunda? Jak interesy? - ále - podchwycił Rotunda skwapliwie - bardzo źle. - To smutne - odpowiedział kapitan szeptem. Przez chwilę słuchał śpiewu chóralnego, przechodzącego teraz w nieziemskie nieomal piano, co bardzo utrudniało dalszą rozmowę. I tak przeskoczył tę przeszkodę, spoglądając uroczyście w próżnię - dopóki Rotunda nie zaczął znowu szeptać. - Tak - mamrotał Rotunda - cały lokal mi wczoraj chłopcy zdemolowali. - Pewnie z powodu jakichś babek, co? Rotunda potaknął: - To też. - I myślał sobie: Wiecznie te same historie z tymi podchorążymi - dać im za mało do picia, awanturują się; dać im za dużo do picia, też się awanturują. Jak tak dalej pójdzie, dochody, na które zresztą nie ma co narzekać, nie pokryją w końcu coraz to nowych wydatków. - Czy pan by nie mógł zrobić czegoś dla mnie? - spytał ostrożnie. Kapitan udawał, że się głęboko namyśla. On również uważał, że z tymi podchorążakami jest wiecznie to samo: regularnie wybuchały na dole w mieście większe czy mniejsze draki. Przeważnie tuszowano je albo załatwiano w stary wypróbowany sposób: z rączki do rączki. Wytrzeźwiający po awanturze, podchorążowie płacili bez oporu. A prawie żaden właściciel knajpy nie przykładał wagi do szumnych dochodzeń - to było niebezpieczne dla jego koncesji. Ale z takim sojusznikiem jak kapitan Kater można było ominąć niejedną rafę. - Czy ma pan gdzieś w zakamarkach jeszcze parę butelek? - spytał Kater. - Ależ dla pana zawsze, mój drogi kapitanie - zapewnił go Rotunda. Mogli teraz rozmawiać nieco swobodniej, bo cała parafia śpiewała zjednoczonymi siłami potężną pieśń, a organista powyciągał wszystkie rejestry. - Ja przecież zwykle przymykam oko - ciągnął dalej restaurator i właściciel winnic Rotunda. - Ale w tym wypadku podchorążowie posunęli się stanowczo za daleko. Cała grupa szkolna brała w tym udział. Kater udawał, że śpiewa pełną piersią. Jednocześnie pytał, bez szczególnego zainteresowania: - Pan oczywiście nie wie, jaka to była grupa? - I owszem - odparł Rotunda - tym razem przypadkowo wiem. Była to grupa szkolna Heinrich z szóstego oddziału. Kapitan Kater chwilę jeszcze siedział z otwartymi ustami, choć nic nie mówił - potem je zamknął. Oczy mu rozbliły. Jego bulwiasta twarz promieniała serdecznym zadowoleniem. Powiedział panu Rotundzie po cichu: - To całkiem interesujące, co mi tu tu pan opowiada, drogi przyjacielu. Zajmę się tą sprawą, z przyjaźni dla pana. Ile butelek, mówi pan, może mi pan w tej chwili odstąpić? - Dwadzieścia? - spytał Rotunda ostrożnie. Kater kiwnął głową na znak zgody. To mu na razie wystarczało, nie był przecież małostkowy. A zresztą tym wielce obiecującym wypadkiem zająłby się i bez honorarium. - Dalsze szczegóły później - wyszeptał jeszcze i przyłączył się teraz nieomal żarliwie do ogólnego śpiewu. Po nabożeństwie kapitan przeprowadził wyczerpującą rozmowę z panem Rotundą. - Bo też - rzekł Kater - nigdy się nie jest zanadto skrupulatnym, jeśli się chce należycie popchnąć sprawę. - Nie ma pan pojęcia, panie kapitanie - zapewnił go Rotunda - jak bardzo jestem panu wdzięczny. Jestem przekonany, że ta sprawa dostała się w jak najlepsze ręce. - I może pan być śmiało o tym przekonany, mój drogi. Załatwianie tego rodzaju delikatnych spraw jest jedną z moich specjalności. * * * - Drogi kapitanie Ratshelm - powiedział Kater donośnym

głosem - jest mi rzeczywiście przykro, że muszę panu przeszkadzać w niedzielę, ale co robić? - Ależ proszę pana, drogi panie kapitanie! - rzekł Ratshelm z umiarkowaną uprzejmością. - Proszę się nie usprawiedliwiać. W pewnym sensie jesteśmy zawsze na służbie, nieprawdaż? A więc, czym mogę panu służyć? Z niejakim smutkiem spojrzął na książkę, którą przed chwilą wertował. Była to encyklopedia, i Ratshelm doszedł akurat do hasła „Rzesza”. Hasło to wraz z pochodnymi wypełniało ponad dwanaście stron: przepisy podatkowe Rzeszy, Akademia Rzeszy, ministerstwa Rzeszy, przynależność państwowa do Rzeszy, Instytut Rzeszy, prokuratura Rzeszy, Regulamin farmaceutyczny Rzeszy, Służba Pracy Rzeszy, Izba Pracy Rzeszy, Rada Kontroli Rzeszy, szosy Rzeszy - i tak dalej. Z pewnym ociąganiem odłożył Ratshelm na bok imponujący leksykon. - Nie wiem doprawdy, od czego zacząć - powiedział Kater z miną wielce zafrasowaną. - Sprawa, z którą do pana przyszedłem, nie wchodzi właściwie w zakres moich kompetencji. Ale istnieje coś takiego jak obowiązek koleżeński, a temu obowiązkowi nie chciałbym uchybić. - Bardzo to sobie wysoko cenię - powiedział Ratshelm. - Spodziewałem się tego - rzekł Kater, uosobienie wdzięczności i uznania. - Pozwoli pan więc, że będę całkiem szczery. Ale najpierw Kater zaczął opowiadać o swojej wizycie w kościele, którą określił jako obowiązek na wpół służbowy. Zawile objaśniał Ratshelma, iż z racji swego urzędu stanowi z konieczności coś w rodzaju ogniwa łączącego pomiędzy organami szkoły wojennej a ludnością cywilną. Prosił przy tym Ratshelma usilnie o cierpliwość. Tym sposobem Kater osiągnął z miejsca zamierzony cel: Ratshelm zaczął się niecierpliwić. Wydawał się nerwowy i niespokojny. I gdy był już bardzo zdenerwowany, Kater przeszedł wreszcie do istoty sprawy: zdemolowanie gospody, wyrzucenie gości, pobicie, szantaż i groźby wobec pokojowo usposobionego gospodarza, chóralne śpiewanie nieprzyzwoitych piosenek. - I tego wszystkiego narobiła grupa szkolna Heinrich! - Niemożliwe - powiedział Ratshelm przerażony. - Pan się chyba myli, panie Kater. - Nigdy się nie mylę - stwierdził ten stanowczo - a już na pewno nie w takich sprawach. - Zupełnie niemożliwe - powtórzył kapitan Ratshelm. - Wykluczone, żeby w to była wmieszana cała grupa szkolna Heinrich, czy też jej większość. Zapewne, również i w grupie Heinrich istnieją elementy podejrzane, za które nie dałbym głowy. Gotów byłbym nawet zaryzykować twierdzenie: właśnie w tej grupie jest więcej podejrzanych typów niż gdzie indziej; na skutek pożałowania godnej, niewłaściwej obsady personalnej. - Ma pan na myśli porucznika Kraffta? - spytał Kater zaciekawiony. - Nie czuję się powołany do udzielania jakichkolwiek informacji w tej sprawie - oświadczył Ratshelm stanowczo, aby natychmiast dodać: - Ale trafił pan w sedno. Jakkolwiek jednak było, to niemożliwe, żeby cała grupa szkolna Heinrich była wmieszana w ten skandal. Bo właśnie w tej grupie jest również paru wspaniałych młodych ludzi, pierwszorzędnny materiał na oficerów. - Bardzo mi przykro, ale była to prawie cała grupa szkolna Heinrich - upierał się kapitan Kater. - Co najmniej trzydziestu ludzi. Ratshelm skonsternowany potrząsał głową. Aż tak daleko nie mógł sięgać nawet najgorszy wpływ. Jeśli to była prawda, to kurs kapitana Ratshelma był poważnie zagrożony. Wtedy by stanęło pytanie, czy on sam, jako dowódca oddziału, nie zawiódł. - A zatem - powiedział kapitan Kater zadowolony - pozostawiam pana teraz sam na sam z tym problemem. Na pewno będzie mnie pan informował o przebiegu sprawy. Ale radzę panu wyjaśnić ją jak najprędzej, bo w przeciwnym razie poszkodowany mógłby czuć się zmuszony zawiadomić policję. A wówczas mielibyśmy jawny skandal. Poza tym w takim wypadku włączyć by się musiał w to generał. A co by to oznaczało, z tego pan chyba zdaje sobie sprawę. _____ Część II (c.d.) 22

Niedziela też mija (c.d.) * * * - Niemożliwe - mówił kapitan Ratshelm, kręcąc głową. - Absolutnie niemożliwe! Zdarzało się od czasu do czasu, że mówił sam do siebie. Było to pewnego rodzaju wyrównanie za jego, jak mu się zdawało, nieprzeniknioną małomówność w obecności innych. Kiedy był sam, rozluźniał nałożoną sobie surową dyscyplinę. Mówił do siebie, wygłaszał wykłady, przemówienia i kazania. Wypróbowywał również pewne szczególnie efektowne gesty. - Coś tu trzeba zrobić! - powiedział do siebie. - A przede wszystkim muszę się przekonać, że mój instynkt nie wprowadził mnie w błąd. I żeby mieć w tym względzie pewność, kapitan Ratshelm poprosił do siebie podchorążego Hochbauera. Ale już na sam widok Hochbauera teorie, które były tylko

braniem własnych pragnień za rzeczywistość, ulotniły się jak wyciekająca woda. Twarz Hochbauera, przypominająca twarz greckiego młodzieńca, była lekko zdemolowana - szpeciły ją plaster i kilka niebieskoczerwonych sińców. A pokorne spojrzenie podchorążego mówiło: mea culpa. - A więc i pan, Hochbauer? - stwierdził Ratshelm zasmucony. - Panie kapitanie - oświadczył podchorąży - jestem gotów ponieść za me zachowanie wszelkie konsekwencje, jakie tylko pan kapitan będzie uważał za stosowne. - Jak mogło dojść do tego? - spytał Ratshelm zatroskany. Lecz im dłużej patrzył na Hochbauera, i im dzielniej ten wytrzymywał jego badawcze spojrzenie, tym jaśniej kapitan zdawał sobie sprawę, że musiały tu zaistnieć jakieś poważne, doniosłe motywy. Jeśli aż jego wspaniały i obiecujący podchorąży widział powód do ingerencji, musiała zająć jakaś poważna prowokacja. - Przypuszczalnie zaistniały jakieś specjalne przyczyny, czyż nie tak, Hochbauer? - TAK jest, panie kapitanie. - Hochbauer zręcznie uczeplił się rzuconej mu liny ratunkowej. - Chciałem uspokoić kilku bijących się, i sam przy tym oberwałem. - Aha, więc to tak! - A potem, po intensywnym namyśle, Ratshelm ciągnął już przekonany i pocieszony: - Inaczej też być przecież nie mogło. - Moi przyjaciele i ja, między innymi również starszy grupy, robiliśmy wszystko, co było w naszej mocy, aby położyć kres kłótni sprowokowanej przez stronę przeciwną. Zaatakowano nas jednak, i nie pozostało nam nic innego, jak bronić się. - Bardzo dobrze, Hochbauer, wierzę panu. Chciał więc pan z kilkoma kolegami przywrócić spokój i porządek, ale niestety to się panu nie udało, mimo że staraliście się ze wszystkich sił, prawda? - Robiliśmy wszystko, co było w naszej mocy, panie kapitanie. - A jak doszło do tego konfliktu, drogi Hochbauer? - Tego nie potrafię już dokładnie powiedzieć, panie kapitanie. Wiem tylko tyle, że jakiś podchorąży z obcej grupy powiedział o jednym z naszych kolegów, konkretnie o podchorążym Weberze, że ten ma imię z pism humorystycznych. Czy miał do tego prawo czy nie, trudno mi powiedzieć. Faktem jest, że słowa te zostały wypowiedziane publicznie, a więc również w obecności cywilów, i to nawet płci żeńskiej. - A więc jakichś podejrzanych bab! Mam nadzieję, że pan się z nimi nie zadawał, Hochbauer? - Brzydzą się tego rodzaju istotami, panie kapitanie. - A zatem dobrze, mój drogi - rzekł Ratshelm, bardzo zadowolony z informacji swego podchorążego. - Wyświetlimy tę sprawę. Hochbauer odpowiedział teraz na szereg ogólnych pytań, jak na przykład pytanie o liczbę i nazwiska podchorążych, którzy byli obecni podczas walki. POdał również dokładny czas trwania poszczególnych faz, od początku do końca, fatalnego końca tej próby obrony. - Dziękuję panu, drogi Hochbauer - powiedział kapitan na zakończenie. - Czy wolno mi jeszcze raz zapewnić pana kapitana, jak bardzo ubolewam nad tym incydentem. - Już dobrze, mój drogi. To na pewno nie pańska wina, jestem o tym przekonany. - Bardzo jestem panu kapitanowi wdzięczny za zaufanie. - Nie ma za co dziękować, drogi Hochbauer - powiedział Ratshelm, wyciągając dłoń do swego podchorążego. - Mam nadzieję, że wkrótce znowu znajdziemy jakąś godzinkę czasu na prywatną rozmowę. * * * - To mnie w każdym razie trochę uspokoiło - stwierdził kapitan Ratshelm, kiedy pozostał sam. - Do beztróski i zadowolenia nie ma jednak podstaw. Do tego wniosku doszedł Ratshelm przechadzając się tam i z powrotem po pokoju. Wymachiwał rękami, jak gdyby przed wzburzonym i wsłuchanym w jego słowa audytorium podkreślać musiał każde słowo. W jego własnym przekonaniu odbywał się w nim twórczy proces myślowy najwyższej klasy. - Po pierwsze - stwierdził - nie można pominąć faktu, że lokal został zdemolowany. Po drugie, okoliczność łagodząca: przyczyny wspomnianego zdemolowania były po części honorowe. Po trzecie, fakt pozostaje faktem, że dopuszczono się gwałtu. Były to trudne problemy i musiał się nad nimi dobrze zastanowić. Ale im dłużej się zastanawiał, tym bardziej sobie uświadamiał, że nie jest w stanie wziąć na siebie całej odpowiedzialności. Musiał znaleźć kogoś, kto weźmie na siebie część tej odpowiedzialności, możliwie jak najbardziej okazałą część. W tym celu kapitan Ratshelm udał się do porucznika Kraffta. Przyszedłszy na miejsce, musiał się pogodzić z mocno podejrzanym, i dla niego osobiście niezwykle przykrym widokiem. Porucznik nie był sam. W jego pokoju siedziała na łóżku istota płci żeńskiej. Osoba ta przyglądała się dowódcy oddziału zupełnie bez żenady i nieomal ciekawie. - Pardon - rzekł Ratshelm z rezerwą - ale nie byłem przygotowany na to, że pan przyjmuje u siebie panie, to nie jest tu w zwyczaju. -

Pozwolisz, że ci przedstawię kapitana Ratshelma - rzekł Krafft do Elfriedy jak gdyby nigdy nic. - Czy mogę pana zaznajomić, panie kapitanie, z moją narzeczoną, panną Elfriedą Rademacher? - To - pospieszył zapewnić Ratshelm - zmienia naturalnie postać rzeczy. Kapitan natychmiast przestawił się na dżentelmeński ton. Podszedł do Elfriedy bez wahania i zaczął ją zapewniać: - Bardzo mi przyjemnie poznać panią. I to mówił Ratshelm, który doskonale wiedział, kim była Elfrieda Rademacher, skąd przybyła, gdzie pełniła służbę i bogi wiedzą, co miała za sobą. Ale słowo oficerskie musiało mu wystarczyć: miał przed sobą pannę narzeczoną. Fakt niezachwiany, nie mogący budzić sprzeciwu. - Moje serdeczne gratulacje, panie poruczniku. - Dziękuję, panie kapitanie. Nie można powiedzieć, żeby Krafft był zachwycony tym swoim spontanicznym pomysłem przedstawienia Elfriedy jako swojej narzeczonej. Będzie to jednak, myślał sobie, na pewno najwygodniejsze rozwiązanie, przynajmniej na czas jego pracy tu w szkole wojennej. - Przepraszam, łaskawa pani - powiedział kapitan Ratshelm z nienaganną poprawnością - ale obawiam się, że będę musiał porwać szanownego narzeczonego. Mamy jeszcze do omówienia pewną sprawę służbową. NOwa, zaskakująca rola narzeczonej oficera przypadła widocznie Elfriedzie do smaku, bo skinęła kapitanowi Ratshelmowi protekcyjnie głową, jak to zwykły czynić w Wildlingen damy z kół oficerskich. Utrafiła w ten niedbale uprzejmy styl salonowy zdumiewająco szybko. Krafftowi zaś powiedziała z radosnym uśmiechem, afektowanym dziewczęcym głosem: - Idź, kochanie, ale nie daj swojej małej narzeczonej zbyt długo czekać. Krafft z trudem się opanował; zdał sobie sprawę, że ze strony jego „małej narzeczonej” spotka go jeszcze niejedna niespodzianka. Ale teraz nie miał czasu wyobrazić sobie tego bardziej szczegółowo, bo kapitan Ratshelm go popędzał. Zaprowadził go najpierw na korytarz, a potem na plac apelowy. Rozejrzał się, czy nikt im nie będzie przeszkadzał, i wreszcie bez długich wstępów przeszedł do rzeczy. - Czy pan właściwie wie, panie poruczniku Krafft, że pańska grupa wczoraj okropnie narozrabiła? - Nie - powiedział Krafft zgodnie z prawdą. - Pańscy podchorążowie, panie Krafft, urządzili wczoraj wieczorem bijatykę. - Domyślałem się czegoś w tym guście - oświadczył Krafft, niezbyt tym poruszony. - Widziałem dziś kilku moich chłopaków lekko poturbowanych i z bardzo skruszonymi minami. - I to - powiedział kapitan oburzony - to już wszystko, co pan ma na ten temat do powiedzenia? - A co ja mam powiedzieć - zauważył Krafft z niewinną miną. - Co podchorążowie robią poza służbą, to wyłącznie ich sprawa. Jeśli o mnie idzie, to mogą sobie nawet łby porozbijać, jeżeli mają ochotę, najważniejsze, żeby służba na tym nie ucierpiała. Dlaczego mamy tu zaraz inscenizować wielki dramat, skoro była to może mała farsa? Przyjmijmy po prostu: podchorążowie bili się na kule śnieżne albo spadli wszyscy razem ze schodów do piwnicy, albo stuknęli się o kant łóżka, czytając regulaminy. - Zdemolowali całą gospodę - rzekł kapitan Ratshelm wzburzony. - I na dobitkę na oczach osób cywilnych, nawet kobiet. Krafft przyglądał się przez chwilę swemu kapitanowi uważnie, a potem spytał, cedząc słowa: - A skąd pan to wie? Czy wpłynął w tej sprawie meldunek? - Otrzymałem jedynie prywatną, koleżeńską informację. - Zapomnij pan o niej, panie kapitanie - radził Krafft. - Otrzymałem ją od kapitana Katera. - Tym bardziej powinien pan o niej zapomnieć. Dlaczego chce pan koniecznie chwycić gorące żelazo, które na dobitkę podano panu niefachowo? Jeśli nawet podchorążowie zrobili rzeczywiście jakieś głupstwo, to daj im pan czas na wygładzenie sprawy. POsłuchaj pan mojej rady, panie kapitanie: czekaj pan po prostu na oficjalny meldunek, na skargę policji czy coś w tym rodzaju. I mogę się założyć, że będziesz pan czekał na próżno. - Tak nie można, panie Krafft! - zawołał kapitan z gniewem. - Tak w żadnym razie nie można, przynajmniej nie w mojej jednostce! Był pewien, że porucznik Krafft natychmiast zechce mu pomóc, niezwłocznie weźmie na siebie część odpowiedzialności, rozpocznie dochodzenie, znajdzie winnych i odciąży niewinnych. Ale Krafft miał jeszcze czelność udzielać rad, jak tu najbezpieczniej wydostać się z linii ostrzału. I to akurat jemu, kapitanowi Ratshelmowi, wypróbowanemu i wielokrotnie odznaczonemu bojownikowi i nauczycielowi oficerów! - Panie Krafft - rzekł Ratshelm z mocą - rozkazuję panu poinformować o tym pożałowania godnym zajściu pana kapitana Federsa. POza tym powie mu pan, żeby spodziewał się wezwania na rozmowę do pana majora Freya. To samo dotyczy oczywiście również

i pana. Kiedy dokładnie ta rozmowa się odbędzie, to zależy od okoliczności, ale w każdym razie jeszcze w ciągu dzisiejszego popołudnia. Czy mnie pan zrozumiał, panie poruczniku Krafft? - TAK jest, panie kapitanie - powiedział porucznik Krafft przeciągle. - Jeśli pan przy tym obstaje, niech się dzieje wola pana. Ale ja na pańskim miejscu nie robiłbym tego. - Pan jednak nie jest na moim miejscu! - zawołał Ratshelm wściekły. - Na szczęście - rzekł Krafft. - Pańskie poglądy - powiedział kapitan Ratshelm tonem niedwuznacznie karcącym - od początku budziły we mnie zastrzeżenia. Mówię to panu otwarcie, bo otwartość należy do moich zasad. Uważam pańskie metody po prostu za niebezpieczne. - Dla kogo, panie kapitanie? - Nie mam zbytniej ochoty dyskutować z panem, panie Krafft, zwłaszcza w tej chwili. Udaję się teraz do pana majora. I proszę łaskawie uczynić to, co do pana należy, panie Krafft. - Uczynię to - zapewnił go Krafft. - No, łaskawa pani - powiedział Krafft do Elfriedy - można zapytać, jak się czujesz? - Dość głupio - odparła Elfrieda. - I zaczynam się martwić o ciebie. Jesteś lekkomyślny w tym swoim doborze środków. - Mylisz się - powiedział Krafft. - Jest akurat na odwrót. Robię zwykle rzeczy dokładnie przemyślane. Krafft stał przed Elfriedą, która ciągle jeszcze siedziała na jego łóżku polowym. Natychmiast po rozmowie z kapitanem Ratshelmem wrócił do swego pokoju. Miał mnóstwo roboty, ale najważniejsze było to, co miał do omówienia z Elfriedą. - W każdym razie - powiedziała - uważam twój dowcip za ryzykowny. - To nie był dowcip. - No dobrze, więc był to spontaniczny pomysł, rodzaj pociągnięcia na szachownicy. Chciałeś wybrnąć z przykrew sytuacji. Dlatego przedstawiłeś mnie jako swoją narzeczoną, prawda? Uśmiechnął się, usiadł obok niej, objął ją ramieniem i powiedział wesoło: - Ale ty nie! Zagrałaś swoją rolę, Elfriedo. - Owszem, dla ciebie - powiedziała z pewnym wahaniem. - Na początku ta rola nawet mnie bawiła. - No to pozostanemy przy niej - zaproponował Krafft. - Czasy są i tak wystarczająco poważne... dlaczego mielibyśmy zrezygnować z czegoś, co cię bawi? - Mówisz poważnie? - spytała nieśmiało. Spojrzała na nią wesoło i mrużąc oczy oświadczył: - Sprawa wygląda mianowicie następująco: musisz wiedzieć, że wszędzie, gdzie byłem, pozostawiłem po sobie narzeczone: dwie na Śląsku, trzy w Polsce, cztery w Nadrenii, siedem we Francji i jedną w Rosji. Już taki mam zwyczaj. - To nie jest twój zwyczaj. - Zgoda - rzekł nagle zakłopotany - może masz rację. Ale raz trzeba przecież zacząć, no nie? - Karl - powiedziała cicho - niczego takiego od ciebie nie żądałam. - Dlatego właśnie to robię, dziewczyno. Ie przedstawił ją jako swoją narzeczoną, to mu oczywiście nagle strzeliło do głowy - ale nie bez pewnej gotowości wewnętrznej. - A więc dobrze - powiedziała prosto. Potem szybko go pocałowała, leciutko w policzek - bo teraz i ona była zakłopotana. - Boję się tylko - rzekł wesoło - że dziś nie będziemy mieli czasu i okazji uczcić jak należy naszych zaręczyn. Bo jeśli mnie wszystkie znaki na ziemi i na niebie nie mylą, parę wołów chce tu podjąć próbę urządzenia wyścigów konnych. Przygotuję im tor, jeśli pozwolisz. - Pozwalam ci przecież na wszystko. - Iebyś mi się przypadkiem nie zmieniła - powiedział, tuląc ją do siebie. - Będę zawsze taką, jaką chcesz mnie mieć, Karl. Zesztywniał, uwolnił się z jej ramion, patrzył na nią kilka sekund i powiedział: - Elfriedo, jedno musisz mi przyrzec: że nigdy nie będziesz próbowała przystosować swojego życia do mojego. Nie zadawaj sobie trudu, ażeby myśleć tak jak ja. Musisz nawet starać się nie postępować tak jak ja. Musisz pozostać taką, jaką jesteś, nie możesz być moim echem, czymś w rodzaju uzupełnienia czy cienia. Obiecujesz mi to? - Niech cię o to głowa nie boli, proszę cię. Idź, ja cię nie zatrzymuję. Jestem teraz zajęta. Muszę się przecież zastanowić nad tym, co mi wolno jako narzeczonej, a co nie. - Proszę cię bardzo - powiedział i roześmiał się z ulgą. Wyszedł z pokoju. Na korytarzu złapał pierwszego lepszego podchorążego, na którego się napatoczył. Kazał mu przysłać natychmiast podchorążych Kramera, Webera i Rednitsa, najpóźniej za trzy minuty. Trzej podchorążowie zjawili się w mig. Spoglądali na swego dowódcę ostrożnie i potulnie. Sumienie mieli nieczyste, strach ich był wielki, nadzieje znikome - byli przygotowani na wszystko. Ale tego, co teraz nastąpiło, nikt z nich się nie spodziewał. Porucznik Krafft śmiał się do rozpuku. Widok upstrzonych kolorowymi plamami, malowniczo potłuczonych głów zdawał mu się przez kilka sekund sprawiać szaloną, niczym nie zmaconą przyjemność. Na ustach podchorążych pojawił się cień nieśmiałego uśmiechu. POtem spojrzeli ukradkiem po sobie. Zwycięska bijatyka dodała im

animuszu, ale przebudzenie nazajutrz rano było straszne. I ktoś jeszcze na dodatek puścił ponurą wieść: na poprzednim kursie wysłano „do domu”, a zatem na front, całą grupę szkolną bez wyjątku - z powodu wspólnego spisku przeciwko podstawowym zasadom szkoły wojennej. Ale w głębi ich serc tliła się malutka iskierka nadziei: jeśli ktoś mógłby im pomóc, to tylko Krafft! Niewiele brakowało, a wysłaliby do niego delegację. Czy on jednak zechce pomóc? A teraz prawie się zdawało, że tak. - Wyglądacie jak kolorowe psy! - zawołał Krafft, rozkoszując się ich widokiem. A więc porucznik wiedział. Znał nawet nazwę lokalu, w którym zdobyli swoje pyrusowe zwycięstwo. Kramer aż pałał chęcią poinformowania go: - Jeśli pan porucznik pozwoli, to przedstawimy... - Nie moja sprawa, co robicie po służbie - powiedział Krafft. - Sprawozdanie mnie nie interesuje. Kazałem wam przyjść, żeby opowiedzieć wam pewną historyjkę, która mi się przypomniała. Podchorążowie milczeli zdziwieni. Skapowali się szybko, że ich dowódca nie chce nic wiedzieć, bo nie ma najmniejszej ochoty stać się współwinowajcą. Ale nie chciał również grać roli ich sędziego. Do czego więc zmierzał? - W czasie kampanii francuskiej - mówił tymczasem porucznik - zarekwirowałem kiedyś piwnicę z winem. Obiekt pierwszej klasy. I byłem bardzo dumny z tego, przynajmniej w chwili dokonania rekwizycji. Ale dość prędko, bo już następnego dnia, zdaje się, uświadomiłem sobie, że to, co zrobiłem, było bezprawne, więcej nawet - karalne. Dowiedziało się o tym kilku zwierzchników, którzy dostali cynk od osób postronnych. NO, co wam tu będę dużo mówił; kiedy zwierzchnicy chcieli obejrzeć sobie tę zarekwirowaną winiarnię, winiarnia już w ogóle nie istniała. Podchorążowie zrozumieli w lot. Twarze im się rozjaśniły. Spojrzeli na porucznika z wdzięcznością. Podchorąży Kramer powiedział: - Czy w imieniu swoim i moich kolegów mogę prosić pana porucznika o pozwolenie na wyjście do miasta? Mamy tam pilną sprawę do załatwienia. - Zgoda. Podchorążowie sprężyście zrobili w tył zwrot i spieszenie się oddalili. PO krótkim namyśle Krafft zawołał jeszcze raz Rednitz. Przyszedł natychmiast. Stał przed Krafftem i patrzył porucznikowi w oczy z nieomal psią ufnością. - Jeszcze jedno pytanie - rzekł Krafft. - Ale niech to zostanie między nami, Rednitz. Czy Hochbauer brał w tym udział? - Jeszcze jak, panie poruczniku! Co prawda z początku nie chciał, ale nie miał innego wyboru. Pozwoliłem sobie dopomóc mu trochę. Wpadł w szeregi przeciwnika jak pocisk armatni. - A kto czy też co, waszym zdaniem, Rednitz, było przyczyną konfliktu? - ściśle biorąc, rozkaz specjalny numer sto trzydzieści jeden, panie poruczniku - wyjaśnił podchorąży uprzejmie. Zauważył, że po twarzy dowódcy grupy przemknął cień zdumienia, z czego domyślił się, że Krafft widocznie wcale nie wie, o co chodziło w tym rozkazie specjalnym. - Dotarł on do naszej grupy w sobotę w południe i został, jak zwykle, od razu odczytany. W tym rozkazie specjalnym tłumaczy się między innymi, że na przykład imię Egon jest imieniem z pism humorystycznych. I akurat z tego powodu ta druga grupa zaczęła dokuczać podchorążemu Weberowi. No to z miejsca zaczął ich grzmocić. - A jaka to była grupa, Rednitz? - Grupa szkolna Bruno z kursu pierwszego, panie poruczniku. Krafft po raz pierwszy w widomy sposób zareagował na sprawozdanie podchorążego: uśmiechnął się. Wiedział już, że na przyszłej i chyba nieuniknionej konferencji będzie mógł liczyć na pomoc kapitana Federsa. Bo grupa szkolna Bruno podlegała „trubadurowi”. To mogło być czynnikiem decydującym dla wyniku batalii. - To bardzo pożyteczna informacja, drogi Rednitz - powiedział Krafft. - Z tym można już coś niecoś począć. Ale teraz nie chcę was już dłużej zatrzymywać, w końcu i wy, i wasi koledzy macie pilną sprawę na mieście. - Przypuszczalnie zajmie to nam z godzinkę czasu, panie poruczniku. - Proszę mnie natychmiast zawiadomić o wynikach, Rednitz, niezależnie od tego, czym będę w danej chwili zajęty. Nawet gdybyście mnie musieli wywołać z jakiejś konferencji. * * * Nadzwyczajna tajna konferencja rozpoczęła się o szesnastej. Była stosunkowo krótka i zakończyła się dla niektórych dość boleśnie. Odbywała się w gabinecie dowódcy kursu II przy udziale: majora Freya, kapitana Ratshelma, kapitana Federsa i porucznika Kraffta; ci ostatni uczestniczyli w niej jako odpowiedzialni za obwinioną grupę szkolną H. - Panowie, jestem przerażony! - tymi słowami dowódca kursu otworzył posiedzenie. Siedział w swoim fotelu wyprostowany, pełen godności i niezachwianego poczucia wyższości. - Bardzo mi przykro, panowie - ciągnął major Frey dalej - że musiałem panom zepsuć niedzielę. Również i ja

wolałbym przebywać teraz w ścisłym, harmonijnym gronie. W tej chwili bowiem małżonka moja, jak panom zapewne wiadomo, przyjmuje podległych mi panów oficerów z żonami. Jednakże ta wywołana przez czyjąś lekkomyślność sytuacja zmusza mnie do zrezygnowania z towarzystwa dam mego korpusu oficerskiego. Co pan na to, panie poruczniku Krafft? - Nic, panie majorze - oświadczył Krafft po prostu. Dowódca kursu jakby dech zapało. Wreszcie powiedział ostro i rozkazująco: - Pańska grupa, za którą przede wszystkim pan jest odpowiedzialny, wszczyna w lokalu publicznym ordynarną bójkę, jak pierwsi lepsi drwale, a pan nie ma na to nic do powiedzenia! - Po pierwsze - powiedział Krafft łagodnie - nie jest, moim zdaniem, jeszcze udowodnione, że w ogóle odbyła się jakaś bójka i że ta bójka zakończyła się zdemolowaniem lokalu. A jeśli nawet tak było, to trzeba by wprzód wyjaśnić, czy grupa szkolna Heinrich jest winna, współwinna czy też może zupełnie niewinna. W tym ewentualnym incydencie odegrało decydującą rolę również paru podchorążych, którzy cieszą się jak dotąd nienaganną opinią. Czyż nie tak, panie kapitanie? Ratshelm rzucił się na tę przynętę jak pies na kość. - W rzeczy samej - potwierdził ochoczo - jest to punkt zasługujący, moim zdaniem, na specjalne uwzględnienie. Można powiedzieć bez przesady, że nawet najlepsi i najbardziej obiecujący podchorążowie zostali wplątani w tę fatalną aferę, co przecież daje wiele do myślenia. - Co jednak niczego nie likwiduje! - rzekł major, najwyraźniej zdecydowany wymierzyć winnym przykładną karę. - Niech pan nie zapomina, panie poruczniku Krafft, że w gruncie rzeczy jedynie pan ponosi całkowitą odpowiedzialność. - Jestem gotów ją ponieść, panie majorze - powiedział nonszalancko Krafft - aczkolwiek nie wiem jeszcze, jaki rodzaj odpowiedzialności ma pan na myśli. Jeśli już mamy wyjaśnić sytuację do końca, to nie możemy przecież pominąć tej drugiej zainteresowanej grupy. Chodzi mianowicie o grupę szkolną Bruno z kursu pierwszego. - O jaką grupę? - spytał Feders z niedowierzaniem. Porucznik Krafft z przyjemnością mu udzielił informacji, a Feders roześmiał się na całe gardło, nie okazując najmniejszego respektu dla przełożonego. Major spytał zdziwiony: - Nie rozumiem, z czego pan się tak śmieje, panie kapitanie? - Panie majorze - powiedział kapitan Feders - uważam to wszystko za sprawę wielce komiczną. - Bardzo żałuję - oświadczył major z odcieniem ostrej nagany w głosie - ale ja tak nie uważam. Proszę więc pana o zachowanie w miarę możliwości powagi. - Spróbuję - rzekł Feders, mrugając porozumiewawczo do Kraffta. - Przyjdzie mi to jednak z trudem. - Zwłaszcza że punkt wyjściowy tego konfliktu wydaje się nieco dziwny - stwierdził Krafft. - Przedmiotem sporu bowiem było określenie imienia Egon jako „imienia z pism humorystycznych”. - To przecież nie może być prawdą - rzekł kapitan Feders, po raz drugi szalenie ubawiony. - To przecież kompletny absurd. - Również i ja - poparł go kapitan Ratshelm, nie mając pojęcia, co się święci - uważam twierdzenie porucznika Kraffta za wręcz groteskowe. Nikt nam nie wmówi, że tego rodzaju głupia uwaga mogła doprowadzić do tak barbarzyńskich ekscesów. - Niestety to fakt - obstawał Krafft przy swoim. - Określeniem „imię z pism humorystycznych” użytym w sensie kpiny, jeden z naszych podchorążych poczuł się obrażony i zaczął się odpowiednio bronić. A co się tyczy tej rzekomo głupiej uwagi, to jestem pewien, że pan major jest z gruntu odmiennego zdania. Trzej panowie spojrzeli na swego majora, mocno w tej chwili zaniepokojonego. Na jego zwykle tak energicznej twarzy bojownika wykwitł lekki rumieniec. Major patrzył przed siebie pochmurnym wzrokiem, a palce jego bębniły nerwowo po stole. Zgodnie z tradycją major Frey usiłował odparować atak kontratakiem. - Wnioskuje z waszego zdumienia, panowie, że niestety nie przyjęliście mego rozkazu specjalnego numer sto trzydzieści jeden do wiadomości. Uważam, że rzuca to dość dziwne światło na to, w jaki sposób reaguje się na moje pisemne rozkazy. Wspomniany rozkaz bowiem wyszedł z mojej kancelarii wczoraj około godziny dziesiątej i miał być odczytany jeszcze tego samego dnia, między godziną dwunastą a czternastą. Tym samym panowie dowódcy oddziałów i wykładowcy taktyki mieli dostatecznie dużo czasu na zaznajomienie się z nim. Ale widocznie nikt nie uważał tego za potrzebne. Tak było w istocie. Rozkazy przychodziły, odfajkowywano je, przekazywano z miejsca dalej i tylko od czasu do czasu przyjmowano je do wiadomości. Uświadomienie sobie tego faktu było dla majora bolesnym ciosem. Jego rozkazy specjalne, te przemyślane i świetnie sformułowane, godne uwagi

plody żołnierskiego ducha były nie czytane! Nie czytał ich nawet Ratshelm, skądinąd człowiek tak solidny. Zasmucające. - Jednakże - powiedział Krafft, który ani na chwilę nie odstępował od piłki, żeby móc strzelić decydującego gola - to nie zmienia faktu, że określenie imienia Egon jako imienia z pism humorystycznych było właściwą przyczyną tej bijatyki. - Po prostu przeoczenie - pospieszył zapewnić major obecnych. Starał się możliwie szybko przejść do porządku nad tym delikatnym punktem. - Zwyczajne przeoczenie. - Bójka podchorążych? - spytał Krafft jak gdyby nigdy nic. - Nazwanie imienia Egon imieniem z pism humorystycznych - rzekł major szybko. - Ale nie mieszajmy w to tej sprawy, zostanie sprosowana. - W każdym razie - powiedział Krafft z uporem, który pomału zaczął robić się bardzo uciążliwy, dla majora oczywiście - w każdym razie akurat to przeoczenie doprowadziło do, jak to panowie nazwali, barbarzyńskich ekscesów drwali. „Imię z pism humorystycznych Egon” było tym ostatnim słowem do bitki, jeśli przyjmiemy, że rzekome zdemolowanie lokalu odpowiada rzeczywiście prawdzie. Ale czy panowie nie uważają, że byłoby lepiej, mądrzej i prościej stanąć na stanowisku, iż w ogóle nic się nie stało? Major nie powiedział „nie”, co obecnym wydało się niezwykle znamienne. Frey siedział przy swoim biurku jak stangret wielkopańskiego ekwipażu na koźle - wyprostowany, nadęty służbista, ale nie pozbawiony godności. Doszedł do takiego punktu, że miał już tylko jedno pragnienie: żeby mu ktoś przekazał jakiś autorytatywny rozkaz, na którym mógłby się oprzeć. Rozglądał się naokoło, szukając wzrokiem pomocy. W tym samym momencie zjawił się jeden z jego pisarzy. Oznajmił, że jakiś podchorąży z grupy szkolnej H prosi na chwilę swego dowódcę, w pilnej sprawie. Frey udzielił pozwolenia na to, już choćby dlatego, że w ten sposób tajna konferencja została przerwana. A więc w ciągu najbliższych minut nie musiał ani składać oświadczeń, ani podejmować decyzji. Gdy Krafft opuścił pokój, major spytał tylko: - A zatem, co panowie na to powiedzą? Panowie na to nic nie powiedzieli, przynajmniej nic obowiązującego. Feders okazywał kompletny brak zainteresowania. A Ratshelm dawał do zrozumienia, że woli przyłączyć się do zdania pana majora, gdy tylko ten swoje zdanie wypowie. Ale właśnie do tego Frey zdawał się nie przywiązywać zbytnej wagi. Bo z jednego major zdawał sobie jasno sprawę: Jeżeli rzeczywiście zgodnie ze swym pierwotnym zamierzeniem będzie obstawał przy przykładowym ukaraniu, to poszkodowanym może być w końcu on sam. Gdyby mianowicie generał dowiedział się o katastrofie wywołanej przez „imię z pism humorystycznych Egon” - trudno sobie wprost uzmysłowić skutki. Ernst Egon Modersohn posiekałby majora Freya na kawałki. Ale wtem wrócił porucznik Krafft i oświadczył wesoło: - Panowie, otrzymałem właśnie od jednego z moich podchorążych wiadomość, że cała ta wątpliwa sprawa jest załatwiona. Pan Rotunda, właściciel „Kolorowego Psa”, nie tylko nie wniesie żadnej skargi, ale jest nawet gotów zaświadczyć, że chodziło jedynie o nieporozumienie. W gruncie rzeczy więc przebieg wczorajszego wieczoru był równie normalny, jak każdego innego. - No więc - powiedział Feders. - To po co ta cała komedia? Major odetchnął z ulgą - kamień spadł z jego oficerskiego serca. BYł uratowany. Znowu uśmiechnęło się do niego szczęście, które, jak wiadomo, na dłuższą metę sprzyja tylko ludziom odważnym. Świadomość tego dodała mu potężnego bodźca. Wypróbowaną manierą przełożonych dosiadł natychmiast z powrotem owego wysokiego konia, z którego dopiero co spadł. - Panowie - powiedział z miną udzielnego księcia - wobec tego, że niektórzy z was dali się zwieść pomyłce, mogę oświadczyć z całą otwartością, że od samego początku oczekiwałem czegoś takiego. Tym bardziej zdziwiły mnie niektóre reakcje. Pan, panie kapitanie Ratshelm, nie powinien był mnie trudzić dla taak niejasnej sprawy. Pan, panie kapitanie Feders, powinien w przyszłości zachowywać się z nieco bardziej obyczajną powagą i powstrzymać się od nazywania skomplikowanych dochodzeń „komedią”. Pan w końcu, panie poruczniku Krafft, powinien się bardziej zajmować swoją grupą; meldunek końcowy, złożony przez pana, powinien być nastąpić na początku naszej rozmowy. Ale panowie wiecie, że nie jestem drobiazgowy, nie mam do was żalu. Dziękuję panom. Kiedy trójka oficerów opuściła swego dowódcę, ten był pewien, że znowu znakomicie wywiązał się z trudnej sytuacji. Major Frey wziął więc śnieżnobiałą kartkę papieru i napisał na niej owe słowa, które nazajutrz miały przyprawić o zachwyty i zdumienie całą szkołę wojenną, od generała począwszy, a na ostatnim podchorążaku

skończywszy. Pamiętne te słowa brzmiały: „Dodatek do rozkazu specjalnego nr 131. Dotyczy: sprostowania. W wyżej wymienionym rozkazie specjalnym wkładł się do rozdziału III, ustęp 2c, ubolewania godny błąd maszynowy. Wykreślić słowo „Egon”, słowo winno brzmieć „Ede”. podpisał major Frey dowódca II kursu 23 Pewne zaproszenie i jego skutki - Nie ma jej - powiedział szef kancelarii do kapitana Katera. - Co to znaczy: nie ma jej? - zapytał Kater rozdrażniony. - Znikła? - Aż tak? Żle nie jest, panie kapitanie. Pewnie gdzieś wyszła. - Wyszła? - spytał Kater przeciągle. - Jakim prawem? Obaj, dowódca kompanii administracyjnej i szef kancelarii, mówili o Irenie Jablonski, nowej biuralistce. - Czyż nie wydałem wyraźnego zarządzenia - sierdził się Kater - że ta Irena Jablonski ma dziś dyżur? - Tak jest, panie kapitanie. - Więc dlaczego nie ma jej na dyżurze? - Panna Rademacher zarządziła inaczej. - Kto? - spytał Kater zaszokowany. - Ta Rademacher? Jakim prawem? - Tego to ja nie wiem, panie kapitanie - odparł szef kancelarii. Powiedziała tylko, że jeśli pan kapitan by miał jakieś życzenie, to ona stoi do pańskiej dyspozycji. - Aha - rzekł Kater nagle zaintrygowany. - Naprawdę tak powiedziała? - Tak jest, gdyby pan kapitan miał jakieś życzenie. - No dobrze - powiedział Kater, zamyśliwszy się. - Możecie odejść. Szef kancelarii wyszedł. Kater stał dłuższą chwilę w zadumie. Uśmiechając się, pokręcił głową i powiedział: - Te kobiety! - po czym podszedł do okna. Lornetka kapitana Katera była przedniego gatunku - precyzyjna robota niemiecka. Takie lornetki dostawali w szkole wojennej tylko oficerowie. Jednakże kapitan Kater przez tę lornetkę nie śledził ani ruchów wroga, ani własnych żołnierzy - przyglądał się z okien swego pokoju blokowi po drugiej stronie ulicy. Mieszkały tam pracownice cywilne. Uwaga kapitana Katera skupiona była na oknie pewnego pokoju na pierwszym piętrze. Mieszkała tam Elfrieda Rademacher - razem z Ireną Jablonski i jeszcze kilkoma innymi dziewczętami. W tej chwili jednak pokój zdawał się być pusty. Kater odjął lornetkę od oczu. Zastanawiało go, co za kawał mu te dziewczyny mają zamiar zrobić. To nie była wcale taka prosta sprawa, jak mu się na początku zdawało. Jeśli Rademacher twierdzi, że stoi na straży cnoty tej małej Ireny, to jest to oczywiście pretekst. Powoli zaczynał rozumieć: Rademacher sama chciała dorwać się do żłobu - nie miała tylko odwagi przyznać się do tego otwarcie. Ale dlaczego nie, pomyślał sobie Kater. Ta Irena była przecież jeszcze zupełnie zielona - nie pozbawiona wdzięku oczywiście. Nie można jej jednak było porównać z Elfriedą Rademacher. To już był w pełni dojrzały, wspaniały owoc. W rzeczy samej, ostatnimi czasy zaprzętała coraz bardziej jego umysł. W tej jej wiecznej krnąbrności można się było dopatrzeć reakcji na nie zaspokojone pragnienia. A epizod z Kraffttem był czymś przejściowym. W końcu nie była głupia. Musiała się domyślać, że pozycja jej porucznika jest zagrożona. Mądre kobietki zawsze w porę przesiadają się na innego konia. Kapitan Kater pochylił się lekko do przodu, jak gdyby w ten sposób mógł widzieć wyraźniej czy lepiej. Przez lornetkę, spełniającą w tej chwili rolę wcale jej nie przeznaczoną, ujrzał Elfriedę wchodzącą do swego pokoju. Zapaliła światło i rozejrzała się: w pokoju nikogo poza nią nie było. Zaczęła w zamyśleniu rozpinać sobie bluzkę. Jednocześnie podeszła do okna i zaciągnęła zasłony. Kapitan Kater odjął lornetkę od oczu. Z pewnym pośpiechem uzupełnił garderobę i stanął gotów do wymarszu w przepisowym mundurze służbowym: miał zamiar przeprowadzić inspekcję. A ponieważ miał zamiar przeprowadzić inspekcję w izbach żeńskiego personelu cywilnego, nie mógł sobie oczywiście pozwolić na strój niedbały czy też płaszcz kąpielowy. Co prawda przyjęte było dokonywać tego rodzaju inspekcji tylko w towarzystwie najstarszej pracownicy służby cywilnej. Ale w przypadkach pilnych kapitan mógł całkiem swobodnie sam przystąpić do akcji. I właśnie dany przypadek był jego zdaniem pilny. Zanim Kater wyszedł, nie omieszkał przejrzeć się jeszcze raz w lustrze - był przekonany, że robi wrażenie dość imponujące. Przemierzył korytarz, opuścił budynek komendy szkoły, przeszedł na drugą stronę ulicy i wszedł do bloku, na bramie którego duże litery głosiły: „Kwatery 1eńskie. Niepowołanym wstęp wzbroniony”. On oczywiście był powołany, bo w końcu tablica z tym zakazem nosiła podpis: „Kater, kapitan, dowódca kompanii administracyjnej”. Przed drzwiami z numerem sto dwa Kater na chwilę przystanął i jeszcze raz, nerwowymi ruchami, sprawdził, czy mundur dobrze na nim leży. Następnie rozejrzał się ostrożnie i wszedł bez pukania. Widok, jaki przedstawił się jego

oczom, mógł mu gwałtownie podwyższyć ciśnienie: Elfrieda Rademacher, lekko pochylona do przodu, stała przed szafą jedynie w majteczkach i staniku. Jej tym sposobem uwidocznione kształty całkowicie odpowiadały jego wyobrażeniom. Elfrieda wyprostowała się z pytającym spojrzeniem. Nie widać było po niej ani wielkiego zaskoczenia, ani czegoś w rodzaju wstydu. Była przyzwyczajona do tego, że mężczyźni rozbierali ją, by tak rzec, „w duchu”, powiedziała więc sobie, że również Kater nie widzi w tej chwili nic ponad to, co od początku widział u niej właśnie „w duchu”. - Czego pan tu szuka? - spytała pozornie obojętnie. - I dlaczego pan wchodzi bez pukania? - Chciałem panią zaprosić, Elfriedo - powiedział, stojąc w drzwiach, nieco zachrypniętym głosem. - Dla pana nie nazywam się Elfrieda, lecz Rademacher - oświadczyła chłodno. - A poza tym nie przyjmuję od pana żadnych zaproszeń. Proszę opuścić mój pokój albo przynajmniej się odwrócić, aż włożę płaszcz kąpielowy. - Jeśli o mnie idzie, to może pani zostać w tym, w czym pani jest. Mnie to nie przeszkadza. - Ale mnie przeszkadza - powiedziała Elfrieda. Odwróciła się do niego plecami, sięgnęła po płaszcz kąpielowy i narzuciła go na siebie. Kater dyszał. Korciło go, aby usiąść, położyć się, gdyby to było możliwe. Ale chłodne, ironiczne spojrzenie Elfriedy nie dawało mu żadnej nadziei. - Niech pani posłucha - powiedział Kater zduszonym głosem, ciągle jeszcze stojąc w drzwiach. - Nie potrzebuje pani grać przede mną komedii. Wiem doskonale, do czego pani zmierza, i to w zupełności odpowiada moim życzeniom. Wiem, że jest pani rozsądną i praktyczną dziewczyną. I podoba mi się pani. - Ale pan mi się wcale nie podoba - powiedziała Elfrieda. Brzmiało to bardzo przekonywająco - lecz nie dla kapitana Katera. Kater był bowiem przekonany, że ją przejrzał. Wszystko, myślał, jest sprawą ceny, a on był zdecydowany nie być małostkowym. - Dogadamy się - obiecywał. - Proszę przyjść do mnie tak około dziesiątej. - To by się panu podobało! - zawołała Elfrieda, śmiejąc się beztrząsowo. - Owszem, to by mi się podobało - powiedział. - Po dziesiątej wieczorem nikt nam nie będzie przeszkadzał. - Jestem zaręczona. Z porucznikiem Kraffttem. - To nic nie szkodzi - zapewniał ją kapitan Kater, szczerząc zęby. - Mnie to wcale nie przeszkadza. Gotów byłbym nawet powiedzieć: wręcz przeciwnie, to się nawet bardzo dobrze składa. Bo to na pewno jeszcze spotęguje pani gotowość do zaszczytowania mnie wizytą. Wystarczy jedno moje skinienie, a rzekomy pani narzeczony zniknie ze szkoły wojennej jak kura w garnku. Proszę nie lekceważyć moich stosunków, Elfriedo; i nie zapominać o tym, że wiem więcej, niż niektórzy by sobie życzyli. Wystarczy tylko, żebym jutro rano poszedł do generała i szepnął mu na ucho parę szczegółów. Jeśli więc pani koniecznie chce, żeby te rzekome pani zaręczyny skończyły się szybko i gruntownie... A więc? Po dziesiątej, i proszę mi nie dać zbyt długo czekać, Elfriedo; zaczynam już tracić cierpliwość. - Może pan długo czekać. Dziś wieczorem jestem zajęta, a przez następne miesiące i lata też. - To się zmieni - powiedział Kater - ręczę pani za to. Ale ja jestem gotów pójść na ustępstwo: może pani ewentualnie przysłać zastępczynię. Na przykład Irenę Jablonski. Najlepiej jednak będzie, jeśli pani sama przyjdzie, Elfriedo. Dlaczego odwlekać coś, co tak czy tak nastąpi, nieprawdaż? * * * Elfrieda spojrzała w lustro. Była zupełnie spokojna, chłodna i nieporuszona, niczym świeży śnieg. I myślała zaskoczona. MOja skóra jest teraz inna: świeża, gładka i czysta. Mój mózg nie myśli tak jak dawniej; nie wiem już, co to bezwolna obojętność; chcę się zachować już tylko dla jednego. Zmieniłam się, i to jest jak podarunek. Ale czy w życiu w ogóle istnieją podarunki? Nie miała jednak ani czasu, ani ochoty zajmować się dłużej tego rodzaju rozważaniami. Czekano na nią. I nie było dla niej nic ważniejszego ponad to. Ubrała się prędko i napisała na kartce, dokąd idzie. Kartkę położyła na łóżku Ireny. Pobiegnęła główną ulicą koszar do owego stojącego na uboczu baraku, gdzie mieszkała grupa szkolna H i jej dowódca. Pokój, do którego weszła, miał popękane, osmolone drewniane ściany. Stało w nim sfatygowane łóżko polowe, do którego od drzwi prowadził wytarty chodnik. Karl Krafft uśmiechnął się do niej czule. Promieniujący z niego spokój udzielił się i jej. Cokolwiek robił - czuła się u niego bezpieczna. Rzuciła mu się w ramiona, jak gdyby szukała w nich schronienia. - Nareszcie - powiedziała - nareszcie. - Nie tak gwałtownie - powiedział, obejmując ją. - Albo masz coś na sumieniu, albo miałaś jakieś przykre przejście. - Kater mi się naprzykrzał - powiedziała. - Cała jego egzystencja - powiedział uspokajająco lekceważącym tonem - to jedno wielkie naprzykrzanie się. - Czy on ci

może zaszkodzić? - Nawet wesz może zaszkodzić - odparł spokojnie. - Wszy nie tylko przenoszą tyfus plamisty, ale mogą nawet zrujnować mechanizm zegarka. Elfrieda opowiedziała Krafftowi o całym zajściu. - Co ja mam zrobić? - spytała, kiedy skończyła. - Dać mu następnym razem w mordę? - Nie słuchaj po prostu, co mówi, ignoruj go, zachowuj się tak, jakby dla ciebie nie istniał. W końcu jesteś teraz tak zwaną damą, Elfriedo, narzeczoną oficera. Musisz się odpowiednio zachowywać. - Łatwo mi to nie przyjdzie, Karl, to jedno ci tylko powiem. - Przywykniesz. Jesteś kobietą, i potrafiś się przystosować. - To fakt - powiedziała Elfrieda, na którą jego pogoda ducha wywierała zbawienny wpływ. Przytuliła się do niego i zarzuciła mu ręce na szyję. - Do ciebie, Karl, strasznie się lubię przystosowywać. Uwolnił się delikatnie z jej objęć. - Zaraz będziesz miała okazję wprawić się w rolę damy. Jesteśmy zaproszeni. - Nie zostaniemy tu dziś? - spytała rozczarowana. - Najpierw - odparł - musimy pójść do kapitana Federsa i jego żony. Chcą cię poznać. Czy nie cieszysz się z tego? Oficjalne zaproszenie, że tak powiem. - Pierwsze w moim życiu - powiedziała zakłopotana. - W życiu zawsze wszystko, co nowe, robi się po raz pierwszy. - Ale akurat kapitan Feders? - Znasz go? - Nie, nie osobiście. Wiem tylko, co o nim gadają... o nim i o jego żonie. - Zapomnij o tym, Elfriedo. Ludzie zawsze wiele gadają... o nas także. - Tobie się podoba ten Feders, prawda? To się czuje, kiedy o nim mówisz. A może podoba ci się jego żona? - Interesują mnie oboje. Są ciekawi. W kapitanie Federsie i jego żonie poznasz dwoje ludzi, którzy mają zupełnie inne problemy do rozwiązania niż my. Chodźmy. Szli zgodnie przez koszary. Spadł świeży śnieg. Pod wpływem oślepiającej bieli przypomniły im się idylliczne święta Bożego Narodzenia i cudowne sanny z okresu dzieciństwa. Złapali się za ręce i poczuli równocześnie przyjemne ciepło: narzeczeni zaczęli powoli przyzwyczajać się do stanu narzeczeństwa. * * * - Witamy kochanków z Wildlingen! - zawołał kapitan Feders. - Czy pan nas po to zapraszał - spytał Krafft z uśmiechem - aby nas oglądać jak jakieś bajeczne zwierzęta? - Zgadł pan - powiedział Feders, wprowadzając ich do swojej żony. - Nie mogliśmy się już doczekać widoku szczęśliwej zakochanej pary, co, Marion? Marion Feders przywitała gości powściągliwie,omalże nieśmiało. Widocznie bała się ludzi, którzy mogliby patrzeć na nią z wyżyn swej pewności siebie. - Jesteśmy pani bardzo wdzięczni za to zaproszenie - powiedziała Elfrieda. I dodała szczerze: - Dla mnie jest to pierwsze oficjalne zaproszenie w życiu. - Biedactwo! - zawołał Feders z rubaszną serdecznością. - I że akurat musiała pani trafić na nas! - Trudny początek niekoniecznie musi być złym początkiem - wtrąciła Marion przyjaźnie. - Dziękuję pani - rzekła Elfrieda. - Już mi o wiele lżej. Marion uśmiechnęła się do niej i wskazała jej krzesło. Jej uprzedzenia okazały się bezpodstawne. Dziewczyna wydała się jej sympatyczna - prosta i nieskomplikowana, o wiejskiej, pełnokrwistej urodzie. Usiedli wokół niskiego stolika, na którym stała już butelka wermutu i kieliszki. - Właściwie - powiedział Feders - powinniśmy dziś pić szampana. Nie jestem jednak ani krezusem, ani Katerem. A właściwie żaden trunek pity z przyjaciółmi nie jest zły. Pierwszy kieliszek wychylili w milczeniu. - Wieść o naszych zaręczynach rozeszła się jakoś zdumiewająco szybko - zauważył Krafft. - System tam_tamów - powiedział kapitan Feders - zastępuje u nas telefon. Ale dżicy są jeszcze po barbarzyńsku otwarci, podczas gdy z nas technika robi sepleniących szeptaczy. Poczciwy kapitan Ratshelm, nasz bohater z magła, zaledwie usłyszał o waszych zaręczynach, a już przypiął się do telefonu. I oczywiście szanowna szefica była pierwszą, której szepnął do uszka tę sensacyjną nowinę. - No, to nam przynajmniej zaoszczędzi rozsyłania zawiadomień o zaręczynach - powiedział Krafft. - Ale to wcale pana nie uchroni przed ciekawością naszej szeficy - powiedział Feders, napełniając ponownie kieliszki. - Pani majorowa gwarantowanie weźmie pannę narzeczoną pod lupę. Niech pani będzie przygotowana na najbardziej niemożliwe pytania, panno Rademacher. Na przykład: Czy pochodzi pani z rodziny szanowanej, czy przynajmniej zamożnej? - Ojciec mój był majstrem w warsztatach kolejkowych, a poza tym śpiewał w chórze kościelnym - oświadczyła Elfrieda swobodnie. - Bardzo godne szacunku, zapewne, powie pani majorowa. - Federsowi zaczęła się podobać ta zabawa, a także Elfrieda. Kontynuował więc parodię przesłuchania u szeficy. - A jak ze sprawą wykształcenia, pensja i tak dalej? - Szkoła ludowa, nic poza tym. - No cóż, powie pani majorowa, wobec tego cała nadzieja we wrażliwości serca, która może wyrównać

wiele braków. A jak się sprawy mają z cennym zdrowiem pani, mam na myśli sprawę macierzyństwa? - To trzeba by wypróbować. Kapitan Feders wybuchnął gromkim śmiechem. - Wspaniale! Jeśli pani to wszystko powie naszej naczelnej gęsi w tej szkole, ręczę pani, że zaoszczędzi sobie pani dalszego wypytywania. Panno Rademacher, jeszcze raz serdecznie panią witam. - Podniósł w górę kieliszek. - Piję zdrowie pani. - A jak właściwie jest z macierzyństwem pani majorowej? - zainteresowała się z kolei Elfrieda. - Mogłabym ją na przykład zapytać o to, gdyby mnie pod tym względem indagowała. - Szanowna panno Rademacher - powiedział kapitan Feders ubawiony - pozwoli pani, że zwrócę jej uwagę na jedną z naczelnych zasad, według których prowadzi się armie do boju, tworzy systemy państwowe i wygrywa wojny. Brzmi ona: gdzie drzewo rąbią, tam wióry lecą. Należy to rozumieć mniej więcej w ten sposób: wojna wymaga ofiar - ponoszą je żołnierze. Dobrobyt wymaga pieniędzy - płacą je maluczcy. Państwa potrzebują obywateli - dostarczyć musi ich lud. Na polu bitwy rzadko padają generałowie, mężowie stanu nigdy nie są ubodzy, a przyrost naturalny jest znacznie niższy u pań z towarzystwa niż u kobiet z ludu. Właśnie dlatego nie ma nic dziwnego w tym, że niektóre kobiety propagują macierzyństwo, same nie będąc matkami. - Może robisz krzywdę pani Frey - wtrąciła pani Marion. - Niekiedy odnoszę wrażenie, że uczucia macierzyńskie nie są jej bynajmniej obce. - Myślisz? - powiedział Feders. - Ona wychodząc za mąż na pewno nie myślała o dzieciach, lecz o karierze. Zdecydowała się wyjść za mąż dopiero wtedy, gdy jej wybrany był już bohaterem z wysokimi odznaczeniami i widokami na niezgorszą karierę oficerską. Pomysł, że akurat jej miałyby być znane uczucia macierzyńskie, wydaje mi się dość zaskakujący. Skąd ci to przyszło do głowy, Marion? - Wiesz, że niezbyt lubię panią Frey... - Zawsze wysoko sobie ceniłem twój gust. - ...ale kiedy niedawno, podczas jej nudnej kawy dla żon oficerów, rozmowa zeszła na podchorążych, mówiła o nich z ogromnym przejęciem, z rzadką u niej szczerością. - Co ta pani może wiedzieć o naszych podchorążych - odparł Feders. - Nie wychodzi przecież poza krąg oficerski. Do tego, żeby przeprowadzała inspekcje w naszych grupach szkolnych, na szczęście jeszcze nie doszło. - Sądzę, że się mylisz - powiedziała Marion, broniąc uparcie swojej racji; poza tym rzuciło się jej w oczy, że porucznik Krafft przysłuchiwał się jej wywodom z żywym zainteresowaniem. - Przynajmniej jednego z podchorążych pani Frey zna na pewno. - Chodzi chyba o podchorążego - sondował Krafft - który przynosi jej od czasu do czasu książki, nieprawdaż? - TAK - potwierdziła Marion żywo. - Zgadza się. Skąd pan wie? - To całkiem proste - wyjaśnił Krafft z zadowoloną miną - każdy podchorąży opuszczając koszary, czy to służbowo, czy prywatnie, musi się przedtem odmeldować u dowódcy swej grupy. Rozkaz specjalny numer trzydzieści dziewięć. - A kto jest tym wybranym? - spytał Feders zaciekawiony. - Ten, kto być nim powinien - odrzekł Krafft. - Rzeczywiście ten, o którym pan myśli. - Popatrz, popatrz! - zawołał Feders. - To mogłaby być woda na pański młyn, prawda, Krafft? POd warunkiem oczywiście, że starczy panu zboża do mielenia. Ale jeśli mogę wyświadczyć panu jakąś przysługę, to również i ja chętnie pošlę naszej szanownej pani majorowej kilka książek, w odpowiednim czasie, w ten sam sposób, przez tego samego posłańca. - Przyjmuję z podziękowaniem - oświadczył Krafft. - Czy można wiedzieć - spytała Elfrieda - o czym my właściwie mówimy? - Droga, łaskawa panno Rademacher - rzekł Feders wesoło - rozmawiamy o zaletach naszego systemu kontrolnego, za pomocą którego wykrywa się w naszej fabryce towar wybrakowany, pod warunkiem oczywiście, że potrafi się należycie obsługiwać nasze aparaty. Przepijali do siebie. Mieli uczucie, jakby spędzili razem już wiele godzin. Pani Marion uśmiechała się, wyraźnie odprężona nerwowo, po Elfriedzie znać było, że się dobrze czuje. Było jej przyjemnie poznać osławionego kapitana Federsa, wbrew oczekiwaniom, w roli wesołego partnera do rozmowy. - Podziwiam pańską odwagę, drogi Krafft - mówił kapitan Feders. - Cokolwiek pan robi, robi pan konsekwentnie. W wypadku pańskich zaręczyn mogę to jeszcze zrozumieć. Mam jednak nadzieję, że nie zamierza pan na dobitkę zaręczyć się z wyższą sprawiedliwością. Ostrzegam pana przed tym! U nas w Niemczech bywają okresy, kiedy ta dama chodzi na róg. - Mój mąż - powiedziała Marion, uśmiechając się do Elfriedy - uważa tego rodzaju porównania za szczególnie trafne. Feders roześmiał się i podniósł kieliszek do

ust. - Niech pani pozwoli ze mną - panno Rademacher - rzekła Marion, podnosząc się -
przejdziemy do sąsiedniego pokoju. Pokażę pani, jak mieszka żona oficera. Jak żyje, to pani chyba
już wie. Opuściły pokój. * * * - Zdaje mi się zresztą - powiedział Krafft do Federsa, kiedy zostali
sami i opróżnili kieliszki - że znam ten najbardziej istotny dla pana problem, chodzi o ludzi_piłki.
Dotychczas sądził pan, że jedynym i prawdziwym ocaleniem dla tych ludzi jest śmierć. Lepiej
śmierć, mówił pan sobie, niż takie życie. Ale teraz już pan tego nie może powiedzieć, bo
tymczasem pan zrozumiał: wystarczy choćby iskierka życia. Nawet poharatane życie nie jest tak
zupełnie pozbawione nadziei; nadziei na książkę, obraz, jakiś strzępek muzyki, partię skata... albo
na miłość kobiety. - Z pana to podły, wyrafinowany, podstępny gagatek - powiedział Feders
szorstko. - Przypomina mi pan mego małego brata. Nikt nie mógł go rozgryźć. Razu pewnego
zginął... złapał za cugle oszalałe konie, które go stratowały. Uratował przez to życie dwojgu
ludziom: kurwie i oszustowi. - Dałbym sobie radę z oszalałymi końmi - powiedział Krafft
zamyślony. - Wypróbowałem to już kiedyś. - Jeśli nie konie, to czołgi. Czołgi uprzedzeń.
Lokomotywy pędzone kłamstwami. Miej się pan na baczności, Krafft. Pan jest gotów płynąć już
nie pod prąd, a pod wodospad. - W tej chwili - rzekł Krafft - zamierzam jedynie wylać nocnik. Jest
godzina dziesiąta, a ja nie mam serca kazać czekać kapitanowi Katerowi. Czekaj mianowicie na
moją narzeczoną. - O tej porze? - spytał Feders zaskoczony. - Służbowo? - Wprost przeciwnie,
zupełnie prywatnie. - A - powiedział Feders radośnie - rozumiem: chce go pan poinformować o
swoich zaręczynach. - To wcale niepotrzebne, on już wie. - I mimo to? - Właśnie dlatego,
przypuszczalnie. Jemu to mianowicie nic a nic nie przeszkadza, jak pozwolił sobie zauważyć.
Niech mi pan wobec tego nie bierze za złe, jeżeli teraz wyjdę, panie kapitanie. Jeśli pozwoli mi pan
na ten czas zostawić tu pannę Rademacher, to będę panu bardzo wdzięczny; dłużej niż kwadrans to
chyba nie potrwa. - Zabierz mnie pan ze sobą! - powiedział Feders - proszę pana o to. Zrób mi pan
tę przyjemność! - Może - powiedział Krafft zamyślony - będzie lepiej, jeżeli ta scena odbędzie się
bez świadków. - Wprost przeciwnie - twierdził Feders. - Najpewniejszą rzeczą jest mieć przy sobie
świadka, który w razie konieczności może potwierdzić, że miał pan na rękach aksamitne
rękawiczki. Zgódź się pan! - No dobrze, zgadzam się. Feders zacierał ręce z uciechy. - Drogi
Krafft, sprawia mi pan dużą frajdę. - Nie widzę w tym nic przyjemnego. - Zobaczymy. - Feders
otworzył drzwi do sąsiedniego pokoju i powiedział: - pozwalam sobie powiadomić panie, że
udajemy się na małą budującą przechadzkę, na jakieś pół godziny. - Co wy tam knujecie? - spytała
Marion. - Mamy zamiar ochłodzić nieco rozgorączkowane umysły. - To na pewno nie może
zaszkodzić - powiedziała Elfrieda. * * * Wyszli z budynku gościnnego. Z zaciemnionego okna
pokoju generała sączyła się wąska strużka światła. Feders wyciągnął rękę i wskazał na nią. -
Przypuszczalnie - powiedział podkpiwając sobie dobrodusznie - stary pracuje nad podstawowym
dziełem o etyce oficerskiej, ze szczególnym uwzględnieniem ducha pruskiego, jak go sobie
słusznie wyobraża mały Moryc. Feders był niezwykle ożywiony, i to niepokoiło Kraffta. Kiedy
zbliżali się do budynku komendy szkoły, zapytał ostrożnie: - Czy nie lepiej, żebym sam pomówił z
kapitanem Katerem? - Ależ nie, mój drogi, ależ nie! Już ja zrobię, co trzeba. - W końcu to jednak
wyłącznie moja sprawa. - Myli się pan, mój drogi, to tak samo obchodzi pańską narzeczoną, jak i
pańskiego przyjaciela. A poza tym powinien pan myśleć praktycznie, Krafft. Jeśli pan sam rozłoży
tego Katera, mogą to nazwać napaścią na przełożonego. Ale jeśli ja to zrobię, to będzie to najwyżej
namacalna koleżeńska próba perswazji. Kiedy raz wreszcie nawinęła mi się na muszkę taka świnia,
nie pozwolę, żeby mi ktoś zasłonił pole ostrzału. Feders sadził naprzód pierwszy. Skierował się do
pokoju kapitana Katera, pchnął drzwi i zawołał: - Goście do pana, Kater! - Potem przepuścił przed
sobą porucznika Kraffta. Kater, już w płaszczu kąpielowym, podniósł się z miejsca. W pierwszej
chwili był jedynie niezadowolony, że tak brutalnie zakłócono jego nocną radość oczekiwania.
Potem zaczął się dziwić, a w końcu zaniepokoił się na dobre i drżącymi rękami wyglądał na sobie
płaszcz kąpielowy. Porucznik Krafft postąpił naprzód i powiedział: - Panna Rademacher, moja
narzeczoną, nie może niestety przyjść, żeby dać panu osobiście w mordę. A moją rzeczą jest
oszczędzać jej wszelkiej brudnej roboty. - Czego pan chce?! - zawołał Kater wycofując się za swój

fotel. - Nie wiem, o czym pan mówi. I co to za ton wobec starszego oficera? - Nie mówimy tu ze starszym oficerem, lecz ze świntuchem - oświadczył Feders, uśmiechając się uprzejmie. - I jak się rzekło, pozwalamy sobie reprezentować pannę Rademacher. Nuże, niech pan zaczyna, niech pan spróbuje nas tylko dotknąć! Kater zdrętwiał. Rozejrzał się naokoło, szukając wzrokiem pomocy - widocznie usiłował znaleźć jakąś drogę do ucieczki. Miał jednak przed sobą dwie mocne przeszkody, a wołać też nie mógł: budynek komendy szkoły był prawie nie zamieszkały. Piękne odosobnienie, które skądinąd tak sobie chwalił, okazało się nagle niebezpieczną pułapką. Nie pozostawało mu nic innego, jak przestawić się błyskawicznie na ton łagodny i pojednawczy. - Ależ panowie, proszę was, to jakieś nieporozumienie. - Z pana strony, Kater! - powiedział Feders, rozglądając się badawczo. - Co się tyczy nas, to my się nie mylimy. Pan jest nędznym łajdakiem! Kapuje pan? - Jeśli będzie pan jeszcze raz napastował moją narzeczoną - powiedział Krafft stanowczo - zbiję pana na kwaśne jabłko. - To groźba! - warknął Kater. - Za to mogę pana oddać pod sąd wojenny! - Ale przedtem wyląduje pan w szpitalu! - zawołał Krafft. - Wolnego, przyjaciele, tylko wolnego! - powiedział Feders. - Przede wszystkim: o groźbie w ogóle nie może być mowy, jestem gotów na to przysiąc. My sobie tylko rozmawiamy. Nie mamy żadnych złych zamiarów, tak samo, jak pan, Kater. Jasne? I proszę nie zapominać: mielibyśmy tu dwa zeznania przeciwko jednemu, w dodatku dwóch frontowych żołnierzy przeciwko dekonnikowi, co, jak wykazuje doświadczenie, zawsze robi silne wrażenie na sądach wojennych. Kapitan Kater zrozumiał, że jego sytuacja jest dość beznadziejna - jeżeli jego rozwścieczeni goście istotnie zamierzają spełnić swe groźby. Wycofał się do ściany, kolana mu zmiękły. - A więc do rzeczy - rzekł Feders. - Może dałby nam pan tak coś na pokrzepienie, Kater? W końcu mamy przed sobą jeszcze sporo roboty. Kater wskazał trzęsącą się ręką na stół. Stało na nim kilka butelek i kieliszki - przypuszczalnie jako wstęp do tego nocnego szaleństwa. Feders niedbale podszedł do stołu, podniósł w górę jedną z butelek i zaczął oglądać etykietę. Pokręcił głową z dezaprobatą. Następnie upuścił butelkę na podłogę, tak że się rozbiła. Wódka bryznęła na dywan i meble. Rozeszła się ostra, duszna woń alkoholu. - Nie dość dobre dla nas! - stwierdził Feders lakonicznie. - Co pan sobie właściwie myśli? Nędzna wódka owocowa? Takim tanim kosztem pan się nie wykpi! Feders brał teraz do ręki jedną butelkę po drugiej i jedną po drugiej tłukł, rzucając na podłogę. Następnie zrewidował szafę i komodę i wyciągnął dalsze butelki. Spotkał je ten sam los. Mieszanina różnych wysokoprocentowych wódek śmierdziała okropnie. Powietrze było takie, że siekiera by stanęła. Kupa szkła i olbrzymia kałuża na podłodze - a pośrodku tego wszystkiego Kater, w filcowych pantoflach rannych, z wyrazem bezradności w oczach, i drżący od stóp do głów. Wandale wdarli się do niego! A on był beznadziejnie zdany na ich łaskę i niełaskę - przynajmniej w tej chwili. Feders rozglądał się na boki. Jeszcze mu było mało. Powiedział więc: - Tu jest stanowczo za ciasno, nie uważa pan, Krafft? Ten skwapliwie skinął głową: - Moim zdaniem łóżko jest tu zbędne. - Słusznie! - stwierdził Feders. - Ono mi już cały czas przeszkadzało. A poza tym musimy uchronić naszego przyjaciela od nadużywania łóżka dla celów niemoralnych. Wspólnymi siłami rozebrali łóżko polowe i wyrzucili poszczególne jego części na korytarz. Potem z trzaskiem wywalili wszystkie fotele i krzesła. Po dokonaniu tego dzieła wetknęli klucz w drzwi od zewnątrz. Ale zanim kapitan Feders odciął kulącego się w sobie Katera od świata zewnętrznego, powiedział: - Serdeczne dzięki za tak niezwykle przyjemny wieczór. Będziemy go chwalebnie wspominali, jeśli nas ktoś o to zapyta. 24 Sumienie jest elastyczne Katera dławiała niepohamowana wściekłość. Przez tę całą niewygodną noc, w której skompromitowano go w tak zawstydzający sposób. Wściekłość ta nie opuszczała go również przez całe przedpołudnie dnia następnego. W tym stanie pozegłował w dół do Wildlingen - prosto do biura burmistrza. Burmistrz, nazwiskiem Hundlinger, był jednocześnie kreisleiterem i landratem - a zatem człowiekiem ważnym, wpływowym, wielce zapracowanym. Mimo to przyjął natychmiast cieszącego się powszechnym szacunkiem kapitana Katera. Tyle uprzejmości nie tylko uspokoiło Katera, ale pochlebiło mu jeszcze, bo świadczyło o szacunku dla jego osoby. Tu go ceniono, tu go szanowano, tu był kimś. - Czym mogę panu służyć, drogi kapitanie?! - zawołał Hundlinger, witając go serdecznie. W jego oczach kapitan, szanowany

oficer łącznikowy między szkołą wojenną a ludnością, uosabiał jeden z trzech filarów wielkoniemieckiej Rzeszy: Wehrmacht. Pozostałe dwa filary - partię i państwo - uosabiał on sam, Hundlinger. - Chciałem tylko przy okazji zajrzeć do pana - powiedział Kater obłudnie, z miną pocziwca. - Jest pan u mnie zawsze mile widziany - oświadczył Hundlinger nie mniej pocziwie. A przy tym przejrzał Katera w mig. Hundlinger wiedział bowiem z doświadczenia, że Kater był dość przebiegłym geszefciarzem - ten niczego nie robił, nie mając na oku własnej korzyści. W każdym razie Hundlinger był przygotowany na różne postulaty Katera. Ale to mu nie robiło żadnej różnicy - on też zamierzał przedstawić Katerowi różne postulaty. - Tak, mam pewne małe zmartwienie - powiedział w końcu Kater, uderzając w ton szczerości - a mianowicie w związku z panem Rotundą. - Aha - powiedział Hundlinger; i natychmiast zanotował sobie w myśli: Rotunda, drobny właściciel winnic i właściciel „Kolorowego Psa”; towarzysz partyjny nowszej daty, bez szczególnych wpływów - co znaczyło, że nie trzeba się z nim specjalnie liczyć. A więc drobna płotak. Ale tego Kater nie musiał oczywiście wiedzieć. Kater rzucił się, już bez opamiętania, na Rotundę. Zamierzał poprzez właściciela gospody uruchomić całą lawinę, która by zasypała Kraffta, a może również i Federsa, razem z całą ich grupą szkolną. Ten Rotunda, klarował burmistrzowi Kater, zrobił mu mianowicie brzydki kawał. Podejrzany typ z tego człowieka - miękki i ustępliwy, łatwo ulegający wpływom i niesolidny. To nie był człowiek na takie czasy, jak obecne. - Apelowaliśmy do mojej gotowości niesienia pomocy, a ja nie jestem potworem, tym bardziej że miałem wrażenie, iż podejmuję tu ważne zadanie. Staję więc po jego stronie w szkole wojennej, a co robi ten Rotunda? Wycofuje się. Daje się przekabacić przez napuszczonych podchorążych i udaje, że nic się nie stało. I teraz ja zostałem jak głupi, który znowu chciał uczciwie bronić interesów ludności cywilnej, a zbiera tylko za to samą niewdzięczność i niezrozumienie. Hundlinger zrobił zamyśloną minę. Sytuacja była dla niego całkiem jasna - dużo się z tego nie da wyciągnąć: najwyżej ciężarówkę na jeden tydzień. Chyba że kapitan Kater miał jeszcze jakieś czysto osobiste motywy, co było całkiem możliwe. Tak bez kozery doświadczony lis nie robiłby z igły widel. Telefon zupełnie by wystarczył. Co więc się za tym kryło? Hundlinger natychmiast zapuścił sondę. - Już ja się tym zajmę - oświadczył wielkodusznie. - Będę usilnie doradzał Rotundzie i wyklaruję mu, że w tym wypadku ma się kierować wyłącznie wskazówkami pana. - To - powiedział natychmiast Kater - niezupełnie odpowiadałoby moim życzeniom. Hundlinger rozparł wygodnie swoją okazałą tuszę w fotelu. PODwyższył automatycznie cenę: zażąda teraz dwóch ciężarówek na dwa tygodnie, z kierowcą, pomocnikiem kierowcy i benzyną. - To się da zrobić - oświadczył. - Dla pana, drogi kapitanie, zawsze. Bo w końcu nasza harmonijna współpraca datuje się nie od dziś. I żeby nam się tak dalej układała, przywołam osobiście Rotundę do porządku, nie wspominając pańskiego nazwiska. - Rozumiemy się - powiedział Kater wzruszony. - Chciałbym jednak zwrócić uwagę, że rzeczą decydującą, moim zdaniem, jest, żeby Rotunda zwrócił się bezpośrednio do generała. Bezpośrednio do generała! Koniecznie. Szybko ubili interes. Szkoła wojenna oddać miała miastu Wildlingen nad Menem do dyspozycji grupę roboczą z dwiema ciężarówkami na rzekomo „pilne prace”, wyznaczone przez burmistrza. Benzyna na konto szkoły wojennej. Hundlinger ze swej strony zobowiązywał się „załatwić omówioną sprawę”. Rozeszli się tak, jak się przywitani: duchowi pobratymcy - skarbnicy i mnożyciele mienia narodowego oraz patriotycznych idei. „Istnieją jeszcze Niemcy, na których można polegać. Czy to nie piękne uczucie?” Jeszcze jak piękne uczucie! Również co do tego panowała absolutna jednomyślność. Po wyjściu Katera Hundlinger, pan i władca cywilnego Wildlingen, zabrał się do dzieła niezwykle skutecznie i w zdumiewającym tempie; wystarczyła najzupełniej jedna rozmowa telefoniczna. Zawołowana aluzja na temat ewentualnej kontroli gospodarki Rotundy wystarczyła, by wyciągnąć z niego wszelkie pożądane przyrzeczenia. - Nie chcę naturalnie wpływać na pana, towarzyszu Rotunda - powiedział Hundlinger oficjalnym tonem kreisleitera. - Daję panu tylko dobrą radę. „Rozumiem, kreisleiterze”, rzekł ten z rezygnacją. - Cokolwiek pan zrobi, zrobi pan to zupełnie dobrowolnie. Ja niczego panu nie nakazuję. Bo gdyby już doszło do tego, żebym musiał rozkazywać, towarzyszu Rotunda, to by mogło być to bardzo nieprzyjemne. W takich razach nie istnieje dla mnie przyjaźń,

istnieje tylko partia. Więc chyba nie chce pan do tego dopuścić, prawda? „Oczywiście, że nie, kreisleiterze.” - No widzi pan, mój drogi Rotunda, rozumiemy się. Niczego innego się też nie spodziewałem. A więc proszę udać się na górę i przedstawić sprawę generałowi, generałowi osobiście! Nic więcej pan nie musi robić. * * * - Jestem panu bardzo zobowiązany, że mnie pan przyjął, panie generale - powiedział restaurator Rotunda. - Proszę bez długich wstępów - rzekł generał Modersohn. - O co chodzi? Rotunda w starannie dobranych słowach przedstawił swoją sprawę: bijatyka, zdemolowanie inwentarza, zaczepianie gości cywilnych - sprowokowane przez grupę szkolną Heinrich. Rotunda przy tym czuł się wyraźnie nieswój. Bynajmniej nie dlatego, żeby go dręczyło sumienie. Był zmieszany i zgnębiony, bo miał wrażenie, że gada do obrazu. Modersohn siedział, jak zwykle, na swoim krześle zupełnie bez ruchu. Twarz jego wydawała się skamieniała, oczy ani drgnęły - były cały czas wlepione w Rotundę. A kiedy ten wreszcie wybąkał już wszystko, generał zapytał jedynie: - Czy to, o czym pan mi tu opowiedział, wyłożył pan na piśmie, panie Rotunda? - Tak jest, panie generale! - zawołał ten skwapliwie i prawie z ulgą, że ta milcząca potęga potrafi również mówić. Mimo woli Rotunda przyjął wojskową postawę. Nie opuścił go niezawodny instynkt niemieckiego cywila: chętnie oddawał władzy wojskowej należną jej cześć. Trochę kurczowo wyprężony na baczność, ale uszczęśliwiony, że mógł spełnić życzenie wysokiego oficera, wręczył generałowi pisemne zażalenie. - Pozwoliłem sobie napisać je w formie raportu informacyjnego. Modersohn wziął kartkę papieru, nie zmieniawszy ani trochę swej postawy, wyciągnął tylko rękę. Położył dokument przed sobą na biurku i powiedział: - Dam panu znać, panie Rotunda. Restaurator i właściciel winnicy Rotunda zorientował się, że audiencja jest skończona. Spontanicznie podniósł rękę do niemieckiego pozdrowienia, czego jednak generał już nie przyjął do wiadomości. Modersohn był zajęty: przebiegał wzrokiem wręczone mu pismo, powoli i bardzo gruntownie. - Heil Hitler, panie generale! - zawołał Rotunda. - Do widzenia - powiedział generał, nie podnosząc oczu. * * * - Poproszę pannę Bachner - zarządził generał. Sybilla, z długimi falistymi lokami, w strojnej obcisłej beżowej sukience, weszła tanecznym krokiem do gabinetu. Stała przed generałem, zgrabnie odstawiając lewą nogę nieco w bok, i powiedziała: - Słucham, panie generale. Generał Modersohn obrzucił swoją żeńską siłę biurową, która w ostatnich czasach wyglądała coraz bardziej kobieco, szybkim zdumionym spojrzeniem. Sybilla jednak nie dostrzegła w jego badawczych oczach jakiegoś specjalnego niezadowolenia. Toteż poweselała od razu. Ale już po trzech minutach przekonała się, że do wesołości nie ma najmniejszego powodu. - Następujące pismo - powiedział generał z otrzeźwiającą rzeczowością - do dowództwa II kursu. Pilne! Z prośbą o zajęcie stanowiska. Generał położył pismo restauratora Rotundy po prawej stronie biurka. Znaczyło to: załatwione - poczta wychodząca. Nie podał go wprost do ręki swojej sekretarce - to nie było w jego zwyczaju. - To wszystko - powiedział na zakończenie. * * * Drażliwy dokument wylądował w pół godziny później na stole majora Freya. Ten przeczytał najpierw lakoniczną uwagę generała. Było to jedno ze zwykłych, niewiele mówiących sformułowań. „Z prośbą o zajęcie stanowiska” było rutyną - nic poza tym. Potem jednak major przeczytał załączone pismo restauratora Rotundy. I to nie bez przerażenia. Frey lekko zbladł. Lekka i nie ustępująca bladeść majora przy tej lekturze była całkiem zrozumiała. I to co najmniej z dwóch przyczyn: po pierwsze wygrzebano znowu sprawę, którą Frey uważał już za ostatecznie pogrzebaną. Poza tym major uświadomił sobie - i od tego momentu kolor jego twarzy zaczął się stopniowo zmieniać, biel przechodziła w czerwień - że teraz na powrót znajdzie się na tapecie rozkaz specjalny numer sto trzydzieści jeden, co było wysoce ryzykowne. Jeżeli generał się dowie, że bezpośrednią przyczyną bijatyki był ten nieszczęsny rozkaz specjalny - trudno sobie wyobrazić, co z tego wyniknie. Frey widział więc zwalające się na niego komplikacje za komplikacjami. Ale major również był doświadczonym wojskowym: znał dobrodziejstwa drogi służbowej. Umiejętnie wykorzystane pomagały człowiekowi nie tylko odsapnąć, ale jeszcze szczególnie zręcznemu - a za takiego się miał - pozwalały zwać z siebie odpowiedzialność, możliwie w dół. Dlatego major Frey wzbogacił leżące przed nim pismo o następującą uwagę: „Pilne!! Dla zajęcia stanowiska w trybie przyspieszonym przekazano zgodnie z kompetencjami dowódcy szóstego oddziału”. TAK

więc sprawa automatycznie potoczyła się dalej. Następnym przystankiem był kapitan Ratshelm. Przeczytał najpierw uwagę swego dowódcy, potem generała, wreszcie pismo Rotundy. Ratshelm jak zawsze gotów był uszanować poglądy i decyzje swoich przełożonych, więcej: jego ambicją było ich naśladować i brać z nich przykład. Był zasmucony takim rozwojem wypadków. Ale musiał się z nim pogodzić, jakkolwiek on był. I bezzwłocznie przekazał dalej, co się dało przekazać. Tak więc kapitan Ratshelm wzbogacił dokument o następującą charakterystyczną uwagę: „Pilne!!! Z prośbą o natychmiastowe zajęcie stanowiska przekazano zgodnie z drogą służbową dowódcy grupy szkolnej H”. * * * To trzykrotnie przesunięte z jednego szczebla na drugi pismo wylądowało w końcu u porucznika Kraffta. Porucznik prowadził akurat wykład na temat korespondencji. Również i on przeczytał najpierw skąpe uwagi swoich przełożonych. Zobaczył natychmiast, że „pilne!” z jednym wykrzyknikiem zamieniło się w „pilne!!!” z dwoma wykrzyknikami, i z kolei w „pilne!!!” z trzema wykrzyknikami. Ale Krafft nie był tym ubawiony. Dokument Rotundy był niebezpieczny, co do tego nie miał żadnych wątpliwości. Przeczytał go dwa razy, powoli wgłębiając się w jego treść. Jego podchorążowie zdawali się wyczuwać, że była to lektura niezbyt przyjemna. Zaczęli się niepokoić. Instynktem ciężko doświadczonych, bezustannie pilnowanych i śledzonych kandydatów na oficerów węszyli trudności. Coraz bardziej zasepiająca się twarz ich dowódcy była wystarczająco wymowna. - Panowie - powiedział w końcu porucznik, podnosząc wzrok - ponieważ jesteśmy akurat przy temacie korespondencja, zaznajomię was z udanym przykładem fachowo opracowanego zażalenia ze strony ludności cywilnej. Proszę uważnie słuchać. I porucznik Krafft pozwolił sobie na bardzo śmiały krok: przeczytał cały dokument. Nie opuścił ani jednego słowa: Zaczął od wydrukowanego adresu nadawcy i daty - piąty marca 1944 - a skończył na uwagach na marginesie komendanta szkoły wojennej, dowódcy kursu i dowódcy oddziału. Kiedy skończył, zapanowało najpierw przytłaczające milczenie. Kramer sapał wzburzony. Rednitz miał czujne oczy. Hochbauer zagryzał wargi. I tylko M~osler powiedział otwarcie: „To skończone świństwo!”, na co wielu kiwnęło z przekonaniem głową i wymamrotało pod nosem słowa aprobaty. - Przyjaciele! - położył temu tamę Krafft - wypraszam sobie wszelkie osobiste uwagi. Tu chodzi na razie o przedmiot nauczania i o nic innego. Nie chcę więc słyszeć żadnej polemiki, lecz zupełnie rzeczowe zajęcie stanowiska. Zrozumiano? Podchorążowie zaczęli powoli rozumieć. W ciągu tych czterech tygodni, odkąd porucznik Krafft został ich instruktorem, nauczyli się wiele. Krafft nauczył ich dostrzegać istotę rzeczy i unikać nastawionych na nich sideł. Uwolnił ich od gąszczu przepisów, w sposób co prawda dość brutalny, lecz bardzo skuteczny - systemem, który pomalutku zaczynał przynosić owoce. I właśnie dlatego porucznik mógł sobie teraz pozwolić na zaznajomienie ich, co prada pod przejrzystym płaszczykiem „korespondencja”, ze sprawą niebezpieczną jak rozpalone żelazo. M~osler jeden z pierwszych zrozumiał, co się tu święci. Zareagował na to oczywiście na swój sposób. Podniósł się rozpromieniony i oświadczył: - Proponuję zaopatrzyć ten dokument w następujące postscriptum: Pilne! Pilne!! Pilne!!! Zgodnie z kompetencjami przekazane przez dowódcę grupy szkolnej, za pośrednictwem starszego grupy, z prośbą o niezwłoczne zajęcie stanowiska w trybie przyspieszonym, a mianowicie przekazane podchorążemu Hochbauerowi, który zgodnie z własnym przekonaniem i oświadczeniem wszystko wie i o wszystkim potrafi mówić. Grupa roześmiała się z pewną ulgą - i to kosztem Hochbauera, który rzucił M~oslerowi druzgocące spojrzenie. Porucznik Krafft wielkodusznie nie dostrzegał tej sceny. Oświadczył: - Kompetencje w sprawie tego rodzaju pism kończą się zwykle na ostatnim oficerze. Spróbujcie więc spokojnie czuć się już tak, jak byście byli w skórze oficerów. Ciekaw jestem, co z tego wyjdzie. Teraz zgłosił się Rednitz, a gdy pozwolono mu przedstawić swoje poglądy, wstał i oświadczył: - Takie zażalenie, niezależnie od tego, skąd pochodzi, powinno się najpierw zbadać, aby wiedzieć, ile w nim prawdy. Nierzadko okazuje się, że podane w zażaleniu fakty niezupełnie lub bardzo niedoskonale odpowiadają faktycznemu stanowi rzeczy. - Możliwe, Rednitz - przyznał mu rację porucznik Krafft. - Ale przegapiliście widocznie fakt, że pismo to nosi dzisiejszą datę. - To może być tylko nieporozumienie - wykrztusił Kraner szorstko. - Załatwiliśmy przecież wszystko ku obopólnemu

zadowoleniu. Ponownie zgłosił się Rednitz, któremu stanowisko Kramera wydało się widocznie nieco zbyt natrętne. Zauważył: - Po bliższym przyjrzeniu się okazuje się często, że wyjaśniająca rozmowa w połączeniu z przyzwoitym odszkodowaniem na ogół wystarcza do załatwienia spraw ku obopólnemu zadowoleniu, i nie trzeba się koniecznie uciekać do pisemnego doniesienia. - A jak waszym zdaniem - spytał Krafft zaciekawiony - musiałoby w praktyce wyglądać tego rodzaju wyjaśnienie? PORucznik otrzymał wielorakie i wyczerpujące informacje, jak na przykład: idzie się do poszkodowanego, ściska mu się dłoń, jest się uprzejmym, uświadamia się go, próbuje się go przekonać, ofiarowuje mu się wspaniałomyślne odszkodowanie nie tylko za szkody faktyczne, ale i moralne, po czym jeszcze raz ściska mu się dłoń. W sumie: w ten sposób Krafft dowiedział się wszystkich szczegółów akcji pojednania, podjętej przez podchorążych w niedzielę - nie zapytawszy o to bezpośrednio. I szczegóły te podawano mu ze wszystkich stron, przy żywym, powszechnym udziale. Właściwie tylko mała grupka skupiona wokół Hochbauera nie brała udziału w tej spontanicznej manifestacji zaufania - ci przyjęli postawę wyczekującą, zachowywali się z rezerwą. Ale właśnie taka postawa była Krafftowi na rękę. - Bardzo interesujące punkty widzenia - powiedział porucznik, składając dokument. - POzostawię was teraz na czas nieokreślony samych. KOMendę nad wami przejmie tymczasem starszy grupy. I żebyście się zanadto nie nudzili, napiszecie do mnie list kondolencyjny, w związku ze śmiercią mojej kuzynki. Umarła przedwczoraj. Jasne? Podchorążowie spojrzeli po sobie zdumieni. POTE m uśmiech wykwitł na ich gębach: znowu czekało ich jedno z oryginalnych wypracowań stylistycznych „model Krafft”. Cóż, tego rodzaju efekty nie były już niespodzianką dla nich - byli jedynie nieco zaniepokojeni tym, że Krafft nie podał im dokładnego terminu. Ile minut mieli do dyspozycji? Prawdopodobnie zależało to od tego, dokąd Krafft szedł - do toalety czy do swojej kwatery, do dowództwa oddziału czy też na dół do Wildlingen na kieliszek wina. Krafft tymczasem włożył pas i czapkę. Ale przed opuszczeniem sali zamierzał jeszcze zasunąć komuś dobrze wycelowany cios z boku. Kiedy był już w drzwiach i starszy grupy krzyknął „bacność”, a podchorążowie zamienili się w słupy soli, odwrócił się jeszcze raz i powiedział spokojnie, ale bardzo wyraźnie: - Powinniście byli wziąć nieco żywszy udział w naszych wysiłkach wokół załatwienia tej sprawy, Hochbauer, przynajmniej taki sam udział, jak w bijatyce, w której odegraliście przecież niepoślednią rolę. A więc Hochbauerowi znowu się dostało. Siedział w swojej ławce sztywny i wyprostowany. Nie odważył się odpowiedzieć ani jednym słowem. Ostrożność wydawała mu się wskazana. W tej chwili większość podchorążych sympatyzowała z tym Krafftem. - Proszę państwa - powiedział Egon Weber przy ogólnej aprobacie - tkwimy po uszy w gównie, i jeśli już nas ktoś z tego wyciągnie, to tylko nasz porucznik. - Ale jak on to robi, to dla mnie tajemnica - stwierdził M~osler. - Czarodziejem przecież nie jest. Zaś B~ohmke, poeta, zaprodukował się jednym ze swoich cytatów z „Fausta”: „Wstań i głowę wznies w wichurę, @ która straszy śpiący tłum - @ szlachetnego wznosi w górę@ szybkich skrzydeł wielki szum.”@ (Przekład Emila Zagadłowicza) * * * - Chciałbym się zobaczyć z generałem - powiedział Krafft. Porucznik Bieringer, adiutant, podniósł wzrok znad swojej pracy. Widać było, że postawa i nachalny ton gościa wyraźnie mu się nie podobały. To nie był sposób, w jaki żołnierze czy oficerowie powinni się zachowywać w tych uświęconych pomieszczeniach. Ale, rzecz zdumiewająca, Bieringer nie powiedział nawet słowa - spojrzął tylko na Sybillę BACHner. A Sybilla rzekła uprzejmie: - Pan generał czeka już na pana. - Na mnie? - spytał Krafft z niedowierzaniem. Sybilla skinęła głową. - Już mniej więcej od godziny. Proszę spokojnie wejść, panie poruczniku. Krafft chrząknął. To poszło jakoś za szybko i za gładko. To mu wydmuchiwało wiatr z żagli. Wyprostował się, obciągnął mundur i wszedł - jak zwykle bez pukania - do pokoju generała. - No? - spytał Modersohn, świdrując porucznika swymi jasnymi oczami. - Proszę o sprawozdanie. Mów pan. - Chodzi, panie generale, o bijatykę w gospodzie „Pod Kolorowym Psem”, w której brała udział również i moja grupa. - Proszę bez wstępów - powiedział Modersohn - do rzeczy, panie poruczniku. - Panie generale - rzekł porucznik - doniesienie tego Rotundy opiera się na faktach. Bijatyka miała miejsce; alkohol, baby, nastrój karczemny - zwykłe motywy. Ale następnego dnia moja grupa próbowała uregulować sprawę. I Rotunda wyraził zgodę

na to. Tym samym sprawa była praktycznie załatwiona. Lecz w dzień później ktoś nakłonił tego Rotundę do zmiany stanowiska, i to po to, żeby mi podstawić nogę. - Nakłonił go... kto, panie poruczniku? - Kapitan Kater - powiedział Krafft z przekonaniem. - Dlaczego? - zainteresował się generał. - Z kilku przyczyn, panie generale. - A z jakiej przyczyny w szczególności, Krafft? - W związku z pewną panią, panie generale - rzekł Krafft. Był przekonany, że największa jego szansa na wykaraskanie się z tej sprawy możliwie cało leży w całkowitej otwartości. - Chodzi o pannę Rademacher. - Słyszałem o tej pani - powiedział generał i wstał. Potem, po dłuższej przerwie, rzekł: - Panie poruczniku Krafft, przede wszystkim moje gratulacje z okazji zaręczyn. Poza tym jednak muszę wyrazić swoje niezadowolenie; nie z powodu bijatyki, takie rzeczy się zdarzają, ale z powodu niezłatwienia tej sprawy do końca. Nie lubię takich sytuacji, kiedy ja muszę nadrabiać zaniedbania moich oficerów. Proszę się postarać o to, żeby pan Rotunda natychmiast się do mnie zgłosił. Poza tym proszę zakomunikować memu adiutantowi, żeby zameldował się u mnie niezwłocznie kapitan Kater. Pan zaś, panie poruczniku, musi być każdej chwili do mojej dyspozycji. To wszystko, na razie. * * * Wkrótce potem odbyło się coś, co w otoczeniu generała nazywano powszechnie „świniobiciem” albo „festynem strzeleckim”. Pierwszy stanął przed nim kapitan Kater. - Panie kapitanie Kater - spytał generał głosem łagodnie świdrującym - czy pan interweniował w sprawie: bijatyka w „Kolorowym Psie”? - Jeśli wolno mi wytłumaczyć panu generałowi... - Tak czy nie, Kater? - TAK jest, panie generale, bo myślałem... - Co pan sobie przy tym myślał, panie kapitanie, jest mi obojętne, decydujący jest rezultat. A ten brzmi: podważanie prestiżu szkoły wojennej. Proszę się przygotować do zdania swych obowiązków. Zostanie pan przeniesiony. Do tego czasu będzie miał pan przydzielonego oficera, bez zgody którego nie będzie pan podejmował w przyszłości żadnych decyzji. Oficerem tym będzie kapitan Feders. Może pan odejść, panie kapitanie. * * * Drugim, którego generał wziął w obroty, był pan Rotunda. - Panie Rotunda - powiedział generał - przeczytałem pańskie zażalenie i wszcząłem odpowiednie dochodzenia. I zadaję sobie pytanie, czy pan podtrzymuje tę skargę, czy też może zaszła pomyłka z pańskiej strony. - Panie generale - powiedział Rotunda pocziwie - tu przecież chodzi tylko o moje prawo. - Którego nikt nie kwestionuje, panie Rotunda. Chcę tylko, żeby się pan zastanowił nad pewnym specjalnym punktem widzenia. - A mianowicie, panie generale? - Panie Rotunda - rzekł generał z naciskiem - gdyby rzeczywiście to wszystko, co jest napisane w pańskim zażaleniu, było zgodne z prawdą, i gdybym w związku z tym był zmuszony przeprowadzić śledztwo, to prawdopodobnie doprowadziłoby ono do przykładowego ukarania winnych. - W końcu prawo musi być prawem, panie generale. - Zapewne, panie Rotunda. Chcę tylko zwrócić panu uwagę na nieuniknione w takim wypadku skutki prawne. A więc, panie Rotunda, gdyby się okazało, że pańskie zażalenie nie jest pomyłką, trzeba by było przeprowadzić, co następuje: zabronić wszystkim żołnierzom uczęszczania do pańskiego lokalu. Podać ten zakaz do publicznej wiadomości. Poza tym zastrzegam sobie prawo przedłożenia landratowi i burmistrzowi wniosku o zamknięcie pańskiego lokalu. - Ale - jęczał Rotunda, ugodzony celnym strzałem - ale to przecież nie może być... - Może być i będzie - rzekł Modersohn. - Chyba że zaszła pomyłka i pan wycofuje zażalenie. Najstraszniejsze obrazy stanęły Rotundzie przed oczami: Drzwi jego gospody zabite grubymi deskami, przed nimi posterunki o tęym i groźnym spojrzeniu, w „Wildlinger Beobachter” ogłoszenie: Niemcy - bojkotujcie Rotundę! Zrobiło mu się zimno. Ale to jeszcze nie koniec; jego myśli pędziły dalej: Rotunda - wróg ludu - gońcie go, rozbijcie jego własność, wylejcie jego wino do koryt dla świń - okazał się niegodnym wielkich czasów - lżył i zdradził ducha bojowego - unicewstwić go! Najbardziej jednak zaprzętała Rotundę całkiem inna myśl, której uczepił się jak deski ratunku. Bo co on właściwie obiecał burmistrzowi, kreisleiterowi i landratowi? Tylko jedno: pójść do generała i przedstawić mu zażalenie. Nic więcej. Na więcej się z nim nie umawiał. O dalszych losach tego zażalenia nie było w ogóle mowy. I dlatego Rotunda odetchnął z ulgą i pospieszył zapewnić: - To była pomyłka, panie generale. Wycofuję swoje zażalenie. * * * Trzecim, którego generał wziął do galopu, był porucznik Krafft. - Panie poruczniku - powiedział generał, tym razem z odcieniem żalu - zawiodłem się na panu. - Bardzo mi przykro,

panie generale. - Mnie też. Już raz pana prosiłem o niewdawanie się w żadne podejrzone sprawy, żebym nie musiał interweniować i angażować w to mojego autorytetu. Prosiłem pana, żeby się pan skoncentrował na jednej jedynej, moim zdaniem, najważniejszej sprawie. Dlaczego pan tego nie robi? - Jakoś to wszystko się ze sobą wiąże, panie generale - ośmielił się stwierdzić Krafft. - Ta bijatyka i pańskie zaręczyny też? Wrogość kapitana Katera i pańskie wieczne kontrowersje z dowódcą kursu i dowódcą oddziału? Wszystko to ma mieć jakieś zwiątek z podporucznikiem Barkowem, czy też z człowiekiem, który go wysadził w powietrze? - Panie generale - Krafft odważył się na ostatni śmiały skok - wiadomej sprawy nie spuszczałem nigdy z oka. - I jak daleko pan zaszedł, Krafft? - Mógłbym wymienić nazwisko podchorążego, który jedynie wchodzi w rachubę, panie generale, ale brak mi jeszcze ostanich dowodów. Mimo to mogę powiedzieć: już niedługo. Generał Modersohn oddalił się nieco od Kraffta, tak jakby chciał mu się lepiej przyjrzeć. Jego oczy - teraz lodowatoszare jak zamarznęty na kość, zleżały śnieg - nie odrywały się nawet na ułamek sekundy od twarzy porucznika. Ale jego sztywna, zimna postawa zaczęła się powoli rozluźniać. - Dobrze - powiedział wreszcie. - Ma pan jeszcze kilka dni czasu, Krafft. Ale potem chcę zobaczyć wyniki, takie czy owakie. I nie wdawaj się już pan w żadne nowe awantury. Na moją pomoc nie mógłby pan już w takim wypadku liczyć. Ostrzegałem pana. Proszę mnie teraz zostawić samego. Interludium VIII łyciorys podchorążego Ottona M~oslera czyli: Radości ludzi beztroskich „Nazywam się M~osler, Otto. Urodziłem się w roku 1922, 1 maja. Moje miejsce urodzenia nazywa się Klein_Zachnow, powiat Luckenwalde. Ojciec mój, któremu również na imię Otto, pracował wtedy na kolei. Matka moja, Emma, była z domu Kressenfuss. Z początku mieszkaliśmy w Klein_Zachnow. Tu też zacząłem uczęszczać do szkoły ludowej.” Koń stojący u nas w stajni nazywa się Wilhelm - i to Wilhelm III, bo jest to już trzeci koń imieniem Wilhelm. Poza tym jest on własnością mego dziadka, a ten jest monarchistą i z zawodu żandarmem. Dziadek Kressenfuss, ojciec mojej matki, jest u nas na wsi czymś w rodzaju króla, kiedy nie ma właściciela dóbr von Keibla. A Keibla przeważnie nie ma - jest prawie zawsze w Berlinie, gdzie robi politykę. Tak więc dziadek żandarm ma wolną rękę i komenderuje wszystkim - całą wsią, również swoją córką, która jest moją matką, a także moim ojcem, który potajemnie klnie z tego powodu. „Ten liczyrzepa - mówi ojciec o ojcu matki - działa mi coraz bardziej na nerwy.” - „To dobry człowiek - mówi matka. - Poza tym mieszkamy u niego. Najpierw musisz więcej zarobić, potem dopiero możesz kręcić nosem.” Dziadek Kressenfuss, żandarm, potrafi wszystko: umie jeździć konno, orać, kosić i zmuszać ludzi do posłuszeństwa. Kiedy śpiewa w kościele, słycać go aż w szynku. A kiedy śpiewa w szynku, słycać go w całej wsi. Każe sobie napełniać konwię od mleka piwem; podnosi ją do ust i wypija piwo do dna. Stoi na rozkraczonych nogach, jego twarz jest czerwona jak pomidor i lśniaca. Piwo cieknie mu z kącików ust za kołnierz. I nauczyciel, który ma słabą głowę, mówi: „Dobry żołądek broni się przed alkoholem”. A dziadek, żandarm Kressenfuss, powiada na to tylko: „Bałwan!” „Ten bajzel mi już bokiem wyłazi - mówi ojciec. - Muszę się stąd wydostać, inaczej się uduszę.” - „Na kolei - mówi matka na pewno do niczego nie dojdiesz. Tam nie zostaniesz nawet urzędnikiem.” - „Bo nie chcę tam zostać urzędnikiem! - mówi ojciec. - Ale w końcu jestem jeszcze młody, jakoś dam sobie radę. Machnę się do Berlina.” - „A co będzie ze mną i z Ottonem?”, pyta matka. „Sprowadzę was - mówi ojciec, i dodaje: - Jak się wydostanę z biedy.” Gra orkiestra dęta, powiewa sztandar i zwiątek rezerwistów defiluje przed właścicielem dóbr von Keiblem, który wdział swój mundur oficera rezerwy i przykłada rękę do hełmu. Jeden z moich wujków maszeruje w pierwszym szeregu, inny w trzecim, jeszcze inny w ósmym. Ja śpiewam w chórze szkolnym, mianowicie w pierwszych głosach. Matka mi macha chusteczką wujka. Zaś dziadek Kressenfuss jest dziś rzeczywiście żandarmem: czuwa nad spokojem i porządkiem. Ale kiedy von Keibel mówi o Niemczech, o haniebnym pokoju wersalskim i ciosie w plecy, to i dziadek wyciera ukradkiem łzę z oka - z lewego. A ja mu podaję moją chusteczkę. Wujek z czwartego szeregu jest szczególnie miły. Odkąd ojciec jest w Berlinie, gdzie również robi politykę, wujek zajmuje się niekiedy matką. Jest zawsze dobry dla mnie i wie, jaką czekoladę lubię najbardziej. Targa mnie za włosy i potrząsa moją głową, śmiejąc się przy tym, śmieje się do mnie,

a także do mamy. A czasem śmieje się też, kiedy jest z mamą w sąsiednim pokoju. Przeważnie jednak tam tylko stęka. „Porządek - mówi żandarm Kressenfuss, mój dziadek - potrzebny nam jest porządek.” A potem pije piwo i patrzy zadumany przed siebie. „Jesteś moją córką - mówi do mamy - i dlatego dobrze wiesz, co to porządek.” A potem znowu upija trochę swego piwa. „Ty zaś - mówi do mnie - jesteś moim wnukiem, i kiedyś też będziesz wiedział, co to porządek.” A ja mówię: „Wiem już teraz, co jest w porządku, a co nie”. Kiwa z uśmiechem głową, podsuwa mi swoje piwo i pozwala mi pić. A potem nagle pewnego dnia wraca ojciec. I powodzi mu się dobrze - widać to po jego ubraniu, słyhać po jego głosie. „Udało mi się - mówi - wsiadłem na właściwy statek. Nadchodzi nowa epoka, i ja to w porę przewidziałem. Jestem teraz w gestapo, no, co wy na to?” Robimy naprawdę wielkie oczy. Dziadek szeroko rozdziawia gębę. A mama pyta: „Czy tam się dobrze zarabia?” - „Najlepiej!” - mówi ojciec. „Latem 1933 roku przeprowadziliśmy się do Berlina, gdzie ojciec miał posadę. Mieszkaliśmy w Charlottenburgu, przy Uhlandstrasse. W 1936 roku ukończyłem szkołę i poszedłem terminować do firmy Rahmke (instalacje). Tu w Berlinie wszystko jest prawie tak samo, jak w Klein_Zachnow. Tylko że tu więcej ludzi. Ale inni to oni nie są. Zamiast dwóch szynków jest tu dwieście, a może i dwa tysiące. Ale zalani ludzie są wszędzie tacy sami. Na wsi czterech czy pięciu wymigiwało się od roboty, dwóch oszukiwało, siedmiu cudzołożyło, jeden był złodziejem, jeden uwodził dzieci, sześciu fałszowało wiktuały, dwóch było alkoholikami - wszystko to istnieje tu w mieście także, tylko jest tego sto razy więcej. A ulice są proste jak bruzdy na polach, samochody stoją jak konie, a w knajpach piwo płynie z takich samych kurków. I gdziekolwiek spojrzysz: brązowo jak w klozecie, i swastyki. Są tu też wujowie, którzy zajmują się mamą, kiedy nie ma taty. Wszystko jak w Klein_Zachnow. Tylko jest tego o wiele, wiele więcej. Ona ma na imię Magda i mieszka u nas w kamienicy. Lubię ją, i ona mnie lubi - ma chyba tak ze trzydzieści lat. Stoi albo leży. Stać to ona stoi na rogu Uhlandstrasse_Kurf~urstendamm. Leżeć leży w łóżku - sama, kiedy jestem u niej; z kimś, kiedy drzwi są zamknięte. „Biedny chłopczyku”, mówi czasem do mnie i przyciska mnie do swej piersi, tak że ledwo mogę złapać oddech. Ale paruje z niej ciepło i wszyscy ją bardzo lubią. Również tata, kiedy się zdarzy, że jest w domu. „Otto M~osler - mówi do mnie nauczyciel - czym ty właściwie chciałbyś być w przyszłości?” - „Tego to ja nie wiem!” - „Zwykle to ty wszystko wiesz”, mówi nauczyciel. „Ale tego nie wiem”, powiadam. „No - powiada on - masz chyba jakieś marzenia, nie?” - „No tak - powiadam - najchętniej zostałbym stałym przyjacielem Magdy.” - „Fe! - woła on. - Jak możesz coś takiego mówić!” Z czego widać, że on dobrze wiedział, kim była Magda. „Chłopiec za dużo wie”, mówi mama do taty, kiedy tata jest akurat znowu w domu. „To bądź co bądź lepiej, jak gdyby wiedział za mało”, mówi ojciec. A matka mówi: „Uczy się świństw”. - „Nie u mnie”, mówi ojciec. „Powinieneś być wzorem dla niego - mówi matka - jemu to jest potrzebne.” - „Może to i racja - mówi ojciec. - Zajmę się nim przy okazji i nauczę go, jak trzeba żyć.” „Otto - mówi ojciec do mnie - skończysz niedługo szkołę i będziesz się musiał nauczyć jakiegoś przyzwoitego zawodu.” - „Czy nie mogę zostać tym samym, co ty?”, pytam. „Lepiej nie myśl o tym, Otto - mówi ojciec. - To nie dla ciebie. POpatrz, twój dziadek był urzędnikiem, i jak na Klein_Zachnow to wystarczyło. Ja jestem w policji państwowej i napatrzę się dość życia. Dlatego wiem, co trzeba robić, żeby się wygodnie urządzić. Rzemiosło, powiadają, to złoty interes; możliwe. Ale rzemiosło i sklep razem - to dopiero to, co trzeba, od tego będą pieczone gołąbki, to jest coś dla ciebie.” Majster Rahmke mówi do nas dwóch, swoich uczniów: „Naszą klientelę trzeba rozpatrywać z dwóch punktów widzenia: według dup i według kies. Bo w końcu jesteśmy instalatorami. A nasi klienci są zadowoleni tylko wówczas, gdy przy tej wielkiej potrzebie mogą sobie wygodnie siedzieć. To jest nasz cel. A więc uważajcie na kiesy i na dupy. I zważajcie na to, żeby obie się ze sobą zgadzały. To mianowicie jest psychologia. Tylko ten, kto może sobie pozwolić na to, żeby dużo jeść, ma potem potrzebę dużo... tak, tak.” A my kiwamy głowami i rozumiemy majstra, który jest wielkim kawalarzem i dobrym kupcem na dobitkę. A ojciec, któremu to opowiadam, mówi: „Ma poczucie humoru, stara świnią.” Wydaje się niezbyt doświadczona w tych rzeczach, ale na tym właśnie, jak słyszałem, polega cały urok. Jedziemy na karuzeli, już trzeci raz; ziemia ucieka,

światła migocą, i czasem ona wydaje piskliwe dźwięki - na przykład wtedy, gdy ja niby przypadkowo, jakbym chciał się czegoś uchwycić, dotykam jej piersi, która jest dość pokaźna i jędrna. I pytam sam siebie: Czy ona tylko tak udaje, czy naprawdę nie chce? Ale wtem ona się mnie czepia, jej ręce szukają oparcia i chwytają za moje uda. A potem, żeby trochę odetchnąć, jak mówię, idę z nią za budy jarmarczne w ciemność. Podoba mi się, mam chrapkę na nią, i to się ma stać po raz pierwszy. Ona jednak odpycha mnie jak szalona, bije mnie, woła „Ty świnió”, i ucieka. A ja patrzę za nią zdumiony i myślę: Ona chyba jest nienormalna! „Posłuchaj no dobrze, Otto - mówi ojciec do mnie. - Nie upadłeś na głowę, a to już dużo warte. Ale ty jeszcze nie powąchałeś prawdziwego życia i dlatego opowiem ci coś z mojej praktyki. Jedno musisz wiedzieć przede wszystkim: nikt nie ma zbyt mocnego kręgosłupa. Każdego można zmiękczyć. Wszystko jest tylko kwestią czasu. Dla tak zwanego silnego człowieka trzeba po prostu trochę więcej czasu, zanim upadnie na kolana. Dzisiaj miałem takiego jednego na przesłuchaniu; to była fajtłapa. Pocił się już po godzinie; po dwóch godzinach ślinił się; po trzeciej godzinie rozglądał się wokoło jak nie dorżnięte ciele. Ziewać mi się chciało, kiedy patrzyłem na tego człowieka. Po dalszych trzech godzinach wyśpiewał wszystko, co chciałem wiedzieć. A jutro przysięgnie na wszystko, na co zechcę. I w tym momencie sam nawet będzie w to wierzył. W tym momencie tak. Ale pojutrze już nie, lecz wtedy będzie już za późno. Otto, tacy są ludzie. Wszystko jest w nich niedoskonałe - nawet ich słabość.” Na tę chwilę oszczędzałem kilka tygodni: odę do pokoju Magdy, kładę jej pieniądze na stół i pytam: „Wystarczy?” - „Na co ma wystarczyć?”, pyta Magda. „Na miłość.” - „Ty mały głupku - mówi Magda. - Schowaj natychmiast te pieniądze.” - „Nie chcesz?”, pytam i jestem strasznie rozczarowany. „Ach, ty mały idioto - mówi Magda - kto ci powiedział, że nie chcesz? Ale dlaczego chcesz płacić za coś, co możesz mieć za darmo? Nie patrz na mnie tak głupio, zamknij lepiej drzwi.” „Moja nauka w terminie skończyła się w roku 1939. W tym samym roku zostałem powołany do wojska. Służbę wojskową pełniłem w różnych jednostkach, w końcu jako kandydat na oficera zostałem odkomenderowany do szkoły wojennej.” W wojsku w gruncie rzeczy nie jest wiele inaczej niż w szkole. Dużo to się tu nie nauczę - przeważnie wiem wszystko już z góry. Ale zwierzchnik lubi czuć, że jest zwierzchnikiem. Niech będzie, jeśli mu to sprawia przyjemność. Jeśli o mnie chodzi, to może się puszyć jak paw albo ryczeć jak nie dorżnięta dzika świnia, mnie nawet powieka nie drgnie. „Otto - mówi ojciec do mnie, kiedy po raz pierwszy przychodzę do domu w mundurze - teraz jesteś mężczyzną, i chcę z tobą pomówić jak z mężczyzną. Postaw parę butelek piwa na lód, Emma, i zostaw nas samych. Otto, ponieważ jesteśmy sami, powiem ci, co sądzę o życiu. Mianowicie: nic. Zrozumiałeś mnie dobrze? Nic. Bo wszystko jest gównem.” „Otto - ciągnie ojciec dalej - widziałem w swoim życiu wiele trupów i całe mnóstwo takich, co byli żywymi trupami. Jakby byli produkowani taśmowo - nie tylko przez nas, ale przez to, co powszechnie nazywa się życiem. Bo czym człowiek w końcu będzie? Trupem. Tak toczy się świat, Otto. Miej to zawsze na uwadze.” Na takiej wojnie poznaje się ludzi. Na każdym kroku czyha jakiś taki człowiek_potwór: przełożony z manią wielkości, skomlący tchórz, superkretyński idealista, plujący jadem wysoki oficer - wyć się chce, jak się patrzy na tę bandę. Nie widzę już prawie światła. W głowie mi huczy, oczy mi się zamykają. Ktoś wyrzaskuje na całe gardło moje nazwisko. Zmuszam się i otwieram oczy. Wszystko naokoło mnie wiruje, butelki stojące przede mną na stole zdają się tańczyć, i skąpe światło tańczy wraz z nimi. Ale poprzez kłęby dymu, poprzez płot z opróżnionych butelek, poprzez światło widzę leżącą na kanapie dziewczynę. I widzę otwarte usta, z kąćków płynie strużka śliny, widzę skaczące piersi, które zdają się na mnie nacierać. Koledzy rzucają we mnie gołą dziewczyną. Ale mnie się robi niedobrze, rzygam - człowieku, ale jestem zalany! Człowieku, aleśmy się uśmiali! Gottlieb Degersweiler czuje do mnie miętę. Nie ma szczęścia u kobiet, no to mu czasem pomagam. Ma to swoje dobre strony, bo Gottlieb jest żandarmem polowym i ma przyjaciół w kompanii gospodarczej, wśród piekarzy i rzeźników. Niekiedy daje prywatne przedstawienie dla mnie. Błaszana tarcza u jego szyi, jego oznaka żandarmowska, chwieje się lekko, kiedy Gottlieb wyrywa oficerowi teczkę. Ten chce ją złapać, ale Gottlieb obejmuje jego palce i odgina je do tyłu. Oficer robi się oficjalny. Ale Gottlieb

powiada tylko: „Człowieku, trzymaj pysk!” Teczka jest zamknięta na klucz. Gottlieb żąda od oficera klucza. Ten coś pieprzy o poleceniu służbowym. Gottlieb bagnetem rozpruwa teczkę. Zawartość: wyroby tytoniowe i konserwy. Zawsze to samo. „Skonfiskowane”, mówi Gottlieb. „Aresztowany”, mówi Gottlieb. Nazywa się Marita Schiffers. Odbiłem ją pewnemu majorowi. POszło to stosunkowo łatwo, bo major jest człowiekiem zmęczonym, a Marita poczuła zapach krwi. Jest niepohamowana jak wojna i posłuszna jak ostatni rekrut. Klęka przede mną, kiedy tego żądam. Wystarczy dotknięcie palcem, a już się kładzie. Przychodzę w dzień, w nocy, wczesnym rankiem, i mówię: Teraz. I ona robi wszystko, co jej każę. Lecz ja czuję, że ona jest mi potrzebna, że mnie potwierdza. A ona mnie dlatego potwierdza, bo nie potrafi inaczej. Bo jej wola jest moją żądzą, bo moja wola staje się jej pragnieniem. Taki jest świat. Można go mieć w kieszeni, jak się o tym wie. Ale nadchodzi dzień, kiedy i ta Marita Schiffers budzi we mnie już tylko wstręt. Oddaję ją z powrotem majorowi. A ten jest wręcz wzruszony. Chce mi jakoś okazać swoją wdzięczność. Wyje nieomal ze szczęścia. I tak zostaję kandydatem na oficera. 25 Falszywy krok z wyrachowania - Wstrętny typ - powiedział podchorąży Hochbauer z przekonaniem, przyglądając się porucznikowi Krafftowi, który stał przy pulpicie. Powiedział to naturalnie po cichu, szeptem. I jego najbliższe otoczenie udawało, że nie słyszy. Ale bądź co bądź powiedział to - otwarcie, jak zwykle. Hochbauer zrozumiał bowiem, że porucznik Krafft nie jest jego przyjacielem. Niewiele doprawdy trzeba było, żeby to zrozumieć, ale mimo to Hochbauer nie ułatwiał sobie zadania. Teraz jednak miał już pewność, teraz dopiero postanowił wyciągnąć ostateczne wnioski. Hochbauer był zawsze przygotowany na to, że będzie spotykał ludzi, którzy nie będą nosili tych samych barw, co on. Myślał sobie: przeszkody istnieją wszędzie; i: kto chce zwyciężać, musi walczyć. O tak - Hochbauer wiedział, że istnieje robactwo, które bohater musi zdeptać. święty Jerzy, pogromca smoka, był mimo swego kościelnego pochodzenia zawsze jedną z jego ulubionych postaci - tylko że jego własne smoki miały obce, żydowskie rysy; albo patrzyły na świat z zakłamaną chrześcijańską łagodnością; albo z chłopsko_barbarzyńską przebiegłością przeciwstawiały się prawdziwemu postępowi - jak na przykład ten porucznik Krafft. - Szumowiny! - mruknął Hochbauer pod nosem. - Panowie - rzekł porucznik Krafft, podnosząc do góry plik kartek - pozwoliłem sobie tu kiedyś natchnąć was do napisania listu kondolencyjnego, w związku z rzekomą śmiercią mojej kuzynki. A oto rezultaty. I muszę wam powiedzieć: przeszły moje najśmielsze oczekiwania. Podchorążowie z tyłu za Hochbauerem śmiali się głupkowato, niektórzy nawet trochę zafrasowani, inni znowu beczeli jak owce - zdaniem Hochbauera. Niemało było wokoło tego bydła. Nie dziwił się temu: ludzie wyjątkowi zdarzali się rzadko - właśnie owa rzadkość wyciskała na nich piętno wyjątkowości. On się do nich zaliczał. To jednak pociągało za sobą określone obowiązki: chodziło o to, by przewyciężać rzeczy niskie, odpierać podłe, usuwać przeszkody. Proces selekcji. Porucznik Krafft jednak - snuł dalej swe rozważania Hochbauer - , był chyba czymś więcej niż tylko przeszkodą; był niebezpieczeństwem. Im dłużej Hochbauer go obserwował, tym wyraźniej to wychodziło na jaw. Już sam wygląd tego oficera: prowokacyjny brak elegancji, chłopska buhajowatość, maniery poniżej krytyki! Ani śladu owej surowej gracji, która zdradzała wewnętrzną energię; ani cienia przynależności do świadomej władczej elity wodzowskiej; nic z klasycznego, rasowego piękna. Sprytny kundel wojny, nic więcej. - Przyznam się - mówił porucznik Krafft, mrużąc oczy - że tak wzruszające współczucie, jakie mi okazała moja grupa w związku z omawianą stratą bliskiej mi osoby, wywarło na mnie głębokie wrażenie. Dlatego nie chciałbym zrezygnować z przeczytania wam paru ociekających wprost uczuciem linijek. Podchorążemu Bergerowi na przykład nie wystarczyło moje oświadczenie; przezornie kupił sobie jeszcze gazetę i pisze: „Po przeczytaniu również w gazecie tej smutnej wiadomości bolesna strata poniesiona przez pana, szanowny panie Krafft, stała się dla mnie pewnością, z którą trudno się pogodzić”. Podchorążowie śmieli się. Hochbauer odwrócił się i obserwował ich z pogardą. Ten Krafft - myśl ta nasunęła się Hochbauerowi z nieodpartą siłą - jest typowym elementem rozkładu; jak mówi Treitschke: ferment dekompozycji! Nie ma w sobie nic pozytywnego. Brak mu powagi i moralności. A już zupełnie nie ma poczucia świętych obowiązków wobec wiecznych wartości

narodu niemieckiego. Otóż to właśnie! Ten Krafft ma w sobie wszystko to, co można nazwać zdegenerowanym, jadowitym, słowem - obcym rasowo. Jego krew musi być skażona krwią żydowską! - Podchorąży M~osler - ciągnął Krafft dalej - odsłania nawet tajemnicę swego serca i zaskakuje mnie następującymi słowami: „Głęboko wstrząśnięty śmiercią tak nad wyraz przez nas cenionej kuzynki pana, szukam daremnie odpowiednich słów...” No, ta ostatnia uwaga jest trafna: a co się tyczy mojej kuzynki tak nad wyraz cenionej również przez kilku innych, to mam nadzieję, że nikt nie szuka dostępu do mnie przez rodzinę, żeby w ten sposób móc zdać tanim kosztem egzaminy końcowe. Beznadziejne, pomyślał podchorąży Hochbauer. Ani krzty wielkości, głębi, poczucia wartości i godności. Ani słowa o ojczyźnie, o narodzie, Rzeszy i F~uhrerze. Wiecznie tylko to rozkładowe, destrukcyjne gadanie. I to w czasie, kiedy wszystko gotuje się do ostatecznego boju. Akurat w takiej sytuacji ten człowiek sieje niewiarygodny zamęt w skromnych, ale przecie otwartych mózgownicach paru biednych, ufnych, łatwych do uwiedzenia podchorążaków. To przecież w gruncie rzeczy było jednoznaczne z sianiem defetyzmu w wojsku. Porucznik Krafft nie miał oczywiście pojęcia, że został poddany takiej druzgocącej krytyce. Z niezmaconym spokojem cytował dalej, ku szalonej radości większości podchorążych, ze skarbicy pism kondolencyjnych: - Nasz B~ohmke uruchamia cały wulkan uczuć i pisze tak: „Opuszcza pana, szanowny panie Krafft. Taka młoda, a jednak musiała zwiędnąć. Razem z panem czuję ten nieznośny ból; ale tak chyba stać się musiało”. Nawet po tym bezwstydnym, przyjętym gromkim śmiechem cytacie podchorąży Hochbauer nie tracił nadziei. Ciągłe jeszcze się łudził, że padnie jakiś zwrot, który uratuje powagę wykładu. Istniało kilka możliwości. Na przykład zwrócenie uwagi na to, że kuzynka jest słowem obcym i wskazane byłoby je zniemczyć. Możliwe było również omówienie nekrologu i listu kondolencyjnego w ogólności, ze specjalnym uwzględnieniem wzorowej, heroicznej postawy w wielkich czasach. Hochbauer był więc gotów dać pozytywną, budującą ocenę nawet tej lekcji. Wyprężył się i utkwiał wzrok w poruczniku. Tym wypróbowanym sposobem dawał do zrozumienia, że chciałby być zapytany. Ale porucznik Krafft nie patrzył na Hochbauera. Ani nie cytował jego pisma kondolencyjnego, ani też nie stawiał mu żadnych pytań. Tak jakby Hochbauer w ogóle nie istniał. Nastąpiło dalszych siedem czy osiem cytat, które doprowadziły do dalszych wybuchów wesołości. I Hochbauer pomyślał z pogardą: Też metoda, łapać za słówka podchorążych, którzy dobrowolnie robią z siebie durniów. Trzeba ich bronić - w ich własnym interesie. Porucznik Krafft zaś oświadczył na zakończenie: - Muszę powiedzieć, że jestem głęboko wzruszony. - I oschle, z twarzą zupełnie nieruchomą dodał: - Przy takiej formie współczucia umieranie musi być wręcz przyjemnością. Zdanie to, przynajmniej jego istotną część, Hochbauer zapisał do swego notesu. Potem obrzucił jeszcze raz badawczym spojrzeniem Kraffta. Następny temat dotyczył kar dyscyplinarnych; punkt ciężkości: formułowanie, zapisywanie i zmazywanie takowych. W tym celu dowódca grupy kazał odczytać odpowiednie punkty regulaminu. On sam zaś, oparty o tylną ścianę, zdawał się obojętnie patrzeć w próżnię. Ziewał nawet. - Głośniej! - powiedział tylko. - Inaczej wszyscy tu zasną. Hochbauer zaś robił nadal swój bilans. I zajęcie to utwierdzało go w przekonaniu, że musi się stać coś decydującego, jeśli chce ukończyć kurs z dobrymi wynikami, możliwie jako prymus. Istniało kilka okoliczności sprzyjających: kapitan Ratshelm, dowódca oddziału, darzył go wyraźnie ciepłą sympatią. Kapitan Feders, wykładowca taktyki, oceniał jego prace zawsze najwyżej. Z majorem Freyem, dowódcą kursu, łączyły go poniekąd prywatne stosunki. Jediną wielką, coraz trudniejszą do pokonania przeszkodą wydawał się być ten porucznik Krafft. - To jest nie do wytrzymania na dłuższą metę - powiedział podchorąży Hochbauer. I uwaga ta była o ton głośniejsza od poprzednich. Krafft bowiem znajdował się za nim, w końcu sali. Podchorążowie siedzący obok niego skulili się w sobie. Udawali, że są całkowicie pochłonięci swoimi notatkami. Hochbauer zaśmiał się pogardliwie. - Jeśli macie coś do oznajmienia - zawołał Krafft - to proszę mówić tak, Hochbauer, żeby wszyscy was słyszeli. A więc, coście chcieli powiedzieć? - Nic, panie poruczniku - odparł ten sztywno. - Nie macie nic do powiedzenia i przynajmniej się do tego. To bądź co bądź już jest coś. I brzmi nawet bardzo przekonująco. Powstaje tylko pytanie: o jakie przekonania tu właściwie chodzi? * * * - Powiedz no, Hochbauer -

spytał go współlokator Amfortas poufale, kiedy wrócili do swych kwater - czy ten porucznik Krafft ma coś przeciwko tobie? - To ja mam coś przeciwko niemu, a on sobie zdaje z tego sprawę i nie jest tym zachwycony - stwierdził Hochbauer, udając obojętność. Byli sami w pokoju. Przerwa obiadowa dopiero co się zaczęła, więc była sprzyjająca okazja do intymnej rozmowy. Hochbauer dał do zrozumienia Amfortasowi, żeby mu pomógł zdjąć buty. Ten wcisnął sobie buty między nogi i spokojnie dał się kopnąć w tyłek. Przy tym Amfortas zauważył, jedynie po to, żeby stworzyć przyjemny nastrój: - Co on ci tam może zrobić, przy twoich stosunkach. Hochbauer pozwolił Amfortasowi usiąść obok siebie na łóżku polowym. Wyróżniony w ten sposób podchorąży uśmiechnął się z wdzięcznością. Doceniał bowiem korzyści, jakie płynęły z zażyłych stosunków z Hochbauerem, korzyści ciągle jeszcze konkretne. A mianowicie częste paczki z wysokowartościową żywnością, z których dla najbliższych przyjaciół Hochbauera zawsze coś tam skapnęło. POza tym jego bogata fachowa wiedza wojskowa i specjalna, która ułatwiała niekiedy innym odrobienie trudnych zadań domowych. No i jego znakomite stosunki. - TE tak zwane stosunki - oświadczył Hochbauer gorliwie słuchającemu Amfortasowi - nie wzięły się przecież z niczego. żeby mogło do tego dojść, muszą istnieć określone przesłanki: umiejętności, zdolności, szczególne talenty. - Ty je masz! - zapewnił go Amfortas. Miał nadzieję skorzystać z pomocy Hochbauera przy najbliższym wypracowaniu z taktyki - jasne, bezbłędne wydawanie rozkazów wciąż mu jeszcze sprawiało trudności. - No tak - przyznał Hochbauer po chwili niby to wahania - w taktyce jestem jednym z najlepszych. - Najlepszym! - pospieszył go zapewnić Amfortas. - To nie ulega żadnej wątpliwości. - Nie będę się wypierał - zgodził się Hochbauer. - A co się tyczy kapitana Ratshelma, to jestem z nim niemalże zaprzyjaźniony. Amfortas kiwnął głową; to było wiadome. - On wyraźnie czuje do ciebie miętę. Hochbauer musnął kolegę szybkim, chłodnym, badawczym spojrzeniem, ale nie zobaczył nic poza niewinnym, życzliwym zapalem. Kapitan Ratshelm i ja - rzekł - prowadzimy wspólnie pewne studia. W ramach ściśle służbowych, ma się rozumieć. - Ma się rozumieć - powtórzył Amfortas jak echo. - Tylko porucznik Krafft nie bardzo mi się podoba. - I nagle spytał agresywnie: - A może tobie się podoba? Amfortas natychmiast zaprzeczył. Był zawsze tego samego zdania, co Hochbauer - przynajmniej w jego obecności. Nawet jeśli gwiazda Hochbauera, niegdyś tak lśniąca, ostatnio wyraźnie blakła - w ciągu najbliższego okresu czasu nie można jej będzie nie dostrzegać ani pomijać. Choćby Krafft był nie wiadomo jak potężny - Hochbauer był bliższy. - Ten Krafft wypowiada nieraz dziwne poglądy, czy nie uważasz, Amfortas? Amfortas uważał. - To fakt - stwierdził. - Pogady jego są co najmniej dziwne. - N przykład ten lekkomyślny sposób, w jaki mówi o śmierci człowieka, nieprawdaż, Amfortas? - Na przykład to, tak jest. - Więc ty także odniosłeś wrażenie, że dla niego nie ma nic świętego, łącznie z Rzeszą i Führerem? - Właśnie, właśnie?! - rzekł Amfortas, nie mając pojęcia, dokąd ta rozmowa zmierza. - Jeśli tak jest - powiedział Hochbauer władczo - powinieneś to stwierdzić na piśmie. W formie meldunku, zażalenia, może nawet w postaci dokumentacji do raportu. - Ale... - wybełkotał zaskoczony podchorążak, otwierając szeroko oczy - ale to przecież nie może... - Owszem, Amfortas, mówię zupełnie poważnie. Przyjmuję twoją propozycję. Napiszesz to wszystko, co dopiero co powiedziałeś, i to jeszcze dziś. - A jeśli tak, Hochbauer, to co wtedy? - Co wtedy będzie, Amfortas, możesz to spokojnie pozostawić mnie. W końcu jesteś moim przyjacielem i kolegą. - Patrzył bezlitośnie na pobladłego podchorążaka. - A może nie? - Nie - wydusił z siebie Amfortas w rozpaczliwym proteście. - Tego ja nie zrobię. Tego nie możesz ode mnie żądać. Jedna podłoga wystarczy! Hochbauer rozejrzał się naokoło - byli ciągle jeszcze sami w pokoju. W pobliżu nie było nikogo. Do końca przerwy obiadowej było jeszcze daleko. A dwaj pozostali mieszkańcy izby pełnili służbę porządkową. Hochbauer chwycił Amfortasa, podniósł go w górę i miotnął nim o podłogę z taką siłą, że ten przeleciał ponad dwoma taboretami. Hochbauer doskoczył do niego, wpił się ponownie pazurami w jego kurtkę, która omal nie pękła w szwach. Amfortas, podniesiony jeszcze raz w górę, patrzył w zimną, bladą, jakby skamieniałą twarz - i miał okazję patrzeć w nią tak przez kilka sekund. Hochbauer mówił przy tym cichym, ale hipnotyzującym głosem, zgrzytliwie ostro, jak brzytwa tnąca watę: - Nie waż się wymówić tego jeszcze raz. Nigdy więcej

nie mów, że żądam od ciebie podłości. Jak nie zapomnisz o tej sprawie z podporucznikiem Barkowem, to ja cię wykończę. Hochbauer powoli odjął jedną rękę od piersi Amfortasa i tą ręką uderzył go z taką gwałtownością w twarz, że aż się echo rozległo: raz, dwa! Potem odwrócił się od niego i nie oglądając się ani razu za siebie, podszedł do swojej szafki. Tu Hochbauer zupełnie spokojnie i pewną ręką sięgnął po regulamin T\$u\$ - zastrzeżony „tylko do użytku służbowego”. Otworzył go i zaczął czytać. Był przekonany, że postąpił słusznie. Od czasu do czasu, pomyślał, trzeba siłą zaapelować do odwagi i poczucia honoru. Bo człowiek jest słaby i stale narażony na pokusy, dopóki nie zacznie płynąć spokojnie i pewnie z prądem. Hochbauer usiadł i zaczął pisać list. Ukaranego Amfortasa, stojącego z płonąca twarzą w kącie, nie zaszczylił ani jednym spojrzeniem. List Hochbauera do jego ojca, komendanta twierdzy, zaczynał się zupełnie niewinnie. Hochbauer pisał zrazu o sprawach ogólnych, nieistotnych, i zapewniał równocześnie ojca, że cieszy się wspaniałym zdrowiem. Następnie podchorąży uderzył w wielki i wzniosły ton na temat narodowosocialistycznego wielkoniemieckiego patriotyzmu, po czym powoli zaczął zmierzać do swego właściwego celu: wypytywał, jak się powodzi bratu ojca, zajmującemu kierownicze stanowisko w ministerstwie sprawiedliwości. Brat ten bowiem miał bratanek w kwaterze głównej F~uhrera, a ten bratanek z kolei był bardzo zaprzyjaźniony z sędzią najwyższym z naczelnego dowództwa sił lądowych. W dalszym ciągu Hochbauer pisał: „Podczas gdy wielu z moich zwierzchników nauczyłem się cenić, między innymi mojego wielce szanownego dowódcę oddziału, pana kapitana Ratshelma, natknąłem się również na oficera, którego działalność szczerze mnie zasmuca, i nie tylko mnie, lecz również innych podchorążych. Nie chce mi przejść przez usta słowo „destrukcyjny” w stosunku do tego oficera, jest to jednak trafne określenie na jego postępowanie. Człowiek ten ma nie tylko sadystyczne skłonności, ale przede wszystkim pozwala sobie na lekceważące uwagi o narodzie, Rzeszy i F~uhrerze, i robi to na dobitkę z taką przebiegłością, że trudno to wprost uchwycić. Moim zdaniem tacy ludzie nie powinni być oficerami, i dobrze byłoby, żeby w interesie ogółu zajęły się takimi podejrzanymi indywidualiami świadome swej odpowiedzialności nadrzędne instancje. Chodzi o niejakiego porucznika Kraffta, Karla, obecnie dowódcę grupy szkolnej w 6 oddziale Szkoły Wojennej nr 5.” Potem nastąpiło parę ogólnych, nic nie znaczących uwag, uwieńczonych najlepszymi życzeniami zdrowia i pomyślności i siarczystem „heil Hitler”. Postscriptum brzmiało: „Serdeczne pozdrowienia również dla Twego brata, a mego szanownego wuja z Ministerstwa Sprawiedliwości. Na pewno się ucieszy, jak pokażesz mu ten list. Jak zawsze Twój kochający posłuszny syn.” Hochbauer zakleił swój przydługi list. Cały czas zastanawiał się nad tym, jak zmusić swoich ludzi do dotrzymania mu wierności. Rozważał w duchu pytanie, czy Andreasa należy traktować tak samo, jak Amfortasa, i na jaki rodzaj perswazji najlepiej zareaguje Kramer. Podczas gdy zaprzętały go takie myśli, pojawił się dyżurny podchorąży z paczką książek. - Hochbauer - powiedział - rozkaz od kaptana Federsa. Masz odnieść te książki dziś po południu, zaraz po zajęciach w terenie, pani Frey. Ona cię oczekuje, kazał powiedzieć kapitan Feders. - W porządku - rzekł Hochbauer i starał się zachować obojętny wyraz twarzy, chociaż czuł, że rozpiera go duma i satysfakcja. - Połóż książki tam na stole. Dyżurny podchorąży rzekł z lekkim rozczarowaniem: - Zachowujesz się tak, jakby to była najnormalniejsza rzecz w świecie. - Dla mnie to nic szczególnego - wyjaśnił Hochbauer. - Byłem już kilkakrotnie w mieszkaniu dowódcy kursu, zaproszono mnie nawet na herbatę. Dyżurny podchorąży gwizdnął z uznaniem. Imponowały mu takie stosunki towarzyskie. Już samo to, że to poufne polecenie wydane zostało przez „nieprzekupnego” kapitana Federsa, o czymś świadczyło! Tym lepiej dla Hochbauera. Również sam Hochbauer uważał to polecenie za pewnego rodzaju pośrednie wyróżnienie. Tak więc zbierały się wokół niego dowody zaufania - sympatia Ratshelma, uznanie Federsa, a może nawet i życzliwość wpływowej małżonki majora, to wszystko mogło być atutem w jego rękę. - A więc, Amfortas - spytał Hochbauer, oglądając powierzona mu paczkę książek - czy dostanę do jutra pismo, o którym ci mówiłem, czy nie? - Ależ tak - odparł Amfortas znużony. Również i na nim wywarł silne wrażenie fakt, że teraz już nawet Feders zaczął wyróżniać Hochbauera. - Mam nadzieję, że zrobisz z tego właściwy użytek. - Możesz być spokojny - rzekł

Hochbauer zadumany, ważąc w rękę paczkę z książkami. * * * Godziny popołudniowe schodziły podchorążym dziś nawet szybko, ale nie dość szybko dla Hochbauera. Zajęcia odbywały się, przy wykorzystaniu skrzyni z piaskiem, na temat: Zasady użycia w walce plutonu. Takich prymitywnych, podstawowych pojęć podchorążowie z jakim takim doświadczeniem włączyli się, by tak rzec, przez sen. To było dla nich jedno z najnudniejszych, zrutynizowanych zajęć, mające tylko tę jedną zaletę, że nie było zbyt groźne dla oceny wyników. Myśli Hochbauera odbiegały od rzeczy. Krążyły wokół Felicitas Frey i wiążących się z nią możliwości. Krafft nie przeszkadzał mu w tych rozmyślaniach. Zajęcia przy piaskownicy skończyły się równie zwięźle, jak się zaczęły. Porucznik Krafft powiedział po prostu: „Koniec na dziś”, i znikł. - On nie ma w ogóle pojęcia, jak się powinien zachowywać prawdziwy oficer - powiedział Hochbauer do najbliższej stojących. - Zakład? Nikt nie chciał pójść o zakład z Hochbauerem. Nie zostawił zresztą swoim kolegom czasu na to. Zauważył: - Krafft był dotąd tylko dwa razy w mieszkaniu majora Freya, mnie zaś zaproszono tam już po raz trzeci. Czy to nie mówi samo za siebie? Bliższe grono Hochbauera dziwowało się i zazdrościło mu, nie okazując tego jednak. Przyglądali się, jak ubierał się do wyjścia. Hochbauer zmienił nawet skarpetki. Zrosił również swoją prawie wcale nie owłosioną brodę wodą do golenia o cierpkiej woni. Ale gdy posłuszny Amfortas chciał mu pomóc i podał mu czystą chusteczkę, nie przyjął tej przyjacielskiej usługi. - Chusteczką, mój drogi - powiedział, będąc najwyraźniej w znakomitym nastroju - ociera się smarki albo łzy, a u mnie ani jedno, ani drugie nie wchodzi w rachubę. Wziął swoją paczkę książek. Najpierw musiał się zgodzić ustalonym porządkiem odmeldować u porucznika Kraffta. - No, koledzy - rzekł - zobaczymy, kto tu ma więcej do gadania, wykładowca tyktyki czy dowódca grupy. Zastał porucznika pochylonego nad stołem. Ale Krafft, wbrew pozorom, nie pracował. Wpatrywał się tylko w kanapkę z serem, którą miał zjeść. Hochbauer stanął w przepisowej postawie i powiedział: - Panie poruczniku, proszę o pozwolenie udania się do miasta. Mam polecenie od kapitana Federsa, żeby doręczyć pani Frey paczkę książek. - W porządku - powiedział porucznik niedbale, nie odrywając oczu od swojej kanapki. Hochbauer był przez kilka sekund zdumiony. Co? żadnej kontroli munduru, żadnych kłopotliwych pytań, żadnych zastrzeżeń - nic? Co to miało znaczyć? Czyżby stał się porucznikowi zupełnie obojętny? Takie właśnie myśli zaprzętały go, gdy schodził ze wzgórza do miasteczka. Po Kraffcie można się było wszystkiego spodziewać - może był to wyrafinowany manewr, a może chwilowe zmęczenie, może on sam zrobił mu się z czasem obojętny albo też Krafft przekonał się nagle do niego, może pod naciskiem z innej strony wolał mu zejść z drogi, czy wreszcie zrozumiał, że przegrał grę. Możliwe było wszystko i o wszystko można było Kraffta podejrzewać, ale najmniej o najprzyjemniejsze rozwiązanie. Dlatego podchorąży znowu sposapniał. Jego zaszępiąca twarz rozjaśniła się jednak natychmiast, skoro tylko ujrzał Felicitas Frey. Oto uśmiechała się do niego dama, o dojrzałej urodzie, pełna godności i wdzięku - dama, o której wiadano, że ma znajomości w niezwykle wpływowych kołach. - Witam, mój drogi - powiedziała. - Serdecznie witam. Nachylił się z młodzieńczym zarem nad jej wypielęgnowaną dłońią i złożył na niej pocałunek pełen szlachetnego zapału. Podniósłszy oczy, zauważył zachwycony, że pani Felicitas lekko się zarumieniła. - To, że wolno mi tu przebywać - powiedział - jest dla mnie darem niebios. - A dla mnie czystą radością. Najpierw rozmawiali o książkach. Podano przy tym ciężką maderę - najulubieńsze wino majora, które, jak wiedziała z doświadczenia, wpływało na niego ożywiająco. Ale to się już tylko rzadko zdarzało; o maderę było trudno i podawano ją jedynie przy specjalnych okazjach. I chociaż Hochbauer nie miał pojęcia, jak niezwykle go tu uhonorowano, mógł się przynajmniej tego domyślać: zdradzały mu to czułe spojrzenia, pani Frey. - Jeśli pan jednak woli herbatę - rzekła - chętnie panu zaparzę. Tylko że to by musiało trochę potrwać. Jestem całkiem sama w mieszkaniu... moja bratanica jest w mieście i wróci dopiero późnym wieczorem. A mąż mój jest zajęty służbowo. Generał znowu urządza trening oficerski, a to może potrwać do północy. - Tak - powiedział podchorąży w trochę zwolnionym tempie - to prawda. - Czy chce pan? - spytała uprzejmie. Hochbauer spojrzał na nią. Niezupełnie ją rozumiał i pochylił się trochę do przodu. - Mam na myśli: czy chce pan herbaty? - poprawiła się, trochę zmieszana. I natychmiast znowu

zaczęli rozmawiać o książkach. Tym razem kolej przyszła na literaturę traktującą o twardych bojach i wspaniałych zwycięstwach, o duszy niemieckiej, męskiej sile i rozkwicie kobiecości. - Tak, królewskość - powiedziała, upijając madery. - Królewskość nigdy nie była związana wyłącznie z osobą króla, również wśród jego świty trafiały się postacie królewskie, o królewskim sposobie myślenia. - Jakież to słuszne, łaskawa pani! - zapewnił ją Hochbauer. - Naturalnie w naszych czasach również istnieją tacy wyjątkowi ludzie, choć pod zupełnie inną nazwą. Wzniecali więc iskry z papieru, że aż stronicie książek zaczynały trzeszczeć. I mrok zakradł się błękitnymi cieniami do pokoju i otulał ich niczym kołdra puchowa. Aby nie psuć nastrojowej harmonii, pani Felicitas zapaliła miodowożółtą świecą, która rozsiewała łagodny blask. W jej świetle madera skrzyła się tajemniczymi refleksami. Widać było, że zawartość butelki powoli się kończy. Ale też doszli, nie zmieniając tematu, do niezwykle wzruszającego punktu: królowa i jej pазie - lu lepiej: kobieta z rodu królewskiego i jej prawo do adoracji, jej obowiązek przyjmowania adoracji. - Ta najszlachetniejsza służba - zapewniał Hochbauer przytłumionym głosem, szukając wzrokiem jej uszczęśliwionych oczu - jest daniną spłacaną królewskości jako takiej, cechującej wszystkie szlachetne kobiety. Uznają to i opiewają najlepsi pisarze narodu. - I jest to czymś ponadczasowym, pana zdaniem? - Jest czymś koniecznym właśnie w naszej epoce, gdy znowu jedynym miernikiem stała się prawdziwa wielkość gdy także miłość musi spełnić swe zadanie i uskrzydlić walkę o byt, abyśmy pokrzepieni na duchu mogli kroczyć do ostatecznego zwycięstwa. Felicitas czuła się cudownie uskrzydłona. Płomień świecy rzucał łagodny złoty blask na świat, który kręcił się w tej chwili tylko wokół dwojga ludzi: pokornego, ufego, pałającego szlachetnym pożądaniem pazia - i jego królowej. Wyciągnęła do niego rękę. Uchwycił ją w swoje ręce i przycisnął do niej swą płonąca twarz. Ale zawładnął nie tylko jej dłonią. Jakby przyciągane magiczną siłą, szukające oparcia i opieki i zarazem udzielające jednego i drugiego ręce jego posuwały się dalej, błądziły po ramionach, po barkach - i wszystko to bez słowa, łagodnie, pokornie i władczo jednocześnie. Od tej chwili Felicitas Frey zapomniała o całym świecie - tylko nie o sobie i o swym paziu, któremu wcale się nie opierała. Pokój rozplątał się, jej toczące się ściśle według planu i uporządkowane życie porwane zostało w wir królewskich uczuć. Nawet major przestał istnieć. Zapomniane zostały nadzieje, których nie spełnił, rozczarowania, których był sprawcą - wszystko to rozwiało się jak dym. Później, znacznie później, powiedziała: - tu, weź moją chusteczkę. Hochbauer bowiem nie chciał wyciągnąć swojej, ponieważ jej wygląd nie dorósł do tej wzniosłej sytuacji. Powinien był jednak wziąć świeżą. Bo wbrew temu, co mówił, nie tylko do otarcia smarków i też wskazane było używanie chusteczki, przekonał się o tym w tej właśnie godzinie. Wziął więc jej chusteczkę, z cienkiego jak mgła niebieskawego bytystu. Popatrzył przez moment na delikatny, wyraźny czytelny monogram FŚf, dopiero potem użył tej chusteczki i wetknął ją do kieszeni - jak trofeum.

26 Wieczór koleżeński - Posłuchajcie no - powiedział podchorąży Kramer. - Co byście powiedzieli, gdybym wam tak zaproponował urządzenie wieczoru koleżeńskiego? - A więc wspólny ochłaj - skomentował zaraz M-osler. - Nie mam nic przeciwko temu. Najważniejsza rzecz: musi być dostateczna ilość alkoholu. Wszystko inne się znajdzie. - Ani mi się śni - rzekł Hochbauer opryskliwie - spędzać wieczór z chuliganami. - Przyjaciele! - uspokajał Kramer. - Tu nie chodzi ani o pijaństwo, ani o bijatykę; chodzi wyłącznie o pielęgnowanie koleżeńskości. - No tak - zauważył ktoś. - Jeśli tak jest, to chyba tak musi być. - Czy to rzeczywiście nieuniknione? - spytał Amfortas, zainspirowany przez Hochbauera. - Koledzy - powiedział Kramer uroczyście i spojrział rozkazującym wzrokiem na grupę, siedzącą przed nim w baraku szkolnym - moja propozycja jest dobrze przemyślana, co się zresztą samo przez się rozumie. Podchorążowie spojrzeli po sobie z uśmiechem. Znali swego Kramera. Zawsze chętnie podejmował inicjatywę - już choćby dlatego, żeby nie mógł podjąć jej nikt inny. Szczególnie gdy chodziło o wieczory koleżeńskie i podobne rozrywki, jego zapal nie znał granic. Bo przy takich okazjach mógł odgrywać rolę bezkonkurencyjnego barana_przewodnika. - Sprawa mianowicie tak się przedstawia - wyjaśniał Kramer. - Przede wszystkim chodzi, jak się rzekło, o kultywowanie koleżeńskości. Poza tym musimy zaprosić jednak kapitana Federsa i porucznika Kraffta, dla stworzenia pożytecznej,

harmonijnej atmosfery. Bo przecież niedługo kończy się okres i obaj będą nam wystawiać oceny. To był bądź co bądź argument. - A więc - powiedział Kramer - propozycja moja została jednogłośnie przyjęta. Niczego innego się też nie spodziewałem. Kto się uchyla od takich imprez, daje tylko dowód, że duch koleżeństwa jest mu obcy. A nikt nie chce się narazić na takie podejrzania, co? A zatem obecność obowiązkowa. * * * - Pozwalamy sobie prosić pana kapitana na wieczór koleżeński. Z tymi słowami podchorąży Kramer zwrócił się w obecności całej grupy do kapitana Federsa. Wykładowca taktyki z miejsca przejrzał motywy tego zaproszenia. - Aha - powiedział przyjaźnie. - Chcecie mnie wprowadzić w łagodny nastrój, ze względu na oceny okresowe? - Wieczór koleżeński - zapewniał Kramer dzielnie - planowany był już od dłuższego czasu. - Ale obecna pora jest szczególnie korzystna, co? - Feders roześmiał się. - Mogę was tylko zapewnić, przyjaciele, że jeśli o mnie idzie, to możecie wydać nawet galowy bankiet, stanąć na głowie i zaśpiewać „Horst Wessel Lied”, ani trochę nie zmieni to mojej opinii o waszych umiejętnościach. No to pięknie, dziś wieczorem ja was będę bawił, a jutro wy spróbujecie szczęścia. Te „oceny okresowe” były nieuniknione. Miały to być krótkie, możliwie wyraźne, miarodajne oceny dotychczasowej pracy podchorążych - taki bilans, który się dokonywał w ostatniej osobistej rozmowie ucznia z nauczycielem. - Po kolei do mnie - powiedział kapitan Feders, usiadłszy w kącie sali wykładowej. - Trzy minuty na każdego. U kapitana Federsa procedura ta odbywała się dokładnie tak, jak się tego po nim spodziewano. Feders nazywał jednego po drugim ofertą życiową, śmieciarzem, arcykretynem i - w najlepszym razie! - patentowanym osłem. Jego zdaniem - którego wcale nie owijał w bawełnę - ani jeden podchorąży nie nadawał się na oficera. Nawet Hochbauer. W każdym razie zaklasyfikowany został do patentowanych osłów, co było równoznaczne z dobrym wynikiem. - Po kolei do mnie - powiedział następnie porucznik Krafft. Dowódca grupy szkolnej dokonywał okresowej oceny w swojej kwaterze. W odróżnieniu od Federsa nie spieszył się tak bardzo. Prowadził też przyjacielskie rozmówki ze swoimi podchorążymi. „Drogi przyjacielu - zwykł był mawiać Krafft na wstępie - spróbujemy teraz dowiedzieć się, co wypada nam o sobie nawzajem sądzić.” Potem stawiał im parę pytań, pozornie niewinnych, co na początku bardzo ich dezorientowało. Na przykład: „Co sądzicie o koleżeńskości?” Większość była o niej jak najlepszego zdania. Twierdzili, że koleżeńskość jest czymś samo przez się zrozumiałym, iście męskim odruchem, główną cnotą żołnierską, słowem: czymś, do czego warto dążyć, co należy wysoko sobie cenić i pielęgnować. „A jak to jest z koleżeńskością wobec ludzi niekoleżeńskich?”, pytał następnie Krafft, jakby mimochodem. O tę rafę potknął się niejeden. Mimo to Krafft nadal był przyjaźnie usposobiony, i jego sformułowania budziły nadzieję. Podchorążowie odchodzili pokrzepieni na duchu i zadowoleni. „Nie taki diabeł straszny, jak go malują”, stwierdzali przeważnie. - Podejrzane jak zawsze - rzekł Hochbauer do swoich przyjaciół. Natomiast Kramer oświadczył z przekonaniem: - Jeszcze jeden dowód na to, co znaczy kultywowanie koleżeńskości we właściwym momencie. Nasze zaproszenie sprawiło cuda; bo jak inaczej wytłumaczyć te pozytywne wyniki. Co prawda później, niewiele później, okazało się, że te „okresowe oceny” były dziwnie podobne do siebie. Ale nie dość na tym: po bliższym przyjrzeniu się im trzeba było stwierdzić, że były na dodatek nieprzeniknione i dwuznaczne. Standardowa końcowa ocena Kraffta brzmiała: „Mój drogi - tu następowało za każdym razem odpowiednie nazwisko - jeśli będziecie tak dalej pracowali, wasze wyniki końcowe nie ulegają wątpliwości”. Podchorążym nie pozostawało nic innego, jak w dalszym ciągu robić dobrą minę do złej gry. W końcu wiadomo było, że co najmniej osiemdziesiąt procent wszystkich kandydatów na oficerów kończyło szkołę z dobrym wynikiem. To było z góry nakazane. Wojnie pilnie potrzebni byli oficerowie. Zbyt dużo braków nie wolno było fabryce wypuszczać; stabilne cyfry produkcyjne były nakazem chwili. - W każdym razie mam nadzieję - powiedział porucznik Krafft do swojej grupy w podsumowaniu - że nawet tu nauczyliście się coś niecoś. Rozejść się! * * * - Gra pan niezwykle ostrożnie - powiedział Feliks, numer trzydzieści trzy. - To moja metoda - odparł porucznik Krafft. Ociągał się jeszcze z zaryzykowaniem następnego pociągnięcia. Feliks przyglądał się swojemu partnerowi spokojnie i zarazem uważnie. Oczy jego były duże, ciemne i

łagodne, i piękne w swym wyrazie. Jego twarz uśmiechała się przy tym, ale uśmiechała się sztywno jak maska. Krafft unikał wzroku Feliksa. Patrzył na stojącą przed nim szachownicę. Za jego plecami wisiał na haku bezsilny tułów w skórzanej siatce. Numer trzydzieści trzy należał do tych nieco szczęśliwszych ludzi_piłek: nauczył się już kochać książki, znał się trochę na muzyce i grał w szachy. To był jednak szczególnie szczęśliwy przypadek: Feliksowi potrzebny był jedynie partner posiadający ręce. Każde pociągnięcie zapowiadano - a zatem istota gry była zachowana i gracze mieli swoją przyjemność. I przy czysto mechanicznej pomocy sanitariusza czy pielęgniarsza mogli grać ze sobą nawet dwaj ludzie_piłki. Niewielu jednak umiało grać w szachy. - Czy nudzi pana moja nieco męcząca metoda? - spytał Krafft. - Nie - rzekł Feliks. - Bo po pierwsze mam bardzo dużo czasu. A po drugie pańska metoda jest bardzo interesująca. - Wiem, jestem dość niekonwencjonalny. Nie trzymam się nawet wypróbowanych podstawowych reguł. - To zaleta - powiedział Feliks uprzejmie. - Umie pan zaskakiwać, a może nawet dezorientować swoich partnerów niezwykleymi pociągnięciami. Czy to wyrachowanie, czy raczej przypadek? - To moja cecha charakteru, sądzę. Milczeli przez dłuższą chwilę. Tylko od czasu do czasu Feliks rzucał swoje lapidarne dyrektywy: oznaczenie figury - stare pole - nowe pole: dwie litery, dwie cyfry. Byli sami w pokoju, wśród białych ścian, zalanych jaskrawym górnym światłem. Albowiem numer trzydzieści trzy miał trudności wzrokowe, oczy jego łzawiły. Od czasu do czasu pochylał głowę do przodu, kładł ją na coś w rodzaju kryzy, którą nosił na szyi, i w ten sposób ocierał z oczu łzy. Dlaczego pan tu przychodzi? - spytał nagle. - Ażeby z panem grać - powiedział Krafft, przesuając o cztery pola laufra. Zapiął kitel lekarski, który podczas swoich wizyt w szpitalu zawsze wkładał na mundur. - Pańska kolej. - Gdzie jest pan ranny? - dopytywał się dalej Feliks. Numerowi trzydzieści trzy na myśl by nawet nie przyszło, że siedzący przed nim porucznik jest fizycznie nie uszkodzony. Kto przebywał w tych pomieszczeniach, był napiętnowany. I jeśli nawet zewnątrz nic nie było widać - czegoś musiało brakować: części płuc, części żołądka, jednej nerki. Może wędrowały po jego ciele, ku sercu, stalowe odłamki? Może rozkładała się jego krew, przemieniając się w wodę? Może utracił zmysł równowagi? - Zostawmy to - rzekł Krafft. - Zajmijmy się lepiej szachami. - Czy pan również miewa czasami takie przygnębiające uczucie kompletnego bezsensu? - pytał Feliks uparcie. - Wie pan, wisieć tu nie byłoby może tak ciężko, gdyby się wiedziało, że ma to swoje uzasadnienie. Przyjmijmy, że wysadziłem most, aby uratować życie innym, i wtedy to się stało - dobrze, dalczego nie? Albo: daję w pysk generałowi przed frontem żołnierzy, i za to mnie rozstrzelują - no to człowiek wiedziałby przynajmniej, za co. Ale ja spałem. A kiedy się obudziłem, byłem już taki, jaki jestem teraz. - Nie pan jeden otarł się we śnie o śmierć - rzekł porucznik pozornie obojętnie. - A pan? - nalegał Feliks niestrudzenie. - Jak to jest z panem? Czy i pan również zastanawiał się nad tym, dlaczego został pan okaleczony? - Mnie tylko próbowali wyskrobać mózg, ale to nie jest to najgorsze. Dla większości ludzi mózg jest i tak organem zbędnym. Ale uważaj pan, pańska królowa jest w niebezpieczeństwie. Szach! - Nie widzę już - powiedział Feliks, numer trzydzieści trzy. - Oczy mi za mocno łzawią. Przerwijmy na dziś, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu. - Nie mam nic przeciwko temu. - A więc mózg - powiedział Feliks z zamkniętymi oczami. - A czy to także było bez sensu? A może pan uratował przez to życie kolegom, ustrzegł od zagłady kobiety i dzieci, czy też zrobił coś innego, co ma jakiś sens? Albo coś, co przynajmniej pańskim zdaniem ma jakiś sens? Nie? - Skończmy już - powiedział Krafft z ciężkim sercem. - Wie pan - rzekł Feliks, człowiek_piłka oznaczony numerem trzydzieści trzy, znużony - gdybym był w stanie coś jeszcze zrobić, próbowałbym znaleźć jakiś sens w tym nędznym życiu. Wykrzyknąć jakąś śmiertelną prawdę, zdemaskować mordercę, umrzeć dla jakiegoś człowieka, zdławić kłamstwo, pielęgnować ogród, cokolwiek! Rozumie pan? - Tak - rzekł Krafft. - Ze mną jest tak samo. * * * - Wieczór koleżeński rozpoczęty! Grupa szkolna H zebrała się w pełnym składzie w „Kolorowym Psie”. Wybór tego lokalu Kramer uważał za szczególnie udane pociągnięcie. Bo trzeba było również oblać zwycięskie ominięcie niebezpiecznej rafy - zażalenia restauratora Rotundy. Ie tu siedzieli, było najpewniejszym znakiem, jak absolutny był ich triumf. - Melduję grupę panom oficerom! - zawołał Kramer. Grupa zerwała się z miejsc „jak jeden mąż”.

Starszy grupy wyszedł na spotkanie Federsowi i Krafftowi, stanął przed nimi i utkwiał wzrok gdzieś nad nimi w powietrzu. To była taktyka. Kramer nie chciał uprzywilejowywać żadnego z nich. Złożył siarczysty meldunek im obu, bez wyraźnego adresu. - No, rozpoczyna się część nieoficjalna - powiedział Feders do Kraffta. Siedzieli zgodnie razem, przy nakrytym stole w kształcie podkowy: Podchorążowie grupy H i na honorowych miejscach wykładowca taktyki i dowódca grupy. Z początku wszystko wyglądało niemal uroczyście: świeżo ogolone twarze, schludnie ostrzyżone włosy, starannie wyszczotkowane mundury wyjściowe i spodnie, które co najmniej przez jedną noc prasowano pod materacami. Umiarkowana wesołość, przytłumione głosy, niewymuszone ruchy - słowem: solidnie! Tak jak się nauczyli przy wspólnym obiedzie z dowódcą grupy. - Koledzy - rzekł Kramer - proponuję zaśpiewać jakąś piosenkę. - Tak jest - zgodzili się podchorążowie skwapliwie. - Czy możemy prosić pana kapitana - zwrócił się Kramer pokornie i z wielkim szacunkiem do Federsa - żeby nam powiedział, jaką piosenką moglibyśmy sprawić mu przyjemność? - Jeśli wam już tak bardzo na tym zależy - odparł Feders - to niech będzie „L~uneburska puszcza”. - „W L~uneburskiej puszczy” - wrzasnął Kramer na całą salę. - Na specjalne życzenie pana kapitana. Dwa, trzy! Podchorążowie zaczęli śpiewać. śpiewali swymi szorstkimi głosami z całego serca - i raczej głośno niż pięknie. Kapitan Feders słuchał tego zorganizowanego ryku ze skąpym uśmiechem. W otwartych na oścież drzwiach zaś stał gospodarz Rotunda i przyglądał się swoim gościom z wyraźnym zadowoleniem: już bardziej pokojowo nastawionych nie mógł ich sobie wyobrazić - stateczni, mili, dobrze wychowani młodzi ludzie. Wprost trudno uwierzyć, że ci sami chłopcy kilka dni temu zamienili ten lokal w rumowisko - i do tego w tak fantastycznym tempie. Teraz śpiewali sobie na całe gardło „L~uneburską puszcę” i wychwalali pod niebiosy przyjemności, jakie daje polowanie, wino i miłość. Czterdzieści ust otwierało się i zamykało. Czterdzieści par oczu śledziło ukradkiem reakcję oficerów - i to z ulgą: wykładowca taktyki i dowódca grupy zdawali się być zadowoleni. Żaden z nich przynajmniej nie wyglądał jakoś specjalnie agresywnie. Piosenka skończyła się mocnym i radosnym akordem. - Głos ma pan kapitan Feders! - oznajmił teraz Kramer. Feders był przez chwilę zaskoczony, potem wstał, odchrząknął i powiedział, wprawdzie ze zwykłą sobie precyzją, ale zgoła łagodnie: - Nie przypominam sobie, bym kogokolwiek prosił o głos, już choćby dlatego, że nie ma tu nikogo kto mógłby mi go udzielić. Ale skoro już wstałem, to nie omieszkam zwrócić wam uwagi na pewien mały drobiazg. Mianowicie na fakt, że nie odbywają się w tej chwili zajęcia z taktyki - co na pewno uważacie za szczęście. A jako człowiek prywatny chciałbym wam powiedzieć rzecz następującą: nie przechwalajcie się nigdy wielkimi czynami, nie używajcie napuszonych słów, nie uważajcie się za nadludzi! Nie ufajcie nikomu, a najmniej sobie samym - bo zaufanie człowieka jest w straszliwy sposób nadużywane. A teraz zapomnijcie o tym wszystkim, jeżeli potraficie; może chociaż do jutra. Podchorążowie słuchali pozornie uważnie, niektórzy kiwali nawet głowami, aczkolwiek nikt z nich chyba dobrze nie wiedział, czy to, co przed chwilą usłyszał, było skończoną złośliwością czy też zleżałą mądrością. Panował jednak zwyczaj, że w wypadkach wątpliwych przybierano zamyślony wyraz twarzy, nie rezygnując przy tym z manifestowania swego optymizmu i czupurnej pewności siebie. Otrzymałszy od kapitana Federsa pozwolenie, wzniesli toast na jego cześć. Znowu wstał Kramer, jako że myślał jedynie o tym, aby ta tak precyzyjnie zaplanowana impreza miała należyty przebieg. Zwrócił się z kolei do Kraffta, posługując się starannie wyćwiczonym sformułowaniem: - Czy możemy teraz poprosić porucznika Kraffta, aby wymienił swą ulubioną piosenkę i udzielił nam pozwolenia na zaśpiewanie jej? - „Na biwaku na twardym kamieniu” - powiedział Krafft. Kramer uśmiechnął się zadowolony: tego właśnie oczekiwał i przezornie przećwiczył tę piosenkę z grupą. Ie Krafft upodobał sobie szczególnie ten „Biwak”, na to Kramer już wcześniej zwrócił uwagę - no, może porucznik nie znał innej piosenki, albo ta mu się naprawdę podobała. Wszystko jedno zresztą, najważniejsze, że wypowiedział swoje życzenie i drużyna była w stanie je spełnić. śpiewali z uczuciem, nieomal patetycznie: smętnie płynące strzępy słów, jakby przeciągane przez rześiste łyżki tęsknoty. - Piękne, że aż wycie chce - szepnął M~osler swoim kumplom między dwiema zwrotkami. - Czy może mi ktoś pożyczyć

chusteczki? Mojej mi szkoda. Poza tym mam tylko jedną, i ta jest w praniu. Paru jednak, wśród nich oczywiście poeta B~ohmke, wydawało się naprawdę wzruszonych swoim śpiewem: „Na biwaku na twardym kamieniu wyciągam zmęczone nogi”. Nawet Krafft zdawał się słuchać z pewnym zainteresowaniem. Tak zresztą było naprawdę. Rozmarzyła go trochę ta melancholijna melodia, w której śpiew kościelny przeplatał się z pieśnią ludową. Była to pieśń domowego ogniska i półmroku - nie pieśń marszowa. Gdy przebrzmiał ostatni ton - niektórym piosenka wydawała się za ślamazarna, za miękka, za letnia - Kramer natychmiast przykrócił cugle. Watowana melancholia na początku wieczoru koleżeńkiego była równie nie na miejscu, co niepohamowana wesołość. W takich wypadkach wszystkim była sprężysta organizacja. Więc Kramer zwrócił się do Kraffta z wezwaniem: - Pan porucznik proszony jest o zabranie głosu. - Na zdrowie - powiedział Krafft. Tym samym zabrał głos i prostą, najszybszą z wszystkich dróg doprowadził swoje przemówienie do upragnionego końca. Zanim podchorążowie zdołali ochłonąć ze zdumienia, wznosił w górę kieliszek. Wywołało to umiarkowaną wesołość. - Spocznij! - powiedział Kramer. - Można palić i rozmawiać. POtoczyła się więc beztraska rozmowa. Podchorążowie przeważnie udawali, że jest im szalenie wesoło, nie zachowywali się jednak zbyt głośno. I już nie mogli bardziej niewinnie rozmawiać. Ani jednego słowa, które by nie nadawało się dla uszu oficerów. W przerwach raz po raz śpiewali. Był to, jak wiadomo, najpewniejszy sposób na uniknięcie gaf. Starannie dobrane piosenki były wyprane z wszelkich najlżejszych nawet dwuznaczności typu erotycznego i politycznego. Panował więc nadal niezmałony nastrój. Mimo to wszyscy odetchnęli z ulgą, gdy kapitan Feders i porucznik Krafft zaczęli zbierać się do wyjścia. - Jeśli zechcecie znowu kiedyś zdemolować jakiś lokal - powiedział kapitan Feders, śmiejąc się - to wywiedzcie się przynajmniej przedtem o warunki i ceny. Radzę wam również, żebyście się w porę ze sobą dogadali co do tego, kto ma być winowajcą. Najpóźniej w momencie pojawienia się policji cała sytuacja powinna być wyjaśniona. Najpewniejszym usprawiedliwieniem jest zawsze wojna. Tym argumentem można wszystko załatwić. O wiele łatwiej jest w imię sprawiedliwości, pokoju lub wolności podpalić wieś czy wymazać z mapy miasto niż z nadmiaru radości życiowej stłuc butelkę wina. Proszę mnie jednak Źle nie rozumieć, nie zalecam nikomu, żeby się wyszumiał w tak infantylny sposób. A porucznik Krafft powiedział na pożegnanie: - iebyście byli o północy z powrotem w koszarach, przyjaciele; ale bez śpiewu, bez hałasu, bez awantur. Poza tym: wesołej zabawy! * * * - Teraz zaczyna się część nieoficjalna! zawołał Kramer. Wezwanie to było zupełnie zbyt ciche. Zaledwie bowiem obaj oficerowie oddalili się, kasynowy fason podchorążych załamał się jak domek z kart. POWstała wrzawa. Kieliszki opróżniały się w zdumiewająco szybkim tempie. A w niecałą minutę później stanął na krześle pierwszy podchorąży, żeby pałać mowę. - Koledzy! - zawołał. - Nareszcie jesteśmy sami. Teraz filizanki w górę i butelki na stół! - Koledzy! - rzekł Kramer zatroskany - zachowajcie spokój! Jak jednak koledzy rozumieli spokój, to się zaraz okazało. Niektórzy rykiem przywołali gospodarza i zażądłai coś do picia, pomagając sobie przy tym całkiem niedwuznacznymi aluzjami. A Rotunda wołał, żeby płynęło wino niż krew. Przede wszystkim jednak nigdy więcej nie chciał mieć kłopotów z burmistrzem, ani otrzymywać wezwań od generała. Spojrzenie na zegarek uspokoiło go nieco: pozostało im jeszcze jakieś pół godziny. Niech więc chleją - upić się tak, żeby mogli stać się niebezpieczni, już nie zdołają. - U mnie nikt nie ma powodu narzekać - powiedział Rotunda skwapliwie. - W końcu nie będę wam psuł zabawy. - Bez długich wstępów! - wołali podchorążowie. Gospodarz znikł pospiesznie. W trzy minuty później przytaskano pierwszy kamienny dzban, który powitany został wesołym wrzaskiem. Kramer jeszcze raz spróbował skierować wieczór koleżeński na nieco bezpieczniejsze tory i krzyknął jak w koszarach: - Koledzy, pieśń! - „W Hamburgu i ja przebywałem”! - zawołał M~osler z miejsca. I zanim Kramer zdołał zaprotestować, już grupa skupiona wokół M~oslera zaintonowała proponowaną piosenkę. Kramer usiadł zrezygnowany: uderzył we właściwy ton, ale popełnił przy tym błąd. Nie powinien był im tylko kazać śpiewać, lecz jednocześnie powiedzieć, co mają śpiewać. Teraz wyli tę piosenkę, którą bez zbytnej przesady można było nazwać skończenie świńską. Ten hymn na cześć dziewczyny lekkich obyczajów można byłoby jeszcze wybaczyć

zwykłym żołnierzom, - myślał Kramer, ale przyszłym oficerom śpiewać go nie wypadało, a już tym bardziej takim przyszłym oficerom, za których on był odpowiedzialny. Mimo to Kramer śpiewał wraz z innymi, aby nie psuć koleżeńskiej atmosfery. Kiedy doszło jednak do miejsca, gdzie w żargonie zbliżonym do alfonsowskiego mowa była o „talarze”, który prostytutka zapłaciła bez szemrania „za pracę pod drzwiami”, głos Kramera zabrzmiał bardzo niewyraźnie. A kiedy gospodarz zamknął rozsuwane drzwi, aby nie gorszyć garstki obywateli przy bufecie, starszy grupy uświadomił sobie, że on sam w zawstydzający sposób zawiódł. Rozsierdziło go to na dobre. - Nie powinieneś być pozwalać na takie piosenki! - kręcił mu dziurę w brzuchu Hochbauer. - Gównu cię to obchodzi! - zawołał Kramer wściekły. Świadomość, iż zawiódł, dławiała go tak strasznie, że każda uwaga na ten temat doprowadzała nagromadzoną w nim wściekłość do wrzenia. - Można chyba coś powiedzieć, nie? - zauważył Hochbauer, urażony. - Rób ty lepiej, jeśli potrafisz! - rzekł Kramer, rozwścieczony niczym byk. - Ja cię już od dawna podejrzewam, że chcesz zająć moje miejsce starszego grupy. Hochbauer zamilkł speszony. Oczywiście, że to było zawsze jego marzeniem, ale nigdy go jeszcze głośno nie wypowiedział. Ten Kramer co prawda zaczął się chwiać w ostatnich czasach jak trzcina na wietrze. Nowy starszy grupy wydawał się naprawdę potrzebny - ale tego nie można było przeprowadzić wbrew woli dowódcy grupy. Na tym polegało całe nieszczęście. Tymczasem ulubiona piosenka dobiegała końca. Hochbauer i Kramer udawali, że też śpiewają. Przypatrywali się sobie spode łba, nieufnie. Jeden oczekiwał od drugiego, że ten będzie się przed nim usprawiedliwiał. Ale obaj czekali nadaremnie. Wreszcie Hochbauer, jako mądrzejszy, był gotów ustąpić. Nie było sensu robić sobie jeszcze wroga z Kramera, miał i tak dość wrogów. Kramer był w oczach Hochbauera nieszkodliwym głupkiem, posłusznym narzędziem - jeśli się z nim odpowiednio obchodzić. Ale Hochbauer nie zdążył przeciągnąć z powrotem na swoją stronę starszego grupy, bo hałaśliwa banda przy drugim końcu stołu przystąpiła już do akcji. Krzykacz M-osler wstał i zawołał: - Wzywam niniejszym naszego drogiego kolegę B-ohmkego do odczytania własnego wiersza, możliwie o miłości! B-ohmke certował się - chciał, żeby go proszono. Tak też się stało, nalegali na niego, czyniąc bardzo wesole, a także sprośne uwagi, które poeta brał za komplementy - i które też w gruncie rzeczy nimi były. Wreszcie, po dalszych naleganiach, B-ohmke oświadczył, że jest co prawda gotów wyrecytować dzieło nowszej daty, ale niestety nie jest w stanie zaprodukować poematu o miłości. Bo to, co - całkiem przypadkowo - ze swojej produkcji ma przy sobie, traktuje wyłącznie o wojnie i o przyrodzie. - Odrzucone! - zawołał M-osler, rzecznik niezdiscyplinowanych krzykaczy. - Wierszami o wojnie psa z kuwawą nogą nie ruszysz zza pieca, a co dopiero podchorążaka. Tylko miłość wchodzi w rachubę! - Ale w tej chwili - bronił się B-ohmke - naprawdę nie mam nic takiego na składzie. - To po co jesteś poetą? - wołał M-osler ku powszechnej uciechu. - Ułóż wiersz i szlus. Wycofujesz się do cichego kącika - i do dzieła! Nikt ci nie przeszkodzi, masz moją gwarancję na to. POstawimy przed drzwiami wartę honorową, taką, na której można polegać... na przykład Hochbauera. - Czy nie lepiej coś zaśpiewać? - zaproponował Hochbauer. - Na przykład: „Po drugiej stronie doliny”. Co ty na to, Kramer? Ale Kramer nie miał nawet czasu przyjąć czy odrzucić tego pomysłu. M-osler skoczył nagle do przodu, jak tygrys na słonia. Wyglądało to prawie tak, jak gdyby tylko czekał na sprzeciw - na jakikolwiek sprzeciw, byle pochodził on od Hochbauera. M-osler zawołał: - Czy masz jakieś zastrzeżenia do tego tematu? To pytanie, na pewno nie niewinne w intencji, zostało rzucone prowokacyjnie głośno. Podchorążowie nastawili uszu. Szturchali się wzajemnie w bok, przerwali nawet rozmowy. Niektórzy pochylili się ciekawie do przodu, inni zamienili ze sobą parę słów. Wreszcie wszyscy usiedli i czekali, nie bez satysfakcji, co teraz nastąpi. Przecucie im mówiło, że zajęli, jeśli tak można powiedzieć, miejsca w łożach. Wystarczyło tylko przyjrzeć się nieco uważniej Hochbauerowi i M-oslerowi: na ich twarzach malowało się zdecydowanie gladiatorów. - A więc jak to jest - zapytał M-osler zaczepnie. - Czy masz coś przeciwko miłości? - W podobny chyba sposób podczas wojen religijnych pytał się przeciwnik przeciwnika, dlaczego nie wyznaje prawdziwej wiary. M-osler w każdym razie zachowywał się tak, jak gdyby wstępował w szranki za lepszą część ludzkości. Hochbauer zwrócił się do Kramera i zapytał: - Czy ja muszę tego

wysłuchiwać? Ten jednak odpowiedział opryskliwie: - Dlaczego niby on nie miałby ci zadać pytania? - Tym samym Kramer, zgodnie z wezwaniem Kraffta, zajął pozycję całkowicie neutralną. POza tym ktoś, kto chciał go pozbawić stanowiska starszego grupy, nie mógł oczywiście liczyć na jego życzliwość. - A więc jak to jest? - nacierał M~osler. - Ty nie jesteś za miłością, co? Ty wolałbyś usłyszeć wiersz na cześć kapitana Ratshelma, co? A może nawet myślisz, że miłość i kapitan to jedno i to samo? Podchorążowie obserwowali obu przeciwników z wyrazem napięcia na twarzach - tym razem mogli się spodziewać walki na noże. Wyraźna większość, z Rednitzem i Weberem na czele, była po stronie M~oslera. Mniejsza, ale na pewno nie mniej bitna grupa sympatyzowała z Hochbauerem. Trzecia grupa, pod przewodem Kramera, zachowywała na razie neutralność. Tylko poeta B~ohmke był nieszczęśliwy i ubolewał nad swym losem - był gotów już wzywać muzy, ale tej bandzie kołtunów znów tylko Mars był w głowie. POdchorąży Hochbauer, chyba jedyny w tym gronie, widział sytuację zupełnie jasno. Zrozumiał już dawno, że minęły wygodne czasy, kiedy to mógł M~oslera bez przeszkód bić po zuchwałej gębie. Wiedział, że podburzona przez Kraffta część grupy jest przeciwko niemu; ale że ta część nabrała już tak groźnych rozmiarów, tego jeszcze nie wiedział. O załatwieniu sprawy za pomocą rękoczynów nie było co myśleć, jako że byłoby to prawdopodobnie beznadziejne. Z tego powodu Hochbauer uważał za słusne dokonać najpierw taktycznie mądrego, zorganizowanego odwrotu. Zmuszając się do uśmiechu, który wypadł dość wiarygodnie, powiedział: - Dlaczego mam się z tobą kłócić, M~osler. Nie wiem w ogóle, czego chcesz ode mnie. Twoje aluzje do mnie nie trafiają, ani mnie ziębią, ani grzeją. M~osler potrzebował kilku sekund, żeby przeboleć to uderzenie w próżnię. Przez chwilę wyglądało na to, że wziął rozbieg, aby przeskoczyć nie istniejącą przeszkodę. Potrząsał z niezadowolaniem głową, jak koń stojący przed prawie pustym żłobem. - Czyżby mnie uszy myliły? - spytał M~osler, rzucając ponownie rękawicę. - Zapierasz się tych delikatnych więzi szlachetnej sympatii, jakie cię łączą z twoim drogim kapitanem? - Co za nonsens! - zawołał Hochbauer, zdobywając się nawet na śmiech, co było widomym znakiem fantastycznego opanowania. Nie tylko odparowywał wspaniale ciosy, ale przeszedł nawet do ataku, wykorzystując zręcznie każdą słabość przeciwnika. - Jestem zupełnie normalny, jeśli ci o to chodzi - powiedział dzielnie. - Jestem co najmniej tak samo normalny, jak każdy z was, i na pewno taki normalny, jak ty, M~osler. - Co ty nie powiesz! - zawołał ten zdetonowany, rozglądając się na próżno za pomocą. Grupa neutralnych powiększyła się. M~osler, trochę już zdenerwowany, zawołał: - Powtórz to jeszcze raz! - Mogę ci to nawet dać na piśmie - oświadczył Hochbauer. - W każdym razie nie należę do amatorów tych małych dawajek, których można mieć na zawołanie całe tuziny. To dla mnie za prymitywne. Ja wolę damy, i to z wyższych i najwyższych sfer. - Co ty nie powiesz! - wykrztusił M~osler jeszcze raz; nic innego nie przychodziło mu chwilowo do głowy. Hochbauer rozkoszował się coraz bardziej swoim poczuciem wyższości. Podchorążowie z jego świty spoglądali na niego z podziwem. A niektórzy neutralni, z Kramerem na czele, kiwali z uznaniem głową. To jeszcze bardziej dodało Hochbauerowi animuszu. Z ledwo powściąganym ironicznym uśmieszkiem patrzył z góry na tych drobnych producentów banalnych uczuć, na tych wyrobników niskich uciech. - Mógłbym wam opowiedzieć rzeczy - rzekł wreszcie - od których by wam oczy na wierzch wylazły. Nie żadne tam małe, brudne i w pośpiechu na ogół odwalane przygody. Coś zupełnie innego! Rzeczy, o jakich ludziom, co wiecznie się chwala swoimi rzekomymi sukcesami, nawet się nie śniło. I Hochbauer wyciągnął z kieszonki kurtki mundurowej cienki jak mgła, niebieskawy skrawek batystu - ku powszechnemu zdumieniu. Tym kawałkiem delikatnego materiału - chyba chusteczką - wachlował się niedbale, rozkoszując się jednocześnie jego zapachem. Podchorążowie otworzyli szeroko oczy i usta. Zwłaszcza Rednitz nie spuszczał oka z tego widowiska. Ale Hochbauer eleganckim ruchem wsunął sobie chusteczkę z powrotem do kieszonki. - Tę szmatkę chętnie bym sobie dokładniej obejrzał - szepnął Rednitz swemu przyjacielowi M~oslerowi. Ten go jednak nie słuchał. Myślał tylko o tym, jak tu znaleźć nowy słaby punkt u Hochbauera, żeby móc go znowu zaatakować. I jak mu się zdawało, znalazł go. - A więc to tak! - zawołał, podniecając się. - Więc należysz niby do owych kawalerów, którzy za nic nie zdradzą nazwiska swej damy. Możesz to

opowiadać swojej babci albo swojemu kapitanowi Ratshelmowi. Bujać to my, ale nie nas! - Tak przecież nie można! - zawołał B~ohmke z poetyckim zapalem. - Nazwisko damy jest zawsze tabu! - Jej to wisi! - wtrącił się Egon Weber. - I co to znaczy dama? W nocy wszystkie koty są szare. - Polujesz na adresy?! - krzyknął Amfortas zaczepnie. A Egon Weber ryknął w odpowiedzi: - Co to znaczy adresy! Mnie wystarczy, że ktoś nosi spódnicę. A co się tyczy naszych tak zwanych małych dawajek, to nie pozwolę się obrażać! A już najmniej przez kogoś, kto siebie uważa za dżentelmena, a nas za nędzne pokraki z pism humorystycznych. Kto śmie twierdzić, że jestem figurą z pisma humorystycznego? TEMu gnaty połamię, zawlokę go do generała, bo on, jak się okazuje, też ma na imię Egon. Zapamiętajcie to sobie! - Koledzy! uspokajał Kramer, usiłując ich przekrzyczeć. - Koledzy, tak nie można! Tak rzeczywiście nie można było - koledzy to rozumieli. Donośna tyrada Egona Webera wprowadziła niejakie zamieszanie. Koniecznie trzeba było sprawę wyjaśnić. Ten wysoce interesujący temat nie mógł tak po prostu utknąć w miejscu. - Czy mogę coś powiedzieć? - spytał Rednitz łagodnie. - Nie! - Zawołał natychmiast Hochbauer. - Ty nie! - Pozwól mu mówić - powiedział Kramer, zdecydowany bronić neutralności. - A nuż ma jakiś dobry pomysł. - Moim zdaniem - rzekł Rednitz swoim uważnym słuchaczom - sprawa jest stosunkowo prosta. Nasz przyjaciel M~osler zarzuca koledze Hochbauerowi, jakoby ten miał nienormalne skłonności. Mnie się zdaje, że to ciężki zarzut, którego nie możemy M~oslerowi puścić płazem, w żadnym wypadku; co prawda, to prawda. - No więc! - zawołał Amfortas. - Nareszcie jakieś rozsądne słowo. - Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale Hochbauer dał mu znak, żeby zamilkł. - Dalej, dalej! - zachęcał Kramer. - Jak się rzekło - ciągnął Rednitz - nie możemy, rzecz jasna, tolerować takich zarzutów. A zatem trzeba udowodnić, że jest wręcz przeciwnie. - Jak ty sobie to wyobrażasz? - spytał Kramer. - Nic łatwiejszego - wyjaśnił Rednitz skwapliwie. - Hochbauer dostarczy nam prostego, przekonującego dowodu. To mu chyba nie przyjdzie zbyt trudno. Tak jak on jest zbudowany! Przy jego szczęściu do kobiet! - W to wam graj! - zawołał Hochbauer oburzony. - Ja się nie zadaję z tymi małymi brudnymi zdzirami. Na to cenię się zbyt wysoko! - Jeśli tylko nie masz innych zmartwień - powiedział niezwykle doświadczony w tych sprawach Egon Weber - to jest na to rada. Istnieje w tym pięknym miasteczku jedno dziecko - czy drzwi są zamknięte, koledzy? - powiadam wam: mleko i miód. ślinka człowiekowi leci na jej widok. Piękna jak z filmu, a czysta jak z kościoła. Gwarantowana dziewica, według zgodnych zeznań. Daję wam słowo: w porównaniu z tą każdą tak zwaną damą jest tylko starą szkapą. Maria Kelter nazywa się ta mała. Zdaniem Kramera propozycja ta szła stanowczo za daleko. REdnitz zdawał się być tego samego zdania. Ale M~osler ryknął: - To się Hochbauerowi nigdy nie uda! Znam tę małą, z nią to nawet mnie się nie uda! - To nie jest żadne kryterium! - powiedział Hochbauer rozdrażniony. - Tylko lepiej nie zalewaj! - odparował M~osler. - Po prostu nie masz odwagi. Ty nigdy nie dasz rady jej poderwać. A jeśli ci się to uda, to możesz mnie w przyszłości nazywać skończoną ofertą i przed zebraną w szeregu grupą kopnąć mnie w dupę, podchorążackie słowo honoru! - Przyjmuję twoją ofertę! - oświadczył Hochbauer błądy, ale zdecydowany na wszystko. Sił dodawały mu zachęcające i pełne podziwu spojrzenia jego świty. - Brawo! - ryknął chór podchorążych. - Załatwione! Zakład stoi! - zawołał M~osler. - Dziesięć dni ci wystarczy? - Pięć dni - oświadczył Hochbauer. Był zdecydowany bronić swego prestiżu za wszelką cenę. Nawet za taką.

Część II (c.d.) 27 Dzień, w którym zaczęła się katastrofa Pierwsi wstawali co dzień w koszarach pracownicy kuchni; dyżurni budzili ich o czwartej rano. Wygramoliwszy się z łóżek, ubierali się jeszcze na wpeł śpiąc, po czym powłócząc nogami szli do budynku, w którym mieściła się kuchnia. Robili ogień pod kotłami i w kwaśnym humorze pitrasili ciec, która oficjalnie nazywała się kawą. O piątej zegar wybijał pobudkę dla obsługi kasyna, dla dyżurnych z kolumny samochodowej oraz dla żołnierzy przydzielonych do zadań specjalnych. Krótko po piątej wstawali również ci spośród oficerów, którzy zamierzali przeprowadzać specjalne kontrole - wśród nich najczęściej generał. O tej samej prawie porze budzono w poszczególnych oddziałach dyżurnych podchorążych. O piątej trzydzieści trzeba było

wypędzić z łóżek kompanię administracyjną, to znaczy żołnierzy tej kompanii. Podoficerowie spali zwykle godzinę dłużej, jeśli nie mieli rano służby. Kapitana Katera oczywiście nie widywano nigdy o tak wczesnej porze - chyba że wracał z nocnego posiedzenia w kasynie albo z przydługiej zabawy w miasteczku. Dopiero jednak o szóstej koszary budziły się naprawdę: ośmiuset podchorążaków, w których dyżurni podchorążowie próbowali wlać życie, wylażło z łóżek klnąc, warcząc i narzekając, przy akompaniamencie przeraźliwych gwizdków i pokrzykiwań młodocianych naganiaczy. Wszystko według zasady: im większy hałas, tym łatwiejsze przebudzenie. Dokładnie w kwadrans później podchorążowie, jeszcze nieco zataczając się, wylewali się strumieniem na dwór. Ustawiali się grupami, łączyli się w oddziały i meldowali się pełniącym służbę kontrolną dowódcom grup szkolnych: w sześciu miejscach koszarowego placu ćwiczeń jednocześnie zaczynała się uprzykrzona, przyjmowana przeważnie z rezygnacją gimnastyka poranna, trwająca dokładnie piętnaście minut - chyba że ten czy ów dowódca grupy marzył lub był zmęczony, lub po prostu nie miał ochoty. To jednak w praktyce zależało z kolei od tego, czy w zasięgu jego wzroku znajdował się jakiś wyższy przełożony, a zwłaszcza generał. PO odwaleniu tego obowiązku koszary zamieniały się automatycznie w dobrze zorganizowane mrowisko: żołnierze posłani po kawę spieszyli do kuchni, sprzątacze uzbrajali się w wiadra, ścierki i miotły, część podchorążych zaludniała umywalnie, inna toalety, jeszcze inna pucowała swoje buty na glanc, niektórzy patrzyli sennie i bezmyślnie w próżnię, a niemała część zabierała się od razu do jedzenia. Około siódmej wstawali pozostali oficerowie, podoficerowie kompanii administracyjnej i skoszarowane pracownice cywilne. Oficerowie udawali się do kasyna, aby tam przy skąpych rozmowach spożyć swoje skromne śniadanie. Oczekiwali zajęć dziennych z podobnymi uczuciami, co podchorążowie. Zajęcia oficjalne rozpoczynały się według planu dokładnie co do minuty o ósmej. * * * Dla porucznika Kraffta dzień ten zaczął się dość pogodnie. Wraz z kapitanem Federsem szedł do budynku kompanii administracyjnej. Obaj mieli zamiar obejrzeć sobie dla hecy kapitana Katera, dla którego miała się dziś rozpocząć wielkoniemiecka tresura. - Takiej okazji nie można pominąć - twierdził Feders. - Odkąd generał ściągnął mnie Katerowi na kark, niejednemu zaczął się załamywać światopogląd: Zaczyna się coś zupełnie nowego! Kater lada chwila będzie się czuł jak mysz pod miotłą, a ja mu naturalnie w tym dopomagam. Feders i Krafft mogli sobie pozwolić na tę małą wizytę, bo na pierwszej lekcji tego dnia kapitan Ratshelm trenował podchorążych pod względem ideologicznym i usiłował im wbijać do łbów, jaki szczególny sens ma tym razem umieranie. W końcu każdą kolejną wojnę prowadzono z innych przyczyn, tak w każdym razie niezmiennie twierdzono. Zadanie szerzycieli tak zwanych światopoglądów we wszystkich krajach polegało przecie na zapychaniu pustych łbów dźwięcznymi hasłami, co, jak wykazuje doświadczenie, nie nastęczało szczególnych trudności. Kapitan Kater w tych dniach nie miał prawie czasu myśleć o wielkich sprawach - jego komisaryczny zwierzchnik kapitan Feders dbał o to, żeby miał pełne ręce roboty. To codzienne jednogodzinne utrapienie nigdy nie spadało na kapitana Katera o tej samej porze. Kapitan Feders zjawiał się u niego, kiedy miał ochotę. A więc dziś o ósmej rano. I zastał kapitana Katera już na posterunku. - Siadaj pan, Kater - rzekł Feders na przywitanie. - Porucznik Krafft towarzyszy mi dlatego, żeby mi nie było nudno, kiedy będę pana uczył tabliczki mnożenia. Nie ma pan chyba nic przeciwko temu, Kater? - Nie posuwaj się pan zbyt daleko, Feders - odparł Kater wściekły, oszańcowawszy się za swoim biurkiem. - W tej chwili jestem co prawda bezsilny wobec pana, ale to nie będzie trwać wiecznie. - Ależ mój drogi Kater - rzekł Feders uprzejmie - tylko bez tego tonu! Groźby działają na mnie rozweselająco, a to chyba nie leży w pańskich zamiarach. - Usiadł sobie wygodnie i wskazał miejsce Krafftowi. Kapitan Kater mruknął kilka niezrozumiałych, ale wyraźnie nieprzyjaznych słów. Zarządzenie generała ściągnęło mu na kark tego Federsa, który bawił się z nim w szkołę wojenną - z nim, starym kapitanem! Człowiek ten domagał się nawet, żeby on, Kater, dokładnie przestrzegał godzin służbowych - od ósmej do dwunastej i od czternastej do osiemnastej. Od kiedy Kater był oficerem, zdarzyło mu się to po raz pierwszy. - Czy mogę przejrzeć pocztę przygotowaną do podpisu? - spytał Feders uprzejmie. Kater skinął niechętnie głową i przysunął swemu nadzorcy przygotowaną

teczkę. Feders otworzył ją bez pośpiechu i zaczął wertować. Zaraz na widok pierwszego pisma wyciągnął z kieszeni ostro zastrugany czerwony ołówek, uśmiechnął się, pokręcił głową i przekreślił całą kartkę grubą krechą, od lewego dolnego rogu do prawego górnego. - Drogi kapitanie Kater, czytam ku memu zdumieniu, że pan sądzi, przypuszcza, jest zdania... Nie jest to w końcu niezręczne, bo któż lubi się wyraźnie angażować? Ale tkwi w tym pewien podstawowy błąd, jaki nie powinien się zdarzyć nawet podoficerowi. Wie pan, co mam na myśli? - No to gadaj pan! - warknął Kater. W oczach jego zabłyśły jakieś mordercze myśli, co Feders przyjął do wiadomości z całkowitym zrozumieniem. - Błąd leży w nagłówku - wyjaśnił Feders ochoczo. - Brzmi on mianowicie: Meldunek. Ale w meldunku należy podawać tylko fakty. Krótko, zwięźle i możliwie wyczerpująco. Jeśli pan jednak tylko sądzi, wierzy (czego żołnierz i tak nie robi, bo to, jak wiadomo, jest sprawą kościoła), jeśli pan przyjmuje, wyraża pogląd, to nie jest to meldunek, lecz opinia. Mam rację, Krafft? Pan jako nauczyciel korespondencji będzie to chyba najlepiej wiedział. - Ma pan rację, panie kapitanie - rzekł Krafft. - Cieszy mnie to - powiedział Feders, i zwróciwszy się do Katera, dodał zyczliwie: - Czy mogę więc pana prosić, żeby przyjął pan to do wiadomości i w przyszłości się do tego stosował? Kater mruknął bezsilny: - Rób pan tylko tak dalej! - Bardzo chętnie - odparł Feders grzecznie i natychmiast usłuchał tego wezwania. Z dwunastu przedłożonych mu pism Feders odrzucił dziewięć; w pozostałych trzech przypadkach chodziło o wypełnione formularze. Po każdym pouczeniu Kater kurczył się w sobie coraz bardziej. - Jak się pan zapatruje na koniak? - spytał Feders po tej lekcji korespondencji. - Ma pan jeszcze coś na składzie? - Czego pan właściwie chce ode mnie?! - zawołał Kater, wijąc się jak piskorz. - Skonfiskował mi pan już przecież wszystkie trunki, jakie tylko znajdowały się w moim posiadaniu. - Drogi kapitanie Kater! Przestańże pan wreszcie używać takich nieścislej sformułowań. Ja niczego nie konfiskowałem. Ja tylko coś niecoś zanotowałem sobie i zabezpieczyłem, środek ostrożności, o którym pan podobno zapomniał. A poza tym nie chodziło przecież o rzeczy znajdujące się w pańskim posiadaniu, pan nimi jedynie zarządza, nieprawdaż? A więc jak z tym jest: ma pan jeszcze jakiś koniak czy nie? - Już dobrze - zgodził się Kater. Zdawało mu się, że w ten sposób wykupi się przynajmniej na jeden dzień spod tej męczącej kurateli. - Nie jestem aż taki zły. - PO czym wyłowił z biurka całą butelkę koniaku - „Remy Martin”; do tego trzy kieliszki. Feders skwitował te przygotowania z zadowolonym uśmiechem, ale potem powiedział: - Kieliszki może pan spokojnie z powrotem schować, Kater. Nie wspominałem ani słowem, że chcę się napić koniaku; spytałem pana tylko, czy pan ma jeszcze koniak. Podejrzywałem bowiem, że rozporządza pan jeszcze czarnorynkowymi zapasami. I muszę wyznać, że mi się to wcale nie podoba. Prosiłem pana przecież kilka dni temu o kompletną listę towarów. O przyznawaniu jakichś prywatnych zasobów nigdy nie było mowy. Po tym ponownym wpadunku Kater patrzył na Federsa z wyraźną już nienawiścią. - Nadejdzie taki dzień, kiedy ktoś tego pożałuje. - Kater miał przy tym na myśli nie tylko Federsa, ale i generała. - Gdyby nasz Kater mógł robić to, co chce, najchętniej skoczyłby mi do oczu, i generałowi też - oświadczył Feders. - Ale nie może, i dlatego wierzy w jakiś cud. Ale cuda, jak wiadomo, rzadko się zdarzają. Do tego czasu, mój drogi Kater, jest pan zdany na wyrównującą wszystkie rachunki sprawiedliwość. Wpisz pan więc i tę flachę na naszą listę. I przypomnij pan sobie, czy nie ma pan jeszcze dalszych butelek. Mogę panu pomóc, jeśli pan chce. - Chce pan przeprowadzić u mnie rewizję? - Niezła rada, Kater. Ale w tej chwili interesuje mnie raczej inna sprawa. W kolumnie samochodowej jest pięć wozów osobowych, prawda? Z tego dwa znajdują się w pogotowiu rezerwowym, jeden jest do stałej dyspozycji generała, jeden w razie potrzeby do dyspozycji dowódców kursów i jeden wreszcie wóz przydzielony jest dowódcy kompanii administracyjnej. Zgadza się? - Tak jest, zgadza się. Dowódcy kompanii administracyjnej stale potrzebny jest wóz osobowy, dla załatwiania bieżących spraw, utrzymywania kontaktów i tak dalej. - Nie mam nic przeciwko temu - powiedział Feders. - Jest tylko jeszcze jeden drobiazg: Praktycznie nie pan tu jest dowódcą, lecz ja. Tym samym nie pan dysponuje wozem, lecz ja. I to od zaraz. Proszę się do tego zastosować. To byłoby wszystko na dziś, drogi Kater. * * * TEgo dnia oddział szósty miał od godziny #/9 do #/12 ćwiczyć w terenie. Temat zgodnie z planem: Zasady

użycia drużyny piechoty w walce. Miejsce: w rejonie polowego stanowiska dowodzenia. Kierownictwo ćwiczeń: dowódca oddziału i dowódcy grup szkolnych. W niedużych odstępach czasu trzy grupy z szóstego oddziału - G, H i I - opuściły koszary. Droga do wyznaczonego celu nie była zbyt daleka, a więc szybciej i sprawniej musiała działać zwykła w takich razach kontrola. POporucznik Dietrich, dowódca grupy szkolnej z I oddziału, zapobiegał wszelkim możliwym komplikacjom - jak rozmawianie w szeregu, nieuwaga, zbyt liczne pytania - po prostu w ten sposób, że kazał maszerować w maskach przeciwgazowych. Porucznik Krafft trzymał się przeważnie z tyłu swojej grupy, aby ją lepiej obserwować. Prawie nigdy nikogo nie ganił; rejestrował tylko każdy szczegół, i to wszystko. Natomiast porucznik Webermann, dowódca grupy szkolnej G, bawił się we wszelkie możliwe odmiany zwyczajowej edukacji koszarowej. Gadał bez przerwy i zawsze znajdował jakąś dziurę w całym: tu jakiś podchorąży maszerował „z nosem w gównie”, inny „mylił karabin z parasolem”, trzeci „szedł jak na szczudłach”, jeszcze inny za mocno wymachiwał rękami, kilku szurało nogami; i prawie wszystkim brak było „swobodnego, śmiałego spojrzenia”. - Banda świń! - wołał dowódca grupy raz po raz. Kapitan Ratshelm, to na przedzie, to w tyle za wszystkimi, od czasu do czasu zatrzymywał się na jakimś wzniesieniu i rozkoszował się cudownym widokiem, jaki jego zdaniem przedstawiali jego podchorążowie. Nie mylił się zresztą, bo ilekroć tylko podchorążowie go zauważyli - a stał przeważnie w punktach dobrze widocznych - wypinali piersi naprzód, podnosili wysoko nogi, śpiewali głośniej. Nie dlatego, że to był Ratshelm, lecz dlatego, że był ich dowódcą oddziału. Jego zaś zachwycała ta elastycznie maszerująca młodzieńcza męskość, ich sprężysty krok, błyszczące oczy, smukłe partie biodrowe. Doszedłszy do tak zwanego stanowiska dowodzenia - oddalonego o dwa kilometry, czyli o dwadzieścia minut marszu od koszar - grupy szkolne rozsypały się w terenie. Kto chciał przeprowadzić musztrę, jak grupa Webermanna, ten wybrał ośłą łączkę. Komu zależało na nieskomplikowanym hartowaniu ciała, jak grupie Dietricha, ten trzymał się w pobliżu kamieniołomów. Kto jednak, jak grupa Kraffa, chciał, żeby mu nikt nie włąził w paradę, pociągnął do lasu. Tu porucznik Krafft rozkazał swojej gromadce rozwinąć się w tyralierę, ubezpieczyć skrzydła i zabezpieczyć się przed strzelcami nieprzyjaciela, rozmieszczonymi na drzewach. Zamaskowani zapiętymi na guziki płachtami namiotowymi, taszcząc cały ekwipunek frontowy z łopatką włącznie, cwałowali po terenie i zgodnie z rozkazem wypatrywali wroga, z którym ponoć nawiązali styczność. Zachowywali się więc tak, jak się należało zachowywać w warunkach bojowych. „Rozpoznać białka oczne nieprzyjaciela”, i to możliwie we właściwym czasie. Czyli, jak to sformułował Rednitz: Czytajcie Karola Maya, a będziecie mieli większą korzyść ze szkoły wojennej. Tylko poeta B~ohmke jakoś bez serca podchodził do tych ćwiczeń - nie szukał wrogów, zamyślony wzrok wbił w ziemię. Krafft zauważył to z pewnym zdziwieniem i spytał: - B~ohmke, ćwiczyacie posuwanie się żołnierza w natarciu czy zbieracie grzyby? Odpowiedź B~ohmkego była dowodem, że poeta nie zawsze był taki nieprzytomny, jak się na ogół zdawało. Rozporządzał sporą dozą przytomności umysłu. Oświadczył bowiem ku radości Kraffa: - Uważam na miny, panie poruczniku. - No to w takim razie dobrze uważajcie, bo byłoby szkoda, gdybyście przypadkiem nie natrafili na minę. Był to żart rubaszny, ale żołnierski. Od razu stworzył między porucznikiem a jego grupą ową przyjemną harmonię, która w ostatnich dniach stawała się coraz bardziej odczuwalna. Podchorążowie przekonali się bowiem, że Krafft posiadał dwie ważne cechy, dzięki którym zwierzchnik staje się znośny i jednocześnie szanowany: rozumiał swoich żołnierzy i nie dawał im się kiwać. Niektórzy darzyli go wyraźną sympatią, a takich, co go nie lubili, było coraz mniej. - Okopać się! - rozkazał porucznik. W ten sposób dostarczył swoim podchorążym zajęcia na przynajmniej dziesięć minut. I miał czas zastanawiać się nad tym, jak by tu przechylić szalę jeszcze bardziej na swoją korzyść. W którym miejscu poruszyć dźwignię, to już wiedział. Chodziło właściwie jeszcze tylko o metodę, ale o taką metodę, która byłaby najskuteczniejsza. W zamyśleniu Krafft przyglądał się okopującym się podchorążym. Tam gdzie zachodziły największe zmiany tektoniczne, należało domyślać się obecności Hochbauera. I na to miejsce udał się porucznik. - Hochbauer - powiedział - zbierzcie grupę i ćwiccie wskazywanie celów. - Rozkaz, panie poruczniku - zawołał Hochbauer. - Zebrać

grupę! Ĺwiczyć wskazywanie celów! Hochbauer powtórzyłby rozkaz bez chwili wahania nawet i wtedy, gdyby ten był zupełnie bez sensu - gdyby na przykład brzmiał: Przygotować się do ćwiartowania! Kierunek piekło, marsz! Za słowami „wskazywanie celów” krył się diabelski trik, Hochbauer wiedział to bardzo dobrze, ale nie dał tego po sobie poznać, na tym temacie grupa dopiero kilka dni temu omal nie połamała sobie zębów; nie dawał się on bowiem całkowicie ująć w regulaminy. Rozkazy bojowe, rozkazy ogniowe, zarządzenia bojowe - wszystko to można by z grubsza w regulaminie sprecyzować, ale nie „wskazywanie celów”. Tu decydującym czynnikiem był teren. Hochbauer zebrał wokół siebie grupę. I natychmiast zwał odpowiedzialność na kogoś innego, mianowicie zgodnie z przewidywaniami Kraffta, na Rednitsa. Ten poczciwy Rednitz nie jest taki głupi, myślał sobie Hochbauer, on uratuje sytuację albo się skompromituje - czego mu z całego serca życzył. Podchorążowie nadstawili uszu. - Rednitz także dobrze wiedział, że „wskazywanie celów” należy do tych rzadkich tematów, których nie opanował nawet Hochbauer. I dlatego wypalił beztrzesko: - Odległość tysiąc, ten samotny świerk. - ale - powiedział porucznik Krafft spokojnie. - ale powtórzył za nim Hochbauer. Teraz Rednitz z błyskawiczną szybkością odwrócił kota ogonem. Natychmiast dojrzał piętę Achillesową Hochbauera - dzięki Krafftowi. Spytał z bardzo niewinną miną: - Co w tym jest Złe, Hochbauer? - Powiedźcie mu - wezwał Hochbauera do odpowiedzi również Krafft. Ten jednak nie wiedział, na czym polega błąd. Rozglądał się naokoło niespokojnie i bezradnie. Zagryzł usta i zbladł. Ale nie znalazł w pobliżu żadnego zbawcy. Najbliższych przyjaciół odepchnął już Egon Weber. A pozostali podchorążowie patrzyli wyteżonym wzrokiem w kierunku „ten samotny świerk na odległości tysiąc”. - Hochbauer - perorował Krafft łagodnie - że wasze wiadomości z historii wojen są niedostateczne, to jeszcze pół biedy. Ĺe nie potraficie się zdobyć na należyte zrozumienie dla dążeń naszego Führera, to okoliczność smutna. Ale że nie zdajecie egzaminu, nawet gdy idzie o najelementarniejsze pojęcia, to mnie zdumiewa. Grupę obejmuje zamiast was podchorąży Weber, żebyście się mogli spokojnie zastanowić nad tym zagadnieniem. Weber dumnie przepchnął się do przodu. Hochbauer poczerwieniał i wycofał się. Trząsł się z oburzenia, że nie potrafił rozwiązać zadania, a także dlatego, że Krafft akurat zwęszył ten jego jedyne chyba słaby punkt (niestety, był niedoskonały pod tym względem). To była kłapa - tym bardziej zawstydzająca, że tak łatwo dał się zrobić. Grupę przejął więc Weber, Egon. Rozejrzał się badawczym wzrokiem naokoło. Aczkolwiek był jednym z nielicznych, którzy orientowali się w tym przedmiocie, zamierzał unikać niepotrzebnych komplikacji. I trochę zdumiony spostrzegł, że znowu zgłasza się Rednitz. - Teraz wiem, na czym polegał błąd - wyjaśnił Rednitz z niewinną miną. - Zapomniałem wskazać kierunek. Wskazanie celu powinno brzmieć: Prosto przed nami, odległość tysiąc, ten samotny świerk. Dwa palce w lewo krzaki w kształcie szczotki do zębów. Tam nieprzyjacielski kaem. - Zgadza się - powiedział Weber. Kręcąc lekko głową, spojrzął na Hochbauera. Ten uświadomił sobie dopiero teraz, jak podstępnie postąpił Rednitz. Odegrał rolę wabika, a on, Hochbauer, poszedł na jego lep. - Słusznie - rzekł Krafft zadowolony. - Trzeba było od razu tak powiedzieć. * * * Między godziną jedenastą a dwunastą generał konferował po kolei z obydwoma dowódcami kursów. Dla każdego z tych dwóch panów przewidziano dokładnie trzydzieści minut. Ale gdy dowódca kursu I zużył tylko dwadzieścia minut swego czasu - jego wyniki były zawsze idealnie zgodne z życzeniami generała - dowódca kursu II, major Frey, przekroczył swój czas już o pięć minut. Generał nie wspomniał o tym ani słowem. RAz jeden tylko spojrzął na zegarek i zmarszczył brwi, w czym można się było dopatrzeć druzgocącego wyrzutu. Major poczuł się nieswojo. GGenerał nigdy nie był specjalnie rozmowny, ale teraz milczał już od siedmiu minut. Jego uwaga zdawała się koncentrować na jednej jedynej liczbie: sześćdziesiąt trzy procent. Porównywał ją z wszystkimi innymi wynikami, zamykającymi się w ramach osiemdziesięciu jeden do osiemdziesięciu siedmiu procent. A to znaczyło: wszystkie grupy szkolne osiągały wymagany procent - tylko jedna nie, grupa szkolna H. - Jak pan sobie tłumaczy tę jaskrawą różnicę, panie majorze? Major Frey miał ochotę powiedzieć, że to się w ogóle nie da wytłumaczyć, przynajmniej racjonalnie. Otrzymał te liczby i zgodnie ze swoimi obowiązkami przekazał je dalej. On sam też był co prawda nieco zdumiony, ale nie wyraził

żadnych zastrzeżeń. - Ponieważ wyniki okresowe nie są ostateczne, przypuszczam, że zostaną jeszcze skorygowane. - Czy to wszystko, co pan przypuszcza, panie majorze? - Woli majora ogarniało uczucie, że temperatura w tym pokoju musi być niezwykle wysoka. - Bardzo samowolna interpretacja ustalonych metod egzaminacyjnych, sędzę. - A co pan poza tym sądzi, panie majorze? - Sędzę, że te liczby zmienią się, zanim dojdzie do wyników końcowych. - Generał zwęził oczy. - Pan przypuszcza, sądzi, myśli? A co pan wie? - Panie generale - powiedział major z odwagą straceńca - od kapitana Federsa zawsze, podczas każdego kursu, otrzymywaliśmy bardzo dziwne liczby. Ale teraz, gdy współpracuje z nim akurat ten porucznik Krafft, jest z tym już wyraźnie bardzo źle. Zaryzykowałbym nawet twierdzenie: ci dwaj do spółki sabotują naszą pracę, naruszają równowagę, te liczby są chyba dostatecznym tego dowodem. - Kapitan Feders - powiedział generał chłodno - jest bezsprzecznie najlepszym wykładowcą taktyki w naszej szkole. Jest autorem programów nauczania obowiązujących we wszystkich szkołach wojennych. Również porucznik Krafft wydaje mi się być człowiekiem o nieprzeciętnych kwalifikacjach. - Zapewne - przyznał major - obaj znają się na swoim fachu, nie przeczę temu. - Jeśli więc dwaj oficerowie tego formatu - ciągnął dalej generał - stwierdzają zgodnie, że tylko około sześćdziesięciu trzech procent podchorążych nadaje się na oficerów, a nie, jak twierdzi się na ogół, przeciętnie osiemdziesiąt cztery procent, to jakie pan z tego wyciąga wnioski, panie majorze? Major Frey bynajmniej nie był skłonny do wyciągania przedwczesnych wniosków. Nie wiedział też dobrze, do czego generał zmierza. I dlatego powiedział mgliście: - Nieporozumienia są zawsze możliwe. Generał na chwilę zamknął oczy: musiał się opanować, żeby nie okazać swojej pogardy. - Proszę się zastanowić, panie majorze, nad następującą rzeczą: co by było, gdyby ci dwaj oficerowie mieli rację, a inni nie? Może cały nasz system jest fałszywy albo niedoskonały, a więc wymaga korektury. Może rzeczywiście z każdego kursu wypuszczamy dwadzieścia procent kandydatów na oficerów o zupełnie niedostatecznych kwalifikacjach? Czy pan wie, co to by mogło znaczyć, panie majorze Frey? Czy pan się już kiedyś nad tym zastanawiał? - Tak jest, panie generale - zapewnił go major stanowczo, przy czym tak go zatrzęsło, że jego Krzyż Rycerski gwałtownie się zakołysał. Oczywiście myśli jego nigdy jeszcze nie zapuściły się na takie manowce. Co sobie ten generał właściwie wyobrażał? Prawie czterdzieści procent braków - i to w okresie, gdy wojna jest w pełnym biegu, na krótko przed ostatecznym zwycięstwem? To przecież byłaby katastrofa. Takie rzeczy były w ogóle nie do pomyślenia dla prawdziwego Niemca. To by znaczyło nie zrozumieć sensu, a już na pewno celu szkoły wojennej. - Czyż my jesteśmy fabryką, Frey?! - zawołał generał. O mały włos major dałby twierdzącą odpowiedź, bo w pewnym sensie przecież tak było. Wyrabiali tu oficerów, tak jak gdzie indziej naczynia kuchenne, hełmy stalowe i granaty. Tylko że ich działalność była daleko bardziej skomplikowana, bardziej odpowiedzialna i ważniejsza. Tam maszyny, robotnicy i inżynierowie - tu duch bojowy, świadomość i twórczy korpus oficerski. Nasz produkt końcowy: podporucznik. Ale mówić tego generałowi nie było sensu, a poza tym byłoby to niebezpieczne, bo ten człowiek był niesłychanie uparty. Major Frey swoim własnym zdaniem nie należał bynajmniej do tych, którzy tchórzliwie unikają walki, walczył tylko na swój sposób. I dlatego też oświadczył: - Okresowe oceny kapitana Federsa i porucznika Kraffta uważam w każdym razie nie za rezultat gruntownego egzaminowania, lecz za rezultat bardzo samowolnego postępowania. - Czy to znowu jedno z pańskich przypuszczeń - spytał Modersohn czujnie - czy też dysponuje pan tym razem konkretnymi dowodami? - Pozwalam sobie wskazać na stanowisko, jakie zajął kapitan Ratshelm - powiedział major. Bo oczywiście nie miał najmniejszego zamiaru angażować się tu osobiście. - Istnieją istotne różnice zdań w ocenach. Szczególnie charakterystyczny jest tu chyba, zdaniem kapitana Ratshelma, przypadek podchorążego nazwiskiem Hochbauer. Za tym podchorążym przemawiają dość istotne względy. Pochodzi z bardzo szanowanej starej rodziny wojskowych. Jego ojciec jest podobno nawet komendantem twierdzy SS... - Panie majorze, nie interesuje mnie specjalnie, z jakiego domu ktoś pochodzi. Decydujące jest tylko to, co umie. - Jestem tego samego zdania, panie generale. Pozwoliłem sobie tylko zacytować poglądy kapitana Ratshelma. W każdym razie ten Hochbauer wydaje się o tyle

godny uwagi, że opinie o nim są bardzo sprzeczne. Porucznik Krafft na przykład uważa, że Hochbauer się zupełnie nie nadaje na oficera. Kapitan Feders twierdzi, że Hochbauer jest niezwykle zdolnym taktykiem, ale poza tym podziela opinię porucznika Kraffta. Zdaniem kapitana Ratshelma wreszcie Hochbauer wybitnie nadaje się na oficera, i to pod każdym względem. - To ciekawe - rzekł generał. - Proszę przedstawić mi wszystkie dokumenty dotyczące tej sprawy. Najpóźniej dziś po południu. * * * Od godziny dwunastej do drugiej rozkład zajęć przewidywał przerwę obiadową. Ale czas ten nie miał nic wspólnego z przerwą, bo obiad również był zajęciem służbowym i jego przebieg był dokładnie uregulowany. Ale jeszcze przed obiadem trzeba było usunąć z grubsza wszelkie ślady zajęć przedpołudniowych. Jeśli odbywały się wykłady, trzeba było szybko uzupełnić notatki i odłożyć notatniki na swoje miejsce. Jeśli mieli zajęcia w terenie, musieli jako tako oczyścić swe manele. Przebrać się musieli w każdym razie, bo obiad spożywano w mundurze wyjściowym, jeśli był to obiad „oficjalny”. A taki obiad odbywał się pięć razy tygodniowo, od poniedziałku do piątku. Czas wiecznie zagonionych podchorążych był ściśle wyliczony. Dwunasta pięć: powrót z zajęć. Od dwunastej pięć do dwunastej piętnaście: czynności związane z zakończeniem zajęć przedpołudniowych, jak odkładanie na miejsce broni, sprzętu, materiałów piśmiennych, mundurów roboczych. Od dwunastej piętnaście do dwunastej dwadzieścia: przebieranie się do obiadu, włącznie z czesaniem włosów i czyszczeniem paznokci. Od dwunastej dwadzieścia do dwunastej trzydzieści: zbiórka na obiad, krótki przegląd mundurów, przeprowadzany przez starszego grupy szkolnej, marsz do kuchni nr 2, przybycie na miejsce, wreszcie ustawienie się wokół zsuniętych, nakrytych papierem stołów. Następnie: czekanie na dowódcę grupy. Dowódcy grup szkolnych przychodzili zwykle o dwunastej trzydzieści pięć, rzadko jednak później niż o dwunastej czterdzieści. Stawali za zastrzeżonym dla siebie czołowym miejscem przy stole i każdy z nich przyjmował meldunek od starszego swej grupy. Po czym padało wezwanie: „Hasło!”. Wygłaszanie „hasła dnia” należało do tradycji. Za czasów cesarskich składało się przeważnie z wypowiedzi Jego Cesarskiej Mości. W czasach Republiki Weimarskiej ograniczano się do sentencji „wielkich żołnierzy niemieckich”, jakich nigdy nie było brak. A teraz cytowano stale F~uhrera. Co prawda odkąd Krafft prowadził grupę, panowała poniekąd błazeńska wolność w tym względzie. Każdy mógł gadać, co mu ślina na język przyniosła. O kolejności decydował porządek alfabetyczny, starszy grupy albo też chęć popisywania się poszczególnych podchorążych. Tego dnia przyszła kolej na podchorążego B~ohmkego - koledzy chętnie mu ustępowali ten honor. I jak zwykle B~ohmke zacytował ulubione słowa ze swego ukochanego „Fausta”: „Wstań i głowę wznies w wichurę, @ która straszy śpiący tłum - @ szlachetnego wznosi w górę @ szybkich skrzydeł wielki [szum.@](#)” - Smacznego, panowie! - Zawołał porucznik Krafft, siadając. Podchorążowie poszli za jego przykładem. Również i oni usiedli i siorbali swoją zupę. Z początku nie było żadnych rozmów, co jednak nie znaczy, by myśli podchorążaków krążyły wokół „hasła dnia”. Byli głodni. Nawet cienka, mdła kartoflanka smakowała im. Po prawej ręce Kraffta siedział Kramer, po lewej Rednitz. Nie było to wynikiem ani przypadku, ani wyrachowania - był to po prostu rezultat codziennej zmiany miejsc. Tylko dowódca grupy siadał niezmiennie po tej samej stronie stołu, na poczesnym miejscu. I podczas gdy na końcu stołu M~osler z udawaną głupotą rozwodził się na temat cywilnej niemczyzny Goethego, porucznik Krafft zapytał starszego grupy: - Słyszeliście już kiedyś o homoseksualizmie, Kramer? - Tak jest, panie poruczniku. Takie rzeczy się podobno zdarzają, ale są karalne. - A czy nie podlega karze również i ten - spytał Rednitz - Kto wie o tego rodzaju wykroczeniu, a nie melduje o nim? Odpowiedź na to niezmiernie drażliwe pytanie została na szczęście zaoszczędzona zarówno Krafftowi, jak i starszemu grupy. POjawił się bowiem ordynans i zameldował, że pan porucznik proszony jest do telefonu - natychmiast, w ważnej sprawie. Krafft natychmiast poszedł do telefonu. Na odchodnym powiedział, żeby nie przerywali jedzenia. Praktycznie znaczyło to: Jeśli nie wrócę zaraz po zupie, można spokojnie zabrać się do pieczenia w sosie, a nawet zjeść wodnisty budyń z kaszy z syropem. W telefonie odezwał się kapitan Feders. Głos jego nie brzmiał tak spokojnie, jak zwykle; był szorstki, nagły i zdecydowany: - Musi mnie pan dziś po południu zastąpić na wykładach, Krafft. Nie mam czasu na te brednie,

muszę pojechać do Willi Rosenhugel. - Czy tam się coś stało? - Jeszcze nie - rzucił Feders pośpiesznie. - Ale od godziny szarogęsi się tam urzędowy morderca, jakiś generał lekarz, o wielkoniemieckiej etyce lekarskiej i z odpowiednimi pełnomocnictwami. Nie wiem jeszcze, co będzie. - W porządku, Feders. Zajmę się oczywiście po południu grupą i poprowadzę zajęcia. Jeśli mógłbym być panu w czymś jeszcze pomocny, proszę mi dać znać. Rozmowa była skończona. Porucznik poszedł z powrotem na swoje miejsce. Jak należało się tego spodziewać, podchorążowie byli już przy drugim daniu, tak zwanej pieczeni. Pojedyncza porcja miała według jadłospisu ważyć 100 gramów; do tego dochodziło 250 gramów kartofli oraz sos obficie zaprawiony wodą, który jednak mimo to miał mocny, ostry zapach: produkt dorastającej do zadań wojny chemii spożywczej. Porucznik Krafft, mocując się ze swoim łykowanym płatem mięsa, powiedział do Kramera: - Przewidziany na dziś po południu wykład z taktyki odpada. Zamiat tego odbędą się zajęcia w terenie. Podchorąży Rednitz spytał z ciekawości: - Na jaki temat, panie poruczniku? - Mamy jeszcze do odrobienia pewne określone zadanie - powiedział Krafft przeciągle. - Jest taki jeden temat, który zaczęliśmy kiedyś przerabiać, a nie dokończyliśmy. Dziś przerobimy go do końca. Kramer spojrzął na swego dowódcę tak, że widać było, iż nic z tego nie rozumie. Ale Rednitz zrozumiał. Powiedział: - Zajęcia z wyszkolenia saperskiego. Wyszczepianie bunkra w powietrze. Zupełnie tak jak wtedy, kiedy zginął podporucznik Barkow. - Zupełnie - potwierdził Krafft, rozgniatując kartofel. - Proszę poczynić odpowiednie przygotowania. * * * O godzinie czternastej zaczynały się zajęcia popołudniowe, które trwały zwykle do godziny mniej więcej siedemnastej. Znowu zebrali się grupami i pomaszrowali - zgodnie z rozkładem zajęć - na swoje miejsca: do sal wykładowych, na plac ćwiczeń, do sali gimnastycznej, w teren. Grupa szkolna H zaopatrywała się najpierw w magazynie nr 3 w sprzęt saperski: w łopaty, siekiery, łomy, młoty, materiał wybuchowy, zapalarkę. Podchorążowie wyznaczeni do odbioru sprzętu kwitowali każdy drobiazg, każdy strzęp taśmy izolacyjnej. Samo to zajęło im dobre pół godziny, i dopiero potem grupa wyruszyła wreszcie w teren. Po przybyciu na miejsce grupa zabrała się do czasochłonnego zajęcia - bunkier, który miał być wysadzony w powietrze, musiał zostać najpierw zbudowany. A solidny bunkier wymagał czasu. Czterdziestu ludzi przez dziewięćdziesiąt minut miało pełne ręce roboty, budując coś, co w ułamku sekundy miało wylecieć w powietrze. Podchorążowie kopali więc i ryli pilnie ziemię, a na dobitkę, żeby im się nie nudziło, Krafft kazał im jeszcze wykopać rów. W koszarach również piłowano w tym czasie podchorążych. Oficerowie dawali plusy i minusy i notowali je sobie w pamięci albo w notesach. W kancelariach gromadziły się stosy dokumentów: oceny za pierwszy okres, oceny za drugi okres, jedno duże wypracowanie z taktyki, dwa mniejsze, na każdego po trzy oceny z przedmiotów wykładanych przez dowódców grup szkolnych, jedno wypracowanie z dziedziny ideologii, różne tabele ocen ze sportu i musztry, diagnozy lekarskie oraz wykazy stanu utrzymania uzbrojenia i wyposażenia osobistego, a także pomocy naukowych, jak kompas, mapy szkolne i przyrządy pomiarowe. Każdy podchorąży miał swoją grubą teczkę. Na czterech podchorążych przypadał jeden żołnierz, pełniący służbę tylko z ich powodu. Na czterdziestu podchorążych przypadało dwóch oficerów; na pięćdziesięciu podchorążych jedna kobieta. W ostatnich czasach ostro tępieno bezpośrednie kontakty między kobietami i podchorążymi. Na pierwszych kursach zaraz po otwarciu szkoły przeoczono lekkomyślnie tę sprawę, w rezultacie czego niektóre pracownice oddawały do dyspozycji podchorążych nie tylko własne osoby, lecz i wszystkie żądane przez nich akta. Ale u generała Modersohna żeńskie siły pomocnicze nigdy nie stykały się podczas służby bezpośrednio z podchorążymi. Tak więc Elfrieda pracowała u dowódcy kompanii administracyjnej, Marion Feders u kwatermistrza. Odkąd się poznały, często telefonowały do siebie. Czasem też odwiedzały się nawzajem w godzinach służbowych - z jakimś dokumentem pod pachą, co zwykle wystarczało jako pretekst do ucięcia sobie małej pogawędki. Ostatnio spotykały się przeważnie w kompanii administracyjnej - nie tylko dlatego, że zapas prawdziwej kawy Katera ciągle jeszcze się nie kończył. Zauważyły mianowicie, że kapitan Kater obchodził je zawsze wielkim łukiem - udawał, że ich w ogóle nie widzi. Nie wiedziały jednak, że Kater za każdym razem notuje sobie porę i czas trwania tych niewinnych

pagawędek. - Martwię się - powiedziała Marion. - Zawsze się o mego męża martwiłam, ale ostatnio on się jakoś dziwnie zmienił. - Czy chce pani powiedzieć - spytała Elfrieda równie otwarcie - że niepokoi panią przyjaźń pani męża z Kraffttem? Marion Feders kiwnęła potakująco głową. - Czy pani też ma takie uczucie, że stanowią oni niezwykłą parę? Od kiedy się pokumali, najbardziej niebezpieczne pomysły przychodzą im do głowy. - Ja się za mało na tym znam - powiedziała Elfrieda wymijająco. - Ale pani też to czuje, prawda? - Nie mam wpływu na porucznika Kraffta. - Ale jest pani z nim zaręczona! Elfrieda uśmiechnęła się: - Kochamy się; w każdym razie zdaje się nam, że się kochamy. Z tego powodu jednak nie mogę sobie rościć żadnych praw. Marion spojrzała zamyślna na Elfriedę i powiedziała serdecznie: - Pani go bardzo kocha, prawda? Elfriedo, musi pani robić wszystko, co w pani mocy, żeby go ustrzec od popełnienia jakiegoś głupstwa. To przecież straceńcy! Kto ich bliżej zna, widzi to po nich, choćby nie wiem jak próbowali odgradzić się od ludzi. Przyznam się pani zupełnie otwarcie: z początku byłam szczęśliwa, że te dwa odludki się zaprzyjaźniły. Ale powoli zaczynam się bać. - Chciałaby pani, Marion, żeby ich na powrót rozdzielono? - Tak - powiedziała Marion zdumiewająco stanowczo. - Razem stanowią niebezpieczeństwo, a raczej: prowokują niebezpieczeństwo, niewątpliwie z najlepszych i najprzyzwoitszych pobudek. Gdyby się nam udało ich rozdzielić, niebezpieczeństwo zmniejszyłoby się o połowę. To jest pani zadanie, Elfriedo. - Dlaczego niby miałabym to zrobić? - spytała Elfrieda chłodno. - I dlaczego akurat mnie miałoby się to udać? Znam porucznika Kraffta dopiero od kilku tygodni, pani natomiast, Marion, jest żoną kapitana Federsa... już od dawna. - Wie pani przecież, Elfriedo, jak to małżeństwo wygląda, co się z niego zrobiło od czasu, kiedy mój mąż został ranny. Mam minimalny wpływ na niego. Zdaje się, Elfriedo, że u pani wszystko jest inaczej, zupełnie inaczej. I dlatego musi pani zrobić wszystko, co jest w pani mocy, żeby rozdzielić tych dwóch... póki jeszcze czas. * * * Na miejscu zajęć porucznik Krafft ustawił już figury do decydującej rozgrywki. On sam przygotował ładunek: ośmiu wyznaczonych przedtem podchorążych trzymało się w jego bezpośrednim pobliżu, reszta czekała w ukryciu w odległości pięćdziesięciu metrów. Wszystkie wstępne warunki dla ustalenia momentu wybuchu zdawały się być spełnione. Powietrze było przezroczyste jak kryształ. Drzewa odcinały się od bładoniebieskiego nieba ostrymi konturami. Ziemia była zamrożona i twarda; wydawało im się, że mają pod nogami beton. Każdy oddech zamieniał się w mroźną mgłę. Lecz żadnemu z podchorążych nie było zimno. Patrzyli w milczeniu na wszystko, co robił Krafft. Widzieli jego spokojne, okrągłe ruchy; słyszeli jego zwięzłe, jasne i najwyraźniej przemyślane zarządzenia. Wydawał się jeszcze bardziej opanowany niż zwykle. Z twarzy jego biła spokojna powaga. Powoli podchorążowie zaczęli sobie uświadamiać, że to, co się tu odbywa, to nic innego jak tylko dokładna rekonstrukcja okoliczności śmierci podporucznika Barkowa - z wszystkimi, nawet najdrobniejszymi szczegółami. Ta sama ilość narzędzi leżała w tych samych miejscach, i podchorążowie podzieleni byli na takie same grupy jak wówczas. Porucznik Krafft zaczął zabierać się do zakładania dziesięciokilowego ładunku. Klęcząc na świeżo wykopanej ziemi, spojrzał w górę: otaczało go ośmiu podchorążych. Dwaj z nich, Amfortas i Hochbauer, stali tuż przy nim; trzej, mianowicie Kramer, Weber i Berger, w odległości kilku metrów; pozostała trójka, M~osler, Rednitz i B~ohmke, trzymała się na uboczu. - Kto wtedy pomagał podporucznikowi Barkowowi? - spytał porucznik. - Ja - odparł Hochbauer. Z trudem zachowywał spokój. - To starajcie się, Hochbauer, robić u mnie dokładnie to samo, co wtedy u podporucznika Barkowa. - Tak jest, panie poruczniku - powiedział Hochbauer z pozorną uległością. - Będę się starał. Ukłękł obok Kraffta. Obaj założyli teraz ładunek, umocowali go i przysypali kamieniami i piaskiem. Lont wił się po twardych grudkach ziemi. Porucznik podniósł się. Opuścił miejsce, w którym miał nastąpić wybuch, i spojrzał na zegarek. Następnie przemierzył krokiem lekko przyspieszonym jakieś pięćdziesiąt metrów i podszedł do tej większej grupki podchorążych. - Amfortas - spytał - gdzie, dokładnie, zwicznęliście sobie nogę? Amfortas był najwyraźniej zdenerwowany. Pospiesznie wskazał owo miejsce - zajęczą dziurę, oddaloną zaledwie o kilka kroków od miejsca, w którym teraz stał. I na pytania Kraffta, jak to właściwie wówczas było, Amfortas odparł: - Zawołano

podporucznika Barkowa; przyszedł, tak jak teraz pan porucznik. Zbadał moją nogę i kazał mi się ukryć. To wszystko. - Dobrze więc, siadać, kryć się! Porucznik Krafft przeszedł z powrotem do mniejszej grupki, jakieś pięćdziesiąt metrów. Znowu spojrzął na zegarek: upłynęły ponad cztery minuty. Kiedy doszedł do miejsca, w którym miał nastąpić wybuch, spytał: - Co się tu tymczasem działo? - Nic - powiedział Hochbauer. - A co się działo wtedy u podporucznika Barkowa? - Też nic, panie poruczniku - twierdził Hochbauer, patrząc znacząco na pozostałych podchorążych. - Andreas - spytał Krafft najbliżej stojącego podchorążego - czyście wtedy coś zauważyli? - Nie, panie poruczniku - padła odpowiedź. - Nic a nic. Krafft wypytywał uporczywie jednego po drugim, chociaż wyniki były z góry do przewidzenia. Kramer, Weber i Berger nie przypominali sobie, by zauważyli coś szczególnego - podobno rozmawiali. M-osler, Rednitz i B-ohmke oświadczyli, że w ogóle nie byliby w stanie ze swych miejsc nic dojrzeć. Krafft natychmiast sprawdził: zgadzało się, ani ładunek, ani lont nie leżał w ich polu widzenia. - Odejść w ukrycie - powiedział porucznik. - Hochbauer zostaje ze mną! Podchorążowie oddalili się. Widać było, że są szczęśliwi, iż udało im się wymknąć z tej diabelskiej gry. Rzeczowość, z jaką rekonstruowano tu śmierć, działała im na nerwy. Biegiem popędzili na miejsce, gdzie mieli się ukryć. Krafft i Hochbauer pozostali sami. Porucznik przyglądał się badawczo podchorążemu, a ten nie unikał jego wzroku. Milczeli dłuższą chwilę. Jeden z nich nie zdradzał najmniejszej nerwowości. - Teraz wiem, jak się to wówczas rozegrało - rzekł Krafft. - Podporucznika Barkowa odwołano do Amfortasa. Zanim tam zaszedł, zbadał nogę Amfortasa i wrócił, minęły cztery minuty. A w cztery minuty może się niejedno stać. Spójrzcie na zegarek, Hochbauer. Teraz Krafft szybkimi, spokojnymi ruchami odgarniał kamienie i piasek, uszczelniające ładunek wybuchowy. Wyciągnął lont ze spłonką i w jego miejsce położył inny, który miał przygotowany w kieszeni płaszczka. POtem znowu przysunął kamienie do ładunku, a luki między nimi zapełnił kilkoma garściami piasku. - No, jak długo to trwało? - Niecałe trzy minuty - powiedział Hochbauer głosem lekko ochryplym. - A więc to tak się odbyło - oświadczył Krafft. Podchorąży zmusił się do uśmiechu i powiedział: - Znakomita teoria, panie poruczniku. Krafft zaś rzekł: - A zastosowana w praktyce wyglądała tak! Przyłożył koniec lontu do nafosforyzowanej ścianki pudełka od zapalek i do tego zapalkę. Rzuciwszy szybkie spojrzenie na Hochbauera, oderwał pudełko, zapalka się zapaliła i w tej samej chwili lont zaczął syczeć. Teraz Krafft popatrzył przeciągle i badawczo na Hochbauera. Hochbauer wlepił szeroko rozwarte oczy w cichutko syczący ogień, który zbliżał się do ładunku szybko, coraz szybciej i szybciej. Twarz podchorążego miała barwę zmarzniętego śniegu. W szalonym podnieceniu Hochbauer zaciskał pięści. Potem rzucił się naprzód, konwulsyjnie i gorączkowo. Dopadł ładunku i wyrwał lont. Usiadł na ziemi, dygocąc na całym ciele, jak gdyby go nagle siły opuściły. W oczach jego była naga wściekłość. Ciężko dysząc, powiedział: - A nawet jeśli ja to zrobiłem, pan tego nigdy nie będzie mógł udowodnić. - Wy to zrobiliście! - powiedział Krafft cicho. - Tak, ja to zrobiłem! - zawołał Hochbauer porywczo i zarazem triumfalnie. - I miałem do tego prawo. Co najmniej takie samo prawo, jak pan, kiedy próbował pan teraz wysadzić jednego z nas w powietrze, albo może i obu. Bo na to był pan zdecydowany, widać to było po panu. Ja przynajmniej przyznaję się do swego czynu, ale tylko wobec pana. Wobec nikogo innego. Bo nikt mi nie może niczego udowodnić. Nikt. I o tym pan bardzo dobrze wie, panie poruczniku Krafft! - Mnie wystarczy to, żeście się przyznali - odparł Krafft spokojnie. - I przekonałem się teraz, że macie słabe nerwy, Hochbauer, i nie wytrzymacie do końca. Zmiękniecie, wcześniej czy później ja was do tego doprowadzę. Bo odkryłem już u was kilka słabych punktów. Dwa z nich nazywają się Amfortas i Andreas. Mogę wam tylko radzić: spiszcie testament. - Mnie pan nie zastraszy - rzekł Hochbauer, dysząc wprost żądzą walki. - Nerwy mam z żelaza. - Nerwy macie do niczego, Hochbauer. A rozumu nie więcej niż komar. Sądziliście, że jestem idiotą i że dla was wylecę w powietrze! Spójrzcie na spłonkę - jest pusta. Palący się lont nie miał najmniejszego kontaktu. Wpadliście w moją pułapkę. * * * O godzinie siedemnastej zajęcia dzienne właściwie się kończyły - ale przed godziną dziewiętnastą nikogo nie wypuszczano oficjalnie z kieratu. Tyle że w tym czasie nie wszyscy oficerowie zajmowali się szkoleniem, nauczaniem i nadzorowaniem.

Podchorążowie mogli w ciągu tych dwóch godzin nieco odetchnąć i odpocząć od tej wiecznej kurateli, jaką nad nimi rozciągano. Rozkłady zajęć przewidywały na zmianę: czyszczenie i łatanie odzieży, czyszczenie broni, pracę, śpiew chóralny lub recytacje chóralne i ćwiczenia głosowe, a nawet czytanie Biblii - to ostatnie jednak niezwykle rzadko i wyłącznie dla ochotników, no i przeważnie dopiero po ukończeniu wszystkich innych zajęć. O tej porze nawet najbardziej wierzący byli na to zbyt zmęczeni. Podczas tych dwóch godzin oficerowie zjawiali się bardzo rzadko. Ale trzeba było się z tym liczyć, że każdej chwili któryś z nich może nadejść. Normalny nadzór sprawowali zwykle wyznaczeni podchorążowie, tak zwani starsi grup szkolnych. W tym dniu niebezpieczeństwo kontroli ze strony oficerów prawie że nie istniało. Generał Modersohn bowiem wezwał ich znowu na trening oficerski - tym razem przed kolacją, z czego można było wnioskować, że czas tego treningu będzie ograniczony. W każdym razie początek był wyznaczony na godzinę siedemnastą trzydzieści. I jeśli nawet kolację w kasynie podawano zwykle o dziewiętnastej piętnaście - możliwe było, że generał da im spokój dopiero o dwudziestej pierwszej albo i jeszcze później. - Mam nadzieję, że to nie potrwa zbyt długo - powiedział kapitan Feders zdenerwowany. - Nie mam po prostu czasu, muszę koniecznie wrócić do Willi Rosenhugel, zanim stanie się tam nieszczęście. Krafft zauważył, że ten tak zwykle opanowany Feders ogarnięty był dziwnym niepokojem. - Czy należy się spodziewać najgorszego, Feders? - Możliwe, Krafft. Muszę stąd wyjść. Jeśli to generalskie błazeństwo potrwa dłużej niż godzinę, to ja po prostu wstanę i wyjdę. Wtedy mi już będzie wszystko jedno. - No, zobaczę, co się da zrobić. Z tymi słowami porucznik Krafft opuścił zgromadzonych w dużej sali kasyna oficerów i wyszedł - jaskrawo naruszając ceremoniał - do przedpokoju. Poczekał tu na generała, który zjawił się po paru zaledwie minutach w towarzystwie adiutanta. Porucznik Krafft zsalutował, spojrzał w zimne, badawcze oczy generała i powiedział: - Proszę pana generała o pozwolenie opuszczenia treningu przed zakończeniem razem z panem kapitanem Federsem. W związku z wiadomą sprawą. Za plecami generała adiutant Bieringer kręcił przerażony głową i przewracał oczyma - o mały włos nie załamał rąk. To, co się tu odbywało, to było w wojsku faux pas najwyższego rzędu: porucznik zaczepia generała! Na oczach całego korpusu oficerskiego! Modersohn swoimi lodowatoszarymi oczami patrzył przez kilka sekund na Kraffta, po czym rzekł: - Ma pan nieprzepisowo ostrzyżone włosy, panie poruczniku. - Z tymi słowami odwrócił się od Kraffta i udał się wraz ze służbiście podążającym za nim Bieringerem do dużej sali. Porucznik Krafft powoli poczłapał za nim. Generał bez słowa wysłuchał meldunku dowódcy kursu I, oficera najstarszego po nim stopniem. Skinął tylko głową - co miało znaczyć: panowie są proszeni o zajęcie miejsc, po czym podszedł do środkowego stołu, usiadł i czekał, dopóki nie zapanuje niezmacona cisza. Dopiero potem powiedział: - Panie poruczniku Bieringer, proszę. Czterdzieści par oczu skierowało się na adiutanta. A porucznik Bieringer obwieścił: - Trening oficerski. TEmat: Wielki pożar w koszarach. Po raz trzeci. Sytuacja według mapy. - Nie do wiary - szepnął Feders do Kraffta. - Stary uczeplił się tego pożaru jak rzep psiego ogona. Ciekaw jestem, co na dziś znowu wymyślił. Adiutant rozwinął na jednej z tablic w głębi sali plan wielkości ściany, widocznie zrobiony na specjalne zamówienie. Przedmiot: koszary. POdziałka: 1 /#100. Czarne kontury i nad tym niezliczona ilość czerwonych kółek, kresek, falistych linii i plam w kształcie nerek: znakowanie ognisk pożaru w stadium już mocno rozwiniętym. Kapitan Feders ogarnął tę sytuację jednym spojrzeniem - prawdopodobnie był jedynym, któremu udało się ta sztuka. - Panowie - powiedział Feders, i uznanie fachowca wzięło na chwilę górę nad jego napięciem nerwowym - to jest wcielony chaos. Coś tak ekstrawaganckiego rzadko mi się zdarzało widywać. Ręczę, że dziewięćdziesiąt procent z nas połamie sobie na tym zęby. Ale radość kapitana Federsa z powodu tego arcydzieła taktyki załamała się nagle jak domek z kart; ponuro powiedział do Kraffta: - Jeśli generał rozegra to jak należy, będziemy tu siedzieli do północy. Psiakrew! Psiakrew! pomyśleli sobie również oficerowie. Generał, zastygły bez ruchu, przyglądał się im lekko zwięzonymi oczami. Twarz jego była jak maska. Tymczasem adiutant przeczytał jak zwykle listę funkcji. I jak zwykle nikogo nie pominięto: każdy miał brać udział w tym wyścigu, bez wyjątku. Nawet obaj dowódcy kursów otrzymali przydział: jeden jako

komisaryczny burmistrz, drugi jako komendant dworca kolejowego - niezawodny znak tego, jak wielkie rozmiary przybrać miał ten trening. Dlatego też nikt się specjalnie nie zdziwił, że na czas trwania treningu jeden z oficerów został mianowany nawet „komendantem Szkoły Wojennej nr 5”. I los ten, który w pierwszej chwili wyglądał na zaszczyt, przypadł w udziale kapitanowi Ratshelmowi. Ten powstał dumnie z miejsca. - Miałem Ratshelma zawsze za jełopa - powiedział Feders. - Ale tego, co go teraz czeka, nawet jemu nie życzę. W niecałe cztery minuty później stało się aż nadto jasne, jak słuszna była ta uwaga Federsa. Zaraz przy pierwszym rozkazie Ratshelma - „Natychmiast zamknąć koszary!” - generał musiał interweniować. Po dwóch minutach Ratshelm był starty na miazgę, bo Modersohn mu udowodnił, że zamknięcie koszar w takiej sytuacji byłoby czystym samobójstwem. - Nawet podchorąży po jednym spojrzeniu na mapę wiedziałyby, że skuteczna walka z pożarem możliwa jest tylko przy pomocy z zewnątrz. - Stąd w planie komisaryczny burmistrz, stąd wyznaczenie komendanta dworca, stąd narysowano na mapie wszystkie okoliczne straże pożarne. I tak dalej, i tak dalej. Po dziewięciu minutach Ratshelm był skończony. Cofnięto mu nominację na „komendanta szkoły wojennej”. Przydzielono mu za to wóz strażacki z kubłami. Ratshelm, jak pijany, wrócił na swoje miejsce. Upadł na krzesło i nie rozumiał już świata. Major Frey zbladł i skulił się w sobie. On jeden zaczynał pojmować, co się tu święci: to były konsekwencje jego przedpołudniowej rozmowy z generałem. I on też zaczął się obawiać o swoje stanowisko i znaczenie. Zanim jednak generał przeszedł do dalszych działań tej niszczycielskiej bitwy, powiedział całkiem zwyczajnie, w ten sam chłodny, beznamiętny sposób, w jaki zwykle wydawał zarządzenia: - Kapitan Feders i porucznik Krafft są zwolnieni z dalszego udziału w treningu. * * * - Nie musiał pan iść ze mną, Krafft - rzekł Feders. - To, co mam zrobić, potrafię załatwić sam. - A gdy Krafft zaprzeczył tylko ruchem głowy, dodał ponuro: - I niech Bóg pana strzeże, jeśli będzie mi pan próbował w tym przeszkodzić. Jechali z maksymalną szybkością po oblodzonych ulicach i wóz zarzucał bezlitośnie na zakrętach. Reflektory były zaciemnione, światło sączyło się tylko z wąskich szpar na ich obwodzie. Ale śnieg bielił się w mroku wieczornym, i ulice były puste - bezлюдna, jakby opustoszała strefa wojenna kraju, położona z dala od wielkich krwawych szos, po których bez przerwy toczyły się uzupełnienia dla zagłady. Kapitan siedział przy kierownicy, porucznik obok niego. Kierowcę zostawili w koszarach - Feders mógł sobie na to pozwolić jako pełnomocny zwierzchnik kompanii administracyjnej. Silnik był przeraźliwie i rozklekotany wóz terenowy rwał naprzód. - Generał lekarz, którego pan tam spotka - wyjaśniał Feders - to namaszczona świnia, czkająca etyką i posiadająca wszelkie pełnomocnictwa. Chce, żeby po prostu wykończono zastrzykami tych biedaków wiszących tam w tej willi. - Daj pan gazu, Feders. - Więcej z tego trupa nie da się już wyciągnąć. Ale nie spóźnimy się, dzięki pańskiej interwencji u generała. Na kolację zamówiłem dla generała kwatery w gospodzie - mógł się tam nażreć świeżej pasztetówki i krwawej kiszki do syta i nażłopać się do woli. A teraz podam mu deser, który mu kością w gardle stanie. - A jeśli jest to człowiek z jakąś ludzką moralnością i nikogo nie każe wykończyć, to co wtedy? - Wtedy wypłaczę się ze wzruszenia na jego piersi, Krafft. Skręcili z głównej szosy w bok i pędzili polnymi drogami do willi Rosenhugel. Strefa zakazana nie była zamknięta - brama była otwarta, szlaban podniesiony w górę, tablica nakazująca szybkość „10 km” nie istniała dla nich. Pojechali pod główne wejście: stał tam już jeden wóz, mercedes generała; kierowca spał w ogrzewanej szoferce. Prawdopodobnie i jemu dostało się coś z owej wiejskiej kolacji, zakropionej winem frankońskim. Feders i Krafft wyskoczyli z samochodu i pobiegli do drzwi. Tu pod latarnią oczekiwał ich już doktor Krüger. W bladym świetle jego twarz zdawała się jeszcze bardziej pokiereszowana i popękana niż zwykle. - Witam, panie poruczniku Krafft - powiedział i wyciągnął do Kraffta rękę. - No? - spytał Feders. - Dziewiętnastu - odparł Krüger. - Co za łotr! - Feders wszedł do przedsiionka, przystanął na chwilę i powiedział do doktora Krügera: - Ty nie wtrącaj się do tej sprawy, Heinz. Idź do swoich ludzi pilek, jesteś im teraz potrzebny. Resztę pozostaw nam. Chodź pan, Krafft. Zostawili Krügera, który stał ze spuszczoną głową, i przeszli przez kilka pustych gabinetów lekarskich do pokoju generała. Siedział tu ten, którego szukali: generał lekarz. Niski, różowutki pan z gładką,

okrągłą twarzą o dobrodusznym wyrazie i z wodnistoniebieskimi oczyma. Ręce miał grzecznie złożone, jak to zwykły robić posłuszne dzieci. Spoglądał bardzo zadowolony na leżący przed nim dokument; wreszcie podniósł wzrok na przybyszy. - No, jest pan nareszcie, mój drogi! - zawołał. - Myślałem już, że będę musiał wyjechać bez pożegnania się z panem, a przecież tak nam się przyjemnie po południu rozmawiało. Notabene kolacja, którą zawdzięczam pańskiej troskliwości, była znakomita. A już wino, mój drogi - „Veith~ochsheimer \$w~olflein”, wyborowe, tysiąc dziewięćset trzydzieści trzy, to był wprost poemat! Ale co panu jest? Czy pan się źle czuje? - Skończył tu już pan swoją pracę? - spytał Feders, podchodząc bliżej. Nie przedstawił Kraffta. Ten zamknął drzwi za sobą i oparł się o nie, jak gdyby zamierzał blokować wyjście. - I owszem - odparł generał, nieco zdehumorowany, ale nie zaniepokojony. - Ciężka, odpowiedzialna praca, w której nikt mnie nie może wyręczyć. Zakończyłem ją, owszem. Z rezultatem, który był do przewidzenia. Doprawdy nie przyszło mi to łatwo; ale tu chodzi o mój obowiązek, obowiązek co prawda smutny, ale nieunikniony. Wie pan przecież, dyrektywy, nakaz chwili, świadomość, etyka. - Chce pan po prostu wykończyć dziewiętnastu ludzi, tylko dlatego, że to rzekomo pana obowiązek? - No wie pan! - rzekł generał, którego powoli zaczynał ogarniać niepokój. - Aż tak proste te sprawy nie są. Tu wchodzi w grę kilka czynników, panie kapitanie, których panu, laikowi, nie mogę tak po prostu wyjaśnić, bo pan by i tak tego nie zrozumiał. - Mimo to niech pan spróbuje mi to wyjaśnić. - Nie wiem właściwie, w jakim celu - powiedział generał. Na jego różowej, łagodnej twarzy wykwitły gorączkowe wypieki. - Jestem lekarzem, i jako taki powinienem dbać o podtrzymywanie życia ludzkiego, oczywiście. Ale moim zadaniem jest też uśmierzać bóle. A śmierć może być wybawieniem. POza tym jestem przecież też żołnierzem... - I członkiem partii przypuszczalnie. - Wiem, czym jest eutanazja - powiedział generał wzburzony. - Nie odmawia się jej nawet koniowi. A poza tym trzeba się liczyć z wymogami naszych czasów. Wybawienie od obłędu, od nieuleczalnych chorób, od męczącej wegetacji. Proszę również wziąć pod uwagę, że szpitale polowe są przepelnione, mamy za mało lekarzy, wykwalifikowanego personelu pielęgniarskiego również. Na każde łóżko czekają ciężko ranni... - Zamknij pan pysk! - powiedział Feders. - Co, proszę? - spytał generał zaskoczony. Był przekonany, że się przesłyszał. - Powiedziłam, żeby pan zamknął pysk - powiedział Feders spokojnie, po czym sięgnął po pismo leżące przed generałem i uważnie je przeczytał. - Czego pan właściwie chce ode mnie? - spytał generał z wysiłkiem. - Rzeczy całkiem prostej - rzekł Feders, drąc na strzępy przeczytane pismo. - Napisze pan jeszcze raz swoją diagnozę. I dojdzie pan do wniosku, że żadnego - ani jednego! - z tych nieboraków nie należy wysyłać na tamten świat. Rozumie pan? - Ależ to jest... to jest... - Szantaż! - rzucił porucznik Krafft od drzwi. - Ale to jest ciągle jeszcze lepsze od morderstwa. Krafft zaczął powoli zbliżać się do generała, który stał jak wryty. Otworzył przy tym futerał od pistoletu. Kiedy stanął tuż przy stole, wyciągnął pistolet i rzucił go z hukiem na stół. - Siadaj pan - powiedział z groźbą w głosie - i pisz pan nowe świadectwo z żądanym orzeczeniem. - Dobrze - wydusił z siebie pobladły generał - ustępuję przed siłą. - Ma pan piętnaście minut czasu - rzekł Feders. Postawił maszynę do pisania na stole i założył kartkę papieru. Generał drżącymi palcami zaczął stukać na maszynie. Tymczasem Feders odciągnął Kraffta z powrotem do drzwi i powiedział szeptem: - Musi pan coś jeszcze dla mnie zrobić, Krafft; dla mnie i dla naszych przyjaciół, wiszących tam w tych swoich siatkach. Pomóż mi pan pozbyć się samochodu generała razem z kierowcą. Powiedz pan po prostu kierowcy, że macie jechać pierwsi, niech będzie do koszar, a ja już sam przywiozę później jego szefa. Czy pan to robi dla nas? - W porządku, Feders. Ale pracuj pan precyzyjnie, inaczej szlag nas przy tym trafi. A ja chciałbym jeszcze trochę pożyć. Mam jeszcze parę spraw do załatwienia. *

* * O godzinie dziewiętnastej kończyły się według planu wszystkie oficjalne zajęcia. Od tej chwili czynności służbowe nie były już obowiązujące, ale pożądane. Brak oficjalnego planu nie oznaczał jeszcze wcale braku zajęć. W każdym razie istniała o tej porze pewna swoboda. Można było trochę opóźnić i przeciągnąć kolację, która była spożywana w kwaterach. Można też było pójść do kantyny, gdzie podawano jednak tylko wodniste, cienkie piwo. A kto odczuwał potrzeby kulturalne, mógł odwiedzić tak zwaną czytelnię, gdzie były wyłożone takie piękne gazety

niemieckie, jak „Das Reich”, „Signal” i „Unsere Wehrmacht”, i gdzie radio wyło skoczne melodie ludowe. Wszystko to było możliwe, ale czasochłonne. Czy obowiązywał oficjalny rozkład zajęć, czy nie - i tak trzeba było robić całą masę rzeczy. Na przykład czyścić mundury, broń i sprzęt, kończyć notatki, odrabiać wypracowania. Do tego dochodziły jeszcze przygotowania do zajęć na następny dzień. W każdym razie o wyjściu na miasto w środku tygodnia nie było co marzyć. Zależało to po pierwsze od tego, czy się miało czas, a poza tym jeszcze od dobrej woli dowódców grup szkolnych. Przepustkę do miasta po zajęciach otrzymywał, i to rzadko, tylko ten, co a) zostawił swoje rzeczy w porządku, b) mógł udowodnić, że przygotował się do zajęć na następny dzień, c) potrafił wystarczająco uzasadnić swoją prośbę o przepustkę. Istniały najrozmaitsze warianty takiej motywacji, ale skutek odnosiły tylko te, które brzmiały poważnie. Najbardziej popularne były przyczyny tak zwane półurzędowe, jak zakup materiałów piśmiennych, zdjęcia do legitymacji, reperowanie jakiejś części umundurowania. Znacznie bardziej podejrzane były motywacje „kulturalne”, jak obejrzenie wartościowego filmu, wypożyczenie książek, oglądanie nowych budowli. Tu wskazana była maksymalna nieufność. Bo nawet jeśli dowódcy grup szkolnych wiedzieli, że podchorążowie pielgrzymowali do miasta wyłącznie ze względu na baby, żarcie i picie, mieli mimo to prawo żądać zgrabnego pretekstu. Ale w tym dniu dowódcy grup szkolnych byli nieuchwytni - jeszcze o godzinie dwudziestej męczyli się na reningu oficerskim u generała. W takich przypadkach decydowali o wydawaniu przepustek starsi grup szkolnych, według własnego uznania. Tyle teoria. A praktyka wyglądała na ogół tak, jak w przypadku M~oslera. M~osler zjawił się u Kramera i rzekł: - Skoczę na chیلę na dół, do tej dziury. - To znaczy - powiedział Kramer, dbały o swój autorytet - że prosisz o pozwolenie udania się do miasta? - MOwa_trawa! - odszczeknął mu M~osler nonszalancko. - Daję chodu, a ty możesz to wpisać na listę przepustek. Taki jestem dla ciebie koleżeński. - A jak uzasadniasz swoją prośbę o przepustkę? - Wynalezienie jakiejś uzasadnionej motywacji pozostawiam twojej inteligencji. - Za prosto sobie to wszystko wyobrażasz! - zawołał Kramer niezadowolony. - Musisz mi podać jakąś przyczynę, ale żeby miała ręce i nogi. - Niech ci będzie - zgodził się M~osler uprzejmie. - Babki. - Ależ tego nie mogę wpisać do książki, człowieku! - No to napisz zwyczajnie: pielęgowanie kontaktów Wehrmachtu z ludnością cywilną. Z tymi słowami M~osler opuścił gniewnie warczącego Kramera. Ale nie wyszedł od razu z koszar; najpierw odszukał Webera. Odbył z nim krótką, ale treściwą rozmowę, w której osiągnęli całkowitą jednomyslność. Następnie Weber udał się do Rednitsa i z kolei jego uświadomił co do treści swojej rozmowy z M~oslerem. Rednitz po wysłuchaniu go powiedział: - Róbcie sobie, co chcecie. - Weber wziął to za aprobatę i powędrował dalej. Teraz kolej przysłała na Hochbauera. Weber zaciągnął go do kąta i zaczął: - Mam nadzieję, że pamiętasz jeszcze o swoim zakładzie. - Oczywiście - burknął Hochbauer niechętnie. - I wygram go. - Dużo czasu ci już nie zostało, Hochbauer. - Pozostaw to spokojnie mnie, Weber. - Nie zechcesz chyba odtrącić wyciągniętej pomocnej dłoni kolegi! - rzekł Weber dobrodusznie. I jak zawsze, kiedy używał tak pięknych słów, jak koleżeństwo, patrzył na swego rozmówcę z pewnym wzruszeniem. - A poza tym dziś sytuacja jest szczególnie sprzyjająca. - Tego mi nie potrzebujesz mówić, Weber, sam już o tym pomyślałem. - No to w dechę. To się świetnie składa. Wszyscy pójdziemy z tobą, niejako w roli dyskretnych świadków. A między nami, Hochbauer, w zaufaniu ci to mówię, twoja pozycja w grupie nie jest w tej chwili najlepsza. Musisz koniecznie coś zrobić, i tu akurat nadarza ci się pierwszoklasna okazja. POkaż im, że jesteś mężczyzną, Hochbauer! To jest koniecznie potrzebne. Tak więc Kramera nawiedziła cała inwazja proszących o przepustkę. Po M~oslerze zjawił się Weber, który na dzisiejszy wieczór przejął niejako funkcję arbitra. Wraz z nim stawiał się B~ohmke, który nie miał pojęcia, o co chodzi; wyznaczono mu rolę rzeczoznawcy. Hochbauerowi z kolei towarzyszył Amfortas, poniekąd dla idei. Po nich zjawili się bumelanci: Ośmiu. Kramer był zrozpaczony. Ale ponieważ dał już przepustkę M~oslerowi, musiał robić dobrą minę do lekkomyślnej gry również i w pozostałych wypadkach. On sam, tak jak i Rednitz, wolał nie mieć z tym nic wspólnego. Na razie wszystko przebiegało nadspodziewanie prosto. Hochbauer tłumaczył to oddziaływaniem swojej osobowości i nawet miał trochę racji. I napawał się podziwem i

szacunkiem łaszących się do niego kolegów. Pierwszy etap wyglądał następująco: podchorążowie oddzielnymi grupkami czekali przed powiatowym domem kultury, gdzie odbywała się zbiórka Bd\$m. Kończyła się, jak wiadomo było doświadczonym obserwatorom, około dwudziestej trzydzieści - wtedy z bramy wylewał się strumień zrzeszonych dziewcząt niemieckich. Wśród nich była ofiara, Maria Kelter. Zgodnie z umową przystąpił teraz do akcji Weber i zaczepiwszy małą, zaczął ją zagadywać; robił to nawet bardzo przekonująco. Na to nadszedł Hochbauer, zaprotestował przeciwko tego rodzaju zaczepkom i pozwolił sobie zaofiarować Marii Kelter swoją opiekę. - Dziękuję panu - powiedziała Maria z wdzięcznością. - To bardzo miło z pańskiej strony. - Ależ to mój obowiązek - zapewnił ją Hochbauer z ujmującą powagą. - Muszę prosić o przebaczenie za tego człowieka, w końcu to mój kolega. - Również i to sformułowanie brzmiało wiarygodnie. - Czy mogę panią odprowadzić? - Proszę bardzo. - Po głosie można było się domyślić, że dziewczyna się zarumieniła. Ulice były nie oświetlone. Drugi etap wyglądał następująco: w kawiarni „Praisel”, zwanej powszechnie kawiarnią „Bajzel”, Hochbauer usiadł z małą Kelter w kącie zarezerwowanym przez Webera. Mówili o przyjemnych rzeczach, i dziewczynę coraz bardziej ogarniał podziw dla tego pięknego, eleganckiego podchorążego, dla którego w tej chwili zdawało się nic na świecie nie istnieć poza nią. W kawiarni było jeszcze kilku podchorążych. Zachowywali się zupełnie niewinnie. Ale gdy Hochbauer zamówił po raz drugi dwie filiżanki herbaty, podano mu czysty rum, oczywiście w filiżankach - pomoc ze strony podchorążego Webera, który miał tu stosunki. Był bowiem stałym gościem kawiarni „Bajzel”. - Ja rzadko chodzę do lokali - zwierzyła się Hochbauerowi Maria Kelter. - To tylko zaszczyt pani przynosi - zapewnił ją Hochbauer. Rozkoszował się pełnymi podziwu spojrzzeniami swoich kolegów, siedzących za plecami Marii Kelter. - Wolę przyrodę - powiedziała dziewczyna. - Ja również. Hochbauer natychmiast skorzystał z zarysowujących się tu możliwości. - Spacer na łonie natury to najpiękniejsza rzecz, jaką można sobie wyobrazić. Nawet teraz w zimie, nie uważa pani? Maria Kelter uważała. Bez wahania więc wyszła z Hochbauerem rozkoszować się nocnym pięknem przyrody. Raz po raz spoglądała rozradowanymi oczyma na swego przystojnego, szczupłego kawalera, jej zdaniem rycerza bez skazy. Zupełnie jak Katarzynka z Heilbronn - tak jej się zdawało - dreptała obok niego nieśmiała, tkliwa i posłuszna. Trzeci etap wyglądał następująco: W parku miejskim kilku podchorążych z Webwerem na czele przekradło się pod pomnik Nieznanego żołnierza. Zastali tu już Hochbauera z Marią Kelter. Było to miejsce wypróbowane, w soboty odwiedzane bardzo często. Schody i występy cokołu stanowiły doskonałe oparcie. - Nie, proszę - broniła się wzburzona Maria. I dodała, zmieszana i zdumiona: - Tego nie może pan przecież zrobić! - Udało mu się - powiedział Weber z uzaniem do B~ohmkego, który stał obok i wpatrywał się w nocny półmrok. Do jego uszu dolatywały urywane słowa pary, która sama była niewidoczna. A teraz Hochbauer przycisnęła dziewczynę do kamiennego schodka - znikli zupełnie z pola widzenia obserwatorów. - Co tam się dzieje? - zaniepokoił się B~ohmke. - Do trzech razy wolno ci zgadywać. - Ależ tego mu nie wolno robić! - B~ohmke był oburzony. - Dziewczyna się broni, nie słyszysz? - Nie wyglupiaj się, człowieku - powiedział Weber grubiańsko. - Za pierwszym razem wszystkie się niby bronią. To jest część gry. A ta mała też nie jest lepsza od innych. Dobrze jej tak, mną pogardziła. A przy tym ona nawet nie wie, że Hochbauer to tylko marny erzac za mnie. - Jesteście świnię! - wybełkotał B~ohmke przerażony i dygocący z oburzenia. - E tam! - powiedział Weber. - Jesteśmy mężczyznami, choć niektórzy myślą jeno z drugim. * * * Siedzieli obok siebie na łóżku polowym w pokoju porucznika: Elfrieda i Karl. Wizyta narzeczonej nie mogła budzić sprzeciwów. A drzwi można było zamknąć. - Karl - powiedziała Elfrieda łagodnie i ostrożnie - czasem, a zwłaszcza ostatnio, mam strasznie głupie marzenia. - Zapomnij o nich od razu - poradził jej Krafft. - Gwiazdka minęła trzy miesiące temu. - Chciałabym, Karl, żebyśmy częściej mogli być razem. Kocham cię przecież i chcę żyć z tobą. Dopóki można. - Elfriedo - rzekł Krafft poważnie - czy robiłem ci kiedyś pod tym względem jakieś obietnice? - Nie. - Czy dałem ci powód do nieporozumień? - Nie, Karl. - Dobrze więc, Elfriedo. To jest jasne. KOchamy się, ale postanowiliśmy sobie, że nigdy nie będziemy myśleli o tym, jak długo ta miłość może potrwać.

Może trwać jeszcze długo, ale równie dobrze może skończyć się każdego dnia. Może nas rozdzielić jakiś rozkaz, już dziś gdzieś tam podpisany. Pewnego dnia budzisz się, a mnie już nie ma. To może się zdarzyć już jutro. A więc trzeba się oswoić z tą myślą i nie mówić o tym. - Karl, przecież wszystko mogłoby być o wiele mniej skomplikowane. To jest twój pierwszy kurs; mogą być zorganizowane jeszcze dwa albo trzy dalsze. Mielibyśmy więc przed sobą jeszcze kilka miesięcy. Jak na taką wojnę to nieskończenie długo, i to byłby dla nas szczęśliwy czas, Karl. Chciałabym umieć mocno w to wierzyć. - Lepiej nie, Elfriedo. - Wystarczyłoby, gdybyś po prostu robił swoją robotę! - zawołała Elfrieda porywczo. - Nie więcej i nie mniej. To by wystarczyło w zupełności, żeby nam zapewnić pół roku, a może i więcej. Ale zamiast tego wdajesz się w jakieś awantury, za które nie możesz brać odpowiedzialności, i wiążesz się z niebezpiecznymi ludźmi. - Zdaje się, że jest już późno - powiedział Krafft spokojnie - za późno. Musisz już iść. Wstała zmieszana i spojrzała na niego pytającym, nie rozumiejącym wzrokiem. Zobaczyła, że się uśmiecha. Uśmiech ten miał ukryć ból. - Elfriedo - powiedział Krafft, tuląc ją w objęciach - spróbuj wytłumaczyć osłu, że niedobrze dla niego, że ma długie uszy; spróbuj wmówić bykowi, że czerwień to przyjemny kolor. Ale to ci się już prędzej uda niż uchronić mnie przed samym sobą. Pomógł jej włożyć palto, sam wciągnął płaszcz, otworzył drzwi i wyprowadził ją na korytarz. Tu, w matowym świetle, stał podchorąży Rednitz. Wyprężył się na baczność bez słowa. - Czy mogę z panem chwileczkę porozmawiać, panie poruczniku? - Czekaliście tu na mnie, Rednitz? - Od kwadransa, panie poruczniku, ale nie chciałem przeszkadzać. Porucznik kiwnął głową. A więc podchorąży orientował się w jego życiu prywatnym, może nawet coś niecoś przez drzwi słyszał. No nic, ponieważ to był Rednitz, to to nie było takie nieszczęście. Krafft powiedział do Elfriedy: - Idź, proszę cię, parę kroków naprzód, zaraz cię dogonię. A może macie zamiar zatrzymać mnie tu na dłużej, Rednitz? - Tylko trzy minuty, panie poruczniku, nie więcej. Krafft wrócił do pokoju, za nim wszedł Rednitz. Pierwsze jego spojrzenie padło na rozbabrane łóżko, ale zdawał się nie przyjmować tego do wiadomości. Widział tylko swego porucznika. - Panie poruczniku - powiedział otwarcie - czy mogę spytać, o czym pan rozmawiał dziś po południu z Hochbauerem przed spowodowaniem wybuchu? Krafft nie wydawał się w najmniejszym stopniu tym pytaniem zdziwiony; a jeśli nawet był zdziwiony, to nie okazywał tego. Popatrzył Rednitzowi prosto w oczy, tak jak ten jemu, i powiedział: - Nie potrzebujecie pytać, Rednitz, sami dobrze wiecie, o czym rozmawialiśmy. - A rezultat, panie poruczniku, czy wolno mi o to spytać. Krafft przyjrzał mu się uważniej; zobaczył w jego oczach szczerą i zaufanie - więcej: solidarność. I dlatego po chwili wahania dodał: - Nie będę was pytał, Rednitz, dlaczego chcecie to wiedzieć, powiem tylko tyle: Hochbauer przyznał się do swego czynu. - No - rzekł Rednitz zadowolony - wobec tego wszystko jest jasne. - Niestety nic nie jest jasne, mój drogi - powiedział porucznik i zwiesił głowę. - Nie jest to właściwie przyznanie się, lecz jedynie oświadczenie, które Hochbauer złożył mi bez świadków i którego się wyprze; również i to mi powiedział. I, Rednitz, nie mam żadnych dowodów, ani jednego przekonującego dowodu. A to znaczy: znam mordercę, ale nic mu nie mogę zrobić. Tak to wygląda, Rednitz. Czy tegoście się chcieli dowiedzieć? - Jeśli to rzeczywiście tak wygląda, panie poruczniku, to istnieje być może jeszcze inna możliwość. Droga okrężna; ale mogłaby doprowadzić do celu. Pan chyba nie ma zamiaru puścić tej całej sprawy płazem? - GAdaj, człowieku! Powiedz wreszcie, co ci leży na wątrobie? I podchorąży Rednitz zaprezentował trzy rzeczy. Po pierwsze: dość obszerną i bardzo szczegółową listę, na której wyliczono starannie - z podaniem dokładnego czasu - każdą prywatną wizytę podchorążego Hochbauera u dowódcy oddziału, kapitana Ratshelma. Lista zawierała także nazwiska świadków oraz ich wypowiedzi na temat tych wizyt. Po drugie: delikatną niebieską chusteczkę, trochę przybrudzoną, ozdobioną monogramem F\$F. Po trzecie: adres niejakiej Marii Kelter, zamieszkałej w Wildlingen nad Menem, Kranichgasse 4; uzupełniony następującymi danymi: park miejski, pomnik Nieznanego żołnierza, około godziny dwudziestej pierwszej trzydzięci pięć. - Bracie - powiedział Krafft przekonany - to wystarczy. * *

* O godzinie dwudziestej drugiej kończył się oficjalnie dzień w koszarach: capstrzykiem. Szef kantyny wyekspediował za drzwi ostatnich gości i zgasił światło w barze. Wartownik zaryglował

dużą bramę i zamknął również małą - ale nie na klucz. Drugi wartownik rozpoczął swój obchód. Do akcji przystąpili stróże porządku i dyscypliny: Podoficer dyżurny w kompanii administracyjnej, dyżurni podchorążowie w oddziałach, dyżurna w kwaterach żeńskiej służby cywilnej. Robili obchód swoich rejonów; stwierdzali, kto jest obecny, a kto nie - ci ostatni musieli figurować na listach urlopów lub przepustek. Na ogół stwierdzono, że wszystko było w porządku. W kasynie w tym dniu panował jeszcze ożywiony ruch: oficerowie dopiero co przełknęli z obrzydzeniem kolację - bo trening oficerski ciągnął się bez końca; już się mocno przeciągnął, a zanosilo się na to, że będzie trwał dłużej niż zwykle. Liczne ofiary leżały już na obu łopatkach z kapitanem Ratshelmem na czele. Teraz jednak zezwolono na pół butelki wina na oficera; a wino było im koniecznie potrzebne. Ale bądź co bądź prawie każdy już teraz wiedział, jak się zachować na wypadek wielkiego pożaru. Wielu podchorążych jeszcze nie spało - większość pracowała, zgodnie z przepisami w ciszy. W grupie szkolnej H jednak panował dość ożywiony ruch. święcono „przedsięwzięcie pomnik Nieznanego żołnierza”, zapoczątkowane przez Webera, a zwycięsko zakończone przez Hochbauera. Uczestnicy, którzy się trochę spóźnili, wrócili przez płot. Tylko B~ohmke się odseparował - on jeden z całej paczki wrócił na czas. I otworzył przed Rednitzem swoje oburzone serce. Teraz szukał pocieszenia w „Fauście” i zatrzymał się w zamyśleniu nad słowami: „Nie w tym zbawienie moje, co przeraża srogo -@ wielką potęgą ducha ludzkiego zdumienie.@ (Przekład Emila Zagadłowicza.) W centrali telefonicznej natomiast wrzała jeszcze o tej porze praca, co nie było zjawiskiem normalnym. Obie telefonistki nie miały nawet czasu spojrzeć na kilku podchorążych, którzy je odwiedzili. TAK zajęte były komunikatami lotniczymi; co i raz zapowiadano nowy zespół samolotów nieprzyjacielskich. - Ależ skąd! powiedział jeden z gości. - Tu oni i tak nie przylecą. Mogę się założyć, że tej dziury nie mają nawet na mapie. * * * - Rozgość się, dziewczyno - powiedział kapitan Kater. - Czuć się jak u siebie w domu. A może moja chata ci się nie podoba? - Ależ tak - zapewniła go Irena Jablonski, rozglądając się ciekawie. - Bardzo mi się tu podoba. - Usiądź, gdzie chcesz. Na przykład na łóżku. - Dziękuję - powiedziała Irena grzecznie i usiadła na wskazanym miejscu. Widok, jaki miała przed oczyma, naprawdę się jej podobał. Pokój wydawał się jej rozrzućnie duży - takim pokojem musiało się u nich zadowolić pięć albo i sześć dziewcząt. Leżał tu również dywan, i kolorowe zasłony z ciężkiej tkaniny wyglądały niezwykle dekoracyjnie. Łóżko przykryte było kapą przypominającą skórę zwierzęcą. - Możesz spokojnie zdjąć buty - rzekł Kater wielkodusznie. - Na pewno masz zimne nogi. Przy tej okropnej pogodzie o zaziębienie nietrudno. - Mnie taka pogoda nie szkodzi. - Mimo to zdejm buty - zalecał jej Kater. - Możesz wsunąć nogi pod kołdrę. Zrobi ci się przyjemnie ciepło. Irena usłuchała tej rady. Była posłuszna i skromna. Czuła się poza tym zaszczytnie wyróżniona: inne dziewczęta siedziały teraz w ubogich izbach albo objęły się gdzieś po kątach, a ona była w odwiedzinach u surowego szefa, kapitana Katera. - Dziś stawiam butelkę szampana - oświadczył Kater - żeby uczcić ten dzień. - Wspaniale! - powiedziała Irena uszczęśliwiona i wzruszona. Kater otworzył okno i wziął z parapetu butelkę, którą wystawił na dwór, żeby ochłodzić trunek, po czym wydobyl dwa prawdziwe kieliszki do szampana - z inwentarza kasyna. Usiadł przy Irenie na łóżku i powiedział: - No to się napijmy! Napelnił kieliszki po sam brzeg. Szampan pienił się i pokapał jej na suknię. Kater usiłował zetrzeć plamę. Robił to bardzo intensywnie, podczas gdy ona chichotała wstydliwie i afektownie, jako że miała łaskotki. - Napijmy się - zaproponował Kater. - Wspaniale! - zawołała Irena jeszcze raz, po pierwszym łyku. W rzeczywistości szampan jej wcale specjalnie nie smakował: przypominał zupełnie wodę selcerską. Ale potem, trochę nadąsana, dodała: - W ostatnich czasach nie miał pan zbyt wiele czasu dla mnie. Myślałam już, że pan o mnie zapomniał. - Niestety, kochane dziecko, nie zawsze można robić to, na co ma się ochotę. Służba, rozumiesz, rozmaite komplikacje, niekiedy mam całymi dniami pełne ręce roboty. Kater stwierdził z satysfakcją, że Irena kiwała wyrozumiale głową. Przynajmniej starała się go rozumieć. I na szczęście, myślał sobie, Pan Bóg obdarzył ją pewną naiwnością - co, jak wiedział z doświadczenia, miało stanowczo swoje dobre strony. W każdym razie okazja wydawała się sprzyjająca. Feders włączył się ze swoim najbliższym kumplem Krafftem gdzieś po okolicy.

Lefrieda była u pani Feders. W koszarach panowała nocna cisza. Nie musiał się więc obawiać, że mu ktoś przeszkodzi. - Plama na twojej sukience jest gorsza, niż mi się zdawało. Najlepiej zdejść sukienkę, mam doskonały wywabiacz plam. - Nie wiem, czy powinnam... - Tu przecież jest dostatecznie ciepło, nie uważasz? - Czy naprawdę mam... - Ależ dlaczego nie? - powiedział Kater takim tonem, jakby chodziło o coś zupełnie naturalnego. - Jesteśmy przecież sami. No i nie możemy zostawić tak tej plamy. Szkoda takiej ładnej sukienki. Poza tym postaram ci się o nową, jeśli chcesz. - Pan jest taki dobry dla mnie. - Chodź, chodź, dziewczyno, nie krępuj się. Chodź trochę bliżej, pomogę ci. Tak, teraz lepiej. Jeszcze trochę bliżej. No widzisz. Irena pozwoliła sobie ściągnąć sukienkę przez głowę. - Tak jest chyba przyjemniej, co? - pospiesznym napelniał kieliszki. Obserwował ją przy tym: delikatne, ale już kobiece uda, nieomal wyzywający biust, i zmysłowo rozchylone, wilgotne wargi. Katerowi zaczęły się ręce trząść. Szampan znowu pociekł z kieliszka i tym razem, wbrew woli Katera, poplamiał mu spodnie. - No coś takiego! - powiedział. - To też trzeba wyczyścić, co? - Chyba tak - powiedziała Irena ociężałym głosem. W tym samym momencie zadzwonił przeraźliwie telefon. Dzwonił przeciągle, nieprzerwanie, długo. Kater spojrzął na Irenę, odchyłoną do tyłu, potem na telefon, który nie chciał się uspokoić; wreszcie podniósł słuchawkę i zawołał: - Do jasnej cholery, co to znaczy? O tej porze? Tak pośród nocy? Ie też człowiek nie może mieć ani chwili spokoju!... Ach tak - powiedział po paru zaledwie sekundach. - To co innego. Zaraz przyjdę. - Czy musisz wyjść? - spytała Irena cicho. - Tak - odparł ze szczerym żalem. - Szkoda. - Alarm lotniczy - powiedział kapitan Kater. - Ubierz się. * * * Poprzez noc gnał kapitan Feders swoim wozem terenowym w kierunku Wildlingen. Obok niego siedział generał lekarz trzymając się kurczowo klamki u drzwiczek. Jazda bowiem była szybka, a droga niedobra. - Tego przynajmniej mógł mi pan oszczędzić - powiedział generał nadąsany. - Zrobiłem przecież wszystko, czego pan ode mnie żądał. Zatrzymanie mego wozu było już zupełnie zbyteczne. - Nic nie jest zbyteczne i nic panu nie zostanie oszczędzone! - zawołał Feders, dodając jeszcze gazu. Czapka zsunęła się generałowi na czoło. Próbował ją poprawić, ale o mały włos byłby stracił równowagę. Jego różową twarz wykrzywił grymas wściekłości. Nagle kapitan Feders nacisnął hamulec. Wóz pomknął po gładkiej szosie jak sanie, skręcił nagle prosto na rów, zarył się w piasek i zatrzymał się gwałtownie z piskiem hamulców. Generał wyrznął głowę w szybę i zaczął biadolić. - Spokój! - powiedział Feders szorstko. Jego pasażer od razu zamilkł. Feders wsłuchiwał się w noc: od strony Wildlingen huczały syreny - syreny przeciwlotnicze. Wyły z jednostajną regularnością. - To się źle składa - powiedział Feders. - Co ma pan zamiar zrobić? - spytał generał, pełen najgorszych przeczuć. - Powiem to panu całkiem wyraźnie - oświadczył Feders i odwrócił się do swego towarzysza frontem, tak że miał teraz przed sobą jego błyszczącą, mokrą od potu twarz. - Wyeksponuję pana na tamten świat, żeby kilka nieszczęsnych istot mogło jeszcze jakiś czas pożyć. - Ależ - generał nie mógł złapać tchu - pan chyba żartuje! Zrobiłem przecież wszystko, co pan chciał. Potwierdziłem panu na piśmie, że u wszystkich pacjentów istnieje możliwość leczenia. Ma pan to urzędowo stwierdzone. Tym samym więc wszystko jest w porządku. A to, co pan przedtem powiedział, to był żart, prawda? - Człowieku - rzekł kapitan Feders - za co mnie pan właściwie ma? Znam przecież reguły tej gry. A poza tym uważam, że wy, mordercy, jesteście zdolni do każdego łajdactwa. Kto wykańcza chorych, żeby mogły się zwolnić łóżka czy spełnić wielkoniemieckie rojenia, zdolny jest do każdej podłości. Wiem, co się stanie: skoro tylko wypuszczę pana z moich szponów, odwoła pan wszystko, co pan napisał, i z miejsca zakatrupi się dziewiętnaście ludzi pilek. A poza tym zadenuncjuje pan mnie i doktora Krügera. I dlatego nie mogę postąpić inaczej. Czy to logiczne? - Tak nie będzie, na pewno nie, ręczę panu - powiedział generał ochryplym głosem. - Daję panu na to słowo, słowo honoru. - Gwiżdżę na słowo honoru człowieka, który morduje chorych. Przede mną stoi alternatywa: morderca, taki jak pan, albo dziewiętnastu bezbronych ludzi. A kto wie, ilu ludzi ma już pan na sumieniu. Nie, nic panu nie pomoże. Pan musi za to zapłacić. Przynajmniej jeden z tego gatunku. Motor zaskowyczał, wóz pomknął naprzód, generała podrzuciło na siedzeniu, i monotonne wycie syren zmieszało się z zawodzącym rykiem silników i przeszło w piekielną kakofonię. A kapitan krzyczał: - Niech przylecą bombowce!

Mam nadzieję, że tutaj właśnie pozbędą się swego ładunku. Wtedy rzucę pana na stos trupów. Jeśli nie, utopię pana w Menie. Przynajmniej raz w życiu chcę zrobić dobry uczynek! Nie słyszeli ryku samolotów nad sobą. Nie słyszeli też świstu spadających bomb. Widzieli tylko w jaskrawej, oślepiającej jasności gejzery ziemi. A potem zdało im się, że im bębunki w uszach pękają. Wóz strasznie zarzucał i generał czepiał się kurczowo swego siedzenia. Feders nacisnął hamulec, zgasił motor i rzucił się na generała. Wyciągnął go przemocą z wozu, ze skrzywioną, zmartwiałą twarzą. Ale gdy kapitan Feders podniósł pistolet do strzału, wyrwała mu go z ręki jakaś potężna siła. Kłująca jasność zapłonęła mu boleśnie w oczach. Potem podmuch powalił go na ziemię, w szaroczarny śnieg. Po kilku sekundach kapitan ocknął się. Wóz był rozwalony i przewrócony na sztorc. A pod nim leżał generał_ lekarz - blady i skurczony. Nie żył. - Nawet tego nie udało mi się załatwić - rzekł Feders głucho. Wokół niego drgały ogniste języki płonących domów. W powietrzu unosił się gryzący odór zagłady. Krzyk ludzki mieszał się z wyciem syren. Kapitan patrzył przed siebie nieprzytomnym wzrokiem. * * * Niewielki nieprzyjacielski związek bombowców - przypuszczalnie tylko sześć do ośmiu samolotów - przeleciał nad Wildlingen o godzinie dwudziestej drugiej czterdzieści trzy. Nalot trwał zaledwie trzy minuty. O godzinie dwudziestej drugiej czterdzieści sześć niebezpieczeństwo już minęło. Została po nim kupa gruzów, na wschodnim krańcu miasta: cztery ulice, pięćdziesiąt osiem domów, dwieście siedem osób - między innymi pewien generał_ lekarz i pewien podchorąży, który nie wrócił na czas z przepustki nocnej. Poza tym tylko cywile. - Jeszcze raz mieliśmy szczęście! - Tak oto komentował to wydarzenie major Frey, przekonawszy się, że rynek był nie uszkodzony. Tym samym jego mieszkanie ocalało. Zjechały się wszystkie okoliczne straże pożarne, i również z koszar wylał się strumień zdyscyplinowanej aktywności. Trening oficerski na temat „Wielki pożar” przyniósł bogate plony. Podziw dla przewidującego instynktu generała był powszechny - wydawało się nieomal, że nalot nastąpił po prostu na zamówienie. Ale na takie twierdzenie nie odważył się nawet kapitan Ratshelm. Burmistrz, kreisleiter i landrat zarazem, dobrze zabezpieczony, znalazł się również na miejscu katastrofy - choć przebywał tam tylko krótko. Musiał organizować. Przed odejściem oświadczył otaczającym go gapiom nie bez dumy: - Chodziło im o nasz dworzec. To ważny węzeł kolejowy. Stwierdzenie to zaniepokoiło poważnie kilku oficerów. Poczuli się urażeni na honorze, jako że ich zlekceważono. Jeden z nich głośno oświadczył: - Im oczywiście chodziło o naszą szkołę wojenną. Ale ci nędzni partacze chybiamą o trzy kilometry. Naszym to by się nie mogło zdarzyć. Koszary stały na swoim wzgórzu nietknięte, oświetlone odblaskiem płonących w dolinie domów. Ani jedna dachówka nie spadła z dachu, ani jedna szyba nie pękła. O godzinie trzeciej nad ranem najważniejsza robota była już zrobiona: wojsko mogło wrócić do koszar. KOmbinezony niektórych podchorążych były mocno wypchane - uratowali między innymi przed pożarem kilkaset butelek „Boxbeutel”. Byli więc zmęczeni, ale nie nieszczęśliwi. Generał zaś, zanim udał się na spoczynek, powiedział: - Jutro zajęcia według planu. Interludium IX łyciorys podchorążego Heinza_Horsta Hochbauera czyli: Honor morderców „Ja, Heinz_Horst Hochbauer, urodziłem się 21 marca 1923 roku jako syn kapitana rezerwy Herberta Hochbauera i jego ślubnej małżonki Viktorii z domu Sanders_Zoffhausen, w Rosenheim, Torplatz 17. Na wyraźne życzenie ojca wstąpiłem wcześniej do organizacji narodowych, co wywarło zbawienny wpływ na moje wychowanie i dopomogło mi między innymi osiągnąć dobre wyniki podczas czterech lat szkoły ludowej, którą skończyłem w tymże Rosenheim.” Ojciec podrzuca mnie wysoko w powietrze, ale tylko wtedy, kiedy głośno krzyczę „hura!” To nasza ulubiona zabawa. Mocne ramiona ojca rzucają mnie wysoko, a ja - krzyżąc z radości - wzlatuję ponad wszystkich i wszystko. Pode mną meble i ludzie, wśród nich śmiejąca się serdecznie matka i wpatrzone we mnie rodzeństwo. Małe, skrzywione twarze pode mną, i oczy płonące zawiścią. Bo ojciec kocha najbardziej mnie, to fakt. Tylko mnie podrzuca wysoko w powietrze, a ja nad wyraz szczęśliwy wołam hura! Całe moje rodzeństwo - nazywają się Hugo i Harald, Helga i Hermina - jest tak jak ja urodzone około dwudziestego marca. To dlatego, że nasza matka ma dwudziestego czerwca urodziny. To jest także dzień ślubu naszych rodziców. Ojciec jest człowiekiem bardzo zajęтым i wiele podróżuje, mówi matka. „Jeździ dla Niemiec, dla

przyszłej Rzeszy, dla przyszłego Führera!” Ale nigdy nie zapomina o rodzinie, myśli o nas w dzień i w nocy i raz do roku - właśnie dwudziestego czerwca - wraca, egzaminuje nas i sędzi, ustanawia wytyczne dla naszego wychowania i powiększa naszą rodzinę. Potem znowu wyjeżdża i rzuca się w wir walki. A matka mówi: „On jest urodzonym panem!” Muchy łażą, nawet jeśli wyrwać im nóżkę, nawet jeśli wyrwać im dwie nóżki, one wszystko jedno łażą - przy czym można wybrać: przednie czy tylne, z lewej strony czy z prawej strony. Gdy im się jednak wyrwa nóżki na krzyż, a więc na przykład przednią lewą i tylną prawą, wtedy przestają się orientować w przestrzeni i są do niczego. „Muchy - mówi matka - szerzą brud i przenoszą choroby. Są obrzydliwe, i dlatego trzeba je tępić.” Raz po raz zjawiają się u nas ludzie - ludzie ojca. Przywożą pieniądze i wiadomości, oddają paczki na przechowanie, a potem przychodzą po nie. Jeszcze inni zostają u nas na kilka dni, czasem w komórce na strychu, ale czasem też w sypialni, w łóżku ojca. My dzieci nazywamy każdego z nich „wujcio”, większość z nich ma stopnie wojskowe, a ci, którzy śpią w sypialni, to prawie wszyscy oficerowie, bohaterzy wojny, jak ojciec, odznaczeni wysokimi orderami. „Prawdziwe zuchy! - mawia matka. - To mój obowiązek wobec waszego ojca otaczać ich miłością, na ich barkach bowiem spoczywa przyszłość Rzeszy.” „Drogi chłopcze - mówi do mnie ciotka Chamberlain_Schipper - ucz się w porę rozpoznawać różnice, wtedy będziesz wiedział, co to ład życia. Ludzie nie są równi, nawet przed Bogiem. Zawsze istnieją tacy, co są mniej warci. Nawet dzień powszedni zna przełożonych i podwładnych różnych szczebli i rang. Bądź tak jak twój ojciec wodzem, wokół którego zbierają się wierni.” A ciotka Chamberlain_Schipper na pewno wie, co mówi. Bo jeden z jej krewnych był wielkim filozofem, którego idee wstrząsnęły światem, jak powiadają. A ojciec mówi o ciotce: „To, co my mamy w sercu, ona dodatkowo jeszcze ma w mózgu”. Konrad, mój przyjaciel, i Karl_Friedrich, mój drugi przyjaciel, stoją razem ze mną w kącie podwórza szkolnego, tam gdzie są skrzynie na śmiecie. Inni biegają po podwórzu, a dziewczynki grają przed ławkami przy wejściu w „niebo i piekło”; podskakują i pocą się, i śmieją się głupkowato; jedna z nich jest gruba, warkocze podrygują na jej tłustych plecach. To Elfrieda, na którą ludzie wołają zawsze Elfie. Przyglądamy się jej dokładnie, bo to skarżypyta, i za to musi ją spotkać kara. POKonstawiamy w końcu obciąć jej warkocze - w sieni, gdzie będziemy czatowali na nią, z workiem i nożycami, które wypożyczyliśmy ze sklepu ojca Elfriedy. Właściwie za to, co zrobiła, to jest za łagodna kara - moim zdaniem powinniśmy ją porządnie wytargać za włosy, żeby nas popamiętała. Przede mną stoi Związek Młodzieży Tarczy Słonecznej, a ja jestem jego dowódcą. Nasz proporzec przedstawia czarną tarczę słoneczną w białym wieńcu promieni na czerwonym polu. Ciotka Chamberlain_Schipper zaprojektowała ten proporzec, matka go uszyła, jeden z moich braci go nosi; materiał zafundował ojciec, ze swego funduszu specjalnego, mówi matka; popieranie dążeń narodowych. Ogień świętojański płonie, a nasze twarze goreją. „Więcej ognia!”, wołam. Dorzucamy do ogniska gałęzie i polana. Piękny drgający czerwony blask oświetla nas, oczy nam błyszczą, a mój głos drży ze szczęścia. „Jeszcze więcej ognia!”, wołam, i teraz rzucamy na stos wiązki słomy, do tego kilka butelek nafty i kanister benzyny - wszystko dobrze zorganizowane. A ja wołam: „Teraz skakać! Wszyscy za mną! Tchórz, kto nie z nami!” I wszyscy skaczą. Wśród moich kolegów nie ma miejsca na tchórzy. „Hochbauer - mówi do mnie nauczyciel Marquardt - słyszałem, że założyłeś wraz z innymi uczniami związek narodowy. Czy to prawda?” - „To prawda - mówię. - Czy to może zakazane?” - „U mnie nie - mówi nauczyciel Marquardt - nie wtedy, gdy chodzi o związek narodowy. Czyż można zabronić cnoty?” Opowiada to ojcu. A ojciec opowiada to swoim przyjaciółom, z których jeden jest wizytatorem szkolnym. Tak więc któregoś dnia Marquardt zostaje mianowany kierownikiem naszej szkoły. „Bo w końcu - mówi ojciec - sprawiedliwość zawsze zwycięża.” „Wobec moich wyników w szkole ludowej, wykraczających daleko ponad przeciętny poziom, uważano za rzecz samo przez się zrozumiałą moje dalsze kształcenie się w wyższym zakładzie naukowym. W tym celu posłano mnie w roku 1932 do gimnazjum im. Księcia Eugeniusza w Neustadt; wybrano Neustadt dlatego, że ten instytut posiadał znakomitych nauczycieli, a poza tym Naestadt było miejscem zamieszkania mojej ciotki Chamberlain_Schipper, której ojciec powierzył doskonalenie mego wychowania. Przebywałem tu,

biorąc aktywny udział we wspaniałym rozwoju myśli narodowej, do roku 1940, kiedy to z odznaczeniem zdałem maturę. Bezpośrednio potem zgłosiłem się oczywiście ochotniczo do Wehrmachtu i miałem to szczęście, że z miejsca mnie przyjęto i że następnie zostałem kandydatem na oficera.” Uroczysta chwila kończąca i wieńcząca moją naukę w szkole podstawowej w miasteczku rodzinnym: utworzony przeze mnie Związek Młodzieży Tarczy Słonecznej zostaje in corpore włączony do Hitlerjugend. Dobosze biją w werble. PO raz ostatni powiewa na wietrze nasz proporzec, po czym zostaje z honorem zwinięty. Bannf~uhrer Kopelski podchodzi do mnie: śmiertelnie poważna twarz, łzy wzruszenia w oczach. Męski uścisk dłoni. Wydaje się, że werble lada chwila pękną. „W imieniu F~uhrera!”, woła bannf~uhrer Kopelski. Przyjmuje sztandar Młodzieży Tarczy Słonecznej i przekazuje go Hitlerjugend. A ja zgodnie z poprzednią umową zostaję mianowany dowódcą oddziału. Ojciec tym razem zajeżdża samochodem - ośmiocyndrowy mercedes: wóz państwowy. Ojciec od stóp do głów w jasnobrunatnym mundurze, przypominającym tropiki, że tak powiem: światowym. Zdobi go Pour le M~erite. A śmiech jego zagłusza warkot silnika. Obok niego szofer, za nim ordynans i adiutant - wszyscy w solidnym kolorze khaki. „Zbiórka!”, woła ojciec wesoło. A potem ogląda swoją rodzinę, i oczy jego rozbłyskują na mój widok - bo noszę brunatną koszulę tak jak on. „Jesteś moim kochanym synem - mówi - zrozumiałeś znaki czasu.” - „Jestem twoim synem”, mówię ze skromną dumą, a on wzruszony bierze mnie w ramiona. Wstaję i mówię: „Czosnek!” Profesor Wassermann patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami. „O co ci chodzi, Hochbauer?”, pyta naiwnie. Powiadam: „Czosnek. Tu czuć czosnkiem. W takim smrodzie nie można pracować”. - „Hochbauer - mówi profesor Wassermann - licz się ze słowami, proszę.” - „Smród czosnku jest dla nas prowokacją - mówię - nie można od nas żądać, żebyśmy oddychali tym samym powietrzem, co niektóre osoby.” - „Precz!”, woła profesor Wassermann. „Czy pan się zastanowił nad tym, kogo pan wyrzuca z klasy?”, pytam. „Precz!”, woła profesor jeszcze raz. Wychodzę. Ale czternastu moich kolegów wychodzi wraz ze mną, jak na umówiony znak. W trzy dni później klasy są już zreorganizowane i wszystkie obce rasowo elementy usunięte z naszego zasięgu. Zwyciężyliśmy, chociaż jeszcze nie na całej linii: Wassermann uczy dalej, aczkolwiek już tylko obcych języków w pierwszej i drugiej klasie. Na pulpicie Wassermanna stawiamy tabliczkę: łydźci niepożądani. Bierze ją i bez słowa wsuwa do kieszeni. Robimy doniesienie z powodu przywłaszczenia cudzego mienia. Wassermanna wzywają, żeby zwrócił rzeczoną tabliczkę. Ale on nie posiada jej już. Każą mu dostarczyć identyczną tabliczkę. Kiedy chce ją kupić w sklepie, kupcy narodowcy, poinformowani przez nas, wyrzucają go. Wreszcie nie pozostaje mu nic innego, jak zamówić u drukarza taką tabliczkę. Ale również drukarz, którego uświadomiliśmy należycie, rozumie, co jest jego obowiązkiem: twierdzi, że może drukować tego rodzaju tabliczki tylko w ilości pięćdziesięciu sztuk. Ale potem my dostajemy te tabliczki w swoje ręce i stawiamy je wszędzie tam, gdzie przebywa Wassermann: przed pokojem nauczycielskim, przed jego mieszkaniem, przed piwnicą, przed wejściem do szkoły, we wszystkich dostępnych dla nas kłozetach. Wassermann ulatnia się z miasta. Teraz zwyciężyliśmy już ostatecznie. Znowu mamy czerwiec, tysiąc dziewięćset trzydziestego czwartego, i znowu ojciec zajeżdża swoim samochodem państwowym. Ale przychodzi nie do matki, lecz do ciotki Chamberlain_Schipper. POza tym jest noc, i szofer, ordynans i adiutant czekają po ciemku na ulicy. „Matyldo - mówi ojciec do ciotki - sprawa jest poważna. Ale ty masz stosunki, musisz mi pomóc. W końcu jesteś spokrewniona z jednym z filozofów, na których przysięga F~uhrer.” I ojciec opowiada, a ja słucham z płonąca twarzą, bo wolno mi asystować przy tej rozmowie: W partii należy się spodziewać konfliktu; szef sztabu S\$a, nazwiskiem R~ohm, dawny towarzysz broni i dobry przyjaciel, usiłuje przesunąć układ sił wewnątrz kierownictwa. „Czy on ma szansę?”, pyta ciotka rzeczowo. „Nie przeciw F~uhrerowi”, mówi ojciec. „No to na co ty jeszcze czekasz? - mówi ciotka. - Twoje miejsce jest przy Hitlerze.” - „Może to i racja - mówi ojciec - ale w jaki sposób najlepiej trafić do niego?” - „Najkrótszą drogą i największą szczerością.” W kilka tygodni później ojciec zdjął brunatny mundur. Chodzi teraz w czarnym sóknie. W tym kolorze bardzo mu do twarzy. „Wygląda olśniewająco w tym swoim czarnym mundurze - mówi matka. - I jego Pour le

M-erite teraz o wiele bardziej się odznacza.” Ciotka Chamberlain_Schipper bierze mnie na stronę i mówi: „Byłeś świadkiem wielkiej chwili - nie zapomnij jej nigdy! Twój ojciec stanął przed najtrudniejszą decyzją, przed jaką może stanąć mężczyzna. Chodziło o wierność. Komu jej miał dochować? Towarzyszom? F~uhrerowi? Odpowiedź brzmi: Rzeszy - a Rzeszę uosabia F~uhrer. Zawsze musisz o tym pamiętać: Niemcy stoją ponad wszystkim. Nawet gdyby miały paść za nie tysiące i dziesiątki tysięcy ludzi”. Na imię jej Ulrika - nazwisko, Papenhorst, nie ma nic do rzeczy. Ciemna blondynka, dobrze zbudowana, chód ma energiczny i sprężysty. śmieje się chętnie i dużo, i z byle czego - wesoła, silna, niemiecka dziewczyna. O rok starsza ode mnie, co jednak jest nieważne, jeśli się abstrahuje od jej bogatego doświadczenia. Wspólnie kierujemy obozem sportowym i kondycyjnym Frundsberg nad Ammersee: tysiąc młodych ludzi, w tym trzysta siedemdziesiąt dziewcząt - kilka miasteczek namiotowych, ale wspólna kuchnia, wspólny plac apelowy i wspólna komenda obozu. Zaraz przy pierwszej rozmowie Ulrika spuszcza plandekę u wejścia do namiotu. „Musimy się najpierw gruntownie poznać - mówi. - To jest najważniejsze, wszystko inne się ułoży.” Ale w trzy dni później zjawia się Liebentraut, gebietsf~uhrer, należący do sztabu Reichsjugendf~uhrera. Przeprowadza inspekcję obozu i nie szczędzi nam słów uznania. „POdoba mi się tu u was, koledzy - mówi. - ZOstanę tu. Nie ma to jak wspólne hartowanie ciała.” i zostaje, i zakwaterowuje się w namiocie sztabowym, ku prawie nie ukrywanej złości Ulriki. „Zakłóca harmonię między nami”, mówi. Bo Liebentraut, gebietsf~uhrer, taki sam zaprzysięgły zwolennik wspólnej sprawy jak my, jest zdania, że odmienne płci powinny podążać ku niej odmiennymi drogami. Dlatego Ulrika musi opuścić namiot sztabowy. Ale między nami dwoma, Liebentrautem i mną, narasta prawdziwie wielka i głęboka przyjaźń. Kiedy obóz się kończy, awansuję na oberbannf~uhrera. I jest tu S~ohning, tchórz. Wyrośnięty, w okularach, z okrągłymi plecami. Karierowicz. Ma siostrę o wyglądzie nieco egzotycznym, typ nie bardzo czysty pod względem rasowym. S~ohningowie pochodzą z Nadrenii; przypuszczalnie paru kolorowych żołnierzy okupantów pozostawiło swoje ślady w tej rodzinie. W domu matka mówi ponoć niekiedy po francusku. S~ohning w każdym razie, Kurt, odmawia żadanego posłuszeństwa, nie chce się włączyć do wspólnego sportu, wzbrania się skakać z trzymetrowej wysokości. Wlecemy go na trampolinę za pomocą lin. Broni się, ten tchórz, wymachuje rękami, wierzga nogami, nawet pluje. Biadoli, wyje, prosi i skomle jak niemowlę. Ale my go holujemy, pchamy i wciągamy na górę, i stąd wrzucamy go do wody. Udar serca. Koniec. Taka to była oferta. Dochodzenia, wypytywania, przesłuchania. „Kto był przy tym?”, pyta dyrektor. Cała klasa wstaje wraz ze mną. „Kto jest winien?”, pyta dyrektor. Cała klasa siada za moim przykładem. „Jak to się mogło stać?”, pyta później dyrektor. „To był udar serca - mówię - to już stwierdzone. A tego udaru dostał ze strachu. Jeśli więc już ktoś ponosi winę, to on sam.” - „Bardzo przykre - mówi dyrektor, wijąc się jak piskorz - ale nic się na to nie poradzi.” - „A poza tym teraz jest wojna”, mówię. I każdy wie, co to znaczy: na wojnie tchórze i tak nie mają racji bytu. „Hochbauer - mówią później do mnie koledzy - uratowałeś nas. Gdybyś nie powiedział dyrektorowi parę słów do słuchu, z naszej matury byłyby nici, a na to nie możemy sobie pozwolić.” - „Och, przyjaciele - mówię. - Trzeba mieć tylko odwagę i wiedzieć, do czego się dąży, wówczas wszystko musi się udać.” „Po zgłoszeniu się wraz z całą klasą do służby wojskowej i odbyciu przeszkolenia podstawowego zostałem natychmiast skierowany do jednostki liniowej, niestety dopiero po kampanii francuskiej. Ale już wiosną 1941 roku jednostkę naszą wysłano do Generalnej Guberni Polka; od pierwszego dnia braliśmy udział w kampanii wschodniej, najpierw w podwójnej bitwie pod Białymstokiem i Mińskiem, gdzie został odznaczony Krzyżem żelaznym II klasy. Wziąwszy udział w dalszych walkach przeciwko bolszewickiemu wrogowi, zostałem po kursach eliminacyjnych w pułku oraz po kursie dla kandydatów na oficerów pod Dreznem odkomenderowany do Szkoły Wojennej nr 5 w Wildlingen nad Menem.” Kapral Dompke trzyma nas poborowych mocno w garści. To nie jest człowiek, który mógłby komuś pobłażać, on idzie na całego: padnij w błoto, powstań z błota - i wnet już wszędzie błoto, w kącikach ust, w uszach, za kołnierzem, pot pod pachami i w skarpetkach pot. Ale Dompke dalej daje nam szkołę. Biegamy tam i z powrotem po placu koszarowym, kilka razy, aż wreszcie

pierwszy się załamuje. „Hochbauer - pyta mnie później Dompke - czy uważacie, że się wam krzywda dzieje?” - „Nie, panie kapralu.” - „Czy męczono was w sposób niedozwolony?” - „Nie, panie kapralu.” To się Dompkemu podoba, jako że prawda zawsze się podoba. Oddycham bowiem dość spokojnie, puls mam prawie normalny, od tych paru biegów ekstra serce mi wcale nie lata. I wiem, że trzeba hartować ciało, jeśli ma ono zachować sprawność. Ja też hartowałem swoich chłopaków w Hitlerjugend. To należy do systemu, na tym polega wychowanie. Leniuchy, fajtlapy i tchórze mówią w takich wypadkach o męczeniu ludzi - po tym się ich poznaje. Partyzanci stoją pod tylną ścianą szkoły, z oczami wlepionymi w błoto. Trzech bandytów i jedna kobieta - że ten koślawy strach na wróble w łachmanach jest kobietą, domyślić się można tego tylko po długich włosach. Nasza kompani ustawiła się w szeregu i patrzy na partyzantów, potem na podporucznika, który występuje przed front. „Potrzebuję ochotników - mówi podporucznik. - Ta hołota - wskazuje na partyzantów - wczoraj w nocy podpaliła dom i zabiła dwóch naszych kolegów. A więc, ochotnicy wystąp!” Występuję. A koledzy z mojej drużyny za mną - bez wyjątku. „Tego właśnie się po was spodziewałem”, mówi podporucznik. Ojciec jest komendantem twierdzy SS Pronthausen. Potężny kompleks budynków z elementami pragermańsko_celtyckiego stylu na tle heroicznego krajobrazu. Całość podlega - poprzez reichsführera SS - wprost Führerowi. Ojciec z matką i młodszym rodzeństwem mieszkają w idyllicznej willi z okazałym rosarium - służbowe mieszkanie komendanta. Cudowne dni urlopu między bitwami. Punkt kulminacyjny: towarzyszę ojcu odbierającemu defiladę przyszłych oficerów SS. Męskie przemówienie ojca; tron tego przemówienia stanowi zdanie: „Wierność za wierność! Pewnego wieczoru ojciec pyta: „Jak się nazywa twój dowódca pułku - Warnow, prawda?” - „Tak jest - mówię - pułkownik Warnow.” - „Jego syn jest tu u mnie w twierdzy - mówi ojciec. - Pozdrów ode mnie pułkownika, jak wrócisz na front.” „Cieszę się, drogi Hochbauer - mówi do mnie pułkownik Warnow - cieszę się z całego serca, że memu synowi dobrze się powodzi, że robi znakomite postępy i jest u waszego ojca, w tak wspaniałych rękach. Czy macie jakieś życzenie, które mógłbym spełnić?” Proszę o ponowne wysłanie mnie na front. Ale pozycja naszego pułku nie jest szczególnie korzystna. Rzadko tylko mamy szczęście walczyć na przednim skraju. „Kapral Hochbauer - mówi do mnie pułkownik Warnow - biorę was pod swoje skrzydła. Jesteście przeniesieni do sztabu pułku. Tylko bez żadnego sprzeciwu! Zobaczycie: gdzie ja jestem, tam jest i wojna.” Letnia noc w Rosji. Lśniący półmrok i taki gorący, że siódme poty na nas biją. Pan pułkownik zdejmuje kurtkę. W ścisłym koleżeńskim gronie oblewamy jego Krzyż Rycerski. Wolno mi w tym uczestniczyć, jako że jestem jego adiutantem. Pan pułkownik rozpina koszulę, wreszcie ściąga ją przez głowę. Siedzimy w holu jakiegoś letniego domku - trochę prymitywne to wszystko razem, lecz uszlachetnione przez niemiecki zmysł estetyczny: puchate koce na krzesłach, kwiaty w kryształowych wazonach, portret Führera i sztandary na ścianach. Bateria krymskiego musującego wina wjechała na stół - dwadzieścia osiem butelek dla siedmiu ludzi. Temperatura coraz bardziej się podnosi. Pan pułkownik zdejmuje spodnie i oblewa sobie dla ochłody potężną klatkę piersiową szklanką wina. Inni oficerowie idą za jego przykładem. Porywające chwile igraszy męskiej harmonii. „Drogi Hochbauer - mówi do mnie pułkownik Warnow - niechże cię uścisknę, mój chłopcze, jesteś urodzonym oficerem.” A pan pułkownik mówi tak dlatego, że przyczyniłem się wybitnie do owego bohaterskiego czynu, za który otrzymał Krzyż Rycerski. Mogę się poszczycić tym, że pierwszy rozpoznałem słabe miejsce w odcinku frontu nieprzyjaciela. Bo meldunki przechodziły przez moje ręce: cztery zniszczone czołgi pod pewnym wzgórzem pokazały mi piętę achillesową nieprzyjaciela. Pan pułkownik osobiście dowodził podczas przełamania wszystkimi swoimi odwodami - ponad czterystu towarzyszy pozostało na polu walki, taki to był bohaterski bój. „Hochbauer - powiedział wówczas pułkownik, ścierając z szyby samochodu krew swego kierowcy, który nie zdążył się już skryć - tego nam nigdy nie wolno zapomnieć: nie ma ofiar zbyt wysokich dla zwycięstwa słusznej sprawy!” 28 Prawda jest niebezpieczna Następnego dnia porucznik Krafft postanowił doprowadzić sprawę do końca. Był pewien, że za parę dni będzie za późno. Jeszcze miał odwagę robić to, co uważał za stosowne. Krafft poprosił najpierw kapitana Federsa, żeby go

zastąpił na zajęciach, które według planu on miał prowadzić. Feders natychmiast się zgodził, nie pytając o przyczyny. Powiedział tylko: - No to szczęścia na drogę. Ja miałem już na muszce dziką świnię, ale przeszkodził mi sam Pan Bóg; dzika świnia zdechła, rażona piorunem. Co pan na to? - Może - powiedział Krafft - próbował pan pomieszać szyki Panu Bogu, a ten nie zawsze na to pozwala. U mnie sprawa wygląda zupełnie inaczej. Ja, że tak powiem, mam zamiar przedstawić pani sprawiedliwości nagą, odwrótną stronę rzeczywistości. To prawie żadne ryzyko, bo jak wiadomo, dama ta jest ślepa. - Idź więc pan w niepokoj, ja tymczasem zabiorę się do naszej grupy. Krafft opuścił koszary i poszedł do miasteczka. Rozwalona część wschodnia miasta ciągle jeszcze dymiała i cuchnęła teraz jeszcze bardziej niż poprzedniej nocy. Ale Kranichgasse, ku której skierował się Krafft, ocalała. Odszukał tu Marię Kelter. Odbył z nią krótką, ale stanowczą - i jego zdaniem pomyślną - rozmowę. Udawał, że spełnia polecenie służbowe: przykre, ale nieuniknione. Ta metoda prawie zawsze robiła wrażenie na wiernych poddanych, a tym bardziej na naiwnych młodych dziewczętach. Powróciwszy do koszar Krafft udał się wprost do budynku, w którym urzędował komendant, i tu skierował się od razu do przedpokoju generała Modersohna. Przywitał się niezbyt wylewnie, ale serdecznie z Sybillą, a do porucznika Bieringera powiedział: - Chciałbym porozmawiać z generałem. - To zupełnie wykluczone. W tej chwili generał ma ważną konferencję z przedstawicielami partii i władz Wildlingen w sprawie naprawienia szkód wyrządzonych przez wczorajszy nalot. - A jak długo to może potrwać? - Jeszcze co najmniej godzinę. - Tak długo nie mogę niestety czekać. Proszę mnie zameldować generałowi. Wystarczą trzy minuty, więcej mi nie potrzeba. - Drogi Krafft - powiedział Bieringer zaszokowany - co pan wyrabia! Zna pan już chyba generała na tyle, żeby wiedzieć, że nie wolno mu przeszkadzać. A co dopiero w obecności osób postronnych! Na to sobie nikt nie może pozwolić, pan nie i ja też nie. - Przypuszczalnie pan nigdy nie próbował. Krafft odwrócił się od Bieringera do Sybilli. Odpowiedziała porozumiewawczym uśmiechem na jego pytające spojrzenie i wstała ze słowami: - Zanim zada sobie pan ten trud, panie Krafft, żeby mnie sprowokować, pójdę lepiej sama. Na moją odpowiedzialność, ale na pańskie ryzyko. - Mogę tymczasem przygotować przeniesienie dla pana, Krafft, jeśli panu tak na tym zależy - powiedział Bieringer. - Przeszkadzać generałowi w trakcie konferencji, co za szaleństwo! Sybilla mimo to podeszła do drzwi prowadzących do gabinetu generała. Wyprostowała się, szybko przygładziła włosy i weszła do swego szefa. Krafft i Bieringer nie spuszczała oka z tych drzwi. Bieringer obawiał się najgorszego. Krafftowi natomiast nie pozostawało nic innego, jak spodziewać się najlepszego. Po stosunkowo krótkiej chwili drzwi się ponownie otworzyły: ukazał się generał, a za nim uśmiechnięta Sybilla. Modersohn spokojnym krokiem podszedł do porucznika Kraffta i wyciągnął do niego rękę. Bieringer opadł przerażony na swój fotel. - A więc, panie poruczniku Krafft - spytał generał, rzeczowo jak zawsze, ale z odcieniem jakby serdeczności - jakie pan ma życzenia? - Panie generale - powiedział Krafft - proszę o pozwolenie na wszczęcie postępowania w sprawie usunięcia ze szkoły. - Przeciwno komu? - Przeciwno podchorążemu Hochbauerowi, panie generale. Modersohn nawet nie drgnął, zwęziły mu się tylko oczy. Ale głos jego brzmiał trochę szorstko, kiedy powiedział: - Usunięcie ze szkoły to wypadek dość niezwykły. Czy jest pan pewny, że posiada pan niezbite podstawy do stawiania takiego wniosku? Czy są to podstawy wystarczające, aby sprawę pomyślnie doprowadzić do końca? - Jestem o tym przekonany, panie generale. - I po cichu Krafft dodał: - To jedyna możliwość. Generał wahał się kilka sekund. Potem spytał: - Kiedy? - Jeszcze dziś, panie generale - powiedział Krafft stanowczo. - Najlepiej we wczesnych godzinach popołudniowych. Do tego czasu zbiorę cały materiał. - Zgoda - powiedział generał. Później zwrócił się do swego adiutanta. - Zarządź pan wszystko, co trzeba, Bieringer. Wniosek o usunięcie podchorążego Hochbauera ze szkoły, oddział szósty, grupa szkolna Heinrich. Na podstawie materiałów porucznika Kraffta. Kierownictwo komisji kontroli: dowódca kursu drugiego major Frey. Skład jak zwykle. Początek: godzina piętnasta. Ustne sprawozdanie ze szczegółową motywacją jutro rano. Gdyby coś było dla pana niejasne, Bieringer, proszę się zwrócić do porucznika Kraffta. Skonsternowany adiutant kiwał głową i patrzył, ciągle jeszcze zdumiony, w swoje notatki. Sybilla uśmiechnęła się zachęcająco do Kraffta. Ale ten widział tylko

generała. General Modersohn takimi samymi spokojnymi krokami jak przedtem skierował się ku drzwiom. Tu zatrzymał się i odwrócił. I oto zdarzyło się coś zupełnie niezwykłego: generał skinął porucznikowi Krafftowi głową. Potem zamknął za sobą drzwi. Bieringer potrzebował sporo czasu, żeby przyjść do siebie. Spytał z przyciężkową nieco ironią: - Czy pan porucznik ma jeszcze jakieś rozkazy dla komendy szkoły? - Na razie nie - powiedział Krafft. Mrugnął wdzięcznym okiem do Sybilli. - Może tylko jeszcze jedno, Bieringer: spróbuj pan wyjaśnić dowódcy kursu, że chodzi nie o jakąś tam przypadkową rozmowę, lecz o zupełnie oficjalną rozprawę. - Rozumiem - powiedział Bieringer. - Majora Freya trzeba uświadomić, że każdy błąd, jaki mu się zdarzy podczas tej imprezy, może być wykorzystany przeciwko niemu. Poza tym przykładem pan przypuszczalnie waga do tego, żeby nie było przedtem żadnego sondażu. Wszystko, co trzeba wyjaśnić, ma być wyjaśnione dopiero na samej rozprawie. Dobrze, wytłumaczę to dowódcy kursu. A co pan sobie właściwie obiecuje po tym przedstawieniu? - Spytaj pan o to swego generała - odparł Krafft. * * * - Aha - powiedział major Frey z ważną miną - rozumiem. „General życzy sobie rozpatrzenia wniosku o usunięcie ze szkoły - wyjaśniał Bieringer przez telefon - w sposób absolutnie nienaganny.” - Oczywiście - zapewniał Frey - to jasne. Ale nic nie było dla niego jasne. Major jeszcze przez dłuższy czas wytrzeszczał oczy na odłożoną słuchawkę. Otrzymał więc rozkaz od generała z komentarzem od Bieringera - i to dość dobitnym. Ale: czego chciał generał Modersohn? Był to problem wymagający gruntownego zastanowienia się. W tym celu major kazał się zawieźć do siebie do domu. Zabrał ze sobą teczkę pełną akt. W kulturalnej atmosferze swego domostwa, po obfitym posiłku, zamierzał zbadać całą rzecz dogłębnie. - Droga Felicitas - powiedział do swojej żony przy zupie - otrzymałem polecenie przeprowadzenia ściśle oficjalnej rozprawy w związku z wnioskiem o usunięcie ze szkoły. - No to przeprowadź ją - odparła Felicitas chłodno. - To ci chyba trudno nie przyjdzie. Na aktach, protokołach i zarządzeniach to ty się znasz, to ci trzeba przyznać. Felicitas była w ostatnich czasach trochę roztargniona. Jemu zaś wcale nie była potrzebna jej rada, chciał tylko podczas jedzenia uprawiać konwersację. - Sprawy o usunięcie ze szkoły - mówił, podczas gdy bratanica Barbara podawała pieczeń - zdarzały nam się dotąd niezwykle rzadko. Pięć razy tylko, odkąd istnieje nasza szkoła wojenna. A jeszcze nigdy za czasów Modersohna. Ale to oczywiście o niczym jeszcze nie świadczy. - Dla ciebie oczywiście nie - powiedziała pani Frey. Widocznie ją to nie interesowało. Nie dopytywała się o szczegóły, i nie dopytywała się nawet o nazwisko ofiary. Ostatnio pogrążona była w jakiejś apatii. To się czuło nawet przy jedzeniu. Major wycofał się do swego gabinetu. Pani Felicitas położyła się. A Barbara zaparzyła mocną, słodką kawę. Major zamierzał oddać się gruntownym rozmyśleniom, ale przeszkodziła mu w tym Barbara. Nachyliła się nad nim, odstawiła kawę i spojrzała na niego swymi aksamitnymi oczami. - Czy chciałbyś potem koniaku? - spytała. - Mam robotę - odparł opryskliwie. - Ale przedtem powinienes trochę wypocząć - powiedziała Barbara. Major nachylił się jednak nad swoimi papierami i usiłował się skupić. Należało wyjaśnić jeszcze cały szereg pytań. Do czego generał przykładał wagę? Jaką formę widziałby najchętniej? Jakich pragnął załączników? Co trzeba było uwypuklić, a co stuszczać? I wreszcie kardynalne pytanie: Ponieważ za czasów generała Modersohna nie usunięto jeszcze nikogo ze szkoły, było więc całkiem możliwe, że on wcale nie życzył sobie takich rzeczy? Jeden problem trudniejszy od drugiego! Frey poczuł nagle na plecach jakiś ciepły ciężar. Potrzebował kilku sekund, żeby się zorientować, co to było: Barbara. - Czyś ty zwariowała? - zawołał stłumionym głosem. - Nie bądź taki drażliwy - powiedziała Barbara. - Przyglądam ci się po prostu. To przecież nic złego. - Przestań - wydusił z siebie z trudem. - Każdej chwili może tu wejść twoja ciotka. - ONa śpi - powiedziała Barbara cicho. Nachyliła się jeszcze więcej do przodu. Jej wilgotne otwarte usta dotknęły jego ucha. - Zapominasz - powiedział - że twoja ciotka jest moją żoną. - Właśnie dlatego - powiedziała, chichocząc Barbara. Archibald Frey bronił się - co prawda nie za bardzo - ruchami, które zmierzały raczej do tego, żeby mu ułatwić przyjęcie korzystnej pozycji. - Nie wstydzisz się - powiedział stłumionym głosem - tak w biały dzień?! - W nocy każdy potrafi - powiedziała Barbara i usiadła mu na kolanach. W geście niby obronnym ręka Freya zsunęła się na jej piersi. Ale przy tej okazji wzrok jego padł na zegarek. I Frey stwierdził, że jest

już bardzo późno. Alarmująco późno. Zerwał się szybko na równe nogi, i Barbara osunęła się na dywan. Stąd patrzyła na niego pożądlivym wzrokiem. - Wstań natychmiast - powiedział major. - To przecież niemożliwe, bądź rozsądna! Nie wolno ci zapominać, że jestem ożeniony z twoją ciotką. I jestem szczęśliwym mężem. Nie śmieć się tak głupio, mówię poważnie. A poza tym nie mam w tej chwili czasu. Muszę załatwić najpierw ważniejsze sprawy. POgadamy później. * * * Około godziny piętnastej wszystkie przygotowania były już zakończone. Major Frey zamierzał zacząć punktualnie co do minuty. Na rozprawę wyznaczył salę wykładową numer 7 - położona była trochę na uboczu, z dala od innych, a poza tym była dobrze opalana. Następujące osoby miały brać udział w rozprawie: kapitan Ratshelm, kapitan Feders, porucznik Krafft, podchorąży Hochbauer. Poza tym jakiś zasługujący na zaufanie podoficer w charakterze protokółanta i drugi podoficer do dyspozycji majora, jako coś w rodzaju gońca. Salę odpowiednio przemeblowano: stół środkowy dla majora, na stole akta, za stołem rząd krzeseł. Jeszcze dwa stoły, na razie nie zajęte, jeden po prawej i jeden po lewej. Wszyscy oficerowie i żołnierze, którzy mieli uczestniczyć w posiedzeniu, już byli na miejscu. Milczeli. Na razie jeszcze nikt dokładnie nie wiedział, o co właściwie chodzi. Major Frey zdawał się być zajęty wyłącznie swoimi aktami. Krafft stał sztywno i nie zauważał nawet przyjazno_ironicznych spojrzeń kapitana Federsa. Hochbauer usiłował zachowywać się godnie i rzucał przy tym tęskne spojrzenia na kapitana Ratshelma - a ten obdarzył go zachęcającym uśmiechem. POdoficerowie patrzyli obojętnie gdzieś przed siebie - no bo cóż sensacyjnego mogło się w takiej szkole wojennej wydarzyć? Major chrząknął i powiedział z godnością: - Otwieram niniejszym zgodnie z rozkazem postępowanie w sprawie usunięcia ze szkoły podchorążego Hochbauera Heinza, urodzonego dwudziestego pierwszego marca w roku tysiąc dziewięćset dwudziestym trzecim w Rosenheim, obecnie przebywającego w S\$w nr 5, oddział szósty, grupa szkolna Heinrich. Kapitan Ratshelm oświadczył z miejsca: - Zgłaszam wniosek o umorzenie postępowania z braku podstaw. Ale porucznik Krafft powiedział: - Stawiam wniosek o wyłączenie kapitana Ratshelma z tego postępowania, ze względu na jego stronniczość. Kapitan Ratshelm zrobił się czerwony jak burak i zawołał: - Wypraszam sobie tego rodzaju podejrzenia! - To nie są podejrzenia - oświadczył Krafft - lecz fakty, które mogę udowodnić. - Niecne oszczerstwo! - krzyknął Ratshelm oburzony. - Ależ panowie! - zawołał major, bardzo niezadowolony. - Poproszę o spokój. Nie jesteście panowie w kasynie. Frey uderzył ręką w stół, żeby pokazać swoją energię. Był skonsternowany. Zaledwie rozprawa się zaczęła, a już groziło jej wypaczenie; w dodatku działo się to na oczach podwładnych. Do czego to prowadzi? - Proponuję - powiedział Feders - żebyśmy omówili tę sprawę najpierw, że tak powiem, z wyłączeniem publiczności. - To samo - rzekł major z ulgą - chciałem właśnie zaproponować. A zatem: wszyscy nieoficerowie opuszczają salę! Podchorąży Hochbauer i obaj podoficerowie natychmiast usłuchali tego wezwania. Oddali uroczyście honory, co major przyjął z zadowoleniem. Kiedy zamknęły się drzwi za nimi, kapitan Feders powiedział wesoło: - Nie powinno się nikogo zmuszać, żeby patrzył na to, jak my pierzemy nasze brudy. Jestem za tym, żeby wszystko zostało między nami i żebyśmy jakoś skrócili to postępowanie. Jasne jest jedno: Krafft i ja głosujemy za usunięciem Hochbauera. Kapitanowi Ratshelmowi radzę wstrzymać się od głosu. A pan, panie majorze, jest naturalnie bezstronny. - Przeciw! - zawołał kapitan Ratshelm wojowniczo - jestem stanowczo przeciw! - Dwa głosy za - powiedział Feders niewzruszony - jeden przeciw. Jest pan z góry przegłosowany. I jeśli pan ma rozum, to powie pan na to „tak” i „amen”. - Mnie chodzi jedynie o sprawiedliwość! - rzekł Ratshelm patetycznie. - Panowie, panowie! - zawołał major błagalnie. - Tak oczywiście nie można. Tu chodzi o normalne oficjalne postępowanie w sprawie usunięcia ze szkoły. Sens takiego postępowania może być tylko ten - major zapuścił żurawia w swoje notatki - trzeba przedyskutować i rozpatrzyć, posługując się czysto rzeczowymi argumentami, wszystkie za i przeciw w danym wypadku, żeby uzyskać jak najbardziej jasny obraz sprawy, i to możliwie przy jednomyślności wszystkich uczestników. Decyzja w każdym razie musi być podjęta, odroczenie sprawy jest niemożliwe, jak również przekazanie jej innej instancji. Major powiódł uważnym, badawczym wzrokiem po obecnych. NIE chcąc dopuścić do tego, żeby jego oficerowie w dalszym

ciągu szczyrzyli na siebie zęby jak psy rzeźnicze, trzymał się zwyczajowej w takich razach metody: zezwalał na coś, czego nie mógł zabronić, a jednocześnie próbował ustanawiać obowiązujące reguły. - Panowie - powiedział major - mnie osobiście przypada zadanie przewodniczenia temu postępowaniu. Od moich oficerów oczekuję wszechstronnego poparcia, nie mam jednak zamiaru wywierać najmniejszego nawet nacisku na poglądy panów. Pan porucznik Krafft podjął się przedstawić argumenty przeciwko podchorążemu Hochbauerowi. Byłoby wskazane, żeby ktoś inny spośród panów oficerów stanął, że tak powiem, w obronie podchorążego... do tego predystynowany jest chyba kapitan Ratshelm, podczas gdy w osobie kapitana Federsa pragnąłbym widzieć bezstronnego rzeczoznawcę. Czy panowie się zgadzają? - Niech będzie - rzekł Feders. - Zgadzą się, panie majorze! - powiedział zawsze posłuszny Ratshelm. - A ja się nie zgadzam - upierał się Krafft. - Jestem w dalszym ciągu przeciwko uczestnictwu pana kapitana Ratshelma. - Proszę to uzasadnić! - zażądał major, zanim jeszcze kapitan Ratshelm zdążył otworzyć usta. Frey zrozumiał, że pod tym względem porucznik Krafft nie ustąpi. Chcieć go odwieść od tego stanowiska byłoby stratą czasu. Praktycznie więc biorąc, nie pozostawało nic innego, jak przeskoczyć szybko tę przeszkodę. I dlatego major powiedział: - Prosiłbym pana, panie kapitanie Ratshelm, o reagowanie na rzeczowe argumenty również rzeczowo. A kapitan Ratshelm, jak należało się tego spodziewać, odparł: - Tak jest, panie majorze. Teraz na znak Freya wystąpił Krafft. Wyjął ze swojej teczki kartkę i położył ją na stole przed majorem. - Proszę - rzekł - wykaz z ostatnich czterech dni. Jest to wykaz wizyt podchorążego Hochbauera u kapitana Ratshelma. - Co oznacza to podstępne szpiegowanie?! - zawołał kapitan Ratshelm oburzony. - To już prawie jak w gestapo! - W tej ostatniej uwadze - zauważył Feders ze śmiechem - można by się dopatrzeć tendencji rozkładowych. - Nie słyszałem jej - powiedział major, chcąc sprawę załagodzić. Ratshelm natychmiast zrozumiał swój błąd i przyznał pokornie: - Ja tego oczywiście nie myślałem. Rozkładowe, antypaństwowe wichrzenia są sprzeczne z moją naturą, nienawidzę ich. Nie mogłem więc niczego takiego powiedzieć. Krafft nadal stał gotowy do skoku. A major ciągnął dalej: - Nie rozumiem, dlaczego fakt, że podchorąży odwiedza swego dowódcę oddziału ma budzić jakieś zastrzeżenia. - Wizyta od czasu do czasu byłaby może czymś normalnym, ale takie częste wizyty w danych warunkach można określić jedynie jako coś anormalnego. Zwłaszcza że niektóre z tych wizyt przeciągały się aż do trzech godzin i dłużej. - Do trzech godzin i dłużej? - spytał major przeciągle. - Chyba że - dorzucił Feders, rechocąc - podchorąży jest spokrewniony czy skoligacony, ożeniony czy zaręczony z naszym cenionym kapitanem. - Tu chodzi jedynie o spełnianie moich obowiązków - bronił się Ratshelm, po którym widać było, że się czuje śmiertelnie urażony. - Prowadzenie i pobudzanie do dalszego rozwoju utalentowanego narybku oficerskiego, kształcenie uczniów to przecież najważniejsze zadanie każdego wychowawcy. - Trzy godziny i dłużej? - powtórzył major, cedząc słowa. - Przy całym moim zrozumieniu, panie kapitanie Ratshelm, czy to aby nie za wiele tej opieki jak na jednego jedyne podchorążego? W końcu jest pan wychowawcą stu dwudziestu kandydatów na oficerów. - Ale ten, panie majorze, ma szczególne kwalifikacje, ogromne zalety. To zupełnie wyjątkowa jednostka. - My - powiedział Krafft - jego bezpośredni przełożeni, jesteśmy innego zdania. Nie tylko w odniesieniu do kwalifikacji tego podchorążego; również na jego stosunek do kapitana Ratshelma pozwalamy sobie mieć odmienny pogląd. A podchorążowie mojej grupy mówią na ten temat całkiem otwarcie. - Niezupełnie pana rozumiem, Krafft - powiedział major, ciągle jeszcze niczego nie podejrzewając - do czego pan właściwie zmierza? Czy chce pan insynuować kapitanowi Ratshelmowi faworyzowanie krewnego? Czy też ma pan może czelność posądzić go o korupcję, szantaż albo o coś podobnego? - Uważam, że byłoby to poniżej mojej godności - powiedział Ratshelm, cały w ognistych wybiegach - gdybym próbował choćby tylko przyjąć do wiadomości tego rodzaju podejrzenia. Major zażądał: - Proszę mówić wreszcie wyraźnie, Krafft. - Ostrożnie, panie majorze! - radził Feders uprzejmie. - Znalazł się pan na śliskim gruncie. Jeśli pan tego jeszcze nie zauważył, przynosi to panu tylko zaszczyt. W każdym razie, panie majorze, pozostaje teraz właściwie już tylko jedna możliwość: sympatia... ludzka, a raczej męska sympatia.

Taka, jaką Platon żywił dla swoich uczniów, Cezar rzekomo dla kilku młodocianych legionistów, a Fryderyk Wielki dla kilku adiutantów... - Dostyć! - zawołał major Frey przerażony. Nareszcie i on zrozumiał, co się tu na niego waliło. On, żołnierz i przełożony o naturalnych, zdrowych skłonnościach, o mały włos nie wylał wiadra pomyj. Gdyby się posunął o jeden tylko krok dalej, skutki byłyby fatalne. - Dalsze słowa są zbyteczne! Ale zaraz po tym major Frey zaczął się znowu zabezpieczać. - Panie kapitanie Ratshelm - powiedział z lekką nagana, ale nie bez zrozumienia, demonstracyjnie z góry, ale również z odcieniem koleżeńskiej życzliwości. - Bardzo to sobie cenię, że moi oficerowie troszczą się tak mocno o powierzonych im podchorążych. Ale zbyt wiele troskliwości może naruszyć niezbędną równowagę. I tak, zdaje się, rzecz się ma w tym właśnie wypadku. Nie pochwalam tego, nie mam jednak podstaw do potępienia. Zwłaszcza że wychodzę z założenia, iż działał pan z pobudek najczystszych. - Zapewniam pana, panie majorze - powiedział Ratshelm głośno - że chodziło mi jedynie o zabezpieczenie i załatwianie spraw służbowych. Moim zdaniem podchorąży Hochbauer jest bez porównania najlepszym i najzdolniejszym kandydatem na oficera. Dam sobie za niego głowę uciąć. I w dalszym ciągu uważam wnioski o usunięcie tego podchorążego ze szkoły za absurdalne, jeśli nie za wyrażoną nikczemność. - Panie kapitanie - powiedział major, niemile dotknięty ostatnimi słowami Ratshelma - proszę wziąć pod uwagę, że ja przewodniczę tej rozprawie. Nie może więc ta rozprawa być ani absurdalna, ani nikczemna. - Panie majorze, proszę pozwolić mi cofnąć te słowa i wyrazić ubolewanie, że je w ogóle powiedziałem. Major łaskawie przychylił się do tej prośby. Znalazł drogę najmniejszego oporu - prowadziła poprzez Ratshelma. Ten Krafft stał tu niewzruszony jak skała. Tylko eksplozja mogłaby go usunąć. I Frey oświadczył: - Tak jak się sprawa do tej pory przedstawia, trzeba stwierdzić, że kapitana Ratshelma można rzeczywiście posądzać o pewne uprzedzenia, w których jednakże nie mogę się jeszcze dopatrzeć stronniczości. Nie widzę w tym przeszkody dla naszego postępowania. Przejdźmy do meritum sprawy. Proszę, panie poruczniku Krafft. Krafft postąpił o krok naprzód i powiedział: - Oskarżam podchorążego Hochbauera o gwałt. - Absurd! - zawołał z miejsca kapitan Ratshelm. - Kompletny absurd! Podchorąży Hochbauer nigdy by czegoś takiego nie zrobił. - Skąd pan to tak dobrze wie? - spytał Feders zaciekawiony. - Tu chodzi o poczucie moralności! - zawołał Ratshelm, trzęsąc się prawie z oburzenia. - A w tej dziedzinie podchorąży Hochbauer ma szczególnie niewzruszone zasady. - Panie majorze - rzekł Krafft - mogę przedstawić dowód na moje twierdzenie. Dziewczyna nazywa się Maria Kelter. Przebywa w tej chwili w kantynie numer dwa i jest do naszej dyspozycji, aż do odwołania. Czy mam posłać po nią jednego z podoficerów? - śmieszne! - zawołał Ratshelm wzburzony. - Ale niech sobie ta dziewczyna tu spokojnie przychodzi, jeśli tak koniecznie chcemy się skompromitować. Major, który zaczął się już lekko pocić, pokręcił niechętnie głową i powiedział: - Niech ta dziewczyna się pokaże. Ale najpierw obejrzymy sobie bliżej podchorążego Hochbauera. Panowie się chyba zgodzą ze mną, że na razie lepiej zrezygnować z protokołu, a tym samym z obecności niższych szarż. Zgadzaście się, panowie? Dobrze. Możemy iść dalej. Proszę, panie poruczniku Krafft. Krafft wyszedł na korytarz i kazał Hochbauerowi wejść na salę. Dopiero potem dał jednemu z podoficerów polecenie, żeby udał się do kantyny numer dwa po pannę Marię Kelter i natychmiast ją przyprowadził. Tymczasem Hochbauer stanął przed komisją - wysoki, elastyczny, jasnowłosy; bez śladu niepokoju. Nie patrzył na Kraffta. Unikał wzroku Federsa. A potem odkrył życzliwe, zachęcające spojrzenie swojego ukochanego kapitana Ratshelma. Podniesiony na duchu, zwrócił się do majora Freya i popatrzył na niego uważnie i pokornie zarazem. - Podchorąży Hochbauer - powiedział major energicznie - stoicie przed komisją śledczą. Wszyscy tu obecni są wam osobiście znani. Naszym zadaniem jest stwierdzić, czy możecie nadal pozostać w naszej szkole wojennej, czy nie. Od naszej decyzji nie ma odwołania - będzie więc ona ostateczna. Gdyby doszło do usunięcia was, zostanie to zanotowane w aktach, a kopia zostanie załączona do waszych akt personalnych. Takie usunięcie ze szkoły oznaczałoby koniec waszej kariery wojskowej; stracilibyście tytuł podchorążego i nie moglibyście już nigdy zostać oficerem. Przed komisją macie zeznawać prawdę, tylko prawdę i nic prócz prawdy, to się rozumie samo przez się. Czy to jasne, podchorąży? - Tak jest, panie majorze! -

zawołał Hochbauer ujmująco poprawnie. - Przejdźmy więc do rzeczy. - Panie majorze - powiedział podchorąży Hochbauer, w mylnym przekonaniu, że wezwano go celem wytłumaczenia się - pozwalam sobie wskazać na to, że moja sprawa, jeśli o takowej może być w ogóle mowa, jest już zamknięta. I to urzędowo, przez sędziego sądu wojennego z inspektoratu szkół wojennych. Rewizja sprawy jest sprzeczna z ustawami, chyba że podejmie ją ten sam sąd wojenny. W razie wyłonienia się nowych elementów należałoby więc zawiadomić sędziego wyższego sądu wojennego Wirrmanna. Innej możliwości nie ma. Hochbauer spojrzał na twarze czterech oficerów, którzy wybałuszyli na niego w zdumieniu oczy. Wziął tę reakcję za zdziwienie i był gotów napawać się nim. W swoim przekonaniu przygotował się znakomicie do tej rozprawy, rozważył dokładnie wszelkie pro i kontra, wyćwiczył ewentualnych świadków, kazał sobie sporządzić świadectwa i zeznania - nic go już nie mogło zaskoczyć. Ale gdy spojrzał na Kraffta, stracił jakoś pewność siebie, w oczach porucznika dojrzał iskierki zadowolenia. - Człowieku! - powiedział major Frey stentorowym głosem - o czym wy właściwie mówicie? Teraz dopiero Hochbauer zauważył, że nawet kapitan Ratshelm kręcił ostrzegawczo głową. Znowu ogarnął go niepokój. Gorączkowo szukał w myślach jakiegoś wytłumaczenia, ale na próżno - te wszystkie jego intensywne przygotowania waliły się jak domek z kart. O co tu chodzi? Był przygotowany na zdecydowany atak - a teraz ten Krafft podstawił mu podstępnie nogę. Jak bardzo wpadł, uświadomił sobie dopiero w tym momencie, gdy za jego plecami rozległ się głos podoficera: - Panna Maria Kelter, panie majorze! A więc o to chodzi, pomyślał Hochbauer i zrozpaczony usiłował się skupić. Jaki cel miał w tym Krafft? I czy to było wszystko? Co jeszcze nastąpi, czym to wszystko się skończy? Hochbauer spojrzał na Ratshelma wzrokiem błagającym o pomoc - ten jednak przyglądał się, z wyraźnym obrzydzeniem, wchodzącej dziewczynie. Maria Kelter - mała, zgrabna, strasznie zakłopotana - powolutku, drobiąc kroczyki, podchodziła bliżej, taksowana przez pięć par oczu po części z ciekawością, po części z troską. Ciemny rumieniec oblał jej wąską twarzyczkę. Major wysłał przede wszystkim z powrotem na korytarz obu podoficerów. Potem życzliwie przemówił do Marii Kelter; w jego głosie zabrzmiała nieomal ojcowska nuta. Najpierw podziękował jej za to, że przyszła, i zapewnił ją, że potrafi to docenić. Potem poprosił ją, by była mu pomocna w poszukiwaniu prawdy, przy czym zaapelował do jej szczerości. - Jednocześnie chciałbym panią zapewnić, że może pani liczyć na absolutną dyskrecję z mojej strony i oczywiście ze strony wszystkich tu obecnych. Ani jedno słowo, które tu padnie, nie przeniknie poza te mury. Czy mogę więc liczyć na pani pomoc, panno Kelter? - Tak - odpowiedziała. - Przepraszam panią - powiedział major, unosząc lekko swoje siedzenie. - Zapomniałem przedstawić się pani. Jestem major Frey, dowódca jednego z kursów w tej szkole. Może mnie pani nazywać po prostu panem majorem. - Tak, panie majorze - rzekła Maria Kelter. - A więc, panno Kelter, czy pani została napadnięta? Maria Kelter podniosła przerażone oczy i rozejrzała się wokół bezradnie. Kapitan Feders pospieszył wyjaśnić: - Napaść i gwałt to nie to samo. Pan major chciałby wiedzieć rzecz następującą: czy panią, panno Kelter, zmuszono siłą do świadczeń miłosnych, na które pani nie zgodziłaby się dobrowolnie? - TAK. - Tym samym - powiedział major namaszczonego głosem - odpowiedziała pani na pierwsze pytanie, jakie chciałem postawić. Następne pytanie. Czy był to podchorąży Hochbauer? - Tak - szepnęła Maria głosem ledwo dosłyszalnym. - To nie może być prawdą! - zawołał pobladły kapitan Ratshelm. - Powiedźcie natychmiast, Hochbauer, że to nieprawda! Ale Hochbauer zwiesił głowę. Po jego twarzy było widać, że szuka gorączkowo jakiegoś wyjścia. Musiał znaleźć wyjście! I powiedział wreszcie: - Ta sprawa da się wyjaśnić to było raczej przeoczenie, nieporozumienie. - Aha! - powiedział Feders. - Chcieliście więc zgwałcić jakąś inną dziewczynę? - Nie, to nieprawda! - zawołał Hochbauer. - A więc jednak ją? - Ależ to nie był gwałt! Kapitan Ratshelm prawie nie słyszał tych zdań; nie robiły na nim żadnego wrażenia. Jak byk stał przed nim fakt: to zrobił Hochbauer! Ten eteryczny młodzian - w okowach brudnego seksu! Ten szlachetny ideał - na najohydniejszych nizinach życia kaptanowi Ratshelmowi zawałił się świat. I człowiek, który go zdruzgotał, nazywał się Hochbauer! - Muszę jednak prosić teraz o dokładność! - zawołał major. - Jeśli wy, Hochbauer, twierdzicie, że to nie był gwałt, to jest

jednoznaczne z twierdzeniem, że panna Kelter powiedziała nieprawdę. Więc jak, panno Kelter, czy podtrzymuje pani swoje poprzednie zeznanie? - TAK, panie majorze - odparła co prawda cicho, ale wyraźnie. - To stało się wbrew mojej woli. - Hochbauer - zażądał major - proszę się wypowiedzieć w tej sprawie. - Byłem pewny - powiedział ten - że istnieje co do tego zgoda. - Panno Kelter - powiedział major - proszę na to odpowiedzieć. - Zgwałcono mnie - stwierdziła. - Czy broniła się pani? - zainteresował się major. - Tak. - Czy wołała pani o pomoc? - Nie wiem. Nie. - Dlaczego nie? - To byłoby bezcelowe. Byliśmy w parku miejskim. W pobliżu nie było ani żywej duszy. Może być zresztą, że krzyczałam, ale chyba nie bardzo głośno. - Sądzę, panie majorze - powiedział porucznik Krafft - że możemy sobie oszczędzić dalszych szczegółów. To chyba wystarczy. Moim zdaniem sprawa jest jasna. - Moim też - oświadczył Feders. - A pan, panie kapitanie Ratshelm? - zapytał dla porządku major Frey. - Ja - powiedział Ratshelm z dławiącym obrzydzeniem - uważam całą tę sprawę po prostu za wstrętną. Im szybciej ją zakończymy, tym lepiej. I Ratshelm rzucił Hochbauerowi szybkie druzgocące spojrzenie. Ten jednak nie miał na razie ani czasu, ani chęci myśleć o głębokim rozczarowaniu swego kapitana. Chodziło mu już tylko o znalezienie wyjścia - i nagle je ujrzał. Hochbauer popatrzył na Marię Kelter i powiedział pospiesznie i błagalnie: - Mario, strasznie tego wszystkiego żałuję. Nie chciałem tego. Proszę cię, wybac mi. Zapewne, zachowałem się w sposób niewybaczalny, ale jestem gotów ponieść wszystkie konsekwencje, Mario. Wszystkie. Jeszcze dziś pójde do twoich rodziców i poproszę o twoją rękę. Ale nie wolno ci mówić, że cię gwałciłem. - Korumpowanie świadków - stwierdził Feders spokojnie. I mrugnął do Kraffta. - Panie majorze - powiedział Krafft stanowczo - proszę nie pozwalać na tego rodzaju próby. Lecz Maria Kelter powiedziała szybko: - Jeśli się nad tym dobrze zastanowić, panie majorze, to może to jednak była miłość. - Tak jest - powiedział Hochbauer, widząc już, że akcje Kraffta spadają. - I ja jestem gotów ponieść wszystkie konsekwencje. Jeszcze dziś wieczorem, Mario. - Powoli, powoli! - zawołał major. Zdawało mu się, że już czas, by on wziął znowu inicjatywę w swoje ręce. W gruncie rzeczy ten punkt zwrotny był majorowi raczej na rękę: gwałt dokonany przez kogoś z jego podwładnych był haniebną plamą; zbyt szybkie przeprowadzenie rozprawy było wprawdzie ryzykowne, ale nie karalne; zaręczyny zaś rozwiązywały za jednym zamachem wszystkie problemy. Trudno o lepszy pretekst do umorzenia sprawy. Bo dlaczego niby miałby wyświadczyć przysługę oficerowi tak krnąbrnemu, jak Krafft? Powstawało więc teraz już tylko pytanie: Co zrobić, żeby jak najbezpieczniej przeprowadzić całą sprawę przez ostatni zakręt? - A więc, panno Kelter - powiedział major z ważną miną. - Najpierw pani twierdzi, że zadano pani gwałt, a potem pani twierdzi, że tak nie było. Jak pani doszła do swego ostatniego twierdzenia? - Panie majorze - powiedziała drobniutka Maria Kelter, obrzuciwszy szybkim, zaborczym spojrzeniem przystojnego Hochbauera. - Zdażyłam się tymczasem zastanowić nad tym. I uświadomiłam sobie, że wcale nie doszło do... ostateczności. A zatem to chyba nie był prawdziwy gwałt. - Nie doszło do ostateczności? - spytał major, marszcząc czoło. - Nie - odparła dziewczyna. - Właściwie nie. Najpierw to on był jak oszalały, a ja się broniłam. Ale gdy już było tak daleko, no to on po prostu nie mógł... jeśli pan rozumie... - Zamilkła. Kapitan Feders wybuchnął niepohamowanym śmiechem - trzymał się za boki i zdawało się, że lada chwila spadnie z krzesła. Cały niepokój nagle go odszedł, jak gdyby pękła jakaś tama. Reszta oficerów patrzyła na niego jak na istotę z innej planety. - Mój Boże - wołał kapitan. - Cóż to za komiczny świat! - Mam nadzieję, panie kapitanie Feders - powiedział major gniewnie - że pan się przynajmniej na tyle opanuje, by móc śledzić dalszy przebieg sprawy. Przede wszystkim, panno Kelter, dziękujemy pani za wydatną pomoc. Jest pani wolna. Maria Kelter uśmiechnęła się uprzejmie, a szczególnie uprzejmie do Hochbauera. - Czekam na ciebie! - powiedziała delikatnie, ale jednocześnie z naciskiem. Potem drobnym kroczkiem opuściła salę. - Tym samym - powiedział major - wszystko się chyba wyjaśniło. Możemy zamknąć sprawę. A może ja się mylę, Krafft? - Tak jest, panie majorze - powiedział Krafft. - Myli się pan. I jest mi bardzo przykro, ze względu na pana. Chyba że również i pan głosuje za usunięciem Hochbauera? - Jakże bym mógł, wobec nikłości przedstawionych przez pana dowodów, Krafft? - W takim razie teraz zmieni pan zdanie, panie majorze. I wśród ogólnego

napięcia Krafft wyjął z teczki cienki jak mgiełka, niebieski kawałek batysty: lekko przybrudzoną chusteczkę. I położył ją majorowi na stół w taki sposób, żeby monogram F\$F był wyraźnie widoczny. Major wytrzeszczył oczy, jak gdyby miał przed sobą zwiniętą w kłębek jadowitą żmiję. Twarz jego powoli wykrzywił grymas głupkowatego uśmiechu. Spytał głucho: - Co to ma znaczyć? - O to - powiedział Krafft bezlitośnie - powinien pan zapytać podchorążego Hochbauera, panie majorze. Chusteczka ta była w jego posiadaniu. Panu zapewne nie będzie trudno ustalić jej pochodzenie. - Co to ma znaczyć?! - ryknął major niczym zraniony zwierz. Wszyscy spojrzeli na Hochbauera. Ten był biały jak świeżo spadły śnieg. Nie był w stanie zdobyć się na żadne wyjaśnienie, a tym bardziej na jakieś wiarygodne usprawiedliwienie. - Ty świnió! - wrzasnął major, straciwszy resztki panowania nad sobą. - Ty brudny kundlu! To tyś śmiał wyciągnąć ręce po moją... moją... Precz! Precz! Zanim cię zabiję! Hochbauer odwrócił się i wyszedł ze spuszczoną głową. Zapomniał oddać honory. Ale major ciągle jeszcze patrzył na leżącą przed nim chusteczkę. Twarz jego gorzała, czerwona jak pomidor. Pozostali oficerowie taktownie patrzyli gdzieś w bok - nawet Feders. - Panie majorze - powiedział porucznik Krafft wreszcie - głosuję za usunięciem. - Ja również - rzekł Feders. - Tego rodzaju zdeprawowanych kreatur nie możemy tu tolerować - oświadczył Ratshelm głosem lekko drżącym. - On nie ma nic do roboty w naszych szeregach. Usunąć! - A pan, panie majorze? - Precz z tą świnią! - zawołał ten, jakby się nagle ocknął z głębokiego snu. - Wyrzucić na zbity pysk! I wszystkich innych też! Odejdźcie! Nie gapcie się tak na mnie! Chcę być sam! Chcę być nareszcie sam! * * * W nocy po tej rozprawie kapitan Feders i porucznik Krafft nurzali się w alkoholu i ponurych rozmowach. Przeklinali świat, który zmusza ich do mordowania. Marion i Elfrieda zaś ogarnięte były jakimś dziwnym lękiem. Tejże nocy kapitan Ratshelm pisał podanie o przeniesienie; prosił pokornie i usilnie o odkomenderowanie go na front. Również major Frey pisał, mianowicie nowy rozkaz specjalny. Zamierzał uświadomić podchorążych, czego w niektórych delikatnych sprawach wymagał obowiązek moralny. Tej samej nocy podchorąży Hochbauer doszedł do wniosku, że stracił honor, szacunek, słowem: że zmarnował karierę. I utwierdził się w przekonaniu, że jego życie straciło sens - tylko łądak mógłby chcieć żyć dalej w takich warunkach. Napisał zatem list pożegnalny, wziął karabin i zastrzelił się. 29 śmierć ma swoją cenę śmierć podchorążego Hochbauera - jak później ogłoszono - nastąpiła we wczesnych godzinach rannych dwudziestego pierwszego marca 1944 roku. Według kalendarza był to „pierwszy dzień wiosny”. Dokładny czas: piąta pięć. Miejsce - okoliczność szczególnie kłopotliwa i przykra - toalety w tylnym końcu baraku. Przebywał tu akurat w tym czasie podchorąży M-osler, jako że próbował pozbyć się męczących go od dłuższego czasu kurczy żołądkowych. I kiedy właśnie tak siedział z zamkniętymi oczami, zmęczony i na wpół śpiący, zerwał się nagle na odgłos gwałtownego huku. Relacja M-oslera brzmiała następująco: - Zerwałem się przerażony. Myślę sobie: przesłyszałem się. To brzmiało jak strzał, myślę sobie. Chyba się nic nie stało, w dodatku o tej porze. Lecę do drzwi, gwałtownie je otwieram. I wtedy go zobaczyłem. Na szczęście M-osler był, jak się później okazało, co prawda pierwszym, ale nie jedynym świadkiem tego wydarzenia. Strzał usłyszał również dyżurny podchorąży Berger. Berger wstał dopiero co, ale w przeciwieństwie do M-oslera nie był już nic a nic śpiący. Usłyszał strzał i wybiegł na korytarz, do toalety. Z tego kierunku bowiem doszedł go huk. Berger zobaczył leżącego na podłodze człowieka, oświetlonego jedynie słabą lampką nocną. Był to podchorąży w pełnym umundurowaniu. A obok niego leżał karabin. Tył głowy zabitego był jedną krwawą masą. - Wygląda na Hochbauera. Teraz dopiero przerażony Berger dostrzegł M-oslera. Musiał się pojawić na miejscu wypadku prawie w tej samej chwili. - Mój Boże! - zawołał przerażony Berger. - Co to ma znaczyć? M-osler nic nie powiedział. Ukłąkł i zaczął się przyglądać leżącemu, nie dotykając go jednak. Potem podniósł głowę i powiedział: - Koniec. - Nie żyje! - zawołał Berger, rozglądając się bezradnie jak zaszczute zwierzę. - To przecież niemożliwe! Co teraz będzie? Co ja mam robić? - Przede wszystkim zamknij gębę - powiedział M-osler - bo tym wrzaskiem zaalarmujesz całą grupę. Najlepiej zawiadom od razu porucznika Kraffta. - Tak! - zawołał Berger. - Tak będzie najlepiej. Ale było już za późno. Strzał i wrzask dyżurnego zbudziły również innych

podchorążych. Zlecieli się do toalety całą gromadą. Z zaspanymi jeszcze oczyma, z wyrazem tępoty i zaskoczenia na twarzy obstąpili zwłoki. M~osler zwrócił się do Bergera ze słowami: - Musisz natychmiast zamknąć to pomieszczenie, przynajmniej na pewien czas, dopóki nie otrzymasz innego rozkazu od dowódcy grupy. - Ależ co ja mam robić?! - zawołał Berger bezradnie. - Nie mogę przecież jednocześnie tu uważać i zawiadamiać porucznika Kraffta! - Rozejdźcie się, ludzie, nie stójcie tu jak słupy soli! - powiedział Kramer, który nareszcie też się zjawił. Przepchnął się do przodu, aby lepiej widzieć. A od tego, co zobaczył, krew mu odpłynęła z twarzy. Jednakże nawet w tej sytuacji Kramer pozostał solidnym starszym sierżantem. Przejął natychmiast komendę i zarządził: - Wszyscy opuszczają toaletę. Berger, ty stajesz na warcie przy drzwiach. M~osler, ty zawiadomisz porucznika Kraffta. Ja sam tymczasem będę stał tu na straży. - A jak długo to tu ma trwać? - zapytało lękliwie kilku podchorążych, wycofując się do korytarza. Kiedy pojawił się porucznik Krafft, ubrany tylko w stary płaszcz kąpielowy w biało_niebieskie pasy, bardzo blady i ze zmęczoną, jakby skamieniałą twarzą, zrobili mu milcząco przejście. W toalecie stał podchorąży Kramer. Wyprężył się na baczność i zameldował: - Wypadek nadzwyczajny, panie poruczniku. Podchorąży Hochbauer zastrzelony. Krótko po godzinie piątej. Krafft sztywnym krokiem podszedł do zwłok. Nachylił się nad nimi i patrzył na nie przez kilka sekund. Gdy wyprostował się, jego twarz wydawała się jeszcze bledsza niż przedtem. - Prawdopodobnie samobójstwo - powiedział Kramer. Krafft kiwnął ledwo dostrzegalnie głową, bez słowa. - Zwykłym sposobem chyba, sądząc po wyglądzie - zaczął wyjaśniać Kramer, najwyraźniej mało tym przejęty. Był zdecydowany zachować i tu całkowite opanowanie i pokazać, że dorasta do każdej sytuacji. - ładuje się karabin, a potem napełnia się lufę wodą; lufę wsadza się do ust i palcami od nóg naciska się na spust. Murowana sprawa. Działa stuprocentowo, i to w mig. - Płachtę namiotową - powiedział Krafft. Kramer przekazał rozkaz dalej. - Berger, natychmiast płachtę namiotową! - Ależ płachta namiotowa będzie mi potrzebna! - wyjąkał Berger, widząc, że jego czystej i dobrze utrzymanej części wyposażenia grozi niebezpieczeństwo. - Mamy dziś przecież zajęcia w terenie. - No to weź płachtę Hochbauera, człowieku! - zawołał Kramer, niezadowolony z tak skandalicznego braku orientacji. Berger znikł. Na jego miejsce wepchnęli się natychmiast inni podchorążowie. Amfortas powiedział stłumionym głosem: - Kto wie, czy to w ogóle było samobójstwo, skoro, jak mówią, był przy tym ten M~osler. M~osler natychmiast rzucił się na Amfortasa, ale Rednitz powstrzymał go. - Tylko bez nerw - rzekł Rednitz - jeden trup na razie wystarczy. Jakoś to wszystko będzie. Tymczasem Berger wrócił z płachtą namiotową - wziął jednak swoją. Przypomniał sobie bowiem, że płachta Hochbauera była znacznie lepsza gatunkowo - weźmie ją sobie potem. Pospieszenie nakrył zmarłego i zameldował: - Rozkaz wykonany! - Kramer - rozkazał Krafft - zawiadomcie natychmiast wszystkich zainteresowanych oficerów, podając im do wiadomości tylko tyle: grupa szkolna Heinrich, Krótko po piątej, samobójstwo podchorążego Hochbauera. Poślijcie gońców do wykładowcy taktyki, do dowódcy oddziału, do dowódcy kursu. Komendanta szkoły i oficera dochodzeniowego zawiadomię sam. To pomieszczenie na razie trzeba zamknąć i postawić tu kogoś na straży. Nikt nie ma prawa wejść podczas mojej nieobecności. Jeśli nie zostaną wydane inne rozkazy, zajęcia odbędą się zgodnie z rozkładem. Rozejść się! Krafft poszedł do umywalni, wziął zimny prysznic, ogolił się, wrócił do swego pokoju i szybko się ubrał. Następnie spróbował połączyć się telefonicznie z generałem. Zgłosił się jednak tylko porucznik Bieringer. Zakomunikował, że generała nie będzie dziś całe przedpołudnie. „Jest w W~urzburgu na odprawie.” - To ważna sprawa! - powiedział Krafft w telefon. - Generała trzeba koniecznie zawiadomić. - Ale proszę pana - powiedział adiutant jowialnie. - Takie samobójstwo zdarza się co parę miesięcy, drogi Krafft, to nic nadzwyczajnego. Nie ma się co denerwować. Przyślę panu kapitana Schulza, oficera dochodzeniowego. On to załatwi. * * * Pierwszym oficerem, który zjawił się na miejscu wypadku, był kapitan Feders. Przybiegł bardzo prędko i już z daleka wołał do Kraffta: - Czy to prawda, czy to tylko jakiś manewr pozorowany z pana strony, Krafft? - Niestety nie - powiedział porucznik, i kazał dyżurnemu podchorążemu otworzyć drzwi. Feders szybkim spojrzeniem obrzucił toaletę. Potem

powiedział do Krafft: - świństwo! - Można by też znaleźć inne określenie na to - rzekł Krafft. - Ale chyba nie: sprawiedliwość? Mój drogi Krafft, tego panu nikt nie odbierze! A więc, na miejsca! Płaczki nadchodzą. Przyszli major Frey i kapitan Ratshelm. Wbrew dyscyplinie dowódca oddziału wyprzedzał dowódcę kursu o dwa kroki. Frey podążał za nim z wyraźnym trudem - kroczył ze sztywną godnością za rozjuszonym mścicielem. - To nie powinno się było stać! - orzekł major Frey. - To ohyda, zupełna ohyda! - Kręcił skonsternowany głową. Ale kapitan Ratshelm ominął majora i podszedł do Hochbauera. Zatrzymał się tuż przy nim i przyglądał się mu przez kilka sekund. Na jego twarzy malował się ból, ręce zwisały mu wzdłuż ciała - ale ręce te były zaciśnięte w pięści. Powoli podniósł oczy, rozglądając się za Krafftem. I powiedział jak przez filtr z waty, głucho, ale wyraźnie: - Pan jeden jest winien jego śmierci. Pan ma tego człowieka na sumieniu! - Przestań pan tu grać komedię - powiedział Feders szorstko i postąpił do przodu, spychając Krafft na tylny plan. - Co to za ton, kolego! - Mogę udowodnić to, co mówię! - oświadczył Ratshelm z ponurą groźbą w głosie. - Tu zabito człowieka. Ktoś musi za to zapłacić. - Człowieku - rzekł kapitan Feders głosem ostrym i donośnym - facet wyekspediował się sam na tamten świat, i to w gruncie rzeczy jego osobista sprawa. Oto, ile są warci ci pańscy wspaniali bohaterowie! Jarmarczni krzykacze, nadymający się jak żaby - ale kiedy sytuacja robi się poważna, wieją, wieją aż na tamten świat. - Pan lży nieboszczyka! - rzekł Ratshelm. - Bzdury! - zawołał Feders wojowniczo. - Usiłuję tylko przemówić do rozsądku żywemu. - Panowie - zawołał major Frey - panowie, proszę was! Dowódca kursu uważał, że czas przerwać tę przykrą kłótnię - zwłaszcza że słuchali jej podchorążowie, posterunek przy drzwiach i uwijający się wszędzie naokoło starsi grup szkolnych. - Panowie - powiedział Frey, kiedy się już trochę uspokoiło - rozumiem wasze wzburzenie. Również i mnie obszedł mocno ten bolesny wypadek, bo w końcu ja tu jestem dowódcą. Ale z tego nie wynika jeszcze, że nie powinien i tu panować spokój i rzeczowość. I dlatego proszę pana, kapitanie Ratshelm, miarkuj się pan i nie wypowiadaj tu nie udowodnionych przypuszczeń, zwłaszcza że wydaje mi się bardzo wątpliwe, aby można je było w ogóle udowodnić. Pana natomiast, kapitanie Feders, proszę o większą ostrożność w sformułowaniach, bo przecież nie jesteście tu panowie sami. - W każdym razie żądam sprawiedliwości - upierał się Ratshelm. Kapitan Feders ruszył ponownie do ataku. - Ma pan chyba jakąś id~ee fixe, Ratshelm. Człowieka, który ma zadatki na samobójcę, nie można od popełnienia samobójstwa powstrzymać. Bezpośrednia przyczyna może być całkiem nikła, wystarczy nagła depresja, brak pary skarpetek czy usunięcie ze szkoły. - Jego systematycznie wykańczano moralnie! I to Krafft go wykańczał! - Pan przecież też się do tego przyczynił, Ratshelm. - Panowie - wtrącił się major - tego rodzaju spekulacje do niczego nie prowadzą. Tu trzeba brać pod uwagę fakty. A faktem niezbitym jest samobójstwo. Jakie były tego przyczyny, to sprawa drugorzędna, pod tym względem zgadzam się zupełnie z kapitanem Federsem: Istnieją tysiące możliwości. I nie chcę, żeby czyjeś uprzedzenia prowadziły do spekulacji w jednym określonym kierunku. Czy pan mnie zrozumiał, panie kapitanie Ratshelm? RAtshelm ośmielił się nie odpowiedzieć na to. Był zdrętwiały i nieprzystępny. - A pan, panie poruczniku Krafft - zapytał major - czy pan też może oniemiał? A więc, co pan o tym sądzi? - Nic - odparł Krafft. - No - wykrztusił Frey - miejmy nadzieję, że oficer dochodzeniowy zaraz tu będzie. * * * Oficer dochodzeniowy zjawił się dość prędko: kapitan Schulz, przydzielony do komendy szkoły w zasadzie jako oficer do zleceń, a w rzeczywistości dziewczyna do wszystkiego, w tym i „oficer dochodzeniowy”. Kapitan Schulz był z zawodu rolnikiem. Był to mężczyzna średniego wzrostu, przysadzisty, z twarzą jak kartofel i spokojnymi ruchami niewzruszonego woźnicy. Miał zwyczaj wietrzyć nosem jak pies myśliwski. Nie miało to co prawda specjalnego znaczenia, ale nie odbywało się nigdy tak zupełnie bezszmerowo, bo Schulz był prawie zawsze zakatarzony - tylko w obecności generała nie. Schulz wszedł zamaszystym krokiem do toalety i rozejrzał się, węsząc. Najpierw zwrócił się do Ratsheolma i powiedział przyjaźnie: - Proszę zejść z pola ostrzału. Nie wrósł pan chyba w ziemię? RAtshelm posłusznie odszedł na bok. Schulz przysunął się jeszcze bliżej, obejrzał dokładnie zwłoki i cały lokal i spytał: - Jak długo on już tu leży? - Blisko trzy godziny - odparł Krafft. - Dlaczego właściwie? - spytał Schulz zdumiony. - Chcecie, żeby tu

przezimował? - Myśleliśmy - odparł Krafft, z kolei sam teraz zdumiony - że musi odbyć się najpierw szczegółowe śledztwo. - Dlaczego? - spytał Schulz, kręcąc z niezadowoleniem swą kartoflowatą głową. - Po co tak komplikować sprawę? FACet nie żyje, to przecież jasne. Dlaczego ma tu leżeć godzinami? Tamuje tylko ruch w toalecie. Frey usiłował w godny sposób przybrać lodowaty wyraz twarzy. Feders rechotał. Krafft nie potrafił opanować zdumienia z powodu aż takiej dawki nieoczekiwanej równowagi ducha. A podchorążowie przy drzwiach potraktowali to jako ponadplanową specjalną lekcję poglądową. Tylko kapitan Ratshelm był oburzony i nie omieszkał tego zamaniifestować. - Zapewne zechce pan spisać protokół. - Ależ oczywiście - zgodził się z tym Schulz natychmiast. - To jest nieuniknione. Ale na to będzie czas później, powiedzmy w ciągu dnia, jeśli panom tak się spieszy. - A wyjaśnienie winy? - wiercił mu zawzięcie dziurę w brzuchu Ratshelm. - Winy? - Oficer dochodzeniowy nie potrafił ukryć swego zdziwienia. - A to co znowu? To przecież jest niewątpliwe samobójstwo. Tym samym wszystko jest jasne. A może znaleziono coś w rodzaju listu pożegnalnego, z jakimiś bliższymi danymi? - Nie ma listu pożegnalnego ani nic w tym rodzaju - powiedział jasny głos od drzwi. Stał tam podchorąży Rednitz. I mrugał do Kraffta. - Tym lepiej - rzekł kapitan Schulz. Wszystkie reakcje obecnych przyjmował z cierpliwą wielkodusznością. - Te tak zwane listy pożegnalne często komplikują tylko sprawę. A i tak nikt nie bierze ich poważnie. Zwykle jest to takie sobie gadanie, pisane w stanie, którego nie można uznać za normalny. Zwyczajne wprowadzanie w błąd! świadome podawanie nieprawdy, i do tego jeszcze przesada. Funta kłaków nawet niewarte. Jestem zadowolony, jeśli nie widzę czegoś takiego na oczy. Ratshelm jednak nie rezygnował. - Ale to panu przecież nie może przeszkodzić w poszukiwaniu przyczyn, które doprowadziły do tego samobójstwa. - Panie kapitanie Ratshelm - powiedział major surowo - jestem zdania, że powinniśmy respektować metody pana kapitana Schulza. Zdaje mi się, że on się zna na swoim fachu. Kapitan Schulz machnął lekceważąco ręką i powiedział: - Wszystko rutyna. Kwestia doświadczenia. To już moje piąte samobójstwo. Znam to na pamięć. A podstawowa prawda jest taka: choćby nie wiadomo jak się starać i stawać na głowie, prawie nigdy nie dojdzie się prawdziwych przyczyn, które doprowadziły do samobójstwa. Po co więc niepotrzebnie zawracać sobie głowę? Proszę kazać sprzątnąć zwłoki i zrobić trumnę. To miejsce zaś najlepiej posypać piaskiem, potem wyszorować i oblać lizolem. Całą wojnę papierkową załatwi się w komendzie w ciągu jednego dnia. Jeszcze coś, panie majorze? - Nie, dziękuję, panie kapitanie. - Frey odetchnął z ulgą. Wyprowadził oficera dochodzeniowego na dwór. POSzli w kierunku kasyna. Feders zaś powiedział do Ratshelma: - Bądź pan rozsądny, mój drogi, idź pan do domu, uspokój się pan i nie rób głupstw. - Spełnię swój obowiązek! - powiedział Ratshelm sztywno. I kiedy wynoszono zmarłego, podążył uroczyście za nim. _____ Część II (c.d.) 29 śmierć ma swoją cenę (c.d.) * * * - No, Krafft - spytał Feders zatroskany - ma pan kaca? - Cóż to za ludzie! - powiedział Krafft przygnębiony. - To ludzie, dla których prowadzimy tę wojnę. - Umrzeć! - powiedział Krafft. - Co to ma za znaczenie! O wiele trudniej jest uczciwie żyć niż uczciwie umrzeć. A umrzeć nieuczciwie to podłość wobec żyjących. - Te draby wrzeszczały zawsze „Niemcy, zbudźcie się!” - rzekł Feders. - Dziś ja już wiem, jak to się właściwie powinno nazywać: Niemcy, zdychajcie! Ale spróbuj pan to wytłumaczyć naszym zacnym oficerom. Na sam dźwięk wielkich słów rozum ich spowija automatycznie mgła. Czy pan się da złapać, Krafft? - Mnie trzeba zabić, Feders, inaczej nie umrę. - Jacy myśmy się zrobili skromni - powiedział Feders ze zmęczonym uśmiechem i położył rękę na ramieniu przyjaciela. Potem wyszedł, posmutniały. Przedpołudnie mijało jakoś bez sensacji. Krafft pomaszerował ze swoją grupą szkolną w teren i ćwiczył zgodnie z planem: Użycie grupy szturmowej rejonu umocnionego do rozpoznania walką. Grupa odwalala swoje zadanie z należytą rzeczowością. Ale wszystko przebiegało dosyć bezbarwnie - bez wesołych powiedzonek, bez mądrzenia się, bez rozweselających incydentów. Nagle zrobiło się tak, jak było we wszystkich innych grupach szkolnych. O Hochbauerze - w każdym razie oficjalnie - nie mówiono; nie żył. A o jego śmierci nikt nie miał ochoty mówić. Krafft dał tego przedpołudnia swojej grupie daleko idącą swobodę. Nie kierował i nie kontrolował, zaobserwował tylko, że na przerwach skupiała się wokół

Rednitzer gromadka znacznie liczniejsza niż zwykle: owce pozostawione same sobie szukały nowego barana-przewodnika. I Rednitzer przejął tę funkcję bardzo zręcznie. - Zanim Krafft zarządził powrót do koszar, zawołał Rednitzera do siebie i powiedział: - Skąd wiecie, Rednitzerze, że podchorąży Hochbauer nie pozostawił żadnego listu pożegnalnego? - Bo go szukałem, panie poruczniku - odparł Rednitzer szczerze. - Natychmiast po katastrofie. Od razu o tym pomyślałem. Hochbauer ubóstwiał pisać. - I twierdzą, Rednitzerze, żeście niczego nie znaleźli? - Tak jest, panie poruczniku, tak twierdzą. Krafft spojrział mu prosto w oczy. I podchorąży się uśmiechnął - był to uśmiech pełen serdeczności i sympatii. I w tym momencie ogarnęło Kraffta uczucie, że właściwie wszystko jest bardzo proste i samo przez się zrozumiałe. I nie jest już daremne. Cokolwiek się zdarzy. * * * - Opowiadaj pan - rzekł generał, zaledwie Krafft wszedł do pokoju. - Wróciłem w tej chwili z W~urzburga. Chcę wiedzieć, co tu się stało. Stali naprzeciw siebie. Krafft opowiadał, a generał słuchał bez słowa. Dopiero gdy porucznik skończył, generał Modersohn powiedział: - Siadajmy, Krafft. - Jego głos brzmiał niezwykle cicho, prawie nieśmiało. - Krafft - rzekł generał, kiedy usiedli - to nie jest rozwiązanie, jakiego od pana oczekiwałem. - Ale jednak rozwiązanie. - Nie - powiedział generał stanowczo - ja chciałem, żeby został oddany w ręce sprawiedliwości. A pan doprowadził go do samobójstwa. To nie jest kara. To wybieg, ucieczka, oszustwo. - Panie generale - powiedział Krafft, ciągle jeszcze z szacunkiem, ale bez uległości, nawet bez jakiegoś większego respektu dla dyscypliny - podchorąży Hochbauer przyznał mi się, mnie samemu, że wysadził podporucznika Barkowa w powietrze. Ale to się nie da udowodnić. - To przyznanie się do winy musiałoby wystarczyć, Krafft, jeśli nie było innej możliwości zdobycia dowodów przeciwko niemu. - Przyznanie się do winy, panie generale, nigdy nie wystarcza, jak wiemy z doświadczenia, tym bardziej gdy chodzi o, że tak powiem, wyznanie prywatne, bez świadków, bez protokołu. Kiedy staje zeznanie przeciwko zeznaniu, ważni są zeznający. A w danym wypadku porucznik o skromnym pochodzeniu stanąłby naprzeciw podchorążego, który zachowywał się tak, jakby miał monopol na cały narodowy socjalizm, i którego ojciec jest komendantem twierdzy SS. - To wszystko nie powinno się liczyć - powiedział generał sztywno. - Jesteśmy przecież żołnierzami, niczym innym. - Właśnie to, panie generale, nie jest prawdą. Wojsko nie jest już tym, czym było lub czym miało być za czasów pruskiej chwały. żołnierz jako gwarancja czystości i ładu, prawa i wolności to dzisiaj już tylko bajka. Ludzie tacy jak Hochbauer unaoczniają to aż nadto wyraźnie. żołnierz w służbie ideologii - oto co się zrobiło z tego, co niegdyś nazywano duchem żołnierskim. Dzisiaj trzeba być albo hitlerowcem, albo antyhitlerowcem, trzeciej możliwości nie ma. Generał długi czas nic nie mówił. Tylko oczy jego patrzyły smutno. Był to smutek bez bólu - płynący z wiedzy i zrozumienia. Krafft był przygotowany na to, że generał da mu naganę, i że zrobi to w ów zimny, celny sposób, jaki był mu właściwy. Ale usłyszał tylko jedno jedyne słowo. - alej! - Kiedy mam do czynienia z silniejszym przeciwnikiem, panie generale, który myśli i działa inaczej niż ja, który pochodzi z innego świata i z którym nie mam nic wspólnego poza językiem, muszę próbować pokonać go jego własnymi metodami. Nie mam przecież innego wyboru. - A skutek, Krafft, pana zdaniem, dowodzi, iż ma pan rację? - Przeceniałem tych ludzi. Są bardziej chwiejni, niż sądziłem. Iyją między dwiema skrajnościami, między zbrodnią i tchórzostwem, tylko że oni to inaczej nazywają. Jedno nazywają posłuszeństwem, a drugie poświęceniem. Wysadzili w powietrze podporucznika Barkowa. I są gotowi sprzątnąć każdego innego, tak jak to zawsze robili i nadal robią. Ale gdy mają za to odpowiadać, okazuje się, że są potencjalnymi samobójcami. Są zdolni do wielkich rzeczy tak długo, dopóki podtrzymuje ich na duchu ten ich bzik; są wówczas radością dla fachowców, zapatrzonych tylko w swoją specjalność i w nic więcej, i są rozkoszą dla marzycieli i fantastów typu Ratschela. Za ich to przyczyną wszystko, co można by jeszcze nazwać Niemcami, schodzi na psy. Generał nie patrzył Krafftowi w oczy; wyglądało nawet na to, że ich unika. - POstawione mi przez pana zadanie, panie generale, uważam za załatwione. Zabójca zabił się sam. Nie zmierzałem do tego, ale teraz, kiedy to się już stało, przyjmuję to - to jest jakieś rozwiązanie. Któż bowiem może wiedzieć, jak mełłyby młyny sprawiedliwości? - A ja, Krafft, czy sądzi pan, że mogę tak po prostu umyć teraz od tego ręce? - Panie generale - powiedział Krafft z mocą - pan

sobie rąk nie zabrudził. Powierzył mi pan funkcję sędziego śledczego, a ja jeszcze zostałem mimo woli katem. To, co się stało, jest jedynie moją sprawą, i ja nie mam zamiaru zwałać z siebie odpowiedzialności. Dlaczego miałbym to zrobić? Panie generale, jeżeli to, co my tu wyrabiamy, co się wokół nas dzieje, jeżeli to ma być czystym, uczciwym, nie skażonym duchem żołnierskim, to jest to świat, którego ja nie rozumiem. Jest bezwartościowy i zakłamany. Wylęgarnia tchórzy, lokajów i brutali bez sumienia. Jest to świat, od którego rzygać mi się chce. Dla takiego świata nie warto żyć! Generał Modersohn wstał. Nagle i pośpiesznie. POdszedł do okna i zapatrzył się w szybę - smukła, kanciasta sylwetka na tle jaskrawej poświaty śniegu i zimowego słońca. Długi czas milczał. POtem odwrócił się do Kraffta, tak samo raptownie, jak przedtem wstał. I powiedział: - A więc uparł się pan ponieść do końca wszystkie konsekwencje. No cóż, będzie, jak pan chce! I teraz generał szybko podszedł do biurka. Wziął do ręki podłużny pas papieru i podał go Krafftowi ze słowami: - Przeczytaj pan to. Telegram ten nadszedł pół godziny temu. Krafft wziął z jego rąk pismo i przeczytał: „Inspektor Szkół Wojennych do Komendanta Szkoły Wojennej nr 5 Przejmuję dochodzenie odnośnie śmierci Hochbauera. Miejscowe dochodzenia zawiesić do momentu przybycia naszego pełnomocnika, sędziego wyższego sądu wojennego Wirrmanna. Temuż udzielić wszelkiej żądanej pomocy. Sędzia sądu wojennego Wirrmann już w drodze. podpis: Inspektor Szkół Wojennych” - A niech przyjeżdża! - powiedział Krafft. 30 Zaczyna się polowanie z nagonką Sędzia wyższego sądu wojennego Wirrmann przybył jeszcze tego samego dnia, w późnych godzinach popołudniowych. Zaledwie przestąpił próg szkoły wojennej, a już zaczął węszyć jak pies gończy. Wirrmann naturalnie wiedział, co wypada: zameldował się bezzwłocznie u generała Modersohna. Nie musiał zbyt długo czekać na przyjęcie, bo generał go przecież oczekiwał. Wirrmann nienagannie, według wszelkich prawideł dyscypliny, wyprężył się na baczność i zameldował się. Starał się przy tym być rzeczowy. Zmierzał do wywołania pozorów, że przyjechał tu tylko dla załatwienia zupełnie normalnej sprawy. Modersohn spytał: - Dlaczego przyjechał pan osobiście, i skąd ten pośpiech? - Bądź co bądź - powiedział Wirrmann wymijająco - chodzi tu o przypadek niecodzienny. - TEgo nie może pan przecież z góry wiedzieć. Jeśli jednak pozwala pan sobie na sąd w tej sprawie, to może to mieć tylko dwie przyczyny: albo przeprowadzono jakieś wstępne śledztwo, albo ma pan jakieś uprzedzenia. Pierwsze nie miało miejsca, a drugie nie powinno mieć miejsca. Nie odpowiedział pan zresztą na moje pytanie, panie sędzio. - Panie generale - rzekł Wirrmann, którego szaroblada cera stopniowo nabierała czerwonej barwy - pozwałam sobie wskazać na to, że ja nie podlegam szkole wojennej. Jestem jedynie zdany na współpracę. - Jak należy rozumieć tę współpracę, panie Wirrmann, o tym w moim zakresie działania decyduję ja sam. Zarządzam, żeby mi pan codziennie składał sprawozdanie, począwszy od jutra. W jakiej porze, jeszcze pana zawiadomię. To na razie wszystko, panie sędzio. Wirrmann pośpiesznie opuścił generała i budynek komendy szkoły. Ale wściekłość jego na Modersohna była zimna i wielka. Upokorzenia, na które go raz po raz ten zatwardziały reakcjonista narażał, pleniły się w sercu Wirrmanna jak chwasty w cieplarni. * * * Również i tym razem Wirrmann, jak zwykle, zakwaterował się w budynku gościnnym. Ale zaledwie wszedł do przydzielonego mu pokoju i rzucił na łóżko teczkę i walizkę, zaraz przypiął się do telefonu. Najpierw zadzwonił do kapitana Katera, potem do kapitana Ratshelma. Obu panów zaprosił do siebie. Kater, który miał krótszą drogę do budynku gościnnego, zjawił się pierwszy. Przywitał Wirrmanna z wyciągniętymi ramionami: - Nareszcie! - zawołał uszczęśliwiony. Sędzia potrząsnął jego dłońmi. - Sądzę, mój drogi - powiedział - że nadszedł czas. W każdym razie dziękuję panu za tak szybkie zawiadomienie mnie. - Ależ proszę pana! To był przecież mój obowiązek. - Gdyby mi pan nie zwrócił uwagi, drogi Kater - powiedział sędzia łaskawie - przeoczyłbym może ten decydujący fakt, przynajmniej w danej chwili. Bo o samobójstwie tym wspomniano tylko w dzisiejszych bieżących meldunkach, wysyłanych stąd codziennie w każde południe komendantowi szkół wojennych, i była to wzmianka bez żadnych bliższych szczegółów. Ale pański telefon zaalarmował mnie, i oto jestem. - Sądzi pan, że z tym można będzie już coś począć? - Mówiąc między nami, mój drogi, myśmy już zaczęli coś robić. Rozmawiałem przed chwilą z generałem, i teraz już tak całkiem między nami, Kater: nie

podobała mi się ta rozmowa. Powiem tylko tyle: typowa reakcja człowieka, który chce coś ukryć. Ale nie przede mną! Nie chwaląc się, mogę powiedzieć, że to się jeszcze nikomu nie udało. - No tak, oczywiście, ale nie wolno nie doceniać Modersohna. - Mój drogi, równie dobrze mógłbym powiedzieć: nie radziłbym nikomu nie doceniać mnie. Ale zostawmy to. Do rzeczy! Jak pańskim zdaniem sprawa się przedstawia? - No cóż - powiedział Kater spokojnie - najważniejsze powiedziałem panu już przez telefon: ten biedny podchorąży został zaszczytnie na śmierć przez porucznika Kraffta. A rzecz decydująca: Krafft to szczególnie protegowany faworyt generała. - To brzmi nieźle - rzekł Wirrmann zamyślony - to brzmi nawet bardzo wiarygodnie. Ale jeśli to jest tylko z pańskiej strony przypuszczenie, to daleko z tym nie zajedziemy. - To nie jest przypuszczenie - powiedział Kater zadowolony. - Tak twierdzi kapitan Ratshelm. - To już brzmi znacznie lepiej. Rozmawiałem jednak telefonicznie przed moim przyjazdem również z kapitanem Ratshelmem. Był niezwykle wzburzony, jest jak najbardziej za przeprowadzeniem śledztwa przez sąd wojenny, jednakże nie powiedział mi, że Krafft ponosi winę za śmierć Hochbauera. Co będzie, jeśli się wyprze, że kiedykolwiek coś takiego twierdził? - To wykluczone. Kapitan Ratshelm wypowiedział bowiem te słowa nie tylko w mojej obecności, ale, że tak powiem, publicznie: na miejscu wypadku, w obecności trzech oficerów i kilku podchorążych. Obwinił Kraffta wprost i całkiem jednoznacznie. Tego już nie da się cofnąć. - No - powiedział sędzia wyższego sądu wojennego niezwykle zadowolony - jeśli to tak, to kapitan Ratshelm będzie musiał podtrzymać swoje stanowisko. Choćby tam nie wiem co! * * * Kapitan Ratshelm zjawił się zaledwie w chwili późniejszej. Zareagował sztywno na serdeczne powitanie Wirrmanna, wykazywał jednak od samego początku zainteresowanie i był skory do pomocy. - Nie uwierzy pan - powiedział Wirrmann - jak bardzo się cieszę, że mogę liczyć na pańską cenną współpracę. Podczas wygłaszania ogólnikowych nie obowiązujących frazesów, przeważnie przez sędziego wyższego sądu wojennego, Kater na swój wypróbowany sposób zdążył zatroszczyć się o przyjemną atmosferę: wyczarował ze swojej teczki butelkę „Steinhagera” i skrzyneczkę cagar. Obie sprezentował „drogiemu, serdecznie witanemu gościowi” - ale obie od razu otworzył. PO krótkim, spełnionym wśród wzajemnych uprzejmości toaście Wirrmann natychmiast przystąpił „do rzeczy”. Skinął serdecznie głową kapitanowi Ratshelmowi i powiedział: - Pan jest więc, że tak powiem, moim koronnym świadkiem, szanowny panie. - Ja? - spytał Ratshelm wyraźnie speszony. - Jak ja mam to rozumieć? - Całkiem po prostu - odparł sędzia przyjaźnie. - Pan stworzył przesłanki dla mojego śledztwa, tej zasługi nikt panu nie odbierze. - Czy mogę zapytać, o czym pan w ogóle mówi? - Mój drogi, nie chowaj pan prawdy pod korcem. Pan rzucił porucznikowi Krafftowi w twarz oskarżenie, poniekąd publicznie. To był czyn decydujący: niejako sygnał dla mnie, żebyśmy ruszyli do ataku. Pozostaje panu teraz tylko udowodnić swoje twierdzenie. To wszystko. - Bardzo pana przepraszam - powiedział kapitan, wierząc się niespokojnie na krześle - ale to musi być jakieś nieporozumienie. Jestem oczywiście gotów udzielić panu wszelkiego poparcia, jakiego pan sobie tylko życzy, ale z wyznaczenia mi roli świadka musi pan zrezygnować. - Wykluczone, mój drogi - rzekł Wirrmann, ciągle jeszcze stosunkowo dobronudnie. - W żadnym razie nie mogę zrezygnować z pańskiego zeznania. Na nim opiera się cała nasza racja. Tu chodzi przecież wyłącznie o sprawiedliwość, łaskawco, nie wolno panu umywać rąk od tego. - Mam swoje powody - powiedział Ratshelm. - A mianowicie? - łałuję, ale nie mogę ich ujawnić. Wirrmann niezadowolony zmarszczył czoło. Jego świdrujące oczy zwięziły się. Potem rzucił Katerowi karcące i rozkazujące spojrzenie. Kater dobrze to spojrzenie zrozumiał. Pospieszył więc zapełnić powstałą w śledztwie lukę, bo przecież chodziło o sprawę leżącą mu na sercu. I powiedział przeciągle: - Sądzę, że rozumiem naszego przyjaciela Ratshelma. Jemu się w tej chwili wydaje, że musi wybrać między obowiązkiem a honorem. - Aha! - rzekł Wirrmann; znać jednak było wyraźnie, że jeszcze nie rozumie, o co chodzi. - Proszę dalej. - TAK - kręcił Kater - zdaje mi się, że wiem, gdzie tu jest pies pogrzebany. Przy całej przyjaźni, drogi Ratshelm, pozwól mi pan mówić otwarcie. A więc: nasz przyjaciel obawia się, i nie bez podstaw, że gdyby był zmuszony do oficjalnych zeznań, mógłby zostać zamieszany w całą tę sprawę w przykry sposób. Porucznik Krafft jest jego jawnym wrogiem. I nie zawaha się rzucić

najnikczemniejszego nawet oszczerstwa na Ratshelma, jeśli ten publicznie przeciw niemu wystąpi.

- Tak jest - potwierdził dowódca oddziału ponuro. - No to powiedz pan szczerze - zażądał sędzia, który domyślał się już, gdzie leży punkt zapalny całej sprawy - co pan przeszkobał? - Nic.

Oczywiście nic. - A co, pańskim zdaniem, mógłby panu zarzucić porucznik Krafft? Ratshelm milczał, przepelnięty po brzegi wstydem, trzymał się jednak wzorowo. Kapitan Kater znowu czuł się zmuszony interweniować. Tym razem nie owijał już rzeczy w bawełnę i mówił zupełnie wyraźnie, bo nie chciał zanadto odwlekać momentu swej satysfakcji. - Bądźmy szczerzy. Ten Krafft twierdzi po prostu, że naszego przyjaciela Ratshelma łączyły z podchorążym Hochbauerem stosunki nienaturalne, homoseksualne, mówiąc zupełnie otwarcie. - Psiakrew! - zawołał Wirrmann. Na kilka sekund stracił zupełnie panowanie nad sobą: mały nerwowy człowieczek z twarzą bezgranicznie przerażoną: - Do stu tysięcy diabłów! Tylko tego nam jeszcze brakowało! Sędzia wyższego sądu wojennego zerwał się z krzesła i zaczął malutkimi, pospieszными krokami chodzić po pokoju. Kapitan Ratshelm przyglądał mu się przez chwilę, a potem spytał wzburzony: - Pan chyba nie wierzy w moją winę? Wirrmann rzucił się na to jak pies na kość. Dopadł kapitana i spytał: - Co ja tu słyszę? Pan nie jest winny? - Oczywiście, że nie! - oświadczył Ratshelm sztywno. - Ależ to znakomite! - zawołał Wirrmann, który natychmiast zaczął wiązać sobie różne rzeczy w nowe ciągi logiczne, zupełnie jakby splatał liny konopne. - To się świetnie składa! - zapewnił Ratshelma. - A więc wyssane z palca oszczerstwo, nawet więcej: obraza honoru, bezpodstawne obwinienie, które jest karane więzieniem. Jeszcze jeden gwóźdź do trumny tego Kraffta! - Kosztem mego prestiżu, mego honoru! - Powoli - rzekł Wirrmann, splatając dłonie. - Tylko powoli! Ten punkt trzeba dokładnie przemyśleć. Nie możemy sobie tu pozwolić na najmniejszy nawet błąd. Usiadł i przysunął sobie krzesło bliżej do Ratshelma. Odmówił pokrzepiającego łyku z butelki „Steinh~agera” - chciał mieć trzeźwą głowę. - Musi mi pan odpowiedzieć na parę pytań, szanowny panie Ratshelm. Przede wszystkim: czy istnieją świadkowie? - Na co? - Ależ mój drogi! - zawołał Wirrmann lekko poirytowany. - Tu może pomóc tylko całkowita szczerzość! A więc: czy istnieją naoczni świadkowie nienaturalnych stosunków pana z podchorążym Hochbauerem? - Oczywiście, że nie! - zawołał Ratshelm z płomiennym oburzeniem. - Dobrze. Bardzo dobrze! - powiedział Wirrmann z satysfakcją. - Tym samym najgorsze jest już za nami. Musimy jednak uwzględnić wszystko, jeśli chcemy dotrzeć do prawdy. A więc dalej: Czy istnieją świadkowie, którzy widzieli pana razem z podchorążym niekompletnie ubranego lub rozebranego? - Też nie, mój panie! - Tym lepiej. To już jest dalszy krok naprzód. Ale to jeszcze nie wszystko. Następne pytanie: czy istnieją naoczni świadkowie jakiejś wymiany czułości? - Panie! - ryknął Ratshelm. - Za kogo pan mnie ma! - Za człowieka honoru, panie kapitanie! - pospieszył zapewnić go Wirrmann. - Ale niestety tu nie o to chodzi, miarodajne jest przede wszystkim to, za co Krafft pana ma, na to musimy mieć skuteczne argumenty. A więc proszę odpowiedzieć na moje pytanie. - Nie! - zawołał Ratshelm, ciemnoczerwony ze wstydu. - ładnych czułości! - Szanuję pańską wrażliwość, panie kapitanie, proszę mi wierzyć. I chciałbym móc ją respektować. Ale tego mi nie wolno czynić w pańskim własnym interesie. Jestem więc zmuszony zwrócić panu uwagę na rozmaite szczegóły: Podług komentarzy do ustawy można uważać za czułość długi uścisk dłoni na przykład, objęcie ramieniem, obmacywanie partii tylnej, poklepywanie siedzenia. - Przestań pan! - zawołał Ratshelm. - Takich rzeczy nie było! - To znaczy: ręczy pan, że nie ma na to świadków? - Tak jest. - I nie ma również żadnego listu, żadnej notatki w pamiętniku, żadnej kartki pisanej przez Hochbauera, zawierającej aluzje do takich rzeczy? - Nie. Nie sędzę. - Nie sędzi pan? Czy to znaczy: jest mało prawdopodobne, ale nie wykluczone? - Jest wykluczone! - wykrztusił Ratshelm. - Znakomicie, zupełnie znakomicie! - Sędzia wyższego sądu wojennego zacierał ręce. Teraz już sobie pozwolił na jednego „Steinh~agera”. Znacząco mrugnął do Katera. - Panie kapitanie Ratshelm - powiedział Wirrmann następnie - tym samym linia frontu jest jasna. Nie ma pan teraz innego wyboru, jak zeznawać przeciwko porucznikowi Krafftowi. I to z dwóch przyczyn: po pierwsze, żeby spełnić swój obowiązek, po drugie, aby ubiec Kraffta, co nakazuje panu już sam instynkt samozachowawczy. I może być pan tylko szczęśliwy, że napotyka pan u mnie pełne

zrozumienie, a w mojej osobie sprawiedliwego sędziego. - Ale mój prestiż będzie narażony na szwank - powiedział Ratshelm zatroskany. - Nikt nie żyje bez narażania się na szwank - rzekł Wirmann, już teraz pewny zwycięstwa. - Zna pan chyba to słynne powiedzenie: Nawet najlepszy nie żyje w pokoju... To pasuje akurat do pana. Ale ja daję panu wielką i decydującą szansę: z moją pomocą może pan odparować podły, podstępny cios. Wystarczy, że złoży pan zeznanie; i opracujemy je wspólnie. Między nami musi panować całkowita szczerłość, jeżeli mamy temu panu Krafftowi wydmuchać wiatr z żagli. - I jest pan zdania - spytał Ratshelm z nadzieją w głosie - że nic nam już nie pomiesza szyków? Sędzia kiwnął potakująco głową. Napawał się przy tym pełnymi podziwu spojrzeniami Katera. Sięgnął do swojej teczki: - Chcę wam, szanowni przyjaciele, pokazać coś w zaufaniu, Ale bądźcie łaskawi zachować to w tajemnicy. Obaj kapitanowie potaknęli głowami na znak zgody. Wirmann wyjął ze swojej teczki jakieś akta, otworzył je i zaczął je wertować. Wreszcie znalazł to, czego szukał: kopię jakiegoś listu. Stuknął w nią wskazującym palcem prawej ręki i spojrzał wymownie na obecnych. - Tu - rzekł nieomal uroczyście - mam list podchorążego do jego ojca, komendanta twierdzy SS. List ten, napisany zaledwie dwa tygodnie temu, dotarł do moich rąk drogą okrężną, poufnie i z prośbą o wzięcie go pod uwagę. I muszę przyznać, panowie: ten list to dokument! Jego znaczenie jest wręcz kolosalne, po tym wszystkim, co się tu stało! Sprawca wymieniony tu jest po nazwisku. A jeśli to nawet nie jest jeszcze dowodem, to jednak inny ustęp tego listu ogromnie mnie poruszył. Dotyczy on pana, panie kapitanie Ratshelm. - Mnie? - spytał ten z pewną nieufnością. - Tak jest - powiedział sędzia, składając przy tym ręce, co wyglądało bardzo nabożnie. - I przyznam się szczerze, że ta część listu wstrząsnęła mną. Ona też zadecydowała o tym, że zaraz po otrzymaniu wiadomości o śmierci podchorążego połączyłem się telefonicznie wprost z panem, panie Ratshelm, i rozmawiałem z panem z taką przyjacielską szczerością. W tej części listu bowiem mowa jest o szacunku i podziwie, jaki ten podchorąży żywił dla swego dowódcy oddziału. Dla pana, panie kapitanie Ratshelm. Jest to manifest całkowitego oddania. Kapitan Ratshelm spuścił, wzruszony, głowę. Wirmann i Kater przyglądali mu się bacznie i raczej z zadowoleniem. Nagle Ratshelm powiedział wzruszony: - Nie na darmo mi ufał. - I dodał z mocą: - Panie sędzio, proszę na mnie liczyć pod każdym względem. Jestem całkowicie do pańskiej dyspozycji. - No więc! - zawołał Wirmann. Nie potrafił już ukryć swego triumfu. - Tym samym kości zostały rzucone. Panie kapitanie Ratshelm, gratuluję panu tej decyzji. Drogi Kater, nalej pan jeszcze kieliszek. Mamy przed sobą długą, męczącą noc. Najpierw zaprotokolujemy zeznania naszego przyjaciela Ratshelma. Potem trzeba będzie przeczesać podchorążych z grupy szkolnej Heinrich. I pan, drogi Ratshelm, wymieni mi wszystkich tych, którzy byli zaprzyjaźnieni z Hochbauerem, a także nazwiska jego przeciwników. Kiedy się z tym uporamy, obejrzymy sobie tego porucznika Kraffta. - Wszystko jeszcze tej nocy?! - zawołał Kater z podziwem. - Czas nagli! - powiedział sędzia wyższego sądu wojennego z wielkopańskim gestem - i chodzi o mistrzowski strzał: wezmę na muszkę Kraffta, ale trafię w najbardziej kapitalną sztukę, jaką kiedykolwiek upolowałem. * * * Sędzia Wirmann przeniósł się z budynku gościnnego do szóstego oddziału. Jego kwaterą główną przez tę noc był gabinet kapitana Ratshelma. Sam kapitan zaś miał za zadanie osłaniać przede wszystkim skrzydła, to znaczy: nie dopuszczać do jego kwatery porucznika Kraffta. Ten jednak zdawał się niczym nie interesować - poza tym był zajęty: Elfriedą. Sędzia wyższego sądu wojennego przesłuchiwał jednego podchorążego po drugim. Dla każdego przeznaczył najpierw po pięć do dziesięciu minut, tylko po to, żeby wysondować teren. A mimo to procedura ta zajęła mu pięć godzin czasu, od dziewiętnastej do dwudziestej czwartej. Ale energia Wirrmanna zdawała się być niewyczerpana. Gdyby dzięki swemu zinnemu, wściekłemu zdecydowaniu ustrzelił tę najbardziej kapitalną w swej karierze zwierzynę, nie musiałby już wtedy długo czekać na stanowisko sędziego generalnego, o którym tak marzył. Metody Wirrmanna były klasycznie proste. Preparowanie pożytecznego świadka odbywało się w trzech fazach: Pierwsza faza: Wirmann dawał wyraźne do zrozumienia, kim jest, jak daleko sięgają jego ręce, kto za nim stoi. Sugerował swoim przyszłym świadkom, że może decydować o doli i niedoli, wolności i więzieniu, o wspaniałej przyszłości czy haniebnym wyrzuceniu ze szkoły.

Druga faza: Wirmann, o tyle, o ile potrafił, uderzał w ludzką strunę. Usiłował nawet demonstrować uczucia ojcowskie. Podkreślał z naciskiem swoją wyrozumiałość. Również słabotki ludzkie - tu następowało mrugnięcie okiem - nie są mu obce. Szczerze oferuje zaufanie za zaufanie. Trzecia faza: Wirmann apelował do wspólnych ideałów i żelaznego poczucia solidarności w obliczu wroga. Mówił o Niemczech, którym trzeba służyć, i to głosem nie wolnym od wzruszenia - efekt, który udało mu się osiągnąć bez trudu prawie czterdzieści razy pod rząd. Zakończenie stanowiła fanfara na cześć sprawiedliwości, której wymyka się tylko skończony łajdak. - Moje uzanie - powiedział w pewnym momencie zdumiony RAtshelm. - Czy jednak nie prościej byłoby zwrócić się z tym trzykrotnym apelem do zebranej w szeregu grupy zamiast do każdego podchorążego z oddzielną? - Prościej? Zapewne - powiedział sędzia, rozkoszując się podziwem, którym go tu z tak piękną naturalnością darzono. - Ale nie skuteczniej. Apel do jednostki poprzez kontakt osobisty, apel, z którym zwracamy się do niej w zaufaniu, zobowiązuje. To już wypróbowane. A wielki wysiłek bywa zwykle nagradzany. - Zdumiewające! - przyznał Kater. - Mimo to pozwolę sobie na pytanie, łaskawco. Po co ta czasochłonna perswazja? Wystarczyłoby przecież nacisnąć na tych młodych chłopaków, a popłynęłyby z nich słowa jak ze Źródłka. - Ależ nie! - zaprzeczył sędzia protekcyjnie. - Takie metody można stosować tam, gdzie istnieją jakieś konkretne podejrzenia, jakieś wyraźne punkty zaczepienia. Ale nie tu. Tu muszę sobie urobić świadków, muszę ich łagodnie namawiać, muszę ich otworzyć jak skrzynie. Słowem: potrzebuję ich współpracy; mają śpiewać i muszą wierzyć, że robią to zupełnie dobrowolnie. Rezultat świadczył o tym, że Wirmann miał rację. Pracując w pocie czoła, oddzielił owce od baranów. Tuż przed północą miał już przed oczami dość jasny obraz. Na jego liście pozostało z czterdziestu nazwisk już tylko pięć, mianowicie: Amfortas i Andreas, ciągle jeszcze paladyni Hochbauera, izolowani i traktowani zimno przez resztę, co automatycznie wpędzało ich w ramiona Wirrmanna, poza tym B~ohmke i Berger, jeden wrażliwy, a drugi dobroduszny, do których łatwo było trafić dobrym słowem, nie podejrzanie naiwni, wierzący jeszcze w sprawiedliwość. Wreszcie starszy grupy szkolnej Kramer, wyraźnie dbający o neutralność, pokazowy egzemplarz bezstronności, który co prawda niewiele mógł pomóc, ale nie mógł też zaszkodzić. Tę wybraną piątkę Wirmann obrabiał pojedynczo i małymi grupkami. Zarezerwował sobie sporo czasu na to. I stopniowo udało mu się tym sposobem zestawić niezwykle ponury portret porucznika Kraffta. Co prawda musiał jeszcze ominąć kilka niebezpiecznych raf. Tak na przykład zaraz po północy zameldowali się po raz drugi Rednitz, M~osler i Weber. I to z własnej inicjatywy. - Prosimy o pozwolenie złożenia dodatkowych wyjaśnień - mówił Rednitz, jako rzecznik tej grupy. - Nie prosiłem was o to! - odparł Wirmann niechętnie. - Toteż jesteśmy tu z własnej woli. - To zupełnie niepotrzebne. - Pozwalamy sobie być innego zdania - powiedział Rednitz pocziwie. - Sądzymy bowiem, że nasze zeznania są ważne. - Czy wasze zeznania są ważne, czy nie - powiedział Wirmann lekko poirytowany - musicie to łaskawie pozostawić mojej ocenie. - Ale pan nie może tego ocenić, zanim nie usłyszy pan naszych wyjaśnień. - Trzej podchorążowie stali twardo jak dęby: szorstcy, sękaci, niewzruszeni. A oczy ich spoglądały na sędziego wyższego sądu wojennego z pogodną zuchwałością. Wirmann spojrzął na kapitana Ratshelma, wzywając oczyma pomocy. Ten przypomniał sobie, że jest tu dowódcą oddziału. I w tym charakterze powiedział: - Odmaszerować! Podchorążowie zawahali się na chwilę, a potem jednak oddali honory, wyszli i trzasnęli za sobą drzwiami. - Dziwne obyczaje - powiedział sędzia. A Kater zauważył: - To wszystko wpływy tego Kraffta. Sam pan teraz widzi, że trzeba z tym jak najprędzej skończyć. Akurat w tym samym momencie zatrzaśnięte drzwi otwarły się ponownie. Wszedł porucznik Krafft - względnie uprzejmie. Zatrzymał się, przyjrzał się wszystkim po kolei i powiedział: - Dobry wieczór. Kapitan Ratshelm wzdrygnął się, usłyszawszy to wybitnie cywilne pozdrowienie, i powiedział zimno: - Nie przypominam sobie, panie poruczniku, byśmy pana tu zapraszali. - Nie było to też wcale potrzebne - podjął Krafft skwapliwie. - Odwiedzam panów z własnej inicjatywy i w waszym własnym interesie. - W każdym razie - rzekł Kater zgryźliwie - jest pan tu na niewłaściwym miejscu. - To samo - odparł porucznik uprzejmie - chciałem właśnie panu

powiedzieć, panie kapitanie. Szuka pana bowiem już od dłuższego czasu pański bezpośredni zwierzchnik, kapitan Feders. Ma coś pilnego z panem do omówienia. - Teraz, o tej porze? - Kapitan Feders kazał panu powiedzieć, że może z panem mówić o każdej porze. Ale im później do tego dojdzie, tym mniejszą przyjemnością będzie to dla niego. Kapitan Kater został więc na razie wyeliminowany z wyścigu. Pożegnał się i znikł. Kater był prawie pewien, że Feders wcale nie chce z nim mówić. Ale jeszcze bardziej pewny był tego, że Feders nie zawaha się ani na chwilę kryć swego kumpla Kraffta. Tymczasem Ratshelm zamierzał podjąć nowy atak na swego krnąbrnego dowódcę grupy szkolnej. Ale Wirrmann uprzedził go i oświadczył niespodziewanie: - Jestem zadowolony, że porucznik Krafft się tu znalazł. Właśnie chciałem pana do siebie poprosić. - Jeżeli zamierza pan, panie sędzio - rzekł Krafft grzecznie - przesłuchać również i mnie, to muszę prosić o stosowanie się do przepisów. Iądam zatem protokółanta oraz wyłączenia osób postronnych, zwłaszcza mniej lub bardziej związanych z tą sprawą i niedwuznacznie obciążonych. Ratshelm przerwał mu: - Czy muszę wysłuchiwać tego rodzaju uwag, panie sędzio? - Niech pan nie przyjmuje ich do wiadomości, panie kapitanie - poradził mu prawnik. - Zresztą zamierzam już na dzisiaj skończyć z oficjalnymi dochodzeniami. Chciałbym jeszcze tylko porozmawiać prywatnie z porucznikiem Krafftem. Pozwoli pan, panie kapitanie? RAtshelm pożegnał się z Wirrmannem i wyszedł sztywnym krokiem z pokoju, nie zaszczyciwszy Kraffta ani jednym spojrzeniem. Jego sprężyste kroki pobrzmiwały głośnym echem w nocnej ciszy, wzmacnianym jeszcze przez kamienne płyty korytarza. * * * - Jesteśmy teraz zupełnie sami - powiedział Wirrmann, uśmiechając się. Porozmawiamy ze sobą otwarcie. - Panie sędzio - oświadczył Krafft - jako dowódca grupy szkolnej jestem odpowiedzialny za moich podchorążych. To znaczy, że nie będę tolerował niczego, co nie odpowiada ściśle istniejącym przepisom. Mam na myśli między innymi nieformalne przesłuchania, zwłaszcza te w obecności podejrzanych osób trzecich. To jest więcej niż błąd formalny. Dlatego nie tylko protestuję, ale mam zamiar jeszcze złożyć doniesienie w tej sprawie. I żądam, żeby w przyszłości dochodzenia i przysłuchania odbywały się w obecności naszego oficera dochodzeniowego, kapitana Schulza. - Dlaczego pan się denerwuje, panie poruczniku? - powiedział Wirrmann, podnosząc ręce w proteście. - To zupełnie zbyteczne. Przychodzi pan za późno. Ależ proszę, siadaj pan, ażebym mógł panu to wszystko nieco dokładniej wyjaśnić. Krafft opadł na jedno z krzeseł, wyciągnął nogi przed siebie i przyglądał się sędziemu. Wirrmann uśmiechał się, ale uśmiech ten był daleki od życzliwości; świadczył wyraźnie o tym, że sędzia czuje swoją przewagę. - Przychodzi pan za późno - powtórzył. - Oczywiście, może mi pan narobić nieprzyjemności z powodu moich metod śledczych. Ale rezultatów, które osiągnąłem, nie może już pan unieważnić. - Mogę doprowadzić do rezuultatów wręcz przeciwnych, jeśli pan koniecznie chce. - Jestem przekonany, że pan by to potrafił, sądząc po tym wszystkim, co o panu słyszałem. Pan jest typem człowieka, który idzie po trupach, Krafft. - Po trupach tego gatunku, co pan, z przyjemnością, Wirrmann. Sędzia wyższego sądu wojennego otworzył szeroko ze zdumienia oczy. Ięby zwracano się do niego po prostu per Wirrmann, to mu się jeszcze nie zdarzyło - w każdym razie nie w takiej sytuacji, i żeby zwrócił się tak do niego oficer znacznie niższy stopniem. Zaczerpnął głęboko powietrza i z wysiłkiem zdobył się na uśmiech. - Widzę, że wykorzystuje pan z miejsca sytuację - powiedział z trudem. - No cóż, chętnie się do tego zastosuję. Jesteśmy tu sami, bez świadków, możemy więc mówić zupełnie otwarcie. Jestem zadowolony z tego, panie poruczniku. - Ja również, panie sędzio. Tym samym wszystko wydawało się być w jak najlepszym porządku. Gra mogła się potoczyć dalej. Było jak na ringu: przeciwnicy podawali sobie dłoń, aby następnie rzucić się na siebie. - A więc - rzekł Wirrmann - moje dochodzenia pokazały mi zupełnie wyraźnie, w którym miejscu nacisnąć guziczek. Znalazłem co najmniej dwóch podchorążych, którzy całkiem niedwuznacznie oskarżają pana i pańskie metody. Dwóch innych potwierdza to oskarżenie pośrednio lub bezpośrednio. A niewątpliwie znajdują się jeszcze i inni. Wie pan przecież z własnego doświadczenia, panie poruczniku, jak można kierować opiniami i kształtować poglądy. Słowem: jeśli zechcę, mogę pana postawić przed sądem wojennym. - Co to znaczy: jeśli pan zechce? - spytał Krafft z czujnością w głosie. - A! - zawołał Wirrmann zadowolony. - Potrafi pan

wyczuwać nawet bardzo subtelne niuanse. Dobrze mnie pan słyszał. Otóż jestem zdecydowany wszcząć postępowanie przed sądem wojennym. A ponieważ znam się dobrze na tej procedurze, wyrok nie ulega prawie wątpliwości. Ale sprawa ta ma pewien szczególny aspekt. Przede mną stoją dwie możliwości; muszę przyznać, że nęci mnie szczególnie jedna z nich. - Jakie możliwości? - spytał Krafft, pochylając się do przodu. - Po pierwsze mógłbym wszcząć postępowanie wyłącznie przeciwko panu, a więc - proszę mi wybaczyć moją szczerłość! - przeciwko niższemu oficerowi o stosunkowo niewielkim znaczeniu. Chciałbym jeszcze raz wyraźnie podkreślić: ocena ta nie odnosi się do pana jako człowieka, lecz do pańskiego stopnia. Istnieje jednak i druga możliwość, znacznie bardziej dla mnie pociągająca... ale mógłbym ją wykorzystać tylko przy pańskiej pomocy, panie poruczniku. - Przeciwko komu chce mnie pan wygrywać? - Powiedzmy: przeciwko istniejącemu systemowi szkolenia, przeciwko przestarzałej metodzie, za pomocą której wychowuje się tu oficerów, przeciwko panującemu tu duchowi, który budzi wiele zastrzeżeń. To przecież powinno leżeć każdemu dobremu Niemcowi na sercu. - Pan ma odwagę - przyznał Krafft zdziwiony. - A może to tylko ślepotą. - Wiem, czego chcę. I liczę na pański rozsądek. Jeśli pan koniecznie chce poświęcić siebie - w porządku. Ale pan tego nie robi, gdy panu zagwarantuję, że jeszcze czas wyciągnąć głowę z pętli. Wystarczy, żeby pan powiedział „tak”, i od tej chwili działamy wspólnie. Wspólnie ułożymy plan. Wtedy ani jedno przesłuchanie nie odbędzie się bez pana wiedzy. Wtedy będzie pan brał udział we wszystkim, do aktu oskarżenia włącznie. Jestem pewien, iż pan sobie zdaje z tego sprawę, że w tej sytuacji robię panu najkorzystniejszą ofertę, jaką tylko można sobie wyobrazić. Przyjmuje pan? - Teraz wiem już dokładnie, czego pan chce - powiedział Krafft. - Chce pan zarządzić generała. - Chcę absolutnej sprawiedliwości - oświadczył Wirmann. - Jestem zdecydowany ją osiągnąć. Ktoś będzie musiał zapłacić: albo generał, albo pan. Ale pan, poruczniku Krafft, pan może wybrać. Interludium X 1910 r. podchorążego Willego Rednitza czyli: Radość ubogich „Nazywam się Willi Rednitz. Matka moja, Klementyna Rednitz, jest pracownicą domową. Urodziłem się w Dortmundzie 1 kwietnia 1922 roku. Nazwisko ojca jest mi nie znane. Młodość spędziłem w Dortmundzie, gdzie pracowała moja matka.” Siedzę przycupnięty w kuchni, w której pracuje mama. Siedzę w kącie, pod stołem. Tu mnie prawie nikt nie widzi, a ja widzę wszystko. Bo nie wolno mi być przy mamie, kiedy ona pracuje. A ona pracuje dużo i ciężko. Ale mimo to lubi pracować. Na mój widok zawsze się uśmiecha - nawet jeśli jej twarz jest spocona, a z czoła zwisają kosmyki włosów, kiedy niesie jakiś ciężar albo zgięta we dwoje szoruje podłogę. Nie mówi wiele - tylko się uśmiecha. „Po co ten chłopak tu siedzi, Klementyno? - pyta pani dyrektorowa. - Powinien raczej bawić się w ogrodzie. Świeże powietrze dobrze mu zrobi.” Matka nie odpowiada, ale ja z miejsca wychodzę. „Z przyjemnością wyjdę, mamo”, mówię. Za domem, w ogrodzie, koło wejścia dla służby, stoi pan dyrektor. „No co, Willi - mówi - znowu idziesz na spacer?” - „Tak”, mówię. A on kiwa na mnie, żebym do niego podszedł, i daje mi tabliczkę czekolady albo kawałek ciasta, a czasem nawet markę. Wszystko, co się nadaje do jedzenia, zjadam. Ale pieniądze oszczędzam - dla mamy, na jej urodziny. Mama i ja mamy pokój w małym domku za willą pana dyrektora, tam gdzie mieszka cała służba. Jest tu też pan Knesebeck, ogrodnik, którego wszyscy nazywają Karlem. To mój przyjaciel. „1ycie jest jak ogród - mówi. - Parę kwiatów, parę krzewów, parę drzew i dużo, dużo trawy. Całe kolumny trawy. Pułki trawy. Masowe zgromadzenia trawy. I uparte chwasty. Jak życie jest taki ogród.” - „Pies podeptał lilie - mówię - czy nie można nic na to poradzić?” - „Posadzi się nowe lilie, bo nie można nic na to poradzić, że je pies depta.” „Przesiadujesz już znowu w kuchni, Willi”, mówi do mnie pani. „Siedzę z moją mamą”, mówię. „Czy nie masz nic lepszego do roboty?” - „Nie!” - odpowiadam. „No to pokaż mi swoje ręce, Willi.” Wyciągam ręce. „Pokaż, czy umyłeś sobie szyję”. Pokazuję jej szyję. „Podnieś prawą nogę.” Podnoszę nogę. „A teraz lewą.” Podnoszę i lewą. „No tak - mówi pani - brudny to on nie jest. Niech więc tu siedzi, jak chce.” I pani odchodzi. A mama znowu się do mnie uśmiecha, bez słowa. Ale za to ja mówię: „Wiesz, mamo, taki całkiem czysty to ja nie jestem. Mam strasznie brudne nogi. Bo na dworze biegam zawsze boso. Ale kiedy przychodzę do ciebie do kuchni, wkładam skarpety i buty.” Bawimy się nie tylko w ogrodzie, bawimy się również nad kanałem. Jest niedziela i mama ma dużo

roboty, i pani ciągle przychodzi do kuchni. Dlatego jestem dziś znowu nad kanałem. Mam na sobie nowe białe ubranko marynarskie, żebym wyglądał tak jak lepsze dzieci. Ale mimo to tak nie wyglądam. Bo one się bawią jak zawsze, niezależnie od tego, jak są ubrane. A ja stoję bez ruchu, całkiem sztywno, nie pochylając się, nie opierając się o nic, nie siadając. Bo moje ubranie jest przecież nowe i całkiem białe, i kosztowało bardzo, bardzo dużo - prawie tyle, ile mama zarabia przez cały miesiąc. I Irena mówi do mnie: „Psujesz nam zabawę”, a Tomasz daje mi szturchańca, i wpadam do głębokiego, ciemnego, brudnego kanału. To nie jest takie niebezpieczne, bo umiem pływać, ale to bardzo, bardzo wielkie nieszczęście, bo mam przecież na sobie białe, drogie ubranie. Nie mam odwagi pójść do mamy, do domu. Stoję w jakimś kącie w mokrym ubraniu i marznę - stoję tak do późnego wieczora, póki mama nie przychodzi po mnie. I marznę, i trzęsę się, a potem robi mi się znowu gorąco. Ale mama mówi: „To nie jest takie nieszczęście, Willi, ubranie można wyprać”. To wszystko, co mówi. „Od roku 1927 chodziłem w Dortmundzie do szkoły ludowej. Od 1935 roku, po ukończeniu tej szkoły, uczęszczałem na życzenie matki przez rok do szkoły handlowej i jeszcze jeden rok do wyższej szkoły handlowej. Następnie pracowałem przez blisko rok jako urzędnik w firmie mydlarskiej Braun i Thompson, również w Dortmundzie. Wiosną 1940 roku powołano mnie do wojska.” Gruby Filip Wengler nie chce siedzieć obok mnie w ławce. Powiada, że ojciec jego ma dużą restaurację, a ja nie mam nawet ojca. Mówi to naszemu nauczycielowi nazwiskiem Buchenholz. A Buchenholz daje grubemu Filipowi Wenglerowi w mordę, że aż się echo rozlega. Nazajutrz ojciec grubego Filipa przylatuje do klasy i wrzeszczy do Buchenholza: „Jak pan śmiał tknąć mego syna?” I Buchenholz mówi, dlaczego to zrobił. Wtedy ojciec Wenglera podchodzi do swego syna, grubego Filipa, i też mu daje w mordę, że aż się echo rozlega. „Akurat jemu to jest potrzebne - mówi pan Wengler - bo on już dawno był na świecie, zanim w ogóle poznałem jego matkę.” Od tego dnia Filip Wengler jest moim przyjacielem, a nauczyciela Buchenholza to ja kocham. Ze wszystkich przedmiotów, których on uczy, mam najlepsze stopnie. „Mamo - mówię - gdy wyjdiesz za męża, będę miał ojca.” - „Ty masz ojca - mówi matka - ale on nie chce, żebyś wiedział, że on jest twoim ojcem.” - „Jeśli tak jest - mówię - to nie mam ojca. Ale mimo to możesz spokojnie wyjść za męża, jeśli chcesz.” - „Willi - mówi z uśmiechem matka - zostać matką nie jest tak trudno. Ale znaleźć męża, którego bym mogła kochać i który by mnie kochał, jest o wiele trudniej. Lecz najtrudniej chyba jest znaleźć męża, który na dobitkę kochałby ciebie i którego ty byś kochał.” Niezupełnie rozumiem, bo matka jest bardzo, bardzo piękna. Wszyscy ludzie muszą ją kochać, tak samo jak ja ją kocham. Może tylko z wyjątkiem pani dyrektorowej. Ale ona w końcu nie może się ożenić z moją matką ani zastąpić mi ojca. To jest raczej pocieszające. Poza Filipem Wenglerem mam jeszcze dwoje przyjaciół: Hildę i Zygfrйда Benjaminów. Benjaminowie mają sklep z zabawkami, ale to nie jest powód, dlaczego się z nimi przyjaźnię. Lubię ich. Bo są mądrzy i mają miłych rodziców, a zwłaszcza pan Benjamin jest takim ojcem, jakim ojciec być powinien. Czasem śpiewa swoim dzieciom piosenkę, której słowa brzmią po niemiecku, a jednocześnie jakoś obco. Myślę, że byłbym szczęśliwy, gdybym miał ojca, który mówi obcym językiem - gdyby mi tylko czasem zaśpiewał piosenkę. Znajduję takiego człowieka. Ma zupełnie ciemną skórę i imię o francuskim brzmieniu - ludzie nazywają go Charles. I Charles umie śpiewać, głębokim głosem, i przewracać przy tym oczami, co wygląda bardzo śmiesznie. Sprzedaje wódkę w lokalu, który nazywają barem. Poza tym walczy czasem na ringu, żeby zarobić trochę pieniędzy, bo musi przecież żyć, a wszystko jest drogie. Niekiedy śpiewa też dla obcych ludzi, jeśli ktoś mu gra na fortepianie. A ja siedzę z tyłu w spiżarni, między skrzyniami, aż on mnie razu pewnego tam nakrywa. „Nie wolno tu ci siedzieć, Willi”, mówi Charles. A ja mówię: „Ale ty tak ładnie śpiewasz.” - „Już bardzo późno, Willi, musisz iść do mamy. Zaprowadzę cię tam.” - „Dobrze - mówię - mama się ucieszy.” Charles prowadzi mnie do matki. A potem siedzi jeszcze w naszym pokoju i pije kawę. Charles jest bardzo zakłopotany i ciągle się usprawiedliwia. A matka mówi: „To ładnie z pańskiej strony, że przyprowadził pan Willego. Ja niestety nie zawsze mam czas się nim zajmować.” - „Potrzebny mi jest ojciec - mówię. - Ale tak trudno go znaleźć.” Charles ma często jeszcze okazję odprowadzić mnie do mamy do

domu. „Klementyno - mówi pani dyrektorowa do mamy - jestem osobą wspaniałomyślną i całkowicie pozbawioną przesądów, jestem wcieloną dobrocią. Ale i u mnie istnieją granice. A pani Willi moim zdaniem stanowczo sobie za wiele pozwala. Nie dość, że zadaje się z iydami, to jeszcze przyprowadza mi Murzynów do domu. Nie mam zamiaru tego tolerować. To się musi zmienić, jeśli zależy pani na posadzie.” - „Nic się nie zmieni, pani dyrektorowo - mówi matka. - A ludzie, których mój syn lubi, są dla mnie ważniejsi od posady.” „Klementyno - mówi pan dyrektor - proszę cię, bądź rozsądna. Nie bądź taka małostkowa. Przepróż moją żonę, i sprawa załatwiona.” - „Sprawa jest i tak załatwiona”, mmówi matka. Przeprowadzamy się do pokoju jeszcze mniejszego niż poprzedni. Mama pracuje w banku, od piątej rano do ósmej. A poza tym pracuje jeszcze w sklepie z obuwem, wieczorem od siódmej do dziewiątej - wszędzie sprząta. A w soboty i niedziele pomaga w restauracji należącej do ojca grubego Filipa. To trwa aż do wypadku z Zygfydem Benjaminem. Podczas zabawy Zygfyd Benjamin przebiega przez ulicę i wpada prosto pod ciężarówkę. Jego lewa noga jest jakby przełamana, głęboko rozdarta i mocno krwawi. Zygfyd wyje z bólu, a reszta stoi z głupimi minami. Ciężarówka pojechała dalej, kierowca widać w ogóle nie zauważył, co się stało. I ja odcinam linę zwisającą z rusztowania i przewiążuję nią nogę Zygfyda. Przeczytałem to w książce. Potem bierzemy deski z rusztowania, robimy z nich nosze i kładziemy na nie Zygfyda. Zanosimy go do doktora Gr~unwalda, mieszkającego o dwie ulice dalej. „Zuchy jesteście”, mówi doktor Gr~unwald, kiedy już zbadał Zygfyda, oczyścił i opatrzył ranę i usztywnił nogę szyną. „Wcale nieŻle to zrobiłeś, Willi. Skąd ty to wszystko wiesz?” - „Czytałem - mówię i rozglądam się po pokoju. - Nie jest tu zbyt czysto”, mówię. „No wiesz, mały - mówi doktor Gr~unwald - moje instrumenty są bez zarzutu i mój gabinet też.” - „No tak - mówię - ale poczekalnia nie jest taka czysta, jaka być powinna, i przdpokój też nie.” - „Co robić - mówi doktor Gr~unwald, wzruszając ramionami - muszę się zajmować pacjentami, na wszystko inne nie mam czasu.” - „Potrzebna jest panu kobieta, która tu panu gruntownie posprząta - mówię - taka kobieta, jak moja matka.” I w trzy dni pÓŻniej mama ma wreszcie dobrą i stałą pracę, i w dodatku ładny pokój - sprowadzamy się do mieszkania doktora Gr~unwalda. Nazywa się Charlotta K~onnecke. Chodzi do naszej budy, ale do ostatniej klasy. Jej ojciec jest urzędnikiem na poczcie, a ona jest piękna. Nosi zawsze jasne suknie, a jej włosy, długie, brązowe i jedwabiste, powiewają na wietrze - jeśli nie ma wiatru, ona od czasu do czasu potrząsa głową, wtedy jej włosy powiewają jak cudowna gęsta firanka. Stoję i gapię się na nią - kiedy idzie do szkoły, kiedy wraca do domu, kiedy po południu idzie na plażę, do parku, albo kiedy spaceruje po ulicy. Jest o wiele, o wiele ode mnie starsza - o dwa lata, i nie widzi mnie, albo nie chce mnie widzieć, bo chyba tak wypada. „Charlotta”, mówię często do siebie, jak we śnie. A do matki mówię: „Jeśli będę miał siostrę, ma się nazywać Charlotta”. A do doktora Gr~unwalda mówię: „Charlotta to najpiękniejsze imię na świecie”. - „Istnieją jeszcze inne piękne imiona - mówi doktor Gr~unwald - przekonasz się.” - „Nie może już być piękniejszego”, mówię stanowczo. A raz wolno mi nieść jej teczkę. To było trzynastego września tysiąc dziewięćset trzydziestego trzeciego roku, od dwunastej pięć do dwunastej jednaście. Wolno mi było nieść teczkę mojej uwielbianej Charlotcie, bo jej się słabo zrobiło. Będzie miała dziecko. A przy tym ma dopiero czternaście lat. A dziecko, powiadają, będzie od jej ojczyma. A ja jestem nieszczęśliwy i płacę, i nienawidzę świata. „Willi - mówi do mnie doktor Gr~unwald - słyszałem, że płakałeś. To dobrze, od tego się lżej na sercu robi. Ja też czasem płacę. Nieczęsto, ale jednak.” Patrzę na doktora Gr~unwalda - to stary człowiek, ma całkiem białe włosy, pomarszczoną twarz, jak przeoraną pługiem, ale oczy ma zupełnie młode. I on też płacze? „Bądź szczęśliwy, że możesz płakać! - mówi do mnie. - Dopiero wielkie uczucie czyni życie pięknym, pogłębia je i wzbogaca. Dopiero ten, kto zna ból, może docenić radość.” - „Pan jest dla mnie jak ojciec.” - „Nie wyobrażam sobie lepszego syna”, mówi doktor Gr~unwald. Najpierw tracę grubego Filipa Wenglera. Restaurację dzierzawioną przez jego ojca rozbijają tak, że zostaje z niej tylko kupa gruzów. Resztę podpalają. Ojciec Wengler leży w szpitalu. Ma uszkodzony kręgosłup. I mówi do Filipa i do mnie, kiedy odwiedzamy go w szpitalu: „Nie miejcie własnego zdania, chłopcy, inaczej was tak pobiją, że zostanieie kalekami. Bo zawsze istnieją tacy, co myślą

inaczej, i ci nic innego nie tolerują. Gdybyście kiedyś na wasze nieszczęście mieli inne przekonania, zachowajcie je łaskawie dla siebie, na miłość boską, zachowajcie je dla siebie. Inaczej mogą was zabić”. W dwa dni później ojciec Wengler umiera. A jego żona, matka grubego Filipa, znika. Grubego Filipa zabiera jakaś ciotka. Wyjeżdża z nim daleko, aż do Prus Wschodnich. Nie widziałem go już nigdy więcej. Pan Benjamin włożył na głowę małą czapkę. Wysoki srebrny lichtarz stoi na stole, a my siedzimy wokół: pani Benjamin, Hilda i Zygfryd. Świece płoną uroczyście, a pan Benjamin całkiem sam śpiewa pieśń o bardzo smutnej melodii. I pan Benjamin mówi: „Willi, byłeś zawsze dobrym przyjacielem naszych dzieci i myśmy cię bardzo lubili. Ale jutro wyjeżdżamy do innego kraju i może dziś jesteśmy po raz ostatni w tym życiu razem. Dziękujemy ci za wszystko, Willi. I prosimy cię: zapomnij o nas”. Wszystko to opowiadałem doktorowi Grunwaldowi. Pytam go: „Dlaczego?” A doktor Grunwald odwraca się i płacze. Nadchodzi dzień, kiedy nie ma już doktora Grunwalda. Ktoś inny obejmuje jego praktykę. Od tego dnia mama prawie nigdy już się nie uśmiecha, kiedy w pobliżu są obcy ludzie. Ale do mnie wciąż jeszcze się uśmiecha. Kiedyś powiada do mnie: „Staraj się zawsze być pogodny. Inaczej zadławi cię bieda i smutek, które nas otaczają jak powietrze.” „Jak zaczęła się wojna, poszedłem na front. Byłem w Polsce, potem we Francji, potem w Rosji. Prawie cały czas w tej samej jednostce. W 1941 roku awansowałem na kaprala, w 1943 roku na plutonowego, jednocześnie uznano mnie za kandydata na oficera.” Polska: W lasu pod Mławą zmasakrowane zwłoki niemieckiego lotnika. W Mławie polska rodzina, on z rozłupaną czaszką, ona z rozciętym brzuchem, między trupami zastraszone dziecko, które nie wie, gdzie się ukryć. Przed Pragą willa dyrektora generalnego kolei polskich - jakiś oficer wyrzyna obrazy z ram, jakiś podoficer sra do antycznej czaszy marmurowej. W pobliżu Pragi grupa żołnierzy, zaskoczona we śnie, z poderżniętymi gardłami. Warszawa - człowiek zwisający z futryny okiennej na ulicę. Człowiek, który wygląda jak doktor Grunwald. Francja: Dwóch ludzi wczepionych w siebie w ogromnej kałuży krwi i czerwonego wina, zmartwiałymi dłońmi chwytający się wzajemnie za gardła - żołnierz marokański i niemiecki. Bunkier pod Verdun zapchany rozszarpanymi ludźmi, i to tak, że szpilki nie wetkniesz, śmierdząca, cuchnąca bryła - a w niej szare kości, odłamki czerepów, resztki zwłok z poprzedniej wojny światowej, niewiadomej narodowości. Łóżko, na nim francuska kobieta, na niej niemiecki żołnierz, pod łóżkiem mąż kobiety - wszyscy nieżywi, a wokół nich ruiny; od wiązki granatów ręcznych. Dreux we Francji: Grobowiec rodu Valois, niegdyś królów tego kraju. Para miłosa między trumnami. Z wieży zamku dolatuje muzyka z płyt. Bełkocące, wyjące głosy pijanych żołnierzy, którzy walą gromadą do burdelu. Stary Francuz, bezradny i przerażony. Jakiś kolejarz chce kupić jakieś dziecko. Oficer siedzący w swojej kwaterze i czytający Woltera. Krzyk, przeraźliwy, nieustający krzyk, krzyk wlatujący ponad dachy Dreux, którego nikt poza mną nie słyszy: Jakiś człowiek oszalał. W przerwach bywam w domu, w Dortmundzie. W domu? Matka się uśmiecha i wtedy można o wielu rzeczach zapomnieć. Lekarz, który przejął praktykę doktora Grunwalda, żadnemu z nas nie może spojrzeć w oczy. Ale Erna, jego asystentka, ma duże oczy, które widzą i chcą być widziane. Drugiej nocy przychodzi do mnie do pokoju i kładzie się obok mnie. „Co robić - mówi - w końcu jest wojna.” - „W porządku - mówię - w końcu jest wojna.” Wygląda jak Charlotta. Potem kampania rosyjska: Stosy trupów. Ludzie wiszący na drzewach jak jakieś bajeczne owoce: partyzanci, wrogowie partyzantów, komisarze, zabójcy komisarzy. Trupy jako wały ochronne, trupy użyte do brukowania ulic, trupy jako paliwo. A na dalekim horyzoncie płomień, jakby świat się palił. Tu w Rosji, pod Charkowem, dziewczyna, na imię jej Natalia. W ostatniej chwili wyrwana z rąk trzech pijanych drabów, którzy chcieli ją zgwałcić. Dwaj z nich nadają się do szpitala, bo waliłem w nich na oślep karabinem. Natalia ciężko dyszy. Próbuję ją uspokoić. Ciemne piwne oczy, patrzące na mnie błagalnie i z wdzięcznością. Dzielę się z nią moją racją żywnościową. Szczepia jako tako swoją sukienkę. Dyszy ciężko, chwyta mnie za rękę, jak gdyby chciała pocałować tę brudną rękę. Piję wódkę, pozostawioną przez tamtych drabów. Obejmuję Natalię i czuję, jak drży. Przytulam ją do siebie i robię z nią to samo, co ci inni chcieli zrobić. Natalia się nie broni, ale płacze. A ja wypadam w noc, przepełniony wstydem. Nazajutrz

rano wracam. Wiem, że kocham Natalię, tak jak się kocha ciężki, a przecież słodki i nieunikniony los. To uczucie jest silniejsze ode mnie. NIGdy dotąd tego nie znałem, nie uwierzyłbym, że to jest możliwe, że istnieje. Chciałbym wykrzyczeć z siebie to uczucie w mroźny, zimny dzień, żeby cały świat usłyszał, ponad wszystkimi frontami. Kiedy otwieram siłą drzwi domu, w którym mieszka Natalia, zastaję ją leżącą na środku pokoju, na plecach, z rozszarpaną odzieżą. Powykręcana. Wykrwawiona. Martwa. O tym, co nazywają karierą wojskową, nie mam nic szczególnego do powiedzenia. Robiłem to, co zwykło się nazywać obowiązkiem. Awansowałem regularnie i zostałem bez większych korowodów skierowany do szkoły wojennej. Dlaczego - nie wiem. Po co - nie wiem. Wiem tylko tyle: biedny ze mnie człowiek. Dlatego, że to wiem, uśmiecham się. 31

Pożegnanie bez skruchy

Następny dzień włókł się tak wolno, jak wolno sypie się piasek w klepsydrze: godziny toczyły się z monotonną regularnością. Wszystko wydawało się jak co dzień: zajęcia, przerwy, jedzenie, leniwie płynące myśli. Fabryka oficerów pracowała pełną parą - żadna z maszyn się nie zacięła. Również porucznik Krafft załatwiał wszystko, co do niego należało. Również i on, zdawało się, robi tylko to, czego wymaga od niego rozkład zajęć. Wstał punktualnie, zjadł śniadanie w kasynie, kierował ćwiczeniami swojej grupy w terenie - temat: Działanie patrolu rozpoznawczego - i zjadł razem z podchorążymi obiad. Nie robił nic takiego, co by rzucało się w oczy: jego wypowiedzi były nie mniej liczne i trafne niż zwykle, jego uwaga zdawała się nie słabnąć nawet na minutę. Może tylko żartował nieco mniej niż zwykle, i w jego głosie nie pobrzmiwała właściwa mu niefrasobliwość. Ale nikt tego nie zauważył. * * * Według rozkładu zajęć zaraz po południu miał się odbyć jak zwykle wykład dowódcy grupy. Tym razem temat brzmiał nieco dziwnie: Opieka nad rodzinami. Podchorążowie zebrali się w baraku szkolnym i przygotowali sobie papier i ołówki. Byli pewni, że znowu będą musieli pisać wypracowanie. Na samą myśl o tym chciało im się ziewać. Ale gdy Krafft stanął przed swoimi podchorążymi, spytał: - Opieka nad rodzinami, jak sobie to wyobrażacie? Podchorążowie nie bardzo wiedzieli, co na to odpowiedzieć, między innymi dlatego, że nie zastanawiali się specjalnie nad tym. Dlaczego mieli się zastanawiać? TEn temat był dla nich zupełnie nowy - a zatem dowódca powinien ich przynajmniej pobieżnie pouczyć i uświadomić. Podchorążowie urządzili sobie jedną ze zwykłych zgadywanek. M-osler twierdził: - Jeśli na przykład przyjeżdża z wizytą siostra jakiegoś żołnierza, to opiekuję się nią, pod warunkiem, że jest tego warta. Ale wiele śmiechu ten dowcip nie wywołał. Krafft rejestrował każdy przytoczony argument, ale żadnego z nich nie komentował. Zdawał się być zajęty własnymi myślami. Od casu do casu patrzył przez kilka minut w okno. Dopiero gdy wyczerpały się przeważnie dość mgliste pomysły podchorążych, porucznik znowu się do nich zwrócił. - Nie znajdujecie więc praktycznie nic - powiedział - co by miało jakiś związek z tym tematem. Wasz instynkt was w tym wypadku nie myli. Maszynę wojskową interesuje tylko żołnierz, który służy jej bezpośrednio, nikt poza tym. To oczywiście nie znaczy jeszcze, że zwierzchnicy nie bywają uprzejmi, jeśli stykają się czasem z krewnymi swoich żołnierzy. W czasach pokojowych możliwe jest nawet życie towarzyskie, na przykład bal kompanijny, wycieczka podoficerów wraz z rodzinami, wieczorek w kasynie z udziałem pań. Ale wszystko to działo się już bardzo dawno temu i na razie nie zanoszą się na to, żeby tak szybko powróciło. Krótko mówiąc: rodziny żołnierzy nie figurują w naszym programie - w jednym tylko jednym wyjątkowym przypadku. Jak myślicie, co to za przypadek? Podchorążowie nie mogli zgadnąć. Patrzyli na swego dowódcę obojętnym wzrokiem. Czy ktokolwiek zatroszczył się kiedy o ich rodziny? Dotąd nie. - W pewnym wypadku - powiedział Krafft - oficer jest nawet zmuszony nawiązać kontakt z najbliższą rodziną żołnierza. Mianowicie w razie ciężkiego zranienia lub śmierci. Co się robi w takim wypadku? - Dowódca kompanii lub jego zastępca pisze list kondolencyjny. - A jak ma wyglądać taki list kondolencyjny? Jak wygląda w rzeczywistości? Kto już kiedyś widział taki list? Zgłosił się długoletni podoficer Kramer. - List taki powinien być możliwie obszerny i pisany odręcznie. Tylko w razie dużych strat i długotrwałych działań wojennych dopuszczalne jest użycie maszyny do pisania. - A treść tego rodzaju listów? - Kilka wzorów podano w odnośnej instrukcji. Zasadniczo jednak można powiedzieć: im bardziej osobisty

ton, tym lepiej. Krafft słuchał tylko jednym uchem. Jego nieomal obojętna rzeczowość uwidaczniała tym wyraźniej makabryczne tło tego tematu. - Jakie punkty należy uwzględnić, a jakie pominąć? Podchorążowie przerzucali się zdaniem jak piłką. Przede wszystkim: punkty pozytywne. Zasadniczo: poległ za F~uhrera i Rzeszę. Rzadziej używane: poległ za ojczyznę. Niezmiennie ważne: spełniając wiernie i przykładowo swój obowiązek żołnierski. Mile widziane: niezapomniane. Będzie żył nadal w sercach swoich kolegów. Następnie: punkty negatywne, a więc takie, których należy bezwzględnie unikać. Zasadniczo: nie wskazane przedstawianie cierpień. Możliwie: żadnych szczegółowych opisów przyczyny śmierci. Samo przez się zrozumiałe: żadnej krytyki cech żołnierskich czy ludzkich. W żadnym wypadku nie podawać uwag, które mogłyby wskazywać na niewłaściwą taktykę, a więc na bezsensowne straty. Zasada: śmierć na polu chwały jest śmiercią honorową - śmierć w szpitalu wojskowym, na poligonach czy w ramach innych urzędów wojskowych oczywiście też. Kto umiera, jest z zasady bohaterem. Dlatego wskazana jest „dumna żałoba”. - TAK to jest - powiedział Krafft twardo. - I robi się tak zresztą od setek lat. Sens i forma tego rodzaju listów kondolencyjnych jest zawsze taka sama, zmieniają się tylko niektóre pojęcia. Raz to się nazywa za króla i naród. Innym razem: za cesarza i ojczyznę. Teraz: za F~uhrera i Rzeszę. I zawsze na polu chwały. I nigdy bezsensownie. Zastanówcie się nad tym, jeśli starczy wam odwagi. I na tym koniec na dziś, synowie bohaterów. * * * Grupa szkolna rozeszła się. Został jedynie Rednitz. Podał Krafftowi dziennik i czekał, aż ten skończy wpisywać wykład. Nagle ni stąd, ni zowąd porucznik powiedział: - Rednitz, wczoraj w nocy stawialiśmy grupie wspólnie z kapitanem Federsem końcowe oceny. Kurs dobiega bowiem końca. Chcecie wiedzieć, jak wyście na tym wyszli? - Nie, panie poruczniku - odparł Rednitz szczerze. - Dlaczego nie, Rednitz? - Bo czasem wcale nie wiem, panie poruczniku, czy zależy mi w ogóle na skończeniu tego kursu, czy nie. Są takie chwile, kiedy zaczynam pragnąć, żebym nigdy nie musiał być oficerem. - Rednitz, czy jesteście może zmęczeni życiem? - Jeszcze nie, panie poruczniku. Ale im więcej o nim myślę, tym bardziej bezsensowne mi się ono wydaje, tak jak dziś sprawy stoją. - W takim razie spróbujcie je zmienić. Jesteście jeszcze młodzi. Ja jestem co prawda tylko o kilka lat starszy, ale mimo to jestem już starym człowiekiem: zmęczonym, zużytym, zrezygnowanym. Wy jeszcze jesteście inni, Rednitz. Wam nie wolno jeszcze kapitulować. - Za kilka dni, panie poruczniku, kurs się skończy i rozstaniemy się na zawsze. I większość z nas bardzo prędko zapomni, czego pan usiłował nas nauczyć - pan i kapitan Feders, każdy na swój sposób. Pan uczył nas myśleć i patrzeć, i obudził w nas sumienie. Ale boję się, że mimo to był pan jeszcze za mało wyraźny. No ale to nie leżało już chyba w pańskiej mocy. I dlatego właśnie odechciewa mi się czasem być oficerem. Jeśli nawet taki człowiek jak pan nie potrafi przeskoczyć tych barier, to czego może spodziewać się taki mały człowieczek jak ja? - Rednitz - powiedział porucznik z ciężkim westchnieniem, podając swemu podchorążemu rękę - gdybyście sobie kiedyś w przyszłości mnie przypomnieli, nie żałujcie mnie nigdy. Każdy musi sam stawić czoło swojej doli, bo w decydującej chwili każdy jest sam. Rednitz odszedł. Krafft nie patrzył już za nim. Pewnym ruchem spakował swoje rzeczy. Obrzucił jeszcze szybkim spojrzeniem salę wykładową - jakby się żegnał z nią uśmiechem. Potem i on wyszedł. * * *

* Przed barakiem szkolnym spotkał kapitana Ratshelma, który zdawał się na niego czekać. Ratshelm był mocno zaferowany i jakiś bardzo oficjalny. - Jak panu wiadomo, panie poruczniku Krafft - powiedział - jutro chowamy podchorążego Hochbauera, i to w sposób przyjęty w szkołach wojennych, tak jak niedawno podporucznika Barkowa. Przed pogrzebem odbędzie się uroczystość żałobna. Jest przyjęte, że mowę nad trumną wygłasza dowódca odnośnej grupy szkolnej. - Wiem o tym, panie kapitanie, i jestem na to przygotowany. - Czy nie uważa pan - spytał Ratshelm chłodno i wyzywająco zarazem - że w tych warunkach lepiej byłoby zrezygnować? - Nie sądzę, panie kapitanie - odparł porucznik stanowczo. - Wygłoszę przemówienie, tak jak to jest w zwyczaju. Uważam to za swój obowiązek i obstaruję przy jego spełnieniu. - A toczące się dochodzenia? - Nie interesują mnie, panie kapitanie. Dochodzenie nie jest jednoznaczne z wyrokiem skazującym. Wygłoszę przemówienie, chyba że generał zadecyduje inaczej. Porucznik, lekko się uśmiechając, przyłożył rękę do czapki. Zostawił Ratshelma i oddalił się. Zamierzał jeszcze kilka godzin

popracować razem z Federsem: Musieli wystawić na piśmie końcowe oceny grupie. * * * Feders i Krafft pracowali w kwaterze kapitana. Marion i Elfrieda pomagały im, jak mogły: pisały na maszynach pod ich dyktando. Każda minuta była wypełniona pracą - Krafft nalegał na pośpiech. - Drogi Krafft - rzekł wreszcie Feders - jaki, do diabła, jest cel tej akordowej pracy? Mamy jeszcze osiem dni czasu, a pan zachowuje się tak, jakby zakończenie kursu miało nastąpić już jutro. Kobiety spojrzały po sobie, a potem na Kraffta. Ten zdawał się koncentrować wyłącznie na swoich ocenach. Nie podnosząc wzroku, powiedział: - Zależy mi jedynie na dacie. Oceny powinny być skończone, zanim sędzia Wirrmann zdąży przedstawić zgniłe plody swoich dochodzeń. Rozumie pan? Nic z tego, co na skutek tych dochodzeń wyjdzie na światło dzienne, nie powinno wpłynąć na nasze oceny. A w najgorszym razie musi pan być w stanie przysiąc z czystym sumieniem, że wypisywanie ocen zakończyliśmy znacznie wcześniej. - Jeśli trzeba będzie, przysięgnę na zupełnie inne jeszcze rzeczy, z nie mniej czystym sumieniem. Tu chodzi przecież tylko o to, żeby te ciasne łby, dowódcę kursu i dowódcę oddziału, zmusić do ich własnego dobra. Zawsze przecież utrzymują, że oni pragną tylko dobra. No to niech je mają! * * * Elfrieda i Krafft wyszli od Federsów. Szli obok siebie główną ulicą koszar. Gdy mijali budynek komendy szkoły, Elfrieda powiedziała: - To uroczy ludzie, ci Federsowie, prawda? I są bardzo odważni. - Tak. Odważni jak kot czepiający się tego, kto chce go utopić. I odważni jak tresowany tygrys skaczący przez płonącą obręcz. Takie już jest nasze życie w dzisiejszych czasach! Elfrieda próbowała się przytulić do niego. Wobec ciemności i niezbyt wielkiego ruchu teraz wieczorem na terenie koszar mogła sobie na to pozwolić. Powiedziała cicho: - Zmieniłeś się, Karl. W ostatnich czasach bardzo się zmieniłeś. - No cóż - powiedział Krafft niechętnie - może teraz dopiero pokazuję swoje prawdziwe oblicze. Ale pamiętasz chyba, że cię ostrzegałem. - Karl, to przecież nie był wyrzut. - Jestem beznadziejnym przypadkiem - rzekł szorstko. - I najlepiej byłoby dla ciebie, gdybyś to zrozumiała i wymazała mnie z pamięci... nie będę przyjemnym wspomnieniem. - Nie wysilaj się, Karl - powiedziała czule. - Jesteśmy na miejscu - powiedział, wskazując na budynek, w którym mieszkała. - Dobranoc, Elfriedo. - Chcę zostać z tobą. - Mam dziś w nocy jeszcze sporo roboty. - Czy ja ci przy tym przeszkadzam, Karl? - Dowódca kursu chce ze mną mówić, a to może potrwać bardzo długo. - Zaczekam. Tu na ulicy. Noc nie była mroźna - błękitnoczarne niebo, strzępy chmur i porywisty wiatr zapowiadały odwilż. Na polach topniał śnieg i wsiąkał w ziemię. Zima zdawała się chować w mysią dziurę. Krafft wyrwał się Elfriedzie. - Nie chcesz mnie zrozumieć - zachnął się. - Mogę mówić, co chcę, a ty się uśmiechasz. Próbuję ukazać ci wszystkie niebezpieczeństwa, a ciebie to bawi. Czy jesteś taka pewna, że cię kocham? - Och - odparła - to nie tak. Mnie wystarczy, że ja cię kocham. - Byłoby dobrze, gdyby ci to wystarczyło. - Usiłował nadać swemu głosowi twarde brzmienie. - Nie myśl, że cię kocham. Może kocham ten dziwny zawód, w który tak na oślep wpadłem. MOże nawet kocham tych gamoniowatych podchorążych, bo czuję, że czekają ich cierpienia. A może kocham ten monument w generalskim mundurze, tak jak się kocha marzenie senne. - Tyle rzeczy kochasz - powiedziała beztrasko - i ani jednej kobiety, o którą mogłabym być zazdrosna. Szkoda, że nie widzę twojej twarzy. * * * - Jak panu wiadomo, chodzi mi wyłącznie o sprawiedliwość - powiedział major Frey. I mrugnął do Kraffta na znak, że odnosi się do niego z zaufaniem i w zamian żąda zrozumienia. Jego dekoracyjna bohaterska twarz uśmiechała się machinalnie. Od dnia, w którym przekonał się o niewierności swojej żony, nie potrafił już odczuwać prawdziwej radości. - Również i ja - zapewnił go porucznik Krafft - jestem przyjacielem sprawiedliwości. Major Frey, trochę zdenerwowany, bawił się swoim Krzyżem Rycerskim. Był to zawsze ten sam gest: tak jakby major chciał się upewnić, że symbol jego niezrównanej odwagi ciągle jeszcze istnieje. Dowódca kursu zmusił dowódcę grupy szkolnej do zajęcia miejsca. Zrobił to niezwykle uprzejmie. Niewiele brakowało, a ofiarowałby mu nawet poduszkę pod siedzenie. Odwrócił również lampę tak, aby światło nie raziło Kraffta w oczy. - Cygara? Papierosy? Coś do picia? KOniak, nalewka malinowa, szklaneczka wina? - Dziękuję, tylko całe butelki, jeśli mi pan może którąś odstąpić. Major roześmiał się chrypliwie: usłyszał dowcip. Coś takiego zawsze wpływało dodatnio na jego nastrój. A to by mu się bardzo przydało. Miał bowiem delikatną misję

do spełnienia, a i sukces jej zależał od tego Kraffta. - Tak, mój drogi - powiedział major - a więc jutro chowamy tego Hochbauera. Z wszystkimi prawie honorami wojskowymi: zarządzenie inspektora szkół wojennych, przekazane nam bez komentarza przez pana generała. Tym samym jestem zwolniony z obowiązku zajęcia jakiegoś stanowiska. Znowu Frey obmacał swój Krzyż Rycerski, z oczami utkwionymi w leżącym na stole piśmie od generała. Potem przeniósł ostrożne badawcze spojrzenie na Kraffta i z wysiłkiem ciągnął dalej: - Drogi poruczniku Krafft, chodzi o mowę pogrzebową, do wygłoszenia której pan był przewidziany. - Którą mam wygłosić - poprawił Krafft grzecznie. - Którą miał pan wygłosić, oczywiście. Ale tu właśnie dochodzimy do owej delikatnej sprawy. Czy pan również nie uważa, że powinniśmy to jeszcze gruntownie przemyśleć? - Argumenty kapitana Ratshelma są mi znane, panie majorze. Nie akceptuję ich. Uzależniam jednak moje przemówienie od decyzji pana generała. Czy mogę spytać, czy generał zajął już jakieś stanowisko? - Tak - przyznał major, przyciśnięty do muru - zajął. - A jakie, panie majorze? - Generał się zgodził. Krafft odchylił się do tyłu. - W takim razie wszystko jest jasne. - Zapewne, formalnie tak, zapewne. - Major szukał chusteczki, bo mu ręce zwilgotniały. - Drogi Krafft - powiedział wreszcie - pomówmy jak człowiek z człowiekiem. To nie znaczy, że chcę skompromitować tu kapitana Ratshelma albo że się czegoś boję, ale ten Ratshelm - między nami mówiąc, Krafft - miota się jak oszalały. Nie zawaha się przed niczym. On nawet potrafiłby publicznie poruszyć tę nieszczęsną historię Hochbauera z moją żoną. Sprawa, w której pan wykazał prawdziwy takt, Krafft, to trzeba panu przyznać. Ale jeśli chodzi o Ratshelma, to nie ma co na to liczyć. Ten pójdzie na całego. I może sobie na to pozwolić, bo - również i to mówię panu w zaufaniu, Krafft - złożył podanie z prośbą o przeniesienie na front. POza tym trzyma sztamę z tym sędzią wyższego sądu wojennego. A więc, mój drogi, nie rozdrażniajmy go niepotrzebnie. Lepiej wykazać ostrożność i rozsądek. Pluńmy na tę mowę pogrzebową. Zgadza się pan? - A decyzja generała? - No - powiedział dowódca kursu z ulgą - to jest bardzo specyficzna decyzja. Generał bowiem powiedział dosłownie: „Jeśli Krafft chce, to niech przemawia!” Ale to przecież znaczy całkiem wyraźnie: jeśli pan nie chce, nie musi pan przemawiać. - Bardzo żałuję - odparł Krafft - ale chcę. * * * - W twoim pokoju pali się światło - powiedziała Elfrieda, gdy zbliżali się do baraku grupy szkolnej H. - Prawdopodobnie zapomniałem zgasić. - Ależ nie było cię cały dzień, Karl. - No to może żołnierz, który u mnie sprząta, zapomniał zgasić. Ale bądźmy cicho, nie chciałbym zbudzić moich podchorążych. Weszli do sieni. Pokój Kraffta był na lewo od wejścia. Dolatywały tu jakieś głucho szmery: bulgocąca woda, wiatr obijający się o ściany baraków, rżenie i chrapanie podchorążych. Krafft otworzył drzwi do swego pokoju. W świetle jego lampy, przy jego prymitywnym biurku, zarzuconym regulaminami, siedział generał Modersohn. Siedział nie inaczej niż zwykle w swoim własnym gabinecie: wyprostowany, sztywny, nieprzystępny. Ale tym razem generał się uśmiechał. - Proszę wejść - powiedział. - To przecież pana pokój. Krafft podszedł bliżej i oddał honory. Zrobił to machinalnie. Elfrieda zatrzymała się w drzwiach - nie bardzo wiedziała, co ze sobą począć. - Dobry wieczór, panno Rademacher. - Generał wstał. Spokojnym krokiem podszedł do niej, podał jej rękę i lekko się skłonił. - Panie generale - próbował wyjaśnić Krafft - panna Rademacher jest moją narzeczoną. - Wiem o tym. Gratulowałem już panu z tego powodu, panie poruczniku. Jednakże nie przypominam sobie, by istniało zarządzenie pozwalające oficerom przyjmować swoje narzeczone w kwaterach. - Jeśli pan pozwoli, panie generale - powiedział szybko Krafft - odprowadzę moją narzeczoną do jej kwatery. - Panie poruczniku - rzekł generał z kamienną twarzą - za to naruszenie przepisów muszę pana w każdym razie pociągnąć do odpowiedzialności. Pańska narzeczona więc może równie dobrze zostać. To pójdzie, że tak powiem, i tak na jeden rachunek. Może pani spokojnie zostać, panno Rademacher. Elfrieda uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością. Minęła ich zwinnie, podeszła do łóżka polowego i usiadła na nim. Krafft poczuł, że się rumieni. - Nie będę panu długo przeszkadzał - powiedział generał. Usiadł ponownie przy biurku i dał mu ręką znak, żeby również zajął miejsce. Krafft przyciągnął sobie taboret, usiadł i czekał, co będzie dalej. - Panie poruczniku - rzekł generał - czy pan wie, jakie są zamiary sędziego Wirrmanna? - Tak jest, panie generale. - Czy nie zechciałby się

pan ze mną podzielić tym, co panu wiadomo? - Ten Wirrmann chce mnie rozłożyć, i to tak, żeby pan, panie generale, potknął się o mnie. - świetnie - rzekł Modersohn przeciągle. - Obserwuje pan świetnie, panie poruczniku. I jak się panu zdaje, co ten człowiek osiągnie? - Nic - odparł Krafft z mocą. - Nic, czego ja nie zechcę. - Dobrze - powiedział generał. I jego zwykle tak zimne niebieskie oczy zabłyśły. - Proszę teraz słuchać uważnie, panie poruczniku. I proszę przyjąć do wiadomości, że w tej chwili nie oczekuję z pańskiej strony ani zgody, ani odmowy. A więc: pozwalam panu wyraźnie zakomunikować sędziemu Wirrmannowi, że dałem panu rozkaz wszczęcia dochodzeń w sprawie śmierci podporucznika Barkowa. - Uważam to za niewskazane, panie generale. - Bez komentarzy, proszę, panie poruczniku Krafft. Niech pan to sobie przemyśli. Powtarzam raz jeszcze: dałem panu taki rozkaz. Prosiłem pana, żeby pan zastosował wszelkie możliwe środki. Nie usiłowałem w najmniejszej mierze nawet ograniczać metod, którymi miał się pan posługiwać. Ja sam ponoszę całkowitą odpowiedzialność. Czy to jasne? - Jasne, panie generale. - To wszystko, co chciałem panu dziś powiedzieć, panie poruczniku Krafft. ZObaczmy się jutro, kiedy będzie pan wygłaszał mowę nad trumną. Obecny będzie na pogrzebie nie tylko drugi kurs, lecz cała szkoła wojenna. Ięgnaj pan, Krafft. Do widzenia, panno Rademacher. GEnerał wyszedł. Pochłonęły go ciemności. - Czego on chciał? - spytała Elfrieda, patrząc w ślad za nim. - Chciał mi pomóc w tym, bym pozostał efemerydą. I całkiem świadomie wziął ciebie na świadka, że mogę się spokojnie i z czystym sumieniem wycofać do ciepłego łóżka. Ale ja tego nie chcę! Wpatrywał się w jaskrawe światło i próbował skupić myśli. Potem nachylił się ponownie nad swoim biurkiem i zaczął wypełniać stronę po stronie drobnym, gęstym pismem: pisał mowę pogrzebową. Na jego łóżku polowym leżała Elfrieda i przyglądała mu się zmęczonymi oczami, ze znużonym, zamierającym uśmiechem. Patrzyła w jego poważną, napiętą twarz, pochyloną nad białymi kartkami papieru, patrzyła na jego żylaste ręce, stawiające literę za literą. Krafft oparł głowę na rękach. Wlepił wzrok w próżnię. I z ciemności wokół niego zaczęły wylaniać się obrazy śmierci i nabierać coraz wyraźniejszego kształtu i koloru - ostatnich kolorów ostatniej godziny: gorączkowego, płynącego błękitu, przechodzącego w ziemistą brunatność, wpadającego w niepojętą czerń wygasania. I raz po raz płonącej czerwieni ognia, krwi, zachodu słońca. Elfrieda przeciągnęła się niespokojnie na łóżku, zapadła w bezsenną drętwotę i wreszcie zasnęła, bezgłośnie, z otwartymi ustami. Na twarzy jej malował się uśmiech oczekiwania. - Niczego nie wolno przemilczeć - powiedział Krafft cicho. - Każda nie dopowiedziana prawda jest początkiem kłamstwa. Zmęczony, opuścił ręce. Dwanaście gęsto zapisanych stron leżało przed nim. Czuł się teraz wolny i szczęśliwy, i zmęczony jak jeszcze nigdy. Wstał, rozebrał się i położył obok Elfriedy. Nie otwierając oczu, zrobiła mu miejsce, ale tylko po to, żeby tym samym ruchem przycisnąć się do niego. Jej ręce objęły go, utuliły - i zaczął zapadać się w studnię zapomnienia, głęboko, coraz głębiej, tęskniący do nieskończonej głębi. Zalały go i zgasiły fale szczęścia. Przeżył swoje życie. 32 Wyzwanie losu Trzem grupom szkolnym z szóstego oddziału wyznaczono w tym dniu pracę specjalną: przystosować jako tako salę gimnastyczną do uroczystości żałobnych. Normalnie byłoby to zadanie nietrudne. Ale przedsięwzięciem kierował porucznik Webermann z grupy szkolnej G, tak zwany „owczarek”, który nawet tu bez przerwy poganiał do roboty przydzielonych mu ludzi. Podchorążych jego grupy nazywano „zajacami”, bo ciągle widziano ich w biegu. Poza tym Webermann był urodzonym organizatorem. Jeśli, tak jak w tym wypadku, miał do dyspozycji stu dwudziestu ludzi, to pracowało co najmniej stu z nich - obojętnie, czy chodziło o kopanie latryn polowych, czy o budowanie bunkrów lub pomieszczeń kinowych. W tym dniu zaś była na tapecie uroczystość żałobna. Przede wszystkim: opróżnić salę gimnastyczną! Sprzęt do sąsiednich pomieszczeń albo na dwór! Następnie: wyszorować lub wyfroterować podłogi, wyczyścić okna, omieść ściany! Iadnego obcego ciała! Ani jednej deski w kącie, ani jednego pająka na ścianach, ani jednego pyłku na gładkich powierzchniach! W tym samym czasie przytaskano ściśle według planu wszystkie ławki z kantyn, jadalni i sal wykładowych. Były to tylne rzędy miejsc. Ze zwykłych krzeseł, poznoszonych z tych budynków, ustawiono rzędy środkowe. Na koniec z pokoiów mieszkalnych i kancelarii przyniesiono lepsze krzesła. Te były przewidziane dla panów oficerów, miały tworzyć przednie

rzędy. A dokładnie pośrodku ustawiono szczególnie okazałe krzesło z wysokim oparciem, przytaskane z kasyna - miejsce dla generała. - Co za pompa! - jęczał jakiś podchorąży, który nie wiedział, że jest obserwowany, bo nie widział porucznika Webermanna. Nie mógł go widzieć, jako że ten stał za nim. Ale jego słuch był słynny na całą szkołę. - Po co ta cała heca! - wybrzydzał dalej podchorąży. - Przecież tu chodzi o samobójstwo. - Tu chodzi o ustawienie krzesel! - ofuknął go Webermann. - Myślenie nie jest w tej chwili wcale wskazane. A mielenie ozorem przy pracy jest nawet wyraźnie zakazane. Nie chcę tu słyszeć nic prócz zarządzeń w formie rozkazów! Jasne? - Tak jest, panie poruczniku - zawołał podchorąży i chciał z czterema krzesłami zniknąć natychmiast z pola widzenia „owczarka”. - Stać! - zawołał Webermann nielitościwie. - Będziecie się meldowali u mnie w południe o dwunastej trzydzieści i wieczorem o dziewiętnastej trzydzieści, i to przez trzy dni pod rząd. W mundurze polowym. Porozmawiamy sobie wtedy na temat poczucia obowiązku. Ale nie dość na tym: Webermann nie lubił połowiczności. Włożył do ust gwizdek, który miał zawsze pod ręką, i trzy razy przenikliwie gwizdnął. Wszelki ruch zamarł. A porucznik wołał: - Ustawić się przede mną półkolem, ale biegiem! Podchorążowie zostawili wszystko, zbiegli się do Webermanna i ustawili się przed nim w półkole. - Posłuchajcie, chłopcy! - zawołał do nich, właściwie zupełnie zbytecznie, bo i tak go słuchali. - Tu jakiś baran miał czelność zwątpić w rozum oficera. Nagle strzeliło mu coś do głowy i zapragnął sam myśleć. Coś takiego może się czasem zdarzyć, ale nie wtedy, gdy jego oficerowie już pomyśleli za niego. Bo to, co robi czy każe robić oficer, jest zawsze słuszne. Zrozumiano? - TAK jest, panie poruczniku! - ryknęli podchorążowie chórem. - Przede wszystkim - powiedział Webermann - nie chcę tu słyszeć żadnego gadania o samobójstwie. W końcu nikogo przy tym nie było. A może on akurat czyścił karabin; kto wie, wszystko jest możliwe. A poza tym, panowie, nie jesteśmy tu żadnym kościołem. Chłopak nie żyje, zarządzono uroczysty pogrzeb, i na tym koniec. Wszystko inne gównu was obchodzi. Do roboty biegiem marsz! Podchorążowie rozpiechli się na wszystkie strony. Dekorowali dalej salę: kilka beczek od piwa i na tym deski - tak powstał katafalk. Przy katafalku tuje w kublach, z inwentarza kasyna, oraz świeczniki wypożyczone z kościoła. Na tle tylnej ściany sztandary, między innymi po to, by zasłonić mocno obdrapany szarobiałły mur. Sztandary przy bocznych ścianach - bo sztandarów było do wyboru i do koloru - zakryły również szklaną ścianę. Czerwonawe, przyćmione światło zalewające salę stwarzało zdaniem Webermanna wybitnie uroczysty nastrój. Potem, nie patyczkując się zbytnio, przytaskano trumnę, postawiono ją na katafalku i okryto sztandarem wojennym Rzeszy. Webermann sam wymierzał wszystko calówką, bo był bardzo akuratywny. Trzy razy kazał przesunąć trumnę, zanim wszystko wypadło tak, jak sobie życzył. Potem jednak Webermann spostrzegł się, że brak hełmu. Trumna ze sztandarem, ale bez hełmu - to było w jego oczach czymś takim, jak armata bez pocisku. - Bałagan! - krzyknął. - Zorganizujcie natychmiast jakiś hełm, pierwszy lepszy, jaki wpadnie wam w ręce. Ieby było bardziej uroczyste! * * * światła płonęły - okazałe świece na specjalne zamówienie. Dzięki stosunkom kapitana Katera postawił je do dyspozycji kościół miejski. Przy trumnie stało dwóch podchorążych z grupy szkolnej H w mundurach wyjściowych, nieruchomo, z karabinem u nogi, jeden z jednej strony, drugi z drugiej, między trumną a świecą. Kramer pomyślał o tym, by wyznaczyć na tę wartę honorową Amfortasa i Andreama. PÓwoli sala gimnastyczna zaczynała się zapełniać: wchodził jeden oddział po drugim, w mundurach służbowych. Przyjmował ich porucznik Webermann pod okiem kapitana Ratshelma. Webermann miał opracowany dokładny porządek zajmowania miejsc. Był też jedynym, który się tu szastał zupełnie swobodnie, a nawet dość głośno. - Panowie oficerowie, proszę do pierwszych dwóch rzędów; kapitanowie z przodu, porucznicy z tyłu. Podchorążowie zajmują miejsca od lewej! Szósty oddział pojawił się pierwszy - na piętnaście minut przed ustalonym terminem. Grupa szkolna H siedziała całkiem z przodu, bezpośrednio za panami oficerami. Tu też znajdował się porucznik Krafft, z teczką pod pachą. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Obok niego siedział Feders, dziwnie cichy - nie brał udziału w żadnej z rozmów, prowadzonych przytłumionym głosem. Przybył również sędzia wyższego sądu wojennego Wirrmann; usiadł obok Katera w pierwszym rzędzie, na prawym skrzydle. Podchorążowie porucznika Webermanna ustawili się z

boku na lewo od trumny. Bo grupa szkolna G występowała w roli chóru. Nie był to ani przypadek, ani samowolna decyzja Webermanna - jego podchorążowie byli powołani do tego jak nikt inny w szkole wojennej. U Webermanna bowiem uprawiano śpiew chórally. Nie dlatego, żeby porucznik był specjalnie muzyczny. Kierowały nim motywy natury raczej praktycznej. Śpiew, jak wykazało doświadczenie, sprzyjał dyscyplinie i wzmacniał siłę głosu. Porucznik kazał im więc śpiewać przy każdej okazji, zwłaszcza, że szczęśliwym trafem miał wśród swoich podchorążych przyszłego kantora. Śpiewali ku radości dam oficerskich, w marszu, na wieczorkach koleżeńskich i w święta narodowe. Dlaczego więc nie mieliby śpiewać na pogrzebie? Na pięć minut przed dwunastą pojawił się dowódca II kursu major Frey. Jego orderzy błyszcząły i skrzyły się, jak gdyby je specjalnie na tę uroczystość wypucował sidolem, co wcale nie było wykluczone. Również jego buty lśniły - i w ogóle robił imponujące wrażenie. A ponieważ dowódca I kursu pojechał do Berlina na kolejną odprawę, po której należał mu się krótki urlop, Frey miał prawo czuć się drugim człowiekiem w szkole wojennej. I tak się też czuł; widać to było po nim. Zgromadzeni na znak dany przez kapitana RAshelma powstali z miejsc - ceremoniał nie przewidywał głośnych komend podczas tego rodzaju uroczystości w zamkniętych pomieszczeniach. Mimo to wszystko przebiegało niezwykle precyzyjnie. Frey skinął z uznaniem głową, przyjął meldunek i oddał honory. Następnie dał podchorążym znak, żeby usiedli. Opadli na swoje miejsca jak pociągnięci za sznurek. Teraz major Frey dał małe przedstawienie solo: postąpił o krok naprzód, ku trumnie. Tu stanął na kilka sekund i odegrał cześć i wzruszenie, odwrócony plecami do publiczności, która z podziwem patrzyła na jego potężny, opięty spodniami zad. Wreszcie major Frey, niepostrzeżenie, jak mu się zdawało, ale całkiem wyraźnie dla jego ośmiuset widzów, spojrzął na zegarek. Brakowało jeszcze dwóch minut do dziesiątej. Dlatego dowódca kursu pośpiesznie przerwał swój występ - każdej chwili mógł nadejść generał. O dziesiątej, dokładnie co do sekundy, zjawił się generał Modersohn w towarzystwie swego adiutanta. Wszyscy zamarli i usiłowali spojrzeć mu w oczy swobodnie i otwarcie, jak nakazywał obyczaj. Generał powolnym krokiem przeszedł przed frontem podchorążych. Mogłoby się здаwać, że przygląda się każdemu z oddzielną, jednemu po drugim. To samo chłodne, rozkazujące spojrzenie prześliznęło się po oficerach - nikt nie został przeoczony. I każdy wiedział, że nie został przeoczony. - Zaczynamy! - powiedział generał. Oto tekst przemówienia porucznika Karla Kraffta. Bez skrótów. Przedrukowane z akt sądu wojennego, gdzie figurowało jako załącznik numer 7. - Panie generale! Panowie! Drodzy koledzy! Chowamy dzisiaj zmarłego. Jest to w gruncie rzeczy rzecz najbardziej naturalna w świecie - zwłaszcza w tak wielkiej i bohaterskiej epoce, jak ta, w której wypadło nam się urodzić. Umarli są kamieniami służącymi do brukowania szos, po których kroczy sława. Miliony idą do grobu i nikt nie zwraca na to specjalnej uwagi. Kiedy przychodzili na świat, jęczały przynajmniej ich matki. Ale kiedy opuszczali świat, ich krzyk dławili granaty, rozrywały ich bomby, pokryły ich ruiny. Jeśli mieli jeszcze matkę, płakała być może dopiero po wielu tygodniach - albo nigdy, aby nie zgasić ostatniej iskielki nadziei. Miliony trupów nawoziły przez te kilka lat ziemię. Ludzie przechodzili nad nimi do porządku. Pojazdy wgniatały ich w ziemię, grzebano ich za pomocą łopaty i siekiery - tak jak się zagrzebuje skarby albo odpadki. I trupy te staną się tylko liczbami strat, których nikt dokładnie nie zna. Śmierć zaś wyda się jedynie gigantycznym procesem rozpadu świata trawionego ciężką chorobą. Niekiedy jednak, w czasach zagłady, pali się tej śmierci świecę, gromadzą się wokół niej ludzie, wygłasza się przemówienia, nierzadko pełne największych i najniebezpieczniejszych kłamstw, jakie tylko można sobie na tym świecie wyobrazić. Śmierć jego nie była daremna! - mówi się. Niezapomniany! - chwali się. A śmierć bohaterska, według tego, co się przy takich okazjach mówi, jest najpiękniejszą śmiercią na kuli ziemskiej. Ale z pięknem ta śmierć nie ma nic wspólnego. Ani nie ma bohaterskiego oblicza, ani nie otacza jej tajemniczy blask. Często bywa za to krwawa, brudna i podła. Nie ma najmniejszego powodu chwalić jej, opiewać i sławić. Niczego w życiu, które poprzedziło śmierć, umieranie nie może wymazać. Śmierć nie jest ani usprawiedliwieniem, ani pokutą - jest kresem. Jest jednocześnie przejściem, taką mamy nadzieję; ale tu na ziemi stawia ona ostatnią kropkę. Tylko jedno pytanie można stawiać w obliczu śmierci. I pytanie to nie brzmi:

dłaczego umarł? Lecz: jak żył? My wszyscy, którzy jesteśmy ze śmiercią za pan brat, czy chcemy tego czy nie, czy przyznajemy, że to prawda, czy nie, my wszyscy powinniśmy sobie postawić to pytanie. Powinniśmy to zrobić tak szczerze i tak dobitnie, jak gdyby już jutro miało nas nie być. Zwłaszcza że nasz zawód każe nam nie tylko zabijać, ale jeszcze rozkazywać innym, aby szli na śmierć, więcej nawet, nie możemy nie żądać tego od nich. To jest najokrutniejsze i najciemniejsze pytanie, jakie nosimy w sobie; i jest ono tak stare, jak sama ludzkość. To, co robimy i musimy robić, jest sprzeczne z dziesięcioma przykazaniem, którym przuypisujemy pochodzenie boskie. Jeśli idzie o to pytanie, to każdy z nas musi je z Bogiem sam na sam rozstrzygnąć - jeśli nie tu na ziemi, to w innym, miejmy nadzieję, że lepszym świecie. Ale od odpowiedzialności wobec ludzi nikt nas nie uwolni, nawet Bóg. I nie możemy jej sprostać dopiero w zaświatach - musimy jej sprostać tu i dziś. Każdy z nas. Jesteśmy żołnierzami - albo też wierzymy w to lub udajemy, że jesteśmy żołnierzami. Nieważne, czy jesteśmy oficerami, czy podchorążymi. Odpowiedzialność każdego z osobna wzrasta być może wraz z jego stopniem służbowym, ale istota jej się nie zmienia - jest niepodzielna. Jesteśmy żołnierzami! Były takie czasy, koledzy, kiedy zawód żołnierza wydawał się jasny i prosty. Najważniejszym hasłem było wówczas: służyć - strzec - chronić! I jeśli nawet natura ludzka nie dopuściła nigdy do pełnego rozkwitu tych pojęć - faktem jest, że warto było zgodnie z nimi postępować. Były one nie tylko marzeniem żołnierza, miały być treścią jego życia. Służyć! To zakłada skromność. To jest sam czyn, a nie blask, który go być może otacza. Strzec! To jest nie do pomyślenia bez zrozumienia prawdziwych wartości. Do nich należy poczucie piękna, tak samo jak pokora w wierze. Chronić! Co to znaczy, wie tylko ten, kto umie kochać. A ktoś, kto kiedyś w życiu kochał - jakże może zabijać, nie doznając głębokiego wstrząsu? żołnierz musi chcieć służyć ludzkości i życiu. Kto zaś prawdziwie kocha swój kraj, swój naród, swoją ojczyznę, ten musi też wiedzieć, że inni tak samo kochają swój kraj i są gotowi do nie mniejszych ofiar niż on. Dlatego życie żołnierza jest tak niewymownie ciężkie, że sens mogą mu nadać tylko pokora i cisza. Tę cichą pokorę próbowało kiedyś określić powiedzenie, które brzmiało: BYć czymś więcej, niż się na pozór wydaje. Nie było to określenie wyczerpujące, ale było dobre. Wskazywało drogę. Nie ma ono nic wspólnego z ideologią, z którą związują się wojskowi, aby wraz z nią prosperować. Działanie żołnierza nie może się ograniczać do maszerowania, zwycięzania i śpiewania. Również i jemu wolno sobie wyobrazać, że wobec Boga tysiąc lat to jeden dzień. I musi wiedzieć, że jego matka nie jest jedyną matką na świecie. TA wiedza będzie dla niego strasznym ciężarem. Ale strasznym ciężarem jest być żołnierzem - chyba że się jest zbrodniarzem albo idiotą. Pustym gadaniem jest przeważnie to, co mówi się o tradycjach. Tradycja nie jest celem samym w sobie. Nie sztandary, formy, miejsca bitew i nazwiska bohaterów są ważne, lecz wiedza o czynach, które zrodziły się nie z chęci zysku. I jeśli upominają nas zmarli z dawnych czasów, to nie po to, byśmy szukali śmierci - lecz życia. Wydawać rozkazy jest łatwo. Dawać przykład swoim życiem jest trudno. A najtrudniej jest: służyć bezinteresownie. Ale to jest niemożliwe, jeśli nie istnieje już nikt i nic, co by mogło nadać sens tej służbie. Bo sensem życia nie jest przecież dach nad głową, kura w garnku czy samochód w garażu. I nie żyje z sensem ten, kto zdobywa sobie przestrzeń życiową, idąc po trupach. Prawdziwy żołnierz nie kracze wraz z wronami. Jeżeli nie szuka sensu swego istnienia, nie ma w ogóle racji bytu. Nie jest przecież chłopcem na posyłki dla polityków żądnych władzy. żołnierz musi umieć powiedzieć „tak”, kiedy myśli „tak”. Ale jeśli jest wielu takich, co mówią „tak”, a myślą „nie”, jeśli są oni zmuszeni mówić „tak”, mimo że myślą „nie”, albo jeśli mówią „tak” dla kariery czy dla wygody, dla zysku, podczas gdy sumienie mówi im „nie” albo milczy, wówczas można powiedzieć, że duch żołnierski umiera. I nie tylko duch żołnierski. Nastaje wówczas czas masowego umierania. Kiedy umiera sumienie, przestaje żyć ludzkość. Nie zwycięstwo odsłania prawdziwą twarz żołnierza, dopiero klęska czyni ją wyraźną. Zwycięzać potrafi również dziki zwierz. Ale żeby zdać sobie sprawę z klęski i umieć spojrzeć jej w oczy, na to trzeba więcej niż odwagi Mameluków. To potrafi tylko ten, kto zachował jeszcze choć iskierkę zdrowego rozsądku. Lecz ilu jest takich, którym starczy na to odwagi? Bo wielki jest strach, że mogłyby wyschnąć Źródła, z których się żyje. Po wygranej grozi strata.

Rzekomi żołnierze okazują się hazardzistami. Są co najwyżej wojskowymi i jako tacy mniej lub bardziej wprawnymi rzemieślnikami zagłady - i jako tacy zasługują na najgłębszą pogardę. Tam gdzie pojęcie żołnierstwa zaczyna tracić swój istotny sens, tam gdzie żołnierz przestaje być prawdziwym żołnierzem, tam wychodzą na światło dzienne mordercy. Tam wyzwala się nienawiść. Tam przeciwnicy przemieniają się we wrogów, a wrogowie w demony. Własna strona wówczas jest z zasady zawsze dobra i z zasady zła jest strona przeciwna. Prawem staje się to, co pożyteczne jest dla nas, bezprawiem wszystko, co przeszkadza nam zwyciężać wszelkimi sposobami i za każdą cenę. I to jest przyczyną, że żołnierz kłamie - oficer, podchorąży, obojętnie. Okłamuje sam siebie. Nie chce uwierzyć, że to, co robi, jest bezsensowne, że stało się albo że zawsze było bezsensowne. A kiedy wreszcie musi to uznać, nie ma już odwagi przyznać się do prawdy. I wtedy przychodzi najgorsze: przemilcza to, co wie, przed swoimi żołnierzami. Również ich okłamuje. Ale wtedy wszystko się wali, jak dom starty na proch przez bombę. I ten, któremu się zdawało, że jest żołnierzem, przekonuje się, że był zbrodniarzem. Sługa idei stał się zbrodniarzem w służbie ideologii. A przy tym wszystko jest takie proste: żołnierz musi się przyjrzeć temu, komu ma służyć. Kto z otwartymi oczyma służy zbrodniarzowi, ten staje się współwinowajcą. Kto jednak jest człowiekiem dobrej woli, ale nie umie odróżnić zbrodniarza od żołnierza służącego sprawie, ten ginie przez swoją ślepotę, głupotę lub obojętność. Bywają czasy, kiedy naród daje się uwieść; lecz kiedy wychodzi na jaw, że są to czasy kłamstwa i zbrodni, nie można już zadowalać się wygodnymi półprawdami i tchórzliwym chowaniem głowy w piasek: mordercy nie mogą spłodzić nic prócz mordu. A w gruncie rzeczy sprawa jest jeszcze prostsza, koledzy. Prawdziwy żołnierz gardzi krótkotrwałą sławą. Więcej: tania sława zawstydzą go. Jeśli żołnierze stają się lancknechtami bez sumienia, czekającymi jedynie na to, by o nich mówiono, choćby tylko przez kilka godzin, sankcjonującymi zbrodnię tylko dlatego, że zawdzięczają jej tytuły i honory, to jest to winą i klęską tych, co zdradzili istotę pojęcia „żołnierz” - choćby nawet zdradzili ją ze słabości: bo byli bezradni i bezsilni, i głupi jak barany. Prawdziwy żołnierz, koledzy, ma poczucie odpowiedzialności. I żyje w cieniu. Chce służyć. A śmierć niczego nie załatwia. Nie jest uniewinnieniem. Nie zwalnia od odpowiedzialności. Jak się żyje - jedynie to jest decydujące. Spróbujmy, koledzy, żyć jak żołnierze. Jeśli w ogóle to jeszcze potrafimy.” * * * Przemówienie porucznika Kraffta spadło na jego słuchaczy jak grom z jasnego nieba. Upłynąć musiał jednak jakiś czas, zanim się połapali, że dzieje się tu coś niezwykłego. Większość bowiem miała grubą skórę, niewrażliwą na burze. I komu zresztą mogło przyjść do głowy, że można tak przewrotnie wykorzystać skromną mowę pogrzebową? Pierwszą reakcją było tu i ówdzie zdumienie, po którym słuchacze wpadli w zwykły w takich razach stan tępej bezmyślności. Niektórym zdawało się, że się przesłyszeli. To było jedyne możliwe wytłumaczenie. Kto bowiem w wielkoniemieckiej Rzeszy pozwalał sobie na takie wysoki, jeśli nie zamierzał pożegnać się z życiem? Dopiero w kilka minut później sala zaczęła reagować inaczej. Dalsze słowa Kraffta wprawiły ludzi w osłupienie. Najpierw ocknęło się tylko paru oficerów i podchorążych. Jeden z niedowierzaniem potrzasał gwałtownie głową, jak gdyby mu się zdawało, że śni. Ale ci, którzy byli jeszcze zdolni do myślenia, zaczęli się powoli prostować i słuchać z zainteresowaniem. Jeszcze byli skłonni uwierzyć, że mówca pozwolił sobie tylko na parę nie przemyślanych i niefrasobliwych uwag, z których się niebawem wycofa, aby nadać im sens wprost przeciwny, niewinny. Jednym z pierwszych, którzy zaczęli się całkiem wyraźnie niepokoić, był kapitan Ratshelm. Wzburzony szturchnął w bok Katera. Ten ocknął się z półdrzemki i początkowo był tylko zły - nie na Kraffta, lecz na Ratshelma. Ale potem i on otworzył szeroko oczy i uszy. Ratshelm wiercił się na swoim krześle i chrząkał. Rozglądał się na wszystkie strony sugestywnym i rozkazującym wzrokiem, jak gdyby szukał współczujących serc, które podzielały jego oburzenie. Wreszcie pochylił się do przodu, chcąc skłonić majora Freya do wypowiedzenia się. Major ze swej strony oglądał się na generała Modersohna. A ten siedział na swoim krześle z wysokim oparciem bez ruchu, jakby wyrzeźbiony z drzewa, podobny do średniowiecznej figury z ołtarza. Tylko że twarz jego nie była ciemna, soczystobrązowa, lecz szarobiała. Jego nieruchome oczy patrzyły w napięciu gdzieś w dal.

Nie tylko major Frey szukał spojrzenia generała. Inni oficerowie robili to samo, ze wzrastającym niepokojem. Siedzieli na swoich krzesłach gotowi do skoku. Jedno skinienie generała, jeden skąpy gest, jedno słówko wypowiedziane półgłosem, a skoczą na równe nogi jak jeden mąż. Ale gest ten jakoś dotąd nie nastąpił. Feders oparł się o swoje krzesło i rozkoszował się tym rzadkim widokiem: uśmiechał się nieomal uszczęśliwiony. Od czasu do czasu patrzył pobłaźliwie na sędziego wyższego sądu wojennego Wirrmanna, który siedział blisko niego i skrzętnie notował. Palce Wirrmanna tylko śmigały po papierze. Z wysiłku i triumfu aż dostał zadyszki. A kiedy mówca zrobił krótką pauzę, sędzia jęknął: - To już ostatni gwóźdź do jego trumny! - Niesłychane - syczał Ratshelm, trzęsąc się - to po prostu niesłychane! W tym momencie generał się poruszył. Powoli odwrócił głowę w stronę Ratshelma. Zdenerwowani oficerowie śledzili każdy jego ruch. Zimne, władcze oczy patrzyły przez kilka sekund na kapitana z druzgocącą pogardą. Ratshelm skulił się w sobie. Oficerowie starali się nie patrzeć generałowi w oczy. Udawali, że słuchają tylko mówcy. Zdradzić się z jakąś reakcją uważali za nie wskazane - po generale też nie było widać, jaką reakcją wywołują w nim słowa Kraffta. Tak więc słuchali tych dziwnych wywodów w zafascynowanym milczeniu. I byli pewni, że epilog tej afery będzie straszny! Gdy Krafft skończył, złożył kartki swojej mowy i nie patrząc na nikogo, wrócił na swoje miejsce. W sali zaległa paraliżująca cisza. Każdy krok porucznika słyszeć było tak wyraźnie, że było to wprost męczące. Potem generał wstał - powoli, jakby z trudem, jakby miał bóle. Prześliznął się oczyma po twarzach oficerów, którzy również podnieśli się z miejsc. Generał zobaczył twarze blade, skrzywione, skurczone - wyczytał w nich przerażenie, bezradność, niepokój. Wtem Feders sięgnął nonszalancko po notatki sędziego wyższego sądu wojennego. Był to ruch tak nieoczekiwany, że Wirrmann nie miał czasu Federsowi przeszkodzić. - Bardzo interesujące - powiedział Feders. A potem, niby nieumyślnie, upuścił kartki na ziemię. Spadły na podłogę, poleciały pod krzesła, między buty oficerów. - Rozejść się - powiedział generał; i zdawało się prawie, że się przy tym uśmiecha. Oficerowie ruszyli ławą. W dzikim pośpiechu, byle tylko się czym prędzej znaleźć na dworze, stratowali notatki sędziego wyższego sądu wojennego. Wirrmann, wydając z siebie charczące dźwięki, upadł na kolana, aby zebrać swoje notatki. Kapitan Feders udawał, że mu skwapliwie w tym pomaga. Kiedy jednak się z tym uporali, brak było co najmniej trzech kartek. - Chętnie służę pomocą - powiedział Feders uprzejmie - przy rekonstrukcji tego budującego przemówienia, panie sędzio. Pańskie dokumenty są teraz niestety zdekompletowane, ale mam nadzieję, że to panu nie popsuje konceptu. - Już ja sobie poradzę! - zawołał Wirrmann wściekły. - Choćby mi została tylko jedna jedyna kartka, wystarczy, żeby go zaprowadzić na szubienicę! * * * TEgo samego wieczoru porucznik Krafft został aresztowany. 33 Ostatnia noc Od dwóch dni siedzieli w Wildlingen nad Menem, w „Gospodzie pod Słońcem”: oficer nazwiskiem Bogenreuther i dwaj podoficerowie tajnej żandarmerii polowej, Stranz i Runke. Bezpośredni podwładni sędziego wyższego sądu wojennego Wirrmanna, do jego specjalnych poleceń. Ich samochód - mocno wysłużony sześciuosobowy wóz - stał przed bramą. Oni sami siedzieli w drugiej tylnej salce i czekli. Grali w skata - również już od dwóch dni. - Nie powiem, żeby to było nudne - wyznał pierwszy. - Ale wolałbym solidną robotę. Pozostali nie odpowiedzieli. Patrzyli na swoje karty z czułym zainteresowaniem: pokojowo usposobieni obywatele przy niewinnej partyjce. Dobroduszny śmiech i pocziwe wejrzenie; również wtedy, kiedy próbowali zaglądać partnerom w karty. - Czas już, żeby Wirrmann się czymś wykazał, jeśli chce pozostać na swoim stanowisku - powiedział drugi, starannie układając swoje karty. - W ostatnich czasach jakoś nic porządnego mu się nie trafia. Mogą mu to poczytać za nieudolność. - W ostatnim miesiącu miał w każdym razie na liście dwóch plutonowych. - To wszystko drobne płotki - powiedział trzeci lekceważąco. - Ostatnio przecież sędzia generalny oświadczył: Wróg państwa nosi wysokie dystynkcje. Uśmiechnęli się do siebie. Cywilne ubrania, które mieli na sobie, nadawały im przyzwoity mieszczański wygląd. Jeden wyglądał na dość solidnego kupca przy piwku wieczornym. Drugi mógł być statecznym urzędnikiem: kasjer miejski, stanowisko wymagające zaufanego człowieka, co tydzień rozliczenie. Trzeci natomiast mógłby być kierownikiem dobrze prosperującego warsztatu, nieco prymitywny, być może, ale dusza człowiek.

Jego gardłowy śmiech był zaraźliwy. - Bez nas ten cały Wirmann niewart funta kłaków - powiedział. - On się zgrywa na tak zwanego intelektualistę, to nie jest człowiek praktyki. Ale my mu już przerobimy jego ludzi. Powinniśmy się napić po jednym na tę intencję; na koszt Wirrmanna, rozumie się. - Najpierw skończymy tę partię - powiedział kasjer miejski. Pozostali dwaj posłusznie skinęli głowami. A więc to on był oficerem. Drzwi otworzyły się, zajrzał gospodarz i powiedział: - Jeden z panów proszony jest do telefonu. Ten o wyglądzie kasjera miejskiego wstał. Zabrał ze sobą swoje karty. Poza tym pozostawił drzwi otwarte, aby móc z sąsiedniego pokoju obserwować swoich partnerów. Dbał o to, by nie mieli okazji do szachrowania. Kiedy wrócił, mrugnął porozumiewawczo. - Wirmann ma jednego - powiedział. - I to oficera, chociaż tylko porucznika. - W każdym razie to już postęp. Ale najpierw skończymy oczywiście naszą partyjkę. - Nie - powiedział oficer tajnej żandarmerii polowej i rzucił swoje karty, które i tak nie rokowały nadziei na wygraną. - Służba ma pierwszeństwo, zwłaszcza że Wirmann wspomniał, że noc może być długa. - Jeśli to tak - powiedział jeden z podoficerów pogodnie - no to jazda do zabawy! Ale co to znaczy długa noc? Jak będzie trzeba, to załatwię jednego na godzinę. Pozostali wybuchnęli serdecznym, wesołym śmiechem. * * * Krafft stał na środku swego pokoju i rozglądał się. Elfrieda siedziała na jego łóżku i patrzyła na niego posępными oczami. Na stole - pod lampą - stała walizka, do połowy napełniona rzeczami. - Wezmę chyba tylko rzeczy niezbędne - powiedział Krafft zamyślony. - Nie chcę się niepotrzebnie obciążać. - Powinieneś zabrać co najmniej dwie pary skarpetek - powiedziała Elfrieda; usiłowała mówić zupełnie spokojnie. Krafft popatrzył na nią przez moment, potem wsunął głowę do szafy i wyjął dwie pary skarpetek - zakłopotany, ociągający się i posłuszny jednocześnie. Wrzucił je do walizki. Potem odwrócił się do Elfriedy i powiedział szorstko: - No to zaczynaj. Rób mi wyrzuty! Wolałbym, żebyś mnie zwymyślała, niż żebyś mi pomagała pakować walizkę. - Spodnia bielizna jest zawsze ważna - odpowiedziała na to Elfrieda. - Zwłaszcza o tej porze roku. Na twoim miejscu zapakowałabym dwa komplety. - Nie mam dwóch kompletów. - NO to ci się o nie postaram i przyślę. Krafft patrzył na nią wzruszony i pełen niepokoju - spodziewał się po niej innej reakcji. Powiedział jej: Muszę wyjechać. A ona mu odpowiedziała: No to pomogę ci się pakować. Krafft rzucił okiem na swoje skąpe mienie: dwa mundury, trochę bielizny, dwie pary oficerek i jedna para pantofli; do tego kupka książek i plik zapisanych kartek. To wszystko, co miał, po pięciu latach wojny. - Weź książki do siebie - powiedział - i moje papiery też. - Dobrze. - Możesz je spalić, jeśli... jeśli chcesz. - Możesz na mnie polegać. - Elfrieda - powiedział z uporem, zbliżając się do niej - dlaczego nie pytasz: Jak to wyjeżdżasz? Dlaczego nie chcesz wiedzieć: Na jak długo wyjeżdżasz? - Po co mam pytać? Znam odpowiedzi. Chciał ująć jej dłonie. Ale w połowie tego gestu zatrzymał się - zastygł i zaczął nad słuchiwać: usłyszał kroki. Głośne, coraz bliższe kroki. Elfrieda próbowała uśmiechnąć się do niego. - Zdaje się, że już nadszedł czas - powiedział. Po tych słowach wyprostował się i spojrzął na drzwi. Drzwi otworzyły się. Stał w nich sędzia wyższego sądu wojennego Wirmann. Mrugając oczami, zajrzał do środka, zamknął drzwi za sobą, ale tak, że zostawił szparę. - Przychodzi pan dość późno! - zawołał Krafft. - Czekam na pana już od dłuższego czasu. - Tym lepiej! - rzekł Wirmann, trochę zaskoczony. - Tym lepiej! Mam jednak nadzieję, że traktuje pan swoją sytuację z należytą powagą i nie wpadnie pan na pomysł, że ze mną można uprawiać jakąś podejrzaną grę. Czy mogę spytać, co tu robi ta młoda dama? - Moja narzeczona. Mam nadzieję, że wolno mi się z nią pożegnać? - Oczywiście. W końcu nie jesteśmy potworami. Ale proszę to zrobić krótko i bezboleśnie; mamy jeszcze dziś w nocy dużo roboty. - Jakiej roboty, jeśli wolno spytać? - Opracujemy wspólnie pańskie zeznania, panie poruczniku Krafft. I to nam się musi udać, choćby nie wiem jak się pan wzbraniał. Jak się pan chyba domyśla, nie spędziłem dnia beczynnym. Zebrałem cały stos zeznań; są wśród nich zeznania niezbite, bardzo obciążające. Niech mi pan wierzy, znam się na swoim fachu. Ale jedno powiem panu od razu: Pan będzie zeznawał! Wszystko, co zechcę. Choćbym miał pana całymi tygodniami urabiać. - Ależ proszę pana - powiedział Krafft z uśmiechem - jeśli tylko o to chodzi, to może pan dostać ode mnie każde zeznanie, jakie pan tylko zechce. - Rzeczywiście? - spytał sędzia nieomal zmieszany. - I nie będzie

pan nawet próbował wyprzeć się swojego antypaństwowego, zdradzieckiego przemówienia, czy choćby je osłabić? - Wiem - powiedział Krafft pobłażliwie - pan zgubił część swoich notatek. To oczywiście niedobrze. - Zrekonstruujemy to przemówienie! - zawołał Wirrmann. POMAgają mi już w tym oficerowie, którzy mają poczucie odpowiedzialności. A w końcu ja sam jestem świadkiem! - Ależ po co się niepotrzebnie denerwować! - powiedział Krafft drażniący pogodnie. - Może pan dostać całe przemówienie ode mnie. Schowałem dla pana jego tekst, panie sędzio. Po tych słowach Krafft sięgnął d za lewy mankiet i wyjął manuskrypt swego przemówienia. PODAł go Wirrmannowi, który rzucił si zachłannie na rękopis. Podniecony, przebiegał wzrokiem gęsto zapisane kartki, i w oczach jego był triumf. Krafft odwrócił się do Elfriedy. Podał jej rękę i powiedział: - łegnaj, Elfriedo. Dzięki ci za wszystko. Za to, że istniałaś w moim życiu. To było szczęście. Elfrieda trzymała jego dłoń tylko przez kilka sekund. Potem usiłowała uśmiechnąć się do niego, tak jakby chciała mu pokazać, że nie płacze. Nie byłby z tego zadowolony - wiedziała. I powiedziała dzielnie: - Do widzenia. - Więcej nie mogła z siebie wydobyć. I nie przestawała się uśmiechać, póki mógł ją widzieć. Sędzia Wirrmann zaś podniósł rękopis przemówienia Kraffta do góry i zawołał: - Jaki pan ma cel w tym? Co się za tym kryje? Dlaczego pan mi daje to przemówienie? Czy to któryś z pańskich kruczków? - Chodź pan - powiedział Krafft, zamykając walizkę. - Nie każmy za długo czekać pańskim szpiclom w korytarzu. - Przejrzałem pana! - zawołał Wirrmann oburzony. - Pan chce mnie wystrychnąć na dudka! Chce pan kryć generała! Pan się wziął, żeby mi szyki popsuć! Porucznik Krafft wziął walizkę i wyszedł, nie obejrzawszy się ani razu za siebie. Sędzia polecał za nim. Drzwi zatrzasnęły się. Dopiero wtedy Elfrieda wybuchnęła niepohamowanym płaczem. * * * Kapitan Feders około godziny dwudziestej drugiej - w zastępstwie dowódcy grupy - obchodził kwatery podchorążych. Widział zalęknione, blade, niespokojne twarze. PODOchorążowie grupy szkolnej H podzielili się na obozy. Tu kręciły się owczarki żądne czynu, tam bojaźliwie tłoczyły się w kącie owce. A wokół jednych i drugich czały si wilki. - Panie kapitanie - spytał poufale starszy grupy Kramer - czy kurs zostanie teraz po prostu przerwany, czy też na ten czas, jaki nam do końca pozostał, dostaniemy jeszcze trzeciego dowódcę czy co? - Kramer - powiedział kapitan Feders, ożywiając się - nie martwcie się tym. Bo że główna część grupy składa się z baranów, to może stwierdzić również jeden oficer. MOżecie spokojnie pozostawić to mnie. Tym samym Kramer został skreślony z listy Federsa. I nie on jeden. Bo kto w tragicznej sytuacji myślał tylko o sobie i o ewentualnych skutkach dla siebie, ten według niezachwianego przekonania Federsa nie był godny dowodzić nawet jednym jedynym żołnierzem. To już wolał takie typy jak Amfortas i Andreas - ci otwarcie obnosili się ze swoją satysfakcją. Ich prawo. Znowu powiał dla nich sprzyjający wiatr. Inaczej było z wieloma innymi: ostrożna ciekawość, udawana obojętność, drażący niepokój, wszystko to z trudem ukrywane za parawanem dyscypliny. Niektórzy leżeli już w łóżkach i bawili się w strusia. Inni stali w sztywnej, kurczowej postawie, gdy Feders przyjmował meldunek. - Jeszcze jakieś pytania? - pytał Feders, zanim opuścił daną izbę. Nikt nie odważył się wystąpić z pytaniem, które Feders chciał usłyszeć. Zasmuciło go to, jego uśmiech stał się o kilka odcieni bardziej ponury. Ale potem zaczął sobie wmawiać, że to jego własna wina, jeśli nikomu nie przychodziło łatwo okazywać mu zaufania: traktował ich zawsze jak owce. Ale, do diabła, czyż nie byli owcami? Czyż ich reakcje nie świadczyły o tym aż nazbyt wyraźnie? Potem jednak - na zakończenie obchodu - wszedł do izby nr 7. Pierwsza rzecz, jaką zobaczył, to całe kłęby dymu. W tych kłębach dymu siedziało siedmiu podchorążych. Podnieśli oczy na niego. Pierwszy wstał Rednitz i otworzył usta, żeby się zameldować. - Nie róbcie niepotrzebnego hałasu - machnął na to ręką Feders. - Smród, który tu produkujecie, jest już wystarczająco drażniący. Brakuje wam tylko jeszcze alkoholu, żebyście mogli sobie wypić na odwagę. Jeden z podchorążych pospiesznie otworzył okna. Pozostali otoczyli swego wykładowcę taktyki, ten postrach szkoły; Feders mierzył ich od stóp do głów, tak jakby zamierzał przeprowadzić lekcję, przyciągnął sobie taboret i usiadł. Również podchorążowie po krótkim wahaniu usiedli. Kapitan przyglądał się swoim żołnierzom, a żołnierze przyglądali się swemu kapitanowi. Wreszcie Rednitz powiedział: - Rozmawialiśmy o tym, panie kapitanie, czy

powinniśmy pójść do pana. - I do jakiego doszłicie wniosku? - Byliśmy wszyscy za tym - powiedział Weber. - Pięknie. - Feders skinął głową. - Chcieliście przyjść do mnie, a ja przyszedłem do was. Niezły początek jak na rozmowę, co? A więc, o co chodzi? - Panie kapitanie - powiedział Rednitz - chodzi o pana porucznika Kraffta. Martwimy się o niego. Czy pan już słyszał, panie kapitanie, że porucznik Krafft został jakieś pół godziny temu aresztowany? - Słyszałem i spodziewałem się tego. - Uważamy, że to niesłychane świństwo. - Ja też tak uważam, przyjaciele. Ale co z tego wynika? - Nie pozwolimy na to, panie kapitanie - powiedział Rednitz. A siedzący wokół niego podchorążowie kiwnęli potakująco głowami. Kapitan patrzył na nich z pewnym wzruszeniem, którego jednak nie okazywał. Znikł tylko jego ironiczny uśmiech. Przyglądał się jednemu po drugim: wątlemu Rednitzowi z mądrymi oczami, krępemu Weberowi, chytremu M-oslerowi, uczciwemu Bergerowi, G-undlerowi i Cremelowi. I pomyśleć - ci dwaj ostatni, takie ciche wody, o których utarła się opinia, że odpowiadają tylko wtedy, kiedy się ich pyta, i robią tylko to, co im każą, a jednak! Ci wszyscy chłopcy, których Feders miał przed sobą, byli zdecydowani działać na własną rękę - nie wiedzieli tylko, jak to zrobić, żeby z tego coś wyszło. - A więc - powiedział Feders - słyszę ku memu szczeremu zdziwieniu, że istnieją rzeczy, na które wy nie pozwolicie. Rzeczy zainicjowane przez wysoki sąd wojskowy za zgodą lub co najmniej milczącą sankcją szeregu wyższych oficerów, rzeczy uchodzące w naszym państwie za coś zupełnie normalnego. Ale wy nie chcecie na to pozwolić. - Tak - powiedział M-osler - tak jest. - Popatrz, popatrz! - Feders złożył dłonie, co świadczyło u niego o głębokim zadowoleniu. - Jeśli tak jest naprawdę, istnieje na to bardzo brzydkie i brzemienne w skutki słowo, które was wszystkich może kosztować głowę. Słowo to brzmi: bunt. Podchorążowie nie przestraszyli się. Nie udało się Federsowi ich zaskoczyć. Kapitan czuł, jak ogarnia go jakaś czysta radość: te chłopaki zaczynały samodzielnie myśleć. Co za sukces! - Panie kapitanie - powiedział Rednitz - mamy wszelkie powody, żeby przypuszczać, że zachodzi tu pomyłka sądowa. I jeśli różni wyżsi oficerowie nie interweniują, to dlatego, że nie znają dokładnie tej sprawy. Ale my ją znamy. I dlatego zdaje się nam, że musimy działać. - Bravo! - zawołał Feders rozweselony. - A więc chcecie działać! A jak chcecie działać? Za jaką cenę? - Za każdą! - zawołał Weber i uderzył prawą pięścią w otwartą lewą dłoń. - To znaczy - wtrącił Rednitz - że jesteśmy zdecydowani nie zmarnować żadnej szansy. Między innymi chcemy wszyscy złożyć zeznania w obronie porucznika Kraffta. A pana, panie kapitanie, prosimy, żeby nam pan to ułatwił. Chcieliśmy także prosić o pouczenie nas, jak mamy się zachować, żeby było dobrze. - Dalej - powiedział Feders, składając ponownie dłonie - tylko tak dalej! A poeta B-ohmke zawołał z nadspodziewaną śmiałością: - Bo jeśli aresztują naszego porucznika tylko za to, że wypowiedział otwarcie wielką prawdę, to z tego wynika, że trzeba by spalić Goethego. Bo ten mniej więcej miał to samo na myśli, kiedy w „Fauście” pisał: „Nazbiegałło się tej wiary@ na ten hejnał zakłamanym@ pod samozwańcze sztandary@ tłumy wałą jak [barany...@](#)” Ten ogniście zadeklamowany cytat speszył trochę słuchaczy. Weber pokręcił głową i powiedział trzeźwo i poważnie: - Wszystkośmy dokładnie zbadali. Pewne jest jedno: sędzia przywiózł ze sobą jednego oberszpicla i dwóch szpicłów. Zarekwirowali na dole w miasteczku jedną celę więzienną. Tam siedzi teraz porucznik. I tam rządzą się teraz ci faceci. Krótko mówiąc: paru takich mocnych chłopaków jak ja, i wymieciemy tę stajnię! - Wspaniale - powiedział Feders ze śmiertelną powagą. - A co dalej? - Tak - powiedział M-osler, puszczając wodze swej fantazji. - Potem zorganizujemy samochód i odwieziemy porucznika Kraffta do granicy szwajcarskiej. Nad Jeziołem Bodeńskim podobno istnieją jeszcze możliwości przejścia. - Dla kogo właściwie? - spytał Feders. - Dla pół grupy szkolnej Heinrich, z wykładowcą taktyki włącznie? Zabawni jesteście! - A potem zawołał gniewnie: - Nie zdalicie egzaminu! To nie jest zabawa w Indian, jak u Karola Maya. Jesteście frajerzy z zaśmieconą wyobraźnią. Koniec! Wykład skończony. - Czy pominęliśmy coś ważnego, panie kapitanie? - spytał Rednitz. - Owszem! Zapomnieliście o najważniejszym. Zrobiliście rachunek bez gospodarza! Nie pytaliście o zdanie porucznika Kraffta. Chcecie tu urządzać cyrk ponad głową człowieka, o którego chodzi. Bo jak wam się zdaje, co za człowiek z tego Kraffta? Marzyciel, który na ślepo brnie w jakieś awantury? Fanatyk, który wali

łbem o wszystkie ściany? Fajtlapa, któremu w decydującej chwili robi się miękko w kolanach? Przyjaciele, ten człowiek nie jest ani niemowłębem, ani durniem! GDyby chciał wymknąć się temu tak zwanemu sądownictwu, to miał okazję do tego! To znaczy: nic nie można zrobić, nie pytając go, bez jego wiedzy, bez jego wyraźnej zgody. - Panie kapitanie - spytał Rednitz uważnie i spokojnie - czy mówił pan o tym wszystkim z panem porucznikiem Krafftrem? - Nie - powiedział Feders. Zawstydziała go świadomość, że nie zrobił takiej ważnej rzeczy, a jeszcze bardziej to, że przyznaje się do tego tak prosto przed swoimi podchorążakami. - Czy nie byłoby dobrze wyjaśnić to, panie kapitanie? I pan, panie kapitanie, jest jedyny, któremu to jeszcze może się udać. - Tak - powiedział Feders. - Zrobię to. * * * Jaskrawe, obrysowane ostrymi konturami światło padało na otwarte akta, leżące na prostym, odrapanym dużym stole. Za stołem siedział Wirrmann - pochylony, skrzywiony, niespokojny. Przed stołem siedział Krafft - zmęczony, spokojny, wyczekujący. Wokół nich szarobiałe, poplamione ściany - ściany ze śladami wielu rąk, wyblakłe od mycia, poznaczone potem, śliną i krwią. Przed odrzwiami z grubych desek stał w półmroku jeden z podoficerów tajnej żandarmerii polowej, Stranz, ziewając półotwartymi ustami, przy czym udawało mu się jednak zachować swój życzliwy uśmiech. - To czyste samobójstwo - powiedział Wirrmann, nie podnosząc wzroku. - Pan się bez przerwy obciąża, chociaż ja panu buduję jeden złoty most po drugim. - To, co pan nazywa złotem, jest dla mnie blachą - powiedział Krafft obojętnie. - Co pan chce jeszcze usłyszeć? - Ma pan tylko jedną głowę - przypomniał mu Wirrmann. - A więc tym samym o jedną za dużo. W tych wspaniałych czasach, w których my, Niemcy, zmuszeni jesteśmy żyć, głowa jako tako myśląca jest albo lekkomyślnością, albo luksusem. Dla mnie w każdym razie jest za ciężka. Może pan ją mieć, jeśli pan chce. - Nie do wiary - powiedział Wirrmann ponuro. - Wiele rzeczy już widziałem, ale czegoś takiego jeszcze nie widziałem. - No to najwyższy czas. Sędzia wyższego sądu wojennego nie zdążył już po raz drugi wyrazić swego zdumienia. Na korytarzu powstała jakaś gwałtowna wrzawa, która stawała się coraz głośniejsza. PO chwili otworzyły się z trzaskiem drzwi. Wirrmann chciał już skryć się za stołem. Do celi wpadło kłębowisko ciał ludzkich. A z tego kłębowiska wyłonił się kapitan Feders. - Człowieku! - zawołał Feders bez tchu - jeśli pan nie chce, żebym powystrzelał pańskie psy gończe jak zające, to bądź pan łaskaw zagwizdać na nie. - Czego pan chce?! - zawołał Wirrmann zdenerwowany. - Dzień dobry, Krafft - powiedział Feders, wyciągając rękę do porucznika. - Jak ci się powodzi? - Dobrze - odparł Krafft. Ujął dłoń przyjaciela, kręcąc przy tym nieznacznie, ale z niezadowolaniem głową. Feders zdawał się nie zauważać tego. Stał przed sędzią wyższego sądu wojennego i obwieścił: - Przychodzę z pełnomocnictwami od generała. - Generał nie ma prawa udzielać pełnomocnictw odnośnie mojej pracy! - szczeknął Wirrmann. - Generał - wyjaśnił Feders wściekły - powierzył mi funkcję oficera dochodzeniowego. Aresztował pan oficera naszej szkoły wojennej. Stoimy na stanowisku, że było to aresztowanie bezprawne. Według istniejących przepisów mamy prawo domagać się wglądu do akt. Poza tym interweniowaliśmy już u inspektora szkół wojennych, któremu pan bezpośrednio podlega. - W tym szczególnym przypadku - powiedział sędzia znowu buńczucznie, ponieważ nie czuł się już zagrożony - podlegam bezpośrednio Naczelnemu Dowództwu Wehrmachtu. - Z tego jeszcze nie wynika, że nie ma pan obowiązku zaznajamiać kompetentnego oficera dochodzeniowego, na jego żądanie, z całą dokumentacją. Dawaj pan! A może chce mnie pan zmusić, żebym wyegzekwował swoje prawa siłą? Sędzia Wirrmann cofał się coraz głębiej w tył, aż do brudnej, szarobiałej ściany za jego plecami. Stąd popatrzył na roztaczający się przed nim widok: Krafft siedzący w wyczekującej pozycji, obok niego żyłasty kapitan z tą swoją zdecydowaną mściwą twarzą - ale za nimi Stranz i Runke, na których zawsze można było polegać, z odbezpieczonymi pistoletami w kieszeni. Nic złego nie mogło się stać. Wirrmannowi kamień spadł z serca. Kiedy się już otrząsnął ze strachu, zauważył też, jakim spojrzeniem porucznik Krafft przyglądał się intruzowi. - Aha - powiedział Wirrmann, przysuwając się nieco bliżej - zaczynam rozumieć: panowie są przyjaciółmi. MOgłem się właściwie od razu domyślić. - To nieważne - powiedział Feders prowokacyjnie - przyjaciele czy nie, jestem tu w charakterze oficera dochodzeniowego, i koniec. - Jak pan chce - powiedział

Wirmann usłużnie. - Nie mam nic przeciwko dobrej, opłcającej się przyjaźni. Wprost przeciwnie, powiedziałbym: szczególnie w tym wypadku. - Do czego pan zmierza, człowieku? - spytał Feders nastrozony. - Musi pan wiedzieć - powiedział Wirmann, posuwając się ostrożnie o krok dalej - że mam pewną słabość do pańskiego przyjaciela. On mi jednak nie ułatwia zadania. Jest strasznie uparty. A przy tym wszystko mogłoby być całkiem proste: musi tylko nabrać rozsądku i wymienić stojących za nim ludzi. ściślej mówiąc: człowieka. - Pan sędzia jest dowcipny - wtrącił Krafft spokojnie. - Ćwicz się na później. Jeśli kiedyś nadejdą ciężkie czasy dla niego, będzie mógł jako dobry wujaszek urządzać zabawy dla dzieci. - Przemów mu pan do sumienia - powiedział Wirmann do Federsa. - Pana może usłucha. Jeżeli tak, to masz pan moje błogosławieństwo i możesz go sobie od razu stąd zabrać, na małe oblewanie. Musi tylko podpisać pewien króciutki protokół, który dla jego dobra już sam przygotowałem. Wirmann zebrał swoje akta. Dał obu szpiclom znak, żeby wyszli, po czym powiedział: - Zostawiam was teraz na jakieś dziesięć minut samych. I mogę tylko powiedzieć: powodzenia! - Następnie i on wyszedł. Kiedy zostali sami, Feders spytał: - Co się tu dzieje, Krafft? - Chce, żebym zasypał generała. Jeśli to zrobię, to rzekomo zrezygnuje z mojej głowy. - Rozumiem! - powiedział Feders prosto. - On woli głowę generała. Chciałaby złapać grubą rybę, nie drobną płótkę. A czy to nie byłoby wyjście? Krafft powiedział nieomal wesoło: - Właściwie powinienes się wstydzić, Feders, mówić w ogóle takie rzeczy. - No dobrze - odparł Feders - postawiłem pytanie, a ty odpowiedziałeś. I mam jeszcze jedno pytanie. Kiedy tak na ciebie patrzę, podejrzewam, że ty tego chciałeś. Nie możesz inaczej! Zgadza się? Krafft podniósł się powoli, wyprostował się i stanął naprzeciw Federsa. Powiedział: - Tak jest. Chcę tego i nie mogę inaczej. Wiem tylko jedno: raz trzeba zrobić koniec z tymi wiecznymi kłamstwami wokół tego, co ci szarlatani nazywają duchem żołnierskim. Mam tego po dziurki w nosie. - Nie ty jeden, Krafft. - Oczywiście, że nie, ale ktoś kiedyś musi zrobić początek i uczciwie powiedzieć, co myśli. Dławiło mnie to tchórzliwe oszustwo, które zamienia posłusznych, przyzwoitych młodych ludzi w bydło rzeźne. Chciałem robić tylko to, co i ty usiłujesz robić: wychowywać ludzi tak, żeby umieli myśleć. Muszą zacząć uczciwie myśleć o wszystkim, choćby nawet otrzeźwieć miało tylko trzech czy czterech. - W samej twojej grupie jest ich siedmiu, Krafft. Co najmniej siedmiu. - W takim razie jest dobrze - powiedział Krafft. - W takim razie opłaciło się. - Krafft - powiedział Feders smutno - zawstydziłeś nas wszystkich, również i mnie. - To nie było bynajmniej moim zamiarem, Feders. Proszę cię, wierz mi. Ale z wszystkich, którzy myślą tak jak ja, ja chyba jestem najmniej niezastąpiony. Miałem trudną i samotną młodość, jestem sam jeden na świecie, bez rodziców, bez bliskich; nie miałem nic do stracenia; może tylko to, co nazywają honorem. - A Elfrieda? Krafft odwrócił się do Federsa plecami. Spojrzał na pusty stół, na który ciągle jeszcze padało jaskrawe, ostro odcinające się światło. - Elfrieda - powiedział z wysiłkiem. - To jedyne, co mnie boli. Na początku wszystko wyglądało bardzo prosto i bardzo wygodnie. Ale ona dała mi więcej, niż mogłem tego oczekiwać, nie tylko od niej, od ludzi w ogóle. Na szczęście jest zdrowa i pełna życia, jej silna natura przewycięży to. Zasługuje na dobrego, porządnego, nieskomplikowanego męża i będzie go miała. Jestem tego całkiem pewny. Dla niej, myślę, będzie lepiej, że mnie straci. A więc pięknie - powiedział Feders - chcesz ofiary! Ja cię rozumiem. W gruncie rzeczy ja też już od dłuższego czasu jestem dotów pójść taką drogą. - Nie - powiedział Krafft. - Ty nie. żadna ofiara nie powinna być bezsensowna. Nikt nie powinien tego, co ty nazywasz ofiarą, pozbawiać sensu albo osłabiać. Wygłosiłem mowę pogrzebową, to wystarczy. Wystarczy, jeśli kilku ludzi zacznie myśleć. Ty zaś masz jeszcze przed sobą co najmniej trzy sprawy: musisz nadal strzec ludzi _piłek. Musisz naszym podchorążym utorować drogę; powinni wrócić do swoich żołnierzy z nowymi, jasnymi myślami. I musisz pokazać swojej żonie, że nigdy nie jest błędem kochać człowieka bezinteresownie. - Dobrze - powiedział Feders wzruszony - widzę, że nam nikt nie może pomóc. Może skazujesz mnie tylko na pewną zwłokę. Och, strasznie trudno jest dziś żyć w Niemczech. * * * Generał Modersohn siedział przy biurku - tak samo, jak zwykł był siedzieć przez te kilka poprzednich miesięcy: wyprostowany, spokojny, nieprzystępny. Jego mundur wyglądał nienagannie, nie było na nim ani jednej fałdki, ani jednego pyłku. Lewa

ręka leżała niedbale na biurku, w prawej ręce trzymał kłopotliwy ołówek. - Czy to już wszystko, co mam podpisać? - spytał. Przed nim stali Bieringer i Sybilla. Skinęli potakująco głową. Patrzyli na niego szeroko otwartymi, pytającymi oczami. Generał zdawał się nie zauważać tego - czytał ostatnie dokumenty. - Tym samym, panie generale - powiedział Bieringer - z punktu widzenia komendy szkoły, szesnasty kurs praktycznie dobiegł końca. - Taki był mój zamiar - powiedział generał, zamykając teczkę z dokumentami. - O siedem dni za wcześnie - zauważył Bieringer. - W samą porę - powiedział generał, wstając. - Czy sędzia Wirrmann zgłosił się już? - Czeka zgodnie z poleceniem w przedpokoju. - A więc czas na mnie - powiedział Modersohn i spojrzał na swoich zaufanych współpracowników. I w jego oczach zabłysła wdzięczność tak wielka, jakiej nigdy by się po nim nie spodziewali. - Mogę wam powiedzieć jeszcze tylko tyle, że przyjemnością było współpracować z wami. Dziękuję. - Panie generale - powiedział adiutant zaleźniony - co to znaczy? - To znaczy, że nasze drogi się rozchodzą. - Nie! - zawołała Sybilla Bachner przerażona. Modersohn uśmiechnął się blado i powiedział: - Panno Bachner, w naszej pracy nie mogliśmy sobie nigdy pozwolić na emocje. Nie rezygnujemy więc w ostatniej chwili z tak dobrych i rozumnych obyczajów. Proszę. Sybilla pobladała. Oddychała ciężko i usiłowała się opanować. Potem wykrztusiła z siebie: - Proszę mi wybaczyć, panie generale. - Odwróciła się i wyszła. Generał popatrzył w ślad za nią. A potem powiedział do adiutanta: - Moje osobiste rzeczy znajdzie pan uporządkowane w moim mieszkaniu. Proszę nimi rozporządzić wedle własnego uznania. Gdyby panna Bachner chciała kiedyś coś dla mnie zrobić, proszę jej powiedzieć, że byłoby mi miło, gdyby się opiekowała grobem podporucznika Barkowa... grobem mojego syna. A teraz poproszę sędziego Wirrmanna. Adiutant zwlekał jeszcze parę sekund. Patrzył na swego generała i szukał słów. Ale zrozumiał, że żadnymi słowami nie da się wyrazić tego, co teraz czuł. Spuścił głowę. Wyglądało to tak, jakby się schylił w ukłonie. Wszedł. Zjawił się Wirrmann. Wyglądał, jakby miał nerwy napięte do ostateczności. Twarz jego była cała w wypiekach. Sztywno podszedł do generała, jak gdyby musiał zebrać całą odwagę, aby zbliżyć się do niebezpiecznego drapieźnika. - Panie generale - powiedział ochryplym głosem - muszę panu zakomunikować, że wobec istniejącego stanu rzeczy nieuniknione jest rozciągnięcie moich dochodzeń również na pańską osobę. Przy tej okazji pozwolę sobie wskazać na to, że otrzymałem pełnomocnictwa z Naczelnego Dowództwa Wehrmachtu. - Wiem o tym - powiedział generał. - Niestety muszę panu zakomunikować - wykrztusił Wirrmann - że nieuchronnie stało się przesłuchanie pana. I muszę panu zwrócić uwagę, panie generale, że jestem upoważniony również do aresztowania. - Może pan sobie zaoszczędzić tego rodzaju wyjaśnień - powiedział generał. - Proszę przyjąć do wiadomości: w moim zasięgu działania nie dzieje się nic, za co nie mógłbym przyjąć odpowiedzialności. Porucznik Krafft działał wyłącznie na mój rozkaz. Również swoje przemówienie wygłosił za moją zgodą. Podpisuję się pod każdym słowem wypowiedzianym przez porucznika Kraffta. - To - powiedział Wirrmann głucho, owładnięty bezgranicznym zdumieniem - to mi daje prawo do aresztowania pana. - Chodźmy - powiedział generał. * * * - Tak - powiedział major Frey znacząco - tak to już jest. Oto skutki, jeśli się nie docenia i nie popiera zasłużonych oficerów. - Tak to jest - przytakiwał kapitan Ratshelm. - Prawdziwy charakter powinien być zawsze odpowiednio doceniany. Siedzieli naprzeciw siebie w głębokich fotelach, oświetleni łagodnym światłem łososioworóżowej lampy stojącej. Kiedy kapitan Ratshelm otrzymał zaproszenie swego dowódcy kursu do jego prywatnego mieszkania, stawił się natychmiast; major miał jeszcze na składzie ostatnie butelki madery. Jedna z tych butelek stała właśnie przed nimi na stole. Tak oto sobie rozmawiali - znacząco, poważnie, niczym filozofowie, jak im się zdawało: Oficer jako chorąży swojej epoki, ostoja postępu, opiekun prawdziwej wiary i słusznego światopoglądu. Obaj taktownie i konsekwentnie nie wspominali ani słowem pani Felicitas. Ale fakt, że major otwierał już drugą butelkę tej skądinąd tak pieczołowicie strzeżonej madery, świadczył najwyraźniej o tym, że Felicitas przestała dla niego istnieć. - Za odpowiedzialność - powiedział major, podnosząc kieliszek. - Za odpowiedzialność, której nikt nam nie odbierze. - I której będziemy umieli sprostać - powiedział Ratshelm poważnie - sprostać z wszystkimi konsekwencjami. - A więc jest pan zdecydowany opuścić nas, mój drogi? - To moja

nieodwołalna decyzja. Przepili do siebie. Potem wsłuchiwali się w noc - snując dalej myśli, które uważali za wielkie i decydujące. Później, około północy, usłyszeli kroki i głosy: do pokoju wtargnął sędzia Wirrmann, a za nim kapitan Kater. Wirrmann wymachiwał w powietrzu długim telegramem jak sztandarem. Jego szara skrzywiona twarz wyrażała bezgraniczny triumf. Zawołał: - Zwycięstwo na całej linii! Majo pospiesznie sięgnął po depeszę, podczas gdy Kater bezzwłocznie zajął się butelką madery. Ratshelm nachylił się nad lewym ramieniem majora. Kiedy Frey przeczytał depeszę, wyprostował się na całą swoją długość i spojrzał w górę, na sufit, niczym obrany przed chwilą król, wznoszący oczy ku niebu. I powiedział uroczyście: - Jestem komendantem szkoły wojennej. Był nim - chociaż w zastępstwie, chociaż w nieobecności starszego od niego stopniem komendanta kursu I, chociaż na kilka dni. Był komendantem szkoły wojennej! Spełniło się jego wielkie, najskrytsze marzenie. To była najpiękniejsza noc jego życia - od czasu, gdy nadano mu liście dębowe do Krzyża Rycerskiego. - A aresztowanie generała jest zatwierdzone! - zawołał Wirrmann. - Osaczyłem go, przechytryłem i zwyciężyłem. Reakcja poniosła dotkliwą porażkę. I złapałem nie tylko prowodyrę, lecz również jego pomocnika. Obaj są załatwieni, raz na zawsze. Panowie, dziękuję wam za zrozumienie i pomoc. - Spełniliśmy tylko nasz obowiązek - zapewnił go major Frey. - I będziemy go nadal spełniali. - Chyba zostaną z powrotem dowódcą kompanii administracyjnej? - spytał Kater, podając pozostałym napełnione kieliszki. - Z wszystkimi pełnomocnictwami? - Ma się rozumieć, mój drogi - powiedział major Frey. - Oddał nam pan cenne usługi. - Bravo! - zawołał Wirrmann z uznaniem. - Pana zaś, kapitanie Ratshelm - powiedział major Frey - prosimy w interesie dobrej i sprawiedliwej sprawy, żeby wycofał pan swoje podanie o przeniesienie. Obejmie pan po mnie kurs drugi, jako jego dowódca. - Jeśli tak - rzekł kapitan Ratshelm - to uważam za swój obowiązek spełnić pana życzenie. - Tym samym wycofał się ze swego mocnego, niezachwianego stanowiska. Skoro obowiązek wzywał, wszystko inne musiało zamilknąć. Po otwarciu następnej butelki kapitan Kater przeprowadził szybko jeszcze jedną rozmowę telefoniczną. - Irena Jablonski - powiedział - ma się za godzinę stawić u mnie w pokoju. Pilna sprawa! Kiedy major pozostał sam, podniesiony na duchu wielkimi przeżyciami ostatnich godzin, wypił ostatni kieliszek madery i pokrzepiwszy się w ten sposób, udał się do sypialni swojej żony, która popatrzyła nań wyczekująco i z niepokojem. - Felicitas - rzekł z godnością - jestem teraz komendantem szkoły wojennej. Co ty na to? - Zasłużyłeś sobie na to jak nikt inny - zapewniła go pospiesznie - jesteś stworzony do wielkiej kariery. Wiedziałam to od początku. - A czy przyrzekasz mi, że odtąd będziesz zawsze o tym pamiętała? - Przyrzekam ci, Archibald. - Oczekuję - powiedział major wspaniałomyślnie - że będziesz się w przyszłości starała. Oczekuję tego od ciebie nie tylko jako komendant szkoły wojennej, lecz również jako człowiek. * * * - To mi się podoba - powiedział mężczyzna, kiwając z uznaniem głową. - Ty się nie skarżysz i nie ryczysz. Nie chowasz się do kąta i nie usiłujesz mi skoczyć do gardła. Nie boisz się i nie jesteś zuchwałą. Jesteś tylko cichy. PODOBASZ mi się. Słowa te skierowane były do generała Modersohna. Generał stał pośrodku celi: cztery metry długości, dwa metry szerokości. Zakratowane okno na wysokości dwóch metrów. Siennik, zydeł, mały stolik. Nic więcej. Generał stał bez ruchu - nie inaczej, niż zwykł był stać na defiladach i na placach ćwiczeń, w kasynie, w swoim gabinecie, w komendzie szkoły: kanciasty i nieprzystępny. Człowiek, który go pilnował, kapral Runke z tajnej żandarmerii polowej, przypatrywał się swemu więźniowi z przyjaznym zainteresowaniem. - Nie jesteś głupi - mówił - ty wiesz, co się tu święci. I nie będziesz robił trudności, co? Już choćby dlatego, żebym ci nie musiał pomagać. Tego ty przecież na pewno nie lubisz. A mnie to też specjalnej przyjemności nie sprawia, zawsze to samo! No a teraz wyładuj wszystko, co masz w kieszeniach. Generał bez słowa zaczął wyjmować to, co miał w kieszeniach. Było tego niewiele: chusteczka, mały grzebyk, portfel, a z papierów jedynie książeczka uposażeniowa. - Nie myśl sobie - powiedział kapral - że jestem ciekawski. Albo brutalny. Tylko wtedy, kiedy to jest koniecznie potrzebne. Spełniam tylko swój obowiązek. A przed prawem, jak wiadomo, wszyscy są równi; taki generał oczawicie też. Niektórzy nie chcą tego zrozumieć. Mieliśmy niedawno też generała. To ci był krzykacz, bracie! Chciał się ze mną bawić w koszary, ze mną! Ale to długo nie trwało.

Zasunąłem mu taką blachę, że od razu nabrał rozsądku. Najwyższy czas nauczyć takiego, co to obowiązek. Tak, a teraz daj mi szelki. Generał z kamienną twarzą rozpiął i rozchylił bluzę. Nie miał szelek. Opuścił ręce i stał nadal nieruchomy, wyprostowany. - Ale pasek to mi musisz dać - powiedział kapral dobrodusznie. - Taki jest przepis. Bo my dbamy o życie naszych więźniów. U mnie nikt nie może się powiesić, na to ja sobie nie mogę pozwolić! W końcu nie jestem generałem. U mnie z każdym umarlakiem mogą być kłopoty, pisanina i tak dalej. Generał Modersohn zdjął pasek i podał go strażnikowi. - Jesteś dość szczupły - powiedział ten. Złożył pasek i uderzył się nim po udach. - To ma swoje dobre strony, jak facet jest szczupły. Wtedy portki tak nie spadają. A takie coś nie robi dobrego wrażenia, wiesz. Ten generał, o którym ci przedtem opowiadałem, ten ci miał brzuch, prawie takie jak marszałek Rzeszy. Ale to się zmieniło; po dwóch tygodniach był smukły jak sosna. I wtedy mu ciągle portki spadały. To ci była heca, powiadam ci! Mieliśmy ubaw, bracie, że aż hej, bo podczas ogłaszania wyroku stał w gaciach. Wyobrażasz sobie? Ale tobie to się nie może zdarzyć, przy twojej figurze! A teraz potrzebne mi są sznurowadła od twoich bryczesów. Na wszelki wypadek. Generał usiadł na zydlu. Zdjął buty. Potem wyjął sznurowadła z bryczesów, położył je na stole i znowu wstał. - Teraz przyniosę ci kibel - powiedział strażnik. - I to całkiem nowy. Jesteś przecież generałem. A poza tym mi się podobasz. Dlatego dam ci dobrą radę: nocą zostaw kibel w spokoju. Zrób kupkę dopiero rano. Inaczej śmierdzi to całymi godzinami, i wnet twoje ubranie przesiąknie tym smrodem. Nie lubię tego, słyszysz? Jeśli będziesz mądry, zrobisz tak, jak ci powiedziałem. Ja bym ci naprawdę nie chciał dać wciry. Strażnik wyszedł, uśmiechając się przyjaźnie. Generał stał dalej pośrodku celi. Nawet powieka mu nie drgnęła. Usta jego były zaciśnięte. Oczy zamknięte. * * * W sąsiedniej celi leżał na swoim sienniku porucznik Krafft. Ciemność otulała go jak kołdra z czarnego śniegu. Krafft był spokojny i nerwowo odprężony; usiłował wyłączyć myśli. Noc była pełna milczenia. Żadnego wiatru, żadnego głosu ludzkiego. Świat wokół niego odpływał gdzieś daleko. Był sam, zamknięty w czterech ciasnych ścianach, które wydawały mu się wielką zimną trumną. - Czy ja tego chciałem? - usłyszał własny głos. Wsłuchiwał się w echo swego głosu. Ciemność zdawała się go pochłaniać, dławila go. Czuł się tak, jakby był pod grubymi poduszkami. I znowu ta ciężka, spadająca na niego, przykrywająca go cisza. Ale potem, niemal jak echo, usłyszał inne głosy - podchwytywały jego głos, wzmacniały go, odbijały, aż wreszcie głosy te, mocne i jasne, rozproszyły noc wokół niego. Krafft podniósł się z niedowierzaniem. Na jego twarzy malowało się niezmiernie zdumienie. Słyszał śpiew. Młode silne głosy śpiewały w nocy; nie było tych głosów wiele - może siedem albo osiem. Ale wrywały go z jego samotności i nasycaly ciemność jakby świtającym gdzieś daleko światłem. Podchorążowie śpiewali jego ulubioną pieśń: „Na biwaku na twardym kamieniu wyciągam zmęczone nogi”. Krafft uśmiechał się. Powoli opadł na swoje posłanie. Słuchał tej ciężkiej melodii o zmęczeniu i przeczuciu śmierci z zamkniętymi oczami. I zdawało mu się, jak gdyby to jego krew śpiewała głosami podchorążych. Ie na nich załamało się prawo fabrykacji - to była jego zasługa, on zniszczył sens bezdusznej taśmy ruchomej. Niektórzy z nich będą oficerami, ale w ręku takich oficerów żołnierze będą mogli pozostać ludźmi. To było dużo jak na te czasy. - Tego chciałem - powiedział porucznik Krafft. * * * Rozprawa w sądzie wojennym przeciwko generałowi Ernstowi Egonowi Modersohnowi i porucznikowi Karłowi Krafftowi odbyła się wkrótce potem. Akt oskarżenia zarzucał im - między innymi - zdradę główną i sianie defetyzmu w wojsku. Obaj oskarżeni zrezygnowali z obrony. Zostali skazani na śmierć. - Ostatnie słowa generała brzmiały: - Wszystko dla Niemiec! - Wszystko dla innych Niemiec! - powiedział porucznik Krafft przed śmiercią. Posłowie Od tego czasu minęło ponad piętnaście lat. Niektórzy ludzie z owych czasów już nie żyją. Inni zdążyli się postarzeć, ale nie zmądrzeli. Tylko nieliczni próbowali wyciągnąć wnioski z przeszłości. Kapitan Feders przeżył swego przyjaciela Kraffta i generała tylko o kilka miesięcy. Aresztowano go w związku z wydarzeniami 20 lipca 1944 roku i skazano na śmierć. Powieszono go na strunach fortepianowych, tak że godziny minęły, zanim wybawiła go od tej męki śmierć. Jego żona Marion gdzieś wówczas znikła. Nikt nie wiedział, dokąd pojechała. Krótko przed zakończeniem wojny widziano ją ponoć w Berlinie, gdzie miała należeć do pewnej grupy oporu.

Według innej wersji pojawiła się w Szwabii jako przyjaciółka amerykańskiego oficera. Pewne jest tylko, że znikła bez śladu. Kapitan Ratshelm przeżył wojnę, a także niewolę z honorem. Nigdy nie przestał pogłębiać swej wiedzy wojskowej i hartować swego charakteru. Był tak jak dawniej absolutnie pewny, że nigdy się nie myli. Pracoał najpierw w pewnym zarządzie gminnym w Nadrenii, potem w zakładach chemicznych tamże. Ciągłe jeszcze nie jest żonaty, ale przywdział właśnie z powrotem mundur żołnierski, i to mundur podpułkownika. Podwładnymi opiekuje się wzorowo i może poszczycić się doskonałymi rezultatami. Nie mniej szczęśliwa była kariera majora Freya. Z początku było mu nieco trudno przeżyć taką totalną klęskę po męsku. Nastąpiły dwa stosunkowo trudne lata, które spędził w majątku kolegi z wojska. POtem jednak zrozumiał, skąd wieje nowy wiatr, i przestawił się na politykę. Dzięki honorowej przeszłości i zręcznej technice prowadzenia pertraktacji znalazł się niebawem w czołówce pewnego liberalnonarodowego demokratycznego stronnictwa. Tu walczy - między innymi - o prestiż Niemiec i o prawo do noszenia zasłużonych odznaczeń bojowych. Na przyjęciach państwowych stanowi we fraku wielce dekoracyjny widok - zwłaszcza kiedy ma na szyi swój Krzyż Rycerski. Felicitas Frey straciła co prawda swoje dobra na Śląsku, ale miała ciągle jeszcze dość wpływowych krewnych w Niemczech Zachodnich. Jej małżeństwo przestało jednak być czystą przystanią spokoju, o to postarała się już jej bratanica Barbara Bendler_Trebitz. Była bardzo przywiązana do rodziny Frey. A nawet kiedy później wyszła za mąż, wybrańcem jej został współpracownik Freya, co było nader praktyczne. W bliskich stosunkach z tą rodziną pozostał też kapitan Kater. Człowiek tak zręczny i obrotny, jak on, potrafi pokonać wszystkie trudności. Był kapitanem i dowódcą kompanii administracyjnej aż do ostatecznego zwycięstwa. Później zarządzał - w tym samym miejscu - magazynem żywnościowym i stołówką oficerską amerykańskich sił powietrznych. Następnie objął jako człowiek zupełnie nie obciążony politycznie zarząd miasta Wildlingen nad Menem. Tu położył szczególne zasługi wokół repatriacji słynnych zakładów optycznych z terenów wschodnich. Za te wysiłki spotkała go zasłużona nagroda: zaawansował na dyrektora handlowego owych zakładów. Współpracę jego z panem Freyem, zdobywającym laury w dziedzinie politycznej, można określić jako niezwykle owocną. Irenie Jablonski natomiast przeznaczony był tylko krótki, aczkolwiek burzliwy żywot. PO tym, jak Kater uświadomił ją co do tego, jakie to ona ma możliwości, „zajęcie” to tak jej przypadło do smaku, że wykazała w tym względzie zdumiewającą wytrzymałość. Po Katerze przyszła kolej na kwatermistrza, potem na kreisleitera, a potem na pewnego działacza gospodarczego. Jej niwny sposób bycia i wieczna gotowość przyciągały mężczyzn jak światło ómy. Później jedank, gdy napadła na nią banda maruderów, załamała się i zwariowała. Sędzia wyższego sądu wojennego Wirrmann nadal służy sprawiedliwości. W końcu był fachowcem, a specjaliści są zawsze poszukiwani. Trzymał się wyłącznie prawa - prawa aktualnego w danej chwili. Dopóki to było potrzebne, sądził - według paragrafu 5 specjalnego prawa wojennego - rozkładowe elementy. Następnie był doradcą przy komisji karnej aliantów. Wreszcie wyładował jako prezes senatu rolniczego w pewnym sądzie krajowym Niemiec północnych. Dewiza dra Wirrmanna brzmi teraz: jeden naród, jedna Rzesza, jedno prawo. Sybilla Bachner pozostała jeszcze przez pewien czas w szkole wojennej, nawet po egzekucji Modersohna. Z jego następcą miała najpierw stosunek miłosny, a potem wyszła za niego za mąż. Tym samym spełniło się jej najgorętsze marzenie: została żoną generała. Podczas końcowych walk o wielkie Niemcy jej mąż został jednak ciężko ranny od bomby. Odtąd był przykuty do wózka inwalidzkiego. Sybilla Bachner nie uciekła od tego losu. Samotna, małomówna i z zaciętą twarzą żyje ze swoim mężem w małym, walącym się domku nad jeziorem w Górnej Bawarii. Czterdziestu podchorążych grupy szkolnej H rozpierchło się po świecie. Tak jak przyszli, tak też się rozeszli: każdy do swojej jednostki, każdy na swój odcinek frontu. Skończyli szkołę wojenną, zostali oficerami i bardzo prędko Wildlingen stało się dla nich niczym więcej, jak tylko przelotnym wspomnieniem, jednym z wielu. Podchorąży Amfortas padł w stopniu podporucznika na wschodzie. Andreas dostał się na wschodzie do niewoli. Berger, G~undler i Cremel zadekowali się - a wraz z nimi wielu innych. Zdjęli mundury i wstąpili w szeregi innych armii, armii pracy, gospodarki, administracji. Stanowią nadal solidną przeciętność.

Będą zawsze pożyteczni. Kramer, żelazny podoficer, pozostał tym, czym był. Był żołnierzem z zawodu, nie chciał być niczym innym i nie potrafił się niczego innego nauczyć. Egon Weber, siłacz, spokojnie wrócił w swe rodzinne strony, zakasał rękawy i odtąd wsuwa bochenki chleba do pieca. Jest przewodniczącym związku śpiewaczego, klubu kręglarskiego i kółka skatowego. Propozycję, żeby założył związek kombatanów, odrzucił. Założył jednak szybko powiększającą się rodzinę. Uchodzi za człowieka miękkiego. Ale jeżeli ktoś zbyt podejrzanie podkreśla jego imię Egon, potrafi być bardzo nieprzyjemny. Dziwnie przebiegło krótkie, ale pełne radości życie podchorążego Rednitsa. Został podporucznikiem, ale nie na długo. Miał stosunek z żoną swego dowódcy kompanii, i jednocześnie drugi, z żoną dowódcy pułku. Dlatego został przeniesiony na front, ale do Francji, gdzie założył burdel połowy z kilkoma filiami. Zapłacił za to swym mundurem oficerskim. Następnie, jak twierdził, poszedł do podziemia. W końcu rozstrzelano go jako maquis, członka francuskiego ruchu oporu, co było jednak pomyłką - zwyczajna zamiana list. Opłakiwało go wiele dziewcząt lekkich obyczajów. Również poeta Böhme został podporucznikiem, dostał się do niewoli i uchronił do roku 1946 za zaginionego. Potem raz pewnego pojawił się znowu i zaczął pisać artykuły na temat „Nigdy więcej wojny” do poważnych gazet. Przemawiał również przez radio i cieszył się w Niemczech południowo-wschodnich pewną popularnością. Po kilku latach jednak jego artykuły nie mogły już znaleźć nikogo, kto by je chciał drukować, a zatem też nikogo, kto by je chciał czytać. Na znak protestu Böhme wyemigrował do Kanady, gdzie pracował jako drwal. Pewne poważne wydawnictwo niemieckie opublikowało nawet tomik jego poezji - z nakładu sprzedano rzeczywiście sześćdziesiąt osiem egzemplarzy. Podchorążym Rednits pozostawał jeszcze jakiś czas w kontakcie z Wildlingen nad Menem i szkołą wojenną. Najpierw korespondował z kapitanem Federsem, a potem, po zgzekucji tegoż, z Elfriedą Rademacher. Listy te były co prawda rzadkie, a ich treść zawsze mglista, ale mimo to Rednits coś niecoś się z nich dowiadywał. Śmierć Federsa nie była dla niego niespodzianką. Doniesiono mu też o tym, że na krótko przed zakończeniem wojny zlikwidowano willę Rosenhugel. Nikt nie wiedział, jaki los spotkał ludzi pilki. Wśród nielicznych grobów w parku Willi Rosenhugel był jeden opatrzony tabliczką z nazwiskiem doktora Krafft - jako data jego śmierci podany był dzień 20 kwietnia 1945 roku. Przyczyny śmierci nie udało się ustalić. Jeśli idzie o Elfriedę Rademacher - życie jej potoczyło się odtąd bardzo prosto. Została jeszcze przez pewien czas w Wildlingen, ale nie pracowała już w kancelarii kompanii administracyjnej, lecz w magazynie materiałowym. Była ostatnią osobą, która opiekowała się grobem podporucznika Barkowa. Grobami porucznika Krafft i generała Modersohna nikt się nie opiekował - nikt nie wiedział, gdzie byli pochowani. Po zakończeniu wojny Elfrieda przeprowadziła się do swojej siostry do małego miasteczka we Frankonii. Tu w roku 1948 wyszła za mąż za handlarza drzewem. Jest teraz, jak powiadają, stateczną małżonką i dobrą matką dla swoich dwojga dzieci. Podchorążym Rednits został, jak należało się tego spodziewać, podporucznikiem, później jednak, po 20 lipca 1944 roku, stanął przed sądem wojennym za odmowę wykonania rozkazu i został zdegradowany. Następnie unieważniono tę degradację i Rednitsowi zwrócono stopień podporucznika - jeszcze w porę, bo przed wielką kapitulacją. Po krótkim pobycie w niewoli osiedlił się w Zagłębiu Ruhry i pracuje jako chemik w fabryce tworzyw sztucznych. Założył rodzinę, zbudował sobie willę i żyje odtąd wyłącznie dla żony i dziecka. To on właśnie dostarczył mi wiele ważnych dokumentów do tej książki. Dokumenty te dał mi w Wildlingen nad Menem. Działo się to takiej samej nocy zimowej, jak wówczas, przed ponad piętnastu laty. Koszary ciągle jeszcze panowały nad widnokregiem. Przystały co prawda być już szkołą wojenną, ale służyły w pierwszym okresie jako obóz jeniecki dla niemieckich żołnierzy. Potem wprowadziły się tam wojska amerykańskie. Potem koszary zamieniły się w obóz dla uciekinierów. Następnie zajął na krótki czas te zaniedbane budynki batalion straży pogranicznej. Ale wkrótce potem odnowiono całe koszary dla szkoły łączności nowej armii. I teraz koszary lśnią znowu dawnym blaskiem - i wszystko jest jak wówczas. Jak wówczas? Wszystko? Niech nas Pan Bóg od tego uchroni!

